

NORA ROBERTS

WIĘZY KRWI



Świat Książki

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegolwiek podobieństwo do zdarzeń, miejsc i osób - żywych czy umarłych jest całkowicie przypadkowe.

Dla ukochanej Kayli, nowego światła mojego życia.

Nie potrafię zliczyć swoich życzeń dla Ciebie, więc przede wszystkim i po prostu życzę Ci miłości.

Cała magia i rzeczywistość życia, wszystko, co naprawdę się liczy, bierze się właśnie z miłości.

PROLOG

Ten, kto daje dziecku zabawkę, sprawia, że dzwonki dzwonią wśród niebiańskich ulic, lecz ten, kto daje dziecku dom, buduje pałace w Królestwie, które nadchodzi, ta zaś, która daje dziecku życie, sprowadza Zbawiciela z powrotem na Ziemię.

John Masefield

*Poznaj siebie.
Inskrypcja na murach świątyni Apollina w Delfach*

12 grudnia 1974 roku

Douglas Edward Cullen bardzo chciał siusiu. Zdenerwowanie, ekscytacja i cola, którą w McDonalddie popił hamburgera i frytki, zamówione przez mamę w nagrodę za grzeczne zachowanie, w dużej mierze przyczyniły się do tego, iż pęcherz trzyletniego chłopca z trudem wytrzymywał parcie.

Douglas przestępował więc z nogi na nogę, ofiara wysublimowanej tortury. Serce łomotało mu w piersi i czuł, że jeżeli zaraz nie zacznie głośno krzyczeć lub biegać w tę i z powrotem, po prostu eksploduje. Douglas uwielbiał oglądać eksplozje na ekranie telewizora.

Tak czy inaczej, mama powiedziała mu, że musi być grzeczny. Święty Mikołaj doskonale wiedział, którzy mali chłopcy są grzeczni, a którzy nie, i tym ostatnim wkładał do skarpety bryłki węgla zamiast zabawek. Taki już miał przykry zwyczaj... Douglas nie bardzo wiedział, co to jest węgiel, ale bardzo, bardzo zależało mu na nowych zabawkach. Właśnie dlatego krzyczał i biegał tylko w myślach, nie naprawdę. Nauczył go tego tata, aby chłopiec radził sobie w trudnych sytuacjach, wymagających specjalnej dawki grzeczności.

Wielki bałwan, który stał tuż obok, uśmiechnął się do niego. Bałwan był bardzo gruby, jeszcze grubszy niż ciocia Lucy. Douglas nie miał zielonego pojęcia, co jedzą bałwany, ale ten z pewnością niczego sobie nie żałował.

Jaskrawoczerwony nos Rudolfa, ulubionego renifera Douglasa, zapalał się i gasł raz po raz, aż przed oczami chłopca zaczęły tańczyć czerwone plamki. Usiłował liczyć je w taki sam sposób, jak robił to Hrabia, jeden z bohaterów Ulicy Sezamkowej. Raz, dwa, trzy!

Trzy czerwone plamki! Ha, ha, ha! Niestety, zbyt wielkie podniecenie sprawiło, że zaczęło go mdlić.

W centrum handlowym panował straszny hałas, rozlegające się z głośników kolędy i gwiazdkowe piosenki niecierpliwiły Douglasa, podobnie

jak okrzyki innych dzieci i płacz niemowląt.

Douglas wiedział wszystko o niemowlętach, ponieważ od trzech miesięcy miał małą siostrzyczkę. Kiedy takie dzieciaki płakały, należało trzymać je na rękach i chodzić z nimi po pokoju, najlepiej śpiewając piosenki, albo kołysać się z nimi w fotelu na biegunach i poklepywać po pleckach, czekając, aż im się odbije.

Niemowlętom zwykle odbijało się bardzo głośno, ale nikt nie wymagał od nich, żeby za to przepraszały. A dlaczego? Dlatego, że niemowlęta nie umieją mówić! Proste, prawda?

Na szczęście w tej chwili Jessica nie płakała, tylko spokojnie spała w wózku. W czerwonej sukieneczce z tym czymś białym i falbaniastym, naszytym z przodu, wyglądała zupełnie jak lalka.

Babcia nazywała Jessicę swoją małą laleczką, ale czasami Jessica darła się wniebogłosey i wtedy jej buzia stawała się czerwona i pomarszczona. Kiedy już zaczęła, nic nie mogło jej uspokoić, ani śpiewanie, ani spacerowanie po pokoju, ani huśtanie w fotelu na biegunach.

Douglas był zdania, że wtedy wcale nie wyglądała jak lalka, ale jak wściekły, rozwrzeszczany potwór. Gdy tak się zachowywała, mama była zbyt zmęczona, aby się z nim bawić. Wcześniej, zanim Jessica dostała się do jej brzucha, nigdy nie była zbyt zmęczona...

Czasami Douglasowi wcale się nie podobało, że ma młodszą siostrę, która ryczy, wali kupę w pieluchę i męczy mamusię, ale zwykle Jessica była raczej w porządku. Lubił na nią patrzeć i z rozbawieniem obserwował, jak wymachuje nóżkami w powietrzu, a kiedy łapała go za palec, śmiał się na całe gardło.

Babcia często mu powtarzała, że musi się opiekować Jessicą, bo właśnie takie jest zadanie starszych braci. Douglas przejął się tym do tego stopnia, że zdarzało mu się zasypiać na podłodze obok łóżeczka małej, tak na wszelki wypadek, gdyby jakieś mieszkające w szafie potwory chciały ją w nocy pożreć, zawsze jednak budził się rano we własnym łóżku i wtedy zastanawiał się, czy to wszystko mu się przypadkiem nie przyśniło.

Kolejka przesunęła się do przodu i Douglas z pewnym niepokojem zerknął na uśmiechnięte elfy, kręcące się w pobliżu Świętego Mikołaja. Nie zrobiły na nim szczególnie dobrego wrażenia, zupełnie jak Jessica, kiedy się wydzieriała...

Jeżeli Jessica się nie obudzi, Święty Mikołaj nie weźmie jej na kolana. Mama wystroiła ją w czerwoną sukienkę specjalnie na tę okazję, co Douglasowi wydawało się głupie, bo przecież Jessica nie umie nawet przeprosić, kiedy jej się odbije, a cóż dopiero powiedzieć Świętemu

Mikołajowi, co chciałaby dostać na Boże Narodzenie...

Za to on umie. Ma już trzy i pół roku i jest dużym chłopcem, wszyscy tak mówią.

Mama przykucnęła i z uśmiechem zajrzała mu w oczy. Kiedy zapytała, czy nie chce mu się siusiu, Douglas potrząsnął głową. Mama uśmiechała się, ale miała zmęczoną twarz i Douglas się obawiał, że jeżeli pójdą teraz do łazienki, to całkiem możliwe, że już nie wróca do kolejki i wtedy on nie zobaczy z bliska Świętego Mikołaja...

Lekko ścisnęła mu rękę i powiedziała, że już niedługo. Douglas chciał dostać pojazd z kolekcji Hot Wheels, G.I. Joe, garaż firmy Fisher - Price, kilka matchboxów i duży, żółty buldożer, taki sam jak ten, który jego przyjaciel Mitch dostał na urodziny.

Jessica była jeszcze za mała, żeby bawić się prawdziwymi zabawkami, więc dostawała tylko takie tam dziewczyńskie rzeczy, jak śmieszne ubranka i pluszowe zwierzaki. W ogóle dziewczynki były raczej nudne, a co dopiero mówić o takich zupełnie malutkich...

Mimo to Douglas zamierzał wspomnieć Świętemu Mikołajowi o Jessicę. Chciał, żeby o niej pamiętał, kiedy będzie wchodził przez komin do ich domu.

Mama rozmawiała z kimś znajomym, ale Douglas nie słuchał. Rozmowy dorosłych po prostu go nie interesowały, zwłaszcza teraz, gdy kolejka znowu się posunęła i wreszcie dostrzegł Świętego Mikołaja.

Święty był postawny, nie można powiedzieć. W pierwszej chwili Douglas trochę się go nawet przestraszył, bo wydawało u się, że na obrazkach w książeczkach i komiksach nie był aż taki wielki. Siedział na tronie przed swoim warszatem, otoczony licznym orszakiem elfów, reniferów i bałwanów. Wszystko się ruszało - głowy, ramiona, ręce i nogi... I wszyscy uśmiechali się bardzo, bardzo szeroko...

Święty Mikołaj miał okropnie długą brodę, która prawie zasłaniała mu twarz, a gdy się roześmiał - ho, ho, ho - strasznie, strasznie głośno, Douglas poczuł się tak, jakby jakaś zimna, potężna dłoń mocno ścisnęła jego pęcherz.

Świąteczka błyskały, jakieś dziecko zanosilo się płaczem, elfy się uśmiechały, trochę nieprzyjemnie, szczerze mówiąc...

Douglas zaczął powtarzać sobie w myśli, że jest już dużym chłopcem, naprawdę dużym chłopcem, który wcale nie boi się Świętego Mikołaja.

Mama lekko pociągnęła go za rękę i powiedziała, żeby podszedł do Świętego i usiadł mu na kolanach. Ona także się uśmiechała.

Douglas zrobił jeden krok naprzód, potem drugi, ale nogi trochę mu się trzęsły. Święty Mikołaj wziął go pod pachy i podniósł. Wesółych Świąt! Byłeś

grzecznym chłopcem?

Przerażenie ścisnęło serce Douglasa jak stalowa obręcz. Elfy przysunęły się bliżej, czerwony nos Rudolfa błyskał, bałwan zwrócił ku niemu wielką, okrągłą głowę i uśmiechnął się szeroko i okropnie...

Potęźnie zbudowany mężczyzna w czerwonym kostiumie mocno trzymał chłopca i małutkimi, wąskimi oczami wpatrywał się w jego twarz.

Dojugłas wrzasnął, szarpnął się, spadł z kolan Świętego Mikołaja na podłogę, boleśnie stłukł łokieć i zsiusiał się w majtki.

Ludzie pochylali się nad nim, ich głosy tworzyły twardą, coraz niższą kopułę... Douglas skulił się i rozplakał żałośnie.

Nagle tuż przy nim znalazła się mama. Przygarnęła go do siebie, przytuliła i powiedziała, że nic się nie stało, wszystko w porządku. Szybko wyjęła chusteczkę i otarła kilka kropel krwi, które pociekły Douglasowi z nosa po zderzeniu z posadzką.

Pocałowała go, pogłaskała i wcale nie skrzyczała za to, że zmoczył spodnie. Douglas wtulił głowę w jej brzuch, chwytając powietrze otwartymi ustami. Mama objęła go i podniosła, żeby mógł wygodnie oprzeć głowę na jej ramieniu. Mrucząc pieszczotliwe słowa, odwróciła się powoli.

I wtedy krzyknęła. I rzuciła się przed siebie, zupełnie jakby oszalała.

Przytulony do niej Douglas spojrział w dół i zobaczył, że wózek Jessiki jest pusty.

CZEŚĆ I

Budowa na wydzielonym terenie o nazwie Antietam Greek stanęła w chwili, gdy szufla koparki Billy'ego Youngera wydobyła z ziemi pierwszą czaszkę.

Dla samego Billy'ego, który tkwił w kabinie maszyny, spocony jak ruda mysz w lipcowym upale, była to nieprzyjemna niespodzianka. Jego żona była zdecydowanie przeciwna budowie osiedla na tej działce i tego ranka jak zwykle ostrym głosem wygłosiła zwięzły wykład na ten temat, podczas gdy Billy starał się zjeść śniadanie w postaci sadzonych jaj z parówkami.

Jeśli chodzi o Billy'ego, to szczerze mówiąc, problem zabudowy Antietam Creek gówny go obchodził. Praca to praca, a poza tym Dolan bardzo przyzwoicie płacił swoim ludziom. Prawie w pełni rekompensowało to nieustanne narzekania Missy.

Jej ujadanie odebrało mu apetyt, a przecież mężczyzna musi zjeść porządne śniadanie, skoro ma przez resztę dnia zasuwać w pocie czoła... To, co zdążył przełknąć, zanim Missy przypięła się do niego, dosłownie stanęło mu w gardle i teraz kisiło się tam w tym nieznośnym, wilgotnym upale.

Billy wcisnął hamulec i z przyjemnością pomyślał, że przynajmniej koparka nie suszy mu głowy za to, że stara się dobrze wykonywać swoją pracę. Nic nie sprawiało mu większej satysfakcji niż świadomość, że wielkie ostrze maszyny raz po raz głęboko wgryza się w ziemię, wyszarpując z niej potężne kęsy, ale wyniesienie ponad powierzchnię szerniałej, ziejącej pustymi oczodołami czaszki, która wydawała się szczerzyć do niego nieliczne pieńki zębów w białym blasku letniego poranka, to zupełnie inna sprawa... Ważący prawie sto piętnaście kilogramów Billy wrzasnął jak przerażona dziewczyna i zeskoczył z siedzenia z lekkością baletnicy.

Koledzy drwili potem z niego przez parę dni, aż wreszcie Billy musiał rozkwasić nos najlepszemu kumplowi, aby ponownie wzbudzić we wszystkich szacunek dla swojej męskości. Tak czy inaczej, tego lipcowego ranka rzucił się pędem przez teren budowy z tą samą szybkością i determinacją (i prawie taką samą zręcznością), jakie w latach szkolnych demonstrował na boisku. Kiedy Billy odzyskał oddech i głos, przekazał wiadomość szefowi swojego odcinka, ten zaś poszedł prosto do Ronalda Dolana.

Zanim na miejsce przybył szeryf, zaciekawieni robotnicy wydobyli z ziemi jeszcze parę kości. Posłano po lekarza sądowego, a zespół redakcyjny działu wiadomości lokalnej telewizji zjawił się na budowie, aby przeprowadzić wywiad z Billym, Dolanem i wszystkimi, którzy mieli ochotę wypełnić czas przeznaczony na wieczorne informacje.

Wiadomość rozniosła się po mieście z szybkością błyskawicy. Ludzie

zaczęli mówić o morderstwie, masowym grobie, seryjnych mordercach. Każdy robił, co mógł, aby dołożyć swoje trzy grosze do plotek, gdy więc w końcu kości zostały poddane oględzinom i szczegółowym badaniom, i uznane za bardzo stare, część mieszkańców nie wiedziała, czy cieszyć się z tego, czy ubolewać nad takim rozwiązaniem problemu.

Jednak dla Dolana, który miał za sobą etap pisania podań i petycji w sprawie przekształcenia dziewięciu pięćdziesięciu akrów podmokłego, lesistego gruntu w teren budowlany, wiek wykopanych kości nie miał najmniejszego znaczenia - samo ich istnienie budziło w nim podobne uczucia jak wrzód na siedzeniu.

Kiedy zaś dwa dni później Lana Campbell, prawniczka, która niedawno przeprowadziła się do miasteczka, usiadła po przeciwnej stronie jego biurka, założyła nogę na nogę i obdarzyła go pełnym zadowolenia z siebie uśmiechem, Dolan musiał zmobilizować całą siłę woli, aby nie wymierzyć jej prawego sierpowego prosto w tę śliczną buzię.

- Nakaz sądowy wydaje mi się całkowicie klarowny i zrozumiały - powiedziała, nie przestając się uśmiechać.

Lana Campbell należała do grupy najzagorzalszych przeciwników budowy, w tej chwili miała więc oczywisty powód do satysfakcji.

- Nakaz sądowy jest zbędny. Przerwałem prace, w pełni współpracuję z policją i komisją planowania.

- Wobec tego uznajmy to za dodatkowe zabezpieczenie. Komisja planowania naszego okręgu daje ci sześćdziesiąt dni na sporządzenie raportu i przekonanie jej członków, że powinieneś kontynuować budowę.

- Dobrze znam te wszystkie kruczki, skarbeńku. Firma Dolana buduje domy w okręgu od czterdziestu sześciu lat.

Mówił do niej „skarbeńku”, żeby ją rozdrażnić. Ponieważ obydwójce świetnie o tym wiedzieli, Lana tylko się uśmiechnęła.

- Towarzystwo Historyczne i Ochrony Przyrody poleciło mi zająć się tą sprawą, więc wykonuję swoją pracę. Miejsce znaleziska odwiedzą w najbliższych dniach naukowcy z Wydziałów Archeologii i Antropologii Uniwersytetu Maryland. Jako reprezentujący ich prawnik, zwracam się do ciebie, abyś pozwolił im usunąć szczątki z terenu budowy i poddać je badaniom.

- Reprezentujący ich prawnik, adwokat... - Dolan, potężnie zbudowany mężczyzna z ogorzałą twarzą, z typowo irlandzkimi rysami, odchylił się do tyłu w fotelu. Jego głos ociekał sarkazmem. - Zajęta z ciebie damulka...

Zatknął kciuki za szelki. Dolan zawsze nosił czerwone szelki i błękitną koszulę. Uważał ten strój za pewnego rodzaju uniform, deklarację

przynależności do grupy zwyczajnych, ciężko pracujących ludzi, tych, którzy własnymi rękami stworzyli swoje miasto i okręg.

Niezależnie od sumy, jaka znajdowała się na jego koncie bankowym, a znał ją co do centa, był zdania, że nie potrzebuje imponować ubiorem.

Dolan nadal jeździł zwykłym pikapem, oczywiście wyprodukowanym w Stanach.

W przeciwieństwie do tej ładnej prawniczki, urodził się i wychował w Woodsboro i lepiej od niej wiedział, czego potrzebują mieszkańcy miasteczka. Nie miał też cienia wątpliwości, że właśnie on najlepiej wie, co jest dobre dla Woodsboro.

Był przecież człowiekiem, który patrzył w przyszłość i potrafił zadbać o swoje miasto, znajomych i przyjaciół.

- Oboje mamy mało czasu, więc przejdźmy do rzeczy. - Lana była pewna, że tym razem uda jej się zetrzeć pełen samozadowolenia uśmiezek z twarzy Dolana. - Nie możesz budować, zanim miejsce zostanie zbadane, zabezpieczone i oczyszczone. Naukowcy muszą pobrać próbki, aby to zrobić. Wszelkie wydobyte z ziemi przedmioty nie przedstawiają dla ciebie żadnej wartości. Okazanie chęci współpracy w tej sprawie pomogłoby poprawić wizerunek twojej firmy w oczach opinii publicznej i rozwiązać problemy, o których oboje dobrze wiemy...

- Moim zdaniem, nie są to żadne problemy. - Dolan rozłożył duże, pokryte odciskami dłonie. - Ludzie potrzebują domów, miasto potrzebuje miejsc pracy, a budowa Antietam Creek spełnia te potrzeby. Nazywa się to postęp, paniusiu.

- Trzydzieści nowych domów. Większy ruch na drogach, które nie są do tego przystosowane, zatłoczone szkoły, utrata otwartej przestrzeni, czystego powietrza, krajobrazów...

Jego uśmiech i lekceważące zdrobnienie nie doprowadziły Lany do stanu wrzenia, za to powtarzane od dłuższego czasu argumenty jak najbardziej. Odetchnęła głęboko i powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Miejscowa społeczność sprzeciwiała się rozpoczęciu tej budowy w imię czegoś, co nazywa się jakością życia, ale to inna kwestia - powiedziała dobitnie. - Tak czy inaczej, dopóki specjaliści nie zbadają kości i nie określą ich wieku, nie masz prawa ruchu. - Postukała palcem w nakaz sądowy. - Twojej firmie na pewno zależy na przyspieszeniu procesu badań. Będziesz chciał opłacić koszty...

- Opłacić...

No, właśnie, pomyślała Lana. I kto teraz jest górą?

- Jesteś właścicielem terenu, więc także i te przedmioty należą do

ciebie. - Zadbala, by dokładnie poznać wszystkie towarzyszące sprawie okoliczności. - Zdajesz sobie chyba sprawę, że będziemy walczyć przeciwko kontynuowaniu budowy, zasypimy cię nakazami sądowymi i raportami, i nie damy ci ruszyć z miejsca, aż ta sprawa zostanie ostatecznie rozwiązana. Lepiej zapłacić, panie Dolan - rzuciła, podnosząc się z krzesła. - Twój prawnik ci udzieli tej samej rady.

Lana starannie zamknęła za sobą drzwi biura Dolana i dopiero wtedy uśmiechnęła się szeroko, od ucha do ucha. Wyszła na zewnątrz, odetchnęła dusznym, gorącym powietrzem i rozejrzała się po Main Street.

Z trudem powstrzymała się od wykonania radosnego tańca na środku głównej ulicy Woodsboro, tłumacząc sobie, że jej pozycja wymaga odpowiednio dystygowanego zachowania, ale raz podskoczyła na chodniku, zupełnie jak dziesięcioletnia dziewczynka. Teraz było to jej miasto, jej społeczność, jej dom... Uznała je za swoje, kiedy dwa lata wcześniej przeniosła się tutaj z Baltimore.

Woodsboro było przyjemnym miasteczkiem, zanurzonym w tradycji i historii, żyjącym ploteczkami, chronionym przed wielkomiejskim rozrostem obecnością widocznego w oddali łańcucha gór Blue Ridge.

Przeprowadzka do Woodsboro była prawdziwym wyznaniem wiary i ufności ze strony młodej kobiety urodzonej i wychowanej w dużym mieście, lecz po stracie męża Lana nie wyobrażała sobie dalszego życia w Baltimore. Śmierć Steve'a ogłuszyła ją jak potężny cios w głowę. Minęło ponad pół roku, nim się podźwignęła, wzięła się w garść i zmobilizowała siły, aby zmierzyć się z życiem.

A życie stawiało określone wymagania, pomyślała teraz. Bardzo tęskniła za Steve'em, w jej sercu nadal była pustka, kolejne dni ziały chłodem i rozpaczą, lecz Lana wiedziała, że musi oddychać i w miarę normalnie funkcjonować. Miała przecież Tylera, swoje dziecko, swojego synka. Swoją skarbnicę.

Nie mogła zwrócić mu ojca, mogła jednak dołożyć wszelkich starań, aby zapewnić spokojne, dobre dzieciństwo.

I Tyler miał tutaj dość miejsca, aby swobodnie biegać, oraz psa, który biegał razem z nim. Miał również sąsiadów i przyjaciół, no i matkę, gotową zrobić wszystko, żeby był bezpieczny i szczęśliwy.

Lana spojrzała na zegarek. Dziś Tyler wybierał się po zajęciach w przedszkolu do swojego najlepszego przyjaciela, Brocka. Lana postanowiła, że za jakąś godzinę zadzwoni do matki Brocka, Jo. Tak na wszelki wypadek, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Przystanęła na skrzyżowaniu, czekając na zielone światło. Ruch był

niewielki, jak to w małym mieście.

Lana nie wyglądała na dziewczynę z małego miasta. Jeszcze stosunkowo niedawno starannie dobierała stroje, by pasowały do wizerunku ambitnej, robiącej karierę prawniczki, pracującej dla jednej z największych kancelarii w Baltimore, potem zaś doszła do wniosku, że co prawda rozpoczyna praktykę w prowincjonalnej dziurze, liczącej zaledwie cztery tysiące mieszkańców, ale nie ma żadnego powodu, aby ubierała się gorzej.

Teraz miała na sobie letni kostium z pięknego, błękitnego lnu. Klasyczny krój doskonale podkreślał jej delikatną budowę i poczucie estetyki. Włosy, prosta, jasna kurtyna, omiały krawędź delikatnie zarysowanej szczęki ładnej, młodzieńczej twarzy. Miała okrągłe niebieskie oczy, których wyraz często mylnie brano za naiwność, lekko zadarty nos i pięknie wykrojone wargi.

Weszła do „Bezcennych stronic”, uśmiechnęła się do stojącego za kontuarem mężczyzny i wreszcie wykonała swój zwycięski taniec.

Roger Grogan zdjął okulary do czytania i uniósł srebrzyste krzaczaste brwi. Był szczupłym, pełnym wigoru siedemdziesięcioletkiem, a jego twarz przywodziła Lanie na myśl przebiegłego, choć dobrotliwego krasnoludka.

Ubrany był w białą koszulę z krótkimi rękawami, na czoło zaś opadała mu grzywa srebrzyście białych włosów.

- Wyglądasz na bardzo zadowoloną z siebie - przemówił chropowatym, niskim głosem. - Na pewno widziałaś się z Ronem Dolanem...

- Dosłownie przed chwilą! - Lana jeszcze raz okręciła się w miejscu i oparła łokcie na ladzie. - Żałuj, że nie poszedłeś ze mną, Roger. Warto było zobaczyć jego twarz...

- Jesteś dla niego zbyt surowa. - Roger pogłaskał palcem czubek nosa Lany. - Dolan po prostu robi, co musi.

Kiedy Lana przekrzywiła głowę i spojrzała na niego spod lekko ściągniętych brwi, Roger się roześmiał.

- Nie twierdzą przecież, że się z nim zgadzam - rzekł. - Chłopak ma nieco twardą głowę, podobnie jak jego ojciec, natomiast nie posiada dość zdrowego rozsądku, aby zrozumieć, że jeżeli jakaś społeczność jest do tego stopnia podzielona, to warto poważnie zastanowić się nad przyczyną tej rozbieżności zdań.

- Teraz będzie musiał poważnie się nad tym zastanowić - rzuciła Lana. - Zbadanie tych kości spowoduje duże opóźnienie budowy osiedla. Jeżeli będziemy mieć szczęście, testy wykażą, że wykopaliska są wystarczająco stare, aby przyciągnąć uwagę środków masowego przekazu, może nawet w skali całego kraju. Niewykluczone, że budowa stanie na wiele miesięcy, kto wie,

może nawet lat.

- Dolan jest równie uparty jak ty. Już i tak udało ci się rzucić mu kilka kłód pod nogi...

- On twierdzi, że to, co robi, nazywa się postępowaniem - mruknęła Lana. - I nie jest pod tym względem osamotniony.

- Osamotniony czy nie, bardzo się myli. Nie można rozsądzać domów jak sadzonek. Z naszych szacunkowych danych wynika, że...

Roger podniósł dłoń.

- Mnie nie musisz nawracać, moja droga.

- No, tak... - Lana westchnęła lekko. - Kiedy otrzymamy wyniki badań archeologicznych, zobaczymy, co będzie. Nie mogę się już doczekać. Tak czy inaczej, im większe opóźnienie budowy, tym większe straty Dolana. Natomiast my zyskujemy czas na zebranie odpowiedniej sumy. Mam nadzieję, że Dolan przemyśli wszystko i jednak sprzeda teraz teren Towarzystwu Historycznemu i Ochrony Przyrody.

Lana odgarnęła włosy za uszy.

- Może pozwolisz zaprosić się na lunch, co? - Uśmiechnęła się. - Moglibyśmy uczcić dzisiejsze zwycięstwo.

- A może pozwoliłabyś, żeby jakiś młody, przystojny człowiek zaprosił cię na lunch, co?

- Nie, bo to ty podbiłeś moje serce, nie żaden młody, przystojny człowiek! - Roześmiała się, świadoma, że przesadza, ale tylko odrobinę. - Zresztą, dajmy sobie spokój z lunchem, najlepiej spakujmy się i ucieknijmy razem na Arubę...

Roger zachichotał. Mało brakowało, a byłby się zarumienił. Stracił żonę w tym samym roku, co Lana męża i często się zastanawiał, czy to nie dlatego łącząca ich więź stała się tak silna.

Podziwiał inteligencję Lany, jej upór w dążeniu do celu, jej ogromne poświęcenie dla syna. Miał wnuczkę, która była mniej więcej w jej wieku. Tak, miał wnuczkę, gdzieś w dalekim świecie...

- Całe miasto by oniemiało, prawda? - Parsknął śmiechem. - Byłby to największy skandal od chwili, gdy pastora metodystów przyłapano na gorącym uczynku z dyrygentką chóru...

Niestety, niestety, mam sporo nowych tytułów, które muszę wprowadzić do katalogu. Właśnie dostałem przesyłkę z książkami, więc nie mam czasu ani na lunch, ani na wycieczkę na wyspy tropikalne.

- Nie wiedziałam, że masz świeżą dostawę. To jedna z nowych książek? - Lana wzięła do ręki książkę i uważnie obejrzała okładkę.

Roger zajmował się handlem białymi krukami, a jego malutki sklepik

był świątynią, w której oddawał cześć rzadko spotykanym, cennym książkom. Wnętrze jak zawsze pachniało starą skórą, gazetami i wodą toaletową Old Spice, której Roger używał od blisko sześćdziesięciu lat.

Antykwariat z książkami nie był czymś zwykłym w tak niewielkim miasteczku jak Woodsboro. Lana wiedziała, że większość klientów Rogera przyjeżdża do niego z daleka, często z dość odległych miejscowości.

- Jest piękna - powiedziała, gładząc palcem skórzany grzbiet. - Gdzie ją znalazłeś?

- Na wyprzedaży wielkiej biblioteki w Chicago. - Roger drgnął, słysząc jakiś dźwięk na tyłach sklepu. - Razem z nią kupiłem kilka jeszcze cenniejszych...

Otworzyły się drzwi oddzielające sklep i schody od mieszkania na piętrze. Lana ujrzała, jak twarz Rogera rozjaśnia uśmiech, i odwróciła się.

Oczy miał ciemnobrązowe i w tej chwili chmurne, podobnie jak wyraz warg, włosy bardzo ciemne, tu i ówdzie rozświetlone słońcem, rysy wyraziste, regularne, twarz składającą się z głębokich dolin i wzgórz. Była to twarz stanowiąca odbicie dużych możliwości intelektualnych i siły woli, pomyślała Lana. Zdolny, błyskotliwy i uparty - oto, jak oceniła go na pierwszy rzut oka. Może jednak przyczyną jej osądu było to, że właśnie tak opisał swego wnuka Roger. Sprawiał wrażenie, jakby dopiero przed chwilą wstał z łóżka i w niedbałym pośpiechu wciągnął dzinsy, ale to sprawiało, że wyglądał bardzo seksownie.

Po plecach przebiegł jej przyjemny dreszcz, jakiego nie czuła już od bardzo dawna.

- Doug! - w głosie Rogera brzmiała duma, radość i miłość. - Zastanawiałem się już, kiedy zejdziesz na dół. Wybrałeś odpowiedni moment, chłopcze. To jest Lana, opowiadałem ci o niej. Lana Campbell, mój wnuk, Doug Cullen.

- Miło cię poznać. - Lana wyciągnęła rękę. - Przeprowadziłam się do Woodsboro już jakiś czas temu, ale jak dotąd nie było nam dane się spotkać...

Ucisnął dłoń Lany i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jesteś tą prawniczką, prawda?

- Tak jest, przyznaję się. Wpadłam, żeby powiedzieć Rogerowi o nowej sytuacji na budowie osiedla Dolana, no i oczywiście spróbować go poderwać. Długo zostaniesz w mieście?

- Jeszcze nie wiem...

Małomówny facet, pomyślała. Trzeba podejść go z innej strony.

- Dużo podróżujesz, kupując i sprzedając stare książki. - Uśmiechnęła się. - To musi być fascynujące...

- Lubię tę pracę. Znowu chwila milczenia.

- Nie wiem, co zrobiłbym bez Douga - wtrącił Roger. - Nie jestem już w stanie jeździć tak dużo jak dawniej. Doug ma nos do tego biznesu, jest urodzonym antykwariuszem. Gdyby nie on, przeszedłbym już na emeryturę, żeby zanudzić się na śmierć...

- Macie wspólne zainteresowania, co musi dawać wam obu mnóstwo satysfakcji, razem prowadzicie firmę. - Ponieważ Douglas sprawiał wrażenie znudzonego rozmową, zwróciła się do jego dziadka. - Cóż, Roger, skoro znowu dałeś mi kosza, najlepiej zrobię, jeżeli wrócę do pracy. Zobaczmy się na spotkaniu jutro wieczorem?

- Na pewno.

- Miło było cię poznać, Doug.

- Mnie także. Do zobaczenia.

Kiedy za Laną zamknęły się drzwi, z piersi Rogera wyrwało, się ciężkie westchnienie.

- Do zobaczenia? Nie stać cię na nic więcej, chociaż to taka atrakcyjna kobieta? Łamiesz mi serce, chłopcze.

- Na gorze nie ma ani grama kawy. Zero kawy, tragedia.

Nie ma kawy, nie ma intelektu. Dobrze, że nie straciłem umiejętności posługiwania się prostymi zdaniem.

- W pokoju z tyłu stoi dzbanek świeżo zaparzonej kawy. - Roger z niesmakiem wskazał kciukiem znajdujące się za jego plecami drzwi. - Ta dziewczyna jest inteligentna, ładna i interesująca - dodał z naciskiem. - I wolna.

- Nie szukam kobiety. - Doug zmierzał już w kierunku drzwi, głęboko poruszony cudownym aromatem kawy.

Napełnił kubek gorącym napojem, sparzył język przy pierwszym łyku i odetchnął z ulgą. Wiedział, że teraz znowu może spokojnie patrzeć w przeszłość. Pociągnął drugi łyk i zerknął na dziadka.

- Niezła laseczka jak na Woodsboro.

- A już myślałem, że ani ci w głowie takie przyziemne sprawy. Przyjrzałeś się jej?

- Przyglądać się a widzieć to dwie różne sprawy. - Doug uśmiechnął się, co zupełnie odmieniło jego twarz.

- Dziewczyna umie się ubrać, ale to jeszcze nie znaczy, że możesz nazywać ją „laseczką”.

- Nie miałem na myśli nic złego. - Douglas nie krył rozbawienia oburzeniem dziadka. - Nie miałem też pojęcia, że to twoja dziewczyna.

- Gdybym był teraz w twoim wieku, na pewno by nią była.

- Dziadku, wiek nie ma żadnego znaczenia. - Ożywiony kawą Doug objął Rogera ramieniem. - Ruszaj do ataku, mówię ci. Nie pogniewasz się, jeżeli pójde na górę? Muszę doprowadzić się do porządku i pojechać do mamy.

- Jasne, jasne... - Roger machnął ręką. - Do zobaczenia... - mruknął, kiedy Doug poszedł w kierunku schodów. - Do zobaczenia, też mi coś... Żaloszne, naprawdę.

Callie Dunbrook wyssała z puszki resztę dietetycznej pepsi i znowu skoncentrowała się na zmaganiach z zasadzkami ruchu ulicznego w Baltimore. Źle zaplanowała powrót z Filadelfii, gdzie przebywała na trzymiesięcznym urlopie naukowym, teraz widziała to doskonale.

Kiedy jednak odebrała telefon z prośbą o konsultację, nie pomyślała ani o czasie, jaki pochłonie podróż do Baltimore, ani o tym, że może znaleźć się w mieście w godzinach szczytu. Szczerze mówiąc, dopiero teraz przypomniła sobie, jak wygląda obwodnica Baltimore Beltway w dni powszednie o szesnastej piętnaście... Trudno, musi sobie z tym poradzić.

Zaczęła od energicznego naciśnięcia klaksonu i wepchnięcia swojego starego, ukochanego land - rovera w widniejący między sznurami samochodów przesmyk, dopasowany raczej do wymiarów zabawki niż sporego wozu, w najmniejszym stopniu nie przejmując się losem i uczuciami sunącego za nią kierowcy.

Przez siedem tygodni nie uczestniczyła w żadnych pracach wykopaliskowych i teraz sama myśl o takiej możliwości przyprawiała ją o radosny zawrót głowy. Callie знаła Leo Greenbauma wystarczająco dobrze, aby rozpoznać nutę tłumionego podniecenia w jego głosie. I dość dobrze, by nie wątpić, że Leo nigdy nie poprosiłby ją o przyjazd do Baltimore, gdyby kości, jakie miała poddać badaniu, nie były wyjątkowo interesującymi kośćmi.

Ponieważ aż do tego ranka nie dotarły do niej żadne pogłoski o znalezisku w stanie Maryland, Callie czuła, że musiało ono okazać się dużą niespodzianką dla jej kolegów.

Dobry Boże, wiele dałaby za nowy projekt... Była spragniona przyzwoitej, ciężkiej pracy jak pustynia wody. Co tu ukrywać, konała z nudów. Miała dosyć pisania artykułów do naukowych czasopism, czytania tekstów innych archeologów, drukowanych w tych samych czasopismach, oraz prowadzenia wykładów. Jej zdaniem, archeologia nie miała nic wspólnego z przesiadywaniem w salach wykładowych i publikowaniem prac. Uważała, że została powołana do tego, aby kopać, mierzyć, prażyć się w słońcu, tonać w deszczu i błocie i stanowić pożywkę dla komarów oraz innych insektów. Właśnie tak wyobrażała sobie raj.

Kiedy stacja radiowa, której słuchała, zaczęła nadawać serwis

informacyjny, Callie włączyła odtwarzacz CD. Wiadomości ze świata nie mogły pomóc w wydostaniu się z paskudnych, wielokilometrowych korków, natomiast ostry, twardy rock jak najbardziej.

Z głośników zagrział utwór zespołu Metallica i Callie od razu poczuła się lepiej.

Postukała palcami w kierownicę, chwyciła ją mocniej i przebiła się do następnego przesmyku. Jej złocistobrązowe oczy błyskały zadziorne zza ciemnych szkieł. Miała długie włosy, ponieważ wygodniej było ściągnąć je gumką z tyłu i wcisnąć pod czapkę niż często przycinać, modelować i marnować czas w salonie fryzjerskim. Poza tym posiadała dość zdrowej próżności, aby wiedzieć, że prosta, sięgająca ramion linia włosów koloru miodu podkreśla jej urodę.

Podłużne, migdałowe oczy uważnie obserwowały świat spod prawie prostych, ciemnych brwi, a twarz, w miarę jak Callie zbliżała się do trzydziestki, z ładnej stawała się coraz bardziej atrakcyjna i interesująca. Gdy się uśmiechała, w jej opalonych policzkach i tuż nad prawym kącikiem ust pojawiały się wyraźne dołeczki.

Łagodnie wykrojony podbródek bynajmniej nie ujawniał cechy, którą jej były mąż nazywał bez ogródek oślim uporem. Z drugiej strony, ona mogłaby dokładnie to samo powiedzieć o nim, co zresztą robiła przy każdej nadarzającej się okazji.

Lekko nacisnęła pedał hamulca i prawie nie zmniejszając prędkości, wjechała na parking. Biuro Leonarda G. Greenbauma znajdowało się w dziesięciopiętrowym stalowym pudle, które w oczach Callie nie miało kompletnie żadnych zalet estetycznych. Dobrze chociaż, że tutejsze laboratorium badawcze mogło poszczycić się najlepszymi pracownikami technicznymi i najlepszym sprzętem w skali kraju.

Zaparkowała na jednym z miejsc dla gości, pchnęła drzwiczki i wyskoczyła prosto na miękką, grząską asfalt. Co za upał! Zanim dotarła do wejścia, jej uwięzione w adidasach stopy zaczęły się pocić.

Recepcjonistka zmierzyła wchodzącą baczным spojrzeniem. Zobaczyła szczupłą kobietę o sylwetce lekkoatletki, z twarzą przesłoniętą rondem brzydkiego słomianego kapelusika i olbrzymimi ciemnymi okularami w metalowych oprawkach.

- Doktor Dunbrook do doktora Greenbauma - rzuciła Calhe.

- Proszę się podpisać, o, tutaj... - Dziewczyna podała identyfikator dla gościa. - Trzecie piętro.

Callie zerknęła na zegarek i ruszyła w stronę windy. Dojechała na miejsce zaledwie czterdzieści pięć minut później, niż planowała, ale solidny

hamburger, który pochłonęła w drodze, był już tylko wspomnieniem. Poczula głód. Ciekawe, czy uda jej się wyciągnąć Lea do jakiegoś baru...

Po chwili znalazła się na trzecim piętrze i przedstawiła się następnej recepcjonistce. Tym razem poproszono ją, aby zaczekała.

Callie padła na krzesło i pomyślała, że z czekaniem radzi sobie ostatnio całkiem nieźle, na pewno lepiej niż do niedawna. W końcu czy to jej wina, że cały zapas cierpliwości zwykle zużywała w pracy, w związku z czym odczuwała brak tej cechy w innych dziedzinach życia?

Zresztą, czym się tu przejmować - może i była trochę niecierpliwa, ale co z tego... Na szczęście Leo nie kazał jej długo czekać.

Nim się spostrzegła, już szedł ku niej szybkim, zabawnym krokiem. Trochę jak piesek rasy corgi - krótkie, mocno umięśnione nogi wydawały się wyprzedzać resztę ciała. Leo miał metr siedemdziesiąt dwa wzrostu, był o jakieś pięć centymetrów niższy od Callie i chlubił się bujną grzywą ciemnobrązowych włosów, które bezwstydnie farbował. Szczupła, pociągła twarz była ogorzala, orzechowe oczy wiecznie zmrużone za prostokątnymi, pozbawionymi oprawek szklami. Jak zwykle ubrany w brązowe, torbiaste spodnie i koszulę z wygniecionej bawełny. Z każdej kieszeni wystawały jakieś papiery.

Podszedł do Callie i pocałował ją - był jedynym z jej znajomych płci męskiej, któremu wolno było pozwolić sobie na taki gest.

- Świetnie wyglądasz, Blondie.

- Ty też nie najgorzej.

- Jak tam podróż?

- Okropna - warknęła. - Lepiej postaraj się, żebym nie żałowała straconego czasu i nerwów.

- Och, myślę, że me będziesz żałowała. Rodzice zdrowi? - zapytał, prowadząc ją do swojego gabinetu.

- Tak, wszystko u nich w porządku. Wyrwali się na dwa tygodnie do Maine. Jak Clara? Pokręcił głową i uśmiechnął się na myśl o żonie.

- Ma nowe hobby, garncarstwo. Dam głowę, że na Boże Narodzenie dostanę wyjątkowo paskudny wazon...

- A dzieciaki?

- Ben dalej bawi się akcjami, a Mellisa staje na głowie, żeby połączyć macierzyństwo z pracą stomatologa. Sam nie wiem, jak to możliwe, że taki czubek jak ja ma takie normalne dzieci...

- To zasługa Clary - uświadomiła mu, wchodząc do gabinetu.

Spodziewała się, że Leo zaprowadzi ją do jednego z pomieszczeń laboratoryjnych, ale z przyjemnością rozejrzała się po słonecznym, dużym

pokoju.

- Już zapomniałam, jaki masz tu przytulny kącik. Nie czujesz potrzeby, żeby wyrwać się gdzieś w pole i trochę pogrzebać w ziemi?

- Od czasu do czasu mnie nachodzi, nie da się tego uniknąć, ale wtedy ucinam sobie drzemkę i po przebudzeniu znowu czuję się normalnie. Lecz tym razem... Spójrz na to.

Leo otworzył szufladę biurka i wyjął z niej kość w zaplombowanej torebce. Callie wzięła znalezisko do ręki, zatknęła ciemne okulary za dekolt koszulki i uważnie obejrzała kość.

- Wygląda mi na część kości goleniowej. Biorąc pod uwagę wielkość i kształt, najprawdopodobniej należała do młodej kobiety. Bardzo dobrze zachowana.

- Najbliższe określenie wieku na podstawie oględzin?

- Pochodzi z zachodniej części Marylandu, tak? Znaleziono ją na terenie, który przecina strumień albo rzeczka, tego jestem pewna. Wolałabym nie określać wieku na podstawie wstępnych oględzin. Masz próbki gleby i raport o składzie warstw ziemi prawda?

- Jasne. No, Blondie, zaryzykuj.

- Jezu... - Zmarszczyła brwi, obracając plastikową torebkę w palcach. Jedną stopą zaczęła wybijać o podłogę jakiś własny, wewnętrzny rytm. - Nie znam tamtego terenu... Na podstawie wstępnych oględzin, bez badań, powiedziałabym, że kość pochodzi z ciała osoby pogrzebanej trzysta, może pięćset lat temu, niewykluczone jednak, że jest starsza. Wszystko zależy od rozwarstwienia gleby, głębokości złóż szlamu, ukształtowania terenu... - Siedziała nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w kości. Jej instynkt budził się powoli. - W Marylandzie stoczono wiele bitew podczas wojny secesyjnej, prawda? Ale ta kość jest starsza, prawdopodobnie znacznie starsza... Nie należała do jednego z rebeliantów, o nie...

- Jest starsza, masz rację - przytaknął z uśmiechem. - Starsza o mniej więcej pięć tysięcy lat...

Callie poderwała głowę do góry i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Wynik badania metodą rozpadu cząsteczek węgla - oświadczył, podsuwając jej teczkę. Przebiegła wzrokiem trzy ciasno zadrukowane strony. Zwróciła uwagę, że Leo kazał wykonać badanie dwukrotnie, na trzech różnych próbkach. Kiedy znowu podniosła głowę, na twarzy Lea nadal malował się wariacki uśmiech.

- Cholera jasna! - powiedziała.

Callie zgubiła się po drodze do Woodsboro. Leo podał jej dokładne wskazówki, ale kiedy oglądała mapę, dostrzegła skrót, to znaczy coś, co

powinno być drogą na skrót. Każda logicznie myśląca osoba wzięłaby to za skrót i prawdopodobnie właśnie na to liczył podstępny kartograf. Callie od dawna miała na pieńku z twórcami map.

W zasadzie nie przeszkadzało jej, że się zgubiła, ponieważ w końcu zawsze znajdowała właściwą drogę, a dłuższy objazd pozwolił trochę zapoznać się z okolicą.

Łagodne, wspaniale zielone wzgórza wylewały się na rozległe pola uprawne. Tu i ówdzie spomiędzy zieleni wyzierały srebrzyste skały, do złudzenia przypominające potężne, powykrzywiane knykcie i zagięte kości palców.

Idąc za tymi skojarzeniami, pomyślała o dawnych, prehistorycznych rolnikach, którzy wydzielali tej ziemi plony za pomocą prymitywnych narzędzi, starając się uczynić z tego regionu swoje miejsce.

Mężczyzna, który właśnie teraz jechał przez pole traktorem firmy John Deere, miał wobec nich poważny dług, chociaż na pewno nigdy nie przyszło mu to do głowy, kiedy orał ziemię, zasiewał i zbierał. Właśnie dlatego postanowiła pomyśleć o nich za niego, w jego imieniu.

Doszła do wniosku, że ta część Mary landu wydaje się całkiem przyjemnym miejscem do życia i pracy.

Wyższe wzgórza porośnięte były lasem, wspinającym się ku jasnoblękitnemu niebu. Stoki pagórków zbiegały ku dolinom, doliny wznosiły się ku stokom, nadając terenowi ciekawy charakter, tworząc cienie i otwierając się ku nowym przestrzeniom.

Słońce wyłacało wysokie po pas zboże, wydobywało całkiem nowe odcienie z zielonej trawy łąk i lśniło na kasztanowej sierści zabawnie podskakującego żrebaka. Tu i ówdzie stały stare domy, wzniesione z wydobywanego w okolicy kamienia, a także znacznie nowsze i większe budynki mieszkalne oraz segmenty z cegły lub gotowych elementów.

Na ogrodzonych metalową siatką albo drewnianymi płotami łąkach pasły się znużone upałem krowy.

Pola obrzeżone były lasami, na ich skraju rosły splecione zarośla, krzewy sumaku i dzikiej mimozy. Dalej zaczynały się pagórki, miejscami wyraźnie skaliste. Droga wiła się i zakręcała wzdłuż strumienia, a rosnące po obu jej stronach drzewa tworzyły hakowate, cieniste sklepienie. Ograniczona wartko płynącym strumieniem i ostro wznoszącą się ścianą granitu i piaskowca, była naturalnym, utworzonym siłami przyrody korytarzem.

Callie przejechała około piętnastu kilometrów, nie napotykając żadnego samochodu. Chwilami dostrzegała wśród drzew domy, jedne zbudowane nisko na zboczach, inne stojące tak blisko drogi, że gdyby ktoś otworzył drzwi,

mogłaby go prawie dotknąć. W okolicy nie brakowało pięknych letnich ogrodów, usianych barwnymi plamami. Wydawało się, że mieszkańcy tej części stanu Maryland mają szczególne upodobanie do lilii tygrysiach i malw.

Spostrzegła węża, grubego jak jej ręka w przegubie, który bez pośpiechu przemieścił się na drugą stronę drogi, i pomarańczowego jak dojrzała dynia kota, czającego się za krzakiem na zakręcie. Wystukując palcami jednej dłoni rytm utworu wykonywanego przez Dave'a Matthews'a i jego zespół, zaczęła się zastanawiać, jaki byłby wynik spotkania kota z wężem. Po chwili wahania doszła do wniosku, że postawiłaby na zwycięstwo kota.

Pokonała zakręt i zobaczyła kobietę, wyjmującą pocztę z ciemnoszarej skrzynki, ustawionej tuż przy drodze. Właścicielka z roztargnieniem uniosła rękę, pozdrawiając kierowcę przejeżdżającego auta. Callie odpowiedziała takim samym gestem i pomknęła dalej, mijając kolejne pasma blasku i cienia. Kiedy droga wyprostowała się, przyśpieszyła, zostawiając za sobą farmy, przydrożny motel i rozsiane po obu stronach domy.

W miarę jak zbliżała się do granic Woodsboro, domy mnożyły się, lecz tu wydawały się mniejsze. W mieście zwolniła na światłach, jednych z dwóch zestawów, którymi mogło poszczycić się Woodsboro, i z ulgą zauważyła pizzerię na rogu ulic Main i Mountain Laurel. Tuż obok znajdował się sklep z alkoholami. Dobrze wiedzieć, pomyślała, ruszając na zielonym świetle.

Przypomniawszy sobie wskazówki Lea, skręciła w Main i skierowała się na zachód. Stożące po obu stronach ulicy budynki sprawiały bardzo solidne wrażenie i niewątpliwie były stare. Zbudowane z cegły i drewna, prawie wszystkie miały urocze, zabudowane ganeczki. Uliczne latarnie wystylizowano na dawne lampy powozowe, chodniki wybrukowane były cegłą. Domy zdobiły wiszące doniczki z pięknymi kwiatami, umocowane na parapetach lub hakach, a także nieruchome przy bezwietrznej pogodzie narodowe flagi i kolorowe transparenty, obwieszczające święta i uroczystości.

Przechodniów było tu niewiele, nieliczne samochody niespiesznie sunęły ulicami. I dobrze, pomyślała Callie. Właśnie tak powinno wyglądać miasteczko na amerykańskiej prowincji.

Dostrzegła kawiarnię, sklep z artykułami metalowymi, niewielką bibliotekę i jeszcze mniejszy antykwariat, kilka kościołów, dwa banki oraz kilka przedsiębiorstw i instytucji, reklamujących swoje usługi małymi, dyskretnymi tablicami i neonami. Zanim dotarła do drugich światel, plan zachodniej części Woodsboro miała już w głowie.

Na skrzyżowaniu skręciła w prawo i wyjechała z miasta. Lasy znowu zbliżyły się do drogi, gęste, cieniste i tajemnicze. Pokonała pierwsze wzniesienie, ujrzała przed sobą góry i już wiedziała, że dotarła na miejsce.

Zwolniła i zjechała na pobocze obok tablicy z napisem:

OSIEDLE MIESZKANIOWE W ANTIETAM CREEK DOLANI SYN,
FIRMA BUDOWLANA

Callie zatrzymała wóz, chwyciła aparat fotograficzny, zarzuciła na ramię niewielką torbę i wysiadła. Rozejrzała się dookoła, badając wzrokiem teren budowy. Działka Antietam Creek była duża i sądząc po wyglądzie wykopanej pod fundamenty ziemi, dość podmokła. Drzewa - stare dęby, wysokie topole i klony rosły głównie od zachodu i południa, na brzegu strumienia, osłaniając Antietam Creek przed wzrokiem ciekawskich. Część działki nie nadawała się do wykorzystania, ponieważ strumień rozlewał się tam szeroko, tworząc małe jezioro. Z mapki, którą naszkicował dla niej Leo wynikało, że jezioro nosi nazwę Oczko Simona.

Callie pomyślała, że chętnie dowiedziałaby się, kim był Simon i dlaczego jezioro nazwano jego imieniem. Po drugiej stronie drogi znajdowała się farma - zniszczone zabudowania gospodarcze, stary dom z kamienia i żardzewiałe, wyraźnie zaniedbane maszyny. Zauważyła dużego brązowego psa, wyciągniętego na ziemi pod rzucającym gęsty cień drzewem. Kiedy poczuł na sobie jej spojrzenie, podniósł się i usiadł, przyjaźnie machając ogonem.

- Nie, nie wstawaj! - odezwała się Callie. - Za gorąco dziś na towarzyskie pogawędki...

Powietrze pulsowało letnią ciszą, na jej niepowtarzalne brzmienie składało się brzęczenie much, szelest poruszanych wiatrem liści i źdźbeł trawy, upał i samotność. Callie podniosła aparat, zrobiła kilka zdjęć i miała właśnie przeskoczyć przez prowizoryczne ogrodzenie, oddzielające ją od terenu budowy, gdy dobiegł ją szum silnika nadjeżdżającego samochodu.

Podobnie jak land - rover, był to wóz z czterokołowym napędem, ale jakże inny od jej ukochanego auta. Samochód, który zatrzymał się na poboczu w pobliżu, należał do tych małych, zgrabnych i, zdaniem Callie, przeznaczonych dla wdzięcznych dziewczynek maszyn, które w ostatnich latach zaczęły powoli wypierać z rynku solidne terenowe auta.

Ten był jaskrawoczerwony, błyszczący i czyściutki, jakby przed chwilą wyjechał z firmowego sklepu.

Kobieta, która z niego wysiadła, wyglądała podobnie - była dziewczęcą, niewątpliwie atrakcyjną i świeżutką. Z falą gładkich, jasnych włosów, ubrana w przewiewne żółte spodnie i top, przywodziła na myśl promień słońca.

- Doktor Dunbrook? - Lana uśmiechnęła się miło.

- Zgadza się. Pani Campbell?

- Tak jest, Lana Campbell. - Kobieta wyciągnęła rękę i z entuzjazmem

potrząsnęła dłonią Callie. - Bardzo mi miło panią poznać. Przepraszam, że musiała pani na mnie czekać, ale miałam drobne komplikacje z pomocą do dziecka...

- Nic nie szkodzi, przyjechałam dosłownie przed chwilą.

- Cieszymy się, że znaleździem z Antietam Greek wreszcie zainteresował się ktoś o pani reputacji i doświadczeniu. Nie, nie. - Lana potrząsnęła głową, widząc uniesione brwi Callie. - Wcześniej nigdy o pani nie słyszałam, przyznaję się od razu. W ogóle prawie nic nie wiem o badaniach archeologicznych, ale uczę się, i to szybko... - spojrzała na odgradzony grubym sznurem fragment terenu. - Kiedy dowiedzieliśmy się, że te kości mają kilka tysięcy lat...

- „My”, to znaczy stowarzyszenie historyczne i przyrodnicze, które pani reprezentuje? - weszła jej w słowo Callie.

- Tak. W tej części okręgu znajduje się kilka miejsc o szczególnym znaczeniu historycznym, ze względu na wojnę secesyjną, wojnę o niepodległość Stanów, kulturę rdzennych mieszkańców Ameryki. - Lana odgarnęła włosy za ucho czubkiem palca i Callie dostrzegła błysk obrączki na ręce. - Towarzystwo Historyczne i Ochrony Przyrody oraz duża grupa mieszkańców Woodsboro i okolicznych terenów od pewnego czasu wspólnie walczą przeciwko budowie tego osiedla. Potencjalne problemy, jakie pojawiają się w wyniku powstania około trzydziestu nowych domów mieszkalnych, a co za tym idzie mniej więcej pięćdziesięciu samochodów, pięćdziesięciorga dzieci, którym trzeba będzie zapewnić godziwe warunki do nauki i...

Callie podniosła rękę.

- Nie musi mnie pani przekonywać, zresztą polityka lokalna to nie moja sprawa. Przyjechałam, żeby dokonać wstępnych oględzin terenu pod wykopaliska, oczywiście za zezwoleniem inwestora, czyli właściciela firmy Dolan, który wyraża chęć współpracy, przynajmniej na razie.

- Nie na długo. - Lana zacisnęła usta. - Dolanowi zależy na doprowadzeniu budowy do końca. Utopił już w tej inwestycji mnóstwo pieniędzy, podpisał nawet umowy sprzedaży na trzy domy, więc sama pani rozumie, że...

- To także nie mój problem - przerwała jej Callie, przeskakując przez płot. - Mogę natomiast zapewnić, że Dolan będzie miał kłopoty, jeżeli spróbuje zablokować czy utrudniać prace wykopaliskowe. Może woli pani poczekać na mnie tutaj? Teren jest błotnisty, zabrudzi pani buty...

Lana zawahała się, smutnym spojrzeniem zmierzyła ulubione sandały i ostrożnie przeszła za Callie na drugą stronę ogrodzenia.

- Powie mi pani coś o całym tym przedsięwzięciu? Co będziecie tutaj

robili?

- W tej chwili zamierzam trochę się rozejrzeć, zrobić zdjęcia, pobrać parę próbek, naturalnie także za zgodą właściciela. - Callie zerknęła na Lane. - Czy Dolan wie, że jest pani tutaj?

- Nie, a gdyby wiedział, na pewno by mu się to nie spodobało. - Lana szybko obeszła góry wykopanej ziemi, starając się dotrzymać kroku towarzyszcze. - Określiliście już wiek kości, prawda?

- Tak... Jezus, Maria, ile osób włóczy się po tym terenie?! Niech pani spojrzy na to gówno... - Zdenerwowana Callie podniosła z ziemi puste opakowanie po papierosach i wetknęła je sobie do kieszeni.

Kiedy zbliżyły się do brzegu jeziora, ich buty zaczęły zapadać się w rozmięklej ziemi.

- Strumień wylewa - mruknęła do siebie Callie. - I to od tysięcy lat... Właśnie dlatego szlam osiada, warstwa po warstwie... - Przykucnęła i zajrzała do dużego zagłębienia, usianego śladami butów. - Zupełnie jakby to była jakaś cholerna atrakcja turystyczna... - wymamrotała, kręcąc głową.

Zrobiła parę zdjęć i z wyraźnym roztargnieniem podała aparat Lanie.

- Będziemy musieli wykonać szczegółowe badania gleby, określić skład i pochodzenie poszczególnych warstw...

- Czytałam o tym - pochwaliła się Lana. - Staram się dowiedzieć jak najwięcej o technice prowadzenia prac wykopaliskowych.

- Doskonale... - Callie wyjęła małą łopatkę z torby i zsunęła się do głębszej na półtora metra dziury.

Zacząła kopać, powoli i metodycznie. Lana stała na krawędzi otworu, przeganiając komary i zastanawiając się, co ma ze sobą zrobić. Spodziewała się, że do Woodsboro przyjedzie ktoś starszy, bardziej doświadczony, pełen entuzjazmu i zaangażowania, chętnie opowiadający fascynujące historie. Ktoś, kto zapewniłby jej mocne wsparcie. Tymczasem miała przed sobą młodą, atrakcyjną kobietę, która sprawiała wrażenie średnio zainteresowanej całą sprawą, trochę cynicznej, i zupełnie obojętnej na znaczenie wykopalisk dla Woodsboro i okolicy.

- Często lokalizujecie takie tereny? - zapytała. - Dzięki przypadkowi?

- Mhmm... Czasami zdarzają się przypadkowe odkrycia, bywa jednak, że znajdujemy coś dzięki działaniu czynników naturalnych, na przykład trzęsieniu ziemi. Pomagają nam też badania geologiczne, prace przy wytyczaniu dróg, zdjęcia wykonywane z lotu ptaka, czujniki instalowane pod powierzchnią ziemi. Istnieje wiele naukowych sposobów określania miejsc, gdzie należy prowadzić wykopaliska, ale przypadek odgrywa wśród nich sporą rolę.

- Więc nie jest to nic niezwykłego... Callie rzuciła jej przelotne spojrzenie.

- Jeżeli macie nadzieję, że uda wam się zainteresować odkryciem opinii publiczną i w ten sposób powstrzymać wielkiego, złego przedsiębiorcę budowlanego, to sposób dokonania odkrycia raczej nie okaże się pomocny. Im dalej postępuje cywilizacja, im więcej budujemy miast, tym częściej znajdujemy pod ziemią dowody istnienia wcześniejszych kultur.

- Ale jeżeli samo miejsce ma historyczne i naukowe znaczenie, to postaramy się wykorzystać nawet i sposób jego odkrycia - oświadczyła Lana.

- Może rzeczywiście... - Callie znowu zaczęła kopać, powoli i ostrożnie.

- Nie zamierzacie sprowadzić tu większego zespołu?

W trakcie rozmowy z doktorem Greenbaumem zrozumiałam, że...

- Sprowadzenie zespołu wymaga pieniędzy, czyli stypendiów, czyli ogromnej papierkowej roboty - odparła Callie. - Leo podejmie decyzję. Na razie koszty pokrywa Dolan, ale to tylko badania wstępne i prace laboratoryjne. Wydaje się pani, że Dolan będzie chciał wyłożyć pieniądze na pełny zespół, sprzęt, kwatery i prace badawcze za cały okres prac wykopaliskowych?

- Nie... - westchnęła Lana. - Nie, nie sędzę. Nie będzie przecież sam kopał pod sobą dołków. Na szczęście mamy trochę funduszy i planujemy dalsze zbiórki.

- Pół godziny temu przejechałam przez część waszego miasteczka, pani Campbell. Założę się, że zbierzecie najwyżej na kilku studentów pierwszych lat archeologii z łopatami i tablicami do oznaczania eksponatów.

Lana zmarszczyła brwi.

- Jestem trochę zaskoczona... - mruknęła. - Myślałam, że ktoś taki jak pani będzie bardziej chętny i gotowy poświęcić czas i energię naszemu projektowi, i ze wszystkich sił postara się uchronić to miejsce przed zniszczeniem.

- Wcale nie powiedziałam, że nie jestem chętna i gotowa. Proszę podać mi aparat. Lana wykonała zniecierpliwiony gest i przysunęła się bliżej, nie zwracając już uwagi na zagłębiające się w błocie sandały.

- Proszę tylko, żeby pani... O, Boże, czy to kość?! Czy to...

- Tak, kość udowa dorosłego osobnika. - W głosie Callie w ogóle nie było słyhać podniecenia, które przecież sprawiło, że krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Ustawiła obiektyw i zrobiła kilka zdjęć pod różnym kątem.

- Zabierze ją pani do laboratorium?

- Nie, zostawię ją tutaj. Gdybym wyjęła ją z tej wilgotnej ziemi, bardzo

szybko by wyszła, co jest zazwyczaj niezwykle szkodliwe. Zanim zaczniemy wydobywać kości z gruntu, musimy przygotować specjalne pojemniki. Natomiast na pewno zabiorę to... - Callie delikatnie wyjęła płaski, ostro zakończony kamień ze ścianki wykopanego otworu. - Proszę mi pomóc...

Lana skrzywiła się lekko, lecz pochyliła się i obiema dłońmi chwyciła brudną rękę Callie.

- Co to jest? - zapytała.

- Czubek dzidy. - Callie przykucnęła, wyjęła plastikową torebkę, schowała do niej kamyk i napisała coś na białej nalepce. - Jeszcze dwa dni temu niewiele wiedziałam o tej okolicy, a już zupełnie nic o jej historii geologicznej, ale ja również szybko się uczę. Callie wytarła dłonie w dzinsy i wyprostowała się.

- Riolit. Tutejsze wzgórza po prostu dyszą tym okresem, a to... - Dotknęła zamkniętego w torebce kamienia. - To mi wygląda właśnie na riolit. Niewykluczone, że w neolicie znajdował się tu obóz, może nawet coś w rodzaju osady, bo w tym okresie ludzie zaczynali się: już osiedlać, uprawiać ziemię i oswajać zwierzęta.

Gdyby była tu sama, zamknęłaby oczy i dokładnie wyobraziła sobie to wszystko.

- Powoli przestawali prowadzić wyłącznie wędrowny tryb życia, chociaż jeszcze do niedawna wydawało nam się to mało prawdopodobne - ciągnęła. - Tak czy inaczej, na podstawie tych bardzo, ale to bardzo wstępnych oględzin mogę powiedzieć, że natrafiliście tu na coś naprawdę podniecającego...

- Wystarczająco podniecającego, żeby wystąpić o fundusze, sprowadzić zespół i rozpocząć prace wykopaliskowe na dużą skalę?

- O, tak... - Callie zmrużyła oczy za herbacianymi szklami i rozejrzała się po polu, zaczynając już planować rozkład stanowisk. - Jedno jest pewne - przez dłuższy czas nikt nie będzie kładł tu fundamentów pod nowe domy. Macie tu jakieś lokalne media? Oczy Lany zabłyśły.

- Tak. Niewielki tygodnik w Woodsboro, dziennik w Hagerstown, małą stację telewizyjną, także w Hagerstown... Reporterzy z telewizji już zajmują się tą historią.

- Podamy im więcej informacji, a potem skontaktujemy się z sieciami ogólnokrajowymi. - Callie, pakując rzeczy, spod oka zerknęła na Lane. Tak, ta prawniczka z pewnością była ładna, no i niewątpliwie bardzo inteligentna. - Założę się, że dobrze wypada pani przed kamerami.

- Oczywiście. - Lana uśmiechnęła się szeroko. - A pani?

- Ja również. Robię piorunujące wrażenie. Dolan jeszcze o tym nie wie,

że popełnił wielki błąd, inwestując w tę działkę, a ten błąd ma korzenie sięgające pięć tysięcy lat wstecz...

- Dolan nie podda się bez walki.

- Więc przegra, pani Campbell. Lana wyciągnęła rękę do Callie.

- Mam na imię Lana. Kiedy zamierza pani udzielić wywiadu, pani doktor?

- Callie. Muszę zadzwonić do Lea i znaleźć sobie jakąś kwaterę. Jaki jest ten motel na obrzeżach miasta?

- Całkiem znośny.

- Świetnie, to mi wystarczy. I daj mi trochę czasu na przygotowanie materiałów. Podasz mi numer, pod którym można cię złapać?

- Komórkowy. - Lana wyjęła z torby wizytówkę i szybko zapisała na niej numer. - Dzwon, kiedy zechcesz, nawet w nocy.

- O której godzinie puszczają tu wieczorne wiadomości? - zapytała Callie.

- O siedemnastej trzydzieści.

Callie zerknęła na zegarek i dokonała pośpiesznej kalkulacji.

- Więc mamy sporo czasu. Jeżeli uda mi się wszystko pozalać, skontaktuję się z tobą przed trzecią.

Odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu. Lana poszła za nią, usiłując dotrzymać jej kroku.

- Będziesz mogła wziąć udział w spotkaniu rady miejskiej?

- Zostawmy te szczegóły Leowi. On radzi sobie z ludźmi znacznie lepiej niż ja.

- Callie, bądźmy przez chwilę feministycznymi szowinistkami...

- Proszę bardzo... - Callie oparła się o płot. - Faceci to świny, których wszystkie myśli i działania dyktuje penis.

- Jasne, co do tego nie ma cienia wątpliwości, ale chodzi mi o to, że ludzi znacznie bardziej zainteresuje młoda, błyskotliwa kobieta archeolog niż facet w średnim wieku, który pracuje w laboratorium.

- I właśnie dlatego to ja udzielię wywiadu telewizji. - Callie zgrabnie przeskoczyła przez płot. - Nie lekceważ jednak umiejętności Lea, który prowadził wykopaliska, kiedy ty i ja nosiliśmy jeszcze pampersy. Drzemie w nim wielka pasja, która naprawdę porusza innych.

- Myślisz, że doktor Greenbaum przyjedzie tu z Baltimore?

Callie odwróciła się, objęła wzrokiem teren budowy. Ładna, płaska łąka, uroczy strumyk, lśniąca jezioro, zielone, tajemnicze lasy... Tak, doskonale rozumiała, dlaczego ludzie pragnęli się tu osiedlać, dlaczego chcieli zamieszkać w pobliżu wody i drzew... Tak było wiele tysięcy lat temu i teraz

także. Tyle że tym razem chętni będą musieli poszukać sobie innego miejsca.

- Oczywiście. Nie ma takiej siły, która mogłaby zatrzymać go w Baltimore. Zadzwoń przed trzecią - powtórzyła obietnicę, wsiadając do rovera.

Ledwo wyjechała na drogę, a już sięgnęła po komórkę i wybrała numer Lea.

- Cześć, Leo! - zawołała, przytrzymując telefon ramieniem i włączając klimatyzację. - Natrafiliśmy tu na żyłę złota!

- Czy to twoja opinia jako wiarygodnego, poważnego pracownika naukowego?

- W ciągu paru minut znalazłam ostrze dzidy i kość, chociaż wcale specjalnie nie szukałam. I to wszystko w dziurze wykopanej ciężkim sprzętem, wydeptanej w tę i z powrotem, zupełnie jakby to był Disneyland, a nie spokojna wieś. Potrzebna nam ochrona, sprzęt, no i przede wszystkim fundusze. I to jak najszybciej, praktycznie na wczoraj.

- Już wystąpiłem o pieniądze i pociągnąłem za odpowiednie sznurki. Możesz wziąć kilkoro studentów z Uniwersytetu Maryland.

- Z ostatniego roku czy młodszych?

- Jeszcze zobaczymy. Uniwersytet chce mieć pierwszeństwo w badaniu wydobytych przedmiotów. Rozmawiałem też z kierownictwem Muzeum Historii Ziemi. Staję na głowie, Blondie, ale będę potrzebował czegoś więcej niż kilku kostek i ostrza dzidy, żeby podtrzymać zainteresowanie sprawą.

- Dostaniesz coś więcej, nie martw się. - Callie się zaśmiała. - Czuję, że mamy tu do czynienia z osadą, słowo daję! A jeśli chodzi o warunki glebowe, to naprawdę trudno wyobrazić sobie lepsze! Możliwe, że ten cały Dolan będzie nam rzucał kłody pod nogi. Lana Campbell, tutejsza prawniczka, jest pewna, że on nie ustąpi, wygląda na to, że chodzi o jakieś lokalne rozgrywki. Chyba będziemy musieli wytoczyć ciężką artylerię. Campbell chce zwołać posiedzenie rady miejskiej... - Callie stęsknionym wzrokiem spojrzała na pizzerię, którą właśnie mijała. - Obiecałam, że weźmiesz w nim udział.

- Kiedy?

- Im szybciej, tym lepiej. Dziś po południu chcę umówić się na wywiad w lokalnej stacji telewizyjnej.

- Trochę za wcześnie na wciąganie do gry środków masowego przekazu, dopiero gromadzimy amunicję, Blondie. Nie chcesz chyba wysypać się z całą historią, zanim opracujemy strategię.

- Jest już środek lata, mamy więc tylko kilka miesięcy, później trzeba będzie zwinąć interes na zimę. Musimy dopuścić do sprawy dziennikarzy i w ten sposób docisnąć Dolana. Jeżeli się nie wycofa, nie pozwoli nam pracować,

odmówi dotowania wstępnych prac i zacznie starać się o podjęcie budowy, wyjdzie na chciwego kretyna, który nie ma żadnego szacunku dla nauki i historii... Callie zaparkowała samochód przed hotelem, poprawiła słuchawkę i sięgnęła po plecak.

- Tak czy owak, na razie niewiele masz dziennikarzom do powiedzenia - zauważył Leo.

- Mogę trochę napompować te informacje, którymi dysponuję. - Zatrzasnęła drzwiczki i podeszła do bagażnika, żeby wyjąć worek ze swoimi rzeczami.

Zarzuciła go na ramię i ostrożnie podniosła pokrowiec z wiolonczelą.

- Zaufaj mi - dodała. - I szybko zmontuj zespół. Wezmę studentów i zlecę im najprostsze prace, by sprawdzić, do czego się nadają. - Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi wejściowe i podeszła do recepcji. - Chcę wynająć pokój, z największym łóżkiem, jakie macie, i w najcichszym punkcie - powiedziała. - Postaraj się zwerbować Rosie - rzuciła do słuchawki. - I Nicka Longa, jeżeli ci się uda. - Wygrzebała z torby kartę kredytową i położyła ją na ladzie. - Będą mogli zamieszkać w tutejszym motelu, na przedmieściu. Właśnie się tu wprowadzam...

- W jakim motelu?

- Nie mam pojęcia, do diabła. Jak nazywa się to miejsce? - zwróciła się do recepcjonistki.

- Gospoda pod Szpakiem.

- Naprawdę? Zabawnie! Gospoda pod Szpakiem, autostrada Maryland numer 34. Daj mi rękę, oczy i giętkie grzbiety do ciężkiej roboty, Leo. Jutro rano zacznę pobierać próbki. Zadzwoń.

Rozłączyła się i wsunęła komórkę do kieszeni.

- Czy można u was zamawiać posiłki do pokoju? - zapytała.

Kobieta za kontuarem wyglądała jak mocno postarzała laleczka i roztaczała wokół siebie upajającą woń lawendy.

- Nie, skarbie, ale nasza restauracja działa od szóstej rano do dwudziestej drugiej. Lepszego śniadania niż u nas nie mogłabyś sobie wymarzyć, na pewno niewiele gorsze od tego, jakie przyrządzała ci mama.

- Gdyby pani знаła moją mamę, toby wiedziała pani, że to niewygórowana obietnica. - Callie zachichotała. - Myśli pani, że znajdzie się tu jakiś kelner lub chłopak z kuchni, który chciałby zarobić dziesiątkę za przyniesienie mi do pokoju hamburgera z frytkami i dietetyczną pepsi? Hamburger mocno wysmażony. Muszę zabrać się do pracy i naprawdę nie mam czasu.

- Moja wnuczka chętnie sobie dorobi. Zajmę się tym. - Kobieta wzięła

dziesięciodolarowy banknot z ręki Callie i podała jej klucz z dużą czerwoną etykietką. - Dałam pani pokój z oknami wychodzącymi na tyły hotelu, numer sześćset trzy. Łóżko jest bardzo szerokie i panuje tam spokój. Tego hamburgera dostanie pani za jakieś pół godziny, w porządku?

- Doskonale, będę wdzięczna.

- Pani... - Recepcjonistka spojrzała na podpis w karcie meldunkowej, usiłując odczytać nazwisko. - Pani Dunbock, tak?

- Dunbrook.

- Dunbrook. Jest pani skrzypaczką?

- Nie, bynajmniej. - Callie się roześmiała. - Zarabiam na chleb, kopiąc w ziemi i grzebiąc się w pyłe. Gram na wiolonczeli - wskazała duży czarny pokrowiec - tylko dla relaksu. Proszę powiedzieć wnuczce, żeby nie zapomniała o keczupie.

O szesnastej, ubrana w czyste oliwkowe spodnie i koszulę khaki, ze świeżo umyтыми i ściągniętymi do tyłu długimi włosami, Callie ponownie pojechała na teren budowy.

Zrobiła szczegółowe notatki, wysłała je pocztą elektroniczną do Lea, a po drodze wstąpiła na pocztę, aby nadać do jego biura niewywołany film.

Włożyła w uszy małe srebrne kolczyki ozdobione celtyckim motywem i poświęciła całe dziesięć minut na wykonanie starannego makijażu. Zespół telewizyjny ustawiał już kamery. Callie zauważyła także Lane Campbell, która trzymała za rękę płowowłosego chłopczyka ze strupami na kolanach, z brudnym podbródkiem, anielską buzią i intensywnie łobuzerskim spojrzeniem.

Dolan, jak zwykle w niebieskiej koszuli z czerwonymi szelkami, stał tuż obok tablicy z nazwą swojej firmy, pogrążony w rozmowie z kobietą, która niewątpliwie była reporterką. Callie nigdy wcześniej nie widziała Dolana, ale była pewna, że to właśnie on, ponieważ zdradzał go bardzo niezadowolony wyraz twarzy. Zatrzymał ciężkie spojrzenie na Callie i natychmiast ruszył w jej kierunku.

- Pani nazywa się Dunbrook?

- Doktor Callie Dunbrook. - Callie obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Zdarzało się już, że mężczyźni topnieli jak świeży śnieg pod wpływem jej uroku, lecz Dolan najwyraźniej należał do odpornych.

- Co się tu dzieje, do diabła? - Wymierzył wskazujący palec w jej klatkę piersiową, ale na szczęście jej nie dźgnął.

- Lokalna stacja telewizyjna prosiła o wywiad, a ja zawsze staram się współpracować ze wszystkimi zainteresowanymi stronami. - Callie, nadal z

uśmiechem, dotknęła jego ramienia, jakby byli dobrymi znajomymi. - Panie Dolan, ma pan wielkie szczęście. Społeczność archeologów i antropologów nigdy o panu nie zapomni. Wiele następnych pokoleń pozna pana nazwisko podczas wykładów. Mam tu kopię mojego wstępnego raportu... - Podała mu cienką teczkę. - Z przyjemnością wytłumaczę wszystko, co wyda się panu niejasne. Spora część raportu zawiera dane i określenia techniczne. Czy skontaktował się już z panem przedstawiciel Narodowego Muzeum Historii Ziemi z Instytutu Smithsonianańskiego?

- Co takiego? - Dolan spojrział na teczkę takim wzrokiem, jakby Callie włożyła mu do ręki żywego węża. - Słucham?

- Chciałabym uścisnąć pańską dłoń. - Mocno potrząsnęła dłonią Dolana.

- I podziękować panu za rolę, jaką odegrał pan w tym niezwykłym odkryciu...

- Zaraz, zaraz, niech no mnie pani posłucha...

- Z przyjemnością zaproszę pana wraz z małżonką i całą rodziną na uroczysty obiad, oczywiście przy pierwszej nadarzającej się okazji. - Wciąż się uśmiechała, kilka razy nawet załopotowała rzęsami. Robiła wszystko, byle tylko nie dopuścić Dolana do głosu. - Niestety, obawiam się, że w następnych tygodniach będę bardzo zajęta. A teraz przepraszam, muszę załatwić to do końca... - Wymownym gestem położyła rękę na sercu.

- Udzielanie wywiadów zawsze przyprawia mnie o tremę. - Zaśmiała się nerwowo. - Jeżeli będzie pan miał jakieś pytania co do tego raportu lub następnych, jakie będę panu przekazywała, jakiegokolwiek pytania, proszę pamiętać, że i ja, i doktor Greenbaum jesteśmy do pańskiej dyspozycji. Większość czasu będę teraz spędzała tutaj, na tym terenie, więc łatwo mnie pan znajdzie...

Dolan podjął kolejną próbę wykrztuszenia kilku słów, lecz Callie już odeszła.

- Sprytnie... - wymamrotała Lana. - Bardzo sprytnie.

- Dzięki. - Callie przykucnęła i zajrzała chłopcu w oczy. - Cześć! Jesteś reporterem?

- Nie! - W jego zielonych jak mech oczach zatańczyły ogniki. - To pani będzie występować w telewizji, tak? Mama pozwoliła mi popatrzeć.

- Tyler, to doktor Dunbrook, pani archeolog, która zajmuje się badaniem bardzo, bardzo starych przedmiotów.

- Kości i różnych takich rzeczy - uściślił Tyler. - Zupełnie jak Indiana Jones. Dlaczego nie masz takiego bata jak Indiana?

- Zostawiłam go w motelu.

- Aha... Widziałaś kiedyś dinozaura?

Callie doszła do wniosku, że chłopcu pomieszały się różne filmy i

mrugnęła do niego z rozbawieniem.

- Jasne. Widziałam kości dinozaurów, ale to nie moja specjalność. Ja wolę ludzkie kości. - Uspokajająco ścisnęła jego ramię. - Założę się, że masz w swoim pokoju kości jakichś dinozaurów! Poproś mamę, żeby jeszcze kiedyś cię tu przywiozła, to pozwolę ci pogrzebać w ziemi. Może znajdziesz coś ciekawego...

- Naprawdę? Mógłbym? Och, naprawdę?! - Tyler kilka razy podskoczył i szarpnął Lane za rękę. - Proszę, mamusiu, proszę...

- Skoro doktor Dunbrook mówi, że możesz... Miło z twojej strony. - Lana uśmiechnęła się do Callie.

- Lubię dzieci. - Callie się wyprostowała. - One jeszcze nie umieją zamykać się na różne możliwości. No, dobrze, do roboty... - Delikatnie potargała jasne włosy chłopca. - Do zobaczenia później, Ty - Rex.

Suzanne Cullen wypróbowała właśnie nowy przepis. Jej kuchnia była w równym stopniu naukowym laboratorium, co ciepłą domową przystanią. Kiedyś piekła ciasta, ponieważ sprawiało jej to przyjemność i uważała, że jest to coś, co powinna robić dobra pani domu. W tamtym okresie często się śmiała, kiedy znajomi powtarzali, że powinna otworzyć własną piekarnię.

Była przecież żoną i matką, nie kobietą interesu. Nigdy nie miała aspiracji, aby robić karierę.

Później robiła wypieki, żeby uciec od bólu i rozpacz, aby zająć się czymś, oderwać od wyrzutów sumienia i lęków. Odgrodziła się od rzeczywistości warstwą ciasta i kruszonki, i koniec końców okazało się to bardziej skuteczną terapią niż wizyty u psychologa, modlitwa i publiczne wystąpienia.

Kiedy jej życie, małżeństwo i cały świat się rozpadły, pieczenie ciast pozostało jedynym stałym aspektem egzystencji. I nagle Suzanne zapragnęła czegoś więcej. Potrzebowała czegoś więcej.

Firma cukiernicza Suzanne's Kitchen narodziła się w zwyczajnym, niewyróżniającym się niczym szczególnym pomieszczeniu w czystym małym domu, dosłownie o rzut beretem od tego, w którym się wychowała. Początkowo sprzedawała swoje wyroby tylko na rynku lokalnym i wszystko robiła sama - sama kupowała produkty, planowała, piekła, pakowała i dostarczała ciasta do sklepów.

Przez pięć lat popyt na jej wypieki wzrósł do tego stopnia, że mogła zatrudnić pracowników, kupić półciężarówkę i zacząć sprzedawać ciasta w całym okręgu.

W ciągu następnych pięciu lat weszła na rynek ogólnokrajowy.

Chociaż wypiekaniem, pakowaniem, dystrybucją i reklamą jej ciast zajmowały się teraz różne działy firmy, Suzanne nadal lubiła spędzać czas w swojej kuchni i obmyślać nowe przepisy. Mieszkała w dużym domu na zboczu łagodnego wzniesienia, osłoniętego skrzydłem lasu od strony drogi. Zupełnie sama.

Kuchnia była duża i słoneczna, z długimi, niebieskimi blatami, z czterema profesjonalnymi piekarnikami i dwiema doskonale zaopatrzonymi spiżarniami. Szerokie drzwi wychodziły na patio o ściętym, przeszklonym dachu i na kilka ogrodów, w których Suzanne mogła zażywać świeżego powietrza, jeśli miała na to ochotę. Pod wielkim oknem, umieszczonym we wnęce, stała miękka kanapa i wygodny fotel, na wypadek gdyby chciała odpocząć, oraz małe centrum komputerowe, gdyby uznała, że musi zapisać nowy przepis lub sprawdzić jeden z już znajdujących się na twardym dysku.

Było to największe pomieszczenie w całym domu i Suzanne mogła nie opuszczać go przez cały dzień.

Miała pięćdziesiąt dwa lata i była bardzo bogatą kobietą, która mogłaby mieszkać w dowolnie wybranym miejscu na świecie i robić wszystko, czego dusza zapagnie, lecz ona chciała nadal piec swoje ciasta i mieszkać w rodzinnym miasteczku.

Dzisiaj włączyła wbudowany w ścianę wielki telewizor i nuciła cicho, jednocześnie oglądając program i ubijając w misce jajka ze słodką śmietanką. Kiedy usłyszała sygnał serwisu informacyjnego, który zaczynał się o siedemnastej trzydzieści, przerwała pracę, aby nalać sobie kieliszek wina. Spróbowała kremu, który właśnie mieszała, przymknęła oczy i popadła w zamyślenie, zastanawiając się, czy połączyła składniki we właściwych proporcjach.

Dodała łyżeczkę wanilii, wymieszała, znowu spróbowała i kiwnęła głową. Potem skrupulatnie zanotowała w notatniku ilość dodanej przyprawy.

Gdy prezenter wymienił nazwę Woodsboro, wzięła kieliszek z winem i odwróciła się twarzą do płaskiego ekranu. Zobaczyła panoramiczne ujęcie Main Street i uśmiechnęła się na widok sklepu swojego ojca. Operator pokazał teraz wzgórze i pola pod miastem, natomiast reporter mówił o historii miasteczka i działających w nim stowarzyszeniach historycznych i kulturalnych.

Zainteresowana reportażem, pewna, że teraz autor programu skupi się na niedawnym odkryciu w Antietam Creek, podeszła bliżej. Skinęła głową, myśląc o reakcji ojca na prezentowany program. Na pewno podobałoby mu się, że dziennikarz podkreśla wagę odkrycia i mówi o podnieceniu, jakie ogarnęło naukowców na wieść o ewentualnych dalszych sensacyjnych

wykopaliskach.

Pociągnęła łyk wina. Postanowiła, że zadzwoni do ojca zaraz po zakończeniu programu i niezbyt uważnie słuchała wprowadzenia, jakie poprzedziło wypowiedź doktor Callie Dunbrook.

Kiedy na ekranie ukazała się twarz Callie, Suzanne zamrugła i utkwiała zaskoczone spojrzenie w telewizorze. Podeszła jeszcze bliżej, czując bolesny ucisk w gardle. Jej serce zaczęło bić coraz szybciej. Nie mogła oderwać wzroku od ekranu, nie mogła przestać patrzeć w ciemnobursztynowe oczy pod prostymi liniami brwi. Robiło jej się na przemian to gorąco, to zimno, oddychała ciężko i szybko, jak po długim biegu.

Potrząsnęła głową. W głowie jej szumiało, zupełnie jakby znalazła się tam chmura brzęczących os. Nie słyszała nic innego, patrzyła tylko w całkowitym oszołomieniu, jak szerokie wargi, kryjące lekką wadę zgryzu, poruszają się w rytmie wypowiedzanych słów.

A kiedy te usta uśmiechnęły się, szybko i promiennie, i na twarzy doktor Callie Dunbrook pojawiły się trzy dołeczki, kieliszek wypadł z rozdygotanych palców Suzanne i roztrzaskał się w drobny mak na podłodze u jej stóp.

Suzanne siedziała w salonie na parterze domu, w którym dorastała. Lamy, które jakieś dziesięć lat temu pomogła wybrać matce, stały na serwetkach, które jej babka zrobiła szydełkiem jeszcze przed jej przyjściem na świat.

Kanapa była nowa. Suzanne musiała prawie zmusić ojca do pozbycia się starej, naprawdę bardzo już zniszczonej. Chodniki zwinęto i schowano do skrzyń na lato, a zimowe, grube zasłony ojciec zastąpił przejrzystymi, z tiulu w małe barwne kwiatki. Matka robiła to zawsze tuż przed nadejściem lata, ojciec zaś powtarzał te czynności po prostu z przyzwyczajenia. O, Boże, jak bardzo brakowało jej matki...

Siedziała z rękami mocno splecionymi na kolanach, z pobielającymi knykami przyciśniętymi do brzucha, jakby osłaniała dziecko, które kiedyś nosiła w łonie. Jej twarz przypominała białą kartkę, pozbawioną koloru i wyrazu. Można było odnieść wrażenie, że zużyła cały zapas energii i siły na zwołanie rodzinnego zebrania. Teraz czuła się jak lunatyczka, zawieszona między przeszłością i teraźniejszością.

Douglas siedział na brzegu fotela starszego niż on sam i spod oka obserwował matkę. Była nieruchoma i chłodna jak kamień, i wydawało się, że błądzi myślami gdzieś bardzo daleko.

Mięśnie jego brzucha były równie napięte i splecione jak palce matki.

Powietrze pachniało wiśniowym tytoniem dziadka, który zawsze po

obiedzie wypalał fajkę. Był to ciepły, przyjazny zapach, który zawsze czuło się w tym domu, lecz teraz towarzyszył mu zimny, żółtawy odór stresu Suzanne. Tak, jej napięcie miało zapach, formę, esencję złożoną z lęku i poczucia winy, i wszystko to razem kazało mu wrócić myślami do strasznych, bezradnych dni dzieciństwa, kiedy ten żółty cień w powietrzu towarzyszył wszystkim jego poczynaniom i ogarniał cały świat.

Dziadek Douglasa w jednej ręce ścisnął pilota do telewizora, a drugą dłoń trzymał na ramieniu Suzanne, jakby bał się, że córka lada chwila ucieknie i zniknie raz na zawsze.

- Nie chciałem przegapić tego fragmentu - odezwał się Roger i odchrząknął. - Poprosiłem Douga, aby przybiegł tutaj i nastawił wideo zaraz po tym, jak Lana powiedziała mi, co się wydarzyło. Jeszcze tego nie oglądałem.

Roger zaparzył herbatę. Jego żona zawsze parzyła herbatę, uważała bowiem, że filiżanka tego napoju pomaga w chorobie, zdenerwowaniu i wielu innych nieprzyjemnych przypadłościach. Widok białego imbryka w małej różyczki bardzo go uspokajał, podobnie jak widok dzierganych podstawek pod lampy i przezroczystych zasłon.

- Doug już obejrzał... - dodał Roger.

- Tak, obejrzałem. I przewinałem taśmą na początek.

- Więc...

- Włącz wideo, tato. - Głos Suzanne załamał się, jej ramię zdrząło pod dłonią Rogera. - Od razu...

- Mamo, nie możesz denerwować się z powodu byle...

- Włącz - powtórzyła Suzanne, odwróciła głowę i spojrzała na syna zaczerwienionymi, trochę nieprzytomnymi oczami. - Popatrzcie...

Roger usłuchał. Jego ręka, spoczywająca na ramieniu córki, bezwiednie zacisnęła się i rozluźniła.

- Przewiń ten kawałek... Już, zatrzymaj! - Suzanne z odnowioną energią wyrwała ojcu pilota i nacisnęła guzik. Na ekranie pojawiła się twarz Callie. - Spójrzcie na nią... Boże! Dobry Boże...

- Słodki Jezu... - wymamrotał Roger, zupełnie jakby zaczynał modlitwę.

- Sam widzisz. - Suzanne nieświadomie wbiła palce w jego udo, ani na chwilę nie odrywając oczu od telewizora. Nie mogła ich oderwać. - Sam widzisz. To Jessica. Moja Jessie...

- Mamo... - Serce Douglasa ścisnęło się boleśnie na dźwięk jej głosu. - Ma taki Sam kolor włosów i oczu, ale... Jezu, dziadku, przecież ta prawniczka, Lana, wygląda w gruncie rzeczy bardzo podobnie, a nie jest... Mamo, nie możesz być tego pewna!

- Mogę być pewna! - rzuciła gniewnie. - Popatrz na nią, no, tylko popatrz! - Zatrzymała taśmę, unieruchomiła na ekranie uśmiechniętą Callie. - Ma oczy ojca, prawda? Oczy Jaya, ten sam odcień, ten sam kształt. I moje dołeczki... Trzy, jak ja... I jak moja mama... Tato...

- Podobieństwo jest rzeczywiście duże. - Rogerowi nagle zrobiło się słabo. - Kształt twarzy, rysy... - W gardle czuł rosnącą kulę dziwnej materii, złożonej z przerażenia i nadziei. - Ostatni prawdopodobny portret Jessiki...

- Mam go tutaj! - Suzanne zerwała się na równe nogi, chwyciła teczkę, którą przyniosła ze sobą i wyjęła wykonany techniką komputerową rysunek. - Jessica w wieku dwudziestu pięciu lat...

Douglas także podniósł się z miejsca.

- Myślałem, że przestałaś je zamawiać... Byłem przekonany, że już ich nie dostajesz...

- Nigdy nie przestałam. - Łzy zawisły na jej rzęsach, ale powstrzymała je aktem tej samej żelaznej woli, dzięki której przetrwała ostatnie dwadzieścia dziewięć lat. - Przestałam rozmawiać o tym z tobą, bo widziałam, że wyprowadza cię to z równowagi, ale nigdy nie przestałam szukać. Nigdy nie przestałam wierzyć. Popatrz na swoją siostrę. - Wetknęła mu arkusz papieru do ręki i odwróciła się do telewizora. - Popatrz na nią...

- Mamo, na miłość boską... - Douglas spojrział na wydrukowaną podobiznę i poczuł, jak ból, który trzymał na dystans siłą woli rzewnie mocnej jak u matki, znowu wbija kły w jego serce. Czuł się bezbronny i chory, po prostu chory.

- Widzę podobieństwo - ciągnął. - Brązowe oczy, jasne włosy... - W przeciwieństwie do matki, Douglas nie umiał żyć nadzieją. Nadzieja niszczyła go, pozbawiała siły. - W ilu innych dziewczynach i kobietach widziałas Jessicę? Nie mogę znieść myśli, że znowu się w to pakujesz. Przecież nic o niej nie wiesz! Nie masz pojęcia, ile ma lat, skąd pochodzi... - Ale się dowiem. - Wyjęła fotografię z jego rąk i wsunęła do teczki. - Skoro nie możesz tego znieść, to trzymaj się z daleka. Tak jak twój ojciec...

Suzanne wiedziała, że to, co mówi, jest okrutne. Nie powinna ranić jednego dziecka z rozpaczliwej potrzeby odzyskania drugiego, to było złe, niepotrzebne. Nie wolno było atakować syna, kiedy wciąż jeszcze tuliła do piersi ducha córki, ale przecież Douglas miał wybór, mógł jej pomóc, albo się wycofać. W poszukiwaniu Jessiki Suzanne gotowa była na wszystko i nie mogła pozwolić sobie na stosowanie półśrodków.

- Pogrzebię w internecie. - Głos Douglasa był zimny i cichy. - Znajdę ci jakieś informacje.

- Dziękuję.

- Zrobię to na laptopie, mam go w sklepie. Jest szybki. Prześlę ci wszystko, co zdołam znaleźć.

- Pojadę z tobą.

- Nie. - Douglas potrafił ranić równie szybko i mocno jak ona. - Nie umiem z tobą rozmawiać, kiedy jesteś w takim stanie. Nikt nie umie. Poradzę sobie sam.

Odwrócił się i wyszedł. Z piersi Rogera wyrwało się długie westchnienie.

- Doug martwi się o ciebie, Suzanne. Stanowisz centrum jego świata.

- Nikt nie musi się o mnie martwić. Przyda mi się wsparcie, ale niepokój na pewno mi nie pomoże. To jest moja córka, wiem o tym.

- Może masz rację. - Roger wstał i położył obie ręce na ramionach Suzanne. - Ale Doug jest twoim synem. Nie odpychaj go, kochanie. Nie wolno ci stracić jednego dziecka dlatego, że szukasz tego zaginionego.

- On nie chce uwierzyć, a ja muszę... - Suzanne spojrzała na uśmiechniętą twarz Callie. - Muszę.

Tak, jest w odpowiednim wieku, pomyślał Doug, przeglądając informacje. Lecz fakt, że uwzględniona w oficjalnych danych data jej urodzin przypadała tydzień po urodzinach Jessiki niczego jeszcze nie dowodził.

Matka na pewno uzna to za dowód i zignoruje pozostałe informacje. Doug potrafił odczytać styl życia z suchych faktów. Dzieciństwo spędzone w zamożnym domu wyższej warstwy klasy średniej, w eleganckiej dzielnicy dużego miasta. Jedyne dziecko Elliota i Vivian Dunbrook z Filadelfii. Pani Dunbrook, z domu Humphries, przed ślubem była drugą skrzypaczką w Bostońskiej Orkiestrze Symfonicznej. Wraz z mężem i maleńką córeczką przeniosła się do Filadelfii, gdzie mąż rozpoczął pracę jako chirurg w jednym z większych szpitali.

Wszystko to razem oznaczało pieniądze, klasę, głębokie zainteresowanie sztuką i nauką. Dziewczyna dorastała w uprzywilejowanym środowisku, z pierwszą lokatą ukończyła college Carnegie Mellon, potem obroniła pracę magisterską, a niedawno doktorską. Nie przerywając pracy zawodowej, w wieku dwudziestu sześciu lat wyszła za mąż, dwa lata później rozwiodła się. Nie miała dzieci.

Często współpracowała z zespołem archeologów znanym pod nazwą „Leonard Greenbaum i Wspólnicy”, z Towarzystwem Paleontologicznym oraz z wydziałami archeologicznymi kilku znanych uniwersytetów.

Napisała sporo dobrze przyjętych i przychylnie recenzowanych prac. Doug wydrukował wszystkie informacje, aby później jeszcze raz je przejrzeć, nie ulegało jednak wątpliwości, że doktor Callie Dunbrook jest błyskotliwym,

oddanym swojej pasji archeologiem.

Trudno mu było odnaleźć w tych danych malutkie dziecko, które machało w powietrzu nogami i ciągnęło go za włosy, dostrzegał w nich natomiast młodą kobietę wychowaną przez zamożnych, cieszących się ogólnym szacunkiem rodziców. Wiedział też, że jego matka dostrzeże wyłącznie jej datę urodzenia, nic więcej. Podobnie jak wiele razy w przeszłości.

Czasami, kiedy pozwolił sobie na tę słabość, zastanawiał się, co rozbiło jego rodzinę. Czy był to ten moment, w którym Jessica zniknęła raz na zawsze? Albo nieustępliwość i determinacja, z jaką matka wciąż szukała zaginionej córki...

A może była to chwila, kiedy uświadomił sobie, że szukając Jessiki, matka straciła z oczu jego...

Tak czy inaczej, wszystko wskazywało na to, że żadne z nich nie potrafi żyć w niepewności. Doug postanowił zrobić, co w jego mocy, tak samo jak wiele razy wcześniej. Zapisał dane, utworzył z nich osobny dokument i wysłał matce pocztą elektroniczną. Potem wyłączył komputer i własne myśli. I zatonął w książce.

Nic nie może się równać z początkiem prac wykopaliskowych, z okresem, kiedy wszystko jest jeszcze możliwe i potencjał odkrycia wydaje się nieograniczony. Callie miała teraz do dyspozycji dwoje pełnych zapału studentów trzeciego roku, którzy mogli się okazać bardziej pomocni niż beużyteczni. Na razie byli bezpłatną siłą roboczą, do której uniwersytet dorzucił niewielkie stypendium. Dobre i to... Callie postanowiła brać wszystko, co dają.

Miała dostać Rosę Jordan, geologa, kobietę, którą szanowała i bardzo lubiła, dostęp do laboratorium Lea oraz jego samego jako konsultanta. Wiedziała, że jeżeli jeszcze zdoła ściągnąć Nicka Longa, świetnego antropologa, na pewno wyjdzie na swoje.

Pracowała ze studentami, wykopując próbne otwory, i już postanowiła, że rozszczepiony na dwoje pień dębu na południowo - zachodnim brzegu jeziora będzie centralnym punktem całego terenu.

Teraz przystąpią do wykonywania horyzontalnych i pionowych pomiarów wszystkiego, co znajdowało się na działce.

Poprzedniego wieczoru Callie skończyła kreślenie planu powierzchni i zaczęła dzielić go na liczące jeden metr kwadratowy odcinki.

Dzisiaj mieli ogrodzić je linami i zabrać się do pracy, oczywiście jeżeli zdążą.

Chłodny front atmosferyczny sprawił, że wilgotność powietrza i

temperatura stały się znośne. W nocy padało i ziemia mocno rozmiękła. Buty Callie były zabłocone do kostek, ręce miała brudne, niósł się od niej intensywny zapach potu i olejku eukaliptusowego, którego używała do odstraszenia insektów. Życie jest wspaniałe, pomyślała z lekkim uśmiechem.

Na dźwięk klaksonu podniosła głowę i tym razem uśmiechnęła się szeroko. Od początku wiedziała, że Leo nie wytrzyma długo z dala od nowego terenu. Odłożyła łopatę i jednym skokiem opuściła dół.

- Kopcie dalej - poleciała studentom. - Powoli, bez pośpiechu. Dokładnie przesiewajcie ziemię i na bieżąco róbcie zapiski.

Przedramieniem otarła pot z czoła i poszła na spotkanie Lea.

- W każdej próbce ziemi znajdujemy okrawki kamienia - powiedziała. - Moim zdaniem jesteśmy w obszarze, gdzie zajmowano się łupaniem kamienia. - Wskazała dwoje studentów, którzy kopali i przesiewali ziemię. - Rosie potwierdzi, czy te kawałki pochodzą z okresu riolitu. Sądzę, że właśnie tu robili ostrza strzał, dzid oraz narzędzia. Jeżeli odsłonimy następną warstwę, znajdziemy odrzucone egzemplarze...

- Rosie przyjedzie po południu.

- Świetnie.

- Jak sobie radzą studenci?

- Nieźle. Dziewczyna, Sonia, ma spory potencjał wiedzy i umiejętności, Bob jest zdolny, chętny i pełen zapału, prawdziwego, szczerego zapału. - Lekko wzruszyła ramionami. - Obawiam się, że wkrótce pozbędzie się przynajmniej części tego entuzjazmu... Za każdym razem, gdy wychodzę ze swojej dziury, natykam się na kogoś, kto domaga się krótkiego wykładu na temat tego, co się tu dzieje. Chyba zatrudnię Boba w roli rzecznika... - Spojrzała przez ramię na spoconego chłopaka. - Ma taką szczerą, otwartą twarz, a to zawsze robi dobre wrażenie. Będzie wyjaśniał wszystkim odwiedzającym teren, co tu robimy, czego i w jaki sposób szukamy. Nie mogę co dziesięć minut przerywać pracy, aby bawić się w nawiązywanie stosunków towarzyskich z miejscowymi.

- Jutro ja się tym zajmę. Będziesz miała kilka godzin absolutnego spokoju.

- Doskonale. Poświęcę ten czas na olinowanie odcinków. Przygotowałam już plan, może na niego zerkniesz... - Zerknęła na swojego starego timeksa i przypięła sporządzoną wcześniej listę do korkowej tablicy. - Będą mi potrzebne pojemniki, Leo. Nie chcę, żeby wyciągnięte z tego grzęzawiska kości zaczęły od razu pokrywać się kurzem. Potrzebny mi jest też sprzęt, a także mtrogen i suchy lód. Więcej sit, łopat, łopatek, wiader... I przede wszystkim więcej rąk do pracy.

- Dostaniesz to wszystko - obiecał. - Stan Maryland przyznał ci pierwsze stypendium jako osobie prowadzącej badania archeologiczne w Antietam Creek.

- Naprawdę?! - Chwyciła go za ramiona i roześmiała się z radości. - Naprawdę?! Och, Leo, jesteś moją jedyną miłością! - Z tym wyznaniem głośno cmoknęła go w usta.

- No, właśnie... - Leo poklepał jej brudne dłonie i cofnął się o krok.

Callie była zbyt podniecona i rozradowana, aby zauważyć, że Leo najwyraźniej woli zachować bezpieczny dystans.

- Musimy omówić obecność kolejnego kluczowego członka zespołu - podjął, zerkając na nią nerwowo. - Chciałbym, abyś pamiętała, że wszyscy jesteśmy zawodowcami i to, co tutaj robimy, może mieć ogromne znaczenie dla nauki. Niewykluczone, że zanim zakończymy prace, w ten projekt zaangażują się naukowcy z całego świata. Nie chodzi tu przecież o nasze osobiste sprawy, lecz o wielkie odkrycie...

- Nie wiem, do czego zmierzasz, ale nie podoba mi się ten ton...

- Skarbie... - Leo odchrząknął. - Konsekwencje tego odkrycia dla antropologii mogą okazać się równie ważne jak dla archeologii. Dlatego ty i główny antropolog będziecie musieli wspólnie szefować projektowi...

- O co ci chodzi, na Boga?! - Wyciągnęła butelkę z wodą mineralną z otworu w skórzanym pasie i pociągnęła duży łyk. - Masz mnie za diwę operową, czy co? Bez problemu podzielę się szefowaniem z Nickiem, przecież wiesz o tym. Specjalnie prosiłam właśnie o niego, bo dobrze nam się razem pracuje.

- W tym sęk... - Leo przycichł jak gasnący silnik i uśmiechnął się boleśnie na widok nowych gości. - Nie zawsze możemy dostać to, na czym nam zależy...

Najpierw odebrało jej mowę, potem serce zamarło w niej na widok dużego terenowego wozu, pokrytego demonicznie czarnym lakierem oraz starej półciężarówki, ciągnącej brudną białą przyczepę kempingową. Na ścianie przyczepy namalowany był szczerzący kły doberman oraz jedno słowo: **DIGGER**.

Szarpnęły nią emocje, wiele emocji, różnych i bardzo silnych. Zdławiły jej krtań, ukłuły serce, ścisnęły mięśnie brzucha.

- Callie... Zanim coś powiesz...

- Nie zrobisz mi tego. - Musiała przełknąć ślinę, żeby wydobyć z siebie głos.

- To już załatwione.

- Nie, nie, do cholery! Prosiłam o Nicka!

- Nick jest nieosiągalny, siedzi gdzieś w Ameryce Południowej. Ten projekt wymaga najlepszych ludzi, a Greystone jest najlepszy. - Leo prawie zatoczył się do tyłu, kiedy gwałtownie odwróciła się ku niemu. - I ty dobrze o tym wiesz. Schowaj osobiste uprzedzenia do kieszeni i przyznaj, że tak jest. Digger też jest gwiazdą. Kiedy wspomniałem o nich i o tobie, władze stanowe bez wahania przydzieliły fundusze... Mam nadzieję, że zachowasz się jak zawodowiec.

Callie wyszczerzyła zęby.

- Nie zawsze możemy dostać to, na czym nam zależy! - warknęła.

Obserwowała, jak wyskakuje z terenówki. Jacob Graystone, metr dziewięćdziesiąt, w starym, zniszczonym kapeluszu, którego rondo i główka ledwo trzymały się razem. Spod kapelusza wysypywały się proste, czarne włosy. Biały podkoszulek, wciśnięty pod pasek wypłowiałych, spranych lewisów, okrywał ciało najwyższej jakości.

Długie kości, długie mięśnie, zbrązowiała skóra - rezultat ciągłego przebywania na świeżym powietrzu i jednej czwartej indiańskiej krwi w żyłach, krwi Apaczów... Odwrócił się i wtedy zobaczyła, że jego oczy ukryte są za szklami przeciwsłonecznych okularów. Mimo to bez najmniejszych trudności przypomniła sobie ich odcień, piękną, złamaną szarością zieleń. Dostrzegł ją i rzucił jej uśmiech - arogancki, pewny siebie, sarkastyczny, uśmiech, który doskonale do niego pasował. Miał twarz aż zbyt przystojną, w każdym razie Callie zawsze tak uważała. Ta twarz również składała się z samych drugich kości. Rysy miał regularne i tak ostre, że można by ciąć nimi diamenty, nos prosty, wysuniętą szczękę, naznaczoną poprzeczną blizną.

Krew zaczęła gorączkowo pulsować jej w skroniach. Niedbałym ruchem przesunęła dłonią po łańcuszku na szyi.

- Zrobiłeś mi potworne świństwo, Leo.

- Wiem, że nie jest to idealna sytuacja, zwłaszcza dla ciebie, ale...

- Od kiedy wiedziałeś, że to Graystone zastąpi Nicka? - rzuciła ostro.

Tym razem to Leo z trudem przełknął ślinę.

- Od dwóch dni. Chciałem powiedzieć ci o tym w cztery oczy, myślałem, że on przyjedzie dopiero jutro. Potrzebujemy go tutaj, Callie.

- Pieprzę to! - Wyprostowała się i napięła ramiona, zupełnie jak bokser przed decydującą walką. - Pieprzę to...

Pomyślała teraz, że on nadal porusza się z wielką pewnością siebie, tym cholernym kowbojskim krokiem, który zawsze doprowadzał ją do furii. Jego towarzysz wreszcie wygrzebał się z półciężarówki. Stanley Digger Forbes, sto piętnaście kilogramów brzydoty...

Callie z trudem się powstrzymała, aby znowu nie wyszczerzyć zębów z

wściekłości. Oparła ręce na biodrach i spod zmrużonych powiek patrzyła, jak idą w jej kierunku.

- Graystone... - mruknęła, lekko pochylając głowę.

- Dunbrook... - odparł, unosząc brwi ponad brzegi oprawek okularów. Jego głos brzmiał ciepło i leniwie, przywodził na myśl obrazy pustynnych wydm i szerokich prerii. - Teraz doktor Dunbrook, nieprawdaż?

- Tak jest.

- Gratulacje.

Celowo odwróciła wzrok. Wystarczyło jedno spojrzenie na Diggera, aby jej wargi wykrzywił uśmiech. Digger także się uśmiechał, lecz wyglądał przy tym jak hiena. W jego brzydkiej twarzy koloru skorupy orzecha lśniły małe czarne oczka i złoty ząb. W lewym uchu nosił złote kółko, a spod jaskrawoczerwonej bandany, zawiązanej dookoła głowy, zwisał brudny i cienki jasny warkoczek.

- Hej, Dig, witaj na pokładzie.

- Świetnie wyglądasz, Callie. Wypiękniałaś.

- Dzięki. Ty raczej nie.

W odpowiedzi Digger ryknął gromkim śmiechem.

- Co jest z tą dziewczyną z ładnymi nogami? - zapytał, wskazując podbródkiem pracujących studentów. - Nieletnia czy jak?

Mimo uderzającej brzydoty, Digger słynął z tego, że zawsze otaczała go grupka zachwyconych wielbicielek. Skupiał je wokół siebie równie szybko i triumfalnie jak rozpoczynający mecz najlepszy gracz.

- Nie podrywaj studentek trzeciego roku - ostrzegła żartobliwie. Niewzruszony Digger już zmierzał w kierunku rozkopanych odcinków.

- W porządku - westchnęła Callie. - Ustalmy sobie podstawowe rzeczy...

- Żadnych lekcji uzupełniających? - przerwał jej Jake. - Żadnych miłych pogwarek? Nawet nie zapytasz, co porabiałem od chwili, kiedy nasze drogi się rozeszły?

- Nic mnie nie obchodzi, co porabiałeś od chwili, kiedy nasze drogi się rozeszły. Leo uważa, że jesteś tu potrzebny... - Pomyślała, że później opracuje kilka satysfakcjonujących sposobów zamordowania Lea. - Ja się z nim nie zgadzam, ale już przyjechałeś, więc nie ma sensu się nad tym zastanawiać, a tym bardziej wracać do przeszłości.

- Digger ma rację, świetnie wyglądasz.

- W oczach Diggera świetnie wygląda wszystko, co jest wyposażone w piersi.

- Trudno zaprzeczyć...

Wystarczyło, że ją zobaczył, a już poczuł się jak w środku burzy. W

powietrzu unosił się zapach olejku eukaliptusowego. Nosiła ten sam co zwykle zegarek z metalową bransoletą i ładne srebrne kolczyki, rozpięty guzik bluzki koszulowej odsłaniał wilgotną od potu skórę pięknej szyi. Górną wargę miała odrobinę bardziej wydatną, usta nietknięte szminką. Kiedy pracowała, szkoda jej było czasu na makijaż, lecz zawsze, niezależnie od warunków, w jakich przyszło jej mieszkać, rano i wieczorem nakładała na twarz krem.

I oczywiście zawsze oswajała nowe miejsce, wiała sobie w nim gniazdko. Stawiała na stole aromatyczną świecę, wyjmowała wiolonczelę, coś dobrego do jedzenia, luksusowe mydło i szampon z leciutkim aromatem rozmarynu... Był pewien, że nadal to robi.

Dziesięć miesięcy, pomyślał. Nie widział jej od dziesięciu miesięcy, lecz stale miał przed oczami tę twarz, w dzień i w nocy, choć przecież bardzo starał się wymazać z pamięci jej obraz.

- Słyszałem, że byłaś na urlopie naukowym. - Powiedział to niedbale, usiłując nie zdradzać, co czuje.

- Byłam, ale już nie jestem. Twoim zadaniem jest koordynacja prac w dziedzinie antropologii i zgromadzenie wszystkich szczegółów związanych z projektem zwanym „Antietam Creek”.

Odsunęła się od niego, jakby chciała lepiej się przyjrzeć całemu terenowi, lecz w gruncie rzeczy chodziło jej o coś innego. Niełatwo było patrzeć mu w oczy z pełną świadomością, że oboje uważnie szacują się wzrokiem. Trudno było wracać do wspomnień.

- Sądzę, że mamy tu osadę z okresu neolitu. Wyniki badań już wydobytych ludzkich kości mówią, że liczą one pięć tysięcy trzysta siedemdziesiąt pięć lat, z marginesem plus minus stu lat. Riolit...

- Czytałem raport - przerwał jej, rozglądając się dookoła. - Trafiłaś na gorącą działkę. Dlaczego tu nie ma żadnej ochrony?

- Staram się o to.

- Dobrze. Podczas gdy ty nadal będziesz się starać o ochroniarzy, Digger może rozbić tutaj obóz. Wezmę torbę i oprowadzisz mnie po terenie, a potem zabierzemy się do pracy.

Kiedy ruszył w stronę samochodu, wzięła głęboki oddech i policzyła do dziesięciu.

- Zabiję cię za to, Leo. Na śmierć...

- Przecież pracowaliście już razem, na miłość boską! Więcej, wspólnie osiągnęliście doskonałe wyniki...

- Chcę Nicka, i to jak najszybciej. Chcę Nicka, rozumiesz?!

- Blondie...

- Nie odzywaj się do mnie! Nie teraz! - Zgrzytnęła zębami, odgarnęła

włosy z czoła i wewnętrznie przygotowała się do trudnego zadania.

Fakt, razem pracowało im się znakomicie... I właśnie to dodatkowo utrudnia całą sytuację, pomyślała Callie, biorąc prysznic i zmywając z siebie nagromadzoną w ciągu dnia warstwę kurzu. Pod względem zawodowym oboje stanowili dla siebie wyzwanie i jakoś tak się działo, że dzięki temu doskonale się uzupełniali. Zawsze tak było.

Podziwiała umysł Jake'a, mimo że krył się w środku najtwardszej głowy, jaką znała, oczywiście poza własną. Był elastyczny, błyskotliwy, otwarty na nowe możliwości, na nieprzewidywalne zdarzenia... Jego umysł chwycił najdrobniejsze detale, obrabiał je i budował na nich niesamowite, wspaniałe teorie, które zwykle okazywały się prawdziwe.

Problem polegał na tym, że stanowili dla siebie wyzwanie także i pod względem osobistym. I przez pewien czas... Przez pewien czas i w tej dziedzinie doskonale się uzupełniali.

Tyle że najczęściej walczyli ze sobą niczym para rozwścieczonych psów. A kiedy nie walczyli, spędzali czas w łóżku. Kiedy zaś nie walczyli ze sobą, nie kochali się i nie pracowali... Cóż, wtedy obserwowali się z lekkim zdziwieniem i nie bardzo wiedzieli, co ze sobą zrobić. Tak właśnie było...

Całe to małżeństwo było po prostu śmieszne, teraz świetnie to widziała. To, co wydawało się romantyczne, podniecające i seksowne, obróciło się przeciwko nim w zderzeniu z twardą rzeczywistością. Uciekli od świata i pobrali się, zupełnie jak para szalonych nastolatków, ale co z tego? Małżeństwo stało się polem bitwy, na którym oboje wytyczali linie, jakie nawzajem zawsze byli gotowi przekroczyć.

Oczywiście granice, które wyznaczał Jake, były absurdalne, idiotyczne, natomiast jej granice po prostu racjonalne. Nieważne... Pamiętała, że nie potrafili utrzymać rąk z daleka od siebie, a jej ciało nie mogło zapomnieć dotyku jego dłoni. Nie ulegało jednak wątpliwości, że dłonie Jacoba Graystone'a nie należały do szczególnie wybrednych... Skurwysyn...

Tamta brunetka w Kolorado okazała się ostatnią kroplą. Cycata Veronica o dziecinnym głosiku. Suka...

A kiedy ona, Callie, przedstawiła mu wnioski, do jakich doszła, gdy prosto w oczy powiedziała mu, że jest wstrętnym oszustem, okazał się facetem bez jaj i ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

Jak to on ją nazwał? Och, tak... Callie zacisnęła wargi, nadal czując gorący policzek, jakim były dla niej jego słowa. Nazwał ją dziecinną, nadętą, rozhisteryzowaną samiczką...

Nigdy nie odkryła, który epitet zabolął ją najdotkliwiej, ale całość doprowadziła ją do białej gorączki. Nie mogła przypomnieć sobie reszty

wścieklej kłótni, pamiętała tylko, że zażądała rozwodu i była to pierwsza rozsądna rzecz, jaką zrobiła od chwili, kiedy go poznała. Kazała mu też wynieść się z pokoju i z terenu, gdzie prowadzili prace, w przeciwnym wypadku sama zamierzała to zrobić.

Czy walczył o nią? Nie, do diabła, skądże znowu! Poprosił ją o przebaczenie, przysiągł jej miłość i wierność? Nigdy w życiu!

Odszedł, a razem z nim - cha, cha, co za zbieg okoliczności! - znikła piersiasta brunetka.

Callie wyszła spod prysznic, nadal wściekła, chwyciła jeden z cienkich, małych ręczników, jakie dawano gościom w tym motelu, i zacisnęła dłoń na obrączce, którą nosiła na łańcuszku.

Zdjęła ją, czy raczej ściągnęła z palca w przystępie wściekłości, zaraz po otrzymaniu papierów rozwodowych. Mało brakowało, a wrzuciłaby ją do rzeki Platte, na której brzegu wtedy pracowała.

Niestety, nie potrafiła tego zrobić. Nie była w stanie pozbyć się obrączki, chociaż Jake'a pozbyła się bez trudu... Jake był jedyną porażką w jej życiu.

Powtarzała sobie, że nosi obrączkę, aby pamiętać o tej klęsce i ustrzec się przed następną.

Zdjęła łańcuszek i rzuciła go na komodę. Gdyby Jake zobaczył obrączkę, mógłby pomyśleć, że nigdy nie przeboleła rozstania, albo coś równie głupiego... Był przecież potwornie zarozumiały.

Nie zamierzała myśleć o nim ani chwili dłużej. Będzie z nim pracowała, ale to nie znaczy, że musi o nim myśleć, prawda?

Jacob Graystone był jej osobistą pomyłką, błędem, porażką. Na szczęście tę żalosalną fazę życia zostawiła już daleko za sobą.

Zresztą, on także, nie miała co do tego cienia wątpliwości. Ich naukowy światek był tak mały, że doskonale wiedziała, jak szybko zaczął znowu spotykać się z kobietami.

Bogate amatorki, hobbystki, oto jego styl, pomyślała Callie, z rozmachem wciągając czyste dżinsy. Rozkochane w przystojnych archeologach krezuski o obfitych biustach i pustych głowach. Takie, które dobrze wyglądają u boku mężczyzny i sprawiają, że czuje się on o niebo lepszy, jeśli chodzi o intelekt. Takie lubił. - Pieprzyć go! - wymamrotała, sięgając po świeżą bluzkę.

Zamierzała się dowiedzieć, czy Rosie ma ochotę coś zjeść i postanowiła nie myśleć więcej o Jacobie Graystone.

Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i o mało nie staranowała stojącej za nimi kobiety.

- Przepraszam bardzo. - Wepchnęła klucz do kieszeni. - Czy mogę pani jakoś pomóc?

Gardło Suzanne ścisnęło się boleśnie. Jej oczy wezbrały łzami, kiedy tak wpatrywała się w twarz Callie. Z trudem przywołała uśmiech na wargi i chwyciła torebkę z taką desperacją, jakby było to jej ukochane dziecko. Można powiedzieć, że w pewnym sensie tak właśnie było.

- Nie chciałam pani przestraszyć - powiedziała Callie, zaskoczona milczeniem nieznajomej. - Czy pani kogoś szuka?

- Tak. Tak, szukam kogoś. Pani... Muszę z panią porozmawiać. To bardzo ważne...

- Ze mną? - Callie cofnęła się o krok, zasłaniając sobą drzwi. Ta kobieta wydała się jej odrobinę niezrównoważona. - Przepraszam, ale nie znam pani...

- Wiem, oczywiście... Jestem Suzanne Cullen. Bardzo zależy mi na rozmowie z panią. Proszę poświęcić mi parę minut...

- Jeżeli chodzi o teren wykopaliskowy, to proponowałabym, by odwiedziła nas pani jutro, najlepiej w ciągu dnia. Jedno z nas z przyjemnością wyjaśni pani, na czym polegają prace, ale w tej chwili naprawdę nie mogę... Właśnie wychodzę, umówiłam się z kimś i...

- Pięć minut. Wystarczy pięć minut i na pewno zrozumie pani, dlaczego to takie istotne. Dla nas obu. Proszę o pięć minut, nic więcej...

W głosie kobiety brzmiało tak wielkie napięcie, że Callie cofnęła się do pokoju, nie zamykając drzwi.

- Pięć minut, proszę bardzo - powiedziała. - Czym mogę pani służyć?

- Nie zamierzałam przyjść tutaj dziś wieczorem, chciałam poczekać aż...

Suzanne nosiła się z zamiarem wynajęcia detektywa, kolejnego detektywa. Sądziła, że najlepszym rozwiązaniem będzie poczekać, aż ktoś sprawdzi wszystkie fakty i potwierdzi jej podejrzenia.

- Straciłam już dużo czasu - westchnęła. - Bardzo dużo...

- Proszę usiąść, jest pani strasznie blada. - Callie się zaniepokoiła, pewna, że jej gość lada chwila rozsypie się na kawałki. - Mam wodę mineralną, zaraz przyniosę...

- Dziękuję... - Suzanne usiadła na brzegu łóżka.

Wiedziała, że musi się uspokoić, mówić jasno i zrozumiale, ale pragnęła tylko jednego - chwycić swoją córeczkę w objęcia i tulić ją do siebie tak długo, aż trzydzieści lat zniknie bez śladu. Wzięła z rąk Callie butelkę, wypila łyk wody i opanowała się.

- Muszę zadać pani pytanie, bardzo osobiste i ważne - zaczęła, biorąc głęboki oddech. - Czy jest pani adoptowanym dzieckiem?

- Słucham?! - Callie parsknęła nerwowym śmiechem i gwałtownie

potrząsnęła głową. - Nie! Co to za pytanie, do diaska? Kim pani jest?

- Czy jest pani pewna, że nie została pani adoptowana? Całkowicie pewna?

- Oczywiście! Słodki Jezu! Proszę posłuchać...

- Dwunastego grudnia 1974 roku moja trzymiesięczna córeczka Jessica została wykradziona z wózka w centrum handlowym Hagerstown. - Suzanne mówiła teraz zupełnie spokojnie, nie na darmo w ciągu tych blisko trzydziestu lat wygłosiła tysiące przemówień o zaginionych dzieciach i własnych przeżyciach. - Pojechałam tam z nią, żeby jej trzyletni wówczas brat, Douglas, mógł zobaczyć Świętego Mikołaja. Wystarczyła chwila nieuwagi i było po wszystkim. Jessica znikła. Sprawą natychmiast zajęła się policja, FBI, moja rodzina, przyjaciele, sąsiedzi, cała lokalna społeczność, organizacje specjalizujące się w poszukiwaniu porwanych dzieci. Moja córeczka miała zaledwie trzy miesiące... Nigdy nie udało nam się jej odnaleźć. Ósmego września obchodziłaby dwudzieste dziewiąte urodziny...

- Tak mi przykro... - Rozdrażnienie ustąpiło miejsca współzuciu. - Bardzo mi przykro. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, co przeżyła pani i pani rodzina... Jeżeli jednak sądzi pani, że ja mogę być tą zaginioną córką, to muszę wyprowadzić panią z błędu. Nie jestem nią.

- Powinam chyba coś pani pokazać... - Suzanne powoli otworzyła teczkę, chociaż trudno było jej spokojnie oddychać. - To moje zdjęcie. Miałam wtedy koło trzydziestu lat, mniej więcej tyle, ile pani teraz. Proszę spojrzeć...

Callie niechętnie wzięła fotografię. Spojrzała na nią i po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

- Rzeczywiście, jest pewne podobieństwo - powiedziała. - Takie rzeczy się zdarzają. Widzi pani, może chodzić o podobne dziedzictwo fizyczne, podobną mieszankę genów... Rzekomo każdy ma sobowtóra, kogoś, kto do złudzenia przypomina go pod względem fizycznym. Z naukowych badań wynika, że faktycznie tak jest...

- Widzi pani te dołeczki? Trzy dołeczki, w policzkach i w kąciku warg?

- Suzanne drżącą ręką dotknęła własnych. - Pani także je ma.

- Mam też rodziców. Urodziłam się w Bostonie, 11 września 1974 roku. Mam akt urodzenia i...

- To moja matka. - Suzanne wyjęła następne zdjęcie. - Ona również ma tu koło trzydziestu lat, może trochę mniej, mój ojciec nie jest pewny... Widzi pani, jaka jest pani do niej podobna? A to... To mój mąż. Jego oczy... Ma pani jego oczy, ten sam kształt, ten sam kolor, nawet takie same brwi, ciemne i proste. Kiedy się urodziłaś... Kiedy Jessica się urodziła, od razu powiedziałam, że będzie miała oczy Jaya i rzeczywiście, zaczynały przybierać ten

bursztynowy odcień, gdy ona... Gdy my... O, mój Boże... Kiedy zobaczyłam cię w telewizji, wiedziałam... Wiedziałam.

Serce Callie galopowało jak szalone, czuła się tak, jakby dziki koń zerwał się z więzi w jej piersi, dłonie miała mokre od potu.

- Nie jestem pani córką - zaczęła powoli. - Moja matka ma brązowe oczy. Jesteśmy prawie tego samego wzrostu i budowy. Wiem, kim są moi rodzice, znam historię mojej rodziny. Wiem, kim jestem i skąd pochodzę. Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc...

- Niech ich pani zapyta - powiedziała Suzanne błagalnym tonem. - Proszę spojrzeć im w oczy i zapytać, czy pani nie adoptowali. Jeżeli pani tego nie zrobi, nigdy nie będzie pani do końca pewna, prawda? Jeżeli pani tego nie zrobi, pojedę do Filadelfii i sama zadam im to pytanie. Bo ja wiem, że pani jest moim dzieckiem...

- Niech pani już idzie. - Callie podeszła do drzwi na drżących kolanach. - Niech pani idzie...

Suzanne wstała, zostawiając fotografie na łóżku.

- Urodziłaś się o czwartej trzydzieści pięć rano, w Hagerstown, Maryland, w szpitalu Washington County. Nadaliśmy ci imiona Jessica Lynn.

Wyjęła z teczki jeszcze jedno zdjęcie.

- To kopia fotografii zrobionej zaraz po twoim przyjściu na świat, jeszcze w szpitalu. Widziałaś jakieś swoje zdjęcie z tak wczesnego okresu życia? - Przerwała na chwilę i położyła dłoń na klamce. Drugą pozwoliła sobie lekko musnąć rękę Callie. - Zapytaj ich. Mój adres i numer telefonu są na zdjęciach. Zapytaj ich... - powtórzyła i pośpiesznie wyszła z pokoju.

Rozdygotana Callie zamknęła drzwi i oparła się o nie.

To było jakieś szaleństwo! Ta nieszczęśliwa, smutna kobieta była niespełna rozumu... Strata dziecka pozbawiła ją poczucia rzeczywistości, zresztą nic dziwnego... Na pewno widziała córkę w każdej twarzy, która wydawała jej się choć trochę podobna...

Bardziej niż trochę, szepnął umysł Callie. Jeszcze raz przyjrzała się leżącym na łóżku zdjęciom. Zdecydowanie, niepokojąco podobna.

Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia. Byłoby szaleństwem myśleć, że...

Jej rodzice nie byli złodziejami niemowląt, na miłość boską! Byli dobrymi, kochającymi, interesującymi ludźmi, ludźmi, którzy z całego serca współczuli komuś takiemu jak Suzanne Cullen.

Podobieństwo fizyczne, wiek, to wszystko było jedynie zbiegiem okoliczności. Zapytaj ich...

Jak można zadać takie pytanie własnym rodzicom? Słuchaj, mamó, czy

przed świętami Bożego Narodzenia w 1974 roku nie byłaś przypadkiem w centrum handlowym w Marylandzie? Może robiłaś tam świąteczne zakupy i przy okazji porwałaś niemowlę, co?

- Boże... - Callie przycisnęła dłoń do brzucha. - O, mój Boże...

Ktoś zapukał do drzwi. Odwróciła się gwałtownie i szarpnęła klamkę.

- Mówiłam już, że nie jestem... Czego chcesz, do diabła?

- Wypijemy piwko? - Jake zadzwonił dwiema butelkami, które trzymał za szyjki. - Co powiesz na zawieszenie broni?

- Nie mam ochoty na piwo i nie muszę zawierać z tobą zawieszenia broni. Nie jestem zainteresowana walką, więc zawieszenie broni pozostaje kwestią abstrakcyjną...

- Nie masz ochoty na piwo pod koniec ciężkiego dnia? To zupełnie do ciebie niepodobne...

- Słusznie! - Wyrwała Jake'owi jedną butelkę i kopnęła drzwi. Zatrzasnęłyby je, gdyby nie był taki szybki.

- Hej, staram się okazać ci przyjazne uczucia!

- Postaraj się okazać je komu innemu. Jesteś w tym dobry.

- Ach, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jednak jesteś zainteresowana walką. - Uśmiechnął się.

- Spadaj, Graystone, nie jestem w nastroju. - Odwróciła się do niego plecami i w tej samej chwili zauważyła leżącą na komodzie obrączkę.

Cholera jasna, po prostu wspaniale. Podeszła i szybko ukryła ją w dłoni.

- Callie Dunbrook, którą wszyscy znamy i kochamy, zawsze jest w nastroju do walki. - Jake stanął przy łóżku i spojrzał na zdjęcia, co dało Callie czas na włożenie obrączki i łańcuszka do kieszeni dzinsów. - Cóż to takiego? Oglądasz rodzinne fotografie? Odwróciła się na pięcie, blada jak płótno.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo leżą tutaj, nie zauważyłaś? Kto to jest? Twoja babcia?

Nigdy jej nie poznałem, ale cóż, nie mieliśmy dość czasu, aby zbliżyć się na gruncie rodzinnym... - To nie jest moja babcia! - Callie wyrwała mu zdjęcie z ręki. - Wynocha!

- Zaraz, zaraz, spokojnie! - Leciutko postukał knykciami w jej policzek, przywołując dawny nawyk. - Co się dzieje?

Niepostrzeżenie przełknęła piekące łzy.

- Co się dzieje? - powtórzyła. - To, że chciałabym mieć odrobinę spokoju, a nie mam!

- Dobrze znam tę minę, skarbie. Nie jesteś wściekła na mnie, tylko zdenerwowana. Powiedz, o co chodzi.

Chciała to zrobić. Naprawdę miała ochotę wyrzucić z siebie to

wszystko...

- Nie twoja sprawa. Mam własne życie, nie potrzebuję cię. Jego oczy stały się zimne, twarde.

- Nigdy mnie nie potrzebowałaś. Zejdę ci z drogi, nie martw się. Mam w tym spore doświadczenie, w końcu często musiałem to robić, prawda?

Podszedł do drzwi. Spojrzał na stojący w kącie pokrowiec na wiolonczelę, na płonąca na komodzie świeczkę o zapachu drzewa sandałowego, na oparty na łóżku laptop i otwarte opakowanie chrupek oreos obok telefonu.

- Ta sama stara Callie... - wymamrotał.

- Jake? - Postąpiła krok w jego kierunku, prawie go dotknęła. Mało brakowało, a uległaby pokusie, aby położyć rękę na jego ramieniu i zatrzymać go. - Dziękuję za piwo - powiedziała i ostrożnie zamknęła mu drzwi tuż przed nosem.

Czuła się jak złodziejka. Nieważne, że miała klucz do frontowych drzwi, że знаła każdy dźwięk i zapach sąsiedztwa, każdy kąt dużego, zbudowanego z cegły domu w Mount Holly, bo niezależnie od tego wszystkiego wydawało jej się, że zakrada się tu bezprawnie o drugiej w nocy.

Po wizycie Suzanne Cullen Callie nie mogła się uspokoić. Nie była w stanie jeść, spać ani nawet zatracić się w pracy. W końcu zrozumiała, że oszaleje, siedząc w motelowym pokoju i myśląc o zaginionym dziecku obcej kobiety.

Oczywiście nie wierzyła, że to ona jest tym dzieckiem. Ani przez chwilę. Była jednak naukowcem, badaczem i wiedziała, że dopóki nie uzyska jednoznacznej odpowiedzi na tamto pytanie, będzie w kółko do niego wracała, niczym dziecko, które nie może się powstrzymać, by nie skubać strupa.

Leo nie jest ze mnie zadowolony, pomyślała, zatrzymując samochód na podjeździe domu rodziców. Kiedy zadzwoniła, by mu powiedzieć, że bierze dzień wolny, narzekał, chrząkał i zadawał jej pytania, na które nie mogła odpowiedzieć. Tak czy inaczej, musiała tu przyjechać. Po prostu musiała.

W czasie podróży z Marylandu do Filadelfii przekonała samą siebie, że zdecydowała się na jedyne logiczne rozwiązanie, nawet jeżeli pociągało ono za sobą zjawienie się w domu pod nieobecność rodziców i przejrzenie ich dokumentów w poszukiwaniu dowodu na coś, co przecież było faktem.

Nazywała się Callie Ann Dunbrook, była Callie Ann Dunbrook. W eleganckiej dzielnicy panowała cisza. Callie delikatnie zamknęła drzwiczki samochodu, ale i tak wydawało się jej, że zrobiła to zdecydowanie zbyt głośno. Pies sąsiadów zaczął rozpaczliwie ujaść.

Dom był prawie zupełnie ciemny, przyćmione światło przenikało tylko

przez szyby znajdującego się na pierwszym piętrze saloniku matki. Callie wiedziała, że rodzice włączyli system zabezpieczenia domu, komputerowe czujniki automatycznie zapalały lampy w różnych pomieszczeniach.

Przed wyjazdem do Maine na pewno powiadomili także odpowiednie instytucje, aby nie dowożono im gazet i poczty, i poprosili sąsiadów, by zwrócili uwagę, czy w domu nie dzieje się coś złego.

Moi rodzice są rozsądnymi, odpowiedzialnymi ludźmi, myślała Callie, wchodząc na ganek. Lubią grać w golfa i zapraszać przyjaciół na nieformalne, miłe przyjęcia. Lubią spędzać ze sobą czas i śmieją się z tych samych dowcipów.

Ojciec zawsze zajmował się ogrodem, szczególnie swoimi ukochanymi różami i pomidorami. Matka grała na skrzypcach i kolekcjonowała antyczne zegarki. Ojciec cztery dni w miesiącu bezpłatnie pracował w przychodni i klinice dla ubogich, matka również bezpłatnie dawała lekcje muzyki zaniedbanym dzieciom.

Byli małżeństwem od trzydziestu ośmiu lat i chociaż kłócili się, a czasami złośliwie sobie docinali, na spacerach nadal trzymali się za ręce.

Callie wiedziała, że matka uważa zdanie ojca za decydujące we wszystkich ważnych i mniej ważnych sprawach i doprowadzało ją to do furii. Uważała, że matka jest zbyt uległa, co świadczy o niesamodzielności i słabości. Często się wstydziła, że dopatruje się w matce tych cech, wstydziła się też podejrzeń, iż ojciec umiejętnie usiłuje uzależnić żonę od siebie.

Ojciec wypłacał matce kieszonkowe. Naturalnie, nazywało się to inaczej, oboje utrzymywali, że są to pieniądze na wydatki domowe, ale zdaniem Callie sprowadzało się to do tego samego.

Były to jednak największe wady jej rodziców. A to z pewnością nie czyniło z nich potencjalnych porywaczy niemowląt...

Czując się głupio i bardzo nieswojo, Callie weszła do domu, zapaliła światło w holu i wstukała kod wyłączający alarm przeciw włamaniowemu. Przez chwilę stała nieruchomo, oddychając atmosferą swojego domu. Nie pamiętała już nawet, kiedy ostatni raz była tu zupełnie sama. Chyba ładnych parę lat wcześniej, jeszcze zanim na dobre wyprowadziła się do swojego pierwszego mieszkania.

Poczuła leciutki zapach mydła oliwkowego, który podpowiedział jej, że Sarah, sprzątaczką, która zajmowała się domem od niepamiętnych czasów, była tu w ciągu ostatnich kilku dni. W powietrzu unosił się także mocny i słodki aromat płatków różanych, ulubionego potpourri matki.

Na długim stole pod schodami pyszniły się świeże kwiaty, elegancki letni bukiet. Mama na pewno poleciła sprzątaczkę, aby co jakiś czas zmieniała

kwiaty na świeżo ścięte w ogrodzie. Zawsze uważała, że dom lubi kwiaty, niezależnie od tego, czy ktoś w nim przebywa, czy nie.

Przeszła po matowych kafkach posadzki i wbiegła na pierwsze piętro. Najpierw przystanąła w progu swojego pokoju. To wnętrze miało za sobą kilka wcieleń, od zaprojektowanych przez matkę dziewczęcych różów i falbaneczek, które stanowiły jedno z jej pierwszych wspomnień, poprzez fluorescencyjne, ostre kolory - nieodłączny element wizji świata nastoletniej Callie - aż po nieporządną jaskinię, gdzie przechowywała swój zbiór skamielin, starych butelek, kości zwierzęcych i wszystkiego, co udało jej się wykopać.

Teraz był to elegancki pokój, gotowy przyjąć ją lub jakiegoś innego gościa. Jasnozielone ściany i przejrzyste białe zasłony, śliczna stara pikowana narzuta na dużym łóżku, śliczne drobiazgi, które matka kupowała podczas częstych wypraw do sklepów z przyjaciółkami. Aż do wyjazdu do college'u Callie zawsze spała w tym pokoju, oczywiście nie licząc wakacji, nocy spędzonych u przyjaciółek i pod namiotem, który czasami stawiała na trawniku za domem. Oznaczało to, że niezależnie od kolejnych wcieleń, pokój stanowił część jej osobowości... Tak w każdym razie uważała.

Cofnęła się i korytarzem poszła do gabinetu ojca. Tu zawahała się, patrząc na jego piękne antyczne mahoniowe biurko o lśniącej blacie, na którym widniał tylko bibularz do osuszania papieru i srebrny zestaw pojemników na atrament, tusz i piasek z prawdziwym starym gęsim piórem.

Pamiętała odcień skóry, którą obito stojący za biurkiem fotel, i nagle wyobraziła sobie ojca, jak siedzi w nim, przeglądając katalog ogrodniczy lub medyczny periodyk. Okulary zsunięte na czubek nosa, a włosy, bardzo jasne, tu i ówdzie przetykane srebrzystymi nitkami, opadały na szerokie czoło.

O tej porze roku miałby na sobie koszulę do golfa i płócienne spodnie, skrywające sylwetkę sportowca. Słuchałby muzyki, najprawdopodobniej klasycznej. W końcu na pierwszą randkę dziewczynę, która później została jego żoną, zaprosił właśnie na koncert muzyki klasycznej.

Callie często zaglądała do tego pokoju, z rozmachem siadała na jednym z dwóch wygodnych krzeseł i przerywała ojcu, zasypując go gradem nowych wiadomości, skarg i pytań. Jeżeli był naprawdę zajęty, obrzucał ją długim, chłodnym spojrzeniem znad okularów, po którym bez słowa znikala, aby wrócić trochę później.

Lecz najczęściej przyjmował ją chętnie, z prawdziwą radością i zawsze słuchał uważnie, w skupieniu. Teraz czuła się tu obca, jak nieproszony gość...

Ostro skarciła się w myślach. Nie wolno jej niepotrzebnie roztrząsać nieprzyjemnych aspektów tej sytuacji. Zrobi to, po co przyjechała, to wszystko. Ostatecznie chodzi o jej własne dokumenty, prawda?

Podeszła do pierwszej drewnianej szafy. Nie miała cienia wątpliwości, że wszystko, czego szuka, znajduje się w tym pokoju. Ojciec zajmował się płaceniem rachunków i wszelkimi sprawami finansowymi i przechowywał dokumenty w idealnym porządku. Otworzyła najwyższą szufladę i zaczęła ją przeglądać.

Godzinę później zeszła na dół i zaparzyła dzbanek kawy. Miała ochotę coś zjeść, więc zajrzała do spiżarni i z niewielkich zapasów wybrała opakowanie chipsów ziemniaczanych o niewielkiej zawartości sodu. Żalotne, pomyślała, niosąc tacę na górę. Po co żyć dłużej, skoro, aby osiągnąć ten cel, trzeba się żywić tekturą? Zrobiła sobie dziesięciominutową przerwę przy biurku. Pracowała szybko, więc wszystko razem powinno zająć jej znacznie mniej czasu, niż wcześniej przewidywała. Papiery ojca były naprawdę idealnie uporządkowane. Właściwie już byłaby bardzo blisko końca, gdyby nie to, że natknęła się na kopertę ze swoimi szkolnymi świadectwami i opiniami.

Spacer w głąb przeszłości okazał się ogromną przyjemnością. Przeglądając świadectwa, zaczęła wspominać swoich przyjaciół oraz wykopaliska, które organizowała w szkole podstawowej. Jej kumpel, Donny Riggs, nieźle oberwał od swojej matki za dziury, które wykopali w jej ogrodzie...

Przypomniała sobie pierwszy pocałunek. Nie z Donnym, ale z Joem Torrento, chłopakiem, w którym podkochiwała się jako trzynastolatka. Joe nosił czarną skórzaną kurtkę i kowbojki, wtedy wydawał jej się niezwykle seksowny i niebezpieczny. Niedawno usłyszała, że wykłada biologię w gimnazjum St. Bernadette w Cherry Hill, ma dwójkę dzieci i jest prezesem lokalnego stowarzyszenia rotariańskiego.

A jej najlepsza przyjaciółka i sąsiadka, Natalie Carmichael? Kiedyś były sobie bliskie jak siostry i powierzały sobie wszystkie tajemnice, lecz potem poszły do innych college'ow i chociaż przez ponad rok próbowała podtrzymać przyjaźń, w końcu przestały się kontaktować.

Westchnęła. Szybko doszła do wniosku, że teraz nie czas na nostalgię i zabrała się do przeszukiwania drugiej szafy.

Tu znajdowały się dokumenty medyczne, równie metodycznie poukładane, jak tamte w pierwszej szafie. Przełożyła teczkę matki, ojca i wyjęła swoją. Natychmiast zrozumiała, że właśnie od tego powinna była zacząć. Pewna, że bez trudu znajdzie tu dowód, o jaki jej chodziło, usiadła i otworzyła teczkę.

Zauważyła poświadczenia szczepień, wyniki prześwietlenia i opis złamania kości ramienia, którego doznała w wieku dziesięciu lat, kiedy spadła z drzewa. Lekarski zapis usunięcia migdałków, dokonanego w czerwcu 1983

roku. Krótką wzmiankę o palcu wybitym w czasie meczu koszykówki, gdy miała szesnaście lat.

Przebiegła wzrokiem następne kartki. Ojciec zachował nawet wyniki ogólnych badań, które robiła co roku, do czasu, kiedy wyprowadziła się z domu. Jezu, były tu nawet wyniki badań ginekologicznych... - Tato, to krepujące... - wymamrotała.

Dotarła do końca. A potem ułożyła wszystkie papiery w poprzednim porządku i przejrzała je drugi raz. Teraz wiedziała już na pewno, że nie ma tu wystawionego przez szpital aktu urodzenia. I żadnych śladów badań pediatrycznych, przeprowadzanych w pierwszych trzech miesiącach życia.

Oczywiście, to jeszcze nic nie znaczyło... Dotknęła ręką klatki piersiowej. Miała przyspieszony oddech, serce biło szybciej i mniej równo niż przed chwilą. Po prostu ojciec odłożył te dokumenty gdzie indziej, może w osobnej teczce zatytułowanej „Callie - okres niemowlęcy”... Albo dołączył je do teczki matki...

Ależ tak, naturalnie! Trzymał je razem z wynikami badań matki z okresu ciąży, było to zresztą zupełnie logiczne - ciąża, poród, połóg i pierwsze trzy miesiące życia dziecka...

Aby dowieść sobie samej, że wcale nie czuje niepokoju, nalała jeszcze trochę kawy i wypila ją, zanim podniosła się z fotela, aby odłożyć na miejsce swoje dokumenty i wziąć teczkę matki.

Nie chciała, nie mogła mieć wyrzutów sumienia, że zagląda do nie swoich papierów. Chodziło przecież tylko o to, aby położyć kres tej całej sprawie, raz na zawsze rozprawić się z podejrzeniami. Przejrzała je szybko, nie czytając - niezależnie od wszystkiego były to osobiste sprawy matki.

Znalazła informacje dotyczące pierwszego poronienia, z sierpnia 1969 roku. Wiedziała o nim, podobnie jak o następnym, do którego doszło jesienią 1971 roku. Matka opowiadała jej, jak bardzo była wtedy przygnębiona, w jak głęboką depresję wpadła po stracie drugiego dziecka. I jak wiele znaczyło dla niej urodzenie żywej, zdrowej dziewczynki...

O, proszę, pomyślała z ulgą, tu jest opis trzeciej ciąży. Ginekolog - położnik był zaniepokojony zdiagnozowanym znacznie wcześniej przodozgięciem macicy, które było przyczyną poronień, przepisał odpowiednie leki i spoczynkowy tryb życia na pierwszy trymestr. Ciążę prowadził doktor Henry Simpson. W siódmym miesiącu Vivian spędziła dwa dni w szpitalu z powodu stwierdzonego nadciśnienia oraz odwodnienia wywołanego utrzymującymi się porannymi mdłościami. Lekarze zaordynowali leczenie i wypisali ją do domu.

I na tym, ku zdumieniu Callie, kończyła się dokumentacja ciąży.

Następny zapis dotyczył nadwreżenia nogi w kostce, mniej więcej rok później.

Pośpiesznie przerzuciła wszystkie dokumenty, przekonana, że te najistotniejsze zostały przypadkiem wetknięte między późniejsze badania, ale nie, nie było ich. Zupełnie jakby trzecia ciąża Vivian zakończyła się w siódmym miesiącu...

Wstała, czując, jak jej żołądek zwija się w twardą kulę, i podeszła do szafy. Otworzyła następną szufladę, przejrzała leżące w niej papiery, szukając jakichś badań, lecz nic nie znalazła. Przykucnęła i zacisnęła palce na uchwycie dolnej szuflady. Nie otworzyła jej. Szuflada była zamknięta na klucz.

Znieruchomiała, z ręką na lśniącym mosiężnym kółku. Potem podniosła się, wyprostowała i, nie pozwalając sobie na żadne myśli, poszukała klucza w biurku ojca. Kiedy go nie znalazła, wzięła nóż do rozcinania kopert, przyklękła przed szafą i wyłamała zamek szuflady.

Wewnątrz znalazła długie metalowe pudełko, również zamknięte. Położyła je na blacie biurka i usiadła. Długą chwilę wpatrywała się w nie, powtarzając w duchu życzenie, aby nagle znikło.

Mogła odłożyć je na miejsce, zatrzasnąć szufladę i udawać, że pudełko nie istnieje. Ojciec najwyraźniej uznał, że zamyka w nim coś bardzo osobistego.

Czy miała prawo pogwałcić jego prywatność, przekroczyć granicę tajemnicy?

Jednak czy nie to właśnie robiła, dzień w dzień? Gwałciła tajemnice zmarłych, obcych, ponieważ wiedza i odkrycie wydawały jej się bardziej święte niż ich sekrety. Czy mogła więc wydobywać z ziemi, badać i oglądać kości nieżyjących, a nie otworzyć pudełka, prawdopodobnie zawierającego fakty dotyczące jej własnego życia?

- Przepraszam - powiedziała głośno i zaatakowała zamek nożem do papieru. Podniosła wieczko i zaczęła czytać.

Nie było trzeciego poronienia, lecz żywe dziecko nie przyszło na świat. Callie zmusiła się, aby przeczytać dokumenty z takim spokojem, jakby to były wyniki badań wykopalisk. W pierwszym tygodniu ósmego miesiąca ciąży płód Vivian Dunbrook zakończył życie w jej macicy. Sztucznymi środkami wywołano poród, w rezultacie którego 29 czerwca 1974 roku Vivian wydała na świat martwą córeczkę.

Diagnoza: spowodowane ciążą nadciśnienie, przyczyna obumarcia płodu.

Przodozgięcie macicy, wada fizyczna, która stała się przyczyną wcześniejszych poronień, oraz wysokie ciśnienie, bezpośredni powód

obumarcia płodu, sprawiają, że kolejną ciążę należy uznać za niebezpieczną dla zdrowia i życia pacjentki.

Przeprowadzona niecałe dwa tygodnie później operacja usunięcia macicy, zalecona przez lekarzy z racji przodozgięcia, całkowicie uniemożliwiła zajście w ciążę. Pacjentka popadła w depresję i została poddana leczeniu.

Szesnastego grudnia 1974 roku państwo Dunbrook adoptowali niemowlę, dziewczynkę, której nadali imiona Callie Ann. Była to prywatna adopcja, zaaranżowana przez prawnika. Opłata za jego usługi wyniosła dziesięć tysięcy dolarów. Poza tym państwo Dunbrook za pośrednictwem wspomnianego adwokata przekazali biologicznej matce dziecka sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Niemowlę (nie wiedziała, dlaczego, ale czuła się lepiej, kiedy myślała o sobie bezosobowo, jako o „niemowlęciu”), zostało zbadane przez doktora Petera O'Malleya, pediatrę z Bostonu, i uznane za całkowicie zdrowe.

Następne badania, tym razem standardowe, przeprowadziła trzy miesiące później doktor Marilyn Vermer z Filadelfii, która prowadziła Callie Ann do dwunastego roku życia.

- Do czasu, kiedy oświadczyłam, że nie będę już chodziła do pediatry...
- wymamrotała, z zaskoczeniem patrząc, jak na kartkach papieru rozpryskuje się duża łza, potem druga i trzecia. - Jezu... O, Jezu...

Gwałtowny ból brzucha zmusił ją do zgięcia się w pół. Siedziała tak długo, z przyciśniętymi do brzucha rękami, ciężko dysząc i czekając, aż kolka ustąpi.

To nie może być prawda... Po prostu nie może... Jak mogłaby uwierzyć, że dwoje ludzi, którzy nigdy, przenigdy jej nie okłamali, nawet w najgłupszej, zupełnie nieważnej sprawie, żyli kłamstwem przez te wszystkie lata... Niemożliwe.

Jednak kiedy wreszcie wyprostowała się, jeszcze raz przeczytała wszystkie dokumenty i zrozumiała, że jest to możliwe. Więcej niż możliwe - pewne.

- Jak to, wzięła dzień wolny, do diabła? - Jake zsunął kapelusz na tył głowy i przeszył Lea surowym, przenikliwym spojrzeniem. - Znaleźliśmy się w punkcie krytycznym, a ona bierze sobie dzień urlopu?!

- Powiedziała, że wydarzyło się coś nieprzewidzianego i musi jechać.

- Co może być ważniejsze od pracy, której się podjęła?!

- Nie chciała powiedzieć. Możesz się wściekać na mnie i na nią, ale obaj wiemy, że takie zachowanie zupełnie do niej nie pasuje. Nam nie trzeba mówić, że ona pracuje zawsze, nawet wtedy, gdy jest chora, wykończona czy

ranna...

- Tak, tak, jasne... Ale mogła prysnąć stąd, bo jest niezadowolona, że ja tu jestem. Takie zachowanie bardziej do niej pasuje, nie uważasz, stary?

- Nie! - odwarknął Leo, a ponieważ sam również był wściekły, podszedł do Jake'a i dźgnął go palcem w pierś, bo był za niski, żeby zbliżyć twarz do jego twarzy. - Doskonale wiesz, że ona nie pogrywa w ten sposób, do cholery! Jeżeli jej nie w smak, że tu przyjechałeś, czy że ja cię sprowadziłem, to na pewno sobie z tym poradzi. Te sprawy nie mają nic wspólnego z projektem. Callie jest profesjonalistką, kocha swoją pracę i jest zbyt uparta, aby przejmować się duperełami!

- No, dobra, masz rację... - Jake wetknął ręce do kieszeni i zapatrzył się na pole, które poprzedniego dnia zaczęli dzielić na odcinki. - Wczoraj wieczorem działo się z nią coś złego.

Widział to na własne oczy, ale zamiast przekonać ją, zmusić, aby powiedziała, co się dzieje, pozwolił, by go odepchnęła. Pozwolił, bo zraniła jego dumę i znowu go wkurzyła. Nielatwo jest porzucić stare przyzwyczajenia.

- O czym ty mówisz, do cholery? - zaniepokoił się Leo.

- Wpadłem do niej i od razu spostrzegłem, że jest zdenerwowana. Minęło parę minut, zanim zrozumiałem, że nie ma to nic wspólnego ze mną. Lubię sobie wmawiać, że wszystko, co ją drażni, dotyczy mnie. Tak czy inaczej, nie chciała powiedzieć, co ją gryzie, ale na łóżku leżały jakieś zdjęcia, chyba rodzinne...

Jake pomyślał, że wszystko, co wie o rodzinie Callie, bez trudu zmieściłoby się na jednej łożnicy. Naprawdę nie było tego dużo.

- Czy zwierzyłyby ci się, gdyby komuś z jej bliskich przydarzyło się coś złego? - zapytał. Leo z namysłem potarł kark.

- Chyba tak... Powiedziała, że ma do załatwienia jakąś bardzo pilną osobistą sprawę. Tylko tyle. I że postara się wrócić dziś wieczorem, a jeżeli nie zdąży, to jutro.

- Ma faceta?

- Słuchaj, Graystone...

- Daj spokój, stary! - Jake zniżył głos, ponieważ doskonale wiedział, że na wykopaliskach plotki rosną jak kwiaty na porządnie nawiezionej grządcie. - Widuje się z kimś czy nie?

- Skąd mam wiedzieć? Nie opowiada mi o swoim życiu uczuciowym.

- Clara wzięłyby ją na spytki i z łatwością wyciągnęła z niej wszystko, czego chciałyby się dowiedzieć. Nikt nie oprze się Clarze, chyba sam wiesz o tym najlepiej. A Clara powtórzyłyby wszystko tobie, swojemu mężowi...

- Jeśli interesuje cię opinia Clary, to, jej zdaniem, Callie nadal powinna

być twoją żoną.

- Naprawdę? - Kącik ust Jake'a uniósł się lekko. - Bystra osoba z tej twojej Clary. Mówiła ci coś o mnie?

Leo przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Clara i ja rozmawiamy o tobie codziennie przy kolacji.

- Chodzi mi o Callie! Pytam, czy Callie coś ci o mnie mówiła, nie Clara!

Przestań kopać mnie w jaja, stary!

- Nie potrafię powtórzyć, co mówiła mi o tobie Callie, ponieważ nie używam takiego języka - oświadczył Leo.

- Bardzo zabawne... - Jake przeniósł spojrzenie zasłoniętych ciemnymi szkłami oczu na jezioro. - Niezależnie od tego, co o mnie powiedziała i co o mnie myśli, będzie musiała zacząć korygować swoją opinię. Jeżeli wpadła w jakieś tarapaty, wyciągnę to z niej, choćby siłą!

- Jeśli tak bardzo interesuje cię jej los i tak się przejmujesz, to dlaczego w ogóle się z nią rozwiodłeś, do diabła?!

Jake wzruszył ramionami.

- Dobre pytanie, stary. Cholernie dobre pytanie... Kiedy znajdę odpowiedź, poznasz ją jako drugi lub trzeci, w porządku? Na razie, mimo braku szefowej zespołu archeologicznego, musimy wziąć się do roboty.

Już dawno przyznał się sam przed sobą, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i to uczucie rzuciło go na kolana. W mgnieniu oka jego życie zyskało cezurę, podzieliło się na dwie części - przed i po poznaniu Callie Dunbrook. Było to przerażające i denerwujące, podobnie jak sama Callie.

Jake miał wtedy trzydzieści lat i żadnych zobowiązań, oczywiście, nie licząc Diggera, i taka kompozycja całkowicie mu odpowiadała, więcej, życzył sobie, aby tak już zostało. Kochał swoją pracę i uwielbiał kobiety, a życie mężczyzny, który potrafi połączyć te dwie sfery, jest po prostu doskonałe.

Nikommu nie musiał się opowiadać, nikomu, a już szczególnie nie miał zamiaru zmieniać stylu życia dla jakiejś wygadanej, złośliwej baby. Boże, jak on kochał to jej wyszczekanie i złośliwość...

Seks okazał się prawie tak samo burzliwy i fascynujący jak ich kłótnie, ale to nie rozwiązywało problemu. W im większym stopniu ją posiadał, tym więcej, bardziej i mocniej jej pragnął. Dała mu swoje ciało, towarzystwo, wyzwanie, jakim był jej błyskotliwy umysł, lecz nie obdarzyła go tą jedną, jedyną rzeczą, która mogła przynieść mu spokój.

Nie obdarzyła go zaufaniem. Nigdy mu nie ufała. Nie wierzyła, że będzie stał u jej boku i brał na barki jej ciężary. A już na pewno nie wierzyła w jego wierność.

Przez wiele miesięcy po tym, jak dała mu kopniaka, pocieszał się, że to

właśnie jej brak zaufania zniszczył ich związek. I przez wiele miesięcy wmawiał sobie, że pewnego dnia Callie zjawi się ni stąd, ni zowąd i będzie błagać, żeby do niej wrócił.

Było to głupie, teraz już mógł to sobie powiedzieć. Callie nigdy o nic nie błagała, podobnie jak on - na tym polegało jedyne podobieństwo między nimi. Czas płynął powoli i Jake zaczął dostrzegać, że może jednak nie wszystko zrobił tak doskonale, jak mógł. I jak powinien.

Naturalnie, ta budząca się świadomość w niczym nie zmieniała faktu, że to Callie ponosiła winę za to, co się z nimi stało, ale jednak stworzyła możliwość spojrzenia na całą sprawę z innej perspektywy...

Nadal iskrzyło między nimi, był tego pewny. Wyczuwał to. Jeżeli badania w Antietam Creek staną się szansą, którą mógłby wykorzystać, nie będzie się wahał ani chwili.

A jeśli chodzi o to, co ją teraz dręczy, to wszystko mu powie. I pozwoli, żeby jej pomógł, nawet jeżeli miałby ją związać i wydobyć z niej tę tajemnicę szczypcami.

Callie nie spodziewała się, że zaśnie, ale o świcie zwinęła się w kłębek na łóżku w swoim dawnym pokoju, przytuliła ramieniem poduszkę, tak jak w dzieciństwie, kiedy była chora lub nieszczęśliwa, i odpłynęła. Zmęczenie fizyczne i emocjonalne przewyciężyło nawet ból głowy i mdłości. Obudziła się cztery godziny później, a raczej obudziło ją trzaśnięcie drzwi i głos matki, wołającej ją z holu.

Przez chwilę znowu poczuła się dzieckiem, zagrzebanym pod kołdrą w sobotni rano. Na śniadanie miała dostać chrupki cheerios ze świeżymi truskawkami i dodatkową porcją cukru, którą zamierzała wsypać do miseczki, kiedy mama odwróci się na sekundę...

Przewróciła się na plecy. Obolałe mięśnie i głowa oraz przygniatający jej piersi ciężar przypomniały, że nie jest już małą dziewczynką, której największym problemem jest zakazane dosłodzenie płatków z owocami.

Była dorosłą kobietą, a problem polegał na tym, że nie miała pojęcia, czym jest dzieckiem...

Powoli opuściła nogi na podłogę i usiadła na brzegu łóżka, chowając głowę w ramionach.

- Callie! - W głosie Vivian, która właśnie weszła do pokoju, brzmiała czysta radość. - Kochanie, nie wiedzieliśmy, że zamierzasz wpaść do domu! Nie masz pojęcia, jak się zdziwiłam na widok twojego samochodu na podjeździe! - Uściskała Callie i pogłaskała ją po głowie. - Kiedy przyjechałaś?

- Wczoraj wieczorem. - Callie nie podniosła wzroku. Nie była jeszcze gotowa, żeby spojrzeć matce w oczy. - Myślałam, że jesteście w Maine...

- Bo byliśmy, ale postanowiliśmy wrócić dzisiaj, nie w niedzielę. Ojciec obsesyjnie niepokoił się o ogród, poza tym w poniedziałek ma dyżur w szpitalu, więc... - Vivian wsunęła dłoń pod podbródek Callie i delikatnie uniosła jej głowę. - Co się dzieje, kochanie? Źle się czujesz?

- Nie, jestem tylko jeszcze trochę zaspana...

Oczy mojej matki są brązowe, pomyślała, ale mają zupełnie inny odcień niż moje. Jej są ciemniejsze, głębsze i idealnie współgrają z różowokremową cerą i wijącymi się jasnopopielatymi włosami...

- Tata też jest? - zapytała, rozcierając czoło.

- Oczywiście. Poszedł sprawdzić, czy nic nie stało się jego sadzonkom pomidorów i zaraz przyniesie resztę rzeczy. Strasznie blado wyglądasz, skarbie...

- Muszę z wami porozmawiać.

Nie jestem gotowa, nie przygotowałam się do tej rozmowy, krzyczał jakiś głos w jej podświadomości. Z wysiłkiem wstała i wyprostowała ramiona.

- Poprosisz tatę, żeby wszedł do domu? Chcę się umyć, ale to potrwa tylko chwilę...

- Co się stało, kochanie? Zaczynam się niepokoić...

- Proszę, mamó... Opluczę twarz zimną wodą i zaraz do was zejdę.

Nie dając Vivian szansy na zaprotestowanie, szybko wyszła z pokoju do łazienki.

Oparła dłonie na brzegach umywalki i zaczęła oddychać powoli i głęboko, ponieważ znowu dopadły ją skurcze żołądka. Puściła zimną wodę, zaczęła chwilę i obmyła nią twarz. Nie spojrzała w lustro. Na to również nie była jeszcze gotowa.

Kiedy schodziła po schodach, Vivian czekała w holu, mocno ściskając dłoń męża.

Ależ on jest wysoki, pomyślała Callie. Wysoki, szczupły i przystojny. I jaką piękną tworzą parę, doktor Elliot Dunbrook i jego śliczna Vivian... Okłamywali ją, oszukiwali ją dzień w dzień, przez całe życie.

- Przestraszyłaś mamę, kochanie. - Elliot objął Callie i przytulił ją do piersi. - Co się stało? Co się dzieje z moją córeczką?

Na dźwięk jego głosu łzy nabiegły jej do oczu.

- Nie spodziewałam się, że wróciście już dzisiaj. - Ostrożnie oswobodziła się z jego objęć.

- Myślałam, że będę miała więcej czasu, aby zastanowić się, co wam powiedzieć. Cóż, zabrakło mi czasu... Musimy usiąść i porozmawiać...

- Masz jakiś kłopot, kochanie?

Callie spojrzała ojcu w oczy, zajrzała mu w twarz i wyczytała w niej

miłość i niepokój, nic więcej.

- Nie wiem, kim jestem - odparła po prostu i przeszła z holu do salonu.

Oto doskonały pokój, pomyślała, stworzony przez ludzi posiadających nienaganny gust i nieograniczone środki. Zadbane, piękne antyki, wygodne krzesła i fotele w głębokich, nasyconych kolorach, które obydwójce lubili, na ścianach urocze, ręcznie tkane kilimy, na komodach i stołach elegancki błysk starych kryształów.

Nad kominkiem rodzinne zdjęcia i portrety, na widok których jej serce ścisnęło się boleśnie.

- Muszę zadać wam pewne pytanie...

Nie, nie mogła zapytać, stojąc plecami do nich. Niezależnie od tego, czego już się dowiedziała i czego jeszcze się dowie, zasługiwali przecież na to, aby odwrócić się do nich przodem i pozwoliła im spojrzeć sobie w twarz. Zrobiła to, biorąc głęboki oddech.

- Muszę zapytać, dlaczego nigdy nie powiedzieliście mi, że jestem adoptowanym dzieckiem.

Z gardła Vivian wydobył się zdławiony okrzyk, zupełnie jakby ktoś z całej siły zacisnął twardą obręcz na jej szyi.

- Kochanie, skąd... - zaczęła, nie panując nad drżeniem głosu i warg.

- Nie zaprzeczajcie, proszę... - Callie z trudem wypowiadała poszczególne słowa. - Proszę, nie róbcie tego... Przepraszam, ale przejrzałam dokumenty... - Spojrzała na ojca. - Włamałam się do zamkniętej szuflady i do metalowego pudełka. Widziałam lekarskie zaświadczenia i dokumenty adopcyjne...

- Elliot...

- Usiądź, Vivian. Usiądź. - Elliot podprowadził chwiejącą się żonę do krzesła i ostrożnie posadził ją. - Nie byłem w stanie ich zniszczyć. - Poglaskał jej policzek z tak przejmującą czułością, jakby była małym, przerażonym dzieckiem. - Nie mogłem tego zrobić, to byłoby złe...

- Ale ukrywanie przede mną prawdy nie było niczym złym, tak? - rzuciła Callie. Elliot bezradnie opuścił ramiona.

- Szczegóły dotyczące twojego pochodzenia nie były dla nas ważne - powiedział. - Nie były...

- Nie obwiniaj ojca - przerwała jej Vivian, sięgając po dłoń Elliota. - Zrobił to dla mnie. Kazałam mu obiecać, że... Kazałam mu przysiąc. Potrzebowałam... - Rozplakała się. Po jej twarzy popłynęły łzy. - Nie chcę, żebyś mnie znienawidziła, błagam... Błagam, kochanie... Stałaś się moim dzieckiem w chwili, kiedy pierwszy raz wzięłam cię na ręce... Nic poza tym nie miało znaczenia...

- Miałam ci zastąpić dziecko, które straciłaś?

- Kochanie... - Elliot niepewnie postąpił krok do przodu. - Nie bądź okrutna...

- Okrutna?

Kim był ten mężczyzna, patrzący na nią z ogromnym smutkiem i gniewem? Kim był jej ojciec?

- Okrutna? - powtórzyła powoli. - Nazywasz mnie okrutną, chociaż dobrze wiesz, co zrobiliście?

- Co zrobiliśmy? - odparł ostro. - Nie powiedzieliśmy ci prawdy. Dlaczego ma to takie wielkie znaczenie? Twoja matka... Twoja matka początkowo potrzebowała złudzenia, iluzji. Była zrozpaczona, niepokieszona, wiedziała, że nigdy nie urodzi dziecka. Potem pojawiła się szansa na adoptowanie ciebie i skorzystaliśmy z niej. Pokochaliśmy cię, kochamy cię, nie dlatego, że jesteś jak nasze dziecko, ale dlatego, że jesteś naszym dzieckiem, naszym własnym dzieckiem...

- Nie mogłam znieść straty tamtego dziecka - wykrztusiła Vivian. - Nie po dwóch poronieniach, nie po tych wszystkich zabiegach, które miały zapewnić zdrowie następnemu dziecku... Nie mogłam znieść myśli, że ludzie będą ci się przyglądać i widzieć w tobie... Sama nie wiem, co... Przeprowadziliśmy się tutaj, żeby zacząć wszystko od nowa. Tylko we troje. Zostawiłam przeszłość za sobą. Przeszłość nie jest w stanie zmienić tego, kim jesteś. Nie zmieni też tego, kim my jesteśmy, ani naszej miłości do ciebie...

- Płacicie za dziecko, kupujecie je na czarnym rynku, przyjmujecie do domu dziecko ukradzione innej rodzime i to niczego nie zmienia?

- O czym ty mówisz? - Policzki Elliota zalał mocny rumieniec. - To podłe! Jak możesz?! Nie zasłużyliśmy na to, niezależnie od tego, co zrobiliśmy!

- Zapłaciliście ćwierć miliona dolarów.

- To prawda. Zdecydowaliśmy się na prywatną adopcję, a w takich sytuacjach pieniądze zawsze przyspieszają załatwienie sprawy. Można powiedzieć, że ten system jest niesprawiedliwy wobec gorzej sytuowanych par, które czekają na adoptowane dziecko, ale to nie przestępstwo! Zgodziliśmy się na tę sumę, uznaliśmy, że biologicznej matce należy się taka rekompensata. To, że wytaczasz takie oskarżenia, podważa sens istnienia rodziny, którą we troje stworzyliśmy. Jak możesz mówić, że kupiliśmy cię, że ukradliśmy cię...

- Nie pytasz, dlaczego przyjechałam, dlaczego przejrzałam wasze dokumenty, dlaczego włamałam się do waszej skrytki z najbardziej osobistymi papierami?

Elliot przeczesał włosy drżącymi palcami i usiadł.

- Nie nadążam za tobą - powiedział cicho. - Oczekujesz ode mnie logicznego rozumowania w chwili, kiedy rzucasz mi to wszystko w twarz? Na miłość boską, Callie...

- Dwa dni temu, wieczorem, do mojego pokoju w motelu przyszła pewna kobieta. Obejrzała w telewizji wywiad, którego udzieliłam na temat prac prowadzonych przez mój zespół. Powiedziała, że jestem jej córką.

- Jesteś moją córką - przemówiła Vivian cichym, mocnym głosem. - Moim dzieckiem.

- Powiedziała, że 12 grudnia 1974 roku ktoś wykradł jej trzymiesięczną córeczkę z wózka - ciągnęła niewzruszenie Callie. - Było to w centrum handlowym w Hagerstown, w stanie Maryland. Pokazała mi swoje zdjęcia i zdjęcia swojej matki, zrobione w wieku, w którym jestem teraz, koło trzydziestki. Rzeczywiście, łączy nas bardzo silne podobieństwo - te same rysy, kolor oczu, włosów, no i te cholerne trzy dołeczki w policzkach i w kąciku ust... Wyjaśniłam jej, że to niemożliwe, bo ja nie zostałam adoptowana, ale okazało się, że się myliłam...

- To nie może mieć nic wspólnego z nami. - Elliot potarł dłonią pierś nad sercem. - To jakieś szaleństwo...

- Ta kobieta jest w błędzie. - Vivian powoli pokręciła głową. - Pomyliła się, to straszne, ale...

- Oczywiście, że się pomyliła. - Elliot znowu ujął rękę żony. - Naturalnie... Załatwialiśmy wszystko przez adwokata - zwrócił się do Callie. - Przez cieszącego się doskonałą opinią prawnika, specjalizującego się w procedurze adopcyjnej. Polecił nam go położnik twojej matki. Przyspieszyliśmy proces adopcji, ale to wszystko. Nigdy nie przyłożylibyśmy ręki do porwania czy do handlu dziećmi, nigdy! Chyba sama też w to nie wierzysz...

Callie popatrzyła na ojca i na matkę, która nie odrywała od niej pełnych łez oczu.

- Nie - powiedziała, czując, jak przygniatający ją ciężar robi się odrobinę lżejszy. - Nie, nie wierzę w to. Porozmawiajmy o tym, co zrobiliście...

Podeszła do siedzącej na krześle Vivian i przykucnęła obok.

- Mamo... - Lekko dotknęła jej ręki. - Mamo... - powtórzyła.

Vivian rzuciła się do przodu, tłumiąc szloch, i chwyciła Callie w objęcia.

Callie poszła zaparzyć kawę, żeby dać rodzicom czas na opanowanie wzruszenia. Byli jej rodzicami, przynajmniej to się nie zmieniło.

Gniew i przekonanie, że została zdradzona, powoli znikwały, traciły na wyrazistości. Jakże mogłyby przetrwać w obliczu rozpaczki matki i bólu ojca?

O ile jednak potrafiła zdławić poczucie zranienia, to w żadnym razie nie mogła pozbyć się potrzeby zrozumienia, zdobycia odpowiedzi na wszystkie dręczące ją pytania.

Niezależnie od tego, jak bardzo ich kochała, musiała wiedzieć.

Zaniosła kawę do salonu. Rodzice siedzieli teraz na kanapie, trzymając się za ręce. Drużyna, pomyślała. Zgrany zespół, jak zawsze.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek będziesz mogła nam wybaczyć... - zaczęła Vivian.

- Wydaje mi się, że nie do końca mnie rozumiecie. - Callie napełniła kubki kawą. Dało to zajęcie jej ręką i umożliwiło skupienie spojrzenia na naczyniach. - Muszę poznać fakty. Dopóki nie widzę wszystkich fragmentów układanki, nie widzę też całego obrazu. Jesteśmy rodziną i nic tego nie zmienia, ale muszę poznać fakty.

- Zawsze miałaś bardzo logiczny umysł - powiedział Elliot. - Zraniliśmy cię.

- W tej chwili to nieważne. - Callie usiadła na podłodze po przeciwnej stronie stołu, krzyżując nogi. - Przede wszystkim muszę zrozumieć... Zrozumieć, jak to było z... Z adopcją. Czy czuliście, że rodzina z adoptowanym dzieckiem jest mniej cenna? Że jesteśmy inni? Gorszi?

- Powstanie rodziny zawsze jest cudem, niezależnie od tego, w jaki sposób się to dzieje - odparł Elliot. - Ty byłaś naszym cudem.

- Ale ukryliście to.

- Przeze mnie... - Vivian zamrugnęła, otarła łzy. - To moja wina.

- Nie ma tu mowy o niczyjej winie - rzekła Callie. - Po prostu opowiedzcie mi, jak to było...

- Chcieliśmy mieć dziecko. - Palce Vivian zacisnęły się na dłoni Elliota. - Z całego serca pragnęliśmy dziecka. Nie umiem ci wytłumaczyć, co czułam po pierwszym poronieniu... Męczyło mnie poczucie straty, smutek, przerażenie i świadomość, że zawiodłam, przegrałam. Lekarz powiedział, żebyśmy jeszcze próbowali, ale że mogę... Że mogę mieć problemy z donoszeniem ciąży. Że jeśli w ogóle zajdę w ciążę, to będę musiała być pod stałą opieką lekarską. I było tak, robiłam wszystko, aby urodzić, a jednak znowu poroniłam. Czułam się... Byłam załamana.

Callie wzięła kubek z kawą i podała go matce.

- Wiem. Rozumiem.

- Przepisali mi leki przeciwdepresyjne. - Vivian uśmiechnęła się blado. - Potem Elliot odzwyczał mi od pigułek. Starł się, żebym ciągle była czymś

zajęta. Razem szukaliśmy ciekawych antyków, chodziliśmy do teatru, wyjeżdżaliśmy na weekendy poza miasto, kiedy tylko mógł się wyrwać ze szpitala. - Przytuliła do policzka ich złączone dłonie. - Wyciągnął mnie z czarnej dziury...

- Matka uważała, że to jej wina, że zrobiła coś, co spowodowało tę katastrofę...

- W college'u często paliłam trawkę.

Callie zamrużyła niepewnie. Nagle poczuła, że jej gardło zaciska się spazmatycznie i wreszcie parsknęła śmiechem.

- Och, mamó, ty zła, występna kobieto...

- Paliłam, naprawdę... - Vivian otarła łzy, kąciki jej ust zadrgały. - Raz zażyłam LSD i miałam dwie przygody, takie na jedną noc...

- Jasne, jasne, to wszystko tłumaczy! Ty rozpustnico! Przechowujesz trawkę w domu?

- Nie! Oczywiście, że nie!

- Całe szczęście! - Callie przechyliła się przez stół i poklepała matkę po kolanie. - Mogłaby nas przecież nakryć policja... Już wszystko wiem - popalalaś i byłaś wyuzdana. W porządku.

- Starasz się mnie rozśmieszyć. - Vivian westchnęła ciężko i oparła głowę na ramieniu męża. - Jest podobna do ciebie, kochany. Silna jak ty. Cóż, potem postanowiłam spróbować jeszcze raz. Elliot chciał jeszcze trochę odczekać, ale ja byłam zdeterminowana, nikogo nie słuchałam. Miałam obsesję na punkcie dziecka. Kłóciliśmy się...

- Martwiłem się o twoją matkę. O jej zdrowie, fizyczne i emocjonalne.

- Elliot zaproponował, żebyśmy zaadoptowali dziecko, przyniósł mi broszury i wszystkie informacje, lecz ja nie chciałam o tym słyszeć. Wszędzie dookoła widziałam kobiety w ciąży, matki z małymi dziećmi... Moje przyjaciółki rodziły dzieci... Dlaczego nie ja? Współczuły mi, litowały się nade mną i to jeszcze pogarszało sprawę.

- Nie mogłem znieść jej rozpaczy. Była zagubiona, nieszczęśliwa...

- Znowu zaszłam w ciążę. Szalałam ze szczęścia. Potem zaczęły mnie nękać mdłości, podobnie jak wcześniej. Codziennie wymiotowałam i w końcu mocno się odwodniłam, ale byłam bardzo ostrożna. Kiedy kazali mi leżeć, leżałam. Tym razem jakoś przetrwaliśmy pierwszy trymestr i wyglądało na to, że będzie dobrze. Czulałam pierwsze ruchy dziecka... Pamiętasz, kochany?

- Tak, pamiętam.

- Kupiłam ubrania ciążowe, zaczęliśmy urządzać dziecienny pokój. Przeczytałam stopy książek o ciąży, porodzie, wychowywaniu dzieci... Miałam za wysokie ciśnienie, w siódmym miesiącu stało się to na tyle poważne, że

trafiłam do szpitala, ale tylko na dwa dni. Nadal wydawało się, że wszystko jest w porządku, do chwili, kiedy...

- Kiedy poszliśmy na badania - podjął Elliot - położnik nie wyczuł tętna płodu. Testy wykazały, że dziecko nie żyje.

- Nie uwierzyłam im. Nie chciałam wierzyć, za żadne skarby świata. Zdawałam sobie sprawę, że dziecko się nie rusza, lecz dalej czytałam książki i snułam plany. Przerywałam Elliotowi w pół słowa, kiedy chciał zacząć rozmowę na ten temat, wpadałam w histerię. Zabroniłam mu mówić komukolwiek o tym, co się stało...

- Lekarze musieli sztucznie wywołać poród.

- To była mała dziewczynka - szepnęła Vivian. - Martwa.

Taka śliczna, taka maleńka... Trzymałam ją w ramionach i wmawiałam sobie, że ona śpi, po prostu zasnęła... Wiedziałam jednak, że się okłamuję i kiedy ją zabrali, zupełnie się załamalam. Brałam leki uspokajające, nasenne i przeciwdepresyjne, żeby jakoś przeżyć. Ja... O, Boże, kiedyś ukradłam parę recept z pieczętką twojego ojca i wykupiłam tabletki nasenne. Poruszałam się jak we mgle, nie wiedziałam, co jest jawą, a co snem, w nocy nie mogłam zasnąć bez tabletki, byłam żywym trupem... Zbierałam siły, aby połknąć wszystkie tabletki i po prostu odejść. - Mamo...

- Była w głębokiej depresji. Niedługo po porodzie przeszła operację, więc straciła nie tylko dziecko, ale i nadzieję, że kiedykolwiek będzie jeszcze mogła zajść w ciążę.

Ile Vivian mogła mieć wtedy lat, pomyślała Callie. Dwadzieścia sześć? Była zbyt młoda, zbyt niedoświadczona, aby tyle wycierpieć...

- Tak mi przykro, mamo...

- Ludzie wciąż przysyłali mi kwiaty - ciągnęła Vivian. - A ja dostawałam mdłości na ich widok. Zamykałam się w dzieciennym pokoju i wciąż od nowa składałam kocyki i niemowlęce ubranka, które z taką radością kupowałam. Nadaliśmy jej imię Alice. Nie chciałam chodzić na cmentarz i nie pozwoliłam Elliotowi wynieść łóżeczka. Żyłam w świecie ułudy, pewna, że dopóki nie pójdę na jej grób, dopóki będę miała te kocyki i ubranka, ona nadal pozostanie blisko mnie...

- Bałem się - wyznał Elliot. - Byłem naprawdę przerażony. Kiedy odkryłem, że Vivian poza przepisanymi lekami bierze jeszcze inne, wpadłem w panikę. Czulem się zupełnie bezradny, nie miałem pojęcia, jak do niej dotrzeć. Odstawienie środków uspokajających nie było żadnym rozwiązaniem. Poprosiłem o radę lekarza, który opiekował się nią w czasie ciąży, a on wysunął propozycję adopcji.

- Nie chciałam słuchać - wtrąciła Vivian. - Na szczęście Elliot zmusił

mnie, żebym usiadła i wysłuchała tego, co miał mi do powiedzenia. Wyłożył mi wszystko w jasny, zrozumiały sposób. Było to coś w rodzaju terapii szokowej. Powiedział, że nie będzie następnej ciąży, nie mamy na co liczyć. Że możemy jakoś urządzić sobie życie, tylko we dwoje, że kocha mnie i nie widzi powodu, byśmy nie mogli być szczęśliwi. Jeżeli chcemy mieć dziecko, to przyszedł czas, aby rozważyć inne możliwości. Przypomniał mi, że jesteśmy młodzi, finansowo niezależni, że jesteśmy inteligentnymi, dobrymi ludźmi, którzy mogą obdarzyć dziecko miłością, dać mu poczucie bezpieczeństwa, dom i przyszłość. Zapytał, czy zależy mi na dziecku, czy na ciąży... Jeśli zależy mi na dziecku, to możemy je mieć, tak powiedział. Zrozumiałam, że zależy mi na dziecku.

- Poszliśmy do agencji, która zajmowała się przeprowadzaniem adopcji, właściwie nawet do kilku - rzekł Elliot. - Wszędzie były długie listy oczekujących. Im dłuższa lista, tym więcej cierpienia dla Vivian...

- To była moja nowa obsesja. - Westchnęła. - Sama przemałowałam ściany w dzieciennym pokoju. Oddałam łóżeczko i kupiłam nowe. Oddałam wszystko, co kupiliśmy dla Alice, żeby to dziecko miało swoje własne rzeczy, przeznaczone tylko dla niego. Znowu oczekiwałam dziecka... Gdzieś na świecie żyło maleństwo, które należało do mnie. Teraz czekaliśmy tylko na chwilę, kiedy wreszcie się odnajdziemy. I każde opóźnienie, każde potknięcie było nową stratą...

- Vivian znowu rozkwitła nadzieją. Nie potrafiłem znieść myśli, że bijący od niej blask zblednie, że jej oczy znowu staną się smutne. Powiedziałem Simpsonowi, jej położnikowi, jak trudno jest nam przyjąć do wiadomości, że proces adopcyjny może potrwać nawet kilka lat, jakie to bolesne i frustrujące. Simpson podał mi nazwisko adwokata, który specjalizował się w prywatnych adopcjach, nawiązując bezpośredni kontakt z biologiczną matką.

- Marcus Carlyle... - mruknęła Callie.

- Tak. - Vivian kiwnęła głową i napiła się kawy. - Marcus Carlyle okazał się wspaniałym człowiekiem, pełnym zrozumienia i współczucia. I oczywiście mógł nam pomóc, w przeciwieństwie do tamtych agencji. Opłata była bardzo wysoka, ale w naszych oczach ta strona całego przedsięwzięcia była zupełnie nieistotna. Carlyle powiedział, że ma klientkę, która nie jest w stanie sama wychować nowo narodzonej córeczki. Młoda, niezamężna dziewczyna, wszystko wydawało się proste i jasne. Miał opowiedzieć jej o nas, kim jesteśmy, nawet z jakich rodzin pochodzimy. Gdyby wyraziła zgodę, Carlyle przekazałby nam dziecko.

- Dlaczego właśnie wam? - zapytała Callie.

- Powiedział, że szukała takich ludzi jak my, ustabilizowanych, wykształconych, bezdzietnych. Podobno chciała skończyć szkołę, potem college, zacząć nowe życie. Wpadła w długi, próbując samodzielnie utrzymać dziecko. Musiała je spłacić i chciała być pewna, że jej córeczkę czeka bezpieczna, dobra przyszłość w domu kochających ją rodziców... - Vivian rozłożyła dłonie. - Obiecał, że skontaktuje się z nami w ciągu kilku tygodni.

- Staraliśmy się tłumić entuzjazm, bo wyglądało na to, że los zaprowadził nas do biura Carlyle'a - wyjaśnił Elliot.

- Zadzwoił osiem dni później, o czwartej trzydzieści po południu. - Vivian postawiła kubek z kawą na stoliku. - Doskonale pamiętam... Grałam na skrzypcach koncert Vivaldiego, próbowałam zatracić się w muzyce, kiedy nagle usłyszałam dzwonek telefonu. I od razu odgadłam, o co chodzi. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale naprawdę odgadłam. Kiedy podniosłam słuchawkę, powiedział: „Gratuluję, pani Dunbrook, ma pani córeczkę”. Rozpłakałam się. Carlyle był taki cierpliwy, tak szczerze uszczęśliwiony... Przyznał się, że dzięki takim chwilom jego praca ma sens...

- Nigdy nie spotkaliście biologicznej matki...

- Nie. - Elliot pokręcił głową. - W tamtych latach nie praktykowało się takich rzeczy. Ludzie, którzy zajmowali się adopcją, podawali rodzicom tylko dane medyczne i ogólne dotyczące pochodzenia. Następnego dnia pojechaliśmy do biura Carlyle'a. Czekala tam na nas pielęgniarka, z tobą na rękach. Spałaś. Zgodnie z przyjętym trybem postępowania, nie podpisywaliśmy żadnych dokumentów do chwili, kiedy cię nam pokazano...

- Spojrzałam na ciebie i natychmiast zrozumiałam, że jesteś moja - powiedziała Vivian. - W ułamku sekundy. Pielęgniarka podała mi cię, wzięłam cię na ręce, wzięłam na ręce moją córeczkę. Nie zastępcze dziecko, nic z tych rzeczy. Trzymałam w ramionach moje dziecko. Moje. Kazałam Elliotowi złożyć uroczystą obietnicę, że nigdy nie będziemy rozmawiać o adopcji, nigdy nie powiemy o tym tobie ani komukolwiek innemu. Bo byłaś naszym dzieckiem...

- Wydawało nam się zupełnie bez znaczenia, że zostałaś adoptowana. - Elliot westchnął.

- Miałaś zaledwie trzy miesiące... Gdyśmy ci powiedzieli, mogłabyś nie zrozumieć, a twoja miłość i obecność była przecież w pewnym sensie niezbędnym warunkiem zdrowia Vivian, która musiała odciąć się od cierpienia i rozczarowań. Tamtego dnia przywieźliśmy do domu nasze dziecko, nic więcej nie miało znaczenia.

- Ale przecież rodzina... - zaczęła Callie.

- Wszyscy niepokoiли się o Vivian nie mniej ode mnie - przerwał jej

Elliot. - I wszyscy byli równie olśnieni tobą, oczarowani i zakochani jak my. Zostawiliśmy przeszłość za sobą i przeprowadziliśmy się tutaj, żeby zupełnie zapomnieć. Nowe miejsce, nowi ludzie... Nikt nas tu nie znał, nikt o niczym nie wiedział, więc po co mieliśmy do tego wracać... Mimo wszystko zatrzymałem całą dokumentację, chociaż Vivian prosiła, abym się jej pozbył. Wydawało mi się, że niszcząc te papiery, zrobiłbym coś złego, więc zamknąłem je w sejfie, odciąłem się od nich, podobnie jak od życia przed twoim przybyciem.

- Kochanie... - Vivian wyciągnęła rękę do córki. Była już znacznie spokojniejsza. - Ta kobieta, ta, która... Skąd możesz wiedzieć, czy to ona... To szaleństwo... Carlyle był ogólnie szanowanym adwokatem. Nie zgłosilibyśmy się do niego, gdyby nie zasługiwał na absolutne zaufanie. Polecił go nam mój ginekolog. Obaj byli - są - współczującymi, prawymi ludźmi o twardych zasadach etycznych. Niemożliwe, żeby byli zaangażowani w handel dziećmi, na miłość boską...

- Wiesz, na czym polega zbieg okoliczności, mamó? Los wyłamuje zamek, żeby można było otworzyć drzwi. Dziecko tej kobiety zostało porwane 12 grudnia. Trzy dni później zadzwonił wasz adwokat i powiedział, że ma dla was córeczkę. Następnego dnia podpisaliście papiery, czek i wróciliście ze mną do domu.

- Nie wiadomo przecież, czy jej dziecko naprawdę zostało wykradzione.

- Vivian nie ustępowała.

- Nie, ale łatwo możemy to sprawdzić. Zrozum, muszę to zrobić. Moi rodzice tak mnie wychowali, że nie mogę zlekceważyć tej informacji...

- Jeżeli uda się potwierdzić fakt porwania... - zaczął Elliot z drżeniem serca. - Jeżeli okaże się, że ta kobieta mówi prawdę, to można przeprowadzić badania, które pozwolą ustalić, czy istnieje... Czy istnieje więź biologiczna...

- Wiem. Zrobię to, jeżeli będzie trzeba.

- Mogę pociągnąć za odpowiednie sznurki, żebyś jak najszybciej dostała wyniki.

- Dziękuję.

- Co zrobisz, jeżeli... - Vivian nie była w stanie dokończyć pytania.

- Nie wiem. - Callie wypuściła powietrze z płuc. - Nie wiem...

Zobaczmy, co się wydarzy. Jesteś moją matką i nic nie może tego zmienić, to pewne. Tato, muszę zabrać te dokumenty i zacząć szukać wszystkich, którzy byli zaangażowani w tę sprawę. Doktora Simpsona, tego Carlyle'a... Pamiętacie może, jak nazywała się pielęgniarka, która przyniosła mnie do biura adwokata?

- Nie. - Elliot potrząsnął głową. - Ale mogę spróbować się dowiedzieć,

co się dzieje z Simpsonem. Mnie będzie łatwiej niż tobie.

- Daj mi znać, kiedy czegoś się dowiesz. Macie numer mojej komórki, a tu jest numer motelu w Marylandzie, w którym się zatrzymałam...

- Musisz już wracać? - zapytała Vivian. - Nie możesz zostać trochę dłużej, kochanie?

- Nie mogę, przykro mi. Kocham was i zawsze będę was kochać, niezależnie od tego, czego się dowiemy, ale ta kobieta... Ona cierpi, nigdy nie przeboleła straty dziecka... Zasługuje na to, żeby poznać prawdę.

Doug nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio był taki wściekły. Z matką po prostu nie dało się rozmawiać, więc w końcu się poddał. Każda próba rozmowy przypominała walenie głową w mur, jakim była jej żelazna wola.

Dziadek również nie okazał się szczególnie pomocny. Poczucie rzeczywistości, rozsądek, wspomnienia niezliczonych rozczarowań w przeszłości - wszystko to w ogóle ich nie wzruszało.

Na dodatek Doug się dowiedział, że matka spotkała się z tą Callie Dunbrook. Poszła do niej do motelu, oczywiście z rodzinnymi zdjęciami, jakże by inaczej... Upokorzyła się, rozdrapała przynajmniej częściowo zasklepione rany, wciągnęła obcą osobę w osobistą tragedię.

Biorąc pod uwagę, jak szybko rozchodzą się plotki w Woodsboro, należało się spodziewać, że wkrótce wszyscy znowu zaczną omawiać historię rodziny Cullenów. W tej sytuacji Doug zdecydował, że powinien zobaczyć się z Callie Dunbrook i poprosić ją, aby nikomu nie wspominała o wizycie jego matki, jeśli już nie jest na to za późno... A także przeprosić ją za zachowanie matki.

Raz po raz zapewniał samego siebie, że wcale nie zamierza jej się przyglądać. Jeżeli o niego chodzi, Jessica odeszła na zawsze i żadne poszukiwania, nadzieje czy życzenia nie mogą sprowadzić jej z powrotem.

Zresztą, nawet gdyby rzeczywiście wróciła, to co z tego? Nie byłaby już Jessica. Jeżeli Jessica żyje, jest teraz inną, obcą osobą, dorosłą kobietą i ma własne życie, które nie ma nic wspólnego z zaginionym dzieckiem Cullenów.

Jakkolwiek na to patrzeć, jego matka będzie znowu cierpiała, lecz nic, co mógł powiedzieć czy zrobić, nie było w stanie jej o tym przekonać. Jessica była Świętym Graalem Suzanne, wielkim, niekończącym się poszukiwaniem, na którym skoncentrowane było całe jej życie.

Doug zaparkował na poboczu drogi, tuż obok ogrodzenia otaczającego teren budowy.

Pamiętał to miejsce - miękką ziemię na polu, ekscytujące leśne ścieżki, kąpiele w jeziorze. Wiele lat temu przyjechał tu w nocy z Laurie Worrell i kiedy zanurzyli się w chłodnej, mrocznej wodzie, prawie zdołał ją namówić,

by rozstała się z dziewictwem...

Teraz pole zryte było wykopanymi dziurami, wszędzie widniały wzgórki czarnej ziemi i napięte, krzyżujące się sznury.

Nie mógł pojąć, dlaczego ludzie nie mogą zostawić przeszłości w spokoju. Kiedy wyskoczył z samochodu i ruszył w stronę ogrodzenia, od grupki zajętych rozmową ludzi oderwał się niski mężczyzna w zabłoconym ubraniu.

- Jak idzie praca? - zapytał Doug, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Bardzo dobrze. - Leo się uśmiechnął. - Interesują pana wykopaliska?

- Cóż... Jak by tu powiedzieć...

- W tej chwili to wszystko sprawia wrażenie potwornego bałaganu, ale wciąż jesteśmy na wczesnym etapie organizacji wykopaliska. Wstępne badania wykazały, że wydobyte przedmioty pochodzą z okresu neolitu. Operator koparki, zatrudniony na budowie osiedla mieszkaniowego, wykopał ludzkie kości sprzed blisko sześciu tysięcy lat i...

- Tak, wiem o tym - przerwał mu Doug, obserwując ludzi pracujących za plecami Lea. - Oglądałem ten reportaż w lokalnej telewizji. Ja... Podobno pracuje tu Callie Dunbrook...

- Doktor Dunbrook jest szefem projektu wykopaliskowego w Antietam Creek i współpracuje z doktorem Graystone'em, antropologiem. W tej chwili dzielimy teren na odcinki - ciągnął Leo, szerokim gestem obejmując cały obszar. - Każdy metr kwadratowy zostanie dokładnie przekopany i otrzyma własny numer referencyjny. Dokumentacja to jeden z najważniejszych etapów. Kopiąc, niszczymy teren, dlatego wyraźne oznaczenie poszczególnych odcinków i utrwalenie ich usytuowania oraz początkowego wyglądu na zdjęciach i papierze umożliwi zachowanie spójności...

- Aha... - Doug miał gdzieś zachowanie spójności terenu i prace wykopaliskowe. - Czy doktor Dunbrook jest gdzieś tutaj?

- Obawiam się, że nie, ale jeżeli ma pan jakieś pytania, ja lub doktor Graystone postaramy się na nie odpowiedzieć.

Doug obejrzał się i przechwycił spojrzenie Lea. Jezu, ten facet wziął go za kretyna, który usiłuje poderwać kobietę tylko dlatego, że zobaczył ją na ekranie telewizora... Postanowił jak najszybciej wyprowadzić go z błędu.

- Całą wiedzę o archeologii czerpię z filmu Indiana Jones. - Uśmiechnął się. - To, co tu widzę, w niczym nie przypomina scen z Harrisonem Fordem...

- Bo w rzeczywistości nasza praca nie jest aż tak dramatyczna, nie ma tu złych faszystów ani ciągłych pościgów, może jednak być równie ekscytująca.

Doug uświadomił sobie, że teraz nie może po prostu odejść. Niski facet

najwyraźniej czekał na pytania i chyba na rozmowę. O, Boże...

- Więc o co w tym wszystkim chodzi? Czego możecie dowieść, badając stare kości?

- Tego, kim byli ich właściciele, czyli kim byliśmy my, ludzie. Dlaczego tutaj zamieszkali, jak wyglądała ich osada. Im więcej wiemy o przeszłości, tym lepiej rozumiemy siebie.

Zdaniem Douga przeszłość to wczorajszy dzień, a przyszłość - jutrzejszy. Najbardziej liczyło się dzisiaj.

- Nie wydaje mi się, żebym miał dużo wspólnego z człowiekiem, który żył tutaj... Zaraz, ile? Sześć tysięcy lat temu, tak?

- Tamten człowiek jadł i spał, uprawiał miłość i starzał się. Chorował, odczuwał zimno i upał. - Leo zdjął okulary i zaczął wycierać szkła brzegiem koszuli. - Zastanawiał się nad tym, co robi i co się z nim dzieje. I właśnie dlatego że myślał, czynił postępy i wytyczał drogę tym, którzy nadeszli po nim. Gdyby nie on, nie byłoby pana tutaj.

- To prawda - przyznał Doug. - Tak czy inaczej, chciałem się tu tylko trochę rozejrzeć. W dzieciństwie bawiłem się w tych lasach, a latem pływałem w Oczku Simona...

- Dlaczego jezioro nosi taką nazwę?

- Słucham? Ach, dlaczego Oczko Simona... - Spojrzał na Leo. - Podobno jakieś dwieście lat temu utonął tu dzieciak, który miał na imię Simon. Niektórzy utrzymują, że nieszczęsny Simon straszy w lasach dookoła jeziora.

Leo wydał wargi i włożył wyczyszczone okulary.

- Kim był?

Doug wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Po prostu jakiś smarkacz...

- I widzi pan, właśnie na tym polega różnica. Ja chciałbym dowiedzieć się, kim był, ile miał lat, co tutaj robił... Interesuje mnie to. Topiąc się w jeziorze, na pewno zmienił życie wielu osób. Strata osoby bliskiej, szczególnie dziecka, zmienia życie...

Żołądek Douga skulił się boleśnie.

- Tak, ma pan rację. Nie chcę pana dłużej zatrzymywać. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

- Proszę nas jeszcze odwiedzić. Cieszymy się, że mieszkańcy Woodsboro interesują się tym miejscem.

Może i dobrze, że jej nie było, pomyślał Doug, idąc do samochodu. Bo właściwie, co mógłby jej powiedzieć takiego, co nie pogorszyłoby i tak już złej sytuacji...

Za jego wozem zatrzymał się drugi. Cholerna atrakcja turystyczna...

Wszyscy konają z ciekawości, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o czymś, co w ogóle nie powinno ich interesować. Z auta wyskoczyła Lana i pomachała do niego przyjaźnie.

- Cześć! Przyjechałeś obejrzeć najnowszy powód do sławy i chwały Woodsboro? Rozpoznał ją bez trudu. Takiej twarzy łatwo się nie zapomina.

- Kilka dziur w ziemi, nie wiem, o co tyle hałasu - rzucił. - I niby dlaczego ma to być lepsze od osiedla mieszkaniowego Dolana?

- Och, zaraz wyliczę kilka przyczyn. - Jej włosy rozwiewał wiatr. Oparła ręce na biodrach i spojrzała w kierunku terenu. - Oto najważniejsza - niedługo będziemy sławni w całym kraju i wtedy Dolan nie będzie mógł wylewać tu tych swoich betonowych bloków, przynajmniej przez pewien czas. Hmmm... - Wydeła wargi. - Nie widzę Callie...

- Znasz ją?

- Tak. Oprowadzili cię po terenie? - Nie.

Przechyliła głowę na bok i zmierzyła go uważnym, trochę rozbawionym spojrzeniem.

- Chciałabym wiedzieć, czy z natury jesteś wrogo nastawiony do świata i ludzi, czy też poczułeś do mnie antypatię od pierwszego wejrzenia...

- Chyba jestem z natury wrogo nastawiony do ludzi.

- Co za ulga!

Odsunęła się, odwróciła głowę. Doug zaklął pod nosem i lekko dotknął jej ramienia. Wcale nie był wrogo nastawiony do ludzi. Skryty - tak, ale nie wrogo nastawiony. Obawiał się jednak, że potraktował ją niezbyt uprzejmie, a jego dziadek bardzo ją lubił.

- Przepraszam cię. Mam parę trudnych spraw na głowie i pewnie dlatego jestem w marnym nastroju.

- Najwyraźniej... - zrobiła krok w kierunku ogrodzenia, lecz nagle odwróciła się do Douga. - Czy coś jest nie w porządku z Rogerem? Coś się stało?

- Nie, nie. Dziadkowi nic nie dolega, naprawdę. Masz do niego słabość, co?

- Dużą słabość. Szaleję na jego punkcie. Mówił ci, w jaki sposób się poznaliśmy? - Nie.

Chwilę milczała, potem parsknęła śmiechem.

- Nie musisz tak nalegać, i tak ci opowiem. Kilka dni po przeprowadzce do Woodsboro zajrzałam do antykwariatu. Rozpoczyłam praktykę w miasteczku i miałam z tym mnóstwo roboty, dopiero tego ranka ostatecznie umówiłam się z opiekunką mojego synka, krótko mówiąc, nie wiedziałam, w co ręce włożyć. Żeby trochę się zrelaksować, poszłam na spacer i

wylądowałam w sklepie twojego dziadka, który zapytał, czy może mi jakoś pomóc. Rozpłakałam się, stałam tam i szlochałam jak skończona histeryczka. Wtedy Roger wyszedł zza kontuaru, objął mnie i pozwolił mi wypłakać się na swoim ramieniu. Zupełnie obcej osobie, która przeżywała załamanie emocjonalne w jego sklepie, wyobrażasz to sobie? Tamtego dnia zakochałam się w nim na śmierć i życie.

- To do niego podobne, dziadek zawsze chętnie przygarniał przybłądy...

- Doug skrzywił się lekko. - O, przepraszam, nie miałem na myśli ciebie...

- Wiem, nie byłam przybłądą. Wiedziałam, gdzie jestem, jak tam trafiłam i dokąd muszę pójść, ale w tamtej chwili świat wydawał mi się wielki, straszny i przytłaczający. Roger bardzo mi wtedy pomógł. Zaczęłam go przepraszać, ale on wywiesił na drzwiach tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE, zaprowadził mnie do pokoiku na tyłach sklepu, poczęstował herbatą i wysłuchał wszystkich żalów, które wylały się ze mnie jak wezbrana rzeka... Powiedziałam mu wiele rzeczy, o których nie wspomniałam nikomu innemu. Zrobiłabym dla Rogera wszystko, absolutnie wszystko... Mogłabym nawet wyjść za ciebie, bo wiem, że bardzo by mu się to spodobało, tak więc miej się na baczności...

- Jezu... - Doug cofnął się instynktownie. - I jak ja mam na to odpowiedzieć?

- Mógłbyś na przykład zaprosić mnie na kolację. Byłoby miło pójść razem do restauracji, zanim zaczniemy planować wesele...

Wyraz jego twarzy był tak cudowny, pełen tak wielkiego przerażenia, że Lana śmiała się długo, aż do bólu brzucha.

- Spokojnie, Doug, jeszcze nie kupiłam sukni.,. Nie, naprawdę, nie irytuj się, chciałam tylko powiedzieć ci, że Roger chętnie widziałby nas jako parę, jeżeli sam jeszcze się tego nie domyśliłeś. Kocha ciebie, a mnie bardzo lubi, więc doszedł do wniosku, że idealnie do siebie pasujemy.

Doug się zamyślił.

- Cokolwiek powiem, i tak nie zabrzmie to właściwie - odezwał się w końcu. - Wobec tego najlepiej będzie, jeżeli zamknę buzię na kłódkę.

- Nie mam nic przeciwko temu, bo muszę już wracać do biura. - Lana podeszła do ogrodzenia, rozejrzała się i odwróciła do Douga z promiennym uśmiechem. - Chciałam sprawdzić, jak postępują prace... Może umówimy się na kolację dziś wieczorem? W restauracji Old Antietam Inn, o siódmej? Co ty na to?

- Nie wydaje mi się, żeby...

- Boisz się?

- Nie, do cholery, wcale się nie boję! Chodzi mi tylko.....

- Dzisiaj, o siódmej. Ja stawiam.

Zabrzącał kluczykami w kieszeni i zmarszczył brwi.

- Zawsze jesteś taka bezpośrednia i przebojowa?

- Tak! - odrzyknęła, otwierając drzwiczki samochodu. - Zawsze!

Kilka minut po powrocie Lany, do jej biura weszła Callie. Zignorowała siedzącą przy biurku w sekretariacie asystentkę i stanęła na progu gabinetu.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Jasne, bardzo proszę. Lisa, z Nowym Jorkiem połączysz mnie później, teraz przyjmę doktor Dunbrook. Wejdz, Callie, usiądź. Napijesz się czegoś zimnego?

- Nie, dziękuję. - Callie zamknęła za sobą drzwi.

Gabinet Lany był mały, ładny i kobiecy. Okno za biurkiem wychodziło na park. Callie pomyślała, że chociaż ceny nieruchomości w tak niewielkim miasteczku na pewno są niskie, to i tak Lane Campbell najwyraźniej stać było na biuro w najlepszym miejscu. Nie ulegało też wątpliwości, że ma dobry gust. Oczywiście, w żaden sposób nie świadczyło to o jej kwalifikacjach...

- Gdzie studiowałaś prawo? - zapytała.

Lana usiadła za biurkiem i odchyliła głowę na oparcie fotela.

- Pierwsze trzy lata na uniwersytecie stanowym w Michigan, potem, po ślubie, na uniwersytecie Maryland. Mój mąż pochodził z tego stanu. Oboje właśnie tam skończyliśmy studia.

- Dlaczego przeprowadziłaś się tutaj?

- Pytasz ze względów osobistych czy zawodowych?

- Zawodowych.

- W porządku. Pracowałam w kancelarii adwokackiej w Baltimore. Urodziłam dziecko. Straciłam męża. Kiedy trochę doszłam do siebie, postanowiłam zamieszkać w miejscu, gdzie będę mogła praktykować prawo bez stresu i napięcia, jakie towarzyszą konkurencji w wielkim mieście, i wychowywać syna w takich warunkach, o jakich oboje z mężem dla niego marzyliśmy. Chciałam, żeby miał dom z ogrodem i podwórkiem, i matkę, która nie będzie musiała spędzać dziesięciu godzin w biurze i jeszcze przynosić pracę do domu. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak, oczywiście. - Callie podeszła do okna. - Jeżeli cię zatrudnię, chciałabym, żebyś zachowała absolutną dyskrecję...

- To jasne.

Lana miała wrażenie, że Callie wytwarza fale skondensowanej energii, które otaczają ją wibrującymi pierścieniami. Ciekawe czy to męczące, pomyślała. Otworzyła szufladę i wyjęła z niej świeży notatnik.

- Niezależnie od tego, czy zdecydujesz się mnie zatrudnić, czy nie,

wszystko, co tutaj powiesz, zostanie między nami. Zaczynj mówić, to łatwiej będzie nam obu podjąć decyzję.

- Szukam prawnika.

- Wygląda na to, że już znalazłaś.

- Nie, naprawdę szukam prawnika, innego prawnika, adwokata Marcusa Carlyle'a. W latach 1968 - 1979 praktykował w Bostonie. - Callie zdążyła dowiedzieć się tego przez telefon komórkowy, w drodze powrotnej z Filadelfii.

- A potem?

- Zamknął praktykę. Nic więcej nie wiem. Ach, jeszcze jedno, zajmował się prywatnymi adopcjami... - Wyjęła z torby teczkę i położyła dokumenty adopcyjne na biurku Lany. - Chciałabym także, żebyś sprawdziła te dane...

Lana szybko zanotowała nazwiska i daty. Podniosła wzrok.

- Rozumiem - powiedziała. - Próbujesz odszukać swoich biologicznych rodziców? - Nie.

- Jeżeli chcesz, żebym ci pomogła, musisz mi zaufać. Mogę wszcząć poszukiwania Carlyle'a, mogę również, za twoim pisemnym zezwoleniem, sprawdzić prywatne agencje zajmujące się adopcją w latach siedemdziesiątych, i uzyskać informacje dotyczące twojej biologicznej rodziny. Mogę zrobić to wszystko w oparciu o dane, jakie mi podałaś, chociaż nie jest ich dużo, ale moje działania byłyby szybsze i skuteczniejsze, gdybyś powiedziała mi coś więcej.

- Na razie nie jestem gotowa, by to zrobić. Zależy mi, żebyś zgromadziła wszystkie dostępne informacje o Marcusie Carlyle'u, może nawet ustaliła jego miejsce pobytu. Chcę też wiedzieć, jak doszło do tej adopcji. Sama muszę trochę poszperać w poszukiwaniu innych danych, więc kiedy już obie uzyskamy odpowiedzi, zastanowimy się, co robić dalej. Mam ci wypłacić zaliczkę?

- Tak. Zaczniemy od pięciuset dolarów.

Jake wybrał się do Woodsboro z myślą o dokonaniu zakupów w sklepie z artykułami metalowymi. Kilka razy w ciągu tego dnia miał ochotę wybrać numer komórki Callie, ale ponieważ wiedział, że rozmowa najprawdopodobniej zakończy się kłótnią, dał sobie spokój.

Jeżeli do następnego ranka Callie się nie zjawi, wtedy przystąpi do walki. Dobrze wiedział, że wystarczy ją rozwścieczyć, aby wyciągnąć z niej informacje.

Kiedy zauważył jej samochód zaparkowany przed biblioteką, natychmiast zjechał na bok i zatrzymał się tuż za nią, na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy uciekać. Potem wysiadł i wolnym krokiem ruszył do wejścia starego budynku.

W recepcji siedziała jakaś starsza kobieta. Jake, który doskonale radził sobie w kontaktach z damami również i w tym wieku, z czarującym uśmiechem oparł się o kontuar.

- Dzień dobry pani. Nie chcę przeszkadzać, ale przed biblioteką stoi auto mojej współpracownicy... Nazywam się Jacob Graystone, należę do zespołu pracującego w Antietam Creek...

- Ach, jest pan jednym z tych naukowców! Obiecałam mojemu wnuczkowi, że pojedę z nim do Antietam Creek, by zobaczyć, co tam robicie! To takie fascynujące odkrycie!

- Ma pani całkowitą rację. Ile lat liczy sobie pani wnuk?

- Dziesięć.

- Proszę o mnie zapytać, kiedy przyjedzie pani z nim do Antietam Creek. Oprowadzę was oboje po terenie wykopalisk.

- Bardzo to miło z pana strony...

- Chcemy nie tylko dokumentować, ale i edukować. Proszę mi powiedzieć, czy jakiś czas temu nie weszła tu doktor Dunbrook? Callie Dunbrook. Bardzo atrakcyjna blondynka, mniej więcej tego wzrostu... - Jake dotknął dłonią barku.

Kobieta skinęła głową.

- Znam wszystkich w naszym miasteczku, więc oczywiście zwróciłam na nią uwagę. Tak, jest w tamtej sali z materiałami archiwalnymi.

- Serdeczne dzięki. - Jake uśmiechnął się, mrugnął i poszedł w kierunku wskazanego pomieszczenia.

O ile mógł się zorientować, w bibliotece nie było nikogo poza starszą panią, nim samym oraz Callie, która przeglądała mikrofilmy.

Siedziała na krześle po turecku, co świadczyło, że spędziła tu co najmniej dwadzieścia minut. Kiedy pracowała przy biurku albo przy stole około pół godziny, zawsze w końcu przyjmowała tę pozycję. Jake zbliżył się od tyłu i stanął za jej plecami.

Palce jej lewej ręki lekko wystukiwały jakiś rytm na blacie, co potwierdzało jego przypuszczenia, że była tu już dość długo. - Dlaczego przeglądasz lokalne gazety sprzed trzydziestu lat?

Podskoczyła tak wysoko, że podbiła czubkiem głowy jego podbródek.

- Do diabła! - powiedzieli zgodnym chórem.

- Dlaczego skradasz się za moimi plecami?!

- Dlaczego jeszcze nie zjawiałaś się w Antietam Creek? - Chwycił jej dłoń i przytrzymał ją, zanim zdążyła wyłączyć przeglądarkę. - I dlaczego interesujesz się porwaniem z 1974 roku?

- Spieprzaj, Graystone.

- Cullen... - Jake nadal trzymał jej rękę, przebiegając wzrokiem tekst na ekranie. - Jay i Suzanne Cullen. Suzanne Cullen, coś mi to przypomina... „Trzymiesięczna Jessica Lynn Cullen została wczoraj wykradziona z wózecka w centrum handlowym Hagerstown”... Jezu Chryste, ludzie naprawdę są potworami... Znaleźli ją?

- Nie chcę z tobą rozmawiać.

- To fatalnie, bo przecież wiesz, że nie odczepię się, dopóki nie powiesz, dlaczego ta sprawa tak cię obchodzi... Masz łzy w oczach, a nigdy nie byłaś płacziwą panienką.

- Jestem po prostu zmęczona. - Potarła pięściami powieki, zupełnie jak dziecko. - Piekielnie zmęczona, to wszystko...

- Niech ci będzie... - Położył dłonie na jej barkach i zaczął masować napięte mięśnie. Nie trzeba jej drażnić, pomyślał. I dobrze, bo wcale nie miał na to ochoty. Jeżeli rzeczywiście walczyła ze łzami, to moment był idealny, lecz Jake'owi ścisnęło się serce na myśl, że miałyby wykorzystać jej słabość. Nie chciał tego robić... - Odwiozę cię do motelu - powiedział. - Odpocznij, połóż się wcześniej spać...

- Nie chcę wracać! Jeszcze nie teraz! Boże, Boże... Chyba muszę się napić.

- W porządku. Zostawimy twój samochód pod motelem i pójdziemy się napić.

- Dlaczego starasz się być dla mnie miły, Graystone? Przecież my się nawet nie lubimy...

- Spokojnie, skarbie, z czasem wyjaśnimy sobie wszystkie dręczące nas wątpliwości. Chodź, poszukamy jakiegoś przyjemnego baru.

Gospoda The Blue Mountain była sprytnie wyremontowaną drewnianą szopą, stojącą przy jednej z bocznych dróg pod miastem. Zalany plastikiem jadłospis składał się z dwóch pozycji, którymi były DANIA GORĄCE oraz NAPOJE.

Wzdłuż jednej ściany wygospodarowano trzy kabiny z ławami, na środku sali zaś tkwiło sześć stolików z krzesłami, które wyglądały tak, jakby ktoś postawił je tam i natychmiast o nich zapomniał.

Barowy kontuar poczerniał od dymu i tłuszczu, a podłogę okrywało beżowe linoleum w szare kropki. Młoda kelnerka wydawała się chuda jak szkielet. Z grającej szafy rozlegała się piosenka Travis Tripp.

Przy barze siedzieli miejscowi, racząc się po pracy piwem. Callie spojrzała na ich robocze gumki, utyłane czapki z daszkiem i zapocone podkoszulki, i doszła do wniosku, że prawdopodobnie ma przed sobą pracowników firmy Rona Dolana.

Kiedy Callie i Jake weszli do sali, wszyscy jak jeden mąż odwrócili się w ich stronę. Jake uznał, że spojrzenia, którymi zmierzyli jego towarzyszkę, nie należały do szczególnie subtelnych.

Callie wśliznęła się do jednej z kabin i natychmiast zaczęła się zastanawiać, po co właściwie tu przyjechała. O wiele lepiej i wygodniej byłoby jej na łóżku w motelowym pokoju, z butelką wina pod ręką.

- Nie wiem, co tutaj robię. - Spojrzała na Jake'a uważnie, wręcz badawczo, ale nic nie wyczytała z jego twarzy. Na tym, między innymi, polegał ich problem - nigdy nie była do końca pewna, co Jake myśli. - Co to jest, do diabła?

- Jadłospis - odparł, przesuwając menu na jej stronę stołu. - Powinien ci się spodobać. Callie przebiegła wzrokiem spis potraw. Zwykle interesowały ją jedynie dania smażone, lecz dziś w ogóle nie czuła się głodna.

- Tylko piwo - rzuciła.

- Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek zrezygnowała zjedzenia, zwłaszcza obficie polanego tłuszczem. - Jake położył palec na jednej z pozycji. - Dwa burgery, dobrze wysmażone, z frytkami i firmowymi surówkami - powiedział do kelnerki, która właśnie podeszła do ich stolika.

Callie chciała zaprotestować, ale w końcu wzruszyła ramionami i popadła w zamyślenie.

Właśnie to go zaniepokoiło. Skoro Callie nie miała siły wściekać się na niego za to, że podjął decyzję - jakkolwiek decyzję - w jej imieniu, to najwyraźniej była w marnej formie.

Nie chodziło nawet o to, że wyglądała na zmęczoną, bo Jake wielokrotnie widział ją ledwo żywą ze zmęczenia. Nie, Callie sprawiała dziś wrażenie śmiertelnie znużonej. Miał ochotę wziąć ją za rękę i powiedzieć, że niezależnie od tego, co się stało, na pewno znajdą jakieś wyjście z sytuacji, wiedział jednak, że gdyby to zrobił, odgryzłaby mu rękę w przegubie. Nachylił się ku niej nad stołem.

- Czy to miejsce czegoś ci nie przypomina?

Poruszyła się i powoli rozejrzała dookoła. Piosenka Travis Tripp ucichła, z grającej szafy niósł się teraz głos Faith Hill. Faceci przy barze nadal sączyli piwo i rzucali w ich stronę wojownicze spojrzenia. Powietrze cuchnęło niczym dno frytownicy, w której od wielu tygodni nikt nie zmieniał oleju.

- Nie - odparła.

- Daj spokój! A ta knajpa w Hiszpanii, w której byliśmy podczas pracy na wykopalisku El Aculerado?

- Zgłupiałeś?! Ta dziura w niczym nie jest podobna do tamtej! Tam puszczały taką dziwną muzykę i na wszystkim siedziały czarne muchy, nie

pamiętasz? Kelner ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilo, miał włosy do pasa i ani jednego przedniego zęba...

- Tak, ale tam też piliśmy piwo. Spojrzała na niego kwaśno.

- A gdzie nie piliśmy piwa?

- Na przykład w Yeneto, tam zamówiliśmy wino, to zupełnie co innego.

Roześmiała się, niechętnie, ale jednak.

- Chcesz mi powiedzieć, że pamiętasz wszystkie napoje alkoholowe, jakie wypiliśmy?

- Zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedział, co pamiętam. - Śmiech rozluźnił napięte mięśnie jego brzucha. - Pamiętam, że rozkopujesz się w nocy i z uporem godnym lepszej sprawy zawsze przeczołgujesz się na środek łóżka. I że po masażu stóp mruczysz jak kotka...

Nie odpowiedziała, ponieważ kelnerka właśnie przyniosła im piwo.

- A ja pamiętam, jak rzygałeś po nieswieżych małżach w Mozambiku - odparła, pociągnawszy pierwszy zimny łyk.

- Zawsze byłaś romantyczką.

- Jasne. - Podniosła kufel i znowu się napiła. - Masz rację...

Od początku czuła, że Jake próbuje ją rozweselić, chociaż nie miała zielonego pojęcia, po co tak się stara.

- Dlaczego nie wściekasz się, że nie było mnie dziś w pracy? - zapytała podejrzliwie.

- Właśnie do tego zmierzam, chciałem tylko najpierw napić się piwa. - Jake uśmiechnął się szeroko. - Wolisz, żebym zaczął się wściekać teraz, czy po jedzeniu?

- Miałam do załatwienia sprawę, która nie mogła czekać. Zresztą nie jesteś moim szefem, więc nie masz prawa wściekać się i jęczeć, jeżeli wezmę sobie wolny dzień. Ten projekt interesuje mnie tak samo jak ciebie, może nawet bardziej, bo ja przyjechałam tu pierwsza...

Jake wyprostował się i odsunął, ponieważ kelnerka właśnie przyniosła steki.

- No, teraz to mi dopiero powiedziałaś...

- Och, odpieprz się, Graystone! Nie muszę... - przerwała, ponieważ do ich stolika podeszli siedzący dotąd przy barze mężczyźni.

- Pracujecie z tymi dupkami, co to grzebią się przy Oczku Simona? Jake wycisnął na stek trochę jasnożółtej musztardy.

- Prawdę mówiąc, jesteśmy szefami tych dupków, spokojnymi dupkami. Czym możemy wam służyć?

- Spierdalajcie stąd, przestańcie pieprzyć bzdury o paru starociach i innym gównie, i nie przeszkadzajcie porządnym ludziom spokojnie pracować.

Callie wzięła musztardę z rąk Jake'a, obficie polalała nią stek obrzuciła nieproszonych rozmówców uważnym wzrokiem. Ten, który gadał, był tęgi, potężnie zbudowany i nabity, bez żadnego tłuszczu. Sprawiał wrażenie czołgu średnich rozmiarów. Drugi przyglądał im się z zapamiętałą, wywołaną dawką alkoholu zadziornością.

- Przeszkadzamy wam? - Callie odstawiła musztardę i sięgnęła po ketchup musze prosić, żeby zmitygowali panowie swój barwny język mój kolega jest bardzo wrażliwy.

- To rzuć go paniusiu!

- Próbowałam już, z nie najgorszymi efektami - ciągnęła - Ale to nieistotne... Pracują panowie dla Dollana?

- Zgadza się. I nie trzeba nam tu bandy obcych mądrali.

- Nie będziecie nam mówić co mamy robić! - Jake posolił frytki i podał solniczkę Callie. Spokojny ton i spokojne ruchy Jake'a mogły stworzyć obraz mężczyzny który ani nie ma ochoty na bójkę, ani nie jest do niej przygotowany. Callie świetnie wiedziała, że ci, którzy w to uwierzyli podejmowali duże ryzyko, ale cóż mogła na to poradzić. Jake doprawił stek odrobiną pieprzu.

- Wydaje mi się wyjątkowo mało prawdopodobne, żeby którykolwiek z was miał choćby mgliste pojęcie o badaniach archeologicznych czy antropologicznych, podobnie jak o mapach fonologicznych czy stratygraficznych, my jesteśmy po to żeby zająć się tymi sprawami, i robimy to z przyjemnością - oświadczył niedbale. - Jeszcze jedno piwo? - zwrócił się do Callie.

- Czy ty wyobrażasz sobie, że rzucanie długimi słowami powstrzyma nas od wykopania was z miasta, dupku?!

Jake westchnął w odpowiedzi, lecz Callie natychmiast dostrzegła lodowaty błysk jego oczu. Ci biedni idioci mają jeszcze szansę, pomyślała. Mają ją, dopóki Jake'owi bardziej zależy na spokojnym zjedzeniu kolacji niż na rozrywce w postaci barowej bójki...

- Najwyraźniej sądzą, że jesteśmy uniwersyteckimi myszkami, które potrafią rzucać wyłącznie długimi i trudnymi wyrazami. - Jake wzruszył ramionami i włożył do ust przyjemnie przysmażoną frytkę. - Błąd. Moja koleżanka jest karateką z czarnym pasem i potrafi być wredna jak żmija. Wiem coś o tym, bo to moja żona.

- Była żona - sprostowała Callie. - Ale on ma rację... Rzeczywiście, bywam wredna jak żmija.

- Którego wybierasz? - zapytał ją Jake.

- Tego dużego. - Callie przyjrzała się mężczyznom z pogodnym,

szerokim uśmiechem.

- W porządku, ale panuj nad sobą - ostrzegł Jake. - Ostatnim razem... Pamiętasz tego wielkiego Meksykanina? Wyszedł ze śpiączki dopiero po pięciu dniach. Lepiej uważajmy.

- I kto to mówi? To ty złamałeś szczękę tamtemu facetowi z Oklahomy! Tak mu dołożyłeś, że odkleiła mu się siatkówka w jednym oku!

- Bo nie przypuszczałem, że dziarski kowboj pozwoli sobie tak łatwo skuć mordę. Cóż, człowiek uczy się przez całe życie... - Jake odsunął talerz i zwrócił się do mężczyzn. - Nie macie nic przeciwko temu, żeby wyjść na zewnątrz? Nie cierpię płacić za szkody za każdym razem, kiedy stłuczemy kogoś w barze...

Pytani przestąpili z nogi na nogę, zaciskając i rozluźniając pięści. Byli wyraźnie zdezorientowani. Wreszcie większy prychnął pogardliwie.

- Powiedzieliśmy wam tylko, jak sprawy stoją - oznajmił. - Nie bijemy się z profesorkami i dziewczynami.

- Wolna wola. - Jake przywołał kelnerkę. - Poprosimy jeszcze dwa piwa. - Z widoczną przyjemnością ugryzł następny kęs hamburgera, podczas gdy mężczyźni, mamrocząc pod nosem, oddalali się w stronę drzwi. - Mówiłem ci, że tu jest zupełnie tak jak w tej knajpie w Hiszpanii... - Mrugnął do Callie.

- Nie mieli na myśli nic złego. - Kelnerka postawiła przed nimi szklanki z piwem i zabrała puste. - Austin i Jimmy są strasznie głupi, ale nikomu nie szkodzą.

- W porządku. - Jake się uśmiechnął.

- Większość ludzi naprawdę interesuje się tym, co dzieje się przy Oczku Simona, ale są tacy, co nie potrafią się z tego cieszyć. Niedawno Dolan zatrudnił więcej ludzi, którzy stracili teraz pracę. Każdy może się wściec, kiedy zaczyna mu brakować forsy. Hamburgery w porządku?

- Jak najbardziej, są świetne - powiedziała Callie. - Dzięki.

- Zawołajcie mnie, jeżeli będziecie czegoś potrzebowali. I nie przejmujcie się Austinem i Jimmym, obaj byli po paru piwach.

- Piwo zwykle przemawia donośnym głosem - mruknął Jake, gdy kelnerka zostawiła ich samych. - To może być problem. Digger rozbił obóz na terenie wykopaliskowym, ale może powinniśmy pomyśleć o ochronie...

- Tak czy inaczej, potrzebujemy więcej ludzi. Porozmawiam o tym z Leem. Zamierzałam wpaść pod wieczór na teren i zobaczyć, co dzisiaj zrobiliście.

- Podzieliliśmy pole na odcinki i wprowadziliśmy plan do komputera. Zaczęliśmy też usuwać wierzchnią warstwę gleby.

Skrzywiła się lekko, bo bardzo chciała być przy tych pracach.

- Zagoniłeś studentów do przesiewania ziemi?

- Tak. I przesłałem ci dzisiejszy raport pocztą elektroniczną. Możemy go teraz przejrzeć, ale przecież i tak go przeczytasz. Lepiej powiedz mi, co się dzieje. Dlaczego zamiast przyjechać prosto na teren, siedziałaś w bibliotece i czytałaś doniesienia o porwaniu dziecka z 1974 roku, czyli z roku, w którym się urodziłaś.

- Nie przyjechałam tu, żeby o tym rozmawiać. Miałam ochotę na piwo, nic więcej.

- W porządku, w takim razie ja będę mówił. Przedwczoraj wieczorem zajrzałem do twojego pokoju i co zobaczyłem? Na łóżku leżały fotografie, a ty byłaś sztywna ze zdenerwowania. Utrzymujesz, że nie były to zdjęcia rodzinne, ale te kobiety wydały mi się bardzo podobne do ciebie. Zaraz potem znikłaś jak sen jaki złoty i dziś po południu przyłapałem cię na lekturze archiwalnych materiałów prasowych o porwaniu niemowlęcia, dziewczynki w twoim wieku. Na jakiej podstawie uważasz, że mogłaś być tym dzieckiem? Callie milczała. Oparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach. Wiedziała, że Jake wszystkiego się domyśli. Wystarczyło dać mu garść pozornie niepowiązanych ze sobą informacji, a można było się założyć, że ułoży z nich wyraźny obrazek w czasie, w którym większość ludzi nie potrafi nawet rozwiązać prostej krzyżówki. I wiedziała, że wcześniej czy później wszystko mu powie. Od chwili, kiedy znalazł ją w bibliotece, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Był tą najbardziej odpowiednią osobą, chociaż nie chciało jej się zastanawiać, dlaczego tak jest.

- Odwiedziła mnie Suzanne Cullen... - zaczęła.

Jake nie przerwał jej ani razu i ani na chwilę nie oderwał oczu od jej twarzy. Znał wszystkie jej nastroje - nie zawsze umiał odgadnąć ich przyczyny, ale je znał. Callie nadal była w szoku, któremu, jego zdaniem, towarzyszyło poczucie winy.

- Trzeba więc będzie przeprowadzić badania - zakończyła. - W celu potwierdzenia tych przypuszczeń. Cóż, sam dobrze wiesz, że dzisiejsza nauka opiera się na przypuszczeniach, jak choćby na naszym poletku... Tak czy inaczej, biorąc pod uwagę wszystkie te dane, rozsądek każe założyć, że przypuszczenia Suzanne Cullen są zgodne z rzeczywistością.

- Będziesz musiała namierzyć tego prawnika, lekarza i inne osoby, które były zaangażowane w proces adopcyjny.

Dopiero teraz spojrzała na niego. Oto, dlaczego mogła mu powiedzieć - Jake'owi nigdy nie przyszło do głowy, aby narzucać jej swoje współczucie czy oburzenie, że coś takiego ją spotkało. Rozumiał, że w celu przeżycia musiała

trzymać się praktycznego sposobu myślenia.

- Już się do tego zabrałam. Ojciec postara się ustalić miejsce pobytu lekarza, a co do prawnika, to okazało się, że sama nie dam rady niczego załatwić, więc wynajęłam adwokata. Lane Campbell, prawniczkę z Woodsboro, tę samą, która reprezentuje tutejszych przeciwników budowy osiedla w Antietam Creek. Poznałam ją zaraz po przyjeździe. Wydaje mi się, że jest inteligentna, dokładna i nie poddaje się łatwo. Można powiedzieć, że ja też muszę zacząć usuwać wierzchnią warstwę gleby, żeby odkryć, co się pod nią kryje.

- Tamten prawnik musiał o wszystkim wiedzieć.

- Tak. - Callie zacisnęła wargi. - Musiał wiedzieć.

- Więc on jest twoim punktem odniesienia, bo sprawa wyszła od niego.

Chcę ci pomóc.

- Dlaczego?

- Oboje jesteśmy nieźli w rozwiązywaniu zagadek, ale razem tworzymy niezrównany zespół.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Zawsze trudno było wcisnąć ci ciemnotę... - Jake odsunął talerz i ujął jej dłoń. Jego palce zacisnęły się mocniej, kiedy próbowała się oswobodzić. - Nie bądź taka cholernie nerwowa, Dunbrook. Dotykałem każdego milimetra twojego ciała, a ty mi tu podskakujesz tylko dlatego, że trzymam cię za rękę...

- Nie podskakuję, a poza tym to moja ręka.

- Uważasz, że przestałaś mnie obchodzić, bo odeszłaś?

- Nie odeszłam! - warknęła z irytacją. - To ty...

- Zostawmy to na inną okazję.

- Wiesz, co mnie w tobie wkurza, oczywiście poza wieloma innymi rzeczami?

- Listę tych rzeczy mam w banku danych, dziecinko, ale wal śmiało.

- To, że przerywasz mi zawsze wtedy, kiedy czujesz, że mam rację.

- Dopiszę to. - Uśmiechnął się. - Niedawno przyszło mi do głowy, że byliśmy dla siebie wszystkim, tylko nie przyjaciółmi. Chciałbym spróbować tej opcji, skarbie.

Gdyby nagle wyznał, że postanowił rzucić naukę i zająć się dystrybucją kosmetyków firmy Avon, na pewno nie byłaby bardziej zaskoczona.

- Chcesz, żebyśmy zostali przyjaciółmi?!

- Tak, proponuję ci przyjaźń, tępolu. I pomoc w odkryciu tego, co się naprawdę wydarzyło.

- Nazywanie mnie tępołem nie wygląda mi na krok we właściwym kierunku - mruknęła niepewnie.

- Może i tak, ale to bardziej przyjazne słowo niż wiele innych, które mam na końcu języka.

- No, dobra, niech ci będzie. - Westchnęła. - Między nami leży góra śmieci, chyba jesteś tego świadomy?

- Któregoś dnia możemy ją przetrzucić, ale teraz mamy pilniejsze sprawy - Jake potarł kciukiem jej knykcie. Nie mógł się powstrzymać. - Prace wykopaliskowe i tę twoją zagadkę. W pierwszej kwestii musimy współpracować, więc dlaczego nie w drugiej?

- Będziemy się kłócić.

- To nieuniknione.

- Masz rację... - Perspektywa kłótni nie wydawała jej się tak bardzo niepokojąca, jak pragnienie wtulenia ręki w jego ciepłą dłoń. - Doceniam twoją propozycję, naprawdę... A teraz puść mnie, bo zaczynam się czuć jak idiotka...

Spełnił jej życzenie i wyjął portfel z kieszeni dżinsów.

- Możemy teraz wrócić do ciebie. Wymasuję ci stopy, co ty na to?

- Te czasy już się skończyły.

- Szkoda. Zawsze miałem słabość do twoich stóp.

Jake zapłacił i razem wyszli na zewnątrz. Callie z mieszanymi uczuciami zauważyła, że jej były mąż spokojnie trzymał ręce w kieszeniach. Zamrugła, zdziwiona jasnym światłem słońca. Wydawało się jej, że spędzili w barze wiele godzin, tymczasem na dworze wciąż było jasno. Dość jasno, żeby pojechać na teren i sprawdzić, co się dzieje, oczywiście jeśli wykrzesze w sobie dość energii.

Włożyła okulary przeciwsłoneczne i lekko wyduła wargi, patrząc, jak Jake wyszarpuje zza wycieraczki kartkę papieru.

- „Wracajcie do Baltimore, bo inaczej rozprawimy się z wami” - odczytał. Zmiał kartkę i wrzucił ją na tylne siedzenie samochodu. - Chyba pojedę i zobaczę, czy u Diggera wszystko w porządku...

- Oboje pojedziemy.

- Dobrze. - Jake usiadł za kierownicą i zaczął, aż Callie zajmie miejsce obok niego. - Przedwczoraj wieczorem słyszałem, jak grałaś. Mieszkam za ścianą, a ściany są tu cienkie...

- Wobec tego postaram się być cicho, kiedy zaproszę Austina i Jimmy'ego na imprezę.

- Widzisz, jaka jesteś troskliwa, odkąd zostaliśmy przyjaciółmi?

Nie przestała się jeszcze śmiać, kiedy nachylił się nad nią i przycisnął wargi do jej ust. Zaparło jej dech w piersiach. Jak to możliwe, że ten ogień nadal płonie we mnie i w nim także, pomyślała. Jak to możliwe? I wtedy nagle poprzez wstrząs i zaskoczenie przebiło się szybkie, gwałtowne, instynktowne

pragnienie, aby ogarnąć go ramionami i spłonąć w tym ogniu... Tyle że zanim zdążyła to zrobić, on cofnął się, wyprostował i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Zapnij pas - rzucił od niechcenia.

Zgrzytnęła zębami, bardziej wściekła na siebie niż na niego. Kiedy wyjeżdżał z parkingowego miejsca, mocno szarpnęła pas i zapięła go.

- Trzymaj łapy przy sobie, Graystone, bo inaczej cała ta przyjaźń nie potrwa długo! - warknęła.

- Nadal lubię twój smak - oświadczył, skręcając na drogę. - Trudno zrozumieć, dlaczego... Zaraz, zaraz... - Postukał palcami w kierownicę. - Skoro już mówimy o smaku, to Suzanne Cullen... Wypieki Suzanne?

- Co?

- Wiedziałem, że to nazwisko nie jest mi obce! Wypieki Suzanne, skarbie!

- Ciasteczka? Te pyszne ciasteczka z kawałkami czekolady?

- I orzechowo - czekoladowe, tak jest... - Z gardła Jake'a wyrwał się jęk rozkoszy. - Cicho, przeżywam chwilę uniesienia...

- Suzanne Cullen jest właścicielką firmy Wypieki Suzanne, tak?

- No, właśnie! To niezwykła historia pod względem marketingowym. Kobieta wypiekała te swoje pyszności w małym domku na prowincji, potem zaczęła sprzedawać je na targach, potem założyła niewielką firmę i wreszcie - bum, bum! - cały kraj docenił jej talent i wszyscy zgodnie uznali ją za narodowy skarb.

- Wypieki Suzanne... - powtórzyła Callie. - Cholera jasna, psiakrew!

- Może to wyjaśnia genetycznie twoją obsesję na punkcie cukru.

- Bardzo zabawne! - Ale drapanie, które czuła w gardle, nie miało nic wspólnego z rozbawieniem. - Muszę się z nią zobaczyć. Powiedzieć jej, że trzeba zrobić badania... Och, nie mam pojęcia, jak się wobec niej zachować...

Poczuła muśnięcie palców Jake'a na rękę.

- Znajdziesz właściwy sposób - powiedział.

- Ona ma syna. Z nim też jakoś będę musiała sobie poradzić.

W tym samym czasie Doug usiłował poradzić sobie z sytuacją stworzoną przez Lane Campbell.

Kiedy wszedł do restauracji, siedziała już przy stoliku i sączyła białe wino. Miała na sobie letnią sukienkę, miękką, przejrzystą i niewyrafinowaną, zupełnie niepodobną do eleganckich biznesowych kostiumów, w jakich wcześniej ją widywał.

Gdy usiadł naprzeciwko niej, uśmiechnęła się i przekrzywiła głowę, jakby się nad czymś zastanawiała. Albo nad kimś.

- Nie byłam pewna, czy się zjawisz.

- Gdybym nie przyszedł, dziadek wyrzekłby się mnie bez chwili wahania.

- Jesteśmy podli, że tak cię osaczamy. Masz ochotę na drinka?

- Co tam masz? - zapytał.

- To? - Zbliżyła kieliszek do płomienia świecy. - Bardzo smaczne białe kalifornijskie chardonnay, łagodne, ale nieprzesłodzone, o delikatnym bukicie i dość zdecydowanej nucie głównej... - Jej oczy zaśmiały się do niego. - Czy to dość oficjalny opis?

- Mniej więcej. Spróbuję. - Pozwolił, żeby zamówiła wino oraz butelkę gazowanej wody mineralnej. - No, dobrze. Dlaczego mnie osaczacie?

- Roger robi to dlatego, że cię kocha, jest z ciebie dumny i martwi się o ciebie. Ma za sobą szczęśliwe życie z twoją babką i uważa, że twoje życie stanie się szczęśliwe dopiero wtedy, gdy znajdziesz kobietę, z którą los pozwoli ci je dzielić.

- To znaczy z tobą.

- To znaczy ze mną, w każdym razie w tej chwili - przytaknęła. - Ponieważ mnie także w pewien sposób kocha i martwi się, że samotnie wychowuję dziecko. Roger jest bardzo staroświeckim człowiekiem, oczywiście w najlepszym znaczeniu tego słowa.

- To tłumaczy jego motywy. Jakie kierują tobą?

Nie śpieszyła się z odpowiedzią. Zawsze lubiła flirtować, więc teraz z przyjemnością poczuła jego spojrzenie na swojej twarzy.

- Pomyślałam sobie, że chętnie zjem kolację z atrakcyjnym mężczyzną. Padło na ciebie.

- Kiedy zostałem wybrany? - zapytał. Roześmiała się.

- Będę z tobą szczerą... Po śmierci mojego męża rzadko umawiam się z mężczyznami, ale nie przestałam lubić ludzi i interesującej rozmowy. Bardzo wątpię, czy Roger ma powody, żeby martwić się o któreś z nas, lecz to nie znaczy, że nie możemy zjeść razem kolacji, ciesząc się swoim towarzystwem. - Otworzyła menu. - W dodatku jedzenie w tej restauracji jest naprawdę świetne.

Kelner przyniósł wino dla Douga i wodę mineralną, z uczuciem wygłosił monolog na temat specjalności dnia, potem zniknął, aby dać im czas na podjęcie decyzji.

- Jak zginął twój mąż?

Milczała tylko krótką chwilę, ale to wystarczyło, aby Doug dostrzegł ogromny smutek, który odmalował się na jej twarzy.

- Został zabity, zastrzelony w czasie napadu rabunkowego na sklep. Był późny wieczór, ale on mimo wszystko poszedł coś kupić, bo Ty nie mógłś ułożyć się do snu, więc i tak nie mogliśmy liczyć na chwilę spokoju...

Nadal czuła ból. Wiedziała, że to uczucie pozostanie z nią na zawsze, lecz teraz przynajmniej już się nie bała, że każde wspomnienie doprowadzi ją do załamania.

- Zachciało mi się lodów - ciągnęła. - Właśnie dlatego Steve pobiegł do czynnego do jedenastej w nocy sklepu na rogu... Podchodził do kasy, żeby zapłacić, kiedy tamci weszli...

- Przykro mi.

- Mnie także. To było takie bezsensowne... W kasie nie było dużych pieniędzy i ani Steve, ani kasjer nie stawiali oporu, nie stanowili dla nich żadnego zagrożenia... Przeżyłam koszmar. Moje życie zmieniło się w jednej chwili, jakby ktoś przedzielił je murem na dwie części...

- Tak... Wiem, jak to jest.

- Naprawdę? - Zanim zdążył odpowiedzieć, sięgnęła przez stół i lekko dotknęła jego dłoni. - Przepraszam, zapomniałam o twojej siostrze... Chyba marny za sobą podobne przeżycia. No, miejmy nadzieję, że czekają nas inne wspólne doświadczenia, bardziej radosne. Lubię książki, wiesz? Co prawda, obawiam się, że traktuję je w dość niedbały sposób, który na pewno nie spodobałby się takim bibliofilom jak ty i Roger, ale uwielbiam czytać.

Doug zrozumiał, że Lana jest twardsza, niż mu się wydawało. Dość twarda, aby poskładać kawałki strzaskanego życia i posklejać je. Taka cecha zasługiwała na szacunek, więc postanowił włożyć trochę więcej wysiłku w podtrzymanie rozmowy.

- Zaginasz rogi? - Uśmiechnął się.

- Daj spokój, nawet ja nie posunęłabym się do czegoś takiego! Nie, nie zaginam rogów, ale zawsze kładę otwartą książkę grzbietem do góry, a kiedyś wpadła mi do wanny powieść Elizabeth Berg, chyba było to pierwsze wydanie...

- Wszystko wskazuje na to, że nasza znajomość skazana jest na sromotną klęskę. Może zamówimy, co?

Kiedy kelner odszedł, Lana z uśmiechem spojrzała na Douga.

- Jesteś wielbicielem książek, czy tylko kupujesz je i sprzedajesz? - zapytała.

- Książki to nie towar, to... Cóż, to książki. Nie można prowadzić takiego biznesu, jeżeli nie szanuje się ich i nie kocha.

- Założę się, że wielu antykwariuszy ma do tego zupełnie inne podejście. Wiem, że Roger bardzo lubi czytać, ale przypadkiem byłam w sklepie, kiedy otworzył przesyłkę od ciebie i znalazł w niej pierwsze wydanie Moby Dicka. Gładził okładkę tak delikatnie i czule, jakby była to ręka ukochanej osoby. Myślę, że wzięłby się do czytania, nawet gdyby ktoś

przystawił mu lufę do skroni...

- Do czytania służą raczej zwykłe wydania w miękkiej okładce, a nie pierwsze wydania. Te ostatnie to często unikaty.

Lana przechyliła głowę i Doug dostrzegł błysk małych, barwnych kamieni w jej uszach.

- Więc główny smaczek polega na poszukiwaniu, polowaniu? - zagadnęła.

- Częściowo.

Długą chwilę milczała.

- Nie da się ukryć, że nie należysz do osób gadatliwych - powiedziała wreszcie. - Zresztą, wystarczy już gadania o tobie... Nie zapytasz, dlaczego wybrałam prawo?

- Wiesz, co się dzieje, kiedy zadajesz komuś pytanie? Lana uśmiechnęła się do niego znad brzegu kieliszka.

- Większość ludzi odpowiada.

- Otóż to. Ale ponieważ jesteśmy tutaj, zapytam - dlaczego wybrałaś prawo?

- Lubię się wyklócać. - Sięgnęła po widelec, bo kelner właśnie przyniósł zamówione dania.

- I o to chodzi? Lubisz się kłócić? Nie rozwiniesz tej myśli?

- Nie w tej chwili. A kiedy następnym razem zadasz mi pytanie, zastanowię się, czy naprawdę chcesz poznać odpowiedź. Co jeszcze lubisz robić, poza czytaniem i polowaniem na książki?

- Te dwa zajęcia pochłaniają większość mojego czasu.

Lana pomyślała, że jeżeli dalsza rozmowa z Dougiem ma przypominać wyrywanie zębów, to chyba powinna poszukać obcęgów.

- Na pewno lubisz podróże.

- Mają swoje dobre strony, to prawda.

- Na przykład?

Na jego twarzy odmalował się wyraz tak otwartej frustracji, że Lana parsknęła śmiechem.

- Jestem bezlitosna, wiem - przyznała. - Równie dobrze możesz się poddać i opowiedzieć mi wszystko o sobie. Spróbujmy... Grasz na jakimś instrumencie? Interesujesz się sportem? Wierzysz, że Lee Harvey Oswald nie miał współnika?

- Nie. Tak. Nie mam zdania.

- Przyłapałam cię! - Ostrzegawczo podniosła widelec. - Uśmiechnąłeś się, widziałam!

- Nieprawda.

- Ależ tak! O, proszę, znowu! Masz bardzo miły uśmiech... Czy to boli?

- Tylko trochę. Wyszedłem z praktyki. Parsknęła śmiechem i sięgnęła po kieliszek z winem.

- Myślę, że da się coś z tym zrobić - oświadczyła.

Nie spodziewał się, że będzie się tak dobrze bawił. Naturalnie, nie miał wielkich oczekiwań, chciał tylko przetrwać ten wieczór, żeby dziadek przestał go wreszcie napastować, ale z drugiej strony, musiał uczciwie przyznać, że jej towarzystwo sprawiło mu przyjemność. Była... Tak, była intrygująca, pomyślał, kiedy wychodzili z restauracji. Błyskotliwa, mądra kobieta, która znalazła w sobie dość siły, aby podźwignąć się po straszliwym ciosie i nadal szukać spełnienia w życiu.

Podziwiał ją, zwłaszcza że sam radził sobie pod tym względem o wiele gorzej.

W dodatku całkiem miło było na nią patrzeć. Słuchając jej i odpowiadając na pytania, przynajmniej na dwie godziny przestał zastanawiać się nad swoją rodzinną sytuacją.

- Było mi bardzo przyjemnie - powiedziała, wyjmując kluczyki do samochodu z torebki wielkości pocztowego znaczka. - Chętnie powtórzyłabym ten wieczór... - Odrzuciła do tyłu włosy i utkwiała niebieskie oczy w twarzy Douga. - Następnym razem ty zapraszasz. Wspięła się na palce i pocałowała go.

Tego także zupełnie się nie spodziewał. Nie byłby zaskoczony szybkim cmoknięciem w policzek, nawet lekkim zetknięciem warg, ale to było ciepłe, wilgotne zaproszenie... Uwodzicielski, intymny gest, który wstrząsnąłby każdym mężczyzną...

Zanurzyła palce w jego włosach, jej język wykonywał pieszczotliwy taniec w jego ustach, jej ciało dopasowało się do jego ciała, wtuliła się w niego. Doug czuł smak wina, które pili, i czekoladowego musu, który zjadła na deser. Delikatny aromat perfum otoczył go ze wszystkich stron. Usłyszał szmer kół na żwirze, gdy ktoś wyjeżdżał z parkingu, i jej cichy, cichy śmiech.

Cofnęła się i zostawiła go z wirum doznań w głowie.

- Dobranoc, Doug.

Wsunęła się za kierownicę i zanim cofnęła wóz i skręciła na drogę, posłała mu zza zamkniętego okna długie, zmysłowe spojrzenie. Minęła minuta, może dwie, zanim Doug pozbierał myśli.

- Jezu Chryste! - wymamrotał, idąc w kierunku samochodu. - W co ty mnie wpakowałeś, dziadku?

Callie postanowiła zbadać i samą powierzchnię terenu, i głębsze warstwy gleby, w ten sposób dając zespołowi szansę odkrycia kolejnych

okresów osadnictwa oraz związków między wydobywanymi przedmiotami, a także jednoczesnego odnotowania zmian między okresami historycznymi w różnych punktach terenu.

Jeżeli miała dowieść i ponad wszelką wątpliwość potwierdzić, że w Antietam Creek znajdowała się kiedyś osada z epoki neolitu, musiała zastosować metodę horyzontalną.

Sama przed sobą mogła przyznać, że w tym celu bardzo potrzebowała pomocy Jake'a. Antropolog o jego wiedzy i talencie mógł zidentyfikować i określić pochodzenie oraz przeznaczenie przedmiotów z kulturowego punktu widzenia, budując wokół nich być może całkowicie nowe teorie, zostawiając jej więcej czasu na badanie kości.

Digger pracował już w swoim kwadracie, ze słuchawkami, których druciki zwisały spod nieodłącznej bandany. Callie wiedziała, że chociaż Digger słucha bardzo hałaśliwej muzyki, bynajmniej nie zakłóca to jego absolutnej koncentracji na pracy; wiedziała także, że jego duże, kanciaste dłonie, usuwające warstwy ziemi dentystycznymi szczypcami i miękkimi pędzlami, poruszają się równie delikatnie, precyzyjnie i celowo jak ręce najlepszego chirurga.

Rosie tkwiła o kwadrat dalej. Jej piękna skóra koloru karmelków pokryta była dużymi kroplami potu, a czarne włosy tworzyły ciasną, przylegającą do głowy czapkę.

Dwoje studentów przenosiło wiadra ziemi do kwadratu, w którym później mieli ją przesiać, natomiast Leo i Jake robili zdjęcia. Callie wybrała sobie odległy kąt pierwszej siatki, najbliższej Oczka Simona.

Doszła do wniosku, że potrzebują fotografa, asystenta, więcej ludzi do kopania i oczywiście więcej specjalistów. Wciąż znajdowali się na początku prac wykopaliskowych, lecz zdaniem Callie nigdy nie było za wcześnie na stworzenie sprawnego, dobrze współpracującego zespołu.

Myślała o zbyt wielu sprawach równocześnie... Powinna się skupić, a w jej przypadku najlepszą metodą było odseparowanie się od grupy. Tylko wtedy mogła myśleć wyłącznie o pracy, o jednym odcinku terenu.

Przerzucała ziemię ze swojego kwadratu do wiadra przeznaczonego do przesiewania, co jakiś czas przerywając, aby udokumentować istnienie kolejnej warstwy na kliszy fotograficznej i na arkuszu opisowym.

Oganiając się od komarów i gzów, ze wszystkich sił koncentrowała się na wybieraniu ziemi, cal po calu.

Kiedy odsłoniła kości, omiotła z nich drobiny ziemi i ostrożnie zebrała. Pot spływał jej po twarzy i po plecach. W pewnej chwili podniosła się i wyprostowała, aby zdjąć koszulę safari, i dalej pracowała w samej bluzeczce.

Przysiadła na piętach, podniosła głowę i rozejrzała się po terenie.

Jake nagle przerwał pracę i odwrócił się w jej stronę, zupełnie jakby go zawołała. Chociaż żadne nie odezwało się ani słowem, ruszył ku mej. Bacznym spojrzeniem zmierzył jej znalezisko i przykucnął tuż obok.

Kości leżały głęboko w rozmięklej ziemi, w prawie idealnym stanie, od mostka po czaszkę. Callie powoli przystąpiła do odsłaniania reszty szkieletu.

Odkryte szczątki bez słów opowiadały własną historię. Obok większego szkieletu spoczywał znacznie mniejszy, wtulony w załomek ramienia pierwszego.

- Pogrzebali ich razem - powiedziała Callie. - Sądząc po wielkości, dziecko zmarło w czasie porodu lub zaraz po narodzeniu, matka najprawdopodobniej także. Laboratorium powinno to potwierdzić. Pochowali ich razem... - powtórzyła powoli. - Wskazuje to na zachowania znacznie bardziej prywatne niż zwyczaje plemienne. Zrobiła to ich rodzina...

- Leo musi to zobaczyć. Spróbujemy wydobyć szczątki w całości, jeśli okaże się to możliwe, i dokładnie przeszukać resztę kwadratu. Skoro byli dość cywilizowani, aby celebrować taki pochówek, to w pobliżu mogą znajdować się inne groby.

- Masz rację. - Callie była tego samego zdania. - Założę się, że wkrótce natkniemy się na inne. To cmentarz.

Czy od pierwszej chwili obdarzyli się miłością? Czy ta szczególna więź, więź między matką i dzieckiem, została zadziergnięta tak szybko? Czy Suzanne również trzymała ją w ten sposób, zaraz po narodzeniu? Z czułością, blisko, bardzo blisko, nie zważając na skurcze, które dopiero ustępowały?

Co budziło się w podświadomości dziecka, które jeszcze nie przyszło na świat, i w tych pierwszych, wyjątkowych chwilach? Czy właśnie wtedy rodziło się niezniszczalne uczucie, uczucie, którego nie sposób zatrzeć?

I czy można powiedzieć, że uczucia jej matki w jakikolwiek sposób różniły się od uczuć Suzanne? Czy w chwili, gdy Vivian Dunbrook wyciągnęła ramiona i przytuliła małą córeczkę, o której marzyła, powstała ta sama więź?

Co określa związek matki i dziecka, jeżeli nie miłość? A teraz miała przed sobą niepodważalny dowód, że miłość może przetrwać tysiące lat... Dlaczego więc czuła tak głęboki smutek?

- Musimy się skonsultować z Indianinem, chciałem powiedzieć - rdzennym Amerykaninem, zanim zaczniemy wydobywać szkielety. - Jake bezwiednie oparł rękę na ramieniu Callie i ukląkł obok niej na skraju grobu. - Zadzwoń, gdzie trzeba...

Callie strząsnęła jego dłoń.

- Dobrze, zajmij się tym - rzuciła. - Ale te szkielety trzeba wydobyć jak najszybciej. Nie zaczynaj! - Podniosła rękę, uprzedzając jego zastrzeżenia. - Zdaję sobie sprawę z komplikacji na tle rytualnym i emocjonalnym, lecz wystawione na działanie powietrza kości muszą zostać natychmiast poddane procesowi konserwacji, inaczej wyschną i rozpadną się.

Jake zerknął na niebo, po którym właśnie przetoczył się grzmot.

- Dzisiaj na pewno nic nie wyschnie, bo zaraz rozpęta się burza. - Ignorując jej opór, prawie siłą podniósł ją z ziemi. - Zapiszmy wszystkie szczegóły, zanim zaczniesz łać. - Delikatnie potarł świeże zadrapanie na jej dłoni. - Nie bądź smutna...

Z rozmysłem odwróciła twarz.

- To kluczowe znalezisko - mruknęła.

- Które w tej chwili poruszyło rozedrganą nutę w twoim sercu, prawda?

- Nie o to chodzi! - Nie była w stanie przyznać mu racji.

Sięgnęła po aparat i szybko zaczęła robić zdjęcia. Cofnęła się o parę kroków, raz po raz naciskając spust migawki. Jake z wielkim wysiłkiem woli nakazał sobie cierpliwość.

- Ściągnę eksperta - powiedział.

- Nie zamierzam czekać, aż ona i dziecko rozsypią się w proch, zanim ty odbędziesz naradę wojenną. Pośpiesz się, Graystone. - Z tymi słowy ruszyła na poszukiwanie Lea.

Odkryty przez Diggera jeleni róg oraz wydrażona kość, która mogła służyć jako rodzaj gwizdka, straciły na atrakcyjności wobec odsłoniętych szkieletów, stały się jednak nowymi elementami obrazu osady, jaki zaczął powstawać w wyobraźni Callie.

Burza rozszalała się przed wieczorem, zgodnie z przewidywaniami Jake'a. Dało to Callie możliwość zamknięcia się w motelowym pokoju i naszkicowania swojej wizji osady. Miejsce, gdzie łupano kamień, chaty, cmentarzysko... Jeżeli miała rację, gdzieś między działkami D - 25 i E - 12 powinni znaleźć wysypisko śmieci.

Potrzebowała więcej rąk do pracy i mogła tylko mieć nadzieję, że jej nowe znalezisko umożliwi ściągnięcie do Antietam Creek większej liczby ludzi.

Kiedy zadzwonił telefon, z roztargnieniem sięgnęła po słuchawkę. Głos ojca natychmiast przywołał ją do rzeczywistości.

- Nie byłem pewny, czy zastanę cię o tej porze, ale pomyślałem, że spróbuję...

- Mamy tu burzę - powiedziała Callie. - Dlatego siedzę w pokoju i odwalam papierkową robotę.

- Odnalazłem Henry'ego Simpsona, kochanie. Przeszedł na emeryturę i wyprowadził się do Wirginii. Rozmawiałem z nim, oczywiście krótko, bo nie ustaliliśmy, co mogę mu powiedzieć. Wyjaśniłem, że chciałabyś się dowiedzieć czegoś o swoich biologicznych rodzicach. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem...

- Tak, to chyba najprostsze wyjaśnienie.

- Niewiele potrafił mi powiedzieć. Słyszał, że Marcus Carlyle także się gdzieś przeniósł, ale nie wie ani dokąd, ani kiedy. Obiecał mi, że spróbuje czegoś się dowiedzieć...

- Dziękuję, tato. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to łatwe dla ciebie i mamy... Gdybym zdecydowała się sama porozmawiać z doktorem Simpsonem, to czy mogę poprosić cię, żebyś wcześniej naświetlił mi całą sytuację?

- Oczywiście. Kochanie, ta kobieta, Suzanne Cullen... Co zamierzasz jej powiedzieć?

- Nie wiem, ale nie mogę zostawić tak tej sprawy... - Callie znowu wróciła myślami do odkrytych kości. Matka i dziecko. - Nie potrafiłabym z tym żyć...

Chwilę milczał, potem lekko westchnął.

- Tak, rozumiem cię. Jesteśmy tutaj, gdybyś nas potrzebowała... Gdybyś potrzebowała czegokolwiek...

- Zawsze byliście przy mnie.

Nie mogę wrócić teraz do pracy, pomyślała, odkładając słuchawkę. Nie mogła też chodzić w tę i z powrotem po tej ciasnej klitce, zupełnie jak dzikie zwierzę. Spojrzała na wiolonczelę, lecz poczuła, że muzyka nie zawsze koi zranione serce. Musiała zrobić jakiś krok naprzód, ale jaki? Zadzwoiła do Suzanne.

Wskazówki okazały się szczegółowe, jasne i trafne, co przekonało Callie, że Suzanne potrafi być zorganizowana i logicznie myśląca. To chyba oczywiste, pomyślała, jadąc wyżywirowaną aleją między drzewami. Roztargniona bałaganiara nigdy nie stworzyłaby wielkiej firmy, a wrażenie, jakie Suzanne zrobiła na Callie podczas pierwszego spotkania, było całkowicie mylne.

Najwyraźniej Suzanne ceniła prywatność. Została tu, gdzie były jej korzenie, ale zamieszkała w ustronnym miejscu.

Jej dom był świadectwem dobrego gustu, zamożności i zamiłowania do przestrzeni. Zbudowano go z drewna w miodowym odcieniu, zgodnie ze współczesnymi trendami w architekturze, z dwoma drogimi tarasami, nie żałując szkła. Callie zauważyła też dużo kwiatów i roślin ogrodowych, zadbanych i bujnych, wśród których wytyczono wyłożone kamiennymi

plytami ścieżki, biegnące wokół dębowych ławek i stolików oraz starannie przystrzyżonych trawników.

Callie zawsze uważała, że ludzi można ocenić na podstawie wyglądu ich domu. Teraz była pewna, że Jake by się z nią zgodził. Dom wiele mówił o osobowości, pochodzeniu i wewnętrznej kulturze. Kiedy zatrzymała się za najnowszym modelem mitsubishi, spróbowała przypomnieć sobie co miała na sobie Suzanne, kiedy przyjechała do motelu. Ubranie, biżuteria i dodatki były innymi sygnałami, podpowiadającymi, z jakim typem czy kategorią człowieka miało się do czynienia. Niestety, nie zapamiętała takich szczegółów z tamtej wizyty.

Chociaż błyskawice przestały już rozdzierać niebo, krople deszczu nadal mocno uderzały o ziemię. Callie szybko wyskoczyła z samochodu i wbiegła na ganek, lecz i tak zdążyła przemoknąć do nitki. Drzwi otworzyły się natychmiast.

Suzanne miała na sobie bardzo Wąskie czarne spodnie i dopasowaną bluzkę w morskim odcieniu błękitu. Była doskonale umalowana, a włosy sprawiały wrażenie świeżo ułożonych. Na bosych stopach nosiła zgrabne sandały.

Przy jej nodze stał wielki czarny labrador, którego ogon rytmicznie walił o ścianę, niczym radosny metronom.

- Proszę... Proszę do środka - Sadie jest nieszkodliwa, ale jeżeli chcesz, mogę ją zamknąć.

- Nie, nie trzeba. - Callie pozwoliła psu obwąchać i polizać wierzch dłoni, potem zaś pieszczotliwie podrapała sukę między uszami. - Wspaniały labrador.

- Ma trzy lata i jest strasznie hałaśliwa, ale jej towarzystwo sprawia mi prawdziwą radość. Lubię ten dom, a z Sadie czuję się bezpieczniejsza. Oczywiście ta łobuzica jest tak przyjaźnie nastawiona do ludzi, że zaliczałyby włamywacza na śmierć, gdyby... Przepraszam, za dużo mówię...

- Nic nie szkodzi.

Callie stała, głaszcząc psa po głowie i nie bardzo wiedząc, co robić, świadoma, że Suzan ani na sekundę nie spuszcza wzroku z jej twarzy.

- Musimy porozmawiać.

- Tak, naturalnie... - Suzanne wskazała wejście do salonu. - Zaparzyłam kawę. Tak się cieszę że zadzwoniłaś, bo nie miałam pojęcia, co zrobić... - Przystanęła obok kanapy i odwróciła się twarzą do Callie. - szczerze mówiąc, nadal nie wiem...

- Chodzi o moich rodziców... Callie czuła, że musi od tego zacząć, musi potwierdzić i podkreślić swój związek z Vivian i Elliotem.

Mimo to nie mogła pozbyć się uczucia, że w jakiś sposób dopuszcza się zdrady wobec nich, siadając na fotelu w pięknym salonie Suzanne i głaszcząc przyjacielskiego psa, który ułożył się na podłodze u jej stóp.

- Rozmawiałaś z nimi?

- Tak. Zostałam adoptowana w 1974 roku. Była to prywatna adopcja. Moi rodzice są uczciwymi praworządymi, dobrymi ludźmi, pani Cullen...

- Proszę cię... - Suzanne obiecała sobie, że nie pozwoli, aby ręce jej drżały. Zdecydowanym ruchem sięgnęła po dzbanek z kawą i napełniła filiżanki, Nie rozlewając ani kropli. - Nie nazywaj mnie tak... Czy nie mogłabym być dla ciebie po prostu „Suzanne”? Na razie, dodała w myśli. Tylko na razie.

- Była to prywatna adopcja - ciągnęła Callie. - Za radą położnika, który opiekował się moją matką, wynajęli prawnika, a ten bardzo szybko i za sporą opłatą powiadomił ich o możliwości adoptowania dziewczynki. Udzielił im tylko podstawowych informacji o biologicznej matce.

- Mówiłaś mi, że nie jesteś adoptowanym dzieckiem - przerwała jej Suzanne. - Nie wiedziałaś o tym?

- Mieli powody, żeby nic mi nie mówić, powody istotne jedynie dla nich samych. Niezależnie od sytuacji, w jakiej się wszyscy znaleźliśmy, musisz zrozumieć, że oni naprawdę nie zrobili nic złego.

Suzanne odkryła, że ręce jednak jej się trzęsą.

- Bardzo ich kochasz...

- Tak. To także musisz zrozumieć jeżeli to ja jestem tym dzieckiem, które ci skradziono...

- Dobrze wiesz, że nim jesteś.

Jessica, pomyślała Suzanne. Moja Jessie... Jej serce płakało rozpaczliwie.

- Mogę teoretyzować, ale nie wiem tego na pewno - rzekła Callie. - Możemy zrobić badania, aby ustalić, czy rzeczywiście ja jestem twoją biologiczną córką.

Suzanne wzięła głęboki oddech. Mogłaby przysiąc, że jej skóra płonie żywym ogniem.

- Jesteś gotowa je zrobić? - zapytała.

- Musimy wiedzieć. Zasługujesz na prawdę. Zrobię co w mojej mocy, aby znaleźć odpowiedzi na twoje pytania. Nie wiem, czy mogę obiecać ci coś więcej. Przykro mi... - Serce Callie zabiło szybciej na widok łez w oczach Suzanne. - To trudna sytuacja dla nas wszystkich... Tak czy inaczej, nawet jeżeli to ja byłam tym dzieckiem, teraz już nim nie jestem...

- Zrobię badania. - Łzy brzmiały także w głosie Suzanne. - I naturalnie

Jay, twój... Mój były mąż. Skontaktuję się z nim. Jak długo trzeba będzie czekać na wyniki? Na ostateczne wyniki...

- Mój ojciec jest lekarzem i przyspieszy tok sprawy.

- Jaką mogę mieć gwarancję, że nie sfalszuje wyników?

Na twarzy Callie po raz pierwszy pojawił się wyraz gniewnego zniecierpliwienia.

- Ja daję taką gwarancję, ponieważ znam go i wiem, jakim jest człowiekiem. Musisz mi zaufać, bo inaczej nie ma sensu ciągnąć tego dalej. Tu mam wszystkie informacje... - Wyjęła z torby kartkę i położyła ją na stole obok tacy z dzbankiem do kawy i ciasteczkami. - Co trzeba zrobić, gdzie przesłać krew do badania. Jeżeli będziesz miała jakieś wątpliwości co do całej procedury, to twój lekarz na pewno potrafi je rozwiązać.

- Nie mogę myśleć, nie potrafię... - Suzanne walczyła ze łzami, które przesłaniały jej twarz Callie. To było jej dziecko, musiała je widzieć... - Całe moje życie zmieniło się w chwili, gdy odwróciłam się plecami do ciebie, spokojnie śpiącej w wózku. Trwało to minutę, najwyżej dwie - ciągnęła z wymuszonym spokojem. - Na pewno nie dłużej. A jednak wszystko się zmieniło, twoje życie także. Pragnę mieć szansę na odzyskanie odrobiny utraconej przeszłości, chcę cię poznać, dowiedzieć się, kim jesteś, wrócić z tobą do lat, które odeszły.

- W tej chwili mogę obiecać ci tylko odpowiedzi na pytania, które cię dręczą, nic więcej - powiedziała Callie. - Jak, dlaczego, kto... Ale przecież nic nie zrekompensuje ci tej strasznej straty. Nic nie pozwoli ci cofnąć się w czasie i nic nie uczyni ze mnie twojej córki, tego niemowlęcia, którym kiedyś byłam.

Wszystko jest nie tak, pomyślała Suzanne. Znalazłam moje dziecko, ale dlaczego mówi do mnie tym chłodnym, opanowanym głosem... Dlaczego moja córka przygląda mi się jak obcej osobie...

- Skoro tylko tyle czujesz, to dlaczego przyjechałaś? - zapytała. - Mogłaś zignorować moją prośbę lub utrzymywać mnie w przekonaniu, że nie zostałam adoptowana.

- Rodzice wychowali mnie w szacunku dla prawdy, nauczyli mnie także, że nie wolno wzruszać ramionami w obliczu czyjegoś cierpienia. To, co się stało, nie było twoją czy moją winą, ani winą moich rodziców, ale ktoś ponosi za to odpowiedzialność. Ktoś zmienił nasze życie i najprawdopodobniej zrobił to dla zysku. Ja również chcę poznać odpowiedzi...

- Jesteś prostolinijna, bezkompromisowa, uczciwa... Często wyobrażałam sobie, jak by to było - zobaczyć cię, porozmawiać z tobą... Nie sądziłam, że tak to będzie wyglądało.

- Masz nadzieję na odnowienie więzi, która nie istnieje. - Callie

westchnęła. Wszystkie na wpół zabliznione rany w sercu Suzanne otworzyły się i zaczęły od nowa krwawić.

- Co czujesz?

- Jest mi przykro. Pani Cullen... Suzanne... - Callie poprawiła się pośpiesznie, szczerze żałując, że nie potrafi pokonać istniejących w niej samej barier. - Współczuję tobie i twojej rodzinie. I mojej. I nie wiem, nie wiem, co myśleć... Jakaś część mnie żałuje, że zobaczyłaś mnie w telewizji, bo znowu odmieniłaś moje życie. Nie mam pojęcia, dokąd teraz zmierzam...

- Nigdy, za żadne skarby nie zrobiłabym nic, co mogłoby sprawić ci ból.

- Chciałabym powiedzieć to samo, lecz obawiam się, że prawie wszystko, co robię, może stać się przyczyną twojego cierpienia...

- Mogłabyś powiedzieć mi coś o sobie? Co robisz, co chciałaś robić, czego pragniesz... Po prostu... Po prostu cokolwiek...

- Dzisiaj znalazłam kości.

Kiedy zaskoczona Suzanne zamrugała, Callie z ogromnym wysiłkiem przywołała uśmiech na twarz i wzięła ciasteczko.

- Mówię o swojej pracy. Sądzę, że znaleźliśmy prehistoryczną osadę. Neolityczne siedlisko nad strumieniem, u podnóża gór, miejsce, gdzie plemię budowało domy, wychowywało dzieci, polowało, przymierzało się do uprawy ziemi. Dzisiaj znalazłam dowód, który może potwierdzić tę teorię. Jeżeli osada jest tak duża, jak sądzę, prawdopodobnie będziemy pracować tu przez kilka sezonów.

- Cóż... Ronald Dolan wpadnie w furję.

- Możliwe, ale w niczym mu to nie pomoże. Środki masowego przekazu nagłośnią całą sprawę, społeczność naukowa zajmie odpowiednie stanowisko. Dolan będzie musiał uznać, że ta inwestycja okazała się niewypałem.

- Czy pokazałabyś mi, co robisz, gdybym przyjechała na teren prac? - Suzanne uśmiechnęła się nieśmiało.

- Jasne. To tyje piekłaś? - Callie uniosła nadgryzione ciastko. - Sama?

- Tak. Smakują ci? Zaraz zapakuję je do pudełka. Ja...

- Są cudowne - powiedziała Callie, świadoma, że jest to pewien sposób nawiązania bliższego kontaktu, najlepszy, na jaki ją w tej chwili stać. - Mój... Mój kolega z pracy... - Nie wiedziała, jak opisać Jake'a. - Więc ten mój kolega rozpoznał twoje nazwisko... Wypieki Suzanne, prawda? Od lat opycham się nimi do nieprzytomności.

- Naprawdę? - Łzy znowu napłynęły jej do oczu, ale zdołała je powstrzymać. - Cieszę się... Jesteś bardzo miła...

- Nie, to nieprawda. Jestem uparta, samolubna, łatwo wpadam w gniew i w rozmaite obsesje, i bardzo, bardzo rzadko bywam miła. Nie staram się być

miła, najczęściej w ogóle o tym nie myślę.

- Ale dla mnie byłaś bardzo miła, chociaż przecież jakaś część ciebie musi mieć do mnie pretensje. Dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę...

- Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym...

- I ostrożnie obchodzisz się ze swoimi uczuciami - powiedziała Suzanne, przesuwając ciasteczka. - Chodzi mi o to, że nie spieszysz się z okazywaniem uczuć. Doug też jest taki, był taki już jako mały chłopiec. Zawsze dużo myślał, rozumiesz, co chcę powiedzieć, prawda? Można było bez trudu dostrzec, że nad czymś się zastanawia, był w tym taki intensywny... - Suzanne zaśmiała się, sięgnęła po ciastko i cofnęła rękę. - Tyle rzeczy chciałabym ci wyjaśnić, opisać... Zaraz, zaraz, mam coś, co pragnę ci podarować...

- Suzanne...

- W gruncie rzeczy to wcale nie jest prezent. - Suzanne podeszła do bocznego stolika i wzięła z niego tekturowe pudełko. - To listy. Co roku w dzień twoich urodzin pisałam do ciebie list. Pomagało mi to przetrwać...

- Nie mamy jeszcze pewności, czy pisałaś je do mnie.

- Obie wiemy, że tak właśnie jest. - Suzanne usiadła i postawiła pudełko na kolanach Callie. - Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybyś je wzięła. Nie musisz ich czytać, ale mam wrażenie, że to zrobisz. Jesteś ciekawa świata, inaczej nie zajmowałabyś się archeologią... Nie mam cienia wątpliwości, że zastanawiasz się nad tym, co nas spotkało.

- W porządku. - Callie podniosła się z fotela. - Muszę jeszcze wrócić do pracy...

- Tyle chciałabym... - Suzanne wstała.

W tej samej chwili Sadie szczerknęła radośnie i pobiegła do drzwi, które otworzyły się nagle. Na progu stanął Doug.

- Dajże spokój! - Ze śmiechem odepchnął skaczącego jak na sprężynie potężnego psa. - Przecież rozmawialiśmy o tym ostatnim razem, nie pamiętasz? Może okazałabyś odrobinę godności i...

Umilkł i znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym w drzwiach do salonu. Tysiąc myśli przebiegło mu przez głowę i przygniotło serce, chociaż jego twarz pozostała całkowicie obojętna.

- Doug... - Suzanne poderwała dłoń do szyi, jej palce zacisnęły się na najwyższym guziku bluzki. - Nie wiedziałam, że wpadniesz... To jest... O, mój Boże...

- Callie. - Callie dałaby wiele, aby uciec przed nagłym napięciem, jakie dało się wyczuć w pokoju. Niepewnie poprawiła trzymane pod pachą pudełko. - Callie Dunbrook.

- Tak, wiem. - Doug przeniósł spojrzenie na matkę. - Przepraszam, powinienem był zadzwonić...

- Przestań się wygłupiać, Doug.

- Już wychodzę. - Callie spojrzała na Suzanne. - Będziemy w kontakcie.

- Odprowadzę cię.

- Nie, nie trzeba... - Callie ruszyła w stronę drzwi, ani na chwilę nie spuszczając oczu z twarzy Douga.

Jej serce galopowało jak szalone, zdołała jednak przejść obok niego spokojnie i wyjść na zewnątrz. Pobiegła do samochodu, szarpnęła drzwiczki i wsunęła pudełko pod przednie siedzenie.

- Dlaczego przyjechałaś?

Odgarnęła wilgotne włosy z czoła i odwróciła się twarzą do Douga, który stał obok niej na wciąż padającym deszczu. Miała wrażenie, że powietrze wokół niego aż iskrzy od napięcia, a krople powinny zasyczeć, zderzając się z jego skórą.

- Na pewno nie po to, żeby cię wkurzyć - odparła. - Nawet cię nie znam.

- Moja matka przechodzi teraz ciężki okres, a ty nie ułatwiasz jej życia, wpadając na kawę i ciasteczka.

- Posłuchaj, jeżeli mam ochotę wpaść do niej na kawę i ciasteczka, to mogę to zrobić. Żyjemy w wolnym kraju. Tak się jednak składa, że nie jest to główny powód mojej wizyty. Nie chcę niepokoić twojej matki i nie zamierzam komplikować waszego życia, ale wszyscy powinniśmy poznać odpowiedzi na pewne pytania...

- Niby w jakim celu? - zapytał ostro.

- Żeby wyjaśnić tę sytuację.

- Odkąd firma matki weszła na rynek ogólnokrajowy, mniej więcej co dwa lata pojawia się jakaś dziewczyna, podająca się za jej dawno zaginioną córkę. To coś w twoim stylu, prawda? Coś w rodzaju poszukiwania stypendiów i subsydiów, mam rację?

Callie podniosła wysoko głowę i zrobiła krok do przodu. Stała dokładnie naprzeciwko Douga, tak blisko, że czubki ich butów się zetknęły, i spojrzała mu prosto w twarz.

- Pieprz się! - rzuciła.

- Nikomu nie pozwolę jej skrzywdzić. Nigdy więcej.

- I dlatego uważasz się za dobrego syna? - Parsknęła pogardliwie.

- Dlatego z całą pewnością nie uważam się za twojego brata.

- Co za ulga! Pozwól, że ci przypomnę, Doug, czy jak ci tam na imię, iż to ona przyszła do mnie, ni stąd, ni zowąd, wywracając moje życie do góry nogami. Wczoraj widziałam się z moimi rodzicami, którzy nadal są w szoku.

Nie wiem, jak sobie poradzą. Musiałam oddać krew do badania i naprawdę nie mogę się w tym wszystkim odnaleźć. I nie tryskam w tej chwili radością i pogodą ducha, więc lepiej daj mi spokój, do ciężkiej cholery!

- Ona nic dla ciebie nie znaczy.

- To także nie moja wina. - Wiedziała o tym, ale wyrzuty sumienia wciąż ją dręczyły. - Ani jej. A jeżeli martwisz się o spadek, to możesz się zrelaksować. Nie chcę jej pieniędzy. Słowo daję, że mam wszystkiego dosyć, bo przez ostatnie dwadzieścia minut patrzyłam, jak ona stara się nie załamać, więc jeżeli chciałbyś, żebym się na tobie wyładowała, to z radością to zrobię. A jeśli nie, to znam kilka lepszych sposobów na wykorzystanie czasu niż stanie na deszczu i wyklócanie się z tobą.

Odwróciła się na pięcie, wskoczyła do samochodu i zatrzaskała drzwiczki. Z pewnym trudem oparła się pokusie, aby przejechać mu po stopach. Jeżeli tak miały wyglądać kontakty z rodzeństwem, to chyba powinna uważać się za szczęściarę, że przez pierwsze dwadzieścia osiem lat swojego życia była jedynaczką.

Kiedy dotarła do motelu, była w najgorszym z możliwych nastrojów. Ledwo weszła do pokoju, a już rozdzwonił się i stojący na stoliku telefon, i jej komórka. Ze złością wyszarpnęła komórkę z torby.

- Tu Dunbrook, proszę chwilę zaczekać - rzuciła, chwytając słuchawkę stacjonarnego aparatu. - Dunbrook, słucham!

- Tylko nie odgryź mi głowy - odezwała się Lana. - Dzwonię, żeby podać ci najnowsze informacje, ale jeżeli masz na mnie warczeć, to chyba podniosę stawkę...

- Przepraszam. Czego się dowiedziałas?

- Wolałabym porozmawiać z tobą w cztery oczy. Możesz wpaść?

- Przed sekundą wróciłam. Jestem trochę zmęczona.

- W takim razie ja przyjadę - oświadczyła Lana. - Będę za pół godziny.

- Nie mogłabyś po prostu...

- Nie. Zobaczymy się za pół godziny. - Lana przerwała połączenie.

- O, kurwa mać! - Callie rzuciła słuchawkę na widelki i już miała sięgnąć po komórkę, gdy ktoś zapukał do drzwi. - Wspaniale, co tam, cudownie! - Gwałtownie szarpnęła klamkę ku sobie i wbiła wściekle spojrzenie w twarz Jake'a. - Czy ludzie nie mają nic lepszego do roboty tylko dręczyć mnie od świtu do zmierzchu?! - Odwróciła się i podniosła komórkę do ucha. - Tak, o co chodzi?

- Zastanawiałem się, gdzie jesteś. - Głos Jake'a dobiegł do niej w wersji stereo, przez słuchawkę i od drzwi.

Odwróciła się znowu. Stał w progu, trzymając przy uchu własną

komórkę i wystawiając plecy na uderzenia kropel deszczu.

- Byłem w restauracji i pomyślałem, że powiem ci, co słyhać. Telefon w pokoju nie odpowiadał, więc postanowiłem spróbować szczęścia przez komórkę...

- Dlaczego rozmawiasz ze mną przez telefon, skoro już tu jesteś, do diabła?!

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie.

Callie wzniosła oczy do sufitu i rzuciła komórkę na łóżko.

- Więc co słyhać?

Jake wszedł do środka i zamknął drzwi. Kiedy ruszył w jej kierunku, Callie podniosła dłoń w ostrzegawczym geście, zupełnie jak policjant z drogówki na skrzyżowaniu. Dobrze знаła ten błysk w jego oczach...

- O, nie... - mruknęła.

- Jesteś cała mokra. Wiesz, jak mnie to podnieca, gdy ubranie klei ci się do skóry.

- Będiesz znacznie mniej podniecony, kiedy podzielę cię tą lampą. Cofnij się, Graystone. Nie jestem w nastroju do zabawy.

- Mam wrażenie, że trochę zabawy dobrze by ci zrobiło.

- To idiotyczny eufemizm, Graystone! Bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego mężczyźni zawsze uważają, że kobieta jest w złym nastroju, bo potrzebuje seksu!

- Może dlatego, że nadzieja jest odwiecznym kołem napędowym dziejów? - Jake z przyjemnością dostrzegł krótki błysk uśmiechu w jej oczach.

- Czego chcesz, oczywiście poza seksem? - zapytała.

- Oczywiście nic, co przychodzi mi na myśl, nie może równać się z seksem, ale... - Zawiesił głos, padł na łóżko i swobodnie skrzyżował nogi w kostkach. - Znalazłem dostęp do źródła lokalnych plotek. Frieda, kelnerka, która aż się rwie, żeby mnie obsługiwać, mówi, że Dolan już zwiedził się o dzisiejszym znalezisku. Wpadł w dziką furję, o czym ona wie od swojego siostrzeńca, który pracuje dla Dolana i był na miejscu, kiedy ten otrzymał wiadomość.

W gruncie rzeczy całkiem przyjemnie byłoby posłuchać o dramatach innych ludzi, pomyślała Callie, tylko dla formalności wzruszając ramionami. - I co z tego? - warknęła.

- To, że Dolan podobno zamierza podać nas do sądu. Utrzymuje, że wymyśliliśmy to wszystko, a w rzeczywistości jesteśmy w zмовie z tymi od ochrony przyrody i w ten sposób usiłujemy uniemożliwić budowę jego osiedla. Masz tu jakieś piwo?

- Nie, nie mam żadnego piwa. Dolan może się wściekać, ile dusza

zapragnie, kości leżą w ziemi, i tyle.

- W okolicy krąży jeszcze jedna plotka... - ciągnął Jake.

- Na pewno niejedna, prawda? - przerwała mu.

- Niektórzy uważają, że Antietam Creek to przeklęte miejsce. No, wiesz, o co chodzi - zwariowani naukowcy dobrali się do prehistorycznych grobów i zakłócili spokój zmarłych.

Callie uśmiechnęła się lekko, nie ukrywając dłużej rozbawienia. Nacisnęła przycisk zapalniczki i przytknęła płomyk do knota świecy.

- Powtórka z Klątwy mumii!

- Trochę inna wersja. - Jake nie spuszczał oczu z Callie, która mocno wytarła włosy przyniesionym z łazienki ręcznikiem i zaczęła przechadzać się po pokoju. - Tak czy inaczej, ta plotka cieszy się sporą popularnością. Nie muszę ci mówić, że ludzie uwielbiają takie idiotyzmy.

- Mamy więc przeklęte miejsce, wściekłego inwestora i za mało rąk do pracy, tak? No i jeszcze musimy tu ściągnąć konsultanta, koniecznie rdzennego Amerykanina, który będzie nadzorował nasze poczynania...

Callie wyjęła suchą bluzkę z komody i ku wielkiemu rozczarowaniu Jake'a, poszła do łazienki, żeby się przebrać.

- Poza tym, jutro z powodu tego cholernego deszczu będziemy pracować po kolana w błocie! - dorzuciła.

Jake przekrzywił głowę, chcąc sprawdzić, czy zdoła zobaczyć jej odbicie w przymocowanym do drzwi łazienki lustrze.

- Człowiek ma chyba prawo do drobnych przyjemności, prawda?

- Zgadza się - przytaknął.

Callie wróciła do pokoju, wyjęła z torby butelkę z wodą mineralną i podjęła swój spacer. Nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że Callie Dunbrook jest zrelaksowaną, spokojną kobietą, pomyślał Jake.

- Tak czy inaczej, nie jest najgorzej - oznajmiła nagle z szerokim uśmiechem. - Uwielbiam tę robotę...

- Gdzie byłeś?

Uśmiech zgasł w ułamku sekundy.

- Załatwiałam prywatne sprawy.

Jake postukał wielkim palcem u nogi w leżące na łóżku pudełko po butach.

- Kupowałaś buciki? Nie chcesz chyba powiedzieć, że nagle stałaś się kobietką, Dunbrook?

- Nie byłam na zakupach! - Chwyciła pudełko i z ciężkim westchnieniem postawiła je na komodzie. - Och, no, dobrze... To listy. Suzanne Cullen pisała do córki w każde jej urodziny. Jezu Chryste, Jake...

Jeżu, gdybyś mógł zobaczyć jej twarz, kiedy stanęłam w drzwiach, gdy z nią rozmawiałam... Ona czeka, czeka na jakiś gest z mojej strony, a ja nie mam pojęcia, co z tym zrobić...

- Mogłem pojechać z tobą. Callie potrząsnęła głową.

- I tak jest mi już strasznie trudno, więc po co mieszać do tego jeszcze jedną osobę. Gdy wychodziłam, przyjechał jej syn, który wcale nie jest zachwycony takim rozwojem wydarzeń. Nawrzeszczał na mnie, zupełnie jakbym sama uciekła z wózka wyłącznie po to, żeby spieszyć mu życie. Staliśmy w deszczu i warczeliśmy na siebie jak para idiotów. Właściwie to ten głupek oskarżył mnie, że poluję na jej pieniądze!

- Jak długo pozostanie w szpitalu?

Ten żart trochę poprawił jej humor. Podniosła głowę i spojrzała na jego odbicie w lustrze.

- Masz rodzeństwo, prawda? - zagadnęła. - Brata i siostrę... Czy wy też walczyście o rodziców jak psy o kość?

- Po prostu się kłócimy - odparł. - Kłótnia leży w naturze tej więzi, podobnie jak rywalizacja, drobne niechęci i tak dalej. To cecha plemienna. Drugą jest tworzenie wspólnego frontu wobec obcych. Mogę skopać tyłek swojemu bratu, ale jeżeli zaatakuje go ktoś inny, to stanę w jego obronie, więcej - wdepczę napastnika w ziemię. A gdyby coś stało się mojej młodszej siostrze, chyba oszalałbym z rozpaczy.

- Byłam młodszą siostrą tego faceta przez trzy miesiące. Czy to wystarczy, aby stworzyć jakąkolwiek więź?

- Instynktowną więź, więź krwi. Nie zapominaj też, że on był starszym bratem, chłopcem, któremu na pewno często powtarzano, iż powinien się tobą opiekować. - Jake wyciągnął rękę po butelkę z wodą. - Może mu się to podobało, może wręcz odwrotnie, ale fakt, że rodzice i reszta rodziny dawali mu do zrozumienia, iż na niego liczą, umacniał jego instynkt. - Przerwał, napił się wody i oddał butelkę Callie. - Nie zdał egzaminu, zawiódł sam siebie i swoich bliskich. Teraz jest mężczyzną i jako jedyny syn skoncentrował instynkt opiekuńczy na matce, w każdym razie tak sędzę. Ty jesteś jednocześnie i osobą obcą, i zaginionym dzieckiem, więc facet po prostu nie wie, jak to przyjąć.

- Coś mi się wydaje, że stajesz po jego stronie...

- Nic z tych rzeczy, uświadamiam ci tylko, co się z nim dzieje. Gdybyś tu trochę podeszła, wczłogała się na mnie i poprosiła, żebym skuł mu twarz, to niewykluczone, że zastanowiłbym się nad tym rozwiązaniem...

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Callie zmarszczyła brwi i kciukiem wskazała Jake'owi wyjście.

- Wynocha!

Kiedy jednak poszła otworzyć, Jake ułożył się wygodniej i splótł dłonie za głową. Lana strząsnęła wodę z parasolki i weszła do pokoju. Callie spostrzegła, że nie ma ona na sobie ani kropli deszczu. Jakim cudem udało jej się ani trochę nie zmoknąć w czasie ulewy...

- Psia pogoda - zaczęła Lana. - Ledwo można... Och! - Przekrzywiła głowę na widok wyciągniętego na łóżku Jake'a. - Przepraszam, nie wiedziałam, że ktoś jest u ciebie...

- To nie „ktoś”, tylko przyczyna irytacji - odparła sucho Callie. - Jacob Graystone, Lana Campbell.

- Poznaliśmy się przedwczoraj, kiedy zajrzałam na teren prac... Miło mi, że znowu pana spotykam, doktorze Graystone.

- Jake - sprostował. - Co słychać?

- Wszystko w porządku, dziękuję. - Lana doszła do wniosku, że Jacob Graystone wygląda na całkowicie zadomowionego w pokoju jej klientki. - Posłuchaj, Callie, możemy umówić się na jutro i...

- Nie, załatwmy to teraz, chociaż trochę tu tłoczno... - Callie rzuciła Jake'owi wymowne spojrzenie.

- Skądże znowu, jest mnóstwo miejsca. - Jake poklepał materac obok siebie.

- Szczerze mówiąc, mamy do omówienia bardzo prywatną sprawę, a ponieważ obowiązuje mnie dyskrecja... - Lana lekko zmarszczyła brwi.

- Nic nie szkodzi - powiedział Jake. - Jesteśmy małżeństwem.

- Jesteśmy rozwiedzeni! - Callie trzepnęła go w stopę. - Tak czy inaczej, możesz mówić o wszystkim w obecności tego barana. Wie, o co chodzi.

- Co znacząłoby, że wie więcej ode mnie. - Lana rozejrzała się po pokoju i wybrała wąskie krzeselko w pobliżu drzwi. - Cóż, udało mi się zdobyć pewne informacje o Marcusie Carlyle'u. Rzeczywiście prowadził praktykę adwokacką w Bostonie. Wcześniej czternaście lat pracował w Chicago i trzynaście w Houston. W Bostonie mieszkał dziesięć lat, później przeniósł się do Seattle i tam praktykował przez kolejne siedem...

- Ruchliwy facet - skomentował Jake.

- Tak. Zakończył praktykę w 1986 roku i jak na razie, nie wiem, co działo się z nim dalej. Mogę wynająć kogoś, kto pojedzie do Seattle, Bostonu, Chicago, Houston, i zgromadzić więcej informacji. Ja sama, niestety, nie mogę tego zrobić. Oczywiście, będzie cię to znacznie więcej kosztowało. Jednak zanim podejmiesz decyzję, powinnaś poznać resztę informacji - powiedziała Lana, zanim Callie zdążyła się odezwać.

- Pracujesz tak szybko, że chyba nie zarobisz na zaliczkę, którą

wpłaciłam...

- Och, chyba jednak zarobię. - Lana otworzyła teczkę i wyjęła dokumenty adopcyjne Callie. - Zrobiłam kopie do akt, a poza tym sprawdziłam, czy są autentyczne. Blankiety są w porządku, ale też nigdy nigdzie ich nie zarejestrowano.

- Jak to? Co to znaczy?

- Że adopcja nie miała miejsca. Nie wszczęto procedury adopcyjnej ani w sądzie w Bostonie, ani w żadnym innym. Nie ma żadnego prawnego zapisu, który świadczyłby, że Elliot i Vivian Dunbrook adoptowali dziecko.

- Co to znaczy, do diabła?! - wybuchnęła Callie.

- Marcus Carlyle nie złożył podania w sądzie, ot, co. Numer sprawy na podaniu i na ostatecznej decyzji jest zmyślony, rozumiesz? Podpis sędziego i pieczęć są najprawdopodobniej sfalszowane. Ponieważ sędzia zmarł w 1986 roku, nie jestem w stanie jednoznacznie tego stwierdzić, prześledziłam jednak kolejne kroki, jakie adwokat powinien był podjąć. To, co tu mamy, to papiery wypełnione w kancelarii Carlyle'a, które nigdy nie wyszły poza tę kancelarię. W oczach prawa adopcja nie miała miejsca.

Callie mogła tylko z uczuciem otepienia wpatrywać się w dokumenty i podpisy swoich rodziców.

- Przecież to kompletnie bez sensu...

- Może ułożyłabym z elementów tej łamigłówki sensowną historię, gdybyś mi powiedziała, dlaczego chcesz, żebym odszukała tego prawnika.

Jake wstał, ujął Callie za ramiona i posadził ją na łóżku.

- Spokojnie, skarbie... - mruknął. Przykucnął przed nią i lekko roztarł jej uda. - Chcesz, żeby wiedziała?

Callie z wysiłkiem skinęła głową.

Jake zawsze potrafił zebrać, uporządkować i przedstawić fakty w logiczny, klarowny sposób. Taki już miał umysł, że bez trudu przesiewał szczegóły, automatycznie odrzucał te nieistotne i sprawnie przechodził do sedna sprawy. Teraz Callie miała wrażenie, że słucha zwięzłego opisu wydarzeń, które nie mają z nią nic wspólnego. Bo właśnie taka była intencja Jake'a.

Podniosła się, poszła do łazienki i wyjęła buteleczkę aspiryny z podróżnej kosmetyczki. Połknęła trzy tabletki, a potem po prostu stała nieruchomo, z rękami opartymi o brzegi umywalki, wpatrując się w swoją twarz w lustrze.

Czy kiedykolwiek byłam tą osobą, za którą się uważałam, pomyślała. Jeżeli tak, to żadne dokumenty czy też ich brak nie mogą tego zmienić...

Kiedy wróciła do pokoju, Lana przerwała robienie notatek i podniosła

wzrok.

- Muszę zadać ci bardzo ważne pytanie. Chciałabym, żebyś nie podchodziła do niego w sposób emocjonalny. Wiem, że to trudne, ale postaraj się, dobrze? Czy jest możliwe, aby Elliot i Vivian Dunbrookowie byli w jakikolwiek sposób zamieszani w to porwanie?

- Moja matka czuje się winna, gdy przetrzyma pożyczoną z biblioteki książkę. - Callie westchnęła. Boże, ależ była zmęczona... Gdyby Jake teraz poklepał łóżko, chyba padłaby na nie bez chwili wahania. - Ojciec z miłości do niej zgodził się nie mówić mi, że zostałam adoptowana, ale uczciwość kazała mu zatrzymać i zabezpieczyć te dokumenty... Nie mieli nic wspólnego z porwaniem, jestem absolutnie pewna. Poza tym... Poza tym widziałam ich twarze w chwili, gdy powiedziałam im o Suzanne Cullen. Moi rodzice także są ofiarami tej sytuacji, nie mam co do tego cienia wątpliwości...

Ty również jesteś jej ofiarą, pomyślała Lana, kiwając głową. Mała Jessica Cullen, siostra Douglasa... I wnuczka Rogera. Tyle osób, tyle cierpienia...

- Nie znasz ich - ciągnęła Callie - więc nie dowierzasz, że mam rację. Możesz jednak sprawdzić informacje, które podał ci Jake, a także sprawdzić moich rodziców, jeżeli uważasz, że jest to twoim obowiązkiem. Wolałabym jednak, żebyś nie marnowała czasu, jaki możesz poświęcić na szukanie tego drania. - Wskazała leżące na łóżku papiery. - On nie tylko kradł dzieci, on je także sprzedawał, handlował nimi. Dam sobie rękę uciąć, że nie byłam jedynym niemowlęciem, które przeszło przez jego ręce. Wypracował system, był hieną żerującą na rozpaczach bezdzietnych małżeństw, do cholery!

- Jestem tego samego zdania, ale musimy to udowodnić - powiedziała Lana. - Wynajmij detektywa.

- Jak już mówiłam, takie posunięcie znacznie podwyższy koszty.

- Nie szkodzi! - Callie potarła czoło otwartą dłonią. - Powiem ci, kiedy zabraknie mi pieniędzy.

- W porządku, zajmę się tym jeszcze dzisiaj. Znam detektywa, który pracował dla kancelarii mojego męża w Baltimore. Jeżeli nie będzie mógł sam tego zrobić, na pewno poleci kogoś równie odpowiedzialnego. Czy Cullenowie wiedzą o wszystkim?

- Dzisiaj widziałam się z Suzanne. Ustaliliśmy, że poddamy się badaniom na potwierdzenie pokrewieństwa.

Lana zanotowała coś pośpiesznie i wsunęła długopis między kartki.

- Powinam ci coś powiedzieć. Dobrze znam Rogera Grogana... To ojciec Suzanne Cullen - wyjaśniła, widząc pytający wyraz twarzy Callie. - Jesteśmy zaprzyjaźnieni, bardzo blisko zaprzyjaźnieni. I jeszcze jedno -

wczoraj wieczorem byłam na randce z Douglasem Cullenem.

- Wydawało mi się, że jesteś mężatką - mruknęła Callie.

- Byłam zamężna. Mój mąż został zamordowany prawie cztery lata temu. Interesuję się Dougiem, więc jeżeli miałoby ci to przeszkadzać, powinniśmy to sobie wyjaśnić, zanim na dobre zabiorę się do pracy.

- Jezu... - Callie ukryła twarz w dłoniach. - Małe miasteczka... Cóż, chyba nie robi mi to żadnej różnicy, pod warunkiem, że będziesz pamiętała, kogo reprezentujesz...

- Wiem, kogo reprezentuję. Oczywiście nie mam zielonego pojęcia, co czujesz i co cała ta sprawa znaczy dla wszystkich zainteresowanych, ale jestem twoim adwokatem.

- Twój chłopak uważa, że zależy mi na pieniądzach jego matki.

- Jedna randka to trochę za mało, żebym mogła uznać go za swojego chłopaka. - Lana się uśmiechnęła. - Rozumiem, że aż do ostatecznego wyjaśnienia sprawy nie uwolnimy się od pewnego napięcia. Doug nie robi wrażenia prostodusznego, łagodnego faceta.

- Na mnie zrobił wrażenie nadętego kretyna - oznajmiła Callie. Lana parsknęła śmiechem i wstała z krzesła.

- Tak, w pierwszej chwili rzeczywiście można ulec takiemu złudzeniu... Będę dalej szukać Carlyle'a i wynajmę detektywa, tak jak uzgodniłyśmy. Wpadnij jutro do mojego biura, dobrze? Mam nadzieję, że będę już coś wiedziała, no i zostawisz mi czek na większą sumę. - Mocno uściśnęła dłoń Callie. - Nie powiem ci, żebyś się nie martwiła, bo to i tak niemożliwe. Mogę cię tylko zapewnić, że zrobię wszystko, co należy. Wykonuję swoją pracę równie dobrze jak ty swoją.

- W takim razie może uda nam się szybko rozwikłać tę zagadkę, bo ja rzeczywiście jestem niezła... - wymamrotała Callie.

- Do zobaczenia jutro. - Lana sięgnęła po parasolkę. - Do widzenia, Jake.

- Na razie. - Otworzył przed nią drzwi, ponieważ miał wrażenie, że należy do tych kobiet, które wymagają kurtuazyjnych gestów.

Kiedy zamknął drzwi, ogarnęło go wahanie. Nagle dotarło do niego, że nie wie, co mógłby zrobić dla Callie. W obecności Lany wzięła się w garść, ale doskonale widział, jak jest poruszona i brak jej zwykłej pewności siebie. Na dodatek była bardzo smutna.

Znał tę kombinację, tyle że kiedyś to on był przyczyną jej smutku.

- Zamówmy pizzę.

Obrzuciła go roztargnionym, szczerze mówiąc, zupełnie nieprzytomnym spojrzeniem. - Co?

- Zamówimy pizzę i trochę popracujemy. Co ty na to?
- Nie jestem... Przecież dopiero co byłeś w restauracji...
- Wypiłem kawę. No, dobrze, zjadłem też kawałek ciasta, ale to się nie liczy, bo dzięki temu udało mi się wyciągnąć z Friedy trochę plotek. Swoją drogą, mają tu całkiem niezłe ciasto. Brzoskwiniove.
- Spadaj, dobra? - warknęła.
- Jeżeli sobie pójdę, będziesz się nurzać w smutku, a to nie ma sensu. Nic nie poradzisz, musisz czekać na informacje, mała. Chyba mają tu jakąś pizzerię, co?
- Na rogu Mam i Mountain Laurel, nazywa się Modesto. Jake podniósł słuchawkę.
- Wiedziałem, że już się zorientowałaś, gdzie znajduje się najważniejsze miejsce w miasteczku. Zamawiam pizzę z grzybami.
- Wykluczone! - Callie się ożywiła.
- Połowę z grzybami. Mam prawo do grzybów na swojej połowie.
- Jeżeli na mojej połowie znajdzie się chociaż mały kawałek grzyba, płacisz za całą pizzę.
- Ostatnim razem też płaciłem za całą.
- Więc nie zamawiaj z grzybami, do cholery! Numer pizzerii masz na kartce obok telefonu.
- Wszystko się zgadza. - Jake wybrał numer. - Pizza, sklep alkoholowy, poczta - tak jak myślałem. Nie zmieniłaś się, Dunbrook...
- Zamówił pizzę, pamiętając o jej słabości do pepperoni i czarnych oliwek, dla siebie oczywiście z grzybami.
- Przywiozą za trzydzieści minut. - Odłożył słuchawkę. - Wiesz, mieszkanie w tym motelu na dłuższą metę będzie uciążliwe. Powinniśmy rozejrzeć się za jakimś domem do wynajęcia.
- Jest już prawie sierpień, do końca sezonu zostało niewiele czasu.
- Wystarczająco. Trzeba będzie poszukać czegoś w rozsądnej cenie, mówię ci.
- Nie wiem, co powiedzieć rodzicom! - wyrzuciła z siebie Callie, bezradnie rozkładając ręce. - Co mogę im powiedzieć?
- Nic. - Jake położył dłonie na jej ramionach. - Nie ma sensu mówić im o tym, czego jeszcze nie wiesz. Dobrze znasz metodę pracy na terenie wykopalisk - zdejmujesz ziemię warstwami, jedną po drugiej. Jeżeli za wcześniej sformułujesz teorię, przeoczysz ważne detale.
- Nie jestem w stanie normalnie myśleć...
- Dojdiesz do siebie, zobaczysz. - Musnął knykciami jej policzek. - Nic się nie stanie, jeśli spróbujesz trochę się na mnie oprzeć. Nigdy dotąd tego nie

robiłaś.

- Ale ja nie...

Nie dokończyła, bo otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Przez chwilę się opierała, lecz w końcu oparła głowę na jego piersi i westchnęła głęboko. Jego serce zabiło mocniej i szybciej.

- No, właśnie... - mruknął. - O to chodzi...

- Nie mam pojęcia, dlaczego nie jestem wściekła. Jakoś nie mogę zmobilizować dość energii, żeby się wściec...

- Och, niedługo na pewno ci się uda.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście niedługo się to stanie. - Callie zamknęła oczy. Jake miał rację, nigdy nie próbowała się na nim oprzeć. Nie było to znowu takie nieprzyjemne... - Czy to nowa oferta przyjaźni?

- Tak. Naturalnie, biorę też pod uwagę możliwość, że rozpalę cię do białości i wtedy nabierzesz ochoty na seks. Zobaczmy, co da się zrobić...

Delikatnie uszczypnął wargami płatek jej ucha, potem dolną szczękę. Och, dobrze знаła jego sztuczki... Mogła stawić opór lub wyjść mu naprzeciw... Zdecydowała się na to ostatecznie rozwiązanie, odwracając głowę i odnajdując jego gorące wargi. Znowu odczuwając wstrząs, jakim było pożądanie i obietnica.

Przywarła do niego całym ciałem i usłyszała, jak ich serca biją w jednym rytmie. Kiedy z jego gardła wyrwał się głuchy jęk, objęła go mocno. Jake zacisnął dłoń na jej bluzce, tak jak czynił to kiedyś. Gwałtowna zaborczość tego gestu zawsze podniecała ją i zdumiewała. Rozpaczliwy, wibrujący głód, jego, jej, ich obojga, niósł z sobą coś w rodzaju ulgi. Ten wspólny skok w rozgrzaną przestrzeń był jak chrzest. Nadal była sobą, żywą, prawdziwą osobą. Nadal była Callie Ann Dunbrook. I pragnęła tego, co wcale nie było dla niej dobre...

Zaraz potem jego dłonie ujęły jej twarz, dotknęły policzków w sposób tak pieśczośliwy, że poczuła się zupełnie zbita z tropu. Jego usta musnęły jej wargi z delikatnością świadczącą raczej o uczuciu niż namiętności.

- Ogień ciągle w nas drzemie... - szepnął.

- Z tym nigdy nie mieliśmy problemów.

- Racja... - Przycisnął usta do jej czoła. - Masz ochotę na piwo do tej pizzy? Mam parę puszek w pokoju.

Callie odsunęła się i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Rezygnujesz z seksu dla pizzy i piwa?

- Nie ujmuj tego w ten sposób, bo nie jest to łatwe. Napijesz się piwa, czy nie?

- Napiję się, jasne. - Wzruszyła ramionami, usiłując stłumić poczucie

odrzuć i podeszła do laptopu. - Skończę tylko wpisywać dzisiejsze znaleziska...

- Dobrze. Zaraz wrócę.

Dopiero u siebie mocno uderzył głową w ścianę. Ciągłe czuł jej smak, ten wyjątkowy aromat, który stanowił część Callie. Jego koszula pachniała jej włosami i deszczem.

Nosił ją w sobie jak narkotyk. Nie, wcale nie jak narkotyk, pomyślał, otwierając przenośną lodówkę, raczej jak wirus. Tak, przeklęty wirus, którego w żaden sposób nie można się pozbyć.

Wiele miesięcy wcześniej doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy jest z nim jeszcze gorzej, bo nie tyle nie może, ile nie chce wyzwolić się z uzależnienia.

Pragnął, żeby do niego wróciła i zamierzał zrobić wszystko, aby tak się stało. Wszystko, absolutnie wszystko, choćby miało go to zabić.

Usiadł na brzegu łóżka, żeby trochę się uspokoić. Trudno byłoby wyobrazić sobie gorszą sytuację. Callie wpadła w tarapaty i potrzebowała pomocy. Pomocy, nie jego podstępów i pokrętnego sposobu myślenia. Pójście z nią do łóżka nie było żadnym rozwiązaniem, a szkoda... Wielka szkoda. Callie musi przywyknąć to tego, że może się na nim oprzeć, że może liczyć na niego w każdej sytuacji. Dopiero potem mogą się postarać, żeby od nowa się zakochała i z miłości poszła ze mną do łóżka, pomyślał.

Taki miał plan, ale plan właściwie przestał istnieć w chwili, gdy jej życie bardzo się skomplikowało.

Kiedy Lana powiedziała jej o adopcji, Callie wyglądała jak ktoś, kto właśnie otrzymał potężny cios. A przecież nie użalała się nad sobą, nie skarżyła się na swój los. Taka jest ta moja dziewczyna, uśmiechnął się do siebie Jake. Twarda jak skała.

Tak czy inaczej, teraz był jej potrzebny. Wreszcie go potrzebowała, a on miał szansę, by pokazać sobie i jej, że nie zawiedzie. Niezależnie od tego, jak bardzo jej pożałał, tym razem nie zamierzał komplikować ich sytuacji seksem.

Wytrzymał bez niej prawie rok, przez wszystkie te miesiące doświadczając całej gamy nastrojów, od wściekłości po pełne oszołomienia poczucie krzywdy, od goryczy po rozpacz, od akceptacji po determinację.

Niektóre stworzenia dobierają się w pary na całe życie i wszystko wskazywało na to, że on także należał do tego gatunku. Postanowił dać Callie czas, by i ona to sobie uświadomiła, a tymczasem pomóc jej wyjść z kłopotów. Potem zaczną wszystko od nowa.

Poczuł się lepiej, wyjął piwo z chłodziarki i wrócił do pokoju Callie tuż przed dostawcą pizzy.

Jake się nie mylił, mówiąc, że dzięki pracy będzie mogła chociaż na parę chwil przestać myśleć o swoich kłopotach, pomyślała Callie. Wystarczyło, że zabrała się do roboty, a już jej umysł rozjaśnił się i zaczął funkcjonować normalnie.

Callie zdawała sobie sprawę, co i jak musi zrobić. Poprosi Lane, aby umówiła ją w miejscowym laboratorium na pobranie krwi i wyśle próbkę do współpracownika ojca z Filadelfii. Lana będzie obecna przy pobieraniu krwi oraz plombowaniu i opisywaniu próbki. Te same środki zapobiegawcze, w postaci obecności niezależnego świadka, zostaną podjęte przy pobieraniu krwi Suzanne.

Nie należy stwarzać możliwości podmienienia próbek, Wszystko powinno odbyć się bardzo oficjalnie. Nie powie nikomu o dotychczasowych odkryciach Lany. Jake miał rację, po co o tym mówić, skoro nie dysponuje jeszcze kompletnymi danymi.

Postanowiła prowadzić sprawy osobiste dokładnie tak samo jak zawodowe - metodycznie, logicznie i skrupulatnie. Wszystkie nowości wpisze do banku danych. I zdobędzie się na codzienne zapiski, to powinno jej pomóc lepiej się zorganizować.

A żeby zamknąć Douglasowi Cullenowi gębę, poleci Lanie sporządzić oficjalny dokument, w którym zrzecze się wszelkich praw i roszczeń wobec majątku Suzanne Cullen.

To dobry plan, pomyślała, lecz teraz nadszedł czas, aby odpocząć i przestać o nim myśleć, oczywiście tylko do rana.

Zamknęła oczy i otworzyła się na muzykę. Zaczęła grać Bacha. Piękne, skomplikowane i romantyczne tony Suity G - dur na wiolonczelę pomogły oderwać się od rzeczywistości. Jej umysł się wyciszył, zatopiony w spokojnych falach muzyki. W tym szczególnym połączeniu matematyki i sztuki, tworzących urzekającą całość, Callie zawsze znajdowała pocieszenie.

To dla tych wspaniałych chwil wozila i nadal wozić będzie niewygodny instrument samolotem, ciężarówką, samochodem czy pociągiem. Nieważne jak, czym, z jakimi trudnościami.

Uspokojona, powoli odłożyła smyczek. Potem, jak zwykle, wklepała krem nawilżający w skórę twarzy i szyi i zdmuchnęła świecę. Położyła się i przykryła prześcieradłem. Zgasiła światło.

Pięć minut później włączyła je znowu, wyskoczyła z łóżka i otworzyła pudełko, które dała jej Suzanne.

Dobrze, więc była z natury ciekawa... I co z tego? Właśnie dlatego osiągała tak dobre rezultaty w pracy. Dlatego poukłada wszystkie elementy tej układanki i uporządkuje swoje życie.

Spojrzała na listy, wszystkie w białych kopertach, starannie poukładanych datami. Więc Suzanne także była osobą dobrze zorganizowaną... Cóż, nie ona jedna...

Callie powiedziała sobie, że tylko przejrzy listy. Dzięki tej lekturze lepiej zrozumie Suzanne i może zdoła odnaleźć kolejną wskazówkę. Po prostu poszukam nowych informacji, pomyślała, wyjmując z pudełka pierwszą kopertę. Czuła w tej chwili taki sam rodzaj ekscytacji, jaki towarzyszył usuwaniu drobinek ziemi ze świeżo wydobytego z ziemi przedmiotu.

Moja kochana Jessico,

Dzisiaj kończysz roczek. To przecież niemożliwe, że od chwili, kiedy pierwszy raz wzięłam cię w ramiona, minął cały rok.

Te dwanaście miesięcy minęło jak sen, mglisty i oderwany od rzeczywistości. Czasami nie mogę oprzeć się wrażeniu, że naprawdę był to tylko sen. Zdarza się, że słyszę twój płacz i wtedy biegnę do twojego pokoju, kiedy indziej mogłabym przysiąc, że wciąż wyczuwam twoje ruchy w swoim łonie, zupełnie jakbyś jeszcze się nie urodziła.

Dopiero po chwili przypominam sobie, co się stało i ogarnia mnie dojmujące uczucie, że dłużej tego nie zniosę.

To moja matka wymogła na mnie obietnicę, że napiszę ten list. Nie wiem, co zrobiłabym bez niej w czasie ostatnich miesięcy. Zastanawiam się, czy ktokolwiek w ogóle rozumie, przez co przechodzę, czy może to pojąć ktokolwiek poza inną matką. Twój tata bardzo się stara i wiem, że tęskni za tobą, bardzo, bardzo tęskni, ale chyba nawet on nie czuje takiej pustki jak ja. Jestem pusta w środku, pusta jak spróchniałe drzewo i często mam wrażenie, że rozsypię się w proch.

Jakaś część mnie wcale się przed tym nie broni, ale mam przecież twojego brata. Biednego, kochanego Douglasa, który jest zupełnie zagubiony i nie rozumie, dlaczego cię nie ma. Jak mogę mu to wytłumaczyć, skoro sama nic nie rozumiem?

Wiem, że niedługo do nas wrócisz. Jessie, musisz pamiętać, że nigdy, przenigdy nie przestaniemy cię szukać. Codziennie modlę się, żebyś wróciła do domu, do swojego łóżeczka. I modlę się, abyś do dnia powrotu była bezpieczna i zdrowa. Żebyś się nie bała. Codziennie się modlę, aby ta, która mi cię zabrała, była dla ciebie dobra i kochająca. Aby kobieta, która się tobą opiekuje, przytulała cię tak jak lubisz i śpiewała ci twoje ulubione kołysanki.

Pewnego dnia zrozumie, że postąpiła źle i odwiezie cię do nas.

Przepraszam, przepraszam z całego serca, że odwróciłam się od twojego wózek. Przysięgam, że trwało to tylko chwilę.

- Ten większy to szkielec osoby dorosłej, kobiety w wieku dwudziestu

do dwudziestu pięciu lat - wyjaśniła.

Dziennikarka była tak zainteresowana tematem, że przykucnęła trochę za blisko kości i Callie niecierpliwym gestem kazała jej się odsunąć.

- Skąd może to pani wiedzieć, skoro nie macie jeszcze wyników badań laboratoryjnych? - zapytała.

- Jeżeli ktoś zna się na kościach tak jak ja, potrafi bez trudu oszacować ich wiek. - Callie ujęła stomatologiczny rozwiernik i wskazała nim stawy oraz grubsze miejsca kości. - Proszę spojrzeć tutaj, to ciekawe. Doznała złamania humerus, prawdopodobnie koło dziesiątego, może dwunastego roku życia. Zrosło się, ale kość uległa drobnemu skrzywieniu. Przesunęła metalowym narzędziem tuż nad linią złamania.

- To ramię miała prawdopodobnie słabsze - ciągnęła. - Sądzę, że od czasu do czasu czuła w nim ból. Linia złamania jest raczej czysta, co wskazuje, że było ono efektem upadku, nie uderzenia w walce. Mimo tej niesprawności kobieta była w dobrej formie, zupełnie zdrowa. Oznacza to, że nie usunięto jej na margines życia plemiennego. Wygląda na to, że ci ludzie dbali o swoich chorych i rannych, zresztą dowodem na to jest także sposób, w jaki pochowano ją i dziecko.

- Jak umarła?

- Ponieważ nie widać śladów obrażeń, a dziecko niewątpliwie było noworodkiem, najprawdopodobniej i ona, i dziecko umarły podczas porodu. Łatwo się zorientować, że nie zostali tak po prostu wrzuceni do ziemi i pogrzebani. Nie, ciała obojga starannie ułożono - kobieta przytulała dziecko ramieniem. Ta pozycja dowodzi, że grzebiący kierowali się współczuciem, miłością, w każdym razie na pewno uczuciami wyższymi... Pochówkowi na pewno towarzyszyła jakaś ceremonia. Był ktoś, komu matka i dziecko nie byli obojętni.

- A dlaczego ich los powinien obchodzić także i nas?

- Bo oni byli tutaj pierwsi. - Callie uśmiechnęła się lekko. - To, kim i czym byli ci ludzie, umożliwiło powołanie do życia następnych pokoleń, a w końcu i nas.

- Niektórzy sprzeciwiają się wydobywaniu zmarłych z grobu i poddawaniu ich badaniom - zauważyła dziennikarka. - Kierują się albo względami religijnymi, albo po prostu tym, że w ludzkiej naturze leży niechęć do zakłócania spokoju nieżyjących. Co mogłaby im pani powiedzieć?

- Widzi pani, z jaką starannością i szacunkiem wykonujemy te wszystkie czynności. - Callie pochyliła się, aby omieść kość z pyłu. - W tych szczątkach kryje się wiedza, a w ludzkiej naturze leży, lub powinno leżeć, pragnienie poszukiwania wiedzy. Jeżeli zrezygnujemy z badań, wcale nie

okażemy szacunku tej kobiecie, tylko zwyczajnie ją zignorujemy.

- A klątwa? Jakie jest pani zdanie na ten temat?

- Powiem jedno - nie bierzemy udziału w odcinku serialu Z Archiwum X. Przepraszam, ale muszę wracać do pracy. Na pewno chciałaby pani porozmawiać też z doktorem Greenbaumem, więc nie będę pani dłużej zatrzymywać...

Callie pracowała jeszcze przez godzinę, w ciszy i skupieniu. Kiedy w końcu sięgnęła po aparat fotograficzny, aby zrobić ostatnie zdjęcia, do wykopu podszedł Jake.

- Co to takiego? - zapytał.

- Wygląda na skorupę żółwia. Leżało między szkieletami, jakby ktoś położył to tuż obok dziecka. Potrzebne mi będą zdjęcia kości wykonane z pewnej odległości... - Pójdę po Dory. Powinnaś zrobić sobie przerwę.

- Jeszcze nie teraz. Załatwię dokumentację, a potem chcę się dowiedzieć, co to jest. Cofnęła się i wygodnie wyciągnęła nogi, czekając, aż Dory przyjdzie zrobić zdjęcia.

Brzmiały w tle głosy Jake'a i Dory uprzytomniły jej, że ci dwoje zdążyli się już zaprzyjaźnić. Tak, rozmawiali swobodnie, z rozbawieniem... Callie szybko przywołała się do porządku. Powinna jak najszybciej pozbyć się tego fatalnego nawyku. Jake był wolnym człowiekiem i mógł przyjaźnić się, z kim mu się podobało.

- Mam wszystko - oznajmiła Dory. - Nie chciałabym źle mówić o reszcie terenu, ale macie tu zdecydowanie najlepsze miejsce. To po prostu fascynujące... - Dziewczyna znowu spojrzała na szkielety. - I smutne. Każde szczątki małego dziecka budzą smutek, choćby nie wiem jak stare...

- Tym bardziej powinniśmy najdokładniej je zbadać - odezwała się Callie. - Chciałabym jak najszybciej dostać te fotografie.

- Dostaniesz je jutro. To były ostatnie klatki filmu, więc jeżeli bardzo zależy ci na czasie, mogę wywołać je nawet teraz.

- Świetnie.

Po odejściu Dory Callie przyklekła i zajęła się ostrożnym, powolnym oczyszczaniem żółwiego pancerza. Kiedy wreszcie wyjęła go z ziemi, usłyszała grzechot drobnych kamyków, zamkniętych wewnątrz skorupy.

- To zabawka... - wymamrotała. - Chcieli, żeby dziecko miało zabawkę... Przysiadła na piętach i podała grzechotkę Jake'owi.

- Prawdopodobnie ojciec lub dziadek dziewczynki zrobili ją przed jej narodzeniem - powiedział cicho. - Czekali na nią, cieszyli się, że pojawi się w ich życiu. I oplakiwali jej śmierć, śmierć ich obu...

Callie wzięła tabliczkę z przypiętymi kartkami papieru i skrupulatnie

zanotowała opis grzechotki i miejsce, gdzie ją znalazła.

- Powiem Leowi, że można już zabezpieczyć i zabrać szkielety. Mam umówione spotkanie, wrócę za godzinę.

- Jesteś brudna, skarbie. - Jake delikatnie dotknął knykциями jej policzka.

- Zaraz doprowadzę się do porządku.

- Zanim to zrobisz, posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Leo przed chwilą skończył rozmawiać z Dolanem, który grozi, że wystara się o nakaz zabraniający nam usuwania czegokolwiek z terenu budowy.

- Wyjdzie na kompletnego idiotę! - parsknęła Callie.

- Może, ale jeżeli jest sprytny, wykręci kota ogonem i zrobi z siebie przeciwnika zakłócania spokoju zmarłym i tak dalej. Gdyby mu się to udało, na pewno zdobędzie poparcie części miejscowych.

- Ale jak wytłumaczy się z budowania osiedla w miejscu spoczynku zmarłych?

- Dobre pytanie. - Jake pokiwał głową. Zakołysał się na piętach i potoczył wzrokiem po soczyście zielonych drzewach i spokojnej wodzie jeziora. - Założę się, że Dolan już opracowuje odpowiedź. To piękne miejsce, prawda?

- Tak. Ludzie, których tu pogrzebano, na pewno byli tego samego zdania.

- Na pewno... - Jake z roztargnieniem potrząsnął grzechotką. - Najważniejsze jest to, że Dolan chce przerwania prac wykopaliskowych, a jako właściciel całej działki rzeczywiście może zakazać nam usuwania znalezionych w ziemi przedmiotów, jeśli wywrze na władze odpowiednio mocny nacisk.

- Gdyby do tego doszło, my postaramy się wyrzucić jeszcze mocniejszy.

- Wcześniej musimy zastosować kilka dyplomatycznych chwytów. Umówiłem się z nim na jutro.

- Ty? Dlaczego ty?

- Bo ja nie rzucę się na niego tak szybko jak ty. - Jake pochylił głowę i musnął ustami jej wargi. - Poza tym jako antropolog zarzucę go bardziej skomplikowanymi sformułowaniami na temat kultury, starożytnych społeczności oraz ich wpływu na rozwój nauki...

- Co za bzdury! - mruknęła Callie, ruszając w stronę samochodu. - Ty masz fiuta, to wszystko. Leo uważa, że ten facet nawiąże z tobą lepszy kontakt, bo dysponujesz odpowiednim sprzętem!

- Nie przeczę, że to jest decydujący czynnik. Odbędziemy małą męską rozmowę i wtedy okaże się, czy potrafię go przekonać.

- Popracuj nad nim, Graystone, żebym nie musiała rozwalić mu łba łopata!

- Zobaczę, co da się zrobić. - Uśmiechnął się lekko. - Nie zapomnij umyć twarzy, Dunbrook - dorzucił.

Kiedy Callie następnego dnia rano wyszła z pokoju, dostała ataku furii. Cała maska jej rovera pokryta była dużymi napisami graffiti, od zderzaka do zderzaka. Namalowano je intensywnie czerwoną i błyszczącą jak świeża krew farbą.

SUKA, NIE NAUKOWIEC, głosiło jedno z haseł. Dalej znajdowały się inne, wśród nich DZIWKĄ, KTÓRA OKRADA GROBY, kilka jeszcze bardziej wulgarnych, na przedniej części maski zaś widniało jednoznaczne żądanie: WRACAJ DO DOMU, CIPO!

Callie jednym susem znalazła się przy samochodzie, zupełnie jak matka, która spieszy na ratunek atakowanemu przez łobuzów dziecku. Z jej gardła wyrwało się parę nieartykułowanych dźwięków, palce błędziły po lśniących literach. Z otepiałym niedowierzaniem odczytała z rozmachem wymalowany na prawym boku wozu napis: DURNA LESBA.

Gdy szok zderzył się w niej z wściekłością, runęła z powrotem do pokoju, chwyciła książkę telefoniczną i poszukała w niej adresu głównej siedziby firmy Dolana. Ponownie zatrzęsnęła drzwiami w chwili, kiedy Jake właśnie otworzył swoje.

- Ile jeszcze razy zamierzasz trzaskać drzwiami zanim... - Umilkł, ponieważ jego wzrok zatrzymał się na jej samochodzie. - O, cholera! - wymamrotał, podchodząc bliżej, ubrany tylko w dżinsy. - Podejrzewasz Austina i Jimmy'ego lub kogoś z tej miłej kompanii?

- Dowiem się, kto to zrobił! - Odepchnęła go na bok i gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwiczki.

- Chwileczkę, zaczekaj. - Dobrze znał ten morderczy wyraz jej oczu. - Daj mi dwie minuty, pojedę z tobą.

- Nie potrzebuję wsparcia, sama poradzę sobie z dwoma skretyniałymi robotami!

- Zaczekaj! - Aby upewnić się, że nie odjedzie bez niego, wyrwał jej kluczyki z ręki i szybko wrócił do pokoju po koszulę i buty.

Trzydzieści sekund później wybiegł na zewnątrz chyba tylko po to, żeby zobaczyć, jak Callie odjeżdża spod motelu. Zaklął paskudnie, wściekły na siebie do granic możliwości. Zupełnie zapomniał, że zawsze trzymała zapasowe kluczyki w schowku na rękawiczki.

- Skurwysyn! - mamrotała Callie, mknąc szosą. - Co za przekłety skurwysyn!

Nawet się nie obejrzała, całkowicie skupiona na tym, co planowała. Kupiła rovera sześć lat temu i wkrótce samochód stał się częścią jej zespołu. Z każdym zadrapaniem czy drobnym wgnieceniem wiązało się osobne wspomnienie. Był dla niej czymś w rodzaju honorowej odznaki, poza tym nikt nie miał prawa kłaść brudnych łap na tym, co było jej własnością.

Parę minut później z piskiem hamulców zatrzymała się przed biurami firmy Dolana na Main Street. Wskoczyła z wozu i z trudem oparła się pokusie, aby z całej siły kopnąć w drzwi, które okazały się zamknięte. Mocno zastukała w drewniany panel. Drzwi otworzyła sympatycznie wyglądająca kobieta.

- Przepraszam, ale otwieramy dopiero za piętnaście minut... - zaczęła.

- Szukam Dolana! - rzuciła Callie. - Ronalda Dolana.

- Pan Dolan jest dziś rano na budowie. Chce pani umówić się z nim na spotkanie?

- Na jakiej budowie?

- W górze Turkey Neck Road... - odparła kobieta z wyraźnym wahaniem. Callie błysnęła zębami.

- Proszę pokazać mi, gdzie to jest - warknęła nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Po dwudziestu minutach dotarła na miejsce. Byłaby tam szybciej, ale nie zauważyła jednego skrętu i musiała zawrócić.

Tego ranka po sennym uroku okolicy nie zostało ani śladu. Żłociste promienie słońca przeświecały przez listowie, jakiś kogut piał dziarsko, podniecając wściekłość Callie. Tylko że ona nie potrzebowała podniety - wystarczyło, że na moment oderwała wzrok od drogi i spojrzała na maskę wozu.

Przysięgła sobie, że ktoś za to zapłaci. W tej chwili było jej zupełnie obojętne, kto i w jaki sposób.

Wjechała na prywatny podjazd, przemknęła po ślicznym mostku, przerzuconym nad strumykiem i popędziła dalej, drogą przecinającą gęsty zagajnik.

Już z daleka dobiegły ją charakterystyczne dla budowy dźwięki - stukot młotów, warczenie pił, muzyka z radia. Część jej umysłu odnotowała fakt, że Dolan budował jak należy, chociaż niewątpliwie był absolutnym idiotą.

Szkielet budynku ukazywał jego przyszły potencjał i idealnie wtapiał się w skalistą okolicę i malownicze lasy. W kilku miejscach widać było wzgórki porządnie zgarniętych śmieci i odpadów.

Półciężarówki i inne samochody z napędem na cztery koła stały do połowy kołpaków w błocie, które jeszcze nie wyschło po wieczornej ulewie.

Na działce pracowało kilkunastu potężnie zbudowanych mężczyzn, już spoconych mimo tak wczesnej pory.

Callie od razu zauważyła Dolana, w jeszcze świeżych spodniach, niebieskiej koszuli o podwiniętych rękawach i błękitnej czapce z firmowym logo. Dłonie oparł na biodrach i bacznie śledził postępy prac.

Zatrzasnęła drzwiczki samochodu. Krótki dźwięk zabrzmiał jak wystrzał, na sekundę zagłuszając muzykę i hałas. Dolan obejrzał się, poznał Callie i odwrócił się twarzą do niej. Callie jednym susem znalazła się na podeście.

- Austin i Jimmy! - rzuciła ostro. - Gdzie są ci dwaj kretyni?

Dolan zmierzył wzrokiem pochłapaną farbą maskę jej wozu, w duchu podskakując z radości.

- Jeżeli ma pani interes do któregoś z moich ludzi, to ma pani interes do mnie - oznajmił.

- W porządku. - Callie nie miała nic przeciwko takiemu postawieniu sprawy. - Widzi pan to? - Wskazała palcem samochód. - To pan jest odpowiedzialny za ten akt wandalizmu.

Dolan, w pełni świadomy, że jego ludzie nie spuszczają go z oczu, wetknął kciuki pod szelki.

- To niby ja pomalowałem pani wóz?

- Zrobił to jeden z pana pracowników. Ktoś, kto jest posłuszny panu i podziela pańskie idiotyczne poglądy na temat tego, co mój zespół robi w Antietam Creek.

- Nic o tym nie wiem. Wygląda mi to na robotę jakichś szczeniaków, a jeśli już chodzi o to, co robicie w Antietam Creek, to możecie się spodziewać, że nie za długo zagrzejecie tam miejsca.

- Zatrudnia pan parę intelektualnych gigantów, niejakiego Austina i Jimmy'ego - warknęła Callie. - Wygląda mi to na ich dzieło!

W oczach Dolana na ułamek sekundy pojawił się jakiś błysk. Zaraz potem popełnił jednak duży błąd, pozwalając sobie na pogardliwy uśmiešek.

- Zatrudniam wiele osób...

- Bawi cię to?! - Callie straciła panowanie nad sobą i lekko popchnęła Dolana w pierś. Wszelkie prace na terenie budowy ustały w jednej chwili. - Uważasz, że złośliwe niszczenie czyjejs własności, wandalizm i wypisywanie obraźliwych słów na masce samochodu to dobry żart?!

- Jeżeli ktoś pcha się tam, gdzie go nie chcą i robi coś, co prawie nikomu się nie podoba, powinien liczyć się z ryzykiem! - Dolan miał szczerą ochotę odwzajemnić popchnięcie, pokazać swoim ludziom, że nie pozwoli tej głupiej babie traktować się w ten sposób, ale w końcu tylko wymierzył

wskazujący palec prosto w jej twarz. - Zamiast przylatywać do mnie na skargę, powinna pani posłuchać mądrej rady, zabrać manatki i wynieść się z Woodsboro!

Callie szybkim ruchem odsunęła jego rękę.

- Nie jesteś na planie westernu Johna Forda, ty głupku z mózgiem wielkości ziarnka fasoli! Jeszcze zobaczymy, kto powinien liczyć się z ryzykiem! Jeżeli sądzicie, że pozwolę, aby uszło wam to na sucho, jesteście w błędzie! - Pełnym niesmaku spojrzeniem przebiegła po twarzach otaczających ich robotników. - A jeśli myśli pan, że takie złośliwe, infantylne gesty zniechęcą mnie do pracy, to jest pan nawet głupszy, niż pan wygląda... Ktoś parsknął cichym śmiechem. Policzki Dolana przybrały kolor buraka.

- Ten teren należy do mnie i żądam, żebyście się z niego wynieśli! Nie potrzebujemy tu takich jak wy! Nie chcemy, żebyście zabierali pracę uczciwym ludziom! Nie dość, że wprowadzacie tu zamęt, to jeszcze później narzekacie, bo ktoś pochłapał wam samochodzik farbą!

- Nazywa pan to narzekaniem?! To pan będzie narzekał, kiedy dostanie pan zdrowy łomot!

To oświadczenie wywołało falę gwizdów i pogardliwych okrzyków. Callie zacisnęła pięści. Nie wiadomo, co by zrobiła, gdyby nagle na jej ramieniu nie spoczęła ciężka ręka.

- Wydaje mi się, że pan Dolan i jego zespół wesołków chętniej porozmawiają z policją - powiedział Jake. - Powinniśmy się na tym skupić...

- Nic nie wiem o tym pomalowanym samochodzie - warknął Dolan. - I to samo powiem szeryfowi, do cholery!

- Szeryfowi płacą właśnie za to, żeby słuchał takich opowieści. - Jake bez pośpiechu odciągnął Callie do tyłu i zaczął prowadzić ją w stronę samochodu. - Skarbie, weź pod uwagę, że jest tu co najmniej tuzin facetów uzbrojonych w ciężkie narzędzia i potężne młoty - rzekł cicho, nachylając się do jej ucha. - Nie zapominaj też, że z pewnością wypróbowałiby je najpierw na mnie, ponieważ nie jestem kobietą. I zamknij się, dobrze?

Strząsnęła z ramienia jego rękę, szarpnęła drzwiczki wozu, ale mimo wszystko nie zdołała się pohamować.

- To nie koniec, Dolan! - krzyknęła. - Postaram się zamknąć twoją budowę! Przez co najmniej dziesięć lat nie wylejesz ani metra betonu w Antietam Creek, osobiście tego dopilnuję! To będzie moja mała krucjata!

Wsiadła, trzasnęła drzwiami i wrzuciła wsteczny bieg, rozpryskując błoto. Przejechała kilometr i zatrzymała się na poboczu. Jake zahamował tuż za nią. Oboje wyskoczyli z samochodów.

- Mówiłam ci, że nie potrzebuję pomocy!

- A ja ci mówiłem, żebyś zaczekała dwie minuty!

- To mój wóz! - Stuknęła pięścią w metal. - I mój problem! Jake podniósł ją i posadził na masce.

- Co ci dała ta pyskówka z Dolanem? - zapytał.

- Nic, ale nie o to chodzi!

- Chodzi o to, że popełniłaś taktyczny błąd. Doprowadziłaś do konfrontacji na jego terenie, w obecności jego ludzi. Szczupła, ważąca sześćdziesiąt kilogramów kobieta stawiała mu czoło w takich okolicznościach, więc nie miał wyjścia - musiał przynajmniej postarać się dowieść, że ma jaja. Jezu Chryste, a sądziłem, że twoja znajomość psychologii jest trochę głębsza, Dunbrook! Ten facet nie może sobie pozwolić na utratę twarzy, i to w takiej sytuacji!

- Jestem wkurzona do granic możliwości! - Callie chciała zeskoczyć z samochodu, ale tylko zawibrowała, gdy Jake przykrył jej dłonie własnymi, aby ją unieruchomić. - Mam gdzie psychologię! Mam gdzie sytuację Dolana! Pieprzę dynamikę płci i zasady hierarchii plemiennej! Kiedy ktoś mnie atakuje, nie pozostaję dłużna! Zresztą, odkąd to dobrowolnie rezygnujesz z walki? Przecież zwykle to ty wszczynasz bójki!

To prawda, miał na to wielką ochotę! Kiedy zobaczył ją stojącą wśród tych mężczyzn, otoczoną ze wszystkich stron, niczego nie pragnął bardziej, jak rzucić się na nich.

- Nie wszczynam bójek, kiedy na mnie jednego przypada dziesięciu rosnących facetów, w tym kilku z piłami i pistoletami do haków w garści. Poza tym fakt, że musiałem się wycofać, bynajmniej nie wprowadził mnie w pogodny nastrój.

- Nikt ci nie kazał wsadzać nosa w nie swoje sprawy!

- Właściwie - wycodził przez zęby i puścił jej dłonie - nikt mi nie kazał.

Mimo całej wściekłości natychmiast dostrzegła zmianę, jaka w nim zaszła. Od ognia do lodu, w ułamku sekundy. Ogarnął ją wstyd.

- No, dobrze, może i nie powinnam była jechać sama, pewnie lepiej by było, gdybym wcześniej wzięła się w garść, ale skoro już przyjechałaś, to dlaczego przynajmniej raz nie dałaś komuś w zęby?

Jake doskonale wiedział, że właśnie usłyszał przyznanie się do winy.

- Nie muszę zawsze kończyć walki jako zwycięzca, lubię wiedzieć, że skończę ją w jednym kawałku - mruknął.

- Kocham ten samochód! - wyrzuciła z siebie.

- Wiem.

Westchnęła, uderzyła podeszwą o zderzak. Zmarszczyła brwi, przyglądając się dziewiczo czarnemu lakierowi na masce mercedesa Jake'a.

- Dlaczego nie pomalowali twojego, do cholery?
- Może nie zdawali sobie sprawy, że twój gniew jest potężniejszy od mojego.
- Nie znoszę samej siebie, kiedy wpadam w taką złość... - Skrzywiła się.
- Nie mogę wtedy nawet logicznie myśleć. - Spojrzała na niego przez ramię. - Miałaś rację.

- Chwileczkę, zaraz wyjmę magnetofon!
- Jeżeli zamierzasz się wymądrzać i kpić ze mnie, na pewno ci nie podziękuję.
- Zaraz, zaraz, czy dobrze zrozumiałem? - Zmrużył oczy. - Nie dość, że przyznajesz mi słuszność, to jeszcze chcesz podziękować? Już lecę po ten magnetofon!

- Mogłam wiedzieć, że nie puścisz mi tego płazem. - Zeskoczyła z maski rovera i utkwiała spojrzenie w wartko płynącym po kamieniach strumieniu.

Przyjechał za mną, pomyślała. W głębi serca dobrze wiedziała, że Jake wytarłby teren budowy każdym, kto ośmieliłby się tknąć ją palcem. Ta świadomość sprawiała, że robiło jej się jakoś dziwnie ciepło i miękko. Czowała się jak idiotka...

- Powiedziałam tylko, że chyba rzeczywiście nie powinnam była lecieć do Dolana, wyklócać się z nim na oczach jego ludzi i winić go za to, jak się zachował. Dlatego doceniam, że wywlokłeś mnie stamtąd, zanim zdążyłam narozrabiać jeszcze gorzej. No, tak...

- Nie masz mi za co dziękować. Chcesz jechać na policję?
- Tak. - Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. - Ach, pieprzę to wszystko! Napijmy się najpierw kawy.

- Bardzo dobrze, ja też chętnie się napiję. Jedź za mną.
- Wcale nie muszę... - zaczęła.
- Jedziesz w złym kierunku - przerwał jej z uśmiechem, spokojnie idąc do swojego samochodu.

- Daj mi kluczyki! - Kiedy rzucił, chwyciła je w powietrzu. - Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Wstąpiłem do biura Dolana i zapytałem nadal bladą i drżącą asystentkę, czy tuż przede mną odwiedziła ją kobieta z ogniem buchającym z uszu. Reszta była prosta. - Jake wsiadł do mercedesa. - Stawiasz kawę.

Kiedy Lana po południu przyjechała do Antietam Creek, towarzyszył jej Tyler. Miała nadzieję, że Callie mówiła poważnie, zapraszając chłopca na teren wykopalisk. Od tamtej rozmowy Tyler ciągle do tego wracał.

Wcześniej zamknęła kancelarię i wróciła do domu, aby przebrać się w

dżinsy, sportową bluzkę i swoje najstarsze tenisówki. Jeżeli miała uganiać się za synem po całym terenie wykopalisk, powinna być odpowiednio ubrana.

- Mogę zatrzymać sobie kości, jeśli jakieś znajdę?

Lana podeszła do drzwi od strony pasażera, aby odpiąć przytrzymujący Tylera pas bezpieczeństwa.

- Nie.

- Ale, mamo...

- Nie, nie możesz niczego sobie zatrzymać i mogę ci zagwarantować, że doktor Dunbrook powie dokładnie to samo, koleżko. - Lana pocałowała naburmuszonego synka i wyciągnęła go z samochodu. - Pamiętasz pozostałe zasady?

- Nie biegać, nie zbliżać się do wody i nic nie dotykać.

- Niczego nie dotykać - poprawiła.

- Dobrze, niczego.

Roześmiała się, posadziła sobie Tylera na biodrze i ruszyła w stronę bramy.

- Mamo? Co to znaczy c - i - p - a?

Lana stanęła jak wryta i z otwartymi ze zdumienia ustami gwałtownie odwróciła głowę, aby zajrzeć synkowi w twarz. Chłopiec wpatrywał się w coś, mrużąc oczy. Podążyła za jego spojrzeniem i nagle wstrzymała oddech, ponieważ jej wzrok zatrzymał się na samochodzie Callie.

- Ach, to nic takiego... Nic, kochanie. Ktoś... Ktoś po prostu napisał kilka liter, to wszystko.

- Dlaczego ten ktoś napisał je na tym pikapie? Dlaczego, mamo?

- Nie wiem, kochanie. Będę musiała zapytać.

- No i kogóż my tu mamy... - Leo wytarł ręce w nogawki spodni koloru khaki i podszedł, aby się przywitać. - Wyglądasz mi na młodego archeologa.

- Umiem kopać. - Ty machnął czerwoną plastikową łopatką, bez której nie chciał ruszyć się z domu. - Zabrałem swoją łopatkę.

- Doskonale, w takim razie przydzielimy ci jakąś pracę.

- To jest Tyler. - Lana odetchnęła z ulgą, ponieważ pojawienie się Lea odwróciło uwagę chłopca od wypisanych na masce samochodu wulgarnych bazgrołów. - Ty, oto doktor Greenbaum. Mam nadzieję, że Ty nie będziesz przeszkadzał, doktorze. Callie powiedziała, że mogę go jeszcze kiedyś przywieźć, a on po prostu zameczał mnie prośbami, żeby tu wrócić.

- Oczywiście że nie będzie przeszkadzał. Pójdiesz ze mną, Ty? Tyler bez wahania wychylił się z ramion matki ku Leowi.

- Cóż, wygląda na to, że nie jestem już potrzebna... - mruknęła Lana.

- Wszystko to zasługa feromonów dziadka. - Leo mrugnął do niej

znacząco. - Młody człowiek świetnie wie, że ma przed sobą frajera. No, dobrze, w tamtym sektorze mamy sporą kolekcję grotów strzał i oszczepów. Interesuje was to?

- Bardzo, ale najpierw muszę porozmawiać z Callie - powiedziała Lana.

- Proszę przyjść do nas, kiedy skończycie. Ty i ja na pewno znajdziemy sobie jakieś zajęcie.

- Mógłbym dostać kość? - zapytał Tyler donośnym szeptem, gdy Leo oddalał się z nim w kierunku środkowej części terenu.

Lana z rozbawieniem potrząsnęła głową i ostrożnie wymijając rozstawione tu i ówdzie wiadra oraz pagórki ziemi, ruszyła w kierunku kwadratowej dziury, w której pracowała Callie.

- Halo, śliczna pani! - Digger przerwał pracę i mrugnął do niej. - Jeżeli chciałaby się pani czegoś dowiedzieć, serdecznie zapraszam...

Tkwiał w innym kwadracie, ale wyskoczył z niego, aby zwrócić na siebie jej uwagę. Lana zauważyła, że pachniał miętą i potem, i do złudzenia przypominał dużego, bardzo ożywionego kreta.

Lana zajrzała do opuszczonej przez Diggera dziury i spostrzegła, że ziemię usunięto z niej warstwami.

- Co to są te... - Pochyliła się niżej, badając wzrokiem leżące na dnie przedmioty. - Czy to kości?

- Tak jest, chociaż nie ludzkie. Mamy tu wysypisko kuchennych odpadków - kości zwierzęce, głównie jelenie. Warstwy ziemi mają różne zabarwienie, widzisz?

- Chyba tak...

- To dzięki odkładaniu się gliny zimą i szlamu latem. Wcześniej ten teren co pewien czas zalewała woda. Fakt, że kości także ułożone są warstwami, świadczy o istnieniu osady, stałej, całorocznej osady. Możemy się dowiedzieć, na jakie zwierzęta polowali, może nawet, w jaki sposób. Mieli tu także krowy, wszystko wskazuje na to, że je hodowali. To byli rolnicy, śliczna pani.

- I wszystko to wynika z pyłu i kości? Digger musnął palcem skrzydełko nosa.

- Kieruję się nieomylnym instynktem, ślicznotko. W przyczepie mam mnóstwo bardzo ciekawych przedmiotów. Gdybyś wpadła wieczorem, mógłbym ci je pokazać...

- Hmm...

- Przestań molestować mojego adwokata! - zawołała Callie. - Lana, uciekaj, zanim coś cię zarazi.

- Ach, jestem nieszkodliwy jak niemowlę...

- Raczej jak mały rekin! - sprostowała Callie.

- Nie bądź zazdrosna, skarbie! Przecież wiesz, że jesteś moją jedyną prawdziwą miłością!

- Digger posłał Callie głośnego całusa, mrugnął do Lany i znowu zanurkował do swojej dziury.

- Proponował, że pokaże mi różne ciekawe znaleziska - powiedziała Lana, kiedy dotarła do kwadratu Callie. - Czyżby była to archeologiczna wersja typowej metody na poderwanie dziewczyny?

- Digger bardzo chętnie demonstruje swoje znaleziska. W każdej chwili gotów jest wyciągnąć jakąś kosteczkę, żeby zaimponować interesującej go damie. I z powodów, których jeszcze nie udało mi się odkryć, ze zdumiewającą regularnością zalicza dziewczyny.

- Cóż, jest zabawny.

- Chyba chcesz powiedzieć, że jest szpetny jak tyłek muła! - parsknęła Callie.

- Właśnie na tym polega jego urok. - Lana zerknęła w głąb kwadratu Callie. - Co się stało z twoim samochodem?

- Najwyraźniej ktoś uznał, że dowcipnie będzie ozdobić go całym wachlarzem wulgarnych uwag i sugestii. Stawiam na któregoś z ludzi Dolana.

- Callie wzruszyła ramionami. - Dziś rano dałam mu do zrozumienia, że żywię wobec nich pewne podejrzenia...

- Rozmawiałaś z nim o tym?

Callie uśmiechnęła się lekko. Pomyślała, że Lana wygląda tak świeżo i ładnie jak uczennica ostatniej klasy liceum na letnim pikniku.

- Można to nazwać rozmową - mruknęła. Lana przekrzywiła głowę na bok.

- Będzie ci potrzebny adwokat?

- Na razie nie. Teraz sprawą zajmuje się szeryf.

- Hewitt? Bardziej przypomina zółwia niż zającą, ale nie sposób odmówić mu skrupulatności. Na pewno nie podejmie nieprzemyślanej decyzji.

- Ja też odniosłam wrażenie, że jest przesadnie dokładny - powiedziała Callie. - Wiem, że zamierzał porozmawiać z Dolanem.

- Bardzo mi przykro oczywiście, że spotkało cię coś takiego, lecz w tej chwili powitam z radością każdą komplikację w życiu Rona Dolana.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. - Callie się uśmiechnęła. - A skoro już tu jesteś, to mam pytanie - dlaczego ludzie prasują dzinsy?

Lana zerknęła na swoje starannie wyprasowane levisy.

- Żeby zamanifestować szacunek dla ciężkiej pracy producenta. I dlatego, że wyprasowane lepiej podkreślają kształt pośladków...

- Dobrze wiedzieć. Widzę, że Leo zaprzągnął Ty - Rexa do roboty.

- Poczuli do siebie sympatię od pierwszego wejrzenia. - Lana spojrzała na kości leżące w kwadracie Callie i z trudem powstrzymała dreszcz. - To nie są kości zwierzęce, prawda?

- Nie, ludzkie. - Callie sięgnęła po dzbanek i naląła mrożonej herbaty do plastikowego kubka. - Szkielet mężczyzny w wieku około sześćdziesięciu lat. Artretyzm zrobił z biedaka kalekę... - Podsunęła kubek Lanie, lecz ta potrząsnęła głową. - Mamy tu różne kości, fragmenty różnych szkieletów. Spójrz tutaj... - Callie wskazała długą kość. - To kość kobiety, mniej więcej w tym samym wieku. A ta należała do chłopca, nastolatka...

- Pogrzebali ich wszystkich razem?

- Raczej nie. Wydaje mi się, że z powodu zmian klimatycznych oraz podnoszenia się i opadania poziomu wód gruntowych doszło tu do wymieszania szkieletów z różnych okresów historycznych. To podmokły teren, w pobliżu jest jezioro, prawda? Kiedy zbadamy ten odcinek dokładniej, może w przyszłym sezonie, najprawdopodobniej odnajdziemy szczątki z jednego okresu. Hej, popatrz, Leo namówił Tylera do kopania!

Lana wyprostowała się i spojrzała na Tylera, który z entuzjazmem rozkopywał małą górkę ziemi. Leo przykucnął obok chłopca.

- Ty jest w siódmym niebie - zauważyła.

- Ta ziemia została już przesiana - powiedziała Callie. - Stawiam dwadzieścia dolarów, że Leo niepostrzeżenie wetknie do niej jakiś kamień albo skamieniałą skorupę ślimaka, żeby mały coś znalazł...

- To miły człowiek.

- Dzieci robią z nim, co chcą. - Callie się uśmiechnęła.

- Chciałabym zamienić z tobą parę słów, dopóki Ty i doktor Greenbaum są zajęci.

- Tak przypuszczałam. Chodźmy się przejść. I tak powinnam trochę rozprostować nogi.

- Nie chcę zostawiać Tylera samego...

- Leo zadba, żeby był zadowolony, wierz mi. - Callie schyliła się, żeby otrzepać spodnie z pyłu.

Wyskoczyła z dziury i szybkim krokiem ruszyła przed siebie, nie zostawiając Lanie wyboru.

- Mam trochę więcej informacji o Carlyle'u.

- Twój detektyw go znalazł? - zapytała Callie.

- Jeszcze nie, ale odkryliśmy coś interesującego. Prowadząc praktykę w Chicago i Houston, Carlyle reprezentował ponad siedemdziesiąt małżeństw, starających się o adopcję. Wszystkie dokumenty trafiły do sądu, wszystko było

jak należy. Dochody z tych jak najbardziej oficjalnych działań stanowiły lwią część jego zarobków. Podczas praktyki w Bostonie Carlyle reprezentował w sądzie dziesięć małżeństw...

- I co to znaczy?

- Zaczekaj. Po przeprowadzce do Seattle przeprowadził cztery procesy adopcyjne. Sądowe procesy adopcyjne. Sprowadza się to do jednej oficjalnej adopcji rocznie. Czy coś ci to mówi?

- To samo co tobie, w każdym razie tak sędzę. Najwyraźniej Carlyle doszedł do wniosku, że znacznie korzystniej jest kraść dzieci rodzicom i sprzedawać je, niż prowadzić prawdziwe sprawy w sądzie. - Callie weszła między drzewa, porastające brzeg rzeki. - To logiczna hipoteza, brak nam jednak dowodów...

- Na razie. Jeżeli uda nam się znaleźć choć jedną parę, która poleciła go przyjacielom lub na przykład znajomym z grupy wsparcia, i jeśli trafimy na kogoś, kto zwrócił się do Carlyle'a, lecz jego petycja nie została zarejestrowana w sądzie, będziemy mieli jakiś punkt oparcia. To byłby pierwszy ślad. Pocięszam się, że nawet najostrożniejsi przestępcy zawsze zostawiają ślad.

- Co powiemy tym ludziom, zakładając, że ich znajdziemy? - Callie kopnęła złamaną gałązkę. - Że dziecko, które wychowali, zostało skradzione innej rodzinie? Że w oczach prawa nigdy nie było członkiem ich rodziny?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem...

- Nie chcę mieszać innych w tę sprawę. To ponad moje siły, w każdym razie w tej chwili. Przecież to nie wina tych nieszczęsnych rodzin, że Carlyle wykoślawił coś tak pięknego i szlachetnego jak adopcja, czyniąc z niej źródło dochodu i cierpienia.

Dochodu dla siebie, pomyślała Lana. Cierpienia dla ciebie, dla was...

- Jeżeli go znajdziemy i jego zbrodnie wyjdą na jaw... - zaczęła. - W końcu...

- Właśnie, w końcu - przerwała jej Callie, odwracając się w stronę terenu wykopalisk. Odślaniamy warstwę po warstwie, pomyślała. Warstwę po warstwie. - Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co stanie się w końcu. Teraz muszę żyć z dnia na dzień, inaczej nie potrafię.

- Chcesz, żebym odwołała detektywa?

- Nie. Chcę tylko, żeby skoncentrował się na odnalezieniu Carlyle'a, nie na układaniu listy zarzutów na później. Zajmiemy się tym... Zajmiemy się tym w swoim czasie. Suzanne pisała do mnie listy... - Callie przerwała, patrząc jak trusty kos wzbija się w powietrze. W głębi lasu dzieciół jak szalony stukał w pień drzewa, po drugiej stronie drogi w słońcu jak zwykle drzemał pies. - Pisała do mnie list na każde urodziny. Przechowywała wszystkie w pudełku.

Wczoraj wieczorem przeczytałam jeden z nich. Serce mi pękało, mimo że nadal nie czuję z nią więzi. Nie potrafię wzbudzić w sobie uczucia, którego ona jest tak strasznie spragniona... Nie jest moją matką, nic nie jest w stanie sprawić, żebym spojrzała na nią w ten sposób... - Powoli pokręciła głową. - Ale ktoś musi za to zapłacić. Znajdziemy Carlyle'a i to on zapłaci za wszystko, on i inni, którzy maczali w tym palce. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić.

Z piersi Lany wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Próbuję wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby ktoś zabrał mi Tylera - powiedziała cicho. - I nie umiem, nie potrafię. Na pewno dlatego, że jest to zbyt przerażające. Mogę jednak wyobrazić sobie, że odnalezienie córki jest dla niej jednocześnie ogromną radością i cierpieniem. Nie wiem, co jeszcze mogłabyś zrobić, ale zdaję sobie sprawę, że to, co robisz, jest dowodem dobroci i odwagi.

Callie roześmiała się, lecz w jej głosie nie było cienia wesołości.

- Ani dobroci, ani odwagi. To po prostu konieczne.

- Mylisz się, ale nie będę marnować czasu na kłótnię z klientką. Tak czy inaczej, muszę ci powiedzieć, że przygotowałam dokument, o który prosiłaś, i że moim zdaniem nie powinnaś go podpisywać. - Lana wyjęła przezroczystą teczkę z torby. - Oświadczenie, w którym zrzekasz się wszelkich roszczeń w stosunku do majątku Suzanne Cullen i Jaya Cullena. Podpisz tutaj, oczywiście w obecności jeszcze jednego świadka.

Callie kiwnęła głową i wzięła dokumenty do ręki. Wreszcie jakiś konkretny krok, pomyślała.

- Leo będzie drugim świadkiem.

- Etyka zawodowa każe mi poradzić ci, żebyś jeszcze się zastanowiła. - Lana westchnęła.

- Ona nie jest moją matką, mówiłam ci. Nie mam prawa do niczego, co należy do niej. Zrób kopię oświadczenia i osobiście doręcz ją Douglasowi Cullenowi.

- Och, do diabła...

- Jest mi absolutnie obojętne, czy wsuniesz mu je do ręki, czy wepchniesz do gardła, ale chcę, żeby miał kopię.

- Serdeczne dzięki. To z pewnością pomoże mi zdobyć jego sympatię. Od razu zaprosi mnie na drugą randkę, nie sądzisz?

- Jeżeli nie będzie chciał cię znać z mojego powodu, to przekonasz się, że nie jest cię wart.

- Łatwo ci mówić... - Lana dopasowała swój krok do Callie. Obie zawróciły w kierunku terenu wykopaliskowego. - Ty masz faceta.

- Nie mam.

- Och, daj spokój! - zachnęła się Lana.

- Jeśli mówisz o Jake'u Graystonie, to bardzo się mylisz. Ta sprawa jest skończona i zamknięta.

- Akurat!

Callie przystanąła, zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa i ponad nimi spojrzała na Lane.

- Czy to prawniczy termin, to „akurat”?

- Chętnie sprawdzę w słowniku angielsko - łacińskim, żeby brzmiało bardziej oficjalnie. - Lana się uśmiechnęła, poprawiając pasek torby. - Lubię cię - dodała, kiedy znowu ruszyły przed siebie. - Dlatego nazwijmy to rezultatem bezstronnej obserwacji, zaprawionej szczyptą nieszkodliwej zazdrości. Graystone to wspaniały facet.

- Tak, wygląda całkiem nieźle. - Callie poszukała wzrokiem Jake'a, który właśnie pochylał się z Sanią nad szkicem jednego z odcinków. - Jake i ja jesteśmy współpracownikami i wciąż staramy się wykrzesać z siebie tyle tolerancji, aby móc przebywać w jednym pomieszczeniu bez wdawania się w kłótnię...

- Mam wrażenie, że dobrze wam to wychodzi - rzuciła Lana kąśliwym tonem. - Wiem, kiedy mężczyzna patrzy na kobietę takim wzrokiem, jakby miał ochotę ją zjeść - stąd moja zazdrość. Czasami przyłapywałam mojego męża, jak wpatrywał się we mnie w taki sposób... Czegoś takiego nigdy się nie zapomina, a Jake właśnie tak na ciebie patrzy.

Jak można to wytłumaczyć, zastanawiała się Callie, obserwując Jake'a, który właśnie poklepał Sanię po ramieniu, roztargnionym gestem odgarnął włosy z czoła i wstał. Potem przeszedł do środkowej części terenu, chwycił Tylera pod ramiona, odwrócił go głową w dół i trzymał tak długą chwilę, potrząsając nim co jakiś czas. Tyler zanosił się piskliwym, radosnym śmiechem. Z dziećmi radzi sobie równie dobrze jak z kobietami, pomyślała Callie, zaraz jednak przywołała się do porządku i uczciwie przyznała, że Jake po prostu łatwo nawiązuje kontakty z ludźmi. I tyle.

- Łączy nas jakieś dziwne uczucie o prymitywnym podtekście - odezwała się, zaskakując samą siebie. - Seks był... Cóż, było nam razem bardzo dobrze, może nawet więcej niż bardzo dobrze... Poza łóżkiem układało się znacznie gorzej.

- A jednak powiedziałaś mu o adopcji - wymamrotała Lana.

Callie z rozmachem klepnęła się plastikową teczką w udo.

- Przyłapał mnie w chwili słabości. Poza tym wiem, że Jake potrafi milczeć jak grób, można mu zaufać. No i ma szczególny zmysł do szczegółów. Nic nie umknie jego uwagi.

Gdyby Callie słyszała rozmowę Jake'a z Ronaldem Dolanem, musiałaby jednak przyznać, że tym razem przegapił jakiś ważny szczegół. W czasie popołudniowego spotkania Jake wypróbował wszystkie taktyki, jakie przyszły mu do głowy. Najpierw postawił na zjednoczony front mężczyzn, z lekkim rozbawieniem wspominając o porannym występie Callie.

Gdyby wiedziała, że przeprosił Dolana za jej atak, usmażyłaby jego jaja na śniadanie, ale musiał to zrobić, żeby nawiązać jakikolwiek kontakt z wyraźnie niechętnie do niego nastawionym mężczyzną. Potem rzucił na szalę swój urok osobisty, cierpliwość, powagę nauki, poczucie humoru... Dolan ani drgnął. Na dobre okopał się w swoim szańcu i postanowił w nim wytrwać.

- Panie Dolan, nie da się zaprzeczyć, że okręgowa komisja planowania wydała zakaz dalszego prowadzenia budowy na interesującym nas terenie, i to z istotnych powodów.

- Za kilka tygodni zakaz straci ważność. Tymczasem teraz banda ludzi grzebie w ziemi na mojej działce i niszczy moją własność.

- Prace wykopaliskowe tego rodzaju prowadzone są w bardzo systematyczny i zorganizowany sposób - powiedział Jake.

Dolan prychnął pogardliwie i odchylił się do tyłu w fotelu.

- Byłem tam i co widzę? Co najmniej tuzin dziur w ziemi i mnóstwo wałęsających się po całym terenie szczeniaków z uniwersytetu, którzy najprawdopodobniej nic nie robią przez cały dzień, tylko palą trawę i Bóg wie co jeszcze. Rozkopujecie groby, wyciągacie szkielety z ziemi, aż strach myśleć!

- Te szczątki traktowane są z szacunkiem i ogromną uwagą. Badania prehistorycznych szkieletów to niezwykle istotna część naszego projektu.

- Na szczęście nie jest to mój projekt! - Dolan wznosił oczy do sufitu. - Wielu ludziom z naszego miasteczka wcale się nie podoba to rozgrzebywanie grobów. Twierdzą, że te kości mają kilka tysięcy lat, ale kto to może wiedzieć?

- Wykonujemy badania, które mogą jednoznacznie potwierdzić, czy...

- Nauka niczego nie jest w stanie jednoznacznie potwierdzić - przerwał mu Dolan, zaciskając dłoń w pięść, wysuwając palec wskazujący i celując nim w Jake'a. - Naukowcy ciągle zmieniają zdanie. Nie potraficie się nawet zdecydować, od czego zaczęła się historia świata. Porozmawiaj pan z ojcem mojej żony - ten z punktu umie wytoczyć z dziesięć argumentów, dlaczego całe to gadanie o ewolucji jest zwyczajną bujdą. - Dolan głośno strzelił palcami. - I coś panu powiem, ja przyznaję teściowi rację, bo przynajmniej rozumiem, co facet gada.

- Oczywiście moglibyśmy poświęcić kilka godzin na dyskusję o plusach

i minusach teorii ewolucji oraz teorii stworzenia świata, ale to nie rozwiąże naszego problemu, prawda? - odparł Jake. - Niezależnie od tego, którą z tych teorii poprzemy istnieją niepodważalne dowody, że w Antietam Greek znajdowała się neolityczna osada. Badania kości, wykopanych przedmiotów i układu warstw gleby wyraźnie to potwierdzają.

- Może i tak, mnie tam wszystko jedno. - Dolan z powątpiewaniem pokręcił głową. - Osada neolityczna czy nieneolityczna, ci ludzie nie zostali tam pochowani po to, żebyście ich teraz wygrzebali i kładli pod mikroskopem. Trzeba mieć trochę szacunku dla zmarłych i zostawić ich w spokoju, oto moje zdanie.

- Skoro tak, to w jaki sposób zamierza pan kontynuować budowę osiedla?

Lecz Dolan miał już gotową odpowiedź na to pytanie. Może nie była ona do końca dopracowana, ale na pewno wystarczająco przemyślana, żeby uciszyć część przeciwników budowy.

- Postawimy tablice z napisami i oczywiście ogrodzimy tę część terenu.

Dolan intensywnie zastanawiał się nad tą kwestią, zwłaszcza odkąd zrozumiał, że długa zwłoka pozbawi go dopływu gotówki. Mógł pozwolić sobie na to, żeby odgrodzić jeden akr, postawić tablice informacyjne, może nawet umieścić obok reflektory.

W gruncie rzeczy mógłby wykorzystać fakt odkrycia cmentarzyska jako dodatkową atrakcję, podobnie jak wcześniej posłużył się fragmentem historii wojny secesyjnej, aby zareklamować nowe osiedle.

Nie mógł natomiast z całą pewnością pozwolić sobie na to, aby z założonymi rękami czekać na dalszy rozwój wypadków.

- Minie sporo czasu, zanim dokładnie określimy, jaki obszar zajmowało neolityczne cmentarzysko - zauważył Jake.

- Więc gdzie chce pan postawić te tablice?

- Zorganizuję własny zespół badawczy i zrobimy, co należy. Wiem, że zamierzacie sprowadzić jakiegoś Indianina - och, strasznie przepraszam, rdzennego Amerykanina - który odprawi modły i da wam zielone światło. Cóż, ja także wykonałem kilka telefonów i coś panu powiem - też mogę tu ściągnąć rdzennego Amerykanina, w dodatku takiego, który głośno oświadczy, że nie wolno wam grzebać w tych grobach.

Jake pochylił się do przodu.

- Nie wątpię, że uda się panu to zrobić - rzekł. - Między przedstawicielami poszczególnych plemion istnieją duże różnice zdań na te tematy, ale proszę mi wierzyć, nie wygra pan z nami na tym polu. Zajmuję się tą dziedziną od blisko piętnastu lat i mam kontakty, o jakich pan może tylko

pomarzyć. Poza tym, tak się składa, że sam jestem w jednej czwartej Indianinem - och, strasznie przepraszam, rdzennym Amerykaninem - i doskonale wiem, że chociaż niektórzy są przeciwni badaniu ludzkich szczątków, znacznie większa grupa przychylniej potraktuje wrażliwość i szacunek, z jakimi my podchodzimy do tych badań, niż pański projekt, który sprowadza się do zalania cementarzyska grabą warstwą betonu, a wszystko po to, aby wyciągnąć z tego trochę grosza.

- Zapłaciłem za tę ziemię - powiedział Dolan przez zaciśnięte zęby. - Więc teraz należy do mnie, jasne?

- Jasne. - Jake skinął głową. - Zgodnie z prawem rzeczywiście należy do pana, tyle że koniec końców to właśnie prawo poprze nasze plany wobec tego terenu.

- Nie wyjeżdżaj mi pan tu z prawem! - Dolan eksplodował po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy. Jake nie był tym specjalnie zaskoczony, ponieważ doskonale wyczuwał napięcie, z jakim Dolan się zmagał. - Mam tego dosyć! Nie zniosę, żeby jakiś mądrala pouczał mnie, co mogę, a czego nie mogę zrobić! Mieszkam w tym okręgu od urodzenia. Mój ojciec założył tu firmę budowlaną pięćdziesiąt lat temu i od tego czasu i on, i ja dokładaliśmy starań, żeby tutejsi ludzie mieli przyzwoite domy. I nagle jak grom z jasnego nieba spadają na nas ekolodzy i inni wielbiciel drzew, i zaczynają wygłaszać kazania, ponieważ stawiamy osiedla na terenach uprawnych. Nie zapytają farmera, dlaczego sprzedaje ziemię, dlaczego ma dosyć płacenia podatków i wysłuchiwanie narzekań na zbyt wysokie ceny mleka. Nie macie zielonego pojęcia o naszym życiu i nie macie prawa przychodzić tu i mówić mi, że interesuje mnie tylko wyciąganie grosza z inwestycji!

- Nic mnie nie obchodzi, co i dlaczego pana interesuje. Wiem tylko, że nie rozmawiamy o terenach uprawnych i stracie otwartej przestrzeni, ale o odkryciu, które ma olbrzymie znaczenie dla historii oraz innych dziedzin nauki. Jesteśmy gotowi walczyć z panem, żeby zachować to odkrycie. - Jake podniósł się powoli. - Mój ojciec ma rancho w Arizonie. Widziałem, jak rok po roku urabiał sobie ręce po łokcie, żeby związać koniec z końcem, i nadal to robi, taki jest jego życiowy wybór. Gdyby zdecydował się sprzedać ziemię, to także byłaby jego własna decyzja. Nie znam tutejszej społeczności, ale całkiem nieźle poznałem pięćdziesiąt akrów ziemi w Antietam Creek, a wkrótce będę znał ten teren lepiej niż pan własne podwórko. Ludzie mieszkali tutaj, pracowali, spali, rodzili się i umierali, dlatego jest to ich ziemia, w każdym razie ja tak to widzę. Zamierzam postarać się, aby fakt ich istnienia trafił do świadomości pańskich i moich sąsiadów.

- Maciejak najszybciej wynieść się z mojej ziemi - warknął Dolan.

- Proszę porozmawiać o tym z władzami stanu Maryland, okręgową komisją planowania i sądem. - Oczywiście Jake'a były zimne i bardzo zielone, a w głosie brzmiała twarda nuta. - Niech pan nas pozwie, a dam sobie rękę uciąć, że dziennikarze nie zostawią na panu suchej nitki, i to jeszcze zanim sąd zdecyduje, kto ma słuszość. Firma Dolana skończy jako jeszcze jedno archeologiczne znalezisko.

Jake wyszedł z gabinetu Dolana i zamknął za sobą drzwi. Sekretarka obrzuciła go spłoszonym spojrzeniem i tak gwałtownie zainteresowała się klawiaturą komputera, że natychmiast zyskał pewność, iż słyszała przynajmniej część tyrady Dolana. Wkrótce całe Woodsboro będzie wiedziało, jak potoczyła się nasza rozmowa, pomyślał Jake. W ciągu następnych kilku dni liczba zwiedzających teren osady niewątpliwie wzrośnie. Usiadł za kierownicą i wyjął komórkę.

- Zaczniij szukać dobrych prawników, Leo - powiedział. - Dolan jest wściekły, po rozmowie ze mną chyba jeszcze bardziej niż przed. Po drodze zajrzę do Lany Campbell, która reprezentuje tutejsze stowarzyszenie historyczne i ochrony przyrody, i powiem jej, jak wygląda sytuacja.

- Lana jeszcze jest tutaj - odparł Leo.

- Wobec tego wracam prosto do obozu.

Trzy kilometry za miastem, w domu zbudowanym przez firmę Dolana, Jay Cullen siedział obok swojej byłej żony i oglądał na wideo wywiad, jakiego Callie Dunbrook udzieliła lokalnej stacji telewizyjnej.

Jak zwykle w chwilach, gdy Suzanne zmuszała go do powrotu do ich wspólnego koszmaru, czuł bolesny, dławiący ucisk w klatce piersiowej i w brzuchu.

Był spokojnym człowiekiem. Skończył miejscową szkołę, ożenił się z Suzanne Grogan, dziewczyną, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia, mając sześć lat, i poszedł na studia nauczycielskie.

Przez dwanaście lat uczył matematyki w szkole średniej, której był absolwentem. Po rozwodzie, po tym, jak nie był już w stanie znieść obsesji Suzanne, przeprowadził się do sąsiedniego okręgu i rozpoczął pracę w nowej szkole.

Można powiedzieć, że odzyskał trochę spokoju. Czasami całymi tygodniami nie myślał o zaginionej córce, ale codziennie myślał o Suzanne.

I oto teraz znalazł się w domu, w którym nigdy nie mieszkał i w którym czuł się dziwnie nieswojo. Było tu za dużo otwartej przestrzeni, za dużo starannie zaprojektowanych pomieszczeń i pięknych sprzętów. No i naturalnie znowu tkwili w przeszłości, w tym samym jej okresie, który zniszczył ich małżeństwo i potrzaskał życie Jaya na kawałki.

- Suzanne...

- Zanim wyliczysz wszystkie powody, dlaczego ona nie może być Jessicą, pozwól, że opowiem ci całą historię. Została adoptowana cztery dni po porwaniu Jessie. Była to prywatna adopcja, z rąk do rąk. Siedziała tu, gdzie ty w tej chwili, i wyjaśniła mi, że po zapoznaniu się z podstawowymi faktami doszła do wniosku, że musimy wykonać badania. Nie proszę cię, byś zgodził się z moim punktem widzenia, nie, wcale nie nalegam, proszę jedynie, żebyś zgodził się na badania.

- Po co? Przecież ty już jesteś przekonana, że to Jessica. Masz to wypisane na twarzy.

- Muszę jeszcze przekonać ją. I ciebie, i Douga...

- Nie wciągaj w to Douga, przynajmniej nie tym razem, na miłość boską!

- To jego siostra!

- To obca osoba. - Jay z roztargnieniem położył rękę na głowie Sadie. - I niezależnie od wyniku badań, nie przestanie nagle nią być.

Odwrocił twarz od ekranu, usiłując uwolnić się od bólu.

- Nigdy nie odzyskamy Jessiki, Suz - dodał. - Próbujesz cofnąć czas, ale to niewykonalne.

- Wolałbyś nie wiedzieć, prawda? - odezwała się gorzko. - Wolałbyś odciąć się od tego wszystkiego, zapomnieć. Chciałbyś zapomnieć o niej i bez wstrząsów przejść przez resztę życia.

- Tak, masz rację. Chciałbym zapomnieć, na Boga, ale nie mogę. Nie potrafię zapomnieć, lecz nie mogę też pozwolić, aby całe moje życie podporządkowane było tej tragedii. Nie umiałbym iść od porażki do porażki, od pomyłki do pomyłki, i wciąż nie rezygnować, tak jak ty. Nie zniósłbym tego. - Jay pogładził głowę Sadie, jej jedwabiste uszy, i pomyślał, że bez wahania oddałby część życia, aby Suzanne mogła zacząć normalnie żyć. - Tamtego grudniowego dnia straciłem nie tylko córkę, ale i żonę, moją najlepszą przyjaciółkę. Straciłem wszystko, co kiedykolwiek miało dla mnie znaczenie, bo ty przestałaś mnie dostrzegać. Od tamtego dnia widziałas wyłącznie Jessie.

Suzanne słyszała te słowa już wcześniej, wielokrotnie to mówił, zawsze z tym samym wyrazem spokojnego smutku na twarzy. Kiedy na niego patrzyła, czuła ból, ale wiedziała, że Jay nie przywróci jej spokoju.

- Podałeś się. - Z trudem tłumiała gorzkie łzy. - Zrezygnowałaś z niej i już dawno byłeś gotów zapomnieć, zupełnie tak, jakbyśmy stracili szczeniaka...

- To nieprawda. - Jego gniew wiele lat temu rozpułynał się w znużeniu. -

Nie poddałem się, przyjąłem tylko do wiadomości, że straciliśmy córkę. Musiałem to zrobić. Nie zwracałaś uwagi na to, co robię i co czuję. Przestałaś na mnie patrzeć, przestałaś mnie widzieć, zresztą po siedmiu latach już nie było na co patrzeć. Nic nie zostało z naszego małżeństwa.

- Zawsze uważałeś, że to była moja wina!

- Och, nie, nigdy tak nie uważałem, kochanie. - Nie mógł tego znieść, nie chciał, żeby znowu wpadła w spiralę rozpacz, poczucia winy i bólu. - Nigdy, nawet przez chwilę...

Wstał i przyciągnął ją do siebie. Nadal pasowała do niego jak druga połówka przekrojonego jabłka. Trzymał ją w ramionach, czując, jak wstrząsa nią szloch. I zdawał sobie sprawę, że jest równie bezradny, równie bezużyteczny jak w tamtej chwili, kiedy zadzwoniła do niego i powiedziała mu o zniknięciu Jessiki.

- Zrobię badania, oczywiście, że je zrobię. Powiedz mi tylko, gdzie mam zadzwonić.

Jeszcze przed wyjściem od Suzanne umówił się na wizytę u lekarza. Miał wrażenie, że trochę ją to uspokoiło, bo kilka razy nawet się uśmiechnęła. Z nim sprawa miała się zupełnie inaczej - ucisk w klatce piersiowej był coraz silniejszy.

Nie zamierzał wybierać się na teren wykopaliskowy. Suzanne nalegała, aby tam pojechał, prawie błagała go, żeby zobaczył się z tą Callie Dunbrook, ale on nie był na to gotowy. Poza tym co właściwie miał jej powiedzieć? I co ona mogła powiedzieć jemu?

W dzień dwudziestych pierwszych urodzin Jessiki Jay uświadomił sobie ostatecznie, że jego córka, jeżeli żyła, o co modlił się całym sercem, stała się dorosłą kobietą i nigdy, przenigdy nie mogła już przeistoczyć się w tamtą Jessie.

Nie chciał wracać do domu, czuł, że nie zniósłby wieczoru w samotności. Tak, w samotności. Kiedy wreszcie zgodził się na rozwód, wiedział, że szuka spokoju i właśnie samotności. Po latach napięć i konfliktów, kłótni i sporów, z chęcią, prawie z radością myślał o tym, że zostanie sam.

Wiedział też, że to potrzeba samotności sprawiła, iż nie ożenił się powtórnie i rzadko umawiał się z kobietami, lecz w głębi serca musiał przyznać, że jest to tylko część prawdy. Jay Cullen nigdy nie przestał być żonatym mężczyzną. Jessica była żywym duchem, rządzącym życiem Suzanne, natomiast małżeństwo z Suzanne nadal odgrywało decydującą rolę w życiu Jaya.

Kiedy ustępował wobec nacisków i namów ze strony przyjaciół, a także własnych fizycznych potrzeb, i szedł z jakąś kobietą do łóżka, zawsze uważał

to za akt emocjonalnej zdrady. Żaden dokument nie mógł przekonać jego serca, że Suzanne już nie jest jego żoną.

Starał się nie myśleć o mężczyznach, z którymi w ciągu tych lat spotykała się Suzanne. Miał pełną świadomość, że ona właśnie w tym widziała jego największą wadę - w instynktownym odcinaniu się od wszystkiego, co go unieszczęśliwiało, co zakłócało spokojną ścieżkę jego życia.

I musiał przyznać jej rację. Suzanne miała słuszność, oskarżając go, że odpycha od siebie to, co bolesne i niewygodne.

Wjeżdżając do miasta, poczuł znajome ukłucie żalu i prostą, nieskomplikowaną radość. Tu był jego dom, chociaż od lat mieszkał gdzie indziej. Tu żyły jego wspomnienia. Lody, letnie parady i długie spacery. Sportowe treningi i wyścigi z psem pani Hobson, Chesterem, odprowadzającym aż do płotu Jaya, który skracał sobie drogę do szkoły przez sąsiednie podwórko.

Widok Suzanne, czekającej na niego na rogu. Później, w miarę dorastania, widok Suzanne, która udawała, że wcale na niego nie czeka.

Doskonale pamiętał, jak oboje przechodzili przez kolejne etapy dorastania. Pamiętał warkoczyki, które nosiła w pierwszej klasie i zabawne spinki z różowymi kwiatkami i błękitnymi motylkami, jakimi później zaczęła podpinać włosy.

Pamiętał, jak w wieku dziesięciu lat biegł do biblioteki w lewisach tak nowych i sztywnych, że wydawało mu się, iż ma na sobie spodnie z tektury.

Pamiętał, jak pierwszy raz ją pocałował, właśnie tam, pod starym dębem na rogu Main Street oraz Church. Spadł wtedy wczesny śnieg i Jay odprowadził ją do domu, zamiast wdać się w bitwę na śnieżki z kolegami.

Warto było, pomyślał teraz. Och, tak, warto było, mimo całego przerażenia, zimnego potu i bólu brzucha... Dotyk miękkich, delikatnych warg Suzanne wart był każdej ceny. Jacyż byli wtedy niewinni i zakochani...

Serce waliło mu tak szybko i mocno, że w końcu zaczęło mu się kręcić w głowie. Odepchnęła go lekko, ale na ustach miała uśmiech. A kiedy zerwała się do biegu, śmiała się cicho, melodyjnie. Jay pomyślał, że śmieje się z niego, bo jest dziewczyną, a dziewczyny wiedzą o życiu dużo więcej niż chłopcy w tym samym wieku.

Gdy biegiem wracał do szkoły, pod którą jego koledzy wciąż jeszcze obrzucali się śnieżkami, jego stopy prawie nie dotykały ziemi.

Pamiętał, jacy byli szczęśliwi, kiedy dostał dyplom i wreszcie mogli wrócić do Woodsboro. Malutkie mieszkanie, które wynajęli tuż obok uniwersytetu, nigdy nie było ich domem, lecz miejscem, gdzie bawili się w dom i w małżeństwo.

Ale gdy wrócili do Woodsboro razem z kilkumiesięcznym Douglasem, od razu stali się rodziną.

Zaparkował na chodniku, zanim się zorientował, że zamierza to zrobić. Potem wysiadł i wolnym krokiem ruszył w kierunku antykwariatu ojca Suzanne.

Roger stał przy ladzie, zajęty rozmową z klientem. Na widok Jaya pytająco podniósł brwi, lecz ten potrząsnął głową i podniósł rękę, dając do zrozumienia, że poczeka, i zagłębił się między półki i regały.

Jay wiedział, że Roger jest mu bliższy niż własny ojciec, który byłby znacznie bardziej zadowolony, gdyby syn nie zdał ani jednego egzaminu, zamiast zaliczać je na najwyższe noty.

Po rozwodzie Roger traktował go tak samo jak wcześniej, ale jednak wszystko się zmieniło...

Nagle Jay zobaczył Douga, układającego książki na półce z biografiami, i przystanął. Od ostatniego powrotu Douga do Woodsboro widział się z nim dwa razy, lecz mimo to zawsze czuł zdumienie, kiedy uświadamiał sobie, że ten wysoki, szeroki w barach mężczyzna jest jego synem. - Masz coś dobrego do czytania? - zapytał.

Doug obejrzał się i jego poważną twarz rozjaśnił uśmiech.

- Mam kilka ciekawych pornosów w prywatnej biblioteczce, ale to będzie cię kosztowało - zażartował. - Co robisz w mieście, tato?

Ledwo zadał to pytanie, a już domyślił się odpowiedzi. Jego uśmiech zbladł.

- Nie przejmuj się - mruknął. - Wiem, że to mama cię w to wciągnęła.

- Widziałeś tę taśmę?

- Jasne. Przyjrzałem się też z bliska tej Callie Dunbrook. Jay podszedł bliżej. - I co myślisz?

- A co mam myśleć? - Doug wzruszył ramionami. - Nie rozpoznałem w niej Jessie. Wiem tylko, że mama zupełnie oszalała na jej punkcie.

- Twoja matka powiedziała mi, że to ona pojechała do tej kobiety, a nie odwrotnie. - I co z tego? Widzisz jakąś różnicę?

- Co na to wszystko Roger? - zapytał Jay.

- Po obejrzeniu nagrania był bardzo poruszony, ale w sumie nieźle się trzyma. Wiesz, jaki jest dziadek.

- Pojechał porozmawiać z tą dziewczyną?

- Nie. - Doug potrząsnął głową. - Powiedział, że nie chce jej przestraszyć. Jego zdaniem, jeżeli zaczniemy ją nachodzić, wyjedzie, odmówi wykonania badań, albo coś w tym rodzaju.

Ale oczywiście chce ją zobaczyć. Zaczął czytać książki o archeologii,

chyba po to, żeby mieć o czym z nim rozmawiać, na wypadek gdybyśmy znowu stali się jedną dużą, szczęśliwą rodziną...

- Jeżeli to twoja siostra... Musimy się upewnić. Niezależnie od tego, co się z tym wiąże, musimy mieć pewność. Zamienię parę słów z Rogerem i wracam do siebie. Opiekuj się mamą, dobrze?

Zachwycony i podekscytowany pobyt w obozie archeologów, zaraz po wejściu do antykwiariatu Tyler wyrwał rączkę z dłoni matki, popędził do kontuaru i podniósł w górę spłaszczony kawałek skały.

- Spójrz, dziadku Rogerze, popatrz, co mam!

Lana rzuciła Jayowi przeprasające spojrzenie i szybko podeszła do synka.

- Nie wolno przerywać, gdy ktoś rozmawia, Ty...

Zanim zdążyła wziąć Tylera na ręce, Roger przeszedł na drugą stronę lady i poprawił okulary.

- Co tam masz, młody człowieku?

- To kawałek oszczepu, indiańskiego oszczepu! - wyjaśnił Tyler entuzjastycznie. - Możliwe, że ktoś został nim zabity!

- A niech mnie... Czy to przypadkiem nie jest krew?

- Nieee... - zaprzeczył chłopiec z rozczarowaniem, ale jednak przyjrzał się z wielkim zainteresowaniem zakończeniu grotu. - A może jest...

- Bardzo przepraszam. - Lana podniosła Tylera i oparła go sobie na biodrze. - Indiana Jones tak się podniecił, że zapomniał o zasadach dobrego wychowania.

- Kiedy dorosnę, będę mógł wykopywać z ziemi kości, całkiem sam!

- To dopiero będzie przyjemność! - Lana przewróciła oczami i przesunęła chłopca na biodrze. Jeszcze trochę, pomyślała z przykrością, i nie będzie mogła go tak nosić. - Warto jednak pamiętać, że niezależnie od wieku nigdy nie wolno przerywać innym.

- Posadź tutaj ten słodki ciężar. - Roger poklepał blat lady. - Lano, to jest mój... - Zawahał się, niepewny, jak przedstawić byłego zięcia. - To jest ojciec Douglasa, Jay. Jay, oto Lana Campbell, najładniejszy adwokat w Woodsboro, i jej syn, Tyler.

Lana posadziła Tylera na ladzie i podała Jayowi rękę.

- Bardzo mi miło pana poznać, panie Cullen.

Zobaczyła oczy Callie i nos Douga. Ciekawe, czy on także poczułby to radosne zaskoczenie, dostrzegając własne rysy w swoich dzieciach, jakie odczuwała ona, patrząc na Tylera...

- Tyler i ja właśnie wracamy z Antietam Greek.

Wie o wszystkim, pomyślała, widząc, jak gwałtownie zmieniła się jego

twarz. Wie, że córka, którą odebrano mu wiele lat temu, pracuje teraz zaledwie parę kilometrów stąd.

- Mają tam kawałki szkieletów i dużo kamieni, i ska... Jak to się nazywa? - Tyler pociągnął matkę za rękę.

- Skamieliny.

- Właśnie, ska... Skamieliny. Doktor Leo pozwolił mi wziąć tę bryłkę i powiedział, że ona ma kilka milionów lat!

- Kto by pomyślał? - Roger uśmiechnął się, lecz Lana zauważyła, że uspokajającym gestem dotknął ramienia Jaya. - Więc jest starsza ode mnie...

- Naprawdę? - Ty z zainteresowaniem spojrział w pomarszczoną twarz Rogera. - Możesz pojechać tam ze mną, razem pokopiemy w ziemi! Pokażę ci, jak to się robi! Dostałem też cukierka. Doktor Jake wyciągnął go z mojego ucha!

- Nie do wiary! - Roger pochylił się i zajrzał najpierw do prawego, potem do lewego ucha chłopca. - Na pewno już go zjadłeś, co?

- Tak, bo to był tylko jeden cukierek. Doktor Leo powiedział, że to czary i że doktor Jake zna mnóstwo sztuczek, ale więcej mi nie pokazał...

- Wygląda na to, że spędziłeś wspaniały dzień. - Jay z rozbawieniem postukał lekko palcem w brudne kolano chłopca. - Pozwolisz mi obejrzeć swój kamień?

- Dobrze... - powiedział Tyler z wyraźnym wahaniem. - Ale nie możesz go zatrzymać, wiesz o tym, prawda?

- Jasne, chcę tylko popatrzeć - odparł Jay. Chociaż przez chwilę trzymać w dłoni coś, co miało związek z Jessicą. - Bardzo ciekawy okaz. Ja też zbierałem kamienie, kiedy byłem mały. Miałem też sporo pocisków z okresu wojny secesyjnej.

- Takich, które kogoś zabiły? - zaciekawiał się Tyler. .

- Miły dzieciak.

- Też tak uważam. Jeżeli zamierzasz się ze mną umówić, chciałabym, żebyś zrobił to teraz.

- Dlaczego? - Doug poczuł, jak mięśnie jego szyi napięły się ze zdenerwowania, ale Lana tylko uniosła brwi. - W porządku, w porządku... O, Boże... Miałabyś ochotę wybrać się gdzieś ze mną jutro wieczorem?

- Tak, chętnie. O której?

- Nie wiem. - Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że jest delikatnie, lecz skutecznie przypierany do muru. - O siódmej?

- Doskonale. - Lana uznała, że ich sprawy osobiste zostały załatwione i położyła teczkę z dokumentami na biurku Rogera. - Skoro już to ustaliliśmy, powinnam cię poinformować, że jestem adwokatem Callie Dunbrook.

- Słucham?!

- Reprezentuję Callie Dunbrook w sprawie o ustalenie jej tożsamości. Mięśnie szyi i karku Douga w jednej chwili stały się twarde jak stal.

- Po co jej адвокат, do diabła?!

- Ten problem dotyczy wyłącznie mojej klientki i mnie. Istnieje jednak pewna kwestia, którą muszę omówić z tobą na jej prośbę. - Otworzyła teczkę i wyjęła z niej pokryte drobnym drukiem kartki. - Przygotowałam ten dokument zgodnie z życzeniem Callie Dunbrook. Poleciała mi, abym dostarczyła ci kopię.

Doug miał ochotę schować ręce za plecami i szczerze mówiąc, z trudem przezwyciężył ten impuls. Najpierw wykonuje serię manewrów, żeby zaprosił ją na randkę, pomyślał, i to już drugą, a później detonuje bombę. I wszystko to z całkowitym spokojem... W dodatku wygląda przy tym jak modelka z „Vogue”...

- Co ty knujesz, do diabła?! - wybuchnął po chwili milczenia.

- Co masz na myśli?

Doug z trzaskiem postawił puszkę na biurku.

- Przyszłaś tu, żeby namówić mnie na randkę, czy żeby wręczyć mi oficjalny dokument? Lana lekko wydeła zmysłowe wargi.

- Sądzę, że określenie „namówić” jest w tym wypadku jak najbardziej właściwe, chociaż może niezbyt dla mnie pochlebne. Nie wręczam ci oficjalnego dokumentu, ale jego kopię, na życzenie mojej klientki. Podsumowując, jeżeli chcesz się dowiedzieć, czy przyszłam tu dzisiaj, żeby namówić cię na randkę, czy żeby dostarczyć ci kopię oficjalnego dokumentu, odpowiedź brzmi „tak”, na obie części tego pytania. - Podniosła jego puszkę i przestawiła ją na podstawkę, żeby zimny i wilgotny metal nie zostawił śladu na blacie. - Natomiast jeżeli przeszkadza ci świadomość, że spotykasz się na gruncie towarzyskim z osobą, która reprezentuje Callie, to możesz być pewien, że uszanuję twoją decyzję. Pociągnęła mały łyk coli. Bardzo mały, ponieważ gest ten obliczony był wyłącznie na efekt.

- Nawet jeżeli uważałabym ją za głupią i krótkowzroczną - dorzuciła.

- Niezły z ciebie manipulator - wymamrotał Doug.

- Określenie „manipulator” użyte w stosunku do adwokata nie wnosi nic nowego. Chcesz wycofać propozycję spotkania zwanego „randką”, do którego ma dojść jutro o dziewiętnastej zero zero?

Poczuł złość.

- Tym samym przyznałbym, że jestem głupi i krótkowzroczny. Uśmiechnęła się bardzo, bardzo słodko.

- Właśnie. I oczywiście pozbawiłbyś się mojego stymulującego towarzystwa.

- Zawsze nosisz ze sobą smycz, żeby wziąć na nią ujarzmionego faceta?
- zapytał.

- A jakiego koloru smycz chciałbyś nosić? Musiał się roześmiać, nie miał innego wyjścia.

- Podobasz mi się, to chyba oczywiste - powiedział. - Poza tym lubię cię, chociaż jeszcze się nie zastanawiałem, dlaczego. I muszę być z tobą szczerzy - nie nadaję się na partnera w trwałym związku...

- Może mam ochotę wyłącznie na pozbawiony uczucia seks. Szczeka mu opadła.

- No, tak... - wykrztusił. - Skoro tak do tego podchodzisz...

- Nie. - Z uśmiechem podała mu puszkę. Miała wrażenie, że Dougowi przydałoby się teraz coś znacznie mocniejszego niż cola. - Nie, nie mam ochoty na odarty z uczuć seks, chcę tylko powiedzieć, że założenie, iż jako kobieta próbuję stworzyć związek na podstawie dwóch nic nieznaczących spotkań, nawet randek, świadczy o ograniczonym sposobie myślenia i pogardliwym stosunku do kobiet. Nie musisz się też obawiać, że jesteś mi potrzebny jako element mojego małego światka, ponieważ jestem młodą wdową z dzieckiem.

- Ja nie... Wcale nie o to mi chodziło... - Doug przerwał i pociągnął duży łyk coli. - Chyba będzie najlepiej, gdy się zamknę. Niezależnie od tego, co powiem, i tak wyjdę w twoich oczach na jeszcze gorszego idiotę. Zobaczmy się jutro wieczorem, o siódmej, tak?

- Tak. - Znowu podsunęła mu papiery.

Doug miał nadzieję, że o nich zapomni.

- Co to za dokument, do cholery? - zapytał.

- Jest całkowicie jasny i zrozumiały, ale jeżeli chciałbyś przeczytać go teraz, chętnie odpowiem na wszystkie pytania. - Rozwiązała problem, wkładając mu złożony dokument do ręki.

Ponieważ nie miał okularów, musiał mocno mrużyć oczy, ale szybko zrozumiał, czego dotyczy pismo. Wszystko było w nim zrozumiale sformułowane.

Lana zauważyła, że dolna szczeka Douga agresywnie wysunęła się do przodu, a w ciemnych oczach pojawił się niebezpieczny błysk. Pomyślała, że gniew dodaje mu uroku. Dziwne, ale złość podkreśla atrakcyjność niektórych mężczyzn...

Nie miała wątpliwości, że Doug jest trudny, więcej, była nawet przekonana, że głupio robi, angażując się w tę znajomość. Wiedziała jednak także, że życie jest zbyt krótkie, aby od czasu do czasu nie szukać odrobiny przyjemności w pozornej głupocie.

Tragedia, jaką przeżyła, nauczyła ją, aby niczego nie uważać za pewne, nawet kielkującej przyjaźni z trudnym mężczyzną.

Życie i wszyscy ludzie, których spotykamy na swojej ścieżce, wymagają wielu pracowitych zabiegów, pomyślała. Dlaczego niby Doug miałby być wyjątkiem?

Odłożył papiery na biurko i obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

- Powiedz swojej klientce, żeby pocałowała mnie w dupę. Z trudem powstrzymała wybuch śmiechu.

- Wolałabym, żebyś przekazał jej to osobiście.

- W porządku, bardzo chętnie!

- Zaczekaj chwilę... - Położyła mu rękę na ramieniu i natychmiast poczuła, jak jego mięśnie napięły się boleśnie. - Chyba nie popełnię zawodowej niedyskrecji, jeśli ci powiem, że moim zdaniem Callie jest silną, dobrą i pełną współczucia kobietą, która przeżywa teraz naprawdę trudne chwile i stara się znaleźć najlepsze wyjście z tej sytuacji. Najlepsze dla wszystkich zainteresowanych, także dla ciebie...

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Może i tak, a może po prostu nie potrafisz przyjąć tego do wiadomości. - Lana zamknęła teczkę. - I może zainteresuje cię, że kiedy Callie poznała Tylera i porozmawiała z nim parę minut, nazwała go Ty - Rexem, tak samo jak ty...

Zamrugnął nerwowo i w jego oczach mignęło coś, co wcale nie wyglądało na gniew.

- Więc co z tego? Chłopak ma bzika na punkcie dinozaurów... To proste skojarzenie.

- Możliwe. Tak czy inaczej, mnie to zaciekało. Do zobaczenia jutro.

- Nie wydaje mi się... - zaczął Doug.

- O, nie! - Lana pokręciła głową i nacisnęła klawisz. - Umowa jest umową. Jutro o siódmej. Roger zna mój adres.

Callie pracowała z Jakiem, pieczołowicie zawijając wydobyte z ziemi kości w wilgotne płótno i folię, dzięki którym miały szansę na przetrwanie. Fragmenty szkieletów zostały już sfotografowane, naszkicowane i opisane w komputerze, teraz należało czekać na wyniki badań.

Inni naukowcy, studenci i specjaliści obejrzą je dokładnie i wysuną różne tezy.

Callie wiedziała, że niektórzy do strzegą jedynie piszczel lub kość barkową jako szczątki ciała. Zdawała sobie sprawę, że są tacy, którym taki sposób widzenia całkowicie wystarcza, bo nie pragną sięgać głębiej i widzieć szerzej.

Oczywiście, takie podejście to nic złego, po prostu ona miała inny punkt widzenia. Była ciekawa, wciąż się zastanawiała i w wyobraźni na podstawie jednej kości potrafiła ożywić ludzką istotę, która kiedyś żyła i umarła. Człowieka, który zasługiwał na szacunek i uznanie.

- Do kogo należała? - zapytała.

- Która?

- Kość udowa.

- Do mężczyzny, mniej więcej trzydziestopięcioletniego - odparł Jake. - Miał trochę ponad metr siedemdziesiąt wzrostu... - Przerwał i zamyślił się, ponieważ doskonale wiedział, o co jej chodzi. - Nauczył się uprawiać ziemię, umiał hodować rośliny dla siebie i swego plemienia - podjął po chwili. - Potrafił polować i łowić ryby. Nauczył go tego ojciec. Kiedy był małym chłopcem lubił biegać po lasach...

Callie otarła czoło przedramieniem.

- Wydaje mi się, że kość barkowa i kości palców także są jego - wyglądają na ten wiek i wzrost.

- Całkiem możliwe.

- A ten topór, który tu znaleźliśmy... - Przykucnęła, dotknęła kamiennego ostrza. - Mężczyzna zginął od ciosu zadanego toporem. Oczywiście nie tym, bo przecież nie pogrzebaliby go z narzędziem, od którego zginął. Ten był jego własnością. Pęknięcie kości barkowej to także dzieło topora.

Czyżby toczyła się tu wojna?

- Zawsze toczy się jakaś wojna - mruknął Jake.

Wiedział, że w jej sercu teraz także szaleje bitwa. Dostrzegł to w jej twarzy. Zdawał sobie sprawę, że Callie tworzy razem z nim wizerunek tamtego mężczyzny po to, aby chociaż przez chwilę nie myśleć o własnych kłopotach.

- Na pewno walczyli z innym plemieniem - powiedział. - A może stoczył walkę z przeciwnikiem z własnej osady, kto wie? Mógł mieć żonę i dzieci, całkiem prawdopodobne, że zginął w ich obronie.

Uśmiechnęła się lekko.

- Równie prawdopodobne jest to, że był zwykłym dupkiem, opił się sfermentowanego soku, narozrabiał i rzucił się na kogoś, kto zabił go w obronie własnej - odparła.

- Jesteś chorobliwie romantyczna, Dunbrook.

- Przecież mówię prawdę, Graystone. Idioci w stylu macho nie narodzili się w dwudziestym wieku naszej ery, prawda? Kręcą się po świecie od zarania dziejów. Nigdy nie brakowało facetów, którzy dla rozrywki rozbijali sobie łby. Nie zawsze chodziło im o żywność, ziemię czy samoobronę, czasami

mordowali się po prostu dlatego, że tak im się akurat spodobało. Powinniśmy szanować szczątki przaprzodków, dbać o rozwój nauki i zajmować się badaniami, ale to nie znaczy, że mamy patrzeć w przeszłość przez różowe okulary...

- Musisz napisać wyczerpującą pracę na ten temat. „Idiota w stylu macho i jego wpływ na współczesnego człowieka”...

- Może napiszę. Tak czy inaczej, ten tutaj na pewno był czyimś synem, może także ojcem. - Pokręciła głową w jedną i drugą stronę, aby rozluźnić napięte i obolałe mięśnie karku, i słysząc głośny trzask zamykanych drzwi samochodowych, spojrzała w kierunku bramy. Jej wargi wykrzywił grymas niechęci. - A skoro już o idiotach mowa, to masz przed sobą wzorcowy okaz...

- Znasz tego gościa?

- To Douglas Cullen.

- Naprawdę? - Jake wyprostował się i zmierzył przybysza wzrokiem. - W tej chwili nie wygląda na kochającego braciszka...

- Nie mieszaj się do tego, Graystone.

- Przecież wiesz, że nigdy w życiu nie przyszłoby mi to do głowy.

- Mówię poważnie! - Callie podciągnęła się na rękach i stanęła na ścieżce między wydzielonymi kwadratami.

Jake zatrzymał się tuż za nią.

Doug mierzał w ich stronę z wyrazem twarzy człowieka, który nie bierze pod uwagę możliwości poniesienia porażki w walce. Zauważył stojącego za Callie mężczyznę, ale postanowił go zignorować.

Miał jeden cel, tylko jeden. Jeżeli ktoś ma coś przeciwko niemu, to trudno, nie zamierzał się tym przejmować. Był w nastroju do walki.

Podszedł do niej i obnażył zęby w zimnym uśmiechu, widząc, jak wysoko podnosi głowę i opiera dłonie na biodrach. Bez słowa wyszarpnął z kieszeni spodni otrzymany od Lany dokument. Potem podsunął go jej pod oczy i podał na drobne kawałki.

Krótko mówiąc, zrobił coś, co wzbudziło jej gniew i szacunek jednocześnie.

- Zaśmiecasz teren, Cullen.

- Masz szczęście, że nie wepchnąłem ci tego do ust i nie podpaliłem wystającego na zewnątrz końca!

Jake wysunął się przed Callie.

- Więc może pobieraj te kawałeczki, koleś, poskładaj je i spróbuj podpalić. Co ty na to?

- Nie mieszaj się do tego! - Callie bezskutecznie usiłowała odepchnąć Jake'a. Wszyscy przerwali pracę, zupełnie jak w czasie jej konfrontacji z

Dolanem. Przez głowę przemknęła jej myśl, że ona i Douglas Cullen mają chyba ze sobą dużo więcej wspólnego, niż chcieliby przyznać.

- To sprawa między nią i mną - powiedział Doug.

- Masz całkowitą rację - przytaknęła Callie.

- Kiedy skończymy, jestem gotów poświęcić ci trochę czasu, jeżeli bardzo ci na tym zależy. - Doug spojrzał na Jake'a.

- Idioci na przestrzeni wieków... - wymamrotała Callie i rozwiązała problem, stając między nimi. - nie musisz poświęcać tu czasu nikomu poza mną, Cullen. A teraz pozbieraj swoje papierki i znikaj, dobra?

- Te papierki to obraza dla mnie i dla mojej rodziny.

- Ach, tak? - Callie poderwała podbródek jeszcze wyżej, jej oczy zapłonęły ogniem za ciemnymi szklami - - Pozwól, że coś ci wyjaśnię - otóż sugestia, że zależy mi na pieniądzech twojej matki, jest obrazą dla mnie.

- To prawda - przyznał Doug. - W takim razie jesteśmy kwita.

- Nic z tych rzeczy! - zaperzyła się. - Będziemy kwita dopiero wtedy, gdy zjawię się u ciebie w pracy i narobię ci wstydu wobec współpracowników.

- W porządku. Teraz pracuję w księgarni dziadka, w Woodsboro, na Main Street. Sklep jest otwarty sześć dni w tygodniu, od dziesiątej do szóstej.

- Wezmę to pod uwagę. - Callie wetknęła kciuki do przednich kieszeni spodni i lekko wysunęła biodra do przodu, każdym ruchem i postawą wyrażając pogardę. - Teraz znikaj, stary, bo jeszcze mogłabym ulec pokusie i kopnąć cię w tyłek, a wtedy wylądowałbyś twarzą w neolitycznym śmietniku...

I nagle uśmiechnęła się, szeroko i złośliwie, nieświadomie demonstrując dołeczki w policzkach i kąciku ust.

- Chryste... Jezu Chryste... - Doug wpatrywał się w nią rozpaczliwie, czując jak ziemia usuwa mu się spod nóg.

Zbladł tak gwałtownie, że Callie przestraszyła się, iż zaraz wyciągnie się jak długi u jej stóp.

- Co się dzieje, do cholery? - zapytała niepewnie. - Tak cię poraził ten neolityczny śmietnik?

- Wyglądasz jak moja matka. Jak moja matka z oczami mojego ojca... Masz oczy ojca, na miłość boską! Co ja mam zrobić?

Kompletne zaskoczenie, brzmiające w głosie Douga i nieukrywane przerażenie, które odmalowało się na jego twarzy, zupełnie zbiły ją z tropu. Odkryła, że także i jej gniew zniknął bez śladu, zostawiając ją zagubioną i zmieszaną.

- Nie wiem. Nie wiem, co którekolwiek z nas... Jake...

- Najlepiej idźcie porozmawiać do przyczepy Diggera. - Jake położył rękę na jej ramieniu, pogłaskał ją po plecach. - Ja skończę pracę. Idź, Cal. -

Popchnął ją lekko. - Nie chcesz chyba, żeby wszyscy gapili się na was i komentowali każde słowo, jakie usłyszają...

- Masz rację. Chodźmy stąd, do cholery.

Jake schylił się i pozbierał kawałki papieru. Zerknął w lewo. Digger i Bob przerwali pracę i gapili się zaciekawieni. Długie, chłodne spojrzenie Jake'a sprawiło, że policzki Boba oblały się krwawym rumieńcem, a Digger uśmiechnął się szeroko. Obaj zgodnie zabrali się z powrotem do pracy.

Callie, przygarbiona, z rękami w kieszeniach, ruszyła w kierunku przyczepy Diggera. Nie obejrzała się, żeby sprawdzić, czy Doug idzie za nią. Wyraz jego twarzy przekonał ją, że się nie wycofa, zresztą, nawet gdyby to zrobił, Jake na pewno by sobie z nim poradził.

Weszła do przyczepy i umiejętnie wymijając leżące na podłodze rzeczy, dotarła do lodówki.

- Mamy do wyboru piwo, wodę i lemoniadę - powiedziała. Doug wszedł za nią, słyszała jego kroki.

- Jezu, co za śmietnik... - westchnął.

- Tak, Digger dał służbie wolne do końca życia.

- Czy Digger to człowiek?

- To założenie wymaga jeszcze naukowego potwierdzenia. Piwo, woda, lemoniada... No?

- Piwo.

Wyjęła dwie puszki, otworzyła je i podała jedną Dougowi, który wciąż wpatrywał się w nią zafascynowanym wzrokiem.

- Przepraszam... - powiedział. - Nie mam zielonego pojęcia, jak poradzić sobie z tą sytuacją...

- Witaj w klubie - mruknęła.

- Nie chcę na ciebie patrzeć. Chętnie wmówiłbym sobie, że nie istniejesz, bo nie chcę tego. Czuję się jak ostatni drań, ale nie chcę, żeby to wszystko znowu spadło na moją rodzinę i na mnie. Nie chcę.

Jego absolutna szczerość i świadomość, że odsłonił przed nią uczucia, które całkowicie rozumiała, zmusiły ją do zmiany opinii na jego temat. Uświadomiła sobie, że gdyby poznali się w innych okolicznościach, najprawdopodobniej bez trudu by go polubiła.

- Mnie też wcale się to nie podoba - zaczęła. - Ja także mam rodzinę, moi rodzice bardzo cierpią z powodu tego, co się stało. Chcesz to piwo, czy nie?

Wziął od niej pokrytą drobnymi kropelkami wody puszkę.

- Chciałbym, aby moja matka się pomyliła. Zdarzało się to już wcześniej. Rozbudzała w sobie nadzieję, a kiedy okazywało się, że to

nieprawda, długo nie potrafiła odzyskać równowagi. Ale teraz, kiedy patrzę na ciebie, wiem, że tym razem ma rację.

Callie czuła, że stąpa po emocjonalnym polu minowym, lecz to samo dotyczyło Douga. Los postawił na jej drodze brata, chociaż wcale tego nie chciała, a jemu niespodziewanie oddał siostrę, o której wolałby zapomnieć.

- Tak, tym razem chyba ma rację - powiedziała powoli. - Musimy zrobić serię badań, żeby to potwierdzić, ale jest już dość dużo danych, aby przyjąć wstępne założenie. Potwierdzanie wstępnych założeń to podstawa mojej pracy, mojego życia...

- Jesteś moją siostrą. - Od tych słów jego gardło ścisnęło się boleśnie. Podniósł puszkę do ust, napił się.

Callie poczuła dziwne mrowienie w całym ciele i natychmiast ze współczuciem pomyślała, że z nim na pewno dzieje się dokładnie to samo.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jestem twoją siostrą - poprawiła go. - Możemy usiąść?

- Ryzykujemy złapanie jakiejś infekcji, ale co tam... - Jednym ruchem zgarnęła z wąskiej kanapy książki, magazyny pornograficzne, kawałki skał, puste puszkę i butelki po piwie oraz dwa doskonałe szkice terenu, na którym pracowali.

- Ja... Nie chcę, żebyś ją zraniła, to wszystko.

- Dlaczego miałabym ją zranić?

- Nie rozumiesz tego.

- Nie rozumiem, to prawda. - Callie zdjęła okulary przeciwsłoneczne, potarła powieki. - Wytlumacz mi.

- Nigdy nie przeboleła twojego zniknięcia. Myślę, że gdybyś umarła, byłoby jej łatwiej.

- Trochę to dla mnie trudne do przełknięcia, ale rozumiem, w porządku.

- Codziennie towarzyszyła jej niepewność, potrzeba podtrzymywania wiary, że w końcu cię odnajdzie, i rozpacz, gdy wszystko zawodziło. To ją zmieniło, cały jej świat zmienił się nie do poznania. Przeżyłem to razem z nią.

- Tak... - Callie wiedziała, że miał wtedy trzy lata. Rozpacz i determinacja matki uformowały także i jego życie. - Ja nie.

- Ty nie. Porwanie zniszczyło rodziców. Mama zaczęła nowe życie, ale zbudowała je na gruzach dawnego. Nie chcę patrzeć, jak znowu pada na kolana.

Ogarnęła ją fala smutku i współczucia, lecz nawet w tej chwili patrzyła na to wszystko z dystansu, tak jak na śmierć człowieka, którego kości wydobyła dziś spod warstwy ziemi.

- Nie chcę jej zranić - odezwała się cicho. - Nie mogę czuć do niej tego

co ty, ale w żadnym razie nie chcę zadać jej bólu. Ona pragnie odzyskać córkę, a to jest zwyczajnie niemożliwe. Nic nie przywróci jej tamtej Jessie. Mogę dać jej tylko pewność, pocieszającą pewność, że żyję, jestem zdrowa, że dorastałam jako córka bardzo dobrych rodziców.

- Ukradli cię nam.

Zacisnęła dłonie, gotowa bronić Vivian i Elliota.

- Nie, to nieprawda. Nic nie wiedzieli. Są prawymi, szlachetnymi ludźmi i dlatego cierpią teraz, kiedy już się dowiedzieli.

- Ty ich znasz - mruknął. - Ja nie. Kiwnęła głową.

- Właśnie.

Zrozumiała, o co mu chodziło. Nie znali swoich rodzin. Nie znali siebie nawzajem, ale wszystko wskazywało na to, że będą musieli się poznać.

- A ty? - Spojrzał na nią uważnie. - Jak to odbierasz?

- Boję się - przyznała. - Boję się, bo mam wrażenie, że znalazłam się na zakręcie wielkiego łuku, który zaraz odegnie się w drugą stronę i przypląszczy mnie do ziemi. Moje stosunki z rodzicami już się zmieniły. Staliśmy się wobec siebie ostrożni, nie wiemy, co powiedzieć, czujemy się nieswojo. Nie wiem, ile czasu upłynie, zanim znowu zaczniemy zachowywać się swobodnie i rozmawiać, ale jestem świadoma, że już nigdy nie będzie między nami tak jak dawniej. To mnie wkurza... I jest mi przykro. Bo przecież twoja matka niczym sobie na to nie zasłużyła. Ani twój ojciec. Ani ty...

- Ani ty. - W głębi duszy Doug wiedział, że od początku starał się przerzucić swoje poczucie winy na jej barki. - Jakie masz pierwsze wyraźne wspomnienie?

- Pierwsze wspomnienie? - Zamyśliła się, pociągnęła łyk piwa. - Najdawniejsze? Chyba spacer z ojcem po plaży. Niósł mnie na barana. Musiało to być w Martha's Vineyard, bo kiedy byłam mała, co roku jeździliśmy tam w lecie na dwa tygodnie. Pamiętam, że trzymałam go za włosy i głośno się śmiałam, kiedy uciekał przed falami. I pamiętam głos matki... „Uważaj, Elliot!” powiedziała. Ale ona także się śmiała...

- Ja zapamiętałem tamten dzień. Stałem w kolejce do Świętego Mikołaja w Hagerstown Mali. Pamiętam muzykę, hałas, gwar i tego okropnego bałwana, którego się bałem. Ty spałaś w wózku... - Napił się piwa, usiłując wziąć się w garść. Czuł, że musi to powiedzieć. - Byłaś ubrana w czerwoną sukienkę, z aksamitu, chociaż wtedy nie wiedziałem, że to aksamit. U góry miała koronkę.

- Doug dotknął ręką klatki piersiowej. - Mama zdjęła ci czapeczkę, bo sama próbowałaś ją ściągnąć. Miałaś takie miękkie, delikatne włoski, zupełnie jak puch, bardzo, bardzo jasne. Właściwie to byłaś prawie łysa...

Callie poczuła nagle, że coś jednak ją z nim wiąże, może nie tyle z nim,

ile z małym chłopcem, którym wtedy był. Uśmiechnęła się do niego i lekko wstrząsnęła potarganą grzywą włosów.

- Potem się zrehabilitowałam...

- Tak... - odpowiedział niepewnym uśmiechem, przyglądając się jej włosom. - Staralem się myśleć tylko o Świętym Mikołaju. Strasznie chciało mi się siusiu, ale za żadne skarby świata nie zamierzałem opuścić kolejki. Bardzo zależało mi na spotkaniu z Mikołajem, tyle że im bliżej podchodziłem, tym dziwniej się czułem. Wszędzie kręciły się duże, szpetne elfy...

- Swoją drogą ciekawe, dlaczego dorośli nie rozumieją, że elfy są przerażające - zauważyła Callie.

- No, właśnie. Wreszcie przyszła moja kolej i mama powiedziała, żebym podszedł i usiadł Świętemu Mikołajowi na kolanach. Miała mokre oczy. Nie zdawałem sobie sprawy, że po prostu się wzruszyła, sądziłem, że stało się coś złego i przeraziłem się. Ten Święty Mikołaj z centrum handlowego wyglądał zupełnie inaczej, niż powinien. Był za duży. Kiedy mnie podniósł i ryknął gromkim śmiechem, przeraziłem się. Zacząłem krzyczeć, wrywać się, w końcu spadłem z jego kolan na ziemię i rozkwaśiłem sobie nos. Mama chwyciła mnie na ręce, przytuliła i uspokoiła. Wydawało mi się, że teraz już wszystko będzie dobrze - mama trzymała mnie mocno, przy niej nic mi nie groziło. Wtedy nagle krzyknęła. Spojrzałem w dół i zobaczyłem pusty wózek... - Doug pociągnął duży łyk piwa.

- Nie pamiętam, co działo się potem, wszystko mi się miesza, ale tamto wspomnienie pozostało bardzo wyraźne.

Miał zaledwie trzy lata, pomyślała Callie. Musiał być w głębokim szoku i w rezultacie nigdy nie otrząsnął się z poczucia winy. Rozumiała, co czuje, więc postanowiła pomóc mu w sposób, jaki pomógłby jej samej. Napila się piwa, wyciągnęła przed siebie nogi.

- I co, dalej boisz się grubasów w czerwonych ubraniach? - zapytała.

Doug parsknął krótkim, głośnym śmiechem. Mięśnie jego ramion wyraźnie się rozluźniły.

- O, tak - powiedział.

Było już po północy, kiedy Dolan podkraść się na brzeg lasu i spojrzeć na działkę, na której jeszcze niedawno planował wybudować osiedle. Osiedle Antietam Creek, pomyślał. Jego podarunek dla lokalnej społeczności.

Wygodne, solidne, niedrogie domy. Domy dla młodych rodzin, dla ludzi, którzy chcieli mieszkać z dala od miasta, ale w wygodnych, wręcz komfortowych warunkach. Ciche, malownicze osiedle o dużych walorach estetycznych, w historycznym miejscu, tylko piętnaście minut jazdy samochodem do międzystanowej autostrady.

Sporo zapłacił za tę ziemię, tyle, że oprocentowanie kredytu mogło pochłoniąć całoroczne zyski, jeżeli firma nie dotrzyma przewidzianych w umowach terminów.

Wiedział też, że straci większość kontraktów, jeżeli opóźnienie przekroczy sześćdziesiąt dni. Oznaczało to konieczność zwrotu dwóch dużych zaliczek.

Co za niesprawiedliwość, pomyślał. Jakim prawem ludzie, którzy nawet tu nie mieszkają, wtrącają się w sprawy jego firmy?! Dlaczego mówią mu, co może, a czego nie może zrobić z ziemią, która stanowi jego własność?!

To przekłete Towarzystwo Historyczne i Ochrony Przyrody kosztowało go już więcej czasu i pieniędzy, niż mógł sobie pozwolić. A jednak do tej pory starał się przestrzegać zasad, grał fair. Płacił prawnikom, przemawiał na zebraniach rady miejskiej, udzielał wywiadów. Robił wszystko, co należało. Teraz nadszedł czas, aby to zmienić.

Ani on sam, ani nikt inny nie miał pojęcia, czy Lana Campbell razem ze swoimi miłośnikami drzew nie zmontowała całej tej sprawy tylko po to, by zmusić go do sprzedania ziemi za niższą cenę, ze stratą.

Wcale niewykluczone, że ci naukowcy, cholerni hipisi, są w zмовie z tą całą Campbell i dlatego robią wielką aferę z kupki kości.

Ludzie nie mogą żyć kośćmi, ludzie potrzebują domów i on im je wybuduje.

Dolan wpadł na genialny pomysł w czasie, kiedy ten mądrała Graystone był u niego w biurze i próbował się stawiać. Wielkie znaczenie dla nauki i historii, akurat... Ciekawe, co powiedzą dziennikarze, gdy otrzymają informację, że te wyjątkowo ważne kości należą głównie do jeleni, świń i krów... Dolan zawsze trzymał w zamrażarce w garażu spory zapas świeżych gnatów dla psów. Teraz z satysfakcją zerknął na torbę, którą przytaszczył tu z zaparkowanego pół kilometra dalej samochodu. Pokaże temu Graystone'owi, kto będzie miał ostatnie słowo w tej sprawie. I oczywiście tej suce Dunbrook. Jak mógłby jej przebaczyć ten numer, który wycięła mu dwa dni temu! Wpadła na teren budowy jak piorun kulisty, sponiewierała go na oczach jego własnych pracowników, nasłała na niego szeryfa... W rezultacie musiał odpowiadać na mnóstwo upokarzających pytań, on, główny filar lokalnej społeczności, zupełnie jakby był jakimś durnym nastolatkiem, który zabawia się farbą w sprayu. Nie zamierzał jej tego darować, co to, to nie. Skoro postanowiła oskarżyć go o wandalizm, to dobrze, w porządku, już on dostarczy jej powodów. Skoro uznali, że mogą grać z nim nie fair, to niech tam, już on pokaże im, kto jest mistrzem w tej grze. Ludzie wyśmieją tych pieprzonych archeologów, będą ich tak wytykać palcami, że uciekną z Woodsboro jak

niepyszni, a on spokojnie wróci do przerwanej pracy.

Ludzie chcą żyć teraz, teraz, a nie w przeszłości, powiedział sobie Dolan, ciągnąc torbę po ziemi. Muszą wychowywać dzieci, płacić rachunki, wieszać firanki i pracować w ogródku. A co najważniejsze, muszą mieć dom, miejsce, gdzie da się wygodnie mieszkać. Dzisiaj, teraz.

Wcale nie chcą myśleć o tym, jak sześć tysięcy lat temu żył człowiek - małpa. Wszystkie te bajki to zwykłe bzdury, nic więcej.

Tymczasem on zatrudnia ludzi, którzy liczą, że dostaną uczciwe pieniądze za uczciwą pracę, ci ludzie zaś muszą wyżywić swoje rodziny. Robię to dla naszej społeczności, pomyślał Dolan.

Z gęstego mroku wyłonił się zarys stojącej na polu przyczepy. Jeden z tych głupków przebywał w środku, ale światła były pogaszone. Na pewno naćpał się do nieprzytomności i teraz spał jak niemowlę.

- I dobrze... - wymamrotał Dolan, oświetlając miniaturową latarką wzgórkę rozkopanej ziemi.

Nie zamierzał się zastanawiać, czy wykopane dziury czymś się różnią, zresztą, kto by się tam w tym rozeznał... Musiał zrobić to, co zaplanował, bo bank siedział mu na karku, dodatkowe załogi budowlańców, którym obiecał pracę, mogły lada chwila zacząć się dopytywać, kiedy mają zacząć, a jego własna żona dzień i noc zamartwiała się, że za dużo zainwestował w osiedle w Antietam Creek.

Cicho ruszył w kierunku jednego z wydzielonych kwadratów, raz po raz spoglądając przez ramię na przyczepę i na linię drzew, spomiędzy których dobiegł go jakiś szmer, chociaż może było to tylko złudzenie.

Krzyk sowy, która przeleciała tuż nad jego głową, przestraszył go do tego stopnia, że upuścił torbę, przekonany, że serce wyskoczy mu z piersi. Dopiero po paru sekundach roześmiał się niepewnie. Żeby takiego starego wyjadacza przeraziła zwykła sowa, wstyd... Znał przecież te lasy jak własną kieszeń, od dziecka chodził po nich o każdej porze dnia i nocy.

Choć akurat tego lasu nie znał aż tak dobrze, pomyślał, nerwowo zerkając na głębokie cienie nieruchomych drzew. Podobnie jak większość miejscowych, wolał trzymać się z daleka od lasu otaczającego Oczko Simona. Naturalnie nie wierzył w duchy, ale w okolicy nie brakowało znacznie przyjemniejszych miejsc, zwłaszcza w nocy. W tym lesie po zapadnięciu zmroku człowiekowi mimo wszystko ciarki biegały po grzbiecie.

Kiedy budowa osiedla zostanie zakończona, będzie tu zupełnie inaczej, powiedział sobie, podnosząc torbę z ziemi i omiatając czujnym spojrzeniem linię drzew. Zrobi się tu całkiem miło, gdy ludzie zaczną kosić trawniki przed domami, a dzieci będą się bawić na podwórkach. Wieczorami sąsiedzi będą

urządzać wspólne kolacje przy grillu, z kuchni i salonów popłyną dźwięki włączonych telewizorów, jasne okna będą rzucać prostokąty światła na trawę...

Normalne życie, pomyślał i otarł pot znad górnej wargi. Wydawało mu się, że cienie się poruszają, nadciągają i gromadzą się dookoła niego.

Wsunął do torby drżącą rękę i zacisnął palce na chłodnej, wilgotnej kości. Nie miał ochoty wchodzić do tej dziury, która do złudzenia przypominała grób. Cóż to za ludzie, którzy pół życia spędzają w ziemi, wykopując z niej kości i inne okropieństwa?

Nie, nie wejdzie do środka... Weźmie jedną z leżących tu łopat i zakopie kości między dziurami, oto, co zrobi. To równie dobry pomysł, może nawet jeszcze lepszy.

Znowu usłyszał jakieś dźwięki - pluśnięcie wody, szelest liści. Tym razem odwrócił się gwałtownie, kierując wąski promień światła z oka latarki ku drzewom i wodzie, w której wiele lat temu, na długo przed przyjściem na świat Dolana, utopił się chłopiec imieniem Simon.

- Kto tam? - zapytał cicho, drżącym głosem. Pasma światła zakreśliło szalony zygzak. - To moja działka, nikt nie ma prawa wchodzić tu bez mojego pozwolenia. Mam pistolet i nie zawaham się go użyć.

Dałby wiele, żeby w tej chwili mieć w ręku łopatę, nie tyle jako narzędzie, ile jako broń. Rzucił się w kierunku przykrytego folią wzgórek, zaplątał się w jakiś sznur i runął na ziemię, boleśnie raniąc dłonie, na których się oparł. Latarka upadła gdzieś dalej.

Zaklął głośno i dźwignął się na kolana. Nikogo tu nie ma, pomyślał. Oczywiście, że nikogo tu nie ma, dochodzi pierwsza w nocy, do cholery... Przestraszył się cienia jak ostatni głupek.

Lecz gdy cień padł tuż obok niego, nie zdążył nawet krzyknąć. Poczul uderzenie i ostry ból, który przeniknął cały jego kark, od podstawy czaszki. Wszystko to razem trwało zaledwie parę sekund.

Kiedy cień zawlókł jego ciało do jeziora i wrzucił je do ciemnej wody, Dolan był już martwy. Równie martwy jak Simon.

CZEŚĆ II WYKOPALISKO

*Dlaczego szukacie żywego wśród martwych?
Ewangelia według św Łukasza, 24,5*

Mokry od stóp do głów Digger palił marlboro, którego wyłudził od jednego z zastępców szeryfa, i chciwie zaciągał się dymem.

Rzucił palenie dwa lata, trzy miesiące i dwadzieścia cztery dni temu, lecz znalezienie trupa o świcie, kiedy człowiek wychodzi z przyczepy, żeby ulżyć swojemu pęcherzowi, wydaje się doskonałym uzasadnieniem, aby wrócić do nałogu.

- Po prostu skoczyłem. Skoczyłem bez chwili zastanowienia i do połowy wyciągnąłem go na brzeg, zanim zobaczyłem, że tył głowy ma zupełnie zmiażdżony. Było już za późno na sztuczne oddychanie. O wiele za późno.

- Zrobiłeś wszystko, co należało. - Callie otoczyła ramieniem kościste barki Diggera. - Powinieneś zaraz przebrać się w suche ciuchy, wiesz?

- Powiedzieli, że będą jeszcze musieli ze mną porozmawiać. - Ręka, w której Digger trzymał papierosa, mocno drżała, włosy zwisały po obu stronach twarzy niczym mokre sznurki. - Nigdy nie lubiłem rozmawiać z glinami.

- A kto lubi?

- Przeszukali moją przyczepę.

Callie spojrzała przez ramię na dom Diggera i skrzywiła się wymownie.

- Miałeś tam trawę albo coś innego, przez co mogliby robić ci problemy?

- Nie. Dałem sobie spokój z trawą w tym samym czasie, kiedy rzuciłem w kąć papierosy.

- Zerknął na wypalonego prawie do filtra marlboro i uśmiechnął się niewesoło. - Może teraz wrócę do obu tych przyjemności... Jezu, ci popieprzeńcy myślą, że mogłem zabić Dolana, Cal! - Sama myśl o tym sprawiła, że jego żołądek zaczął podskakiwać jak oszalała piłka.

- Muszą sprawdzić wszystkie okoliczności, ale jeżeli masz się niepokoić, załatwimy ci adwokata. Chcesz, żebym zadzwoniła do Lany Campbell?

Digger zaciągnął się dymem i potrząsnął głową.

- Nie, niech sobie szukają. W przyczepie nie ma nic, co mogłoby rzucić na mnie podejrzenie. Gdybym chciał kogoś zabić, na pewno ułożyłbym lepszy plan. Przecież nawet nie znałem tego skurwysyna! Nawet go nie znałem...

- Usiądź gdzieś sobie, dobrze? - powiedziała Callie. - Pójdę tam, może

zdołam się dowiedzieć, co się dzieje.

Skinął głową i, traktując jej prośbę dosłownie, usiadł na ziemi tam, gdzie stał. Zaciągnął się resztką papierosa i wbił wzrok w przejrzyste palce mgły, podnoszącej się znad Oczka Simona.

Callie przywołała gestem Rosie, która spokojnie usiadła obok Diggera. Potem podeszła do Jake'a. - Mówili coś? - zapytała.

- Niewiele, ale to wystarczy, aby mniej więcej zorientować się, co się stało.

Oboje rozejrzeli się po terenie. Szeryf i jego trzech zastępcy odgradzili już taśmą spore fragmenty kwadratów od B - 10 do D - 15. Zwłoki Dolana nadal leżały tam, gdzie zostawił je Digger, na zgniecionej trawie nad jeziorkiem, twarzą do dołu. Rana przestała już krwawić. Nawet z tej odległości Callie mogła dostrzec nienaturalny kształt czaszki i zarys wgniecenia powstałego w wyniku uderzenia.

Ktoś podszedł go od tyłu i uderzył dużym kawałkiem skały, prawdopodobnie trzymanym obiema rękami, pomyślała. Widziała plamę krwi, zaschniętą na nagiej, pokrytej pyłem ziemi, a także rdzawą smugę, ciągnącą się aż do wody.

Wszędzie dookoła widniały ślady stóp. Niektóre na pewno należały do Callie, inne do Jake'a i reszty zespołu. Można było dostrzec także lekkie odciski stóp Diggera, prowadzące na brzeg Oczka Simona, oraz inne, głębsze i szerzej rozstawione, które wyraźnie wskazywały jego drogę powrotną do przyczepy.

Gliniarze też to widzą, powiedziała sobie. Na pewno widzą to równie wyraźnie jak ja, widzą, że Digger poszedł na brzeg jeziorka, zobaczył unoszące się na powierzchni ciało, rzucił się do wody, aby je wyciągnąć i popędził do przyczepy, żeby zadzwonić na policję. Nie będą mieli wątpliwości, że mówi prawdę i bez trudu odgadną, dlaczego Ron Dolan znalazł się na terenie prac wykopaliskowych. Na ziemi w pobliżu granicy kwadratu B - 14 leżała duża torba z grubej zielonej folii, a z niej wysypywały się zwierzęce kości.

Jeden z zastępców szeryfa fotografował właśnie ciało, torbę i płytkie rowki w ziemi, które musiały wyryć stopy Dolana, kiedy morderca ciągnął ofiarę do wody.

Callie słyszała, że ekspert medycyny sądowej jest już w drodze, nie trzeba było jednak zaawansowanej wiedzy, aby się domyślić, co zaszło.

- Musiał przyjechać tutaj, bo wpadł na pomysł, że jeżeli podsypie nam trochę świeżych kości, to narobi nam kłopotów. Był wystarczająco wściekły, aby to zrobić - odezwała się cicho. - Może uznał, że w ten sposób zdyskredytuje nas w oczach dziennikarzy i opinii publicznej, i powstrzyma

prace. Biedny kretyn. Przywlókł tu tę torbę i wtedy ktoś rozwalił mu głowę. Kto mógł to zrobić, do diabła? Jeżeli Dolan przywiózł tu kogoś, to na pewno był to ktoś, komu ufał...

- Nie mam pojęcia. - Jake obejrzał się i zobaczył, że Digger spokojnie siedzi obok Rosie i popija przyniesioną przez nią kawę.

- Jest w marnej formie - mruknęła Callie. - Bardzo się boi, że policja podejrzewa go o zamordowanie Dolana.

- To bez sensu, Digger nawet nie znał Dolana. Poza tym każdy, kto zna Diggera, przysięgnie na wszystkie świętości, że on muchy by nie skrzywdził. Parę tygodni temu jakaś wiewiórka, nieszczęsna samobójczyni, wybiegła na drogę prosto pod koła jego samochodu. Digger otrząsnął się z szoku dopiero po godzinie...

- Więc co cię niepokoi? - zapytała.

- Morderstwo to dość niepokojące zjawisko samo w sobie, nie sądzisz? Gdyby Dolan zarzucił cały teren kośćmi, w niczym by nam to nie zaszkodziło, ale morderstwo... Callie otworzyła usta i znowu je zamknęła.

- Myślisz, że ktoś zabił tu Dolana, żeby skomplikować nam życie?! - wykrztusiła. - To szaleństwo!

- Morderstwo jest szaleństwem - odparł. - Zawsze i wszędzie. Na widok zbliżającego się szeryfa Hewitta instynktownie położył rękę na jej ramieniu. Hewitt był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną i poruszał się powoli, jakby z pewnym trudem. W brązowym mundurze przywodził na myśl wielkiego, dość przyjaźnie nastawionego do świata niedźwiedzia.

- Doktor Dunbrook... - Lekko skinął głową. - Chciałbym zadać pani kilka pytań.

- Nie bardzo wiem, w czym mogę panu pomóc.

- Zacznijmy od wczorajszych wydarzeń. Proszę powiedzieć mi, co pani robiła.

- Przyjechałam na teren tuż przed dziewiątą i przez większą część dnia pracowałam w tym odcinku. - Callie wskazała kwadrat znajdujący się za policyjną taśmą.

- Sama?

- Najpierw sama, potem z doktorem Graystone'em, ponieważ razem przygotowaliśmy wydobyte szczątki do przeniesienia. Koło południa zrobiłam sobie godzinę przerwy. W tym czasie zjadłam lunch i robiłam notatki, o, tam. - Kiwnęła głową w kierunku paru leżaków, rozstawionych w cieniu nad strumieniem. - Pracowaliśmy prawie do siódmej, potem zamknęliśmy obóz na noc. Kupiłam sobie coś do jedzenia na wynos w tym włoskim barze w mieście i wróciłam do swojego pokoju, bo chciałam jeszcze

trochę popracować nad dokumentacją.

- Czy potem jeszcze pani wychodziła? - Nie.

- Do końca dnia przebywała pani w swoim pokoju w motelu, tak?

- Tak. Sama - dodała szybko, zanim zdążył zapytać. - Zdaję sobie sprawę, że już pan wie o mojej wczorajszej sprzeczce z Dolanem na jego budowie. - Spojrzała na swojego rovera, którego ciemnozielony lakier tworzył doskonałe tło dla graffiti. - Wściekłam się, że ktoś tak oszpecił mój samochód, zresztą nadal jestem wkurzona, ale nie mam zwyczaju zabijać ludzi za dokonanie aktu wandalizmu lub podjudzanie kogoś do takiego aktu. Jeżeli pyta pan o alibi, to nie mam go, mówię od razu.

- Nie wychodziła z pokoju - odezwał się nagle Jake. Callie i szeryf odwrócili się do niego. - Mieszkam obok doktor Dunbrook, więc zdarza się, że słyszę, co się u niej dzieje. Zaczęłaś grać na wiolonczeli koło jedenastej, a skończyłaś po godzinie.

- Zmień pokój, jeżeli ci to przeszkadza!

- Nie powiedziałem, że mi przeszkadza. - Nie powiedział także, że leżał w ciemności, słuchając niskich, smutnych dźwięków i pragnąc jej bliskości. - Gra Bacha, kiedy próbuje się rozluźnić przed snem - wyjaśnił szeryfowi.

- Poznałeś, że to Bach? - zdumiała się ironicznie. - Proszę, proszę... Jestem pod wrażeniem.

- Wiem, co cię uspokaja. Skończyła grać koło północy, szeryfie. Jeżeli zapyta pan jej sąsiadów z drugiej strony, potwierdzą to, co powiedziałem. Samochód doktor Dunbrook był zaparkowany dokładnie naprzeciwko wejścia do pokoju, obok mojego. Mam lekki sen, więc gdyby się gdzieś wybierała, na pewno usłyszałbym dźwięk włączanego silnika.

- W odpowiedzi na pani skargę rozmawiałem wczoraj z panem Dolanem. - Hewitt spokojnie sięgnął do kieszeni i wyjął notes. Zwilżył śliną palec wskazujący, przewrócił kartkę, znowu polizał palec, odwrócił następną kartkę. Wreszcie znalazł to, czego szukał. - Czy podczas wczorajszej sprzeczki, jak to pani nazwała, zaatakowała pani zmarłego w sposób fizyczny?

- Nie, ja... - Callie przerwała, usiłując się opanować. - Chyba go popchnęłam. Tak, popchnęłam go, bardzo lekko. - Zademonstrowała ten gest, przykładając otwartą dłoń do masywnej ściany klatki piersiowej szeryfa. - Jeżeli to jest atak fizyczny, nie ulega wątpliwości, że jestem winna. Dolan kilka razy mierzył palcem prosto w moją twarz, więc nie widziałam nic złego w naprawdę lekkim popchnięciu.

- Yhmm... A czy groziła mu pani śmiercią, w razie gdyby nie zszedł pani z drogi?

- Nie - odparła spokojnie. - Powiedziałam chyba, że skopię mu tyłek,

jeżeli nadal będzie próbował mi szkodzić, co oczywiście nie jest elegancką propozycją, ale raczej niezbyt groźną.

- Pan także miał wczoraj pewne nieporozumienie z Dolanem. - Hewitt zwrócił się do Jake'a.

- Zgadza się. Pan Dolan nie był zachwycony całą tą sytuacją. Chciał, żebyśmy przerwali prace i wynieśli się stąd, i wydaje mi się, że właśnie dlatego zjawił się tu w nocy. - Jake znacząco spojrział na torbę z kośćmi. - Gdyby miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, co, jak i dlaczego tutaj robimy, rozumiałby, że jego plan był bezużyteczny, wręcz bezsensowny. Sęk w tym, że Dolan nie chciał nic wiedzieć o naszej pracy. Można nazwać go ograniczonym czy samolubnym, ale oczywiście nie powinien był zginąć z tego powodu...

- Ja również niewiele wiem o waszej pracy, ale mogę wam powiedzieć, że na następnych kilka dni będziecie musieli ją przerwać. Musicie być do dyspozycji policji.

- Nie zamierzamy stąd wyjeżdżać - odrzekła Callie. - Dolan także tego nie rozumiał...

- Cóż, skoro zostanieie tutaj, możecie pracować. - Szeryf znowu polizał palec i przewrócił kartkę. - Wstąpiłem wczoraj do sklepu z artykułami metalowymi w Woodsboro. Wygląda na to, że ktoś kupił tam dwie puszki czerwonej farby w sprayu, takiej samej jak ta, którą pomalowano pani samochód.

- Ktoś? - Lekko uniosła brwi.

- Wieczorem rozmawiałem z Jimmym Dukese. - Hewitt uśmiechnął się kwaśno. - I z jego kumplem, Austinem Seldonem. Jimmy twierdzi, że kupił farbę, żeby pomalować przyczepę motocyklową swojego syna, ale faktem jest, że przyczepa nadal jest przeżarta rdzą i nie ma na niej śladu farby. Przyznali się, kiedy trochę ich przycisnąłem.

- Przyznali się... - powtórzyła Callie.

- Teraz mogę postawić im zarzuty i zamknąć ich, jeżeli pani sobie tego życzy. To jedno rozwiązanie. Mogę też dopilnować, żeby zapłacili za usunięcie napisów z pani wozu i położenie nowego lakieru, no i żeby osobiście panią przeprosili.

Callie wzięła głęboki oddech.

- Z którym z nich chodził pan do szkoły? - zapytała celnie. Uśmiech Hewitta stał się odrobinę cieplejszy.

- Z Austinem. Tak się składa, że ten dupek ożenił się potem z moją kuzynką. Tak czy inaczej, zamknę i Austina, i Jimmy'ego, jeżeli zdecyduje się pani wystąpić z formalnym oskarżeniem.

- Kiedy otrzymam szacunkowy kosztorys oczyszczenia i

przemalowania, w ciągu dwudziestu czterech godzin mają mi dostarczyć czek potwierdzony. Obędę się bez przeprosin.

- Wszystkiego dopilnuję.

- Szeryfie? - Jake zaczekał, aż Hewitt schowa notes do kieszeni. - Prawdopodobnie zna pan Austina dość dobrze, aby ocenić, że nieżył z niego numer.

- Znam go dość dobrze, niestety.

- I jako jego przyjaciel oraz bystry obserwator ludzkiej natury na pewno wie pan, do czego jest zdolny...

Hewitt zmierzył Jake'a baczym spojrzeniem, potem przeniósł wzrok na Diggera, który nadal siedział na ziemi, paląc drugiego wyżebranego papierosa.

- Postaram się nie tracić tego z oczu.

Kiedy na miejsce przybył ekspert medyczny, Callie i Jake podeszli do ogrodzenia, skąd mogli obserwować dalszy przebieg wydarzeń, nie przeszkadzając policji.

- Nigdy nie byłam podejrzana o morderstwo - mruknęła Callie. - Wcale nie jest to tak ekscytujące, jakby się wydawało, ale raczej upokarzające i obraźliwe. I powiem ci coś jeszcze. Jeśli chodziło ci o to, żebyśmy zapewnili sobie nawzajem alibi, to jest to głupi pomysł. Nie trzyma się kupy.

- Nie trzyma się też kupy pomysł, że to któreś z nas rozwaliło głowę Dolanowi, i to z powodu wykopaliska. - Jake wsadził ręce do tylnych kieszeni spodni i w jednej z nich znalazł zapomnianą paczuszkę nasion słonecznika. - Hewitt jest sprytniejszy, niż na to wygląda.

- Tak, z całą pewnością.

Jake ukrył paczkę w dłoni, włożył zaciśniętą pięść pod włosy Callie i strząsnął rękę w przegubie, podsuwając jej otwarte opakowanie. Uśmiechnęła się lekko, w jej policzkach na chwilę pokazały się dołeczki.

- Jeżeli jeszcze nie zrozumiał, że martwy Dolan jest dla nas większą przeszkodą niż żywy, to niedługo się tego domyśli - powiedział Jake.

Callie zastanawiała się nad jego słowami, powoli przeżuując pestki słonecznika.

- Brutalne, lecz prawdziwe - oświadczyła.

- Stracimy kilka dni, a do końca sezonu zostało niewiele czasu. Nie mówiąc już o tym, że kiedy szeryf pozwoli nam podjąć prace, zbiegnie się tu całe miasteczko, z czym nie będzie nam łatwo sobie poradzić.

Rosie podniosła się, poklepała Diggera po ramieniu i stanęła obok Callie i Jake'a.

- Pozwolili mu pójść do przyczepy i się przebrać - powiedziała. - Biedak jest strasznie zdenerwowany...

- Znalezienie świeżego trupa to zupełnie co innego niż wykopanie liczącego kilka tysięcy lat szkieletu - wymamrotała Callie.

- Mnie to mówisz? - Rosie wydeła policzki i powoli wypuściła powietrze z ust. - Słuchajcie, nie chcę kręcić się tutaj bez sensu, a dzisiaj i tak nie pozwolą nam pracować. Pomyślałam sobie, że zabiorę gdzieś Diggera, może na wycieczkę po polu bitwy pod Antietam, może później do kina... Chcecie się przyłączyć?

- Mam kilka osobistych spraw do załatwienia. - Callie spojrzała w kierunku przyczepy. - Jesteś pewna, że sobie z nim poradzisz?

- Jasne. Dam mu do zrozumienia, że może spróbować mnie poderwać, to powinno poprawić mu humor.

- Zamienię z nim parę słów. - Jake położył rękę na ramieniu Callie. - Zaczekaj na mnie, nie odchodź nigdzie, dobrze?

- Znowu kombinujecie coś razem? - zapytała Rosie, gdy Jake odszedł. Callie spojrzała na paczkę nasion słonecznika, którą dostała od Jake'a.

- Jest inaczej, niż myślisz... - zaczęła.

- Skarbie, wy zawsze coś kombinujecie. Powietrze wokół was aż iskrzy, neutralny obserwator może się sparzyć... Jake jest naprawdę niezły. - Rosie patrzyła na pośladki Jake'a, który właśnie otwierał drzwi przyczepy Diggera.

- Tak, wygląda nie najgorzej. Rosie wbiła łokieć w bok Callie.

- Przecież wiesz, że za nim szalejesz...

Callie spokojnie zwinęła paczuszkę i schowała ją do kieszeni.

- Wiem, że szaleję ze złości, kiedy nadepnie mi na odcisk, a to poważna różnica. Czyżbyś i mnie próbowała rozweselić?

- Czymś muszę się zająć, prawda? - Rosie westchnęła. - Tylko raz miałam do czynienia z gliniarzami na wykopalisku, było to w Tennessee. Jakiś kretyn upił się jak świnia, spadł ze skały i skręcił sobie kark. Było to okropne, ale ta sytuacja jest jeszcze gorsza.

- Tak. - Callie obserwowała, jak jeden z zastępców szeryfa otwiera worek, w którym miano umieścić zwłoki. - Na pewno jest gorsza...

- Powiedziałem mu, że jesteś na niego napalona. - Jake wrócił do nich i uśmiechnął się do Rosie. Zrobił niby przypadkowy krok, odgradzając Callie od tego, co działo się na brzegu jeziora. - Od razu poczuł się lepiej. Bierze teraz prysznic.

- Mogę uważać się za szczęściarę - odparła Rosie i oddaliła się w stronę parkingu.

- Widziałam już zwłoki. - Callie podniosła oczy i utkwiała je w twarzy Jake'a.

- To nie znaczy, że musisz ciągle na nie patrzeć.

- Może powinieneś pojechać z Rosie i Diggerem...
- Nie. - Jake wziął Callie za ramię i pociągnął ją za sobą w stronę bramy. - Jadę z tobą.
- Mówiłam, że mam osobiste sprawy do załatwienia...
- Mówiłaś. Ja prowadzę.
- Nie wiesz nawet, dokąd jadę - powiedziała bezradnie.
- Liczę, że mnie oświecisz.
- Jadę do Wirginii, żeby spotkać się z tym doktorem Simpsonem. Nie potrzebuję towarzystwa i chcę sama prowadzić.
- Za to ja chcę jeszcze trochę pożyć i dlatego siadam za kierownicą.
- Jestem lepszym kierowcą od ciebie!
- Hmm... Ile mandatów zgarnęłaś w zeszłym roku? Callie nie wiedziała, czy się roześmiać, czy wpaść w złość.
- To nieistotne! - wybuchnęła.
- Bardzo istotne. Poza tym, mocno wątpię, czy chcesz jechać do Wirginii samochodem pokrytym tymi paskudnymi napisami.

- Cholera jasssna! - syknęła.

Jake miał rację, zapomniała o graffiti na swoim roverze. Po chwili wahania wskoczyła do jego samochodu.

- Skoro ty prowadzisz, ja wybieram stacje radiowe - oznajmiła.

- Nie ma mowy, dziecinko. - Usadowił się za kierownicą i włączył odtwarzacz CD. - Zgodnie z zasadami ruchu drogowego to kierowca wybiera muzykę.

- Jeżeli sądzisz, że będę godzinami słuchać muzyki country, to jesteś zupełnie stuknięty. - Wyłączyła odtwarzacz i włączyła radio.

- Muzyka country stanowi ważny element amerykańskiej kultury, ponieważ jest odbiciem przemian społecznych, seksualnych i rodzinnych. - Jake włączył odtwarzacz.

Clint Black zdążył zaśpiewać tylko parę nut, zanim Callie szybkim ruchem przełączyła miniwieżę na radio, ogłuszając Jake'a utworem zespołu Garbage.

Przez następne piętnaście minut kłócili się o muzykę, jakiej mieli słuchać w czasie podróży, co sprawiło im obojgu sporo satysfakcji i pomogło oderwać myśli od nieprzyjemnych wydarzeń.

Henry Simpson mieszkał w luksusowym podmiejskim osiedlu, które, jak pomyślała Callie, na pewno spodobałoby się Ronaldowi Dolanowi. Trawniki były tu równo przycięte i zielone, a domy zadbane i standardowo ładne.

Wszystkie były duże i zajmowały prawie całą szerokość działki.

Niektóre miały tarasy, inne podjazdy z miejscami do parkowania samochodów, niektóre elewacje obłożono szaroróżowym kamieniem, pozostałe imponowały nieskalaną, śnieżną bielą.

Mimo tych różnic wszystkie były w jakiś sposób podobne, co Callie wydało się dziwnie przygnębiające.

Na działkach nie rosły żadne stare drzewa, żadne bujnie rozrośnięte krzewy o grubych pniach, tu i ówdzie tkwiły natomiast figurki krasnoludków i młode klony. Kwietniki były uporządkowane i równe. Jeden czy dwa wyrażały zdolności twórcze właścicieli, lecz na większości trawników pyszniły się idealnie proste szeregi begonii, nagietków i niecierpków.

- Gdybym musiała tu mieszkać, chyba bym się zastrzeliła...

- Nieee... - Jake jechał powoli, sprawdzając numery domów. - Pomalowałaś drzwi na intensywny fiolet, postawiła parę różowych flamingów przed domem i podjęła próbę doprowadzenia sąsiadów do szału.

- Tak, to by było zabawne. Spójrz, to ten biały dom z czarnym mercedesem na podjeździe!

- Serdeczne dzięki, to rzeczywiście zawęża pole wyboru... Musiała się roześmiać.

- Po lewej stronie, następny podjazd - wyjaśniła. - Mam nadzieję, że uzgodniliśmy podstawowy punkt - ja prowadzę rozmowę, nie ty.

- Niczego nie uzgodniliśmy, powiedziałem tylko, że ty zawsze usiłujesz zdominować rozmowę. - Jake wjechał na podjazd i wyłączył silnik. - Gdzie byś zamieszkała, gdybyś miała wybrać dom i miejsce dla siebie?

- Na pewno nie tutaj, do diabła! Posłuchaj, naprawdę nie chcę, żebyś się wtrącał...

- Jasne. - Wysiadł z samochodu. - Byłaby to duża, zaniedbana posiadłość na wsi, taka z własną historią i charakterem, i dom, który można by wyremontować i urządzić, odciskając na nim swój znak.

- O czym ty gadasz, do cholery?!

- O miejscu, w jakim chciałbym mieszkać.

- Starego domu nie można tak po prostu wyremontować i urządzić. - Callie wyjęła szczotkę z torby i kilka razy przeczesła włosy. - Najpierw trzeba zbadać historię posiadłości, dowiedzieć się, czy zmiany, jakie zamierzasz wprowadzić, nie stoją w sprzeczności z jej tradycją i charakterem. Powinny tam być drzewa, prawdziwe drzewa - dodała, idąc u boku Jake'a wyłożoną białym kamieniem ścieżką. - Nie takie namiastki jak te tutaj...

- Takie drzewa, na których można umocować huśtawkę?

- Właśnie. - Callie lekko zmarszczyła brwi. Nigdy dotąd nie rozmawiali o domach.

- Co się stało?

- Nic. - Wzruszyła ramionami. - Nic. No, dobrze, idziemy...

Nacisnęła dzwonek. Zanim zdążyła opuścić rękę, poczuła na niej ciepłą dłoń Jake'a.

- Co robisz?

- Próbuję cię wspierać.

- Próbuj mnie wspierać z większej odległości, dobrze? - Klepnęła jego rękę, odsuwając ją od siebie. - Denerwujesz mnie...

- Nadal mnie pragniesz, prawda? - Zaśmiał się cicho.

- Tak, tak, pragnę, żebyś podsmażył się w piekle! Puść moją rękę, bo... Przerwała, ponieważ drzwi otworzyły się nagle.

Kobieta, która stanęła w progu, miała koło pięćdziesiątki i doskonale wiedziała, jak podkreślić swoją urodę. Lśniące, kasztanowe włosy były krótko ostrzyżone i zarówno ich odcień, jak i linia komponowały się w idealną całość z kremowobiałą skórą. Miała na sobie wąskie spodnie i luźną białą koszulową bluzkę. Spod ozdobnych pasków sandałów błyskały pomalowane lososioróżowym lakierem paznokcie.

- Callie Dunbrook, czy tak? Nazywam się Barbara Simpson. Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. - Wyciągnęła rękę. - A pan to...

- To mój kolega z pracy, Jacob Graystone - wyjaśniła Callie. - Jestem wdzięczna, że państwo zgodzili się spotkać ze mną...

- Ależ to żaden problem! Zapraszam do środka. Hank był zachwycony, kiedy powiedziałam mu o pani telefonie. Dziesięć minut temu wrócił z pola golfowego i właśnie bierze prysznic. Zaczekamy na niego w salonie, proszę się rozgościć... Zaraz przyniosę coś do picia.

- Naprawdę proszę nie robić sobie kłopotu, pani Simpson...

- Ach, to dla mnie przyjemność! - Barbara dotknęła ramienia Callie i z uśmiechem wskazała gościom obite szarą skórą fotele i kanapę. - Usiądźcie, bardzo proszę... Za chwilę wrócę.

Na szklanym stole do kawy, wielkości małego jeziora, stał olbrzymi, ozdobnie ułożony bukiet białych kwiatów egzotycznych. Kominek, którego kratę gospodarze na lato zamknęli, stawiając przed nią obfitą kompozycję z kwiatów i świec, zbudowany był z białej cegły.

Callie domyślała się, że w lśniącej czarnej szafie pod przeciwną ścianą znajduje się wyjątkowo wyrafinowany sprzęt do odtwarzania muzyki i filmów. Obok stały jeszcze dwa fotele, także obite skórą, tyle że intensywnie czerwoną. Jej zakurzone buty zatonęły w puszystej wykładzinie dywanowej, o parę odcieni jaśniejszej od zestawu mebli, do którego doprowadziła ich Barbara Simpson. Callie z pewnym niepokojem przyjrzała się wielkiemu, prawie

metrowemu królikowi z białej masy ceramicznej, ustawionemu w rogu pokoju.

- Nie ma tu dzieci - odezwał się Jake, padając na skórzane poduszki. - Ani wnuków, których wiecznie brudne i lepkie łapki mogłyby upaprać wszystkie te cudeńka...

- Tata mówił mi, że doktor Simpson ma córkę z pierwszego małżeństwa i dwoje wnuków, ale oni mieszkają na północy. - Callie przysiadła na brzegu sofy, dużo ostrożniej niż Jake. - Ta, hmm... Ta Barbara jest jego drugą żoną. Moi rodzice jej nie poznali. Wyszła za Simpsona już po przeprowadzce rodziców do Filadelfii. Zaraz potem oboje przenieśli się do Wirginii i nigdy więcej nie kontaktowali się z moimi rodzicami.

Jake nachylił się do przodu i oparł rękę na podskakującym kolanie Callie.

- Noga ci drga.

Nienawidziła chwil, kiedy się na tym przyłapywała.

- Och, do diabła... Szturchnij mnie, jeżeli znowu zacznę...

Zaraz potem oboje się podnieśli, ponieważ do salonu wszedł Henry Simpson. Był opalony, jak przystało na entuzjastę golfa, miał śnieżnobiałe włosy, ostrzyżone bardzo krótko, z grzywką, i nosił okulary w metalowych oprawkach. Letnia koszulka lekko opinała się na brzuchu wielkości futbolowej piłki. Callie wiedziała, że Simpson niedawno przekroczył siedemdziesiątkę, ale uścisk jego dłoni był silny, wręcz młodzieńczy.

- Córeczka Vivian i Elliota, zupełnie dorosła! Jak ten czas leci! Zdaję sobie sprawę, że to banalny zwrot, ale czas naprawdę ucieka, i to nie wiadomo kiedy i jak... Ostatni raz widziałem cię, gdy miałaś parę miesięcy. Dobry Boże, czuję się kompletnie zardzewiały...

- Ale wcale pan tak nie wygląda. To jest Jacob Graystone, mój...

- Jeszcze jeden archeolog! - Simpson chwycił dłoń Jake'a i mocno ją uściśnął. - To fascynujące! Naprawdę fascynujące! Siadajcie, proszę! Barb poszła po lemoniadę i ciasteczka, zaraz wróci. A więc jesteś teraz doktorem archeologii... Doktor Callie Dunbrook... - Simpson usiadł i obdarzył gości szerokim uśmiechem. - Rodzice na pewno są z ciebie bardzo dumni!

- Mam nadzieję, panie doktorze.

- Mów mi po imieniu, dobrze? Hank.

- Dobrze. Nie wiem, co powiedział ci mój ojciec, kiedy dziś rano zadzwonił z pytaniem, czy zechciałbyś ze mną porozmawiać...

- Wystarczająco dużo, abym spokojnie usiadł i spróbował przypomnieć sobie wszystko, co mogłoby ci w jakiś sposób pomóc. - Simpson spojrzął na żonę., która właśnie weszła do salonu, popychając przed sobą barek z chromowanej stali i szkła.

- Nie, proszę, nie wstawać! - Barbara gestem powstrzymała Jake'a, który uniósł się z kanapy. - Poradzę, sobie, naprawdę.. Widzę., że już zaczęliście rozmowę...

- Powiedziałem Barbarze o telefonie twojego ojca. - Hank usadowił się wygodniej. - Chcę być z tobą absolutnie szczerzy, Callie... Cóż, jestem przekonany, że kobieta, która nawiązała z tobą kontakt, myli się. Marcus Carlyle cieszył się w Bostonie doskonałą opinią, gdyby było inaczej, nigdy nie skierowałbym do niego twoich rodziców.

- Hank... - Barbara postawiła na stole tackę z lukrowanymi ciasteczkami i pieśczośliwie pogładziła ramię męża - bardzo zaniepokoił się tą sprawą i uważa, że ponosi częściową odpowiedzialność...

- To ja wysłałem Vivian i Elliota do Carlyle'a. Ja nalegałem, aby rozważyli możliwość adopcji. - Simpson zacisnął palce na dłoni żony. - Doskonale pamiętam dzień, kiedy musiałem powiedzieć Vivian, że powinna poddać się operacji usunięcia macicy. Była taka młoda, krucha i nieszczęśliwa... Rozpaczliwie pragnęła dziecka, oboje tego pragnęli...

- Dlaczego poleciłeś im właśnie Carlyle'a? - zapytała Callie.

- Wcześniej miałem pacjentkę, której mąż okazał się bezpłodny. Zastanawialiśmy się nad innymi metodami poczęcia, ale badania i podjęte próby nie przyniosły spodziewanych efektów. Podobnie jak twoi rodzice, tamta para również zgłosiła się do agencji adopcyjnych i została wpisana na długie listy oczekujących. Kiedy moja pacjentka przyszła do mnie na coroczne badanie, tryskała radością. Okazało się, że udało im się adoptować dziecko, właśnie przez Carlyle'a. Wychwalała go pod niebiosa, była pod ogromnym wrażeniem jego wrażliwości i zrozumienia dla ich sytuacji. Widzicie, jako ginekolog - położnik często mam do czynienia z pacjentkami, które nie mogą począć lub donosić ciąży. Oczywiście, pozostają też w kontakcie z innymi lekarzami mojej specjalności. - Simpson sięgnął po szklanę z lemoniadą. - Słyszałem o Carlyle'u dużo dobrego. Niedługo po wizycie tamtej kobiety poznałem go w domu innej pacjentki, przy okazji jakiegoś przyjęcia. Wydał mi się rozmowny, dowcipny, wrażliwy i całkowicie pochłonięty ideą pomocy przy budowaniu rodzin, jak sam to nazwał. Tak, powtarzał, że chce pomagać w budowaniu rodzin... Ponieważ i na mnie zrobił korzystne wrażenie, zarekomendowałem go Elliotowi, kiedy kilka dni później rozmawialiśmy o problemach jego i Vivian.

- Czy polecałeś go innym pacjentkom?

- Tak, trzem czy czterem, jeśli dobrze pamiętam. Kiedyś Carlyle zadzwonił, żeby mi za to podziękować. Okazało się, że łączy nas namiętność do golfa i potem dość często grywaliśmy razem. - Simpson się zawahał. -

Można powiedzieć, że zawarliśmy bliską profesjonalną znajomość... Naprawdę sędzę, że ta kobieta się myli. Carlyle, taki, jakim go znałem i pamiętam, na pewno w żadnym razie nie posunąłby się do tak ohydnych czynu, jak porwanie dziecka...

- Może mógłbyś powiedzieć mi o nim coś więcej...

- Był dynamiczny. - Simpson zawiesił głos, kiwnął głową. - Tak, takie było moje pierwsze wrażenie. Dynamiczny człowiek. Bystry, mądry, o doskonałym guście, dobrze wychowany... Dumny ze swojej pracy. Pamiętam, jak mówił, że uważa, iż ukierunkowanie praktyki adwokackiej na sprawy adopcyjne pozwala mu wnieść pewien wkład w życie społeczne.

- A jego własna rodzina? - Callie nie ustępowała. - Ludzie, z którymi był blisko, na gruncie prywatnym i zawodowym?

- Trudno mi powiedzieć, jakie miał znajomości zawodowe, natomiast prywatnie... Cóż, często obracaliśmy się w tym samym towarzystwie. Jego żona była bardzo miłą kobietą, chociaż z pewnością nie wybitną osobowością, zawsze sprawiała wrażenie jakby nieobecnej duchem... - Simpson pokręcił głową. - Nie, chyba jednak źle ją opisałem. Była po prostu dość milcząca i spokojna, skupiona na mężu i synu. Kiedy teraz o niej myślę, przychodzi mi do głowy, że nie była osobą, która mogłaby czuć się dobrze u boku człowieka o jego energii życiowej i potencjale. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, że Carlyle nie stroni od towarzystwa innych kobiet...

- Zdradzał żonę - sprecyzowała chłodno Callie.

- Tak, w jego życiu bywały inne kobiety. - Simpson odchrząknął, poprawił się w fotelu. - Był przystojnym mężczyzną i, jeszcze raz powtarzam, wyjątkowo dynamicznym.

Najwyraźniej jego żona początkowo przymykała na to oczy, no, ale ostatecznie jednak się rozwiedli. Simpson wychylił się do przodu i położył rękę na kolanie Callie.

- Niewierność jest oznaką słabości charakteru, moja droga, lecz taka słabość jeszcze nie oznacza, że człowiek jest potworem. Pozwól też, że zwrócę ci uwagę na pewne fakty... Tamto dziecko zostało porwane w Marylandzie, natomiast ciebie oddano do adopcji w Bostonie. - Jeszcze raz poklepał ją po kolanie i wyprostował się. - Wybacz, ale nie widzę nic, co mogłoby łączyć te dwa wydarzenia. - Potrząsnął głową, zagrzechotał lodem w szklance. - Skąd Carlyle mógłby wiedzieć, on czy ktokolwiek inny, że właśnie w tamtym momencie i miejscu nadarzy się możliwość porwania dziecka, a w dodatku parę dni potem przekazania tegoż niemowlęcia do adopcji w innym miejscu?

- Zamierzam się tego dowiedzieć.

- Nadal masz kontakt z Carlyle'em? - zagadnął Jake.

- Nie - odparł Simpson. - Kilkanaście lat temu wyprowadził się z Bostonu i wtedy nasza znajomość się skończyła. Nie mam pojęcia, co się z nim teraz dzieje. Marcus był sporo starszy ode mnie, więc niewykluczone, że już nie żyje.

- Och, nie bądź takim pesymistą! - Barbara podniosła tacę z ciasteczkami i podsunęła ją Callie.

- Nie pesymistą, lecz realistą - sprostował Simpson. - Marcus miałby teraz koło dziewięćdziesiątki, więc przypuszczenie, że umarł, nie jest niczym niezwykłym. Tak czy inaczej, z pewnością już dawno zawiesił praktykę. Sam przeszedłem na emeryturę piętnaście lat temu i właśnie wtedy przenieśliśmy się tutaj. Chciałem uciec przed ostrymi zimami Nowej Anglii...

- I dłużej grać w golfa - uzupełniła jego żona z pobłażliwym uśmiechem.

- Naturalnie ten aspekt także wziąłem pod uwagę.

- Ta kobieta z Marylandu, ta, która zwróciła się do ciebie... - zaczęła Barbara, zwracając się do Callie. - Nie ulega wątpliwości, że przeżyła straszne chwile. Nie mam dzieci, ale myślę, że wszyscy możemy sobie wyobrazić, co czuła. Nie wydaje ci się, że w takiej sytuacji człowiek chwyta się każdej szansy?

- To prawda - przyznała Callie. - Jednak czasami można także trafić na coś, co przeradza się w pewność.

Callie oparła głowę o oparcie fotela w samochodzie Jake'a i zamknęła oczy. Była teraz zadowolona, że postanowił prowadzić, bo sama po prostu nie miała dość siły.

- Simpson nie chce w to uwierzyć. Nadal myśli o Carlyle'u jako o przyjacielu. Inteligentnym, byстрыm, dowcipnym i dynamicznym niewiernym mężu...

Jake wrzucił wsteczny bieg.

- A ty uważasz, że ten opis kogoś ci przypomina.

Więc jednak zwrócił na to uwagę, pomyślała, walcząc z czyhającym tuż obok bólem głowy.

- Lepiej nie poruszajmy tego tematu.

- Jak chcesz... - Wyjechał na ulicę zdecydowanie za szybko.

Callie zdała sobie sprawę, że naprawdę nie ma siły. Nie była w stanie się kłócić, więcej, za nic nie chciała wracać do tych starych, bolesnych spraw. Nie teraz.

- Nie mogę się zmagać ze wszystkimi problemami naraz - powiedziała cicho. Zatrzymał samochód na środku ulicy i długą chwilę nie włączał silnika, usiłując zapanować nad zalem. Przypomniawszy sobie, że obiecał jej pomoc. Nie

dość, prawie zmusił ją, żeby tę pomoc przyjęła. A przecież tak naprawdę wcale jej nie pomagał, nie, on zwyczajnie usiłował ją wykorzystać.

- Zaczniemy od nowa - zaproponował. - Możemy udać, że nic się nie stało, że właśnie wyszliśmy od Simpsonów i żadne z nas nie zdążyło jeszcze nic powiedzieć...

Zaskoczył ją tak bardzo, że nie zdołała powstrzymać się od zadania najprostszego pytania.

- Dlaczego?

Wyciągnął rękę i lekko potarł knykциями o jej policzek.

- Bo... Bo obchodzi mnie, co się z tobą dzieje. Możesz mi wierzyć lub nie, ale tak jest. Miała ochotę rozpiąć swój pas bezpieczeństwa i powoli przeczołgać się na jego kolana.

Chciała poczuć jego ramiona wokół siebie i objąć go mocno, lecz uważała, że nie wolno jej ulegać takim pragnieniom.

- Dobrze - powiedziała. - W porządku, przed sekundą wsiedliśmy do samochodu. Hank i Barb nie byli specjalnie zachwyceni naszą wizytą, nie uważasz?

Jake przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył.

- Spodziewałaś się, że będą zachwyceni?

- Nie wiem, czego oczekiwałam, ale wiem, że kolejny człowiek cierpi, niepokoi się i walczy z wyrzutami sumienia, chociaż nie chce uwierzyć w moje słowa. Będzie teraz myślał o innych pacjentkach, którym zarekomendował Carlyle'a, martwił się i gryzł, bo może one także znalazły się w takiej sytuacji. Wyobrażasz sobie, ile osób mogło trafić do Carlyle'a?

- Też się nad tym zastanawiałem. Klienci polecali mu następnych klientów, aż trudno to ogarnąć, mogła w ten sposób powstać cała sieć. Zamożne, bezdzietne małżeństwa, które w naturalny sposób mają kontakty z innymi zamożnymi, bezdzietnymi małżeństwami.. Niektórzy mogli się do niego zwracać kilkakrotnie, kto wie... I wszystko to w oparciu o jeden produkt...

- Słodki Jezu, produkt?! Co ty mówisz, Graystone?!

- Staraj się myśleć o tym właśnie w taki sposób - odparł. - Dla Carlyle'a na pewno był to produkt. Sprowadzał swój produkt z grupy klasy średniej o niższych dochodach i przeznaczał go dla grupy klasy średniej o wyższych dochodach, rozumiesz? Kradł dzieci ludziom, których nie stać na wynajęcie prywatnych detektywów, takim jak twoi naturalni rodzice, albo nastoletnim matkom. I przewoził je na drugi koniec kraju, to musiało właśnie tak się odbywać. Na pewno nie porywał dzieci z Bostonu, kiedy tam mieszkał i pracował.

- Jasne, to byłoby zbyt niebezpieczne - mruknęła. - Poza tym musiał też mieć własną sieć. Sieć, kontakty, jakkolwiek to nazwać... Większość ludzi chce adoptować niemowlęta, prawda? Zresztą, większe dzieci nie pasują do tego schematu, stwarzałyby zbyt duże zagrożenie dla systemu. Musiał trzymać się niemowląt, a przecież nikt normalny nie włóczyłby się po całym kraju z nadzieją, że gdzieś uda mu się porwać dziecko. Ktoś na pewno namierzał wcześniej takie rodziny, określał cel...

- No, wreszcie znowu zaczęłaś myśleć! - Ucieszył się, widząc, że jej policzki przybrały normalną barwę. - Carlyle potrzebował informacji, informacji i pewności, że dostarczy zdrowe dziecko. Dobry produkt i dobra usługa, w przeciwnym razie posypałyby się skargi, nie bonusy.

- Musiał mieć kontakty w szpitalach, szczególnie na oddziałach porodowych. W grę wchodzi lekarze, pielęgniarki, położne, może także pracownicy opieki społecznej, bo trzeba brać pod uwagę niezamężne matki, nieletnie oraz małżeństwa o bardzo niskich dochodach.

- A co wiemy o Jessice Cullen?

- Że urodziła się w szpitalu Washington County, 8 września 1974 roku.

- Więc chyba warto byłoby odszukać lekarza, który prowadził ciążę Suzanne i odbierał poród, zajrzeć do szpitalnego archiwum, może poprosić Suzanne, by przypomniawszy sobie, czy ktoś w szpitalu nie zwrócił na siebie jej uwagi zbyt dużą ciekawością lub czymś w tym rodzaju. Zleciłaś Lanie poszukiwanie Carlyle'a, ale przecież my możemy w tym samym czasie prowadzić śledztwo na własną rękę.

- Całkiem możliwe, że jednak nadal jestem na ciebie napalona - wyznała Callie.

- Nigdy w to nie wątpiłem, dziecinko. Przy autostradzie jest mnóstwo moteli, więc gdybyś poczuła obezwładniające pragnienie, aby mnie przelecieć, to zawsze mogę się gdzieś zatrzymać.

- To niewiarygodnie wielkoduszna propozycja, ale na szczęście została mi jeszcze odrobina samokontroli. Jedź.

- W porządku. Daj mi znać, kiedy ta odrobina się wyczerpie.

- Jasne, dowiesz się o tym pierwszy. Graystone?

Zerknął w lusterko i zobaczył, że obserwuje go ze skupionym wyrazem twarzy.

- Dunbrook?

- Nie wkurzasz mnie już tak bardzo jak kiedyś. - Westchnęła. Pieszczotliwie pogładził jej rękę.

- Daj mi jeszcze trochę czasu.

O siódmej wieczorem Lana zabrała się do składania świeżo upranych

rzeczy. Wcześniej wyszorowała kuchnię, odkurzyła każdy centymetr powierzchni domu i wykapała psa, ku jego wielkiemu niezadowoleniu. Robiła to wszystko po to, aby nie myśleć o śmierci Ronalda Dolana. Nic nie pomagało.

Powiedziała Dolanowi wiele okropnych rzeczy i nie mogła o tym zapomnieć. Zwijając białe skarpetki Tylera, uświadomiła sobie, że myślała o nim jeszcze gorzej, niż mówiła. W ciągu ostatnich czternastu miesięcy zrobiła wszystko, co w jej mocy, by zrujnować jego plany, związane z pięćdziesięciu akrową działką w Antietam Creek. Plotkowała o nim, oskarżała go i wściekała się na niego, w myśli i otwarcie. A teraz Dolan nie żył.

Wszystkie myśli, uczynki, ironiczne uśmiechy i słowa wracały falami, aby dręczyć ją i prześladować.

Pies przemknął tuż pod jej nogami, kiedy podniosła kosz z praniem i oparła go na biodrze. Zaniósł się gwałtownym szczekaniem i rzucił się do frontowych drzwi jeszcze zanim rozległo się pukanie.

- Spokój, spokój, przestań! - Wolną ręką szarpnęła obrozę, wciągając zwierzę do tyłu. - Przestań wreszcie!

Nie zdążyła dotrzeć do drzwi, a już schody załomotały pod szybkimi krokami Tylera.

- Kto to? Kto?

- Nie wiem. Chyba wyczerpały mi się baterie i nie widzę przez ściany i drzwi.

- Oj, mamgo! - Tyler padł na psa, chichocząc piskliwie.

Lana otworzyła drzwi. Na widok Douglasa zamrugła ze zdziwienia. Tyler i pies rzucili się na niego jak wygłodniałe psy.

- Dosyć! Elmer, leżeć! Tyler, zachowuj się!

- Mam go! - Ku zachwytowi Tylera, Doug chwycił go i osadził sobie pod pachę jak piłkę futbolową. - Wygląda na to, że próbowali ci uciec. - Trzymając radośnie piszczącego chłopca, schylił się, żeby podrapać czarno - białego psa między uszami. - To Elmer, tak? Na cześć Elmera Fudda czy Gan'ego?

- Fudda... - wykrztusiła Lana. - Ty uwielbia filmy z Królikiem Buggsem. Och, naprawdę strasznie cię przepraszam, ale zupełnie zapomniałam, że umówiliśmy się na dzisiejszy wieczór...

- Słyszałeś ten brzęk? - Doug odwrócił Tylera twarzą do siebie. - To moje wybudzące ego rozbiło się u stóp twojej mamy.

- Nie słyszałem żaden brzęk!

- Żadnego brzęku - poprawiła automatycznie Lana. - Wejdz, proszę. Wyglądam jak siódme dziecko stróża, ale trudno...

- Wyglądasz bardzo ładnie.

- Ha! Jakoś nie bardzo mogę w to uwierzyć!

Ubrana była w różowe szorty, koszulkę w biało - różowe paski i białe espadryle, w uszach miała małe złote kolczyki. Włosy spięła klamrą na karku i teraz instynktownie sięgnęła ręką do tyłu, aby sprawdzić, czy spinka jest na swoim miejscu. Zdaniem Douga wyglądała jak wyjątkowo smakowity cukiereczek.

- Mam pytanie - odezwał się. - Zawsze starannie dobierasz strój, nawet do prac domowych?

- Naturalnie. Synku, zrób coś dla mnie, dobrze? Zabierz Elmera na parę minut do siebie.

- Mogę pokazać mu mój pokój?

- Panu Cullenowi, chciałeś powiedzieć. Może później, na razie zabierz Elmera na górę. Doug postawił Tylera na ziemi.

- Ładny dom - zauważył, przyglądając się, jak chłopiec powoli i z wyraźną niechęcią wspina się na schody, ciągnąc za sobą psa.

- Dziękuję... - Lana nieprzytomnie rozejrzała się po idealnie czystej kuchni z jasnozielonymi ścianami i prostymi drewnianymi meblami, odpornymi na wszelkie poczynania małego dziecka. - Bardzo cię przepraszam, po prostu wyleciało mi to z głowy... Odkąd dowiedziałam się o śmierci Rona Dolana, w ogóle nie mogę się skupić. Nie potrafię sobie z tym poradzić...

- Takie wydarzenie to wstrząs dla wszystkich mieszkańców miasteczka.

- Byłam dla niego okropna... - Głos Lany załamał się gwałtownie. - Okropnie wredna... On nie był złym człowiekiem, wiem o tym teraz i wiedziałam wcześniej... Ale byłam przeciwna temu, co robił, więc musiałam wmawiać sobie, że jest zły... Tak to już jest. Dolan był porządnym człowiekiem, miał żonę, dzieci, wnuki... Wierzył, że postępuje słusznie, pod tym względem niczym nie różnił się ode mnie...

- Hej, spokojnie... - Doug położył ręce na ramionach Lany, odwrócił ją ku sobie. - To nie twoja wina! Nie chcesz przecież powiedzieć, że pojechałaś za nim nad Oczko Simona i rozwaliłaś mu głowę, prawda? Spokojnie, nie obwiniaj się za to, że robiłaś, co do ciebie należało...

- Ale czy to nie straszne, że lepiej myślę o nim teraz, po jego śmierci, niż za życia? Niezbyt dobrze to o mnie świadczy...

- Świadczy to jedynie o tym, że nie jesteś święta i że powinnaś trochę się rozerwać, więc chodźmy.

- Nie mogę! - Lana uniosła obie dłonie w bezradnym geście. - Jestem w ponurym nastroju, nie umówiłam opiekunki do dziecka i...

- Zabierz dziecko ze sobą - przerwał jej. - Myślę, że spodoba mu się to,

co zaplanowałem.

- Zabrać Tylera? Chcesz, żebyśmy wzięli ze sobą Tylera?

- Jasne, chyba że twoim zdaniem nie spodoba mu się film dozwolony od lat dwudziestu jeden - zażartował. - Co prawda uważam, że nigdy nie jest za wcześnie na odkrywanie tajemnic seksu, ale ostateczną decyzję pozostawiam tobie...

- Tyler ma już własną kolekcję wideo - odparła równie żartobliwym tonem. - Masz rację, chętnie wyjdę z domu... Dziękuję. Zaczekaj, zaraz się przebiorę.

- Wyglądasz świetnie! - Doug chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku schodów. Nie zamierzał pozwolić, aby zmieniła te skąpe różowe szorty na coś innego, o, nie... - Hej, Ty - Rex! - zawołał. - Zejdź na dół, jedziemy do miasta!

Lana nigdy nie spodziewała się, że spędzi sobotni wieczór w klatce treningowej do odbijania piłki baseballowej. W centrum rozrywki znajdowały się trzy takie klatki i jeszcze trzy dla dzieci w wieku poniżej dwunastu lat. Było tu także pole do minigolfa, lodziarnia i tor dla elektrycznych samochodzików. Wszędzie panował gwar, wszędzie aż roiło się od podekscytowanych dzieci i ich rodziców.

- Nie, nie chodzi o to, żeby zdzielić kogoś kijem, trzeba tylko odbić piłkę. - Stojący za jej plecami Doug wychylił się do przodu i położył ręce na jej zaciśniętych na kiju dłoniach.

- Nigdy nie grałam w baseball, czasami rzucałam tylko piłkę i łapałam razem z Tylerem.

- Nie próbuj wzbudzić we mnie litości, przedstawiając obrazki z pozbawionego baseballu dzieciństwa, dobrze? Nauczysz się odbijać i będziesz robić to jak należy. Najpierw poruszają się ramiona, potem górna część ciała, na końcu biodra...

- Ja też mogę? Nauczysz mnie? Mogę już? - domagał się Tyler z za ochronnego ekranu.

- Powoli, każde pokolenie w swoim czasie. - Doug mrugnął do chłopca.

- Damy spróbować twojej mamie, a potem obaj pokażemy jej, jak odbijają prawdziwi mężczyźni.

- Antyfemmistyczne uwagi na pewno ci się nie przysłużą - oświadczyła Lana.

- Patrz na piłkę, dobrze? - upomniał ją Doug. - Piłka ma być całym twoim światem. Masz odbić piłkę kijem - oto twój cel, jedyny cel. Jesteś kijem i piłką, jednym i drugim, rozumiesz?

- Ach, więc jest to baseball w wersji zen, tak?

- Cha, cha, bardzo śmieszne. Gotowa?

Lana przygryzła dolną wargę, skinęła głową. I zaraz znenawidziła samą siebie za to, że pisnęła i skuliła się, kiedy piłka wyskoczyła z maszyny i poleciała ku niej z impetem.

- Nie trafiłaś, mamusiu!

- Wiem, synku.

- To była dopiero pierwsza próba. Jeszcze raz! - Teraz Doug zamknął ją między swoimi ramionami i pokierował jej ruchami, gdy piłka znowu świsnęła w ich kierunku.

Uderzenie kija o drewno i lekkie wibracje, które rozeszły się na całe jej ręce i ramiona, sprawiły, że roześmiała się głośno.

- Jeszcze raz! - zażądała.

Odbiła znowu kilka piłek, za każdym razem przy entuzjastycznych wiwatach Tylera. Po którymś uderzeniu odchyliła się do tyłu i spojrzała w górę, tak że jej wargi prawie musnęły szczękę Douga. Zaczekała, aż jego wzrok spocznie na jej twarzy.

- Jak mi idzie? - zamruczała.

- Raczej nie zagrasz w dużej lidze, ale radzisz sobie całkiem nieźle. Oparł dłoń na jej biodrze, przytrzymał ją tam, a potem się cofnął.

- Dobrze, Ty, teraz twoja kolej!

Lana obserwowała ich uważnie. Duże dłonie mężczyzny przykryły małe ręce chłopca, zaciśnięte na grubym plastikowym kiju. W tej chwili jej serce rozdarła bolesna tęsknota za mężczyzną, którego kochała i straciła. Nagle wydało się jej, że on stoi obok niej, że czuje jego obecność, jak wtedy, gdy niepostrzeżenie wchodził do pokoju i razem z nią przyglądał się ich śpiącemu synowi.

Z zamyślenia wyrwał ją stłumiony trzask i głośny, wesoły śmiech Tylera. Ból zbladł, odpłynął.

Widziała tylko Tylera i mężczyznę, który pomagał mu odbić piłkę plastikowym kijem.

Prace wykopaliskowe udało się wznowić dopiero po trzech dniach. W tym czasie Callie pisała raporty i spędziła cały dzień w laboratorium w Baltimore. Poświęciła także sporo czasu na współpracę z szeryfem, odpowiadając na jego pytania i składając oficjalne oświadczenie.

Wiedziała, że policja jeszcze nie wpadła na trop zabójcy Dolana. Codziennie czytała miejscowe gazety i starała się słuchać krążących po miasteczku plotek.

Kiedy zaś dotykała ziemi, ostrożnie usuwając jej warstwy z wydobywanych przedmiotów, miała świadomość, że człowiek zginął tutaj z ręki mordercy. Oczywiście wcześniej umierali tu inni, dotknięci chorobami i

śmiertelnymi ranami, ale do tej niedawnej śmierci nie potrafiła się zdystansować. Z tymi, których znajdowała w ziemi, sprawa przedstawiała się o wiele prościej, mogła gromadzić dotyczące ich informacje, podejmować próby rekonstrukcji wydarzeń, które doprowadziły do ich śmierci, i wysuwać logiczne teorie. Śmierć Dolana była dla niej całkowicie niezrozumiała, nie potrafiła wymyślić żadnego łańcucha wątków, jakie mogły przyczynić się do jego śmierci.

Callie umiała wyobrazić sobie życie, porządek społeczny czy codzienne zajęcia ludzi, którzy żyli przed tysiącami lat, lecz nie wiedziała nic o człowieku, którego poznała i z którym zdążyła wdać się w spór.

Mogła kopać w ziemi i odkrywać nowe fakty z przeszłości, ale nie mogła się dowiedzieć niczego o mężczyźnie, który skonał w odległości paru metrów od miejsca, gdzie pracowała. Mogła także zanurzyć się we własną przeszłość i odkryć, co się w niej wydarzyło, lecz zdawała sobie sprawę, że to odkrycie niczego nie zmieni.

- Nawet jako małe dziecko byłaś najszcześniejsza, kiedy miałaś łopatkę w rękę i kopczyk ziemi do rozkopania...

Odwróciła głowę, szybkim ruchem otarła spływający ze skroni pot i zmrużyła oczy. Serce jej drgnęło, kiedy zobaczyła przed sobą ojca.

- Dentystyczne dłutko - odezwała się, pokazując mu przyrząd i odkładając go. Podniosła się, zrobiła krok nad aparatem fotograficznym i innymi narzędziami, i jednym ruchem wydobyła się z wykopu. - Oszczędzę cię - nie będę cię ścisnąć, bo masz bardzo elegancki garnitur...

Wspięła się na palce i lekko pocałowała go w policzek. Potem otrzepała dłonie i wytarła je w dżinsy na pośladkach.

- Mama też przyjechała? - zapytała.

- Nie. - Rozejrzał się dookoła, nie tyle z zaciekawieniem, ile chyba po to, aby odwlec wyjawienie celu wizyty. - Widzę, że pracujecie pełną parą...

- Nadrabiamy stracony czas. Musieliśmy przerwać prace na trzy dni, bo policja prowadziła tu dochodzenie.

- Policja? Mieliście jakiś wypadek?

- Nie... Och, ciągle zapominam, że wykopalisko to nie centrum świata... U was na pewno nie podawali tego w wiadomościach. Popełniono tu morderstwo.

- Morderstwo? - Wyraźnie wstrząśnięty Elliot mocno chwycił jej dłoń. - Mój Boże, Callie! Zginął ktoś z twojego zespołu?

- Nie, nie. - Ścisnęła uspokajająco jego rękę i w tej chwili uczucie dyskomfortu, które oboje czuli na początku, zniknęło bez śladu. - Chodźmy schować się gdzieś w cieniu...

Schylła się i wyjęła z chłodziarki dwie butelki wody mineralnej.

- Zabito właściciela tego terenu i firmy budowlanej, która rozpoczęła tu budowę osiedla - wyjaśniła. - Wygląda na to, że przyjechał w środku nocy na teren, aby podsypać nam trochę wieprzowych i wołowych kości. Nie był zbyt uszczęśliwiony, że przeszkodził mu w budowie. Ktoś uderzył go w głowę, prawdopodobnie kamieniem. W tej chwili nie wiemy ani kto, ani dlaczego go zabił.

- Nie nocujesz tutaj? Masz pokój w motelu w mieście, prawda?

- Tak, mieszkam w motelu, nic mi nie grozi. - Podała ojcu butelkę z wodą i powoli ruszyli w kierunku drzew. - Nocuje tu tylko Digger, na pewno pamiętasz go z wykopaliska w Montanie, na które przyjechaliście oboje z mamą. - Wskazała kwadrat, w którym Digger pracował ramie w ramie z Rosie. - Właśnie Digger znalazł zwłoki, o świcie.

Bardzo nim to wstrząsnęło, poza tym gliniarze wciąż zadrezczają go pytaniami. Digger ma na koncie kilka mandatów za przekroczenie szybkości, no i parę razy był karany grzywną za bójki w barach i za zniszczenie własności. - Callie wzruszyła ramionami. - Teraz strasznie się boi, że chcą go aresztować.

- Jesteś pewna, że nie miał z tym nic wspólnego?

- Tak, absolutnie pewna. Dig jest trochę zwariowany i lubi rozrabiać, zwłaszcza jeżeli chodzi o kobietę, ale nie byłby w stanie zrobić nikomu krzywdy. Równie dobrze mógłbyś podejrzewać, że to ja podkradłam się z tyłu i rozwalłam nieszczęsnemu facetowi czaszkę kamieniem. Prawdopodobnie zrobił to ktoś z miasteczka, ktoś, kto miał coś do Dolana. Z tego co wiem, miał tyłu przyjaciół, co wrogów, a w sprawie budowy tego osiedla zdania mieszkańców Woodsboro były podzielone.

- Co teraz będzie z waszym projektem?

- Nie wiem. - Callie westchnęła. Wiedziała, że zbyt przywiązywanie się do wykopaliska jest poważnym błędem, lecz zawsze go popełniała. - Planujemy pracę z dnia na dzień. Graystone sprowadził rdzennego Amerykanina, aby doradził nam sposób ekshumacji szkieletów. - Gestem wskazała Jake'a i stojącego obok niego przysadzistego mężczyznę. - Znają się, bo pracowali razem już wcześniej, więc myślę, że wszystko pójdzie gładko...

Elliot spojrział na człowieka, który jeszcze rok temu był jego zięciem. Człowieka, którego prawie nie znał.

- Jak pracuje ci się teraz z Jacobem? - zapytał.

- W porządku. Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, Graystone jest najlepszym z najlepszych, a ponieważ to samo mogę powiedzieć o sobie, pracujemy bez zgrzytów. Jeżeli chodzi o inne sprawy, w tej chwili

porozumiewamy się łatwiej niż kiedyś. Nie spodziewałam się, że teraz będzie mnie mniej drażnił, on też nie miał takich oczekiwań w stosunku do mnie, więc w zasadzie wszystko gra... Ale na pewno nie przyjechałeś tu tylko po to, aby zapytać, jak układa mi się w pracy albo z Jakiem, prawda?

- Zawsze interesuję się twoją pracą i życiem prywatnym, ale masz rację, nie po to przyjechałem...

- Masz wyniki badań krwi, tak? - Spojrzała mu prosto w oczy.

- To pierwsze wyniki, lecz... Cóż, pomyślałem, że będziesz chciała jak najszybciej je poznać.

Ziemia nie przestała obracać się wokół swojej osi, ale Callie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że grunt zadrżał pod jej stopami. - I tak już wiem. - Wzięła ojca za rękę i ścisnęła ją mocno. - Mówiłeś mamie?

- Jeszcze nie. Powiem jej wieczorem.

- Nie zapomnij powiedzieć, że ją kocham.

- Nie zapomnę... - Elliot odchrząknął, próbując opanować wzruszenie. - Mama wie, że ją kochasz, ale na pewno poczuje się lepiej, kiedy dowie się, że była to pierwsza rzecz, jaką powiedziałeś po... Po otrzymaniu tej wiadomości. Jest na to przygotowana, jeśli w ogóle można się przygotować na coś takiego... Będziesz musiała powiadomić Cullenów. Może chciałabyś, żebym pojechał do nich z tobą?

Callie stała nieruchomo, z wzrokiem utkwionym w strumieniu. Odezwiała się, dopiero kiedy była pewna, że nie wybuchnie płaczem.

- Jesteś takim dobrym człowiekiem... - powiedziała. - Bardzo cię kocham, tato. - Callie...

- Nie, zaczekaj, pozwól mi... Wszystko, co mam, dostałam od ciebie i mamy. To, kim jestem, to wasza zasługa, wasze dzieło. Kolor oczu czy rysy twarzy nie mają znaczenia, są wynikiem biologicznej ruletki. Wszystko, co w moim życiu ważne, pochodzi od was. Ty jesteś moim ojcem i nic tego nie zmieni. Współczuję Cullenom, współczuję im z całego serca, i jestem wściekła, że coś takiego spotkało ich, was i mnie. Nie wiem, co będzie dalej i to mnie przeraża. Nie wiem, co się wydarzy, tato...

Odwróciła się do niego i ukryła twarz na jego piersi.

Otoczył ją ramionami, przytulił równie mocno jak ona jego. Rzadko płakała, wiedział o tym. Nawet w dzieciństwie łzy nie były jej reakcją na ból czy gniew. Płakała tylko wtedy, gdy cierpienia nie dało się wyrwać z korzeniami i uważnie zbadać...

Chciał być silny ze względu na nią, użyczyć jej swojego spokoju i pogody ducha, lecz teraz nagle odkrył, że sam nie może powstrzymać łez.

- Gdybym tylko mógł usunąć to zmartwienie, moje maleństwo... -

szepnął. - Oddałbym wszystko, żeby to zrobić, ale nie wiem jak...

- Chciałabym, żeby to była pomyłka. - Przyłgnęła do jego ramienia rozpalonym, mokrym policzkiem. - Dlaczego to nie może być pomyłka, tato? Och, jej... - Westchnęła ciężko. - Muszę jakoś sobie z tym poradzić, a mogę to zrobić tylko tak, jak zwykle rozwiązuję problemy, krok po kroku, punkt po punkcie, jak zagadkę archeologiczną. Nie umiem zadowolić się tym, co widać na powierzchni, muszę zobaczyć, co kryje się pod spodem.

- Wiem. - Elliot wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa. - Proszę... - Delikatnie wytarł jej policzki. - Pomogę ci. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Wiem. - Wzięła chusteczkę i powtórzyła jego gest. - Nie mów mamie, że płakałam, dobrze?

- Ani słowa. Chcesz, żebym pojechał z tobą do Cullenów?

- Nie, ale dziękuję. - Callie ujęła jego twarz w dłonie. - Wszystko będzie dobrze, tato. Będzie dobrze, zobaczysz.

Jake obserwował ich z daleka. Podobnie jak Callie, od razu odgadł powód wizyty Elliota. Kiedy Callie załamała się i rozplakała w ramionach ojca, serce mało nie pękło mu z bólu. Przyglądał się, jak stoją naprzeciwko siebie, pocieszając się i wspierając nawzajem.

Łączyła ich czułość, której nigdy nie doświadczył we własnej rodzinie. Graystone'owie nie są mistrzami w okazywaniu uczuć, pomyślał.

Ojciec Jake'a był stoikiem, małomównym, pracowitym, rzadko skarżącym się na cokolwiek człowiekiem. Jake nigdy nie wątpił, że rodzice kochają swoje dzieci i siebie nawzajem, lecz chyba nigdy nie słyszał z ust ojca słów: „Kocham cię”. Podobne wyznania Graystone senior uważał za zbędne. Okazywał rodzinie miłość, dbał, aby mieli co jeść, uczył dzieci i od czasu do czasu poklepywał je po ramieniu lub głaskał po głowie.

Jake wiedział, że jego plemię nie traciło czasu na manifestacje uczuć. Cóż, takie było środowisko, w jakim dorastał, taka kultura jego rodziny i sposób poznawania świata.

Może właśnie dlatego nie umiał mówić Callie rzeczy, których kobiety pragną czasami słuchać. Że jest piękna. Że ją kocha. Że stanowi centrum jego świata, że jest dla niego wszystkim, co ważne.

Nie mógł cofnąć wskazówek zegara i zmienić przeszłości, lecz tym razem zamierzał trwać przy niej jak skała, pomóc jej przetrwać ten ciężki okres, czy tego chciała, czy nie.

Odwróciła się i poszła w stronę strumienia. Elliot podniósł z ziemi butelki z wodą, wyprostował się i spojrzał na Jake'a. Kiedy ich oczy się spotkały, Elliot wyszedł z cienia i ruszył ku Jake'owi. Spotkali się w połowie drogi.

- Jacob... Jak się masz?

- Dobrze.

- Chciałbym ci powiedzieć, że nam obojgu było naprawdę przykro, że sprawy między tobą i Callie nie ułożyły się tak jak należy...

- Doceniam to. - Jake skinął głową. - Ja ze swej strony powinienem wyjaśnić, że wiem, co się dzieje.

- Zwierzyła ci się? - W oczach Elliota zabłysło zdziwienie.

- Można to i tak ująć... Wyciągnąłem to z niej, jeśli mam być szczerzy.

- To dobrze. - Elliot rozmasował napięte mięśnie karku. - Dobrze... Cieszę się, że ma obok siebie kogoś, na kim może się oprzeć.

- Nigdy nie chciała się na nikim opierać, to był jeden z naszych problemów. Tak czy inaczej, jestem w pobliżu.

- Zanim Callie wróci... - Elliot rzucił Jake'owi niepewne spojrzenie. - Czy mam niepokoić się tym, co się tu wydarzyło? Tym morderstwem?

- Jeżeli chodzi ci o to, czy ona ma z tym coś wspólnego, to możesz się nie martwić. Poza tym, nie spuszczam jej z oka, staram się nad nią czuwać.

- A kiedy zamkniecie obóz pod koniec sezonu?

Jake uśmiechnął się lekko, patrząc, jak Callie idzie ku nim przez pole.

- Mam kilka pomysłów - powiedział. - Sporo pomysłów, szczerze mówiąc.

Callie doskonale wiedziała, że zachowuje się jak ostatni tchórz, ale mimo tego nie zdobyła się na telefon do Suzanne. Poprosiła Lane, żeby zorganizowała spotkanie u siebie w gabinecie, najlepiej następnego dnia. Najchętniej zobaczyłaby się z Suzanne dopiero po południu albo przełożyła spotkanie na inny dzień, lecz doszła do wniosku, że nie może powodować niczym nieusprawiedliwionego zamieszania.

Próbowała skupić się na pisaniu dziennego raportu, ale zupełnie jej to nie szło. Zniechęcona, sięgnęła po książkę, lecz po paru minutach zorientowała się, że wciąż czyta ten sam fragment. Potem włączyła telewizor i chwilę ze zniecierpliwieniem zmieniała kanały. W końcu znalazła jakiś stary film, ale po paru minutach wydał jej się nudny i zbyt skomplikowany.

Przyszło jej do głowy, czy nie wybrać się na krótką przejażdżkę, lecz szybko uznała to za głupi pomysł. Nie miała pojęcia, dokąd pojechać, zresztą niby po co?

Może poczułabym się lepiej, gdybym zrezygnowała z mieszkania w motelu i przeprowadziła się do obozu, pomyślała. Może...

Na razie tkwiła jednak w średniej wielkości pokoju z jednym oknem i twardym jak kamień łóżkiem, dręczona gorączkowymi myślami. Ciężko usiadła na brzegu łóżka i otworzyła pudełko po butach. Czuła, że musi

przeczytać jeden z listów Suzanne, wszystko jedno, który. Kolejność była jej zupełnie obojętna.

Wszystkiego najlepszego, Jessico. Kończysz dziś pięć lat.

Czy jesteś szczęśliwa? Czy jesteś zdrowa? Czy w jakimś zakątku twojego serduszka drzemie jeszcze pamięć o mnie?

Mamy taki piękny dzień, w powietrzu czuje się delikatne, bardzo łagodne tchnienie jesieni. Topole zaczynają żółknąć, o krzak przed domem babci już zapłonął purpurą. Obie twoje babcie przyszły odwiedzić mnie dziś rano. Wiedzą, że jest to trudny dla mnie dzień. Babcia i dziadek zastanawiają się, czy nie przeprowadzić się na Florydę, może w przyszłym roku, albo następnym. Zmęczyły ich nasze zimy. Nie rozumiem, dlaczego niektórzy ludzie chcieliby przez cały rok mieć lato.

Babcie myślały, że pomogą mi, jeżeli zasypią mnie planami, jak spędzić ten dzień. Chciały mnie gdzieś zabrać. Może na zakupy, zaproponowały. W Wirginii Zachodniej już zaczęły się promocje, więc można robić świąteczne zakupy. Potem wspólny lunch.

Zdenerwowałam się. Czy nie rozumieją, że wcale nie pragnę gdziekolwiek jechać? Nie chciałam towarzystwa, wesołości ani zakupów w wielkich centrach handlowych. Chciałam być sama. Zraniłam ich uczucia, ale ani trochę mnie to nie obeszło. Nie chcę się tym przejmować, nie chcę o tym myśleć.

Czasami mam ochotę tylko płakać i krzyczeć, nic więcej. Krzyczeć i krzyczeć, bez końca. Bo przecież właśnie dzisiaj przypadają twoje piąte urodziny, a ja wciąż nie mogę cię odnaleźć.

Upiekłam ci tort. Przełożyłam go białym kremem i ozdobiłam różowym lukrem. Bardzo ładnie wyglądał. Ustawiłam na nim pięć świeczek, zapaliłam je i zaśpiewałam ci Happy birthday.

Chcę, żebyś o tym wiedziała. O tym, że upiekłam dla ciebie tort i zapaliłam na nim świeczki.

Nie mogę powiedzieć o tym twojemu tacie, bo zaraz się denerwuje i wtedy się kłócimy, albo, co jeszcze gorsze, w ogóle nic nie mówi. Ale my obie będziemy o tym wiedziały...

Kiedy Doug wrócił ze szkoły, ukroiłam mu kawałek. Miał taką poważną i smutną buzię, gdy usiadł przy stole, żeby zjeść tort. Chciałabym umieć mu wytłumaczyć, że upiekłam tort, ponieważ żadne z nas nie może o tobie zapomnieć. Ale Doug jest jeszcze bardzo małym chłopcem. Nie przestałam cię szukać, Jessie. Nie przestałam cię szukać. Kocham cię.

Mama

Callie złożyła list i wyobraziła sobie, jak Suzanne w pustym domu

zapala świece na torcie i śpiewa Happy Birthday swojej małej dziewczynce.

W tej samej chwili pamięć podsunęła jej wspomnienie ojca z załzawionymi oczami. Miłość często boleśnie rani, pomyślała, zamykając pudełko. Zdumiewające, że ludzka rasa wciąż pragnie tego uczucia niczym wody na pustyni... Może dlatego, że samotność jest jeszcze gorsza.

Doszła do wniosku, że nie zniesie teraz samotności. Oszaleje, jeżeli jeszcze trochę posiedzi tu sama... Położyła już dłoń na klamce, kiedy nagle stanęła jak wryta, ponieważ uświadomiła sobie, co chce zrobić.

Chcę iść do Jake'a, pomyślała. Do Jake'a... Po co? Żeby zdławić ból seksem? Uciec przed samotnością w rozmowę o pracy? Sprowokować kłótnię?

W gruncie rzeczy każdy z tych pomysłów był całkiem niezły. Każdy pomógłby jej osiągnąć cel.

Ale przecież wcale nie chciała do niego biec... Przyciskając czoło do drzwi, powiedziała sobie, że nie ma prawa tego robić.

Otworzyła pokrowiec i wyjęła z niego wiolonczelę, poprawiła smyczek, usiadła na taborecie. Pomyślała, że zagra Brahmsa, lecz w chwili, gdy oparła smyczek na strunach, zmieniła zdanie.

Spojrzała na ścianę, oddzielającą jej pokój od pokoju Jake'a. Nie może do niego pójść, ale czy to znaczy, że nie może zmusić go, żeby przyszedł do niej? I co z tego, że ucieka się do podstępu? Co z tego? Na samą myśl o jego reakcji uśmiechnęła się szeroko i złośliwie, i zagrała pierwsze nuty.

Wytrzymał mniej więcej trzydzieści sekund. Potem zaczął walić pięścią w ścianę.

Callie, wciąż z tym samym uśmiechem na ustach, grała dalej. Jake ze zdwojoną energią walił w ścianę.

Wreszcie przestał. Parę sekund później trzasnęły drzwi jego pokoju. Jeszcze sekunda i Callie usłyszała głośne stukanie do swoich drzwi.

Bez pośpiechu odłożyła smyczek, oparła instrument o krzesło i poszła otworzyć. Kiedy był wściekły, wyglądał cholernie seksownie...

- Przestań!

- Słucham?

- Przestań! - powtórzył dobitnie i lekko pchnął ją w ramię. - Mówię poważnie.

- Nie wiem, o czym mówisz, nawet jeżeli mówisz poważnie. I uważaj, kogo popychasz.

- Popchnęła go także, oczywiście mocniej.

- Wiesz, że nie znoszę, kiedy to grasz.

- Jeżeli mam ochotę pograć sobie na wiolonczeli, to nikt nie ma prawa mi tego zabronić. Nie ma jeszcze dziesiątej, więc nie zakłócam ciszy nocnej.

- Mam gdzieś, która jest godzina! Możesz sobie grać do świtu, ale nie to!

- Och, a kiedyż to zostałeś krytykiem muzycznym? - zapytała, przechylając głowę. Zatrzasnął za sobą drzwi.

- Słuchaj, dobrze wiem, że grasz ten motyw ze Szczęk wyłącznie po to, żeby mnie wkurzyć! Wystarczy kilka nut i już ciarki chodzą mi po grzbiecie!

- W Marylandzie od co najmniej tysiąca lat nikt nie widział rekina, więc możesz spać spokojnie. - Podniosła smyczek i lekko postukała nim w otwartą dłoń.

W jego zielonych oczach błyszczała wściekłość, rysy przystojnej twarzy wydawały się ostrzejsze niż zwykle. Jest mój, z satysfakcją pomyślała Callie. Wystarczy wyciągnąć rękę...

- Coś jeszcze? - zamruczała prowokacyjnie. Wyrwał jej smyczek z ręki i rzucił go na podłogę.

- Hej, spokojnie! - zgorszyła się obłudnie.

- Masz szczęście, że nie owinąłem ci go dookoła szyi! Oparła dłonie na udach, wychyliła się do przodu.

- Spróbuj, kolego...

Podniósł jej podbródek, lekko ścisnął gardło.

- Wolę zrobić to ręką.

- Nie boję się ciebie. Nigdy nie umiałeś mnie przestraszyć.

Poderwał ją do góry, aż stanęła na palcach. Czuł zapach jej włosów, skóry, aromat świeczki, która paliła się na komodzie. Gwałtowne pożądanie przytłumiło wściekłość, nie gasząc jej całkowicie.

- Mogę to zmienić - wymamrotał.

- Wiesz, co cię wkurza? To, że nigdy nie udało ci się zmusić mnie, żebym robiła to, czego chciałeś. Wściekałeś się, że sama podejmuję decyzje. Nie mogłeś mi narzucić swojego zdania i nic się w tej dziedzinie nie zmieniło, rozumiesz? Więc daj sobie na wstrzymanie, koleś. I spadaj.

- Kiedyś już mi to powiedziałaś i nie przypadło mi to do gustu. W tej dziedzinie również nic się nie zmieniło, rozumiesz? Poza tym, wcale nie wkurzała mnie niezależność twojego umysłu, tylko ośli upór, rozdmuchane jak balon ego i najzwyklejsza na świecie wredność...

Chwytał pięść Callie i przytrzymał ją, uniemożliwiając jej zadanie mu ciosu w brzuch. Chwilę szarpali się, stojąc, chwilę potem padli na łóżko.

Szarpnęła jego koszulę, materiał się rozerwał, kiedy niecierpliwie ściągała mu ją przez głowę. Dyszała ciężko. Jake podniósł się na łokciu i szarpnął jej bluzkę. Guziki prysnęły na wszystkie strony. Callie wbiła zęby w jego ramię, jego dłonie zanurzyły się w jej splątanych włosach.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu, pomyślała, kiedy unieruchomił ją własnym ciałem, kiedy jego usta pośpieszyły na spotkanie spełnienia. Życie zaczęło krążyć w jej żyłach, runęło jasną, gorącą strugą, uświadamiając jej, że jeszcze przed chwilą była zimna jak kamień i martwa, tak, martwa. Wygięła się pod nim w łuk, błagając o więcej. Jej ramiona zamknęły się wokół niego, biorąc wszystko, co chciał dać.

Znała na pamięć długość każdej kości w jego ciele, zarys każdego mięśnia, kształt każdej blizny. Znała jego ciało równie dobrze jak swoje własne. Znała jego zapach, znała wrażenie, jakie pozostawiał dotyk jego ostrego zarostu na skórze.

Znała to proste, cudowne podniecenie, jakie rodziło się z kontaktu z jego ciałem, jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne i niezastąpione.

Był gwałtowny, nawet brutalny. Rozpalała w nim instynkt - zawsze potrafiła to zrobić - który przemieniał cywilizowanego, panującego nad żądzą człowieka w niezaspokojoną bestię. I ta żądza została teraz uwolniona, żądza bolesna i dotkliwa jak dojmujący głód. Pożądanie, aby osiąść ją, szybko i mocno. Chciał wdrzeć się w nią, zanurzyć się w gorącej wilgoci i poczuć pod sobą jej drżące ciało.

Długie rozstanie, tęsknota, gniew, wszystko to wezbrało w nim wielką falą, budząc nieznośny ból i napięcie. Musiał je ukoić. Callie była ukojeniem. Jak zawsze.

Pieścił jej piersi, najpierw dłońmi, potem ustami. Wsunęła rękę między ich ciała, szarpnęła zamek błyskawiczny w jego spodniach. Przetoczyli się na bok, łąpczywie chwytając powietrze i zrzucając dzinsy. W gorączkowym zmaganiu stracili poczucie przestrzeni i runęli na podłogę. Upadek wstrząsnął Callie, ogłuszył ją trochę, zaraz jednak wróciła do rzeczywistości, w pełni świadoma, że Jake wszedł w nią jednym gwałtownym ruchem.

Wydała krótki, zdławiony okrzyk i nogami oplótła go w pasie niczym łańcuchem.

Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa, nie mogła przestać. Brutalne pchnięcia rozpalały jej krew, rozogniały całe ciało. Trzymała się go rozpaczliwie, unosiła biodra w odpowiedzi na jego ruchy, przed oczami miała mgłę.

Orgazm jak wybuch rozerwał ją na strzępy, w ułamku sekundy przebywając drogę od czubków palców aż do serca i głowy. Przez chwilę wyraźnie widziała jego twarz, pochyloną nisko nad nią. Pociemniałe, prawie czarne oczy patrzyły w jej oczy z napięciem i intensywnością, w obliczu których zawsze czuła się obnażona do kości. Nie przestały się w nią wpatrywać nawet wtedy, gdy powlokły się mgłą.

Przewróciła się na brzuch, rozprostowując wszystkie mięśnie. Jake leżał obok niej, z wzrokiem wbitym w sufit.

Pokój w motelu trzeciej kategorii, pomyślał, bezsensowna kłótnia, pozbawiony uczucia seks... Czy pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają?

Miało być zupełnie inaczej. Osiągnęli tylko chwilowe uwolnienie się od napięcia, nic więcej. Dlaczego oboje tak chętnie zgodzili się na tak niewiele?

Chciał dać jej więcej. Pragnął dać więcej i jej, i sobie, pomyślał, Bóg mi świadkiem, że taki miałem plan. Ale może należało spojrzeć prawdzie w oczy i uznać, że nie ma między nimi nic więcej...

Bał się o tym myśleć, bo serce pękało mu z bólu. - I jak, lepiej się teraz czujesz? - zapytał, siadając i sięgając po dzinsy.

Odwróciła głowę i zmierzyła go czujnym, ostrożnym spojrzeniem. - A ty nie?

- Jasne! - Wstał, podciągnął dzinsy. - Kiedy następnym razem będziesz miała chęć na szybki numer, po prostu zastukaj w ścianę.

Zanim zdążyła odwrócić twarz w drugą stronę, dostrzegł ból, przemknął po niej jak cień.

- Cóż to? Zranione uczucia? - Słyszał ostry, bezlitosny ton w swoim głosie, ale nic go to nie obchodziło. - Daj spokój, Dunbrook, po co to wszystko upiększać? Nacisnęłaś guziczki i masz efekty, proszę bardzo. Wszystko jest przecież w porządku, nikt nie doznał szkody, wręcz odwrotnie...

- No, właśnie. - Chciała, żeby już sobie poszedł. I chciała, by usiadł obok, wziął ją w ramiona i po prostu ją przytulił. - Może dzięki temu będziemy lepiej spać w nocy...

- Ja nie mam problemów ze snem, maleńka. Do zobaczenia rano. Zaczekała, aż zamknął za sobą drzwi jej pokoju, otworzył swoje i zamknął je.

Dopiero wtedy rozplakała się gorzko. Drugi raz tego dnia.

Callie powtarzała sobie, że jest zupełnie spokojna, kiedy następnego dnia usiadła w fotelu w gabinecie Lany. Po prostu musi zrobić, co do niej należy, a to jest kolejny krok, i tyle.

- Napijesz się kawy? - zapytała Lana.

- Nie, dziękuję. - Callie bała się, że jej organizm eksploduje, jeżeli uraczy go nową porcją kofeiny. - Nic mi nie jest.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze. Jeśli mam być szczerą, to wyglądasz, jakbyś od tygodnia w ogóle nie spała.

- Miałam niespokojną noc, to wszystko.

- To trudna sytuacja - powiedziała Lana. - Szczególnie dla ciebie.

- Chyba jednak trudniejsza dla Cullenów.

- Nie. Przeciąganie liny najbardziej szkodzi linie, nie tym, którzy

ciągną. Callie długo w milczeniu patrzyła na Lane. Potem przycisnęła palce do powiek.

- Dziękuję... - wykrztusiła. - Dziękuję, że to rozumiesz... I za to, że nie jesteś tylko obiektywnym doradcą prawnym...

- Myślałaś może o terapii psychologicznej?

- Niepotrzebna mi terapia. - Callie splótła ręce na kolanach. - Sama dojdę ze sobą do ładu, wystarczy, że znajdę odpowiedzi na pytania, które nie dają mi spokojnie zasnąć.

- W porządku. - Lana usiadła za biurkiem. - Detektyw, którego wynajęliśmy, odkrył, że od połowy lat pięćdziesiątych w praktyce Carlyle'a zaczęła pojawiać się pewna regularność. Kiedy Carlyle zdażył się już gdzieś zadomowić, liczba zgłaszanych przez niego do sądu wniosków adopcyjnych powoli się zmniejszała. Jednocześnie wszystko wskazuje na to, że jego dochody i liczba klientów rosły. Wobec tego można śmiało założyć, że głównym źródłem jego dochodów stały się adopcje nielegalne. Nadal usiłujemy dociec, co się z nim stało po opuszczeniu Seattle. Nie ma żadnych śladów, że podjął praktykę w innej części kraju, ale dowiedzieliśmy się czegoś jeszcze...

- Tak?

- Jego syn, Richard Carlyle, jest prawnikiem i prowadzi praktykę adwokacką w Atlancie.

- To daje do myślenia, prawda? - mruknęła Callie.

- Detektyw mówi, że Carlyle junior jest czysty jak łąza. Czterdzieści osiem lat, żonaty, dwójka dzieci. Ukończył wydział prawa w Harvardzie, jako jeden z najlepszych w swojej grupie. Rozpoczął pracę w prestiżowej bostońskiej kancelarii prawniczej, poznał żonę dzięki wspólnym znajomym, podczas pobytu w Atlancie. Spotykali się przez dwa lata, po ślubie Carlyle przeprowadził się do Atlanty i został młodszym wspólnikiem w dobrej firmie. Teraz ma własną kancelarię. - Lana odłożyła teczkę z raportem. - Praktykuje w Atlancie od szesnastu lat, zajmuje się głównie nieruchomościami. Brak dowodów, aby żył ponad stan. Kiedy zostałaś porwana, miał dziewiętnaście, najwyżej dwadzieścia lat. Nie mamy powodu uważać, że był w to zamieszany.

- Ale na pewno wie, gdzie jest jego ojciec.

- Detektyw jest gotów zapytać go o to, jeżeli sobie życzysz.

- Życzę sobie.

- Zajmę się tym - powiedziała Lana.

Chwilę obie milczały, wreszcie ciszę rozdarł dźwięk intercomu.

- To Cullenowie. - Lana obrzuciła Callie uważnym spojrzeniem. - Gotowa? Callie kiwnęła głową.

- Gdybyś w jakimś momencie rozmowy uznała, że wolisz, bym ja mówiła dalej, albo gdybyś chciała zrobić przerwę, daj mi tylko znak ręką, dobrze?

- Dobrze. - Callie westchnęła. - Chciałabym mieć już to za sobą...

Czuła się bardzo dziwnie, patrząc na ludzi, którzy byliby teraz jej najbliższą rodziną, gdyby los inaczej pokierował jej życiem. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Powinna wstać czy nie? Na kogo czy na co powinna patrzeć? I jak powinna wyglądać?

Usiłowała skupić wzrok na Jayu Cullenie. Ubrany był w płócienne spodnie i koszulę w drobną niebiesko - zieloną kratkę. I mocno zniszczone zamszowe buty. Miał niebieski krawat. Wyglądał... Wyglądał bardzo miło, doszła do wniosku. W spokojny sposób atrakcyjny, wysportowany... Chyba właśnie tak powinien wyglądać nauczyciel matematyki koło pięćdziesiątki, oczywiście jej zdaniem...

Ciemne cienie pod oczami - o, mój Boże, pod jej oczami - świadczyły, że ostatnio nie sypiał zbyt dobrze.

W niewielkim gabinecie Lany było za mało krzeseł, więc przez parę chwil, które wlokły się bez końca, wszyscy stali sztywno, jakby pozowali do oficjalnej fotografii. Wreszcie Cullenowie przywitani się z Laną i Callie i usiedli.

- Dziękuję państwu za przybycie - odezwała się Lana. - Przepraszam bardzo, nie wiedziałam, że Doug będzie państwu towarzyszył... Zaraz przyniosę jeszcze jedno krzesło...

- Postoję - powiedział Doug.

- Nie, nie! Chwileczkę...

W pokoju znowu zapanowało ciężkie, trudne milczenie. Lana dostawiła krzesło i Doug usiadł.

- Napiją się państwo kawy albo czegoś zimnego? Doug położył rękę na ramieniu matki.

- Przejdźmy do rzeczy - powiedział. - Zwyczajne uprzejmości i tak nie zmieniają sytuacji, nikomu z nas nie jest łatwo.

- To prawda - przyznała Lana.

Doskonale wiedziała, że nie może nic więcej zrobić. Wróciła za biurko, odseparowując się od tamtych czworga. Przypomniała sobie, że może tylko służyć im radą, być kimś w rodzaju łącznika lub arbitra.

- Jak wiecie, reprezentuję interesy Callie w sprawie o ustalenie jej pochodzenia - zaczęła.

- Ostatnio otrzymałam informacje dotyczące...

- Lano... - Callie uniosła dłoń w prośącym geście. - Sama to zrobię...

Są już wyniki wstępnych badań, którym zgodziliśmy się poddać. To podstawowe testy, bardziej skomplikowane badania DNA jeszcze trwają. Jeden z tych testów, najprostszy, wykazuje tylko, że dana osoba nie jest ojcem lub matką... Jest to tak zwany test negatywny, który w tym wypadku nie dał negatywnego wyniku...

Suzanne wstrzymała oddech, zacisnęła dłonie. Callie była bliska paniki. Opanowała się szybko. Musiała zachować spokój, myśleć logicznie, rozsądnie, praktycznie...

- Badania wskazują na duże prawdopodobieństwo, że jesteśmy... Że istnieje między nami biologiczna więź. Prawdopodobieństwo to zwiększają inne informacje i...

- Callie... - Doug ani na chwilę nie zdjął dłoni z ramienia matki i czuł, jak cała drży. - Tak czy nie?

- Tak. Naturalnie jest pewien margines błędu, ale niewielki. Całkowitą pewność uzyskamy dopiero po zlokalizowaniu i przesłuchaniu Marcusa Carlyle'a, prawnika, który zajmował się moją adopcją, ale przecież siedzę tu, naprzeciwko was, i nie mogę zaprzeczyć, że jestem do was fizycznie podobna... Nie mogę zaprzeczyć, że okoliczności porwania i adopcji potwierdzają wasze podejrzenia... Nikt nie może podważyć naukowych danych, które już zostały zgromadzone.

- Prawie dwadzieścia dziewięć lat... - Głos Suzanne był niewiele głośniejszy niż szept, lecz wydawało się, że cały pokój zatrzęsł się od jego mocy. - Wiedziałam, że cię znajdę. Wiedziałam, że wrócisz.

- Ja...

Ja nie wróciłam, chciała powiedzieć, ale nie była w stanie dokończyć, nie mogła, bo po policzkach Suzanne już płynęły łzy. Zerwała się, posłuszna obronnemu odruchowi, kiedy Suzanne szybkim, płynnym ruchem podniosła się z krzesła i stanęła naprzeciwko niej. Jej serce i rozum zderzyły się, czyniąc ją rozbitą i zagubioną, gdy Suzanne chwyciła ją w ramiona.

Jesteśmy tego samego wzrostu, pomyślała tępo. Odziedziczyłam po niej budowę i sylwetkę... Suzanne pachniała jakimiś letnimi, lekkimi perfumami, które w ogóle nie pasowały do tej dramatycznej chwili. Jej włosy były miękkie, gęste, parę odcieni ciemniejsze od włosów Callie. Drżała, lecz jej serce biło mocno i szybko.

Callie ujrzała przez łzy, że Jay wstaje powoli. Ich oczy spotkały się na chwilę. Potem, nie mogąc znieść widoku łez w jego oczach i wyrazu twarzy, a przede wszystkim strasznego, rozdzierającego żalu, Callie zacisnęła powieki.

- Przykro mi... - Były to jedyne słowa, jakie przyszły jej na myśl, więc wypowiedziała je na głos, chociaż nie miała pojęcia, czy mówi do Suzanne,

czy do siebie. - Tak mi przykro...

- Teraz już wszystko będzie dobrze... - Suzanne gładziła włosy Callie i jej plecy, szeptała miękko, łagodnie, jak do dziecka. - Wszystko będzie dobrze...

W jaki sposób, chciała zapytać Callie. Jak może być dobrze? Z największym trudem powstrzymała rozpaczliwe pragnienie, aby wyrwać się z ramion Suzanne i uciec. I biec, biec, dopóki nie odnajdzie dawnego, normalnego życia...

- Suze... - Jay dotknął ramienia Suzanne, łagodnie odciągnął ją od Callie. Objął ją, podparł, kiedy odwróciła się do niego.

- To nasze dziecko... - wyszlochała. - Nasze dziecko...

- Ciiii... Nie płacz, usiądźmy... Powinnaś usiąść, kochanie. - Wziął od Lany szklankę wody i podsunął ją Suzanne. - Spokojnie, napij się...

- Znaleźliśmy Jessicę! - Mocno chwyciła go za rękę, nawet nie zauważyła szklanki. - Znaleźliśmy nasze dziecko! Mówiłam ci, że tak będzie, zawsze ci to powtarzałam...

- Tak. Zawsze mi to powtarzałaś.

- Pani Cullen, może chce pani wiedzieć, gdzie jest łazienka? - Lana wsunęła dłoń pod łokieć Suzanne. - Na pewno zechce pani odświeżyć twarz... Zaprowadzę panią... Zupełnie jakbym podnosiła lalkę, pomyślała. Bezwładną, szmacianą lalkę. Otoczyła Suzanne ramieniem w pasie i powoli wyprowadziła z pokoju. W ostatniej chwili kątem oka zerknęła na Douga. Jego twarz była pusta, pozbawiona wyrazu.

Jay zaczekał, aż za Laną i Suzanne zamknęły się drzwi, i dopiero wtedy odwrócił się do Callie.

- Tak naprawdę wcale nie znaleźliśmy naszego dziecka, prawda? - odezwał się cicho. - Nie jesteś Jessicą.

- Panie Cullen...

Callie wpatrywała się w drżącą dłoń, w której Jay trzymał szklankę z wodą. Jeżeli zaraz nie postawi jej na stole, wszystko wyleje, pomyślała.

- Nieważne, co mówią wyniki badań. Biologiczna więź nie ma znaczenia. Wiesz o tym, widzę to w twojej twarzy... Nie jesteś naszym dzieckiem, już nie... I kiedy ona w końcu to zrozumie...

Głos mu się załamał i Callie bezradnie patrzyła, jak mobilizuje siłę, aby dokończyć.

- Kiedy w końcu to zrozumie, poczuje się tak, jakby straciła cię po raz drugi - rzekł. Callie podniosła obie dłonie, apelując do jego rozwagi.

- Co mam powiedzieć? Co mam zrobić?

- Sam chciałbym to wiedzieć. Rozumiem, że nie musiałaś tego robić, nie

musiałaś nam o tym mówić. Możliwe, że to, co powiem, wyda ci się pozbawione sensu, ale jestem dumny, że nie jesteś osobą, która odwraca się plecami do cierpienia...

Miała wrażenie, że coś w niej nagle pękło.

- Dziękuję...

- Niezależnie od tego, jaką podejmiesz decyzję, proszę cię o jedno - nie rąj jej bardziej niż to konieczne... Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. - Szybko podszedł do drzwi. - Doug, zajmij się matką - rzucił, nie oglądając się na syna.

Callie osunęła się na krzesło i ponieważ głowa ciążyła jej jak bryła ołowiu, pozwoliła jej opaść do tyłu.

- Masz mi coś ważnego do powiedzenia? - zapytała Douga.

Usiadł obok niej, splecione dłonie ścisnął między kolanami. Utkwił skupione, ostre spojrzenie w jej twarzy.

- Przez całe moje życie, odkąd pamiętam, byłaś duchem, stale obecnym w naszym domu. Zawsze obecna, właśnie przez to, że cię nie było. Cień twojej obecności mącił wszystkie dni, codzienne, świąteczne i niezwykle. Zdarzało się, nawet dość często, że nienawidziłem cię za to.

- Fatalnie się zachowałam, pozwalając się porwać, prawda?

- Gdyby nie ty, wszystko toczyłoby się normalnie - ciągnął. - Moi rodzice nadal byliby razem.

- O, Jezu Chryste... - westchnęła ciężko.

- Gdyby nie ty, czas mojego dorastania nie byłby naznaczony tym ponurym cieniem. Nie widziałbym przerażenia w oczach matki za każdym razem, kiedy wracałem do domu spóźniony o parę minut. Nie słyszałbym, jak płacze w nocy lub chodzi po domu, szukając kogoś, kogo nie było.

- Nie mogę tego naprawić - mruknęła.

- Wiem. Wydaje mi się, że miałaś szczęśliwe dzieciństwo - normalne, spokojne, zamożne, ale nie tyle, żeby mogło ci to przewrócić w głowie.

- A ty nie...

- Nie, moje dzieciństwo nie było ani normalne, ani spokojne. Gdybym miał w tej chwili przeprowadzić krótką, tanią psychoanalizę, powiedziałbym, że właśnie z powodu tych przeżyć do tej pory nie założyłem rodziny. Z drugiej strony może dlatego, że to wszystko tak boleśnie mnie dotknęło, poradzę sobie z tą sytuacją lepiej niż ty i rodzice, kto wie... Na pewno łatwiej mi będzie stawić czoło żywej osobie niż duchowi...

- Jessica nadal jest duchem.

- Tego także nie tracę z oczu. Chciałaś ją odepchnąć, kiedy cię objęła, ale nie zrobiłaś tego. Nie odepchnęłaś mojej matki. Dlaczego?

- Może i jestem suką, ale nie suką bez serca.

- Hej, nikt nie ma prawa nazywać mojej siostry suką! Nikt poza mną, oczywiście. Kochałem cię. - Ostatnie słowa wymknęły mu się prawie nieświadomie, zanim zorientował się, że je wypowiada. - Do diabła, miałem wtedy ledwo trzy lata, więc pewnie kochałem cię tak, jak kochałbym szczeniaka, którego dostałem w prezencie, ale jednak cię kochałem. Mam nadzieję, że spróbujemy zostać przyjaciółmi...

Powoli wypuściła powietrze z płuc i odetchnęła głęboko. Przyjrzała mu się uważnie. Miał szczere, przenikliwe oczy, ciemnobrażowe. Ku swojemu zaskoczeniu dostrzegła w nich nie tylko ból, ale także dobroć i łagodność, których się nie spodziewała.

- Łatwiej jest poradzić sobie z posiadaniem brata niż... - Zerknęła ku drzwiom.

- Nie bądź tego taka pewna. Prawie nic o tobie nie wiem, więc zechcę cię poznać, co wcale nie musi być przyjemne. A właśnie, co jest z tym Graystone'em? Skoro jesteście rozwiedzeni, to właściwie dlaczego on ciągle się koło ciebie kręci?

Callie zamrugnęła ze zdumienia.

- Żartujesz sobie?

- Na razie tak, ale później może się to zmienić. - Doug nachylił się ku niej. - Opowiedz mi o tym skurwysynu Carlyle'u...

Otworzyła usta, lecz zaraz zamknęła je znowu, bo drzwi otworzyły się i do pokoju weszły Lana i Suzanne.

- Później... - wymamrotała.

- Bardzo przepraszam, nie sądziłam, że tak się rozsypię - odezwała się Suzanne. - Gdzie Jay?

- Wyszedł na zewnątrz, zaczerpnąć świeżego powietrza - odparł Doug.

- Ach, tak... - Jej wargi zacisnęły się, tworząc cienką, wąską linię.

- Postaraj się go zrozumieć, mamu. Jemu też jest ciężko.

- Przecież to taki szczęśliwy dzień... - Suzanne usiadła i wzięła Callie za rękę. - Powinniśmy być razem... Wiem, że wszystko to cię przytłacza, kochanie, musimy dać ci trochę czasu, ale tyle chciałabym ci powiedzieć, o tyle rzeczy zapytać... Nie wiem nawet, od czego zacząć...

- Suzanne... - Callie spojrzała na ich złączone dłonie. - To, co cię spotkało, co spotkało was wszystkich, było straszne, niewyobrażalnie złe... Niestety, w żaden sposób nie możemy tego zmienić...

- Ale teraz już wiemy, że jesteś cała, zdrowa i bezpieczna. - Głos Suzanne wibrował radosną histerią. - Jesteś tutaj...

- Nadal nie wiemy, jak i dlaczego zostałam porwana. - Callie ze

wszystkich sił usiłowała zachować spokój. - Przede wszystkim nie wiemy, kto to zrobił. Musimy się tego dowiedzieć.

- Oczywiście. Oczywiście, ale najważniejsze, że tu jesteś. Możemy wrócić do domu. Wrócić do domu i...

- I co? - zapytała ostro Callie. Była na granicy paniki. Wcześniej nie odepchnęła Suzanne, ale teraz musiała, nie miała wyjścia. - Podjąć życie w tym punkcie, gdzie zostało przerwane? Między tamtą chwilą a tą stoi całe moje życie, Suzanne. Nie jestem w stanie zrekompensować ci wszystkiego, co straciłaś. Nie mogę przeistoczyć się w twoją małą córeczkę, ani nawet w twoją dorosłą córkę. Nie mogę zrezygnować z tego, czym i kim jestem, i w cudowny sposób stać się osobą, którą straciłaś. Nie wiedziałabym nawet, jak to zrobić...

- Nie możesz wymagać, żebym po prostu odeszła, zamknęła ten rozdział życia i odeszła, Jessie...

- Nie jestem Jessie. Musimy się dowiedzieć, dlaczego. Nigdy się nie poddałaś, prawda? - Callie mówiła szybko, ponieważ oczy Suzanne znowu wypełniły się łzami. - To nas łączy, bo ja także nigdy nie rezygnuję. Zamierzam dociec, co się wtedy stało. Możesz mi pomóc.

- Zrobiłabym dla ciebie wszystko, wszystko...

- W takim razie wróć myślami do przeszłości, przypomnij sobie fakty, które mogłyby okazać się istotne. Przypomnij sobie lekarza, który opiekował się tobą w czasie ciąży, ludzi pracujących w jego gabinecie, tych, którzy byli w pobliżu podczas porodu, położne, pediatrę, może pielęgniarki. Kto wiedział, że tamtego dnia wybierałaś się do centrum handlowego? Kto mógł znać ciebie i twoje nawyki na tyle dobrze, aby czekać tam na ciebie? Przygotuj mi listę. - Callie rzuciła Suzanne lekki uśmiech. - Jestem mistrzynią w rozpracowywaniu list, wystarczy, że spojrzę i już kojarzę dane ze zdwojoną szybkością...

- Tak, ale co to da?

- Musi istnieć jakiś punkt styczny między tobą i Carlyle'em. Ktoś musiał mu o tobie powiedzieć. Byłaś celem, jestem o tym przekonana. Zdarzenia potoczyły się zbyt szybko i gładko, aby to mógł być przypadek.

- Policja...

- Właśnie, policja. - Callie kiwnęła głową. - FBI. Przypomnij sobie przesłuchania, wszystko może się przydać. Doskonale radzę sobie z wykopywaniem faktów i zestawianiem ich. Muszę zrobić to dla siebie i dla ciebie. Pomóż mi.

- Pomogę ci, oczywiście... Zrobię wszystko, co zechcesz, ale muszę spędzić z tobą trochę czasu... Proszę...

- Na pewno coś wymyślimy. Odprowadzę cię teraz do samochodu, dobrze?

- Idź, mamó. - Doug otworzył drzwi, przytrzymał je. - Zaraz przyjdę.

Zamknął drzwi za Suzanne i Callie, oparł się o nie plecami i spojrzał na Lane.

- Określenie „rodzina dysfunkcyjna” nabierze dzięki nam zupełnie nowego znaczenia - powiedział. - Dziękuję, że pomogłaś mojej mamie się pozbierać.

- Jest bardzo silna, miała prawo się załamać. Sama o mało nie pękłam. - Lana westchnęła ciężko. - Jak się czujesz?

- Na razie nie wiem. Nie lubię zmian. - Podeszedł do okna i utkwił spojrzenie w parku. - Życie byłoby mniej skomplikowane, gdyby ludzie nie usiłowali zmieniać otaczającej ich rzeczywistości...

- Wszystko i tak stale się zmienia, możesz mi wierzyć. Wszystko - dobre, złe i obojętne.

- Ludzie bez przerwy drażą, zmieniają... Callie należy do tych, którzy ciągle toczą jakąś walkę. Tryska energią, nawet kiedy stoi, roztacza wokół siebie atmosferę napięcia, oczekiwania. To, co się tutaj stało... Sam już nie wiem... To tak, jakby ustawić kostki domina i potem popchnąć je palcem... Cały układ się zmienia, prawda?

- Tymczasem ten dawny układ czy wzór bardziej ci odpowiadał... - powiedziała cicho.

- Znałem go i rozumiałem. - Wzruszył ramionami. - Ale już go nie ma. Przed chwilą siedziałem tu i rozmawiałem z... Z moją siostrą. Czuję się tak, jakbym miał dwie - tamtą, którą zapamiętałem - łysą i bezzębną - i tę, dorosłą i zupełnie inną. Wszystko to razem jest trochę surrealistyczne...

- Należy dodać, że wszystkie osoby dramatu cię potrzebują, choć w różnym stopniu. Odwrócił się do niej, zmarszczył brwi.

- Nie wydaje mi się.

- Dla obiektywnego obserwatora to zupełnie oczywiste. I tłumaczy, dlaczego ciągle wyjeżdżasz i wracasz...

- Wyjeżdżam i wracam, bo taką mam pracę.

- To tylko część prawdy - mruknęła. - Dobrze wiesz, że twoja rodzina cię potrzebuje, i dlatego często wracasz. Ze względu na nich, no i na siebie. Podoba mi się to. Wiele rzeczy mi się w tobie podoba. Jeżeli masz ochotę odpocząć od tych rodzinnych komplikacji, to wpadnij wieczorem. Zrobię ci domową kolację.

Doug nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział ładniejszą kobietę. Tak czy inaczej, z pewnością nie znał zgrabniejszej i bardziej atrakcyjnej. Ani takiej, która potrafiłaby w łagodny i delikatny sposób zapędzić męzczyznę pod ścianę.

- Nie planuję tu zostać. Powinnaś o tym wiedzieć.

- Proponuję ci tylko pieczonego kurczaka, nic więcej - odparła. - Nie zamierzam opróżnić szafy w swojej sypialni, żebyś mógł się wprowadzić.

- Chcę się z tobą przespać.

Ponieważ w jego głosie zabrzmiało coś, co do złudzenia przypominało gniew, Lana uniosła brwi.

- Cóż, tego dania nie ma w dzisiejszym menu - oświadczyła. - Niewykluczone, że pojawi się w najbliższej przyszłości, ale to nic pewnego, a poza tym... Poza tym, to i tak niewiele znaczy.

- Psuję związki - wyznał. - Dlatego przestałem się w nie angażować.

- Powiem ci, kiedy zaczniesz psuć ten. - Zrobiła krok w jego stronę, oparła dłoń na jego piersi, musnęła jego usta przelotnym pocałunkiem. - Pieczony kurczak, w porządku? Muszę myśleć o Tylerze, więc seksu nie będzie także i na deser. Możliwe jednak, że uda ci się ubłagać mnie, żebym podgrzała brzoskwiniowe ciasto, które mam w zamrażarce. Wypieki Suzanne - dodała z uśmiechem. - Wielki przebój w naszym domu.

Nie będzie łatwo, pomyślał. Sprawa na pewno się skomplikuje, nie może być inaczej. Kobieta, dziecko i uczucia, jakie zaczęli w nim budzić... Może powinien uciekać, ale jeszcze me był gotowy. Jeszcze nie.

- Zawsze miałem słabość do brzoskwiniowego ciasta mojej matki. O której będzie kolacja?

Kiedy Callie wyprowadziła Suzanne, Jay stał nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w doniczkę z geranium. Callie zauważyła, że jego spojrzenie najpierw spoczęło na twarzy Suzanne. Popatrzył na byłą żonę tak, jak ktoś zerka na barometr, aby z góry przygotować się na nowe warunki pogodowe.

- Właśnie zamierzałem wrócić na górę...

- Doprawdy? - zdziwiła się chłodno Suzanne.

- Musiałem chwilę ochłonać. - Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia, ale ona cofnęła się ruchem równie wymownym jak uderzenie w policzek.

- Porozmawiamy później - oznajmiła, wciąż tym samym lodowatym tonem. - Myślałam, że może masz coś do powiedzenia swojej córce...

- Nie wiem, co powiedzieć i co zrobić.

- Więc po prostu odchodzisz, bo tak jest najłatwiej. - Suzanne odwróciła się demonstracyjnie i pocałowała Callie w policzek. - Witaj w domu, kochanie. Zaczekam na Douga w samochodzie.

Jay przeniósł spojrzenie na Callie.

- Nigdy jej tego nie wynagrodzę - powiedział. - Ani tobie.

- Nie trzeba mi niczego wynagradzać.

Odwrócił się do niej, ale nie podszedł bliżej i nie wykonał żadnego gestu.

- Jesteś piękna, to jedyne, co przychodzi mi w tej chwili do głowy. Jesteś piękna, podobna do matki.

Ruszył w dół po schodach w tej samej chwili, gdy Doug otworzył frontowe drzwi.

- Będiesz buforem. - Callie skinęła głową w kierunku samochodu, do którego właśnie podchodził Jay.

- Całe życie jestem buforem, zdążyłem przywyknąć. Posłuchaj, nie zamierzałem cię o nic prosić, ale może któregoś dnia wpadłabyś zobaczyć się z moim dziadkiem? Do księgarni na Mam Street...

Callie rozmasowała skronie.

- Jasne, w porządku.

- Dziękuję. Do zobaczenia.

- Zaczekaj! - Zbiegła po schodach i stanęła obok niego na chodniku. - Chętnie napiłabym się z tobą piwa, oczywiście nie teraz, ale... Moglibyśmy spróbować... Spróbować się zaprzyjaźnić. Poza tym, tylko ty możesz powiedzieć mi, jak działają Cullenowie. Nie bardzo umiem się z nimi obchodzić...

Parsknął krótkim, głośnym śmiechem.

- Witaj w klubie! Jak działają Cullenowie? Obawiam się, że jedno piwo nie wystarczy! Patrzyła, jak wsiada do samochodu. Dynamika rodziny Cullenów niewątpliwie miała odbicie w miejscach, jakie zajęli Doug za kierownicą, Suzanne z przodu, Jay na tylnym siedzeniu... Ciekawe, gdzie by ją posadzili...

Odwróciła się do samochodu i drgnęła. O maskę, jej rovera niedbale opierał się Jake.

Szybko odzyskała równowagę, ale była przekonana, że zauważył jej zaskoczenie. Jake zwykle wszystko zauważał. Przystanęła, sięgnęła do kieszeni, wyjęła ciemne okulary i włożyła je. Potem ruszyła w jego stronę.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytała.

- Byłem w okolicy. Zakołysała się na piętach.

- Kto cię podwiózł?

- Sonia, ale już wróciła do obozu. Ta dziewczyna jest wyschnięta jak osiemdziesięcioletnia staruszka. - Uśmiechnął się szeroko. - Obojczyki sterczą jej jak widły.

- Niemniej jednak jej nogi i cała reszta mają dopiero dwadzieścia lat.

- Dwadzieścia jeden. Dig już oznaczył ten teren, więc moje nadzieje runęły. Callie wyjęła kluczyki i zabrzczała nimi lekko.

- Czy twoje pojawienie się tutaj, to znaczy w okolicy, oznacza, że już nie jesteś na mnie wściekły? - zapytała.

- Nie określiłbym tego w ten sposób.

- Może rzeczywiście cię wykorzystałam, ale specjalnie się nie broniłeś. Ujął ją za ramię, zanim zdążyła go wyminąć.

- Ty wykorzystałaś mnie, a ja ciebie. Jestem chyba trochę wkurzony, że poszło nam tak łatwo. Chcesz się o to pokłócić?

- Nie mam teraz dość siły, żeby się z tobą porządnie pokłócić.

- Tak myślałem. - Położył dłonie na jej barkach i zaczął masować. - Było ciężko?

- Mogło być gorzej. Nie wiem, jak, ale nie mam cienia wątpliwości, że mogło być gorzej. Co ty tu tak naprawdę robisz? Przyleciałeś na ratunek, jak rycerz na białym koniu?

- Nie. - Sprawnie wyłuskał kluczyki z jej ręki. - Ja prowadzę.

- To mój samochód.

- Zamierzałem cię zapytać. Kiedy wreszcie pozbędziesz się tego gówna z maski?

Callie przechyliła głowę i spod zmarszczonych brwi spojrzała na upstrzony sprayem wóz.

- Zaczynam się do tego przyzwyczajać. Co robisz?

- O, Chryste, otwieram przed tobą drzwi, Dunbrook!

- Mam złamaną rękę czy coś w tym rodzaju?

- Możemy to załatwić! - Postanowił zetrzeć rozbawienie z jej twarzy w nowatorski sposób i odniósł pełny sukces, bo kiedy chwycił ją na ręce i posadził na fotelu, spojrzała na niego z absolutnym osłupieniem.

- Co ci się stało? - wykrztusiła.

- Nic szczególnego. - Obchodząc samochód dookoła i siadając za kierownicą, wciąż powtarzał sobie, że musi zachować spokój i cierpliwość. - Pieprzyć to! - rzucił w końcu, chwycił ją w ramiona, przyciągnął do siebie i przywarł ustami do jej warg.

Szarpnęła się, próbując się wyrwać, usiłując zachować równowagę ducha w chwili, choć jej serce biło jak szalone, a umysł wydawał się zataczać pijane kręgi.

- Przestań! - Nie.

Była silna, ale oczywiście z nim nigdy nie mogła się równać. Siła fizyczna należała do tych jego cech, które równocześnie złościły ją i pociągały, podobnie jak gwałtowny temperament. Jake potrafił długo tłumić uczucia, lecz w końcu wybuchał, najczęściej zupełnie niespodziewanie, zaskakując ofiarę.

Tak jak teraz, pomyślała, czując bezlitosny nacisk jego warg. Z

Jacobem nigdy nie można być niczego pewnym. Nigdy nie można czuć się absolutnie bezpiecznie. I właśnie to ją fascynowało.

Kiedy jego usta powędrowały ku jej podbródkowi i szyi, odetchnęła głęboko.

- Jeszcze przed chwilą byłeś na mnie wściekły, ponieważ wczoraj wieczorem wykorzystaliśmy się nawzajem, a teraz jesteś gotów znowu to zrobić, i to w biały dzień, na środku ulicy...

- Tkwisz pod moją skórą. - Znowu opadł na jej usta, całując ją długo, gorąco i głęboko. Potem odepchnął ją od siebie. - Jak jakiś przeklęty guz...

- Daj mi skalpel, to zobaczę, co da się z tym zrobić. Postukał palcami w kierownicę, odwrócił głowę i popatrzył na nią chłodno i spokojnie, zza ciemnych szkieł.

- Na parę minut przestałaś myśleć o tamtej sprawie, prawda? - Celnie wymierzony prawy sierpowy dałby ten sam efekt.

- Ponieważ z zasady nie biję kobiet, nawet ciebie, zrobiłem co mogłem. Tak czy inaczej, nie przyjechałem tu po to, aby się trochę powyglądać w samochodzie lub przerzucać obelżywymi uwagami, chociaż oba te zajęcia w gruncie rzeczy mogą być dość zajmujące...

- To ty zaczęłaś...

- Nie przeginaj, dobrze? Wynajęliśmy dom.

- Słucham?

- Mamy swoje własne gniazdko, brzoskwinko. - Uśmiechnął się kącikiem warg. - Tylko spróbuj walnąć mnie pięścią, a możliwe, że zmienię zdanie na temat nie wywierania presji fizycznej na kobiety. - Włączył silnik. - Pokoje w motelu są za małe i zbyt niewygodne. Zespół musi mieć tu na miejscu jakąś bazę.

Callie była tego samego zdania, ale zirytowało ją, że Jake szybciej zajął się praktyczną stroną przedsięwzięcia.

- Za parę miesięcy zamkniemy obóz na zimę. Motel jest tani, poza tym tylko ty, ja i Rosie wynajmujemy pokoje.

- Wszyscy troje potrzebujemy więcej miejsca do pracy - powiedział Jake. - Dory, Bili i Matt też zamieszkają w tym domu, a dziś po południu dojechała para napalonych dzieciaków z Wirginii Zachodniej.

- I te napalone dzieciaki będą...

- Pieprzyć się przy każdej okazji. Chłopak ma pewne doświadczenie, pracował już na kilku wykopaliskach, a teraz pisze pracę magisterską na wydziale antropologii. Dziewczyna jest zupełnie zielona, ale chętna do pracy.

Callie oparła stopy na desce rozdzielczej i popadła w krótkie zamyślenie.

- Cóż, oczywiście potrzebujemy rąk do pracy...

- Jasne. Leo także będzie mógł nocować u nas, kiedy uda mu się wyrwać na parę dni z Baltimore, przygotujemy też miejsca dla archeologów i pracowników przyjeżdżających na pewien czas. Musimy mieć spiżarnię, no i kuchnię.

Miasteczko zostawili już za sobą. Jake prowadził pewnie, wiedząc, że Callie gotuje się w środku i usiłuje wymyślić jakieś kontrargumenty.

- Nie da się też zaprzeczyć, że musisz się gdzieś zatrzymać po sezonie - dodał. - Mamy tu także i inne sprawy do załatwienia.

- My?

- Ile razy mam powtarzać, że zamierzam ci pomóc? Stworzymy sobie bazę operacyjną, słoneczko. - Jake zjechał z drogi w wyboistą alejkę.

Callie ściągnęła brwi.

- Naprawdę nie wiem, co o tobie myśleć - mruknęła. - Najpierw jesteś wkurzającym draniem, którym zawsze byłeś, a chwilę potem stajesz się wkurzającym draniem, który stara się być miły. - Rzuciła mu badawcze spojrzenie znad okularów. - Próbujesz mnie rozmiękczyć?

Jake uśmiechnął się i ruchem podbródka wskazał wylaniający się spomiędzy drzew dom.

Był duży, ocieniony ze wszystkich stron. W niewielkiej odległości od bocznej ściany przepływał strumień. Piękne miejsce, pomyślała Callie, wysiadając z samochodu i lekko uśmiechając się na dźwięk szmerzącej i bulgoczącej wody. Dom sprawiał wrażenie budowanego na raty - główna, środkowa część w luźny sposób nawiązywała do stylu ranczerskiego, nad nią znajdowała się dość wysoka, prosta jak pudełko nadbudówka, a z boku wystawało coś w rodzaju niewielkiego bungalowu z tarasem.

Trawnik domagał się przyszczyżenia. Kiedy Callie szła w kierunku domu, źdźbła trawy łaskotały ją w kostki.

- Jak to znalazłeś? - zapytała.

- Jeden z „miastowych” przyjechał obejrzeć teren wykopaliska i wspomniał Leowi o domu pod Woodsboro, który należy do jego siostry. Parę miesięcy temu rozwiodła się i teraz oboje z byłym mężem chcą wynająć dom do czasu, kiedy zdecydują, co z nim dalej robić. Jest tu trochę mebli, niewiele i niezbyt luksusowych, głównie takich, które nie odpowiadały ani jej, ani jemu. Podpiszemy umowę najmu na sześć miesięcy, co wyniesie dużo mniej niż opłaty za motel.

Podobało jej się miejsce, otoczenie i dom, ale na razie nie zamierzała się do tego przyznać.

- Jak daleko stąd do obozu? Nie zwróciłam uwagi, kiedy jechaliśmy...

- Osiem kilometrów.

- Nieźle... - Niespiesznym krokiem podeszła do drzwi i poruszyła klamką. - Masz klucz?

- Zaraz, zaraz, gdzie ja go włożyłem... - Stał za nią, pokazał jej pustą dłoń, strzepnął ręką w przegubie i uniósł w górę klucz.

Wykrzesał z Callie niechętny uśmiech.

- Otwieraj, Houdini...

Jake otworzył drzwi i po raz drugi tego dnia chwycił ją na rękę.

- Co się z tobą dzieje, do diabła?!

- Nigdy nie przeniosłem cię przez próg... - Zamknął jej usta pocałunkiem, na dziesięć drugich, wibrujących gorącym sekund.

- Daj mi wreszcie spokój! - Mięśnie jej brzucha skrzyły się w twarde węzeł, więc odepchnęła się od niego obiema rękami. - Może nie pamiętasz, ale nie mieliśmy żadnego progę, bo przecież ten hotel w Las Vegas, gdzie spędziliśmy noc poślubną, nie może się liczyć!

- No, nie wiem, ja tam mam całkiem przyjemne wspomnienia z tego hotelu. Wielka wanna w kształcie serca, lustro nad łóżkiem...

- Pamiętam, nie musisz mi przypominać.

- I pamiętam cię, jak leżałaś w tej wannie, po szyję w bąbelkach, i śpiewałaś I'm Too Sexy...

- Byłam pijana.

- To prawda, byłaś nieźle trącona. Mimo to ciągle mam słabość do tej piosenki. - Postawił ją na podłodze, od niechcenia klepnął w pupę. - Oto nasz salon, czy raczej pokój dla wszystkich mieszkańców.

- Co jest z tą kanapą, do cholery?

Jake spojrzął na boczne oparcie kanapy, pokryte postrzępioną tkaniną w beżowo - czerwona kratę.

- Mieli koty. Kanapa stała w niewykończonym pokoju na dole. Kuchnia jest tam, wyposażona we wszystkie potrzebne sprzęty, obok jadalnia. Na tym poziomie znajduje się łazienka i WC, druga łazienka na górze, wspólna dla trzech sypialni. Jeszcze jeden pokój, który nadaje się na sypialnię lub gabinet do pracy, jest tam, a tutaj...

Trzema długimi krokami pokonał salon, odwrócił się i ręką wskazał duży pokój z przesuwanymi szklanymi drzwiami i ładnym małym tarasem za oknem. Callie otworzyła usta, lecz Jake pokręcił głową.

- Za późno, skarbie - oświadczył. - Już go sobie zaklepałem.

- Drań!

- To miłe z twojej strony, zwłaszcza że dla ciebie wybrałem największą sypialnię na piętrze. Jutro możemy się wprowadzić.

- Dobrze. - Callie przeszła przez pokój i wyjrzała na taras. - Cicho tu...

- Przestanie być cicho, kiedy się wprowadzimy.

Nagle uświadomiła sobie, że poczuła się tutaj od razu zupełnie jak w domu. Było to dziwne uczucie, zwłaszcza po ostatniej godzinie, spędzonej w biurze Lany.

- Pamiętasz to miejsce pod Kairem? - zapytała. - Mieszkaliśmy tam kilka tygodni.

- O kilka tygodni za długo.

- To był tylko malutki wąż, na miłość boską! - Uśmiechnęła się złośliwie.

- Nie wyglądał na niewiniątko, kiedy wśliznął się za mną do łazienki.

- Piszczalesz jak dziewczyna...

- Nieprawda, wrzeszczałem jak chłop na schwał. I chociaż byłem nagusienki, to jakoś załatwiłem go gołymi rękami.

- Rozplaskałeś go na miazgę wieszakiem do ręczników - sprostowała.

- Który wyrwałem ze ściany gołymi rękami, prawda?

Nadal widziała go oczami wyobraźni, imponującego w fascynującej nagości, z dzikim wzrokiem, trzymającego na końcu metalowej rurki bezwładne truchło węża. To były czasy...

- Nieźle się wtedy bawiliśmy... - powiedziała, tłumiąc westchnienie. - Zresztą, nie tylko wtedy...

- Wiele razy. - Jake położył dłoń na jej karku. - Dlaczego nie wyrzucisz tego z siebie? Dlaczego tak trudno jest ci wydobyć z siebie cokolwiek poza gniewem?

- Nie wiem... Ona zupełnie się rozsypała, wiesz? Załamała się w gabinecie Lany. Trzymała mnie tak mocno, że ledwo mogłam oddychać. Nie wiem, co czułam wtedy i co czuję teraz. Nie potrafię tego zidentyfikować, ale zaczęłam się zastanawiać, jacy byliby moi rodzice i jaka ja bym była, gdyby nie doszło do tej tragedii... Gdyby Suzanne wtedy nie odwróciła się na parę sekund od wózka, gdybym wychowała się tutaj...

Kiedy zrobiła krok ku drzwiom, Jake zacieśnił uchwyt i zatrzymał ją.

- Mów dalej - powiedział. - Niech ci się wydaje, że mnie tu nie ma.

- Byłam marna z psychologii i to teraz widać - mruknęła. - Nie potrafię sobie tego wszystkiego wyobrazić, chociaż naprawdę się staram. Zaczęłam się zastanawiać, nic więcej. Co by było, gdybym dorastała jako Jessica? Jessica Lynn Cullen interesowałaby się modą i na pewno miałyby świetny gust. Pewnie by jeździła minivanem, może byłaby w ciąży z drugim dzieckiem. Miałyby dyplom jakiejś wyższej szkoły sztuk plastycznych i ze smakiem urządziłyby dom. Planowałyby podjęcie interesującej pracy, kiedy dzieci

trochę podrosną, ale na razie byłaby prezesem miejscowego stowarzyszenia sztuk pięknych i to by jej wystarczyło. Wtedy wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej...

- To znaczy jak?

- Jessie byłaby cheerleaderką, tego jestem pewna, szefową zespołu. Niewykluczone, że w ostatniej klasie kochałaby się w kapitanie drużyny piłkarskiej, oczywiście z wzajemnością, ale to uczucie nie przetrwałoby matury. Jessie wyszłaby za kolegę ze studiów, wybierając go spośród kilku innych. Nie ulega wątpliwości, że zawsze kręciłoby się koło niej kilku facetów, bo byłaby śliczna, zabawna, dowcipna i pełna energii. Jessie pracowałaby na pół etatu, na przykład sprzedając kosmetyki, żeby rodzinie lepiej się żyło. Miałaby jedno dziecko i dość energii, aby z łatwością poradzić sobie ze wszystkimi problemami.

- Czy Jessie byłaby szczęśliwa?

- Jasne, dlaczego nie? Tyle że żadna z tych kobiet nie kopałaby w ziemi przez pół dnia i nie miałaby zielonego pojęcia, jak zidentyfikować piszczel sprzed sześciu tysięcy lat. Żadna nie miałaby na lewym ramieniu blizny po upadku ze skały w Wyoming, w wieku dwudziestu lat. I dam głowę, że żadna nie wyszłaby za ciebie... Plus dla nich, nie sądzisz?

- Spojrzała na niego przez ramię. - Bałyby się takiego faceta. Biorąc pod uwagę wszystkie te powody, a także błąd, jakim było małżeństwo z tobą, cieszę się, że nie jestem żadną z tych kobiet. Myślałam o tym nawet wtedy, gdy Suzanne szlochala w moich ramionach. Cieszę się, że jestem sobą.

- Ja także się z tego cieszę.

- No, ale my nie należymy do szczególnie sympatycznych ludzi, prawda? Suzanne chce odzyskać jedną z tamtych kobiet - Jessicę albo Jessie. Więcej, pragnie mieć przy sobie malutką Jessicę. Wykorzystuję to, żeby zachęcić ją do poszukania odpowiedzi na część pytań, jakie sobie stawiam...

- Ona także potrzebuje tych odpowiedzi.

- Mam nadzieję, że zrozumie to, kiedy je zdobędziemy - powiedziała Callie.

Callie pracowała jak szalona, po dziesięć godzin dziennie w straszliwym upale, badając, omiatając z ziemi, wyszczególniając. Rozkopywała błoto, powstałe po gwałtownej burzy i prażyła się w promieniach słońca, które padały na Maryland z sierpniowego nieba. Nocami pisała raporty, opracowywała hipotezy, uważnie oglądała i szkicowała wydobyte z ziemi przedmioty, które następnie przesyłała do laboratorium w Baltimore. Miała własny pokój, z rozłożonym na podłodze śpiworem, biurkiem, które kupiła na pchlim targu, a na nim lampę z wizerunkiem Supermana, wyszperaną na jakiejś wyprzedaży,

laptop i górę notatek. O biurko oparta była wiolonczela. Krótko mówiąc, miała wszystko, co było jej potrzebne.

We wspólnym pokoju na parterze spędzała niewiele czasu, gdyż wydawał się jej zbyt przytulny. Ponieważ większość zespołu zwykle wybierała się na wieczór do miasteczka lub wracała do obozu, Rosie najczęściej zamykała się u siebie, zostawiając Callie sam na sam z Jakiem.

Wszystko to razem trochę za bardzo przypominało zabawę w dom, trochę za bardzo przywodziło na myśl czasy, kiedy podczas innych wykopalisk razem wynajmowali mieszkanie lub pokój w motelu.

Uczucia, jakie Callie żywiła do Jake'a, znajdowały się tuż pod powierzchnią jej skóry. Dopiero niedawno zdobyła się na odwagę, aby przyznać się wobec siebie, że nigdy nie przestała kochać Jacoba Graystone'a.

Jacob Graystone był miłością jej życia, niestety. Skurwiel. Od początku zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później los zetknie ich ze sobą na jakimś wykopalisku, myślała jednak, że będzie miała trochę więcej czasu, aby rozeznaczyć się w swoich uczuciach. I że potrafi sobie z nimi poradzić. No i że potrafi poradzić sobie z Jakiem.

Tymczasem on zjawił się jak gdyby nigdy nic, namieszał jak cholera i na koniec wystąpił z zupełnie zaskakującą propozycją - zaproponował jej przyjaźń.

Oczywiście, swoisty rodzaj przyjaźni, pomyślała, kreśląc zawile wzorki na kartce. Nigdy nie wiadomo, co robi - przytuli, pocałuje czy poklepie po głowie jak dziecko. Mimo wszystko ta ścieżka różniła się od tamtej, jaką przebyli wcześniej...

Może było tak dlatego, że jej życie naprawdę bardzo skomplikowało się od przyjazdu do Antietam Greek, lecz chwilami zastanawiała się, jak wyglądałby jej związek z Jakiem, gdyby już za pierwszym razem spróbowali pójść inną ścieżką. Co by było, gdyby dali sobie trochę więcej czasu, gdyby zostali przyjaciółmi, gdyby zaczęli rozmawiać o tym, kim są, zamiast zakładać, że wszystko wiedzą...

Jedna chwila może zmienić całe życie, teraz już o tym wiedziała. Więc jak ułożyłyby się ich sprawy, gdyby zamiast wdawać się w tamtą ostatnią kłótnię, w czasie której zarzucili sobie wszystko, od głupoty po zdradę, i wiele razy powtórzyli słowo „rozwód”, zdobyli się na cierpliwość i po prostu przestali na siebie krzyczyć?

Może gdyby przeszli przez to razem, podjęliby walkę o swoje małżeństwo... A może nie. Mogła się tylko zastanawiać i wyobrażać sobie, jak by to było, podobnie jak w chwilach, gdy usiłowała odtworzyć sceny z życia plemienia, które założyło osadę nad strumieniem. I jak wtedy, kiedy próbowała

wyobrazić sobie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby pozostała Jessica Lynn Cullen.

Jedno było pewne - gdyby oboje z Jakiem przetrwali tamte ciężkie chwile i nadal odgarniali kolejne warstwy powierzchownych uczuć, mieliby szansę znaleźć coś naprawdę ważnego.

Małżeństwo, rodzinę, partnerski związek i... Tak, może nawet przyjaźń, z której Jake tym razem chyba nie zamierzał zrezygnować.

Nie ufała mu, kiedy był jej mężem, teraz wreszcie mogła się do tego przyznać. Podejrzewała go o związki z innymi kobietami, oczywiście dlatego, że taką cieszył się opinią. Słyszała o „Jake'u Podrywaczu” na długo, zanim go poznała.

Nie miała mu za złe tej reputacji do czasu, kiedy się w nim zakochała. Wtedy się okazało, że nie może przestać o tym myśleć, nie potrafi uwolnić się od podejrzeń.

Nie wierzyła, że Jake ją kocha, w każdym razie nie tak mocno jak ona jego. I to doprowadzało ją do wściekłości.

Westchnęła ciężko. Chodziło jej o to, że jeżeli ona kocha go bardziej, to tym samym on ma nad nią większą kontrolę. Jej miłość dawała mu władzę. Więc co miała zrobić? Walczyła i walczyła, gotowa zrobić wszystko, aby dowiódł, że jednak ją kocha. I za każdym razem, gdy czuła się rozczarowana, walczyła z jeszcze większą furją.

Ale kto mógłby ją za to winić? Ten zamknięty w sobie skurwysyn nigdy jej nie powiedział, że ją kocha. Nigdy nie powiedział tego jasno, wyraźnie, dobitnie i po prostu. O, nie. Dzięki Bogu, że to wszystko jego вина...

Ponieważ ten wniosek znacznie poprawił jej humor, przepracowała jeszcze pół godziny, zanim żołądek przypomniał, że zawartość puszki, którą pochłonęła na kolację, już dawno uległa strawieniu.

Zerknęła na zegarek i na palcach zeszła na dół, żeby znaleźć coś do przegryzienia. Była północ. Zawsze musiała coś zjeść koło północy, jeżeli jeszcze nie spała.

Nie zapaliła światła. Księżyc zaglądał do kuchni przez okna, poza tym instynkt zwykle podpowiadał jej, gdzie szukać jedzenia. Na bosaka przemknęła do lodówki i położyła rękę na drzwiach. Wtedy rozbłysło światło.

Serce podskoczyło jej do gardła, krzyknęła cienko, w ostatniej chwili ubarwiając okrzyk przerażenia przekleństwem.

- Niech cię wszyscy diabli, Graystone! - Odwróciła się do niego twarzą.
- Co, do ciężkiej cholery?! Dlaczego się tu kręcisz?!
- A ty? Dlaczego skradasz się po ciemku?
- Wcale się nie skradam! - oburzyła się. - Chodzę na palcach, ponieważ

szanuję spokój innych. Szukam czegoś do jedzenia.

- No, tak... - Jake spojrzał na zegarek. - Dziesięć po dwunastej. Zawsze byłaś w szponach nałogu, Dunbrook.

- I co z tego? - Kątem oka zauważyła pudełko ciasteczek z czekoladą firmy Suzanne na blacie, wyminęła lodówkę i sprawnym ruchem rozerwała opakowanie.

- Hej, ja je kupiłem!

- Przyślij mi rachunek - wymamrotała z pełnymi ustami.

Otworzyła lodówkę i wyjęła dzbanek soku pomarańczowego. Jake zaczekał, aż napełni szklanę i popije pierwsze ciasteczko.

- Ohydne połączenie - powiedział. - Ciastka z czekoladą i sok pomarańczowy, pożałuj Boże... Dlaczego nie pijesz mleka?

- Nie lubię.

- Powinnaś polubić. Dawaj ciastka.

Callie zaborczym gestem przytuliła paczkę do piersi.

- Kupię następne pudełko - zaproponowała pojednawczo.

- Daj mi jedno ciasteczko, do diabła! - Jake wyrwał jej paczkę i wyłowił z niej ciastko, które natychmiast wetknął w zęby. Potem wyjął karton mleka i nalał małą szklanę.

Miał na sobie tylko czarne bokserki. Cóż, Callie nie widziała powodu, żeby narzekać. Nawet była żona ma chyba czasami prawo cieszyć się przyjemnym widokiem. Jake jest naprawdę niezłe zbudowany, pomyślała. Jednocześnie szczupły i umięśniony, z kilkoma interesującymi bliznami, które tylko dodawały mu uroku.

Wiedziała, że skóra na całym jego ciele ma ten sam, ciemnozłocisty kolor. Wszędzie.

Doskonale pamiętała czasy, kiedy nie zdołałaby opanować pragnienia, aby rzucić się na niego i zatopić zęby w najbliższym dostępnym miejscu. Potem kochaliby się na kuchennym stole lub na podłodze, albo, jeżeli przypadkiem obudziłby się w nich bardziej cywilizowany instynkt, zaciągnęliby się do łóżka...

Teraz chwyciła pudełko, zjadła następne ciastko i pogratulowała sobie niezwykłej samokontroli.

- Chodź tutaj i spójrz na to - powiedział, wychodząc z kuchni. - I weź ciasteczka.

Nie chciała z nim iść, być tuż obok niego o północy, kiedy był prawie nagi, a jego zapach dosłownie przyprawiał ją o zawrót głowy, postanowiła jednak zaufać swemu świeżo odkrytemu opanowaniu i weszła za nim do zaimprovizowanego gabinetu.

Nie postarał się o biurko, ale urządził miejsce do pracy z dużego kawałka grubej sklejki, opartego na dwóch pieńkach. Na ścianie powiesił tablicę, do której przypiął różne zdjęcia, szkice i mapy.

Wystarczyło jedno przelotne spojrzenie i już odczytała jego proces myślowy i sposób organizacji tych danych. W sprawach związanych z pracą znała jego umysł równie dobrze jak własny.

Jej uwagę przyciągnął jednak szkic na prowizorycznym stole, rysunek podparty pustą butelką po piwie i kawałkiem kwarcytu.

Jake uważnie przyjrzał się ich siatce, mapie, którą razem nakreślili, i za pomocą kredek i papieru ożywił odkrytą przez nich osadę.

Na rysunku nie było ani drogi, ani starej farmy. Pole było szersze, oba brzegi strumienia porośnięte drzewami, które rzucały gęste cienie na ziemię. Wzdłuż przypuszczalnej granicy cmentarzyska narysował niski kamienny mur. Dalej, w zachodniej części terenu, umieścił grupę chat, a w pobliżu krąg do ociosywania kamieni i leżące na ziemi narzędzia. Za chatami zieleniło się pole, może wschodzącym zbożem.

Jednak szkic wydawał się żywy dzięki wizerunkom ludzi. Mężczyźni, kobiety i dzieci zajmowali się codziennymi sprawami. Mała grupka myśliwych zagłębiała się między drzewa, na progu chaty siedział starzec, któremu młoda dziewczyna podawała płytką misę. Obok kobieta karmiła piersią niemowlę, a siedzący w kręgu mężczyźni ciosali kamienie na narzędzia do pracy oraz broń.

Kilkoro siedzących na uboczu dzieci bawiło się kamykami i patykami. Wyglądający na jakieś osiem lat chłopiec odrzucił głowę do tyłu, śmiejąc się głośno. Wszędzie panował ład i porządek.

Rysunek emanował poczuciem wspólnoty, plemiennej jedności. Był także odbiciem szacunku dla człowieka, humanitaryzmu, którego przejawy Jake potrafił dostrzec w złamanym ostrzu oszczepu i pękniętym glinianym dzbanku.

- Niezłe... - mruknęła, starannie maskując podziw.

Milczał. Kiedy bez słowa sięgnął po następne ciastko, poddała się.

- No, dobra, jest świetny - przyznała. - Jest w nim coś, co uświadamia nam, dlaczego wykonujemy swój zawód. Leo powinien przesłać go ewentualnym sponsorom razem z informacjami na temat wykopaliska. Z pewnością pomogłoby ich przekonać...

- A co mówi tobie?

- Że wtedy także żyliśmy. Dorastaliśmy, polowaliśmy, rodziliśmy dzieci i opiekowaliśmy się starszymi. Grzebaliśmy naszych zmarłych i pielęgnowaliśmy pamięć o nich. I chcieliśmy, żeby o nas także ktoś pamiętał...

Pogładził jej ramię palcem. - Właśnie dlatego jesteś lepszym

wykładowcą ode mnie - powiedział.

- Chciałabym umieć tak rysować.

- Całkiem nieźle sobie radzisz.

- Niby tak, ale w porównaniu z twoimi moje prace to zwykle śmieci. -

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. - Nie lubię być gorsza...

Kiedy dotknął jej włosów, odsunęła się, otworzyła szklane drzwi i wyszła na taras.

Księżyc posrebrzył liście drzew, strumyk bulgotał cicho, cykady grały rytmicznie. Powietrze było ciepłe, delikatne i nieruchome. Usłyszała, że wyszedł za nią i oparła dłonie na poręczy.

- Czy kiedyś... - zaczęła niepewnie. - Wyobraź sobie, że stoisz na rozkopanym terenie i jesteś tak skupiony, że masz wrażenie, iż jesteś zupełnie sam... Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Tak, wiem.

- No więc, czy... Czy kiedykolwiek czułeś ludzi, do których docieramy, odsuwając ziemię? Czy ich słyszałeś?

- Oczywiście.

Roześmiała się, strząsnęła włosy do tyłu.

- Oczywiście... - powtórzyła z uśmiechem. - Zawsze czuję się niezwykle uprzywilejowana, wyróżniona, kiedy odbieram takie wibracje, a potem, gdy to mija, wydaje mi się, że jestem idiotką. Ponieważ zimno mi się robi na samą myśl, że mogłabym wyjść na kretynkę, dlatego nigdy nikomu o tym nie wspominałam.

- Zawsze się bałaś, że zrobisz z siebie idiotkę.

- Bo mam dużo do stracenia - dobrą opinię nauczycieli, rodziców, kolegów po fachu... Niezależnie od tego, jak cię cenią, jeżeli jesteś kobietą, zawsze masz pod górkę, także i w archeologii. Jeśli kobieta zacznie głupio się zachowywać i opowiadać na prawo i lewo, że słyszy głosy zmarłych, faceci popukają się w czoło i machną na nią ręką.

- Niekoniecznie. - Znowu dotknął jej włosów. - Nigdy nie machnąłem na ciebie ręką.

- To dlatego, że chciałeś zaciągnąć mnie do łóżka.

- Chciałem, nie przeczę. - Musnął wargami jej kark. - Nadal chcę, ale prawie w równym stopniu fascynował mnie twój umysł. Zawsze szanowałem twoją pracę i inteligencję. Podobnie jak wszyscy...

Wiedziała o tym, ale mimo wszystko zrobiło jej się przyjemnie, bo nigdy dotąd jej tego nie powiedział.

- Może i tak, ale po co ryzykować? Lepiej być inteligentną, praktyczną, odpowiedzialną i całkowicie obliczalną.

- Nie lepiej, tylko bezpieczniej - mruknął.

- Wszystko jedno. Ty byłeś jedynym głupim wyskokiem, na jaki sobie pozwoliłam, i popatrz, co z tego wyszło...

- Na razie jeszcze nic nie wyszło. - Jednym długim, zaborczym ruchem przesunął dłonie wzdłuż jej ramion.

Wtulił twarz w jej włosy. Usłyszała, jak wciąga powietrze. Jak wciąga w nozdrza jej zapach...

Całe jej ciało czekało na więcej, na próbę szybkiego ujarzemia, na jego dotyk. Ze wszystkich sił walczyła z tym oczekiwaniem, z pożądaniem. Wiedziała, że byłby to błąd, jeszcze jeden błąd.

- Uwielbiam twoje włosy, zwłaszcza kiedy nosisz je rozpuszczone, jak teraz. Uwielbiam je dotykać i wachać, uwielbiam chować w nich twarz...

- Nie będzie powtórki tamtej nocy. - Zacisnęła dłonie na poręczy tak mocno, że aż pobiełały knykcie. - Ja zainicjowałam tamto i biorę za to pełną odpowiedzialność, ale nie dopuszczę, żeby się znowu zdarzyło...

- Nie zdarzy się. - Odgarnął jej włosy i powoli powędrował wargami od podstawy karku do ucha. - Tym razem będzie inaczej.

Gorący język pożądania przemknął po jej skórze. Wbiła palce w drewno, siłą się hamując, by nie odwrócić się i nie zarzucić mu ramion na szyję. Kolana jej drżały, a długi, płynny skurcz mięśni brzucha o mały włos nie wydobył jęku z jej gardła.

- Jak go zwał, tak go zwał... - mruknęła. - Niezależnie od filozofii, z punktu A zawsze dojdiesz do punktu B, prawda?

Roześmiał się cicho. Jego ciepły oddech owionął jej szyję.

- Tajemnica tkwi w metodzie - powiedział. - Myślałaś kiedyś o tym, jak łatwo przychodziło nam uprawianie seksu? Po prostu zapadaliśmy się w seks i w siebie nawzajem, mocno, szybko, gorąco... Wiesz, czego nigdy nie robiliśmy?

Patrzyła prosto przed siebie, dławiąc czający się w gardle jęk. Pomyślała, że powinna odwrócić się i odepchnąć go. I odejść. Ale wtedy nie czułaby jego dotyku... Boże, jak bardzo za nim tęskniła...

- Wydaje mi się, że niczego nie pominęliśmy.

- Ależ tak... - Otoczył ramionami jej talię.

Czekała w napięciu, aż jego dłonie sięgną wyżej, do piersi. Nie broniłaby się, nie próbowałaby go powstrzymać. Łaknęła tego pierwszego, brutalnego dotyku, chwili zaskoczenia, po której pojawiała się świadomość, że on weźmie ją, a ona jego. Zamarła w oczekiwaniu, lecz on tylko przyciągnął ją do siebie i zaczął pieścić wargami kark.

- Nigdy się nie uwodziliśmy - dokończył.

Czuła puls w kilkunastu różnych punktach ciała, które zmiękło pod jego dłońmi, jakby lada chwila miało się roztopić.

- Bo nie jesteście szczególnie romantyczni...

- I tu się mylisz. - Potarł policzkiem jej włosy. Miał ochotę bez końca delektować się ich miękkością i zapachem. Pragnął poczuć, bardziej niż kiedykolwiek, jak ona poddaje się i składa broń. - Popełniłem błąd, nigdy cię nie uwodząc.

- Nie musiałeś mnie uwodzić. Nie bawiliśmy się w takie drobiazgi.

- Sęk w tym, że w gruncie rzeczy tylko się bawiliśmy. - Musnął pocałunkiem jej ramię, przebiegł wargami po szyi i poczuł, jak wstrząsa nią dreszcz. - Może wreszcie podeszlibyśmy do tej sprawy poważnie?

- Znowu zranilibyśmy się nawzajem - powiedziała zachrypniętym od łez głosem, zaskakując i Jake'a, i siebie. - Nie mogłabym tego znieść...

- Callie...

Jej palce mocno zacisnęły się na jego dłoni.

- Ktoś tam jest... - wyszeptła.

Poczuła, jak mięśnie napięły się nagle i zeszywniały. Nadal dotykał wargami jej ucha, jakby wcale nie zamierzał przerwać pieszczoty.

- Gdzie?

- Na drugiej, jakieś pięć metrów z tyłu, między drzewami. Wydawało mi się, że to tylko cień, ale nie... Ktoś nas obserwuje.

Nie zadawał więcej pytań. Wiedział, że w ciemności widzi jak kot. Wciąż trzymając ją w ramionach, lekko przechylił głowę, aby wskazany przez nią punkt znalazł się w polu jego widzenia.

- Wścieknij się, odepchnij mnie i wejdź do środka - szepnął. - Zaraz przyjdę.

- Powiedziałam przecież, że nic z tego! Ani teraz, ani później! - Odepchnęła go na bok. W jej głosie brzmiał gniew, lecz oczy patrzyły w jego twarz spokojnie i uważnie. - Poszukaj sobie jakiejś studentki, jednej z tych, co cię uwielbiają! Bóg wie, że jest ich aż za dużo!

Odwróciła się na pięcie i weszła do pokoju.

- Ile jeszcze razy będziesz mi to wypominać?! - Jake wpadł do domu tuż za nią, z rozmachem zatrzaskując drzwi.

Popchnął ją lekko, żeby przeszła dalej, po drodze zgarnął z krzesła dzinsy.

- Sprawdź, czy wszystkie drzwi są zamknięte - polecił, gasząc światło w swoim gabinecie. - Potem idź na górę i zostań tam.

- Akurat, już lecę!

- Rób, co mówię! - Szybko wciągnął dzinsy, po omacku odnalazł buty. -

Wyjdę tylnymi drzwiami. Zamkniesz je za mną i sprawdzisz resztę, rozumiesz?

W mroku zobaczyła, jak jego ręka zaciska się na uchwycie baseballowego kija, opartego o ścianę w rogu pokoju.

- Co chcesz zrobić, na miłość boską?!

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedział cicho. - Kilka kilometrów stąd ktoś zamordował Dolana, dlatego nie zamierzam ryzykować. Pozamykaj te cholerne drzwi, dobrze? - Mimo ciemności poruszał się równie pewnie i szybko jak ona. - Jeżeli nie wrócę za dziesięć minut, wezwij policję.

Uchylił tylne drzwi, ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

- Zamknij! - powtórzył.

I zniknął. Callie przez pięć sekund rozważyła wszystkie możliwości, a potem pędem rzuciła się do łazienki i chwyciła puszkę sprayu owadobójczego. Równie dobra broń jak każda inna, pomyślała.

Nie minęła minuta od wyjścia Jake'a, kiedy Callie także wymknęła się na zewnątrz, tyle że frontowymi drzwiami. Biegła schylona, rozglądając się dookoła, czujnym spojrzeniem badając cienie i nasłuchując. Kiedy znalazła się między drzewami, zakłęła w myśli, wściekła na siebie, że nie wykazała się dalekowzrocznością Jake'a i nie włożyła butów.

Podłoże było tu skaliste, ale trudno, teraz nie mogła już zawrócić. Poruszała się wolniej, miała jednak nadzieję, że dobrze zapamiętała miejsce, gdzie zobaczyła tamten cień. Sądząc po kierunku, jaki obrał Jake, powinni zbliżyć się do intruza z dwóch stron. Osaczyć go, pomyślała. W tej samej chwili o mało nie syknęła z bólu, bo ostry kamyk wbił jej się w łuk stopy.

Nie miała wątpliwości, że to jeden z tych kretynów, Austin albo Jimmy, albo jakiś ich koleżka, inny amator wypisywania obelg na czymś samochodzie. Pewnie się zaczął, czekając, aż w domu pogasną wszystkie światła i właśnie przymierzał się, żeby pomalować sprayem inny samochód lub rzucić kamieniem w okno.

Przystanąła, nasłuchując uważnie. Usłyszała pohukiwanie sowy, ponury, niski okrzyk. Gdzieś w oddali pies zaniósł się histerycznym szczekaniem. Po prawej stronie bulgotał strumyk, niezmordowane cykady grały tak, jakby zależało od tego ich życie. W ciemności po lewej poruszył się duży, gęsty cień.

Callie usunęła się z pasma księżycowego blasku i ostrożnie zdjęła kciukiem przykrywkę z puszki. Wykonała półobrót, kiedy nagle za nią, właśnie z lewej, ktoś czy coś z łomotem poderwało się do biegu w kierunku domu. Już miała skoczyć do przodu i rzucić się w pogoń, gdy huknął wystrzał.

Wtedy wszystko ucichło - szczekanie, szmer odnóży owadów,

pohukiwanie sowy. W ciągu tych kilku sekund ciszy serce Callie nie uderzyło ani razu. Ożyło w panicznym skoku, wypełniając jej gardło i wyrывая się z piersi, kiedy głośno wykrzyknęła imię Jake'a. Poderwała się do biegu, przeskakując nad skałkami i wystającymi z ziemi korzeniami. Jej przerażenie i koncentracja uwagi do tego stopnia odcięły ją od świata, że ruch tuż za swoimi plecami usłyszała dopiero w chwili, gdy było już za późno.

Odwróciła się, chcąc się bronić i atakować równocześnie, lecz siła uderzenia pchnęła ją prosto na gruby pień drzewa. Poczowała ostry ból, usta wypełnił smak krwi. Potem runęła na ziemię, w morze ciemności.

Bardziej przestraszony krzykiem Callie niż odgłosem wystrzału, Jake natychmiast zawrócił. Pognął w kierunku głosu Callie, przemykając pod niskimi gałęziami i odpychając cierniste gałązki krzewów, rosnących w całym lesie.

Kiedy zobaczył ją, leżącą na ziemi, serce zamarło mu w piersi. Padł na kolana i drżącymi dłońmi poszukał tętna na szyi. - O, mój Boże, Callie...

Otoczył ją ramionami, oparł o swoje kolana. Odgarnął włosy z czoła. Na twarzy miała ślady krwi, która sączyła się z paskudnego zadrapania tuż pod linią włosów, ale tętno było równe i mocne, a jego zeszywniałe z przerażenia ręce nie znalazły żadnej innej kontuzji.

- Wszystko w porządku, kochanie... - mamrotał, tuląc ją do siebie, wciąż jeszcze oszołomiony wielkim lękiem. - Nic ci się nie stało... Ocknij się, no, proszę... Powinienem być sam cię ogłuszyć, do ciężkiej cholery...

Przycisnął wargi do jej ust i, już trochę spokojniejszy, podniósł się, dźwigając ją w ramionach. Kiedy niósł ją przez las do domu, jego stopa natrafiła na puszkę owadobójczego sprayu. Przystanął, spojrzął w dół, zorientował się, na co nadepnął, i zgrzytnął zębami. Gdy wchodził po schodach, zaczęła się ruszać. Zobaczył, że próbuje unieść powieki.

- Udawaj, że nie odzyskałaś przytomności, dopóki trochę się nie uspokoję, Dunbrook - poradził.

Słyszała jego głos, lecz słowa ginęły w gęstej mgłę, spowijającej mózg. Poruszyła głową i natychmiast jęknęła, kiedy ból przeniknął ją od czoła do stóp.

- Boli... - wymamrotała.

- Jasne, że boli.

Musiał oprzeć ją sobie na kolanie, żeby otworzyć drzwi. Ponieważ przerażenie powoli ustępowało miejsca wściekłości, nie było w nim nawet odrobiny współczucia, gdy jęknęła przy zmianie pozycji.

- Co się stało?

- Dedukuję, że grzmotnęłaś głową w drzewo. Nie wątpię, że drzewo

wyszło na tym znacznie gorzej.

- Auuu... - Podniosła rękę, delikatnie dotknęła najboleśniejszego miejsca i kiedy zobaczyła, że czubki palców pokryte są ciemnoczerwoną wilgocią znowu zamknęła oczy.

- Tylko mi tu znowu nie mdlej! - Jake wniósł ją do kuchni i posadził na blacie. - Nie rób tego! Siedź spokojnie i głęboko oddychaj. Zaraz poszukam czegoś do opatrzenia tej twojej granitowej czaszki...

Oparła głowę o szafkę, podczas gdy on otworzył drugą tę, w której mieli przechowywać środki pierwszej pomocy.

- Nie grzmotnęłam w drzewo. - Nie podnosiła powiek, starając się zignorować potworne pulsowanie w głowie. - Ktoś zaszedł mnie od tyłu i pchnął mnie na pień po tym, jak... - Przerwała i wyprostowała się nagle. - Wystrzał! O, mój Boże, Jake! Jesteś ranny? Czy jesteś...

- Nie! - Unieruchomił jej ręce, zanim zdążyła zeskoczyć z blatu. - Spokojnie... Wyglądam na rannego?

- Słyszałam wystrzał.

- Ja też. Kula trafiła w pień drzewa mniej więcej dwa metry ode mnie. - Odkręcił kran i zmoczył kawałek płótna. - Nie ruszaj się.

- Ktoś do ciebie strzelał.

- Nie sędzę... - mruknął. Paskudne zadrapanie, pomyślał, obmywając je delikatniej, niż na to zasługiwała. - Myślę, że ktoś mierzył w drzewo, chyba że był ślepy jak kret i w dodatku nie miał zielonego pojęcia, jak obchodzić się z bronią. Stał najwyżej trzy metry ode mnie.

Callie wbiła palce w jego ramię.

- Ktoś do ciebie strzelał - powtórzyła.

- Powiedzmy. Mówiłem ci, żebyś zamknęła drzwi i została w domu, prawda?

- Nie jesteś moim szefem. Jesteś ranny?

- Nie, nie jestem ranny. Teraz uważaj - kiedy przemyję ci to zadrapanie środkiem dezynfekującym, na pewno zaboli. Gotowa?

Kilka razy odetchnęła głęboko i kiwnęła głową. Zapiękło tak, że łzy popłynęły jej z oczu.

- Och, och, o, cholera, cholera, kurwa mać!

- Prawie skończyłem. Klnij dalej.

Uśluchała go i przestała dopiero wtedy, kiedy podmuchał na ranę, by złagodzić pieczenie.

- W porządku, najgorsze już za nami. Teraz popatrz na mnie. Dobrze widzisz?

- Dobrze - mruknęła. - Daj mi proszek przeciwbólowy.

- Jeszcze nie teraz, najpierw musimy sprawdzić, czy rzeczywiście nic ci nie jest. Kręci ci się w głowie?

- Nie.

- Masz mdłości?

- Tylko kiedy przypomnę sobie, że pozwoliłam temu skurwysynowi się zaskoczyć. Nic mi nie dolega, jedynie potwornie boli mnie głowa. - Wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego policzka. - Masz trochę podrapaną twarz...

- Kolce - wyjaśnił krótko.

- Może przemyłbyś sobie zadrapania tym niezwykle przyjemnym środkiem antyseptycznym, co?

- Chyba niekoniecznie. - Na wszelki wypadek odstawił buteleczkę do szafy. - To nie mógł być tylko jeden napastnik. Ktoś ogłuszył cię w odległości dobrych dwudziestu metrów od miejsca, z którego padł strzał.

- Poza tym on zaszedł mnie od tyłu. - Callie ostrożnie pokiwała głową. - Usłyszałam wystrzał i pobiegłam w tamtym kierunku.

- Wrzasnąłś.

- Nieprawda. Zawołałam cię, ponieważ pomyślałam, że mógł cię zranić, to chyba rozumiałaś.

- Zawołałaś mnie, w porządku - zgodził się, stając między jej nogami. - Zawsze to lubiłem...

Kąciki ust zadrgały jej lekko.

- Zaczęłam biec, ale nie dobiegłam daleko. Wydaje mi się, że między strzałem a ciosem upłynęło najwyżej piętnaście sekund. Masz rację, musiało ich być co najmniej dwóch. Może to nasi dobrzy znajomi, Austin oraz Jimmy...

- Jeżeli tak, to tym razem im nie darujemy.

- Mam ochotę skopać im tyłek - warknęła.

Bardzo delikatnie dotknął wargami nieuszkodzonej skóry obok rany na jej czole.

- Musisz poczekać w kolejce - odparł.

- Chyba powinniśmy zadzwonić na policję.

- Na to wygląda...

Żadne z nich nawet nie drgnęło. Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Przestraszyłam się - odezwała się Callie.

- Ja też.

Objęła go. To śmieszne, pomyślała, że cała drzę w środku... Przecież trzymam się go, opieram się na nim...

- Nikt nie ma prawa do ciebie strzelać - wymamrotała. - Tylko ja.

- Słusznie. I nikt nie powinien wątpić, że tylko ja mam prawo cię

ogłuszyć.

O, tak, pomyślała, przyciskając policzek do jego policzka. Jake był irytującym skurwysynem, ale był też miłością jej życia. Co za pech...

- Cieszę się, że zdołaliśmy to uzgodnić - powiedziała. - A teraz zadzwonimy do szeryfa.

- Za chwilę...

- O czym to rozmawialiśmy, kiedy ci dranie tak nieuprzejmie nam przerwali? - zapytała. - Chyba o tym, że nigdy nie uwodziliśmy się nawzajem, prawda? O tym, że nigdy mnie nie uwodziłeś, a ja nie uwodziłam ciebie...

- Uwiodłaś mnie w chwili, gdy na ciebie spojrzałem. Zaśmiała się niepewnie, zaskoczona tym, co powiedział, prawie tak samo jak wszystkim, co wydarzyło się tej nocy.

- Co ty mówisz...

- Problem polegał na tym, że nie chciałaś w to uwierzyć. - Cofnął się i musnął wargami najpierw jeden jej policzek, potem drugi, tak czule i delikatnie, że zmierzyła go na wpół niedowierzającym, na wpół podejrzliwym spojrzeniem. - Nigdy nie umiałem odgadnąć, dlaczego... Zadzwonię do szeryfa i zaraz dam ci coś na ból głowy.

- Sama sobie wezmę...

Już miała zeskoczyć na podłogę, kiedy mocno chwycił ją za ramię. Na jego twarzy malowało się uczucie dziwnej irytacji.

- Dlaczego nie możesz pozwolić, żebym się tobą zajął? Nawet teraz, kiedy źle się czujesz...

Zaskoczona, wskazała ręką szafkę.

- Przecież leki są tutaj, tuż obok...

- W porządku, niech ci będzie - rzucił. - Weź sobie sama. Miała ochotę zlekceważyć jego reakcję, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. Nie знаła kroków tego nowego tańca, którego dopiero zaczęli się uczyć, ale postanowiła, że postara się przynajmniej wyczuć rytm.

- Może jednak mógłbyś mi pomóc stąd zejść, co? - zaproponowała. - Jeżeli zeskoczę, to z pewnością głowa mi odpadnie, poza tym trochę poobijałam sobie nogi...

Odwrócił się bez słowa, zaklął pod nosem, objął ją w pasie i ostrożnie postawił na podłodze. Zrobił to bardzo delikatnie, zauważyła. Kilka razy w ciągu tej nocy dowiódł, że potrafi być bardzo delikatny. Ciekawe, pomyślała. Wcześniej nigdy się tak nie starał...

Twarz miał podrapaną, włosy w nieładzie, w oczach niepokój. Serce Callie zmiażdżyło na ten widok.

- Przyniosłeś mnie tutaj, prawda?

- Jakoś nie pomyślałem, żeby zostawić cię samą w lesie. - Ponad jej głową sięgnął do szafki i wyjął opakowanie pastylek przeciwbólowych. - Proszę...

- Dziękuję... Chyba muszę usiąść...

Usiadła na podłodze, częściowo dlatego, że rzeczywiście poczuła się słabo, lecz głównie po to, aby sprawdzić, jak Jake zareaguje.

Zareagował jak należy - zanim zdążył przybrać obojętny wyraz twarzy, dostrzegła w niej lęk, chyba o nią... Nappełnił szklanek wodą z kranu i przykucnął, żeby jej podać.

- Kręci ci się w głowie? - zapytał.

- Nie, tylko boli jak wszyscy diabli. Posiedzę tutaj, wezmę proszek i zaczekam na gliniarzy.

- Zadzwoń i przyłóż ci lód - powiedział. - Zobaczymy, może przestanie tak boleć...

- Dobrze.

Kiedy poszedł do telefonu, z namysłem wyjęła dwie tabletki z opakowania. Nie była pewna, jak traktować ten nowy aspekt osobowości Jacoba Graystone'a, lecz czuła, że dzieje się coś niezwykle interesującego.

Callie przespała najwyżej trzy godziny i nie miała siły, żeby pojechać na wykopalisko. Pulsujący tęnym bólem guz na czole nie zachęcał także do zajęcia się robotą papierkową.

Drzemanie w ciągu dnia było umiejętnością, której nigdy nie opanowała. Podobnie rzecz się miała ze sztuką odpoczynku - z tym również słabo sobie radziła.

Przez dwadzieścia minut eksperymentowała z różnymi sposobami zamaskowania zadrapań i guza. Z rozpuszczonymi włosami wyglądała jak tania wersja Veroniki Lake, z bandaną na czole sprawiała wrażenie ni to hipiski, ni to pirata.

Żaden z tych efektów nie był tym, o co jej chodziło.

Wiedząc, że wkrótce gorzko tego pożałuje, skróciła kilka pasm włosów z przodu, tworząc coś w rodzaju cieniowanej grzywki. Czuła, że te kosmyki doprowadzą ją do szału, kiedy trochę odrosną, ale na razie wychodziły naprzeciw podstawowym wymogom próżności. Włożyła ciemne okulary i czapkę i uznała, że prawie zasłoniła zdartą skórę i siniejącego guza.

Zamierzała pojechać do miasteczka i nie życzyła sobie, żeby jej obrażenia znalazły się w centrum uwagi. Do tej pory odkładała wizytę w antykwariacie, lecz teraz uznała, że nadszedł czas, aby spełnić prośbę Douga, poza tym była zwyczajnie ciekawa, jaki jest najstarszy przedstawiciel klanu.

Co mam powiedzieć temu staruszkowi, pomyślała, rozglądając się za miejscem parkingowym na Main Street. Hej, dziadku, jak leci?

Odkąd przyjechała do Woodsboro, jej życie stało się trochę nazbyt interesujące. Tajemnice rodzinne, wulgarne graffiti na samochodzie (właśnie dlatego pożyczyła dzisiaj wielkiego dzipa Rosie), morderstwo, strzały, atmosfera zagrożenia... Szczerze mówiąc, miała tego wszystkiego dosyć.

W dodatku musiała teraz szukać miejsca dla niewygodnego samochodu, na wąskiej uliczce, która nagle okazała się zatłoczona, zupełnie nie wiadomo dlaczego, chyba żeby zrobić jej na złość...

Czy może być jeszcze gorzej? Raczej nie.

Z trudem wtoczyła dzipa w wąskie miejsce między półciągarówką i dużym wozem, klnąc pod nosem i życząc władzom miasteczka wszystkiego co najgorsze za to, że krawężniki były tak wysokie.

Wysiadła i od razu zauważyła, że teraz, kiedy już zaparkowała, ruch na ulicy znowu zmalął do trzech samochodów na minutę. Jasne, jakżeby inaczej...

Dobrze chociaż, że to wewnętrzne zrządzenie pozwoliło jej opanować zdenerwowanie.

Kiedy weszła do antykwariatu, przy kontuarze stała jakaś kobieta, pogrążona w rozmowie z mężczyzną z grzywą szpakowatych włosów, w białej koszuli z pliskami zaprasowanymi w tak ostre krawędzie, że chyba można byłoby kroić nimi chleb. Callie zauważyła wyraz zaskoczenia, który przemknął przez jego twarz, usłyszała, jak przerwał w pół słowa, zupełnie jakby otrzymał cios w krtań.

Kobieta odwróciła się, spojrzała na Callie i zmarszczyła brwi.

- Dobrze się pan czuje, panie Grogan? - zapytała niespokojnie.

- Tak, tak, wszystko w porządku. Przepraszam cię, Terri, trochę się zamyśliłem. Zaraz do pani podejść - powiedział do Callie.

- Proszę się nie śpieszyć, rozejrzę się wśród półek.

Zaczęła odczytywać tytuły książek, odnajdując te, które czytała, inne, które chciałaby przeczytać, a także takie, których nikt chyba nie czytał, jednocześnie słuchając toczącej się przy ladzie rozmowy.

- Bardzo ciekawe, Terri. Przecież wiesz, że Doug albo ja przyjechalibyśmy do ciebie, aby je wycenić...

- Pomyślałam sobie, że przyniosę je tutaj, żeby mógł pan przedstawić ofertę. Ciotka Francie kochała książki, ale teraz, po jej śmierci, po prostu nie mam gdzie wszystkich pomieścić. A jeżeli są coś warte, pieniądze bardzo mi się przydadzą. - Kobieta znowu spojrzała przez ramię w kierunku Callie. - Pete akurat nie pracuje, więc sam pan rozumie... Ta w skórzanej okładce jest chyba dość cenna, prawda?

- Oprawiony w skórę jest tylko grzbiet i część okładki - wyjaśnił Roger, starając się nie śledzić każdego kroku Callie. - Reszta to płótno...

- Ach, tak, widzę... - Terri nie kryła rozczarowania. Roger lekko poklepał jej dłoń.

- Masz tu kilka bardzo interesujących książek - powiedział pocieszająco.

- Francie umiała dbać o swoją bibliotekę. Ten egzemplarz Gron gniewu to pierwsze wydanie...

- Okładka jest podarta... Wydawało mi się, że nie da się tego sprzedać.

- Obwoluta trochę ucierpiała, ale sama książka jest w doskonałym stanie. Zostaw je u mnie na parę dni, a postaram się je wycenić i dam ci znać, za ile mniej więcej pójdą.

- Dobrze, będę bardzo wdzięczna. - Terri uśmiechnęła się, wyraźnie podniesiona na duchu. - Im szybciej pan zadzwoni, tym lepiej. I proszę powiedzieć Dougowi, że moja Nadane pytała o niego...

- Powtórzę mu.

- Miło, że znowu jest w Woodsboro. Może tym razem zostanie.

- Może... - Roger wyszedł zza kontuaru, aby odprowadzić klientkę do drzwi, lecz Terri ruszyła w kierunku Callie.

- Pani pracuje z tymi archeologami, tak? - zagadnęła. Callie odwróciła się twarzą do niej.

- Tak - odparła.

- Wydawało mi się, że gdzieś już panią widziałam...

- Kręcę się tu od kilku tygodni.

Terri utkwiała wzrok w śliwkowej opuchliźnie, częściowo ukrytej pod pasmami włosów, lecz nie bardzo wiedziała, jak w uprzejmy sposób zapytać, co się stało.

- To mój szwagier wykopał czaszkę, od której to wszystko się zaczęło - oświadczyła w końcu.

- Naprawdę? Musiał przeżyć prawdziwy wstrząs.

- Kosztowało go to całkiem niezłą pracę. Mojego męża również.

- Tak, to trudna sytuacja - mruknęła Callie. - Przykro mi...

Terri znowu ściągnęła brwi, czekając na coś więcej. Wreszcie, po przedłużającej się chwili milczenia, przestąpiła z nogi na nogę.

- Część tutejszych uważa, że Antietam Creek jest przeklęte, bo zakłócać spokój zmarłych - powiedziała.

- Niektórzy ludzie oglądają chyba za dużo starych horrorów.

Kąciki warg Terri zadrgały leciutko, w jej oczach pojawił się cień uśmiechu.

- Tak czy inaczej, Ron Dolan nie żyje. Straszna historia...

- Naprawdę straszna - rzekła Callie. - Wszyscy jesteśmy poruszeni. Nigdy dotąd nie znałam nikogo, kto padłby ofiarą morderstwa, a pani?

Głos Callie brzmiał współczuciem i jakąś jeszcze nutą, świadczącą o pewnej otwartości na plotkę. Terri wyraźnie się rozluźniła.

- Ja też nie, chociaż mój wnuk chodzi do przedszkola z synkiem tej Lany Campbell, a jego ojciec został zastrzelony przez bandziorów, którzy napadli na sklep w Baltimore. Biedny mały... Gdy się słyszy o czymś takim, człowiek mimo woli zaczyna się zastanawiać, jak powinien żyć. Nikt nie wie, kiedy pożegna się z tym światem...

Callie drgnęła, zaskoczona. Rozmawiała z Laną Campbell o swoich osobistych sprawach, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób tamta owdowiała.

- Tak, nikt tego nie wie. - Pokiwała głową.

- No, muszę już lecieć. Może któregoś dnia przyprowadzę naszego Pete'a, żeby obejrzał to miejsce, które rozkopujecie. Niektóre dzieci już tam były.

- Zapraszam. - Callie się uśmiechnęła. - Z przyjemnością pokazemy pani teren wykopaliskowy i wyjaśnimy, co i jak robimy...

- Pani twarz wydaje mi się znajoma... - powtórzyła Terri. - Nieważne... Miło mi się z panią rozmawiało. Do widzenia, panie Grogan. Będę czekać na telefon. Roger zaczekał, aż drzwi zamknęły się za Terri.

- Świetnie sobie z nią poradziłaś - powiedział.

- Utrzymywanie przyjacielskich stosunków z miejscowymi to część naszej pracy... Przyniosła coś ciekawego? - Callie wskazała tekturowe pudełko i rozłożone na ladzie książki.

- Cena Steinbecka powinna ją ucieszyć. Sprzedaż pozostałych trochę potrwa, ale też nie wyjdzie na tym najgorzej. Wywieszę tabliczkę „Zamknięte”, jeżeli nie masz nic przeciwko temu...

- Jasne...

Roger podszedł do drzwi, przekreślił zasuwkę i odwrócił wiszącą na szybie tabliczkę.

- Doug prosił, żebym wpadła - zaczęła Callie. - Byłam bardzo zajęta, dlatego przyjechałam dopiero dzisiaj...

- To niewygodna sytuacja, prawda? - Roger zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Tak, chyba tak...

- Napiłabyś się kawy? W pokoju za sklepem mam ekspres...

- Bardzo chętnie, dziękuję.

Nie dotknął jej, nie próbował nawet ująć jej dłoni. Nie wpatrywał się w nią jak zaczarowany i nie jąkał się. Jego spokój sprawił, że Callie szybko

odzyskała równowagę. Z zaciekawieniem rozejrzała się po małym pokoiku.

- Miłe miejsce - zauważyła. - Wygodne. Zawsze myślałam, że bibliofile to sztywni fanatycy, którzy przechowują książki zamknięte za szkłem.

- A ja wyobrażałem sobie, że archeolodzy to rośli, dobrze zbudowani młodzi mężczyźni, którzy noszą korkowe hełmy i badają piramidy.

- Kto powiedział, że nie mam korkowego hełmu? Roześmiał się.

- Już dawno chciałem wybrać się do Antietam Creek i zobaczyć, jak pracujecie, poznać ciebie, ale nie chciałem cię niepokoić. Wiem, że jest ci ciężko, masz mnóstwo spraw na głowie, więc doszedłem do wniosku, że nieznany dziadek może poczekać...

- Doug powiedział, że cię polubię i chyba miał rację. Roger napełnił kubki kawą i postawił je na malutkim stoliku.

- Mleko, cukier?

- Po co psuć smak kawy? - odpowiedziała pytaniem.

- Co z twoim czołem? Szarpnęła świeżą grzywkę.

- Najwyraźniej niepotrzebnie je przycięłam, bo i tak wszystko widać...

Zaczęła opowiadać, próbując przedstawić całe wydarzenie w lekki, zabawny sposób, lecz już po chwili z zaskoczeniem zorientowała się, że jego spojrzenie zmusza ją do absolutnej szczerości.

- Mój Boże, to czyste szaleństwo! - powiedział, kiedy skończyła. - Co na to szeryf?

- Hewitt? - Wzruszyła ramionami. - Mówi to samo, co zawsze powtarzają gliniarze. Zbada sprawę, wszystkim się zajmie... Obiecał, że porozmawia z dwoma facetami, którzy zaczepili mnie i Jake'a zaraz po przyjeździe, a potem zamalowali mój samochód obrzydliwymi hasłami, artystycznie wykonanymi czerwoną farbą w sprayu...

- Co to za jedni?

- Austin i Jimmy, kompletni kretyni. Jeden wielki, drugi mały. Laurel i Hardy w małomiasteczkowej wersji.

- Austin Seldon i Jimmy Dukes? - Roger potrząsnął głową i poprawił zjeżdżające z czubka nosa okulary. - Nie, nie mogę sobie tego wyobrazić. Austin i Jimmy rzeczywiście nie grzeszą inteligencją, ale żaden z nich nie zdobyłby się na to, żeby do kogoś strzelić. Znam ich od dziecka.

- Chcą, żebyśmy przerwali prace - wyjaśniła Callie. - Zresztą nie oni jedni.

- Budowa osiedla chyba nie jest już kwestią sporną. Wczoraj wieczorem dzwoniła do mnie Kathy Dolan, wdowa po Ronie. Chce sprzedać ziemię Towarzystwu Ochrony Przyrody. Oczywiście, upłynie trochę czasu, zanim zbierzemy odpowiednią sumę, ale zbierzemy ją. W Antietam Creek nie stanie

żadne osiedle.

- Nie przysporzy to wam popularności...

- Nie wątpię, że niektórzy będą patrzeć na nas krzywym okiem. - Uśmiech Rogera był bardzo spokojny i pociągający. - Ale inni nie...

- Na pewno wdaję się w zupełnie nieuzasadnione przypuszczenia, lecz czy ktoś mógł zabić Dolana po to, aby skłonić jego żonę do sprzedaży działki?

- Tego także nie potrafię i nawet nie chcę sobie wyobrazić. Znam to miasteczko, znam tutejszych ludzi. Nie załatwiamy tu w ten sposób żadnych spraw, to naprawdę niewyobrażalne.

Podniósł się, aby przykryć dzbanek z kawą. W sklepie rozdzwonił się telefon, ale wydawało się, że Roger tego nie słyszy.

- Wiele osób miało tu bardzo pochlebną opinię o Ronię, dam sobie jednak rękę uciąć, że nie brakowało i takich, którzy nie myśleli o nim zbyt dobrze - rzekł. - Tak czy inaczej, jestem przekonany, że nikt nie posunąłby się do tego, aby rozbić mu głowę i wrzucić ciało do Oczka Simona.

- To samo mogę powiedzieć o swoim zespole. Niektórych z nich nie znam tak dobrze jak pan swoich sąsiadów, ale archeolodzy nie mają zwyczaju mordować ludzi z powodu nieporozumień o teren.

- Kochasz swoją pracę.

- Tak, we wszystkich jej aspektach i wymiarach. - Callie się uśmiechnęła.

- Kiedy kochasz to, co robisz, każdy dzień staje się przygodą.

- I niektóre okazują się bardziej przygodowe od innych. Powinnam już wracać do Antietam Creek - powiedziała, chociaż w gruncie rzeczy wcale nie chciało jej się żegnać z Rogerem. - Mogę zadać panu pytanie? Zupełnie osobiste?

- Oczywiście.

- Co wydarzyło się między Suzanne i Jayem? Roger westchnął głęboko.

- Wydaje mi się, że w życiu nazbyt często tragedia goni tragedię - zaczął. - Kiedy zniknęłaś, wszyscy straciliśmy głowę, byliśmy po prostu nieprzytomni z rozpacz. I przerażeni, tak, przerażeni w sposób, którego nawet nie umiem opisać... - Zdjął okulary, jakby nagle stały się za ciężkie, powoli potarł dłonią czoło. - Przez wiele tygodni myśleliśmy tylko o tobie, modliliśmy się o twoje odnalezienie, o ratunek... Bez przerwy dręczyły nas pytania - kto mógł zabrać rodzicom niewinne dziecko, co z tobą zrobił, jak to się mogło stać... Policjanci i agenci FBI wpadali na różne tropy, ale żaden z nich nie doprowadził do rozwiązania tej strasznej zagadki. - Roger przerwał na chwilę i splótł oparte na stole dłonie. - Byliśmy przeciętnymi ludźmi, prowadziliśmy zwyczajne życie...

Sądziliśmy, że tego rodzaju rzeczy nie przytrafiają się takim jak my, ale cóż... Przytrafiło się i zupełnie nas to odmieniło. Odmieniło przede wszystkim Suzanne i Jay a.

- W jaki sposób? Naturalnie, nie chodzi mi o sprawy oczywiste...

- Odnalezienie ciebie stało się podstawowym, najważniejszym celem życia Suzanne. Wszystko inne straciło dla niej znaczenie. Nie dawała spokoju policji, udzielała wywiadów stacjom telewizyjnym, gazetom, magazynom. Zawsze była pogodną, zadowoloną z życia dziewczyną, nie tryskającą szczęściem, ale spokojną i pewną, że miejsce i rola, które sobie wybrała, przyniosą jej satysfakcję. Nie miała niezwykłych, wybujałych ambicji. Chciała poślubić Jaya, urodzić dzieci, mieć dom... Tak, właściwie tylko tego pragnęła.

- Przeciętne ambicje stanowią fundament społeczeństwa - odezwała się Callie. - Bez domu, bez rodziny zaczyna nam brakować struktury, na której można budować bardziej skomplikowane sfery życia.

- Ciekawe ujęcie problemu... Można powiedzieć, że założenie rodziny było celem ich obojga. Jay to dobry człowiek, solidny, odpowiedzialny. Świetny nauczyciel, który stara się rozwijać swoje umiejętności i dba o studentów. Zakochał się w Suzanne, kiedy oboje mieli mniej więcej po sześć lat...

- Niesamowite... - mruknęła Callie. - Nie wiedziałam, że razem dorastali.

- Suze i Jay... Ludzie wypowiadali ich imiona tak, jakby były jednym. - Roger ściągnął brwi, jak zwykle z bólem uświadamiając sobie, że już nie są jednym. - Żadne z nich nie miało innych poważnych sympatii. Jay był spokojnym domatorem, chyba w jeszcze większym stopniu niż Suzanne. Tak więc pobrali się, potem urodził się Doug, Jay uczył, Suzanne prowadziła dom. Trzy lata po Dougu urodziła im się córka. Obraz idealnej rodziny, prawda? Młodzi, zakochani w sobie rodzice, dwoje dzieci, przytulny mały domek w rodzinnym miasteczku...

- I nagle cały ten idylliczny świat zwałił im się na głowy - szepnęła Callie. - Tak.

Roger nigdy nie zapomniał głosu Suzanne, kiedy zadzwoniła do niego tamtego dnia. Tato, tato, ktoś porwał Jessie. Ktoś porwał moje maleństwo...

- Szok i cierpienie zniszczyły jakąś część jej osobowości, zerwały też część łączącej ich więzi. Nie wiedzieli, jak to naprawić. Och, oczywiście, wcześniej, kiedy jeszcze nie byli małżeństwem, co jakiś czas się kłócili... - Roger znowu włożył okulary. - Pamiętam, jak Suzanne czasami wpadała do domu po randce, zarzekając się, że nigdy więcej nie odezwie się do Jaya Cullena. Następnego dnia Jay pukał do drzwi z tym swoim nieśmiałym

uśmiechem i po chwili wszystko było już w porządku...

- Ale to nie była zwyczajna kłótnia, tak?

- Tak, tym razem chodziło o coś zupełnie innego. Sytuacja ich przerosła, oboje przeszli transformację. Jay zamknął się w sobie, Suzanne z dnia na dzień stała się aktywistką, kobietą z misją. Kiedy nie prowadziła poszukiwań, nie uczestniczyła w spotkaniach grup wsparcia lub nie doradzała innym, była w głębokiej depresji. Jay nie potrafił dotrzymać jej kroku, bo narzuciła zbyt wielkie tempo. Nie umiał jej wesprzeć, w każdym razie nie tak, jak tego potrzebowała.

- Musiało to być bardzo trudne, szczególnie dla Douga.

- Masz rację. Doug znalazł się między nimi, a to była fatalna pozycja. Czasami udawało im się stworzyć iluzję normalnego życia, ale złudzenie nigdy nie trwało długo, chociaż bardzo się starali.

Roger dotknął jej wreszcie, nie zdołał się powstrzymać. Delikatnie pogłaskał palcami wierzch jej dłoni.

- Oboje są uczciwymi, dobrymi ludźmi, którzy uwielbiali i nadal uwielbiają swojego syna - powiedział.

- Tak, rozumiem. - Ponieważ rzeczywiście rozumiała, co chciał jej przekazać, odwróciła dłoń i zamknęła w niej palce Rogera. - Sęk w tym, że nie byli w stanie odbudować życia, którego jeden element przestał istnieć...

- Trafiaś w sedno. - Westchnął. - Co jakiś czas Suzanne wpadała na kolejny trop, ktoś podsuwał jej raport o innym zaginionym dziecku i wszystko zaczynało się od nowa. Ostatnie dwa lata przeżyli jak obcy sobie ludzie, podtrzymując małżeństwo wyłącznie ze względu na Douga. Nie wiem, co sprawiło, że przekroczyli tę granicę i wystąpili o rozwód. Nigdy nie pytałem.

- On ją nadal kocha. Roger lekko wyduł wargi.

- Wiem - rzekł. - Ale skąd ty to wiesz?

- Zwróciłam uwagę na coś, co powiedział, kiedy wyszła z pokoju, może raczej na ton jego głosu... Bardzo im współczuję, panie Grogan, lecz zupełnie nie wiem, co mogłabym zrobić...

- Nikt nie może im pomóc, nawet ty. Mój Boże, nie znam ludzi, którzy cię wychowali, ale nie ulega wątpliwości, że także są uczciwi i dobrzy...

- Tacy właśnie są - przytaknęła.

- Jestem im wdzięczny za wszystko, co ci dali. - Roger odchrząknął. - Muszę jednak powiedzieć, że dostałaś coś także od Suzanne i Jaya... Jeżeli możesz zaakceptować i właściwie ocenić ich dar, to chyba dosyć...

Callie spojrzała na ich splecione palce.

- Cieszę się, że tu dzisiaj przyszłam.

- Mam nadzieję, że jeszcze wrócisz. Zastanawiam się...

Może oboje czulibyśmy się trochę swobodniej, gdybyś zwracała się do mnie po imieniu, co ty na to?

- Dobrze. - Podniosła się z krzesła. - Dobrze, Rogerze. Hmm... Czy musisz otworzyć teraz sklep?

- Jedną z pozytywnych stron prowadzenia własnej firmy jest możliwość wyboru. Nie, nie muszę otwierać.

- Skoro tak, to może pojechałbyś ze mną na wykopalisko? Oprowdzę cię.

- To najlepsza propozycja, jaką ostatnio otrzymałem.

- Cześć, Callie! - Ledwo zatrzymała samochód, a już podbiegł do niej Bili McDowell, pośpiesznie przeczesując palcami potargane włosy. - Gdzie byłaś?

- Miałam parę spraw do załatwienia. - Callie zatrzasnęła drzwiczki. - Roger Grogan, Bili McDowell... - dokonała prezentacji. - Bili jest studentem ostatniego roku archeologii i pracuje z nami.

- Dzień dobry... - wymamrotał Bili, znowu skupiając całą uwagę na Callie. - Miałem nadzieję, że trochę dziś z tobą popracuję... O, ale siniak! Co ci się stało?

Callie postanowiła wykazać się cierpliwością i nie warczeć. Bo to by było tak, jakby chciała nakrzyczeć na wielkiego, niezdarnego szczeniaka, który z radości nie może się powstrzymać, żeby nie skoczyć brudnymi łapami na wracającego do domu właściciela.

- Wpadłam na coś po ciemku.

- Ojej! Boli? Może chcesz usiąść w cieniu? Przyniosłbym ci coś zimnego do picia... - Bili otworzył bramę, żeby mogli wejść.

- Nie, dziękuję. Oprowdzę Rogera, a potem... - Przerwała nagle na widok Jake'a, stojącego naprzeciwko potężnego faceta z baru, tego samego, który pomalował jej samochód czerwoną farbą. - Co tu się dzieje, do diabła?!

- Och, chodzi ci o tego gościa? Pytał o ciebie i Jake wdał się z nim w pyskówkę. - Bili niechętnie spojrzął na Jake'a, którego uważał za rywala. - Mamy i tak sporo kłopotów, a tu jeszcze Jake wszczyna awanturę...

- Jeżeli Jake wszczyna awanturę, to ten durny goryl na pewno dał mu powód! Przepraszam, Roger, muszę się tym zająć... Bili, może będziesz tak dobry i pokażesz panu Groganowi miejsce, gdzie ociosywano kamienie...

- Jasne, jeśli chcesz, ale...

- Mógłbym pomówić z Austinem - zaproponował Roger. - Kiedy był mały, często dawałem mu jego ulubione miętowki.

- Poradzę sobie z nim - odparła. - Zaraz wrócę.

Ruszyła w kierunku Jake'a, przeczącym ruchem głowy zbywając

wszystkich, którzy usiłowali ją zatrzymać. Nie zdołała tylko zbyć Dory, która podbiegła z boku i chwyciła ją za rękaw.

- Sądzisz, że powinniśmy wezwać policję? - syknęła. - Jeżeli zaczną się bić, to...

- To ich sprawa - przerwała jej ostro. - Idź, pomóż Frannie segregować wydobyte przedmioty i trzymaj się z daleka od tej sprawy.

- Ale może jednak... - Dory nie ustępowała. - Co ci się stało?

- Idź do Frannie, dobrze? - warknęła Callie.

Kiedy dotarła do Jake'a i Austina, była już w stanie wrzenia.

- Podobno mnie pan szukał - rzuciła.

- Mam czek. Przyjechałem tylko po to, żeby przywieźć czek. Na pokrycie strat.

W milczeniu wyciągnęła rękę. Kiedy wygrzebał czek z kieszeni i położył go na jej dłoni, odczytała kwotę. Wszystko się zgadzało. Taką sumę podała Hewittowi.

- W porządku - powiedziała. - A teraz niech pan spływa i trzyma się ode mnie jak najdalej.

- Mam coś do powiedzenia. - Austin rozprostował ramiona. - I powiem to pani, tak samo jak powiedziałem jemu. - Krótkim ruchem kciuka wskazał Jake'a. - I Jeffowi, to znaczy szeryfowi... Wczoraj w nocy byłem w łóżku. Poszliśmy z żoną spać przed jedenastą. Nie oglądaliśmy nawet wieczornych wiadomości, bo dziś rano miałem robotę. Zależało mi na niej, przecież przez was nie możemy tu już pracować, mam rację? Może ja i Jimmy przegięliśmy trochę pałę z pani czterokołowcem, ale...

- Może? - pytanie Jake'a zabrzmiało o wiele za cicho, aby mogło zwiastować coś dobrego.

Mięśnie dolnej części twarzy Austina napięły się i drgnęły.

- No, dobra, przegięliśmy i teraz płacimy za to, ale ja nie jestem damskim bokserem i nie strzelam do ludzi, na miłość boską. Jimmy też nie. Jeff przyjechał dzisiaj do nas do roboty i zaczął nas wypytywać - gdzie byliśmy koło północy, co robiliśmy i czy ktoś może pod przysięgą poświadczyć nasze słowa...

Callie powstrzymała wybuch gniewu tylko dlatego, że na twarzy Austina pojawił się wyraz najprawdziwszego udęczenia.

- Gdybyście nie zniszczyli mojego samochodu, Hewitt nie narobiłby wam wstydu w pracy - powiedziała. - Mamy remis, bo ja też nie najlepiej się czuję, odkąd muszę jeździć samochodem z wypisanym wielkimi literami hasłem „pieprzona lesba”.

Austin oblał się krwawym rumieńcem. Jego twarz wyglądała teraz jak

purpurowy księżyc w pełni.

- Przepraszam za to... - mruknął. - W imieniu własnym oraz Jimmy'ego...

- Losowaliście, kto ma tu przyjechać z przeprosinami? - zapytał nagle Jake. Austin nerwowo ściągnął wargi.

- Rzucaliśmy monetą - wyznał. - Nie wiem, co się tu stało w nocy, ale powtarzam - nigdy nie podniosłem ręki na kobietę, nigdy w życiu. - Zerknął spod oka na czoło Callie. - I nigdy do nikogo nie strzelałem. Nie chcę, żebyście tu kopali i wcale tego nie ukrywam. Ron Dolan był przyzwoitym człowiekiem i moim przyjacielem. To, co się z nim stało... To nie w porządku. Zwyczajnie nie w porządku...

- Co do tego na pewno się zgadzamy. - Callie wsunęła czek do kieszeni.

- Może ludzie mówią prawdę, może rzeczywiście to miejsce jest przeklęte... Chyba nie chciałbym już tutaj pracować, nawet gdybym mógł.

- W takim razie najlepiej będzie, jeżeli zostawicie Antietam Creek nam.

- Callie wyciągnęła rękę do Austina. - Co było, to było... Zgoda?

Po chwili wahania Austin ostrożnie ujął jej dłoń.

- Człowiek, który robi coś takiego kobiecie, zasługuje, żeby złamać mu prawą rękę - oświadczył, ruchem brody wskazując czoło Callie.

- Co do tego także całkowicie się zgadzamy - powiedział Jake.

- No... To chyba wszystko, z czym przyjechałem. - Austin skinął głową i rozkołysanym krokiem oddalił się w kierunku bramy.

- Całkiem pożyteczna rozmowa. - Callie poklepała się po kieszeni. - Absolutnie niemożliwe, żeby to on do ciebie strzelał. Mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego chciałeś skoczyć mu do gardła, co?

- Wlazł na teren wściekły jak byk przed korridą, więc musiałem go trochę uspokoić. Z punktu oznajmił, że nie ma mi nic, kurwa, do powiedzenia, co oznaczało, że życzy sobie, abym poprzzerzuciał się z nim obelgami. Zapowiadała się niezła zabawa, ale kiedy zobaczył twoją twarz, od razu zmienił melodię. - Jake wyciągnął rękę i delikatnie musnął jej grzywkę. - Mam nadzieję, że to nowa fryzura, a nie próba ukrycia guza...

- Zamknij się, dobra?

- Bo jak na nową fryzurę, wygląda całkiem nieźle, ale maskuje żalośnie.

- Pochylił głowę i na sekundę dotknął wargami czoła Callie. - Jak się dziś czujesz?

- Jakby walnęło mnie drzewo.

- Tak przypuszczałem. Co to za staruszek?

Callie odwróciła głowę i spojrzała na Rogera, który właśnie oglądał coś, co pokazywali mu Bili i Matt.

- Roger Grogan, ojciec Suzanne - wyjaśniła. - Wpadłam przed południem, żeby z nim porozmawiać. Jest... Jest naprawdę niezwykły. Chcę oprowadzić go po terenie.

- Przedstaw mnie. - Jake ujął jej dłoń. - Oprowadzimy go razem... - Zacieśnił uścisk dopiero wtedy, gdy usiłowała się wyrwać. - Nie psuj zabawy. Bili wpada w furję, kiedy cię dotykam.

- Daj spokój temu biednemu dzieciakowi. Jest nieszkodliwy.

- Jest gotów paść ci do stóp i lizać palce. - Powoli podniósł rękę Callie do swoich ust. - Gdyby miał pistolet, wykrwawiałbym się teraz od licznych ran postrzałowych.

- Złośliwy sukinsyn!

Roześmiał się i puścił jej rękę, ale wyłącznie po to, by objąć ją ramieniem. - I właśnie to we mnie kochasz, maleńka!

Następnego dnia rano Callie właśnie przygotowywała narzędzia pracy, kiedy pod bramą zatrzymała się Lana.

Callie z rozbawieniem obserwowała, jak wchodzi na teren, zerka na swoje eleganckie pantofelki, z rozpaczą przewraca oczami i brnie ku niej po błocie.

- Nie za wczesna pora jak na prawnika?

- Nie jak na prawnika, który ma dziecko w wieku przedszkolnym i psa, którego trzeba zawieźć do weterynarza. - Lana zsunęła okulary na czubek nosa i skrzywiła się lekko. - Oj, oj, to musiało boleć... - mruknęła, patrząc na czoło Callie.

- Masz rację, niestety.

- Chcę oświadczyć, że zapoznavanie się z nocnymi przygodami mojej klientki z drugiej lub nawet trzeciej ręki jest trochę upokarzające. Trzeba było do mnie zadzwonić.

- Ale ja nie mam zielonego pojęcia, kogo pozwać.

- Policja nikogo nie podejrzewa?

- Policja wydłubała pocisk z pnia topoli i dała mi do zrozumienia, że jeżeli znajdzie pistolet, znajdzie i sprawcę. - Callie się uśmiechnęła.

- Dlaczego nie jesteś przestraszona?

- Jestem. Jake twierdzi, że kula minęła go o jakieś dwa metry, a ja chcę wierzyć, że mówi prawdę. Pozostaje jednak fakt, iż ktoś tam strzelał, a wcześniej dopuścił się czegoś znacznie gorszego tu, w Antietam Creek.

- Sądysz, że policja łączy te dwa wydarzenia? - zapytała Lana.

- Szeryf nic na ten temat nie mówił, ale on nie należy do gadatliwych. Tak czy inaczej, niektórym nie podoba się, że tu pracujemy, może więc ktoś uznał, że aby się nas pozbyć, trzeba zamknąć teren. Morderstwo i strzelanina to

sposób na osiągnięcie tego celu.

- Mam wiadomości, które na pewno nie poprawią ci humoru...

- Detektyw? - domyśliła się Callie. - Kontaktował się z tobą?

- Tak. Zacznijmy od tego, że syn Carlyle'a okazał się niezbyt rozmowny. Powiedział detektywowi, że nie zna miejsca pobytu ojca, a gdyby znał, to i tak by nie podał.

- Chcę, żeby detektyw nadal miał go na oku.

- Cóż, ty płacisz... - Lana wymownie wzruszyła ramionami.

- Zostało mi jeszcze parę groszy. - Callie westchnęła ciężko. - Tylko parę - przyznała. - Wystarczy na kilka tygodni, ale to zawsze coś...

- Powiedz mi, kiedy będziesz musiała ponownie oszacować wydatki - powiedziała Lana.

- Do twarzy ci z tą grzywką.

- Naprawdę? - Callie lekko pociągnęła krótki kosmyk. - Niedługo zaczniesz włożyć w oczy, a wtedy wpadnę w szal...

- Nie wiem, czy zauważyłaś, ale salony fryzjerskie wynaleziono właśnie po to, żeby grzywki nie włożyły ludziom w oczy. Następna część moich wiadomości pozostaje w bliskim związku z miejscowymi plotkami.

- Mam przynieść kawę i ciasteczka?

- Nie, ale mogłabyś wyjść tu do mnie - powiedziała Lana. - Jeżeli ja zejdem do ciebie, te buty będą się nadawały do wyrzucenia...

Uważnie rozejrzała się dookoła, korzystając z tego, że Callie zabrała się do odkładania narzędzi.

Na terenie jak zwykle panował charakterystyczny hałas, stanowiący połączenie brzęku narzędzi z dobiegającą z radia muzyką. Było bardzo gorąco, a wysoka wilgotność powietrza sprawiała, że Lana spociała się zaraz po wyjściu z samochodu. Czowała zapach ziemi, środka odstraszającego owady i potu.

Wcześniej nie przyszło jej nawet do głowy, że wszystko to będzie przebiegać w tak uporządkowany sposób. Cały teren został już podzielony na kwadraty, oddzielone równo wytyczonymi rowami.

We wszystkich kwadratach leżały narzędzia - łopaty, kielnie i szerokie pędzle. Tu i ówdzie widać było płócienne worki. Ktoś przykrył aparat fotograficzny tabliczką do przypinania notatek, na pewno po to, aby ochronić cenny sprzęt przed słońcem. W rowach stały butelki z wodą i dzbanki, na kilku płóciennych krzeselkach leżały koszule.

- Co oni tam robią?

Callie spojrzała na stojących obok siebie Jake'a oraz Dory.

- Flirtują - powiedziała i wzruszyła ramionami, zdumiona, że wcale nie czuje zazdrości, widząc, jak Jake swobodnie dotyka ramienia Dory. -

Prawdopodobnie Jake tłumaczy jej, pod jakim kątem powinna zrobić ujęcie. - Z roztargnieniem potarła palcem płytkie zadrapanie na dłoni. - W tamtym obszarze znaleźli kilka glinianych skorup.

- Zerknę na nie przed wyjściem. - Lana ponownie skupiła uwagę na Callie. - Podobno widziałaś się wczoraj z Rogerem...

- Tak. Co w tym złego? Polubiłam go.

- Ja także, i to bardzo. Potem wy szliście razem, tak?

- Przywiozłam go tutaj, żeby pokazać mu teren. O co ci właściwie chodzi?

- Ktoś był w sklepie, kiedy przyszedł.

- Tak, jakaś kobieta przyniosła książki do sprzedania. - Callie schyliła się po dzbanek herbaty z lodem. Odkąd zgubiła kubek, piła prosto z dzbanka. - Powiedziała, że jej szwagier wykopał pierwszą czaszkę. Dlaczego cię to interesuje?

- Rozpoznała cię.

- Co, widziała mnie w telewizji? - Dopiero po chwili zrozumiała, o czym mówi Lana. - To niemożliwe! Rozmawiała ze mną dwie minuty, nie więcej, więc niby jakim cudem mogła się domyślić, że ma przed sobą Jessicę Cullen?!

- Nie wiem, jak długo to trwało, ale najwyraźniej zdołała poskładać wszystkie fragmenty układanki. Zauważyła, że zaraz po jej wyjściu Roger zamknął sklep, a w jakiś czas później przypadkiem widziała, jak wychodziliście razem. Wspomniała o tym komuś, kto był świadkiem, jak rozmawiałaś pod moim biurem z Suzanne i Jayem. To małe miasto, wszyscy się tu znają i pamiętają rodzinne historie, zwłaszcza te szczególnie interesujące. Dotarła już do mnie pogłoska, że jesteś zaginioną córką Cullenów. Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć, bo przecież musisz sama zdecydować, co z tym fantem zrobić i jak ja mam się do tego ustosunkować.

Callie zdjęła czapkę i rzuciła ją na ziemię.

- Nie wiem, na miłość boską! - parsknęła ze złością. - „Bez komentarza” w tej sytuacji nie zadziała, prawda? Kiedy nie chcesz czegoś komentować, ludzie nabierają przekonania, że usiłujesz coś ukryć i oni już wiedzą, co...

- Musisz przygotować się na to, że wcześniej czy później sprawa trafi do mediów - powiedziała Lana. - Powinnaś przygotować oświadczenie. To samo dotyczy Cullenów i oczywiście twoich rodziców. Wszyscy razem musicie zastanowić się nad tym, jaką wersję chcecie przedstawić opinii publicznej.

Callie spojrzała w głąb terenu. Jake przykucnął obok kwadratu, w którym pracowali Frannie i Chuck, oparł rękę na plecach Frannie. Bili stał

obok Dory, perorując z zapalem. Sądząc po wyrazie twarzy Dory, dziewczyna nie była zachwycona jego towarzystwem.

Callie pomyślała, że chciałyby nie mieć na głowie nic ważniejszego od drobnych kłopotów swojego zespołu.

- Nie chcę rozmawiać z dziennikarzami - mruknęła. - Nie chcę, żeby moi rodzice musieli przez to przechodzić...

- Najprawdopodobniej nie będziesz miała wyboru. Twoje zniknięcie narobiło w okolicy sporo szumu, a Suzanne jest tu sławna. Musisz się przygotować, powtarzam.

- Nie można się przygotować na coś takiego! Czy Suzanne już wie?

- Za godzinę mam się z nią spotkać. Powiem jej wszystko, czego jeszcze nie wie. Callie podniosła czapkę i włożyła ją na głowę.

- Potrzebna mi ta lista, o której ci mówiłam - nazwiska jej lekarzy, pielęgniarek, innych osób, które miały z nią kontakt w szpitalu. Nie chciałam jej naciskać, ale...

- Ale chciałabyś, żebym ja to zrobiła - dokończyła Lana. - Nie ma problemu.

- Podaj mi adres i numer telefonu syna Carlyle'a, może wymyślę, jak go nakłonić, by z nami porozmawiał. Muszę zadzwonić do matki i ostrzec ją. Do mojej matki - dodała, kiedy Lana się nie odezwała. - Suzanne zostawiam tobie.

- Rozumiem.

- Dobrze jest mieć kogoś, kto rozumie. - Callie zmarszczyła brwi. - Wydaje mi się, że Roger także mnie zrozumiał. Czułam się przy nim zupełnie swobodnie.

- Roger to wyjątkowy człowiek. Nie można też wykluczyć, że wszystko to jest dla niego mniejszym obciążeniem niż dla kobiety, dla matki. Doug ma do tego bardzo skomplikowane podejście, ale jednak potrafi zachować równowagę i obiektywizm.

- Czy ciebie i Douga coś łączy? - zapytała Callie po chwili milczenia.

- Hmm... Zdefiniowanie tego „czegoś” jest naprawdę trudne, ale chyba tak... W każdym razie tak mi się wydaje. Czy to coś zmienia?

- Nie, to po prostu jeszcze jeden dziwny aspekt sprawy. Mój adwokat romansuje z moim biologicznym bratem... Rozpaczam jeden z najważniejszych projektów w mojej karierze i co się dzieje? Najpierw na scenę wkracza mój były mąż, a zaraz potem okazuje się, że urodziłam się w odległości paru kilometrów od miejsca, gdzie pracuję. Moja biologiczna matka jest siłą sprawczą, powołującą do życia moje ulubione ciasteczka z czekoladą, a nieznani sprawcy popełniają morderstwo, które może wyrzucić wpływ na moją pracę. Każdy z tych czynników z osobna jest bardzo dziwny, kiedy zaś

złoży sieje razem, powstaje...

- Tak zwane popieprzone piekło. - Lana się uśmiechnęła.

- W twoich ustach brzmi to zaskakująco, ale tak, właśnie o to mi chodziło - oświadczyła Callie. - Wyciągnij tę listę od Suzanne. Najwyższy czas poważnie zabrać się do odkopywania przeszłości.

Suzanne podała herbatę oraz ciasto kawowe i spokojnie wysłuchiwała wszystkiego, co Lana miała do powiedzenia. Po krótkiej rozmowie wręczyła jej metodycznie sporządzoną listę przywołanych z pamięci nazwisk i odprowadziła młodą kobietę do drzwi. Dopiero po wyjściu Lany gwałtownie odwróciła się do Jaya.

- Prosiłam cię, żebyś był tu ze mną dziś rano, bo Lana uprzedziła, że ma nam coś ważnego do przekazania, tymczasem ty przez cały czas nie odezwałeś się ani słowem!

- Co miałem powiedzieć? Czego ode mnie oczekiwałaś? Przecież sama już wszystkim się zajęłaś!

- Tak, sama wszystkim się zajęłam. Jak zawsze.

- Nie pozwoliłaś mi sobie pomóc - powiedział z goryczą. - Jak zawsze. Mocno zacisnęła pięści, wyminęła go i weszła do kuchni.

- Idź już - rzuciła przez ramię. - Idź.

Niewiele brakowało, a usłuchałby jej. Powiedziała mu to samo wiele lat temu. Idź już... Wtedy odszedł bez słowa, lecz tym razem zmusił się, aby pójść za nią i chwycić ją za ramię.

- Kiedyś wyrzuciłaś mnie ze swego życia i teraz robisz to samo. I patrzysz na mnie z pogardą. Czego właściwie chcesz, Suzanne? Zawsze starałem się dać ci to, czego pragnęłaś.

- Chcę odzyskać moją córkę! Chcę Jessie!

- To niemożliwe - powiedział cicho.

- Niemożliwe dla ciebie, bo nie chcesz nic zrobić, aby to osiągnąć! W gabinecie Lany odzywałeś się do niej półgębkiem jakbyś nie chciał mieć z nią nic wspólnego! Nawet jej nie dotknąłeś!

- Nie chciała, żebym jej dotykał. Czy ty naprawdę uważasz, że ta sprawa mnie nie zabija?

- Uważam, że już dawno spisałeś ją na straty - oświadczyła chłodno.

- Bzdury! Cierpiałem wtedy i cierpię teraz, ale ty tego nie dostrzegałaś, nie słyszałaś. Dla ciebie istniała tylko Jessie. Nie umiałaś być moją żoną ani kochanką, czy choćby przyjaciółką, bo byłaś zbyt zdeterminowana, aby być jej matką.

Słowa Jaya wbijały się w jej serce jak ostre strzały, szybko, jedno za drugim. Nigdy wcześniej nie mówił jej takich rzeczy, nigdy nie wyglądał na

tak rozgniewanego i zranionego.

- Byłeś dorosłym mężczyzną, jej ojcem, na miłość boską! - Wyszarpnęła ramię z jego uścisku i drżącymi dłońmi zaczęła ustawiać filiżanki na tacy. - Zamknąłeś się przede mną, kiedy najbardziej cię potrzebowałam!

- Może i tak, ale ty zrobiłaś to wcześniej. Ja także cię potrzebowałem, a ciebie nie było, nie miałaś dla mnie czasu. Staralem się walczyć o to, co nas łączyło, tymczasem ty bez wahania poświęciłaś wszystko dla przeszłości...

- To było moje dziecko!

- Nasze dziecko! Nasze dziecko, do diabła!

Suzanne oddychała coraz szybciej, nierówno, prawie spazmatycznie.

- Chciałeś ją zastąpić! - wyrzuciła z siebie. Jay cofnął się, jakby wymierzyła mu policzek.

- To głupie oskarżenie - rzekł powoli. - Głupie i okrutne. Chciałem mieć z tobą jeszcze jedno dziecko, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że ono mogłoby zająć miejsce Jessie. Chciałem, żebyśmy znowu stali się rodziną. Pragnąłem mojej żony, a ty nie pozwoliłaś się dotknąć. Straciliśmy córkę, tak, to prawda, ale ja straciłem także żonę. Straciłem najlepszego przyjaciela i rodzinę, straciłem wszystko. Wierzchem dłoni szybko otarła łzy.

- To nie ma sensu - szepnęła. - Muszę pojechać do Antietam Creek i zobaczyć się z Jessicą... Z Callie.

- Nie.

- Jak to, nie? Nie słyszałeś, co powiedziała Lana? Ona jest ranna...

- Słyszałem. Lana powiedziała też, że ludzie zaczęli o nas plotkować, a to postawi Callie w trudnej sytuacji. Jeśli tam teraz pojedziesz, na pewno cię zobaczą. W ten sposób tylko dolejesz oliwy do ognia.

- Nie obchodzą mnie plotki! To moja córka, dlaczego miałabym to ukrywać?!

- Dlatego że może Callie nie życzy sobie, aby wszyscy o tym mówili. Nie przypieraj jej do muru. Jeżeli nie zaczekasz, aż sama do ciebie przyjdzie, jeżeli nie pozwolisz jej jasno określić granic, stracisz ją po raz drugi. Ona nas nie kocha.

Usta Suzanne zadrżały.

- Jak możesz tak mówić? - wykrztusiła. - Oczywiście że nas kocha. W głębi serca na pewno nas kocha...

- Nienawidzę samego siebie za to, że ci to mówię. Chyba wolałbym znowu odejść z twojego życia niż cię ranić, ale jeżeli ci tego nie powiem, będziesz cierpieła jeszcze bardziej...

Ujął ją za ramiona i wzmocnił uścisk, kiedy usiłowała się odsunąć. Nagle uświadomił sobie, że należało zachować się w taki sposób dawno temu,

kiedy podjęła decyzję o rozwodzie. Nie powinien był wypuszczać jej z ramion.

- Callie współczuje nam, czuje się zobowiązana, tylko tyle, ale może, jeśli damy jej dość czasu i wolności, poczuje do nas coś więcej - rzekł.

- Chcę, żeby wróciła do domu...

- Och, kochanie... - Jay przycisnął wargi do czoła Suzanne. - Wiem.

- Chcę ją przytulić... - Suzanne objęła się w pasie ramionami i zakołysała się lekko. - Chcę, żeby znowu była małym dzieckiem, żebym mogła ją przytulić...

- Ja też tego chciałem. Wiem, że mi nie wierzysz, ale pragnąłem tego całym sercem... Chciałem chociaż raz... Chociaż raz dotknąć jej ręki...

- O, mój Boże... - Suzanne westchnęła ciężko i palcem otarła łzę spływającą po policzku Jaya. - Przepraszam. Przepraszam...

- Może mogłabyś przytulić mnie zamiast niej, ten jeden, jedyne dziecko... - Otoczył ją ramionami. - Albo pozwól mi, abym przytulił cię... Pozwól mi, kochanie...

- Staram się być silna. Walczyłam ze sobą przez wszystkie te lata, a teraz nie mogę przestać płakać...

- Nie szkodzi, nie ma tu nikogo poza nami, nikt się nie dowie...

Pomyślał, że już nie pamięta, kiedy ostatni raz pozwoliła mu zbliżyć się do siebie. Upłynęło dużo czasu, odkąd czuł ciężar jej głowy na swoim ramieniu, odkąd czuł dotyk jej ramion.

- Myślałam, że... Kiedy pojechałam do niej pierwszy raz, myślałam, że wystarczy mi świadomość, iż nasze dziecko jest zdrowe i bezpieczne, że Jessie wyrosła na śliczną, inteligentną dziewczynę. Naprawdę tak myślałam, ale to oczywiście nie wystarczyło. Codziennie chciałam więcej i więcej - spędzić z nią pięć minut, godzinę, cały dzień, rok...

- Ma piękne ręce, zauważyłaś? Są trochę zniszczone, chyba z powodu pracy, jaką wykonuje, ale są wąskie, z drugimi palcami. Kiedy na nie spojrzałem, pomyślałem, że zapisalibyśmy ją na lekcje gry na pianinie... Z takimi dłońmi powinna była uczyć się grać na pianinie...

Suzanne powoli i ostrożnie oswobodziła się z jego uścisku. Objęła jego twarz dłońmi i uniosła ją. Jay płakał cicho, prawie bezgłośnie. Przypomniała sobie, że zawsze zachowywał się cicho i spokojnie w sytuacjach, kiedy można było spodziewać się wybuchu rozpaczki lub radości.

Tak samo płakał przy narodzinach ich obojga dzieci. Trzymał ją mocno za rękę i płakał, nie wydając żadnego dźwięku, dużymi łzami, które szybko spływały po policzkach.

- Och, kochany... - Musnęła wargami jego mokre oczy. - Ona gra na wiolonczeli, wiesz?

- Naprawdę?

- Tak. Widziałam wiolonczelę w jej pokoju w motelu, poza tym w sieci internetowej znajduje się jej krótki życiorys i tam umieszczono informację, że gra na wiolonczeli. Stamtąd dowiedziałam się też, że z wyróżnieniem ukończyła szkołę Carnegie Mellon...

- Tak? - Usiłował wziąć się w garść, ale gdy sięgnął po chusteczkę do nosa, jego głos wciąż był zachrypnięty i jakby złamany. - To świetna szkoła.

- Chciałbyś mieć wydruk? Jest tam jej zdjęcie, na którym wygląda bardzo poważnie, jak intelektualistka...

- Chciałbym, tak, proszę...

Suzanne skinęła głową i podeszła do komputera.

- Wiem, że masz rację - powiedziała. - Powinniśmy poczekać, aż do nas przyjdzie, aż sama zdecyduje, kim mamy dla siebie być, ale tak trudno jest czekać. Tak ciężko, zwłaszcza że jest blisko...

- Może byłoby ci lżej, gdybyśmy czekali razem.

Uśmiechnęła się dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy jej najlepszy przyjaciel po raz pierwszy ją pocałował. - Może...

Sytuacja wymagała pewnego wysiłku i umiejętności manewrowania, pomyślała Lana. Jak zawsze, kiedy miało się do czynienia z Douglasem. Tym razem nie tylko umówiła się z nim na następną randkę, ale łagodnie skłoniła go, by pozwolił jej przyjść do mieszkania nad księgarnią.

Chciała zobaczyć, gdzie mieszka, chociaż wiedziała, że do tej pory właściwie tylko zatrzymywał się tam na czas kolejnych wizyt w Woodsboro. Doszła także do wniosku, że może nadeszła odpowiednia chwila, aby zastanowili się nad naturą łączącej ich więzi.

Kiedy zapukała do zewnętrznych drzwi, zawołał, żeby weszła. Ponownie odniosła wrażenie, że mieszkańcy Woodsboro nie mają zwyczaju zamykać drzwi. Sama w zbyt dużym stopniu pozostała „dziewczyną z miasta”, żeby zrezygnować z tak podstawowego jej zdaniem środka ostrożności.

Kanapa w salonie przykryta była luźną granatową narzutą, a jedyne krzesło miało zgniłozielone obicie, mocno przetarte na oparciu. Koncepcja kolorystyczna obu mebli bynajmniej nie współgrała z brązowo - pomarańczowym chodnikiem. Niewykluczone, że Doug jest daltonistą, pomyślała.

Salon od kuchni oddzielał murek mniej więcej metrowej wysokości, kuchnia zaś, co natychmiast z aprobatą zauważyła, lśniła czystością.

Istniały dwie możliwości - albo Doug ceni porządek, albo w ogóle nie gotuje. Lana uznała, że jest w stanie przyjąć do wiadomości obie te opcje.

- Zaraz przyjdę! - odezwał się Doug z sąsiedniego pokoju. - Muszę

tylko coś skończyć... - Nie spiesz się.

Miała chwilę, żeby spokojnie się rozejrzeć. W salonie znajdowało się kilka pamiątek, między innymi puchar za zdobycie mistrzostwa w szkolnych rozgrywkach baseballowych, zniszczona rękawica i chyba własnoręcznie wykonany model średniowiecznej katapulty. No i książki, oczywiście.

Wszystko to bardzo jej się podobało, lecz ze szczególnym zainteresowaniem i wręcz zazdrością przyjrzała się wiszącym na ścianach reprodukcjom. Były tu „Cztery pory roku” Muchy, „Syrena” Waterhouse'a oraz „Ekstaza” i „Świt” Parrisha. Doszła do wniosku, że mężczyzna, który upiększa swoje mieszkanie dość wyrafinowanymi dziełami sztuki (co z tego, że tylko reprodukcjami) i lubi patrzeć na puchar za zwycięstwo w szkolnej lidze baseballa z całą pewnością zasługuje na bliższe poznanie. Postanowiła więc zajrzeć do jego sypialni.

Zobaczyła bardzo proste łóżko bez zagłówka, przykryte pogniecioną niebieską narzutą, oraz starą mahoniową komodę z mosiężnymi uchwytami, wyglądającą na całkiem przyzwoity antyk, pewno po dziadkach. W pokoju nie było lustra.

Doug pracował na ustawionym na metalowym biurku laptopie, jego palce szybko i sprawnie biegały po klawiaturze.

Miał na sobie dzinsy, czarną koszulkę, a na nosie, ku zachwytowi Lany, okulary w szylkretowych ramkach. Poczula, jak w jej brzuchu kiełkuje ziarenko pożądania, i przekroczyła próg pokoju.

Włosy Douga były trochę wilgotne, w powietrzu unosił się leciutki zapach mydła. Najwyraźniej tuż przed jej przyjściem brał prysznic...

Poddając się impulsowi, stanęła za jego plecami i przeczesała palcami gęstwę tych ciemnych, wilgotnych włosów. Drgnął, odwrócił się na krześle i spojrzał na nią przez szkła.

- Przepraszam, zupełnie zapomniałem... Chciałem tylko wprowadzić do końca ten spis inwentarzowy... Co takiego? - zapytał w odpowiedzi na jej uśmiech.

- Nie wiedziałam, że nosisz okulary.

- Tylko do pracy przy komputerze. I do czytania. Przyszłaś wcześniej, niż się umawialiśmy?

- Nie, punktualnie - odparła.

Robił wrażenie nieco zdenerwowanego jej obecnością w swojej sypialni, co naturalnie dało jej poczucie władzy.

- Nie musisz się spieszyć - dodała spokojnie. - Film zaczyna się dopiero za godzinę.

- Za godzinę, no, tak...

Lana nie zdążyła chyba zmienić kostiumu, który miała w pracy, pomyślał. Ciekawe, dlaczego tkanina w paski czyni kobietę jeszcze bardziej pociągającą...

- Mieliliśmy najpierw coś zjeść - przypomniał sobie.

- To prawda. - Spodobało jej się, że jego źrenice rozszerzyły się gwałtownie, gdy płynnym ruchem usiadła mu na kolanach. - Ale możemy tu zostać. Przygotuję coś szybkiego...

- Nie mam dużo... - Umilkł, bo Lana pochyliła głowę i lekko pocałowała go w usta. - Może rzeczywiście moglibyśmy zjeść w domu, jeżeli chcesz...

Położyła otwarte dłonie na jego piersi, potem złączyła je na jego karku.

- Jesteś głodny? - Uśmiechnęła się.

- O, tak!

- Na co miałbyś ochotę? - zapytała i natychmiast się roześmiała, kiedy przywarł wargami do jej ust.

Owinęła się wokół niego, otoczyła go ze wszystkich stron. Jej smak, zapach i kształty oszołomiły go.

Pomyślał, że go opętała, a zaczęło się to chyba w chwili, gdy po wyjściu z restauracji wspięła się na palce i musnęła jego wargi pocałunkiem.

Nie był pewny, czy pragnie wyrzucić z siebie to pożądanie, czy też przyjąć je bez pytania. Na teraz, na chwilę.

- Pozwól mi... - Obrotowe krzesło złowróźnie zatrzeszczało pod ich wspólnym ciężarem.

Na ulicy strzelił gaźnik przejeżdżającego samochodu. Douglas potrafił myśleć jedynie o tym, jak bardzo chce umieścić swoje dłonie między ich ciałami, odpiąć guziki jej żakietu i spódnicy, i wreszcie ją odnaleźć.

- Zamierzam ci pozwolić... - Jej serce waliło jak oszalałe, wypełniało głuchymi uderzeniami klatkę piersiową i krtań. Lubiała te dźwięki. Odsunęła się trochę, robiąc miejsce dla jego dłoni. - Twoje okulary rzuciły mnie na kolana, wiesz?

- Nigdy więcej ich nie zdejmę.

- Może czasami... - Jeszcze raz przeczesła palcami jego włosy, delikatnie zsunęła mu okulary z nosa i położyła je na biurku, czując, jak odpina guziczki jej białej bluzki. - Właściwie to już spełniły swoje zadanie...

- To samo mógłbym powiedzieć o twoim kostiumie w paski...
Doprowadził mnie do stanu wrzenia...

- Dobra firma, Brooks Brothers... - zamruczała.

- Niech im Pan Bóg błogosławi.

Była tak cudownie zbudowana, drobna, o skórze gładkiej i białej jak mleko... Mógłby lizać ją jak kot... Zsunął żakiet z ramion, nie dbając, czy

spadnie na podłogę. Rozpięta bluzka odsłaniała jedwabny biustonosz, przytrzymujący piękne piersi.

- Wspaniały widok... - powiedział, lekko gryząc ją w szyję.

Pachniała bardzo świeżo i kobieco. Szybkie uderzenia tętna pod jego wargami były wyjątkowo podniecające.

Przez głowę Lany przemknęła myśl, że jej unieruchomione ramiona są symbolem zmiany punktu równowagi w ich związku - przyjmując pieszczoty, oddawała władzę w jego ręce. Kiedy jego usta znowu opadły na jej wargi, bez wahania pozbyła się przerażenia.

Podniósł się ruchem tak szybkim i lekkim, że na moment wstrzymała oddech. Miał w sobie siłę, której istnienia nawet nie podejrzewała, siłę, której manifestacja podniecała ją do granic możliwości.

Zaraz potem znalazła się pod nim na łóżku. Jej ramiona nadal do połowy tkwiły w rękawach żakietu, ciało było ujarzmione i cudownie bezradne. Szybko uwolnił ją od żakietu, lecz zanim zdążyła ogarnąć Douga ramionami, zsunął się z niej i przewrócił ją na brzuch.

- Osobiście nie mam nic przeciwko Brooks Brothers, ale wydaje mi się, że nie ma tu dla nich miejsca - powiedział, powoli rozpinając zamek spódnicy.

- Pozbądźmy się ich, dobrze?

Spojrzała na niego przez ramię, spod lśniącego skrzydła włosów.

- A co z lewisami? - zapytała, z trudem łapiąc oddech.

- Damy im jeszcze chwilę. - Zdjął z niej koszulową bluzkę i przejechał palcem po kręgosłupie. - Ładne plecy, pani adwokat...

Zsunął rozpiętą spódnicę z bioder i rzucił na podłogę. Lana miała na sobie pończochy, zakończone koronkową taśmą w połowie uda i stringi z białego jedwabiu, które zdaniem Douga nie mogły pochodzić z szacownej firmy Brooks Brothers.

- Reszta też jest całkiem przyjemna... - wymamrotał.

Roześmiała się, chciała powiedzieć coś dowcipnego, ale tylko jęknęła, kiedy jego wargi rozpoczęły niespieszną wędrówkę od karku w dół kręgosłupa. Palce gładziły jej nogi pod kolanami, aż do krawędzi pończoch. Zacisnęła spazmatycznie dłonie na narzucie.

- Od dziś zawsze, gdy zobaczę cię w jednym z tych eleganckich kostiumów, nie będę mógł przestać się zastanawiać, co kryje się pod nim... - Dotarł ustami do talii i powoli sunął w dół. - Nie sędzę, żeby mi to przeszkadzało...

Popychał ją ku wyżynie rozkoszy, sprawiając, że mięśnie rozluźniały się, a całe ciało stawało się zupełnie bezwładne. Miała wrażenie, że posuwa się wśród miękkiej, szarej mgły, że pogrąża się w niej, nie myśląc o tym, gdzie się

ostatecznie zatrzyma. Komu potrzebna władza, pomyślała, kiedy można po prostu... Po prostu zatonać we mgle...

Doug usłyszał jej westchnienie, wyczuł ogarniające ją obezwładnienie. Jej ciało należało teraz do niego, mógł je do woli poznawać i smakować. Mógł cieszyć się widokiem wąskiej talii i długich ud, zapachem, który wydawał się gnieździć między jej łopatkami. Odpiął biustonosz, potarł skórę wargami. Lana prawie zamruczała z rozkoszy.

Powoli odwrócił ją na plecy i zaczął całować usta, szyję, wreszcie piersi. Delikatna, pachnąca, jedwabista skóra dopiero zaczynała oblewać się rumieńcem. Dłonie Lany głaskały teraz jego włosy, ramiona i plecy. Westchnęła prosto w jego usta i przez głowę ściągnęła z niego koszulkę. Dotyk jego nagiej skóry sprawił, że zadrżała.

Jest cierpliwy, pomyślała z rozmarzeniem, cierpliwy i bardzo dokładny, och, tak, szalenie dokładny... Oto mężczyzna, który stara się dać tyle, ile bierze, nie tylko czerpać przyjemność, ale i przyjemnością obdarować... Mężczyzna, który wprawiał jej ciało w drżenie i zatrzymywał bicie serca...

I aby dać mu odczuć, jak bardzo docenia jego starania, wygięła się w hak pod jego dotykiem, jęknęła jego imię, kiedy jego wargi i dłonie zaczęły zdradzać zniecierpliwienie. Poruszał się teraz szybciej i bardziej zdecydowanie, podsycając w niej już i tak płonący ogień, zmieniając cierpliwość w gwałtowność, a rozmarzenie w dotkliwe pożądanie.

Dotykał ją lekko, stosując wobec siebie i niej subtelną torturę do chwili, gdy wreszcie wsunął palec pod jedwab i w jej wilgotne wnętrze.

Jej palce wbiły się w jego barki, oczy zasnuły się mgłą, skóra zapłonęła. Chwycił jej okrzyk w swoje usta, delektując się jej rozkoszą.

Cudowne odczucia popłynęły teraz przez nią niepowstrzymaną strugą, zbyt szybko, aby mogła oddzielić jedno od drugiego, zbyt gwałtownie i mocno, by je opanować. Krótką chwilę zmagала się z zapęciem jego dzinsów. Tak, pożądała go całego, pragnęła poczuć, jak się w niej zanurza. Jej biodra podnosiły się i opadały w niespokojnym rytmie. Wreszcie uwolniła go i ogarnęła gorącą dłonią.

- Doug, Douglas... - powtórzyła, kierując go ku sobie.

Rozkosz przeszła go jak pocisk, zapragnął już nigdy nie opuszczać wilgotnego, rozplamionego schronienia, w którym się znalazł. Powstrzymał pragnienie zanurzenia się w nim aż do dna, poruszał się powoli, ciesząc się spokojnym rytmem.

Słońce zachodziło. Ostatnie promienie wpadały przez otwarte okno, oświetlając twarz Lany. Doug patrzył na jej drżące rzęsy i pulsujący punkt u nasady wygiętej szyi. Rozkosz narastała z każdym pchnięciem.

Wiedział, że Lana resztką sił trzyma się śliskiej krawędzi rozsądku. Gdy poczuł, jak otula go całą sobą, zgniótł wargami jej usta i pozwolił sobie runąć w dół.

- Doug? - Lana rozgarnęła palcami jego włosy i utkwiała spojrzenie w oknie. Z miejsca, gdzie leżała, widziała, jak kule ulicznych latarni zapalają się jedna po drugiej.

- Mmmm... Tak?

- Ja też mam o tym mniej więcej tyle do powiedzenia - westchnęła leniwie i przeciągnęła się, wciąż przygnieciona do materaca ciężarem jego ciała. - Mmmm...

Jego wargi drgnęły w uśmiechu tuż przy jej szyi. - To bardzo wyczerpujący opis sytuacji.

- Teraz chyba jestem ci winna kolację...

- Chyba tak. Czy to znaczy, że znowu ubierzesz się w kostium w paseczki i doprowadzisz mnie do szału?

- Szczerze mówiąc, chciałam zapytać, czy nie pożyczyłbyś mi koszuli na czas moich zmagañ z twoimi zapasami żywnościowymi. - Ziewnęła.

- Mogę pożyczyć ci koszulę, ale ostrzegam, że w kuchni nie ma zbyt wiele zapasów.

- Jestem cudotwórczynią. Och, i mam ci coś jeszcze do powiedzenia... Tym razem Doug podniósł głowę i zmierzył Lane uważnym spojrzeniem.

- Co takiego?

- Opiekunka Tylera wie, że wrócę dopiero koło północy, więc mam nadzieję, że masz w kuchni coś na wzmocnienie, bo jeszcze z tobą nie skończyłam.

Uśmiechnął się do niej, zachwycony i podniecony jednocześnie.

- Jak to się stało, że nie zauważyłem cię wcześniej?

- Najwyraźniej dopiero teraz nadszedł właściwy moment. Od dziś będziesz za mną tęsknił, ile razy wyjedziesz z miasteczka.

Ponieważ było to aż zbyt bliskie prawdy, Doug przetoczył się na brzeg łóżka i wstał.

- Muszę wycenić pewną bibliotekę - powiedział, otwierając szafę. - W Memfis.

- Ach, tak... - Usiadła i spokojnie poprawiła włosy. - Kiedy wyjeżdżasz?

- Za jakieś dwa, trzy dni. Zaraz po zakończeniu wyceny wracam do Woodsboro. - Odwrócił się, podał jej koszulę. - Wydaje mi się, że nie powinienem wyjeżdżać na długo właśnie teraz, kiedy rodzinne sprawy tak się skomplikowały.

Kiwnęła głową, zeskoczyła na podłogę i narzuciła koszulę na ramiona.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Twoja rodzina cię potrzebuje.

- Właśnie. I jeszcze coś...

Zerknęła na niego przez ramię, zapinając guziki. - Tak?

- Wygląda na to, że ja też jeszcze z tobą nie skończyłem.

- Dobrze. - Podeszła do niego, stanęła na palcach i pocałowała go lekko.

- To bardzo dobrze.

Uznała, że powiedziała dość dużo i ruszyła w stronę kuchni. Doug odgarnął sobie włosy z czoła i poszedł za nią.

- Nie wiem, czego szukasz... - zaczął.

Otworzyła lodówkę i zajrzała do środka. Koszula sięgała jej do połowy uda.

- Ja też nie wiem, dopóki tego nie znajdę - mruknęła.

- Nie miałem na myśli jedzenia.

- Zrozumiałam, co miałeś na myśli. - Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem. - Nie denerwuj się. Dobrze sobie radzę z życiem z dnia na dzień...

- Utkwiła wzrok we wnętrzu lodówki i pokręciła głową. - Najwyraźniej ty także, jeśli sądzić po fakcie, że masz tu sześciopak piwa, ćwierć litra mleka, dwa jajka i słoik majonezu...

- Zapomniałaś o szynce w pojemniku.

- Hmm... Dobrze, że uwielbiam wyzwania...

Otworzyła wszystkie szafki i znalazła cztery nie pasujące do siebie talerze, trzy szklanki, jeden kieliszek do wina oraz opakowanie pikantnych chrupek. Westchnęła i spojrzała na Douga z politowaniem.

- Do tych chrupek mam słabość od dziecka - usprawiedliwił się. - Podobnie jak do chipsów.

- Mhm... Tak, oto i ziemniaczane chipsy, słoik warzyw w octowej zalewie, pół bochenka trochę rozmiękłego pszennego chleba i do połowy zjedzone opakowanie ciastek...

Zawstydzony i trochę przestraszony, że Lana zaraz znajdzie litrowe opakowanie lodów i mrożoną pizzę, zasłonił lodówkę własnym ciałem.

- Mówiłem ci, że nie ma tu zbyt wiele. Możemy pójść gdzieś na kolację albo zamówić coś na wynos.

- Jeżeli wydaje ci się, że nie potrafię przygotować smacznego posiłku z tych dziwacznych składników, to jesteś w błędzie. Potrzebny mi tylko garnek, żeby ugotować jajka na twardo. Chyba masz jakiś garnek?

- Mam. Napijesz się piwa?

- Nie, dziękuję.

Doug wyjął garnek z szafki i podał go Lanie.

- Zaraz wracam - powiedział.

Zakasała rękawy i zabrała się do pracy. Jajka już się gotowały, kiedy zdyszany Doug wrócił z butelką wina.

- Pobiegłem na drugą stronę ulicy, do sklepu z alkoholem.

- To bardzo miło z twojej strony. - Uśmiechnęła się. - Tak, chętnie napiję się wina.

- Co robisz?

- Kanapki z sałatką z szynki i jajek. Zjemy je z chipsami, jak na pikniku.

- Dla mnie bomba. - Otworzył butelkę i napełnił winem jedyny kieliszek.

- Jak twoja mama odnosi się do twojego całkowitego braku umiejętności kulinarnych?

- Staramy się o tym nie wspominać, bo to bolesny temat. Chcesz posłuchać muzyki?

- Tak. Masz świece?

- Tylko białe, takie zwyczajne, na wypadek awarii sieci elektrycznej.

- Mogą być białe.

Lana potraktowała pomysł z piknikiem zupełnie poważnie i rozłożyła koc na podłodze w salonie. Zjedli kanapki przy muzyce, w łagodnym blasku świec, powoli popijając wino. Po kolacji znowu się kochali, niespiesznie, nawet leniwie, i wreszcie ułożyli się na kocu, przytuleni, nasyceni i szczęśliwi. Żadne nie drgnęło aż do chwili, kiedy za oknem rozległ się dźwięk syren.

- W Memfis będzie gorąco - odezwała się Lana.

- Na pewno.

- Wybierzesz się do Gracelandu? - Nie.

Przewróciła się na bok, podparła głowę ręką i uważnym spojrzeniem zbadała jego twarz.

- Dlaczego nie?

- Bo przecież... Po pierwsze, to straszny banał, a po drugie, jadę tam do pracy, nie po to, aby składać hołdy Królowi.

- Mógłbyś połączyć obie te rzeczy. - Lekko przechyliła głowę. - Powinieneś pojechać, dla rozrywki i dla zaspokojenia ciekawości. I oczywiście mógłbyś kupić mi jakiś niewiarygodnie idiotyczny upominek... - Pocałowała go w czubek nosa. - Muszę iść.

Nie chciał, żeby wychodziła i pragnienie, aby przytulić ją do siebie i zatrzymać naprawdę go przeraziło.

- Chciałabyś pójść ze mną do kina, kiedy wrócę?

Lana poczuła zadowolenie, że tym razem zaprosił ją pierwszy. - Tak.

Podniosła się i przeciągnęła, kiedy nagle rozdzwonił się tkwiący w jej torbie telefon komórkowy. Doug dostrzegł szybki błysk instynktownego lęku,

który natychmiast pojawił się w jej oczach.

- To na pewno Denny, opiekun Tylera.

Pośpiesznie otworzyła torbę, starając się uspokoić paniczny strach.

- Halo? Denny, co... Co takiego? O, mój Boże... Tak. Tak, zaraz tam będę. Rozłączyła się i z komórką w ręku pobiegła do sypialni.

Doug zerwał się z podłogi.

- Co się stało? - zapytał. - Coś z Tylerem?

- Nie - odpowiedziała, błyskawicznie wkładając bluzkę. - Z Tylerem wszystko w porządku. Moje biuro... Moje biuro się pali.

Mogła tylko stać i patrzeć, nic więcej. Stała więc po drugiej stronie ulicy i patrzyła, jak płomienie pożerają część jej życia.

Powtarzała sobie, że straciła już coś znacznie ważniejszego niż biuro, sprzęt, papier i meble. To wszystko mogła zastąpić nowymi rzeczami, mogła odbudować. A jednak z prawdziwym żalem żegnała stary budynek o śmiesznych pokojach, z oknami wychodzącymi na piękny park i rozciągające się w oddali pola.

Strażacy polewali także domy sąsiadujące z płonącym budynkiem, a równo przystrzyżone trawniki były teraz czarne od błota i zasypane śmieciami. Z wybitych okien wałyły kłęby dymu, przesłaniając czyste, usiane gwiazdami nocne niebo.

Co najmniej kilkadziesiąt osób wyległo z okolicznych domów lub obserwowało pożar z samochodów. Lana dostrzegła młode małżeństwo z dwojgiem małych dzieci, mieszkające na drugim piętrze sąsiedniego budynku. Wyglądali na bardzo przerażonych, kiedy stali tak na ulicy, przytuleni do siebie, trzymając rzeczy, które chwycili, opuszczając mieszkanie. Na razie nikt nie wiedział, czy także i ich domu nie zniszczył ogień.

- Lana! Odwróciła się szybko.

- Roger...

Widok starego przyjaciela, w kapciach i kurtce od piżamy wetkniętej pod pasek spodni, doprowadził ją do łez. Chwyciła jego rękę i mocno zacisnęła na niej palce.

- Syreny mnie obudziły - powiedział. - Wstałem, żeby napić się wody i wyjrzałem przez okno. Zobaczyłem dym. Byłaś w środku?

- Nie, nie. Byłam z Dougiem. Ktoś zadzwonił do mnie do domu i zawiadomił opiekuna Tylera, a on natychmiast dał mi znać... O, Boże, byle tylko ogień nie przeniósł się na inne domy...

Roger spojrzał na Douga.

- Może poszukamy jakiegoś miejsca, gdzie mogłabyś usiąść - zaproponował.

- Lana nie chce - odparł Doug. - Już próbowałem ją namówić.

- Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać... Zanim wynajęłam biuro, wszystkie instalacje były dokładnie sprawdzane, właściciel wymienił nawet kable... Byłam ostrożna, więc dlaczego...

- Musimy poczekać na raport strażaków - powiedział Doug.

Roger poczuł ulgę, kiedy zobaczył, jak jego wnuk schyla głowę i dotyka wargami włosów Lany.

Callie dowiedziała się o pożarze o szóstej pięćdziesiąt następnego dnia rano, kiedy Jake mocnym potrząśnięciem wyrwał ją z głębokiego snu.

- Odejdź, bo cię zabiję.

- Obudź się, Dunbrook. W nocy spaliło się biuro Lany Campbell.

- Co? Co takiego? - Callie przewróciła się na brzuch, odrzuciła włosy do tyłu i zamrugała gorączkowo. - Biuro Lany? O, Jezu... Gdzie ona jest?

- Nic jej się nie stało. - Jake zatrzymał ją, przygniatając jej ramię ręką. - Nie znam szczegółów, ale w porannym serwisie lokalnego radia podali, że w czasie gdy wybuchł pożar, w budynku nikogo nie było.

- O, Boże... - Callie przetarła twarz dłońmi i z powrotem padła na posłanie. - Jak nie urok, to przemarsz wojsk... Mówili, co było przyczyną pożaru?

Jake usiadł obok jej śpiwora.

- Podejrzewają, że biuro mogło zostać podpalone. Śledztwo dopiero się zaczęło.

- Podpalenie? Ale kto, na Boga... - Nagle przerwała. Jej umysł budził się wolniej niż ciało. - Lana jest moim adwokatem.

- Właśnie.

- W biurze znajdowały się notatki związane z naszymi poszukiwaniami.

- Otóż to.

- Czy to nie zbyt daleko posunięte podejrzenie? - mruknęła.

- Nie sądzę. Możliwe, że się okaże, iż jakieś dzieciaki bawiły się zapałkami, albo właściciel jest hazardzistą, miał problemy finansowe i podpalił budynek, by dostać pieniądze za ubezpieczenie, ale nie mniej prawdopodobne jest, że komuś nie spodobało się twoje grzebanie w przeszłości. - Delikatnie dotknął palcem czoła Callie. - Zresztą, i tak nie jesteśmy tu tak lubiani, jak byśmy chcieli...

- Chyba powinnam pojechać teraz do niej, zobaczyć, jak się czuje, a potem jak najszybciej ją zwolnić. - Callie westchnęła. - Lana ma małego synka, na miłość boską! Nie chcę, żeby jej lub jemu stało się coś złego tylko dlatego, że szukam odpowiedzi na niewygodne pytania!

- Nie znam jej zbyt dobrze, ale nie zrobiła na mnie wrażenia osoby,

którą można zastraszyć i zmusić, by się wycofała.

- Może i nie, lecz ja muszę rozwiązać z nią umowę. Potem pojedę do Atlanty. Wyjdź, chcę się ubrać.

- Kilka razy w życiu widziałem już, jak się ubierasz. - Nie ruszył się z miejsca, gdy Callie wytoczyła się ze śpiwora. - Zamierzasz pogadać w cztery oczy z synem Carlyle'a, tak?

- Masz lepszy pomysł?

- Nie, i właśnie dlatego wiem, że samolot linii Delta do Atlanry odlatuje za trochę ponad dwie godziny i że są w nim dwa wolne miejsca.

Spojrzała na niego spod ściągniętych brwi, sięgając po dzinsy.

- Potrzebne mi tylko jedno miejsce.

- Dobrze się składa, bo będziesz musiała zmieścić się na jednym. Drugie zajmę ja. Lecę z tobą - oświadczył, zanim zdążyła się odezwać. - Nie potrzebuję twojego pozwolenia. Możemy tracić czas na sprzeczkę, która i tak nic nie da, ale możesz też dla odmiany z godnością przyjąć porażkę. Nie pojedziesz do Atlanty sama, i tyle.

- Jesteś potrzebny na wykopalisku...

- Wykopalisko może poczekać. Nie kłóć się ze mną, bo postaram się, żebyś spóźniła się na samolot - zagroził, lekko podnosząc się z podłogi. - I zrobię to z przyjemnością. Dobrze pamiętam, jak interesujący staje się śpiwór, kiedy leżysz w nim naga...

Ponieważ ubrana była tylko w bardzo luźną koszulkę, szybko oceniła, że Jake ma nad nią sporą przewagę.

- Skoro mamy oboje lecieć do Atlanty, to przynajmniej zadzwoń do Leo. Spakuję parę rzeczy i za dziesięć minut będę gotowa. Wstąpimy do Lany pod drodze na lotnisko.

- Dobry plan. - Jake ruszył w stronę drzwi, lecz nagle przystanął. - Nie pozwolę, żeby coś ci się stało, tylko o to mi chodzi - rzekł powoli. - Z tym także będziesz musiała się pogodzić.

- Oboje wiemy, że potrafię o siebie zadbać.

- Tak, wiemy. Sęk w tym, że sprawy nie zawsze układają się tak, jak chcemy.

- Nie, to nie były dzieci bawiące się zapalkami...

Lana siedziała w swojej kuchni i piła kolejną filiżankę kawy, sama nie widziała już, którą. Jej głos był zachrypnięty ze zmęczenia.

- Podobno pożar wybuchł na drugim piętrze, w moim gabinecie. Prowadzący śledztwo ustalili już, że ktoś dostał się tam tylnymi drzwiami, bo zamek jest uszkodzony. Nie potrafią powiedzieć, czy przed rozprzestrzenieniem się ognia zabrano coś z szafy z aktami lub z komputera.

Podpalacz połał podłogę i biurko podpałką do grilla, poprowadził strumyk do holu, schodami w dół, na parterze rzucił zapaloną zapałkę i wyszedł.

- Tak to widzi policja? - upewniła się Callie.

- Tak. Strażacy też są absolutnie pewni, że było to podpalenie. Specjaliści uzupełnią później luki w tej wersji wydarzeń. Całe szczęście, że ogień nie przeskoczył na sąsiednie domy. Ten skurwysyn oczywiście nie pomyślał, że obok śpią ludzie z dziećmi, obchodziło go tylko to, żeby mi zaszkodzić. - Lana odsunęła kubek z kawą. - Nie pomyślał też, że mam kopię każdego dokumentu, tutaj, w domu. Kseruję wszystkie papiery i sejfuję wszystkie pliki komputerowe na dyskietkach.

- Ach, tak... - Jake stanął za Laną i zaczął powoli masować jej ramiona.

- Nie wiedział, że masz taki przyjemny pierwotny instynkt, co?

- Najwyraźniej nie wiedział. Och, dzięki... - Westchnęła głęboko, czując, jak bolesnie napięte węzły mięśni rozluźniają się stopniowo. - Uściskałabym cię za to, ale nie jestem w stanie się podnieść, a poza tym podejrzewam, że Callie nie byłaby tym zachwycona...

- Nie mieszam się do tego, kto ściska Jake'a i kogo on ściska - powiedziała Callie. Mimo tej deklaracji przyglądała się spod oka, jak Jake ugniata barki Lany. Doszła do wniosku, że jej podejrzliwość jest instynktowna. Mogło to prowadzić do poważnych kłopotów, bo Jake automatycznie spieszył ludziom z pomocą.

- Przykro mi, że tak się stało - rzekła. - Naprawdę bardzo mi przykro. Nie pracujesz już dla mnie.

- Słucham?

- Przyślij mi rachunek za usługi, a ja wypiszę czek. Przepraszam, że muszę oderwać od ciebie masażystę, ale spieszymy się na samolot...

Pod dłońmi Jake'a ramiona Lany w jednej chwili stały się twarde jak kamień.

- Jeżeli sądzisz, że możesz mnie zwolnić, bo uważasz, że podpalenie ma coś wspólnego z moją pracą dla ciebie, to chyba źle wybrałaś sobie adwokata. Nie wezmę od ciebie ani grosza, w ten sposób nie będziesz mogła mi mówić, co mam zrobić.

- Trafiała kosa na kamień - warknął Jake, nie przestając masować. Uważał, że miejsce za plecami Lany jest w tej chwili najbezpieczniejsze.

- Jeżeli nie życzę sobie, żebyś wtykała nos w moje sprawy, to masz go nie wtykać, i tyle - powiedziała ostro Callie.

- Jeżeli już dla ciebie nie pracuję, to nie masz nic do gadania.

- Na miłość boską, jeśli to rzeczywiście ma związek z moją sprawą, to nie wiadomo, co jeszcze może się zdarzyć! - wybuchnęła Callie. - Musisz

myśleć o dziecku!

- Chyba ci się nie wydaje, że masz prawo pouczać mnie, jak być matką i opiekować się synem! I nie wyobrażaj sobie, że wycofam się z umowy tylko dlatego, że robi się gorąco! Ktoś spalił moje biuro, do diabła, i stanę na głowie, żeby za to zapłacił!

Callie wyprostowała się i zabębniła palcami po stole.

- Więc za co ja ci właściwie płacę, skoro grozisz, że będziesz dla mnie pracować za darmo?!

- Za uczciwą grę.

- Graystone może ci powiedzieć, że nie mam nic przeciwko nieuczciwej grze...

- Ona uwielbia grać nie fair - przytaknął Jake. - Oczywiście, z tobą będzie grała fair, ponieważ cię lubi. W tej chwili jest wściekła, bo uprzedziłem ją, że nie poddasz się tak łatwo.

- Zamknij się. - Callie rzuciła mu płomienne spojrzenie. - Czy ktoś cię o coś pytał?

- Tak, ty.

- Dzieci, nie wolno się kłócić przy stole! - roześmiała się Lana. - Dokąd się spieszycie?

- Ja... To znaczy my... - Callie szybko się poprawiła, widząc, jak Jake marszczy brwi. - Lecimy do Atlanty, porozmawiać z synem Carlyle'a.

- Dlaczego uważacie, że będzie chciał rozmawiać z wami, skoro nie chciał nic powiedzieć detektywowi?

- Bo ja nie pozostawię mu wyboru - odparła Callie.

- Potrafi dręczyć człowieka tak długo, aż z krzykiem rzuca się do ucieczki albo poddaje się bez walki - wyjaśnił Jake scenicznym szeptem.

- Nie dręcę, tylko twardo obstaję przy swoim.

- Bardzo mi przykro, ale muszę wam powiedzieć, że wciąż zachowujecie się jak małżeństwo - oświadczyła Lana i natychmiast poczuła, jak palce Jake drgnęły gwałtownie. Callie się skrzywiła. - Nieważne... Uważam, że wpadliście na dobry pomysł. W bezpośredniej rozmowie z Callie będzie mu trudniej odmówić. Gdyby chciał skontaktować się ze mną, podajcie mu mój numer komórki i do domu. Będę pracowała tutaj, dopóki nie znajdę innego biura do wynajęcia.

W drodze na lotnisko oboje milczeli. Na lotnisku zamienili tylko kilka słów, a zaraz po wejściu do samolotu Jake obniżył oparcie fotela i przymknął oczy.

Callie wiedziała, że za mniej więcej dziesięć sekund będzie już spał. Jej zdaniem Jake posiadał umiejętność godną największej zazdrości - potrafił bez

trudu zasnąć w czasie lotu, niezależnie od tego, czy podróżowali potężnym odrzutowcem, czy puszką po sardynkach z pięcioma miejscami w środku. Jeżeli jego charakter nie uległ jakiegś gwałtownej zmianie, nawet nie drgnie do chwili, kiedy stewardesa zapowie lądowanie, pomyślała. Wtedy ocknie się i usiądzie, odświeżony i wypoczęty. Nie była w stanie tego pojąć.

Przesunęła swój fotel do tyłu, założyła ręce za głowę i postanowiła myśleć o wszystkim, tylko nie o następnych dwóch godzinach, które mieli spędzić w powietrzu.

Jake nie otwierał oczu. Dobrze wiedział, o czym Callie myśli. Wiedział też, że za dwie, trzy minuty wyprostuje się i zacznie rozglądać się dookoła, zirytowana beczynnością. Przejrzy jakieś czasopismo, zrugą się w myśli za to, że nie wzięła książki, a potem zajrzy do jego torby w nadziei, że może on zabrał ciekawą lekturę.

Co pięć lub sześć minut będzie zerkała na zegarek i obrzucała go ponurymi spojrzeniami, rozżalona, że on śpi, a ona nie. ...wciąż zachowujecie się jak małżeństwo...

Miałaś rację, Lano, ale nawet ty nie odgadłaś wszystkiego, pomyślał, starając się wyłączyć swoją wyostrzoną wrażliwość na odczucia siedzącej obok niego kobiety.

Biura kancelarii Carlyle'a w dzielnicy Buckhead spowite były szczególną aurą uroku starego Południa i zamożności. W wyłożonej ciemną boazerią recepcji poza nowoczesnym sprzętem biurowym znajdowało się kilka cennych, starannie wypolerowanych antycznych mebli.

Kobieta siedząca za dużym dębowym biurkiem robiła wrażenie równie atrakcyjnej, zadbanej i kosztownej jak wystrój, jej uśmiech był ciepły, głos słodki jak miód. Mimo to była twarda jak stal.

- Bardzo mi przykro, ale kalendarz pana Carlyle'a jest szczelnie wypełniony. Z przyjemnością umówię państwa na spotkanie, niestety, dopiero w przyszły czwartek.

- Przyjechaliśmy do Atlanty tylko na jeden dzień - powiedziała Callie.

- Tym bardziej mi przykro... Może spróbuję zaaranżować konsultację telefoniczną...

- Rozmowy telefoniczne są takie bezosobowe... - Jake zerknął na mosiężną tabliczkę z nazwiskiem na biurku, wzmocnił siłę swego uśmiechu i spojrzał kobiecie prosto w oczy. - Nie odnosi pani podobnego wrażenia, panno Biddle?

- Wszystko zależy od tego, z kim się rozmawia. Gdyby określili państwo, o jakiego rodzaju sprawę chodzi, mogłabym skierować państwa do jednego ze współpracowników pana Carlyle'a...

- To prywatna sprawa - rzuciła Callie.

Panna Biddle zmierzyła ją dość krytycznym wzrokiem.

- Z przyjemnością przekażę panu Carlyle'owi wiadomość od państwa. Proponuję też spotkanie w przyszły czwartek, o czym już państwu wspominałam.

- Sprowadza nas prywatna sprawa o charakterze rodzinnym - dodał Jake, z rozmysłem stając na dużym palcu prawej stopy Callie i skupiając całą uwagę na pannie Biddle. - Dotyczy ona Marcusa Carlyle, ojca Richarda. Gdyby mimo wszystko postarała się pani o kilkuminutową rozmowę z panem Carlyle, oczywiście dzisiaj, nie w przyszły czwartek, byłibyśmy bardzo wdzięczni. Jestem przekonany, że pan Carlyle chętnie poświęci nam trochę czasu.

- Są państwo rodziną pana Carlyle'a? - zainteresowała się panna Biddle.

- Można tak powiedzieć. Dziś wieczorem wyjeżdżamy z Atlanty, a sądzę, że pan Carlyle żałowałby, że się z nami nie spotkał.

- Proszę podać mi nazwiska, dobrze? Powiem mu, że są państwo tutaj, nic więcej nie mogę zrobić.

- Callie Dunbrook i Jacob Graystone. Bardzo dziękuję, panno Biddle.

- Zaraz sprawdzę, czy pan Carlyle już skończył rozmowę...

Kiedy Jake zdjął but z palca Callie, ta szybko kopnęła go w kostkę i poszła usiąść w wygodnym fotelu pod oknem.

- Nie bardzo rozumiem, jakim cudem te twoje kłamstwa mają ułatwić nam spotkanie z Carlyle'em - burknęła.

- Nie kłamałem, tylko trochę minąłem się z prawdą. Dzięki temu urobiłem pannę Biddle na tyle, że Poszła powiedziec mu o naszej obecności.

Callie sięgnęła po leżącą na stoliku gazetę, otworzyła ją i natychmiast odłożyła na poprzednie miejsce.

- Dlaczego musisz flirtować z każdą kobietą, jaką spotykasz? - zapytała z oburzeniem.

- Taki mam zapis genetyczny, jestem ofiarą własnej fizjologii. Daj spokój, skarbie, przecież wiesz, że nie liczy się dla mnie nikt poza tobą.

- Tak, już to kiedyś słyszałam.

- Słyszałaś, ale nie słuchałaś i nie starałaś się zrozumieć, co mówię. Musimy sobie wiele wyjaśnić - Kiedy znajdziesz już odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące przeszłości, poszukamy rozwiązań dla naszych problemów.

- Znaleźliśmy rozwiązanie dla naszych problemów - powiedziała niepewnie. Sęk w tym, że chyba nie było to właściwe rozwiązanie...

- Nawet nie zaczęliśmy szukać, do diabła! - Jake się zniecierpliwił. - Przez prawie cały ubiegły rok zadawałem sobie pytanie, jak mogliśmy tak

pokpić sprawę.

Callie poczuła nagłe ukłucie niepokoju.

- Nie męcz mnie - mruknęła. - Mam teraz wystarczająco dużo na głowie.

- Wiem. Chcę tylko, żebyś pamiętała - przerwał, bo z gabinetu Carlyle'a wyłoniła się panna Biddle.

Wybrałem zły moment, pomyślał z irytacją. Callie potrzebuje teraz pomocy, nie dodatkowych komplikacji.

- Pan Carlyle może poświęcić państwu dziesięć minut - odezwała się panna Biddle. - Proszę pójść schodami na pierwsze piętro, tam czeka na państwa jego asystentka.

- Dziękuję. - Jake ujął Callie za ramię i skierował ją ku schodom. - Widzisz? Trzeba umieć docenić potęgę mijania się z prawdą...

Pierwsze piętro robiło równie imponujące wrażenie jak parter. Callie nie miała wątpliwości, że Carlyle jest bogatym snobem i człowiekiem sukcesu.

Biuro przypominało gabinet dżentelmena. Duży pokój, o elegancko skąpym, męskim w tonie wystroju. Dwie ściany pokryte półkami z książkami, na pozostałych dwóch wisiało kilka obrazów amerykańskich malarzy. Wszędzie dominowały kolory granatowy i bordowy, skóra i mosiądz.

Richard Carlyle stał za biurkiem. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o świetnie ostrzyżonych szpakowatych włosach, zaczesanych do tyłu i odsłaniających wysokie czoło, wąskim nosie i wargach. Gdy wyciągnął rękę, Callie zauważyła ozdobione monogramem spinki do mankietów, zegarek Rolex oraz wysadzaną brylantami obrączkę. Przypomniała sobie, że Henry Simpson opisał Marcusa Carlyle'a jako przystojnego, dynamicznego mężczyznę o doskonałym guście. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślała.

- Witam państwa - odezwał się Richard Carlyle. - Mają państwo pewną przewagę nade mną, bo ja nie wiem, jakie więzi nas łączą...

- Dotyczy to pańskiego ojca - odparła Callie. - I jego kontaktów z moją rodziną. Bardzo mi zależy, aby dowiedzieć się, gdzie przebywa Marcus Carlyle.

- Rozumiem... - Richard Carlyle zaplótł palce, jego twarz straciła wyraz uprzejmego zaciekawienia. - Ponieważ już po raz drugi w ciągu ostatnich dni słyszę pytanie o miejsce pobytu mojego ojca, podejrzewam, że źródłem tego nagłego zainteresowania jest jedna i ta sama osoba. Niestety, nie mogę pani pomóc. Mam niewiele czasu, więc...

- Nie chce pan wiedzieć, dlaczego?

Z piersi Carlyle'a wyrwało się lekkie westchnienie.

- Szczerze mówiąc, sprawy związane z moim ojcem nie bardzo mnie

interesują. Państwo wybaczą, ale...

- Pana ojciec zajmował się tak zwanymi nielegalnymi adopcjami - organizował porwania dzieci, które następnie sprzedawał bezdzielnym małżeństwom, przekonanym, że wszystko zostało załatwione zgodnie z prawem. Przygotowywał i fałszował dokumenty, których nigdy nie składał w żadnym sądzie.

Richard Carlyle wpatrywał się w Callie nieruchomym wzrokiem.

- To mało zabawne - rzekł. - Ostrzegam, że tego rodzaju oskarżenia można śmiało uznać za próbę zniesławienia. - Wciąż mroził ją zimnym spojrzeniem niebieskich oczu, które musiało przyprawić o dreszcz niejednego świadka. - Jakie ma pani dowody?

- Ja jestem żywym dowodem. Jako niemowlę zostałam porwana i sprzedana klientom pańskiego ojca. Transakcji dokonano w jego bostońskim biurze, w grudniu 1974 roku.

- Posiada pani mylne informacje.

- Nie. Mam dużo pytań do Marcusa Carlyle'a. Gdzie on jest? Richard Carlyle milczał długą chwilę.

- Chyba nie spodziewa się pani, że uwierzę w te oskarżenia, ot, tak, na słowo - powiedział w końcu.

Callie sięgnęła do torby.

- Mam tu kopie dokumentów adopcyjnych, może pan je obejrzeć i sprawdzić. Nie złożono ich w sądzie. Są tu także potwierdzenia odbioru sum, jakich pański ojciec żądał za przeprowadzenie adopcji i kserokopie wyników badań, stwierdzających, że jestem biologiczną córką Jaya i Suzanne Cullen, których trzymiesięczna córeczka została porwana w grudniu 1974 roku. Oto raporty policji... - Callie ruchem głowy wskazała plik kartek, które położyła na biurku. - I artykuły prasowe.

- Powinien pan je przeczytać - zasugerował Jake, siadając na krześle. - Proszę się nie spieszyć.

Palce Richarda drżały lekko, kiedy wyjmował z kieszeni okulary w złotych oprawkach.

- To nie są dowody - przemówił po chwili. - Oskarżacie mojego ojca o handel dziećmi, porwanie i fałszerstwo... - Zdjął okulary. - Nie pozostaję z nim w bliskich stosunkach, mogę nawet powiedzieć, że wiele nas dzieli, ale nigdy nie uwierzę, że zrobił coś takiego. Jeżeli nadal będziecie upierać się przy tych oskarżeniach, podejmę odpowiednie kroki prawne.

- Proszę bardzo... - Callie odrzuciła włosy do tyłu. - Zamierzam upierać się przy tych oskarżeniach, dopóki nie otrzymam odpowiedzi na moje pytania. Nie przestanę, dopóki ludzie odpowiedzialni za to, co spotkało rodzinę

Cullenów i inne rodziny, nie zostaną ukarani. Gdzie jest pana ojciec?

- Ostatni raz widziałem ojca ponad piętnaście lat temu - odpowiedział Carlyle ze złością.

- Zresztą, nawet gdybym znał miejsce jego pobytu, i tak bym go nie zdradził. Osobiście zbadam tę sprawę, tego możecie być pewni. Nie wierzę, aby w waszych słowach było choć źdźbło prawdy, ale jeżeli okaże się, iż nie mam racji, zrobię co w mojej mocy, aby odszukać ojca i... Zrobię wszystko co w mojej mocy, jak mówię.

- Ktoś próbował położyć kres naszym poszukiwaniom - powiedział Jake spokojnie. - Doszło do napadu oraz podpalenia...

- Ojciec ma dziewięćdziesiąt lat, na miłość boską! - Carlyle nerwowo przygładził włosy na czubku głowy. - Kiedy go widziałem, był po zawale. To ciężko chory człowiek, nie byłby w stanie nikogo zaatakować...

- Ktoś, kto potrafił zorganizować sieć handlu dziećmi, na pewno byłby w stanie wynająć bandziorów do mokrej roboty.

- Wcale nie wierzę, że ojciec miał coś wspólnego z siecią, o której mówicie. Wszystko, co tu widzę, to przypuszczenia i poszlaki. Marcus Carlyle był marnym ojcem, złym mężem i trudnym człowiekiem, ale także dobrym prawnikiem, szanującym system prawny tego kraju i instytucję adopcji. Pomagał ludziom budować rodziny i szczyił się tym.

- Szczyił się, że niszczył jedne rodziny, aby stworzyć inne? - Callie pokręciła głową. - Bawił się w Boga, to oczywiste!

- Powiedziałem już, że osobiście zbadam tę sprawę. Nalegam, abyście zaniechali szerzenia tych uwłaczających, oszczerczych oskarżeń. Jeżeli podacie mojej asystentce numery telefonów, skontaktuję się z wami natychmiast po ustaleniu, co się faktycznie wydarzyło.

Jake podniósł się z krzesła, zanim Callie zdążyła się odezwać.

- To dziwne uczucie, prawda? - zagadnął. - Obraz rodziny, jaki nosi się w sobie, poczucie własnej wartości, to wszystko pęka w jednej chwili, rozsypuje się w proch. - Wziął Callie za rękę. - To samo przydarzyło się jej. Zobaczymy, czy masz chociaż połowę jej determinacji i siły ducha. I zapamiętaj sobie - znajdziemy go, choćbym miał na to poświęcić całe życie. Nikomu nie pozwolę skrzywdzić Callie... - Lekko ścisnął jej rękę, uśmiechnął się w odpowiedzi na jej spojrzenie. - Nikomu nie ujdzie to na sucho, nikomu poza mną... Chodźmy.

Callie nie odezwała się ani słowem, dopóki nie wyszli z budynku.

- Niezłe przemówienie, Graystone.

- Podobało ci się?

- Było trafne i skuteczne. Nie przyszło mi do głowy, że jestem

skrzywdzona. Wściekła, gotowa na wszystko, zagubiona - tak, ale nie skrzywdzona.

- Ale to prawda. Jesteś skrzywdzona i smutna.

- To nie jest najważniejsze.

- Długo o tym myślałem i dziś wiem, że ja także skrzywdziłem cię i unieszczęśliwiłem.

- A ja Ciebie...

Wsunął dłoń pod jej podbródek i lekko uniósł twarz ku sobie.

- Jednego jestem pewny, czułem się szczęśliwszy z tobą niż bez Ciebie.

Sprzeczne myśli gorączkowo zawirowały w jej głowie.

- Cholera jasna... - wykrztusiła z trudem.

- Chciałem, żebyś o tym wiedziała. Ponieważ jesteś kobietą inteligentną, bez trudu dojdiesz do wniosku, że wolę być szczęśliwy niż nieszczęśliwy. Dlatego zamierzam cię odzyskać.

- Nie jestem... Nie jestem jakimś jo - jo.

- Jo - jo zawsze wraca, kiedy trochę popracuje się nad koordynacją ruchów. Ty nie jesteś zabawką, Dunbrook, odzyskanie Ciebie to ciężka harówka. Chcesz stać tutaj, na chodniku, i omawiać kwestię mojego przyszłego szczęścia?

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie.

- Możemy zostać w Atlancie i spróbować przycisnąć faceta albo pozwolić mu poddusić się we własnym sosie. W mieście jest drużyna Braves, moglibyśmy wybrać się na mecz. Możemy też wrócić do Woodsboro i zabrać się do pracy...

- Chyba nie zamierzasz mi mówić, co mam zrobić? Jake skrzywił się lekko.

- Naprawdę staram się kontrolować ten odruch. Jak mi idzie?

- Szczerze mówiąc, całkiem nieźle. - Uległa impulsowi, musnęła jego policzek czubkami palców i zaraz odwróciła się, żeby spojrzeć na biuro Richarda Carlyle'a. - Powiedział, że nie widział ojca od piętnastu lat, ale w pierwszej chwili bez wahania stanął w jego obronie.

- To instynkt - kulturowy, społeczny, rodzinny, wszystko jedno, jak go nazwiemy. Członkowie rodziny bronią się nawzajem przed obcymi.

- Nie wierzę, że naprawdę nie wie, gdzie jest jego ojciec. Może nie zna na pamięć adresu, ale przecież musi wiedzieć, jak się z nim skontaktować. Jeżeli teraz spróbujemy go przycisnąć, stawi opór, prawda?

- Najprawdopodobniej. A potem albo przedstawi ojcu informacje, które mu przekazaliśmy, i zażąda wyjaśnień, albo po prostu go ostrzeże.

- Nie musimy przejmować się tą ostatnią opcją, ponieważ Carlyle i tak

już wie, że go szukamy, jestem tego pewna. Dajmy mu kilka dni. Moim zdaniem powinniśmy wrócić do pracy i do listy nazwisk, jaką dostaliśmy od Suzanne.

- Rozumiem, że mogę pożegnać się z wizją apartamentu w Ritzu, z wielkim łóżkiem z baldachimem, na którym leżałabyś naga i całkiem pijana?

- Tak jest, możesz się z nią pożegnać.

Pewnie jestem idiotką, pomyślała, ale ja też jestem szczęśliwsza z nim niż bez niego.

- W zamian możesz postawić mi drinka na lotnisku i robić uwagi o erotycznym podtekście - dodała z uśmiechem.

- Skoro nie ma innej możliwości, poszukajmy taksówki i zmywajmy się stąd.

- Wróciłaś! - Bili McDowell podbiegł do Callie, ledwo pojawiła się za bramą terenu. Jego młoda, pełna entuzjazmu twarz jeszcze lśniła czystością po porannym prysznicu.

Callie odchrząknęła i spojrzała na Frannie, trzymającą przyrządy miernicze.

- Nie było nas tylko jeden dzień - zauważyła.

- Tak, wiem, ale nikt nie był pewny, kiedy wrócisz. Dziś rano musiałem pójść do dentysty, inaczej byłbym tu wcześniej.

- Yhmm... Jak wam wczoraj poszło?

- Świetnie - oświadczył Bili. - Wspaniale, nie mieliśmy żadnych problemów. Masz naprawdę ładne zęby...

Callie z trudem stłumiła chichot.

- Dziękuję. - Odnotowała na przyrządzie wysokość, dzięki której mogła określić głębokość położenia tkwiących w ziemi przedmiotów. - Następny punkt, Frannie.

Pomyślała, że Jake bardzo trafnie opisał parę młodych ludzi z Wirginii Zachodniej. Frannie była chuda, głupiutka i zupełnie zbzikowana na punkcie Chucka, lecz chętnie i sprawnie wykonywała polecenia. I w przeciwieństwie do Billa, nie dyszała jej ciągle prosto w kark i nie zadawała niekończących się pytań.

Przesunęła przenośny teleskop, ustawiła ostrość na nowej pozycji, odnotowała drugi odczyt głębokości. Bili cały czas kręcił się za jej plecami. Czowała zapach jego wody po goleniu, środka odstraszającego komary i bakteribójczej listeryny.

- Znalazłem wczoraj kilka glinianych skorup - oznajmił Bili. - Sfotografowałem je, więc gdybyś chciała obejrzeć zdjęcia, mam je na swoim stanowisku. Zrobiłem je polaroidem, do własnego archiwum. Dory też

fotografowała. Hej, Dory, jak ci leci?

- Cześć, Bili. Masz jakieś ubytki?

- Na szczęście nie. Posłuchaj, Callie... - Tak?

- Wczoraj wieczorem napisałem raport. Te skorupy są naprawdę godne uwagi, Digger mówi, że prawdopodobnie są to kawałki garnka. Są ozdobione rytymi wzorami i...

- Świetnie. - Callie zanotowała następne dane. - To na razie tyle, Frannie, dziękuję. - Przepisała wymiary na swoją tabliczkę i rzuciła Billowi roztargnione spojrzenie. - Pracuj dziś w tym samym miejscu. Może znajdziesz jeszcze coś ciekawego.

- Miałem nadzieję, że popracujemy razem... - Bili nie potrafił ukryć rozczarowania.

- Może później.

- Cóż, trudno... Jasne... Tak czy inaczej, chciałem ci powiedzieć, że to wszystko jest o wiele bardziej interesujące, niż sądziłem. Oczywiście, odsuwanie kolejnych warstw ziemi trwa strasznie długo, ale nagle znajdujesz coś wspaniałego i to jest zupełnie niezwykle przeżycie. Gdybyś potrzebowała kogoś do pomocy, zawsze możesz mnie zawołać... Na pewno, pracując z tobą przez jeden dzień, nauczyłbym się więcej niż przez miesiąc z kim innym...

Callie przypomniała sobie, że ma tu nie tylko kopać, ale także uczyć. Wzbogacanie doświadczenia młodych archeologów było przecież równie ważne jak dokonywanie odkryć.

- Spróbujemy jutro - obiecała z przychylnym uśmiechem.

- Och, super! - Bili się ucieszył i truchtem odbiegł w kierunku swojej działki.

- Uważaj, żebyś nie dostała wysypki od tego bezustannego kadzenia ci - odezwał się Jake.

- Zamknij się - mruknęła. - Chłopak ma mnóstwo entuzjazmu, to wszystko. Wyznacz jedną z tych zalecających się do ciebie pięknotek, żeby zaczęła dzielić teren na trójkąty. Może Sonię... I przydziel jej Dory do pomocy.

- Już kazałem im wziąć się do roboty. - Jake wskazał miejsce, gdzie dwie dziewczyny pracowały z miarkami i sznurem. - Od przyszłego tygodnia Sonia będzie przyjeżdżać tylko na weekendy. Zaczyna normalne zajęcia.

- A Dory?

- Wystąpiła o urlop naukowy, bo chce tu zostać. Chuck i Frannie na razie nie wracają na uczelnię, Matt także. Bili oczywiście zostaje, w żaden sposób nie udałoby się go odciągnąć od ciebie. Stracimy jeszcze dwoje studentów młodszych lat, też z powodu zajęć, ale Leo już stara się o zastępstwa.

- Wobec tego gońmy ich do roboty, dopóki jeszcze możemy.

Rozdzielili się. Jake wrócił do pracy na terenie, gdzie kiedyś stały chaty, a Callie na swoje cmentarzysko.

Pracowała w pulsujących dźwiękach muzyki puszczonej przez Diggera, w gwarze dobiegającym ze stanowiska pianistów i głośnym świergocie ptaków. Zamknięta w nieprzenikalnym pęcherzyku swojej wewnętrznej ciszy, nie zwracała uwagi na hałas, bez reszty skupiona na pracy.

Pod palcami miała wilgotną ziemię i słyszała tylko chrzęst drobnych kamyczków, zsuwających się z ostrza łopaty. Słońce grzało jej plecy, a lekki powiew od czasu do czasu osuszał pot.

Manewrując kielnią, pędzlem i dłutkiem, powoli i cierpliwie odsłaniała odległą przeszłość, podczas gdy jej umysł metodycznie segregował informacje dotyczące jej własnej historii.

William Blakely, ginekolog Suzanne, oszczędził na emeryturę dwanaście lat po tym, jak pomógł jej urodzić zdrową dziewczynkę, ważącą nieco ponad trzy i pół kilo. Czternaście lat po przejściu na emeryturę Blakely umarł na raka prostaty, zostawiając wdowę, która wcześniej była jego sekretarką i pielęgniarką, oraz troje dzieci. Kobieta, która pracowała jako recepcjonistka w gabinecie doktora Blakely w interesującym Callie okresie, także przeszła na emeryturę, i niedługo potem wyprowadziła się z Marylandu.

Callie zamierzała złożyć wizytę wdowie po doktorze Blakely i jak najszybciej zdobyć więcej informacji o jego dawnej recepcjonistce. Postanowiła odszukać pielęgniarkę, która była obecna przy obu porodach Suzanne, a także kobietę, która leżała z nią w tym samym pokoju w szpitalu.

Pediatra, który leczył dzieci Suzanne, nadal praktykował, więc Callie planowała umówić się z nim na spotkanie w najbliższych dniach.

Przypomina to dzielenie terenu na działki, pomyślała. Każde z tych nazwisk jest niczym wskazówka, dzięki której odkrywam kolejny fragment przeszłości. Doszła do wniosku, że musi naszkicować siatkę, która pozwoli jej zorientować się, co kryje się pod tymi fragmentami.

Starannie omiotła z ziemi kość szczękową świeżo wydobytej czaszki.

- Kim byłeś? - zapytała cicho.

Sięgnęła po aparat fotograficzny, nie znalazła go, więc spojrzała przez ramię.

- Ja go mam! - Dory przykucnęła na brzegu wykopu i wycelowała obiektyw w czaszkę. - Zostałam wybrana jako ta, która ma jechać po lunch. - Wstała i przeszła trochę dalej, aby wykonać następną serię zdjęć z innego kąta. - Mam na imię Dory i będę cię dziś obsługiwać... Co chciałabyś zamówić?

- Chyba dużą kanapkę z klopsikami na zimno, podwójnym sosem i

serem. I torebkę chipsów, najlepiej śmietanowo - cebulowych.

- Jak to jest, że codziennie jesz takie tuczące świństwa i nie przybierasz na wadze? - Dory odłożyła aparat. - To niesprawiedliwe! Wystarczy, że spojrzę na chipsy i już jestem o dwa kilogramy cięższa. Nienawidzę takich kobiet jak ty... Cóż, ja zjem sobie chudy jogurt...

Wyjęła z tylnej kieszeni spodni notes i zapisała zamówienie Callie.

- Dać ci pieniądze? - zapytała Callie.

- Nie, oddasz później. A właśnie, dziś wieczorem organizujemy pokerka. Jesteś zainteresowana?

- Tak, ale muszę pracować.

- Każdy potrzebuje trochę odpoczynku. Odkąd tu przyjechałam, ani razu nie miałas wolnego wieczoru. Albo grzebiez w ziemi, albo gdzieś jedziesz. Wczoraj byłaś w Atlancie, w zeszłym tygodniu w laboratorium w Baltimore...

- Skąd wiesz, że byłam w Atlancie? - przerwała jej Callie.

Dory skrzywiła się, wyraźnie zaskoczona ostrym tonem szefowej.

- Rosie wspomniała mi, że musieliście z Jakiem wybrać się do Atlanty w sprawach służbowych. Przepraszam, nie zamierzałam się wtrącać...

- Nic nie szkodzi, w nic się nie wtrącałaś - załagodziła Callie. - Postaram się skończyć dziś trochę wcześniej, ale mam sporo zaległości do nadrobienia. Konsultuję inny projekt, a to pochłania mnóstwo czasu...

- Jasne. Jeżeli zdążysz, po prostu dostawimy dla ciebie krzesło. - Dory podniosła się, otrzepała kolana i ruchem głowy wskazała wydobytą czaszkę. - Założę się, że ten tu nie jadał na lunch kanapek z klopsikami na zimno...

- Mało prawdopodobne. - Callie się uśmiechnęła.

- Przynajmniej to jest jakaś pozytywna strona postępu - powiedziała Dory, idąc do samochodu.

Callie zaczekała, aż Dory odjedzie i szybko wyskoczyła z wykopu. Przywołała Rosie i podeszła do chłodziarki.

- O co chodzi? - zapytała Rosie.

- Mówiłaś komuś o moim wyjeździe do Atlanty?

Rosie wyjęła z chłodziarki podpisany jej imieniem dzbanek oranżady.

- Niewykluczone... - powiedziała. - Twój nie do końca tajemniczy wielbiciel wpadł w rozpacz, kiedy się dowiedział, że cię nie będzie, więc wyjawiał mi, że masz coś ważnego do załatwienia na południu i wrócisz za dzień lub dwa. Możliwe, że słyszał to ktoś jeszcze. Dlaczego pytasz? Czyżby była to jakaś tajemnicza misja?

- Nie. - Callie wzruszyła ramionami. - Tak tylko, trochę się zdziwiłam...

- Ściągnęła brwi i uważnie spojrzała na pracującego w pobliżu Billa. - Zadawał ci jeszcze jakieś pytania na mój temat?

- Ciagle mi jakieś zadaje. Na przykład wczoraj chciał wiedzieć, co robisz w wolnym czasie i czy masz chłopaka.
- Chłopaka? - westchnęła Callie. - Litości...
- Kiedy jest pewny, że Jake nie patrzy, rzuca mu mroczne, niechętne spojrzenia, a na twój widok robią mu się maślane oczy.
- Zachowuje się jak dwunastolatek!
- Ale skończył dwadzieścia cztery. - Rosie z uśmiechem szturchnęła Callie łokciem w bok. - Daj spokój, nie obruszaj się tak! Bądź dla niego miła.
- Staram się...

Słowa Rosie uświadomiły jej jednak, że zapędy Billa łatwo mogą stać się pożywką dla plotek. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie jeszcze ograniczyć kontakty z młodym naukowcem i następnego dnia sama, bez Jake'a, wyruszyła w poszukiwaniu następnego fragmentu układanki.

Lorna Blakely miała szpakowate włosy o metalicznym połysku i hodowała cztery koty. Nie otworzyła drzwi ze stalowej siatki i spoza nich podejrzliwie przyglądała się Callie, podczas gdy koty miauczały i kręciły się wokół jej nóg.

- Nie znam nikogo o nazwisku Dunbrook.
- Wiem, proszę pani. Chciałabym porozmawiać o jednej z pacjentek pani męża, Suzanne Cullen.

Ta część Hagerstown, gdzie mieszkała wdowa po doktorze Blakely, wydawała się spokojna, cicha i całkowicie bezpieczna. Callie zastanawiała się, dlaczego kobieta wyraźnie boi się wpuścić ją do środka i na czym opiera przekonanie, że siatkowe drzwi mogą ją uchronić przed napadem.

- Mój mąż nie żyje.
- Tak, mówiono mi o tym. Był lekarzem Suzanne Cullen, asystował przy obu jej porodach. Pamięta ją pani?
- Oczywiście! - Lorna Blakely rzuciła Callie urażone spojrzenie. - Nie mam sklerozy. Suzanne Cullen mieszka w Woodsboro, na południu okręgu, i ma wielką firmę cukierniczą. Miła młoda kobieta, urodziła ładne dzieci. Jedno zostało porwane, coś potwornego...
- Właśnie o tym chciałam z panią porozmawiać - wtrąciła Callie.
- Jest pani z policji? To było jakieś trzydzieści lat temu... Rozmawiałam wtedy z policją.
- Nie, nie jestem z policji.

Callie nie była pewna, do jakiego stopnia może zaufać instynktowi i zdrowemu rozsądkowi, które podpowiadały jej, że ta drobna, podejrzliwa starsza pani ze stadkiem kotów nie jest typem porywaczki niemowląt. Wreszcie podjęła decyzję.

- To ja jestem tym porwanym dzieckiem - oświadczyła. - Jestem córką Suzanne Cullen.

- Dlaczego nie powiedziała pani tego od razu, do diabła? - Lorna przekreśliła zasuwkę i pchnięciem dłoni otworzyła siatkowe drzwi. - Jak się czuje pani mama? Nie słyszałam o pani odnalezieniu, ale cóż, ostatnio rzadziej oglądam wiadomości. Po śmierci Williama świat przestał mnie ciekawić...

- Dopiero parę dni temu dowiedziałam się, że to doktor Blakely prowadził moją matkę w czasie ciąży i był obecny podczas porodu. Gdybym mogła zadać pani kilka pytań, może łatwiej byłoby mi się zorientować, co się wtedy wydarzyło...

- Nieprawdopodobna historia! - Lorna potrząsnęła głową, rozsiewając dookoła srebrzyste spinki do włosów. - Zupełnie jak z programu w rodzaju „Ktokolwiek widział”, czy coś takiego! Proszę, niech pani siada...

Poszła przodem, prowadząc Callie do małego salonu, gdzie stały dwa stoliki z klonowego drewna, sofa i krzesła pokryte różową tkaniną w niebieskie kwiatki. Na stolikach paliły się bliźniacze lampy z chińskiej porcelany.

Lorna usiadła na krześle i oparła stopy na niskiej otomanie. Kiedy Callie usadowiła się na sofie, wszystkie koty natychmiast wskoczyły jej na kolana.

- Niech się pani nie przejmuję, moje koty są spragnione towarzystwa. Córka Suzanne, po tylu latach, kto by pomyślał... Właściwie to jest pani do niej podobna, tak... Suzanne świetnie radziła sobie w czasie porodu - dodała Lorna. - Silna, zdrowa dziewczyna, wprost stworzona do tego, aby mieć dużą rodzinę. Serce mi pękało, kiedy patrzyłam, jak po stracie dziecka coraz bardziej traciła chęć do życia...

- Pracowała pani z mężem, prawda?

- Tak, całe dwadzieścia cztery lata.

- Czy w czasie drugiej ciąży Suzanne ktoś wypytywał o nią, wydawał się szczególnie zainteresowany jej dzieckiem? Pamięta może pani, czy...

- Po porwaniu policja zadawała nam podobne pytania. - Lorna powoli pokiwała głową. - Nie potrafiliśmy im nic powiedzieć. Mąż był strasznie przygnębiony, bo naprawdę kochał dzieci, zwłaszcza te, którym pomógł przyjść na świat.

- Pamięta pani innych pracowników męża?

- William zatrudnił recepcjonistkę i jeszcze jedną pielęgniarkę, Hallie. Pracowała u nas dziesięć lat... Nie, nie dziesięć, jedenaście. Tak, równo jedenaście lat...

- Hallie była pielęgniarką, tak? A recepcjonistka? Nazywała się Karen Younger, prawda?

- Tak. Przeprowadziła się do Hagerstown z Waszyngtonu. Była u nas

przez sześć lat, może trochę więcej, potem jej mąż dostał pracę gdzieś w Teksasie i wyjechali. Co roku przysyłała nam życzenia na Boże Narodzenie i zawsze pisała, że brakuje jej takiego pracodawcy jak mój mąż. Była dobrą dziewczyną, urodziła tu swoje drugie dziecko, chłopca. Po jego urodzeniu przepracowała jeszcze dwa lata.

- Wie pani może, do jakiej miejscowości w Teksasie wyjechali?

- Oczywiście, przecież mówiłam już, że nie mam cienia sklerozy. Zamieszkali w Houston. Mają teraz dwoje wnuków.

- Mogłabym dostać jej adres? - zapytała Callie. - I Hallie? Chciałabym skontaktować się z nimi, bo przecież zawsze istnieje szansa, że zapamiętały coś ważnego.

- Nie bardzo wyobrażam sobie, co mogłyby sobie przypomnieć teraz, skoro wtedy nic nie umiały powiedzieć. Porwał panią ktoś obcy, takie rzeczy często się zdarzają. Ludzie są okropni.

- W szpitalu było też wiele innych osób, które znały pani męża i wiedziały, że Suzanne urodziła dziecko. Salowe, położne, pielęgniarki, lekarze... Jedna z pielęgniarek opiekowała się Suzanne w czasie obu porodów. Pamięta pani, jak się nazywała?

Lorna lekko wydeła policzki.

- To mogła być Mary Stern albo Nancy Ellis... Nie jestem pewna, ale William najczęściej prosił o pomoc którąś z nich.

- Nadal mieszkają w okręgu?

- O ile mi wiadomo, to tak. Kiedy zostaje się wdową, ludzie odwiedzają człowieka coraz rzadziej, dzwonią tylko od czasu do czasu... Jeżeli chce pani rozmawiać ze wszystkimi, którzy wtedy pracowali w szpitalu, powinna się pani skontaktować z Betsy Poffenberger. Przepracowała tam ponad czterdzieści lat i chyba nie ma takiej rzeczy, której by nie wiedziała o swoich współpracownikach. Zawsze wsadzała nos w nie swoje sprawy...

- Gdzie ją znaję?

Betsy mieszkała w odległości paru kilometrów od Lorny Blakely, w osiedlu zbudowanym przez Ronalda Dolana, jak dowiedziała się Callie.

- Przysłała panią Lorna Blakely? - Betsy była żwawą, tęgą kobietą o kruczoczarnych, lśniących włosach uczesanych w wydełą bombkę. Siedziała na ganku, a obok niej leżała lornetka. - Stara zrzęda, nigdy mnie nie lubiła. Uważała, że mam zakusy na jej Williama. Byłam wtedy wolna, a zdaniem Lorny każda niezamężna kobieta bez wytchnienia poluje na facetów...

- Dała mi pani adres, ponieważ sądziła, że będzie pani w stanie powiedzieć mi, kto był obecny przy drugim porodzie Suzanne Cullen - wyjaśniła Callie. - Może pamięta też pani, kto był z nią w pokoju, a także

nazwiska personelu oddziału położniczego...

- To było dawno temu. - Betsy zmierzyła gościa czujnym wzrokiem. - Widziałam panią w telewizji.

- Jestem archeologiem, pracuję teraz w Antietam Creek.

- No, właśnie... Nie może pani oczekiwać, że udzielę pani jakichkolwiek informacji, skoro nie wiem, w jakim celu są pani potrzebne.

- Na pewno zna pani historię porwania córki Suzanne Cullen - powiedziała Callie. - Moje pytania mają związek z tą sprawą.

- Jest pani archeologiem czy detektywem?

- Czasami to jedno i to samo. Będę szczerze wdzięczna na wszelką pomoc, naprawdę.

- Bardzo współczułam pani Cullen, podobnie jak wszyscy. Byliśmy wstrząśnięci, takie rzeczy nigdy się tu nie zdarzały.

- Jednak wtedy doszło do porwania. Pamięta pani kogoś albo coś szczególnego?

- Całymi tygodniami rozmawialiśmy tylko o tym. Przełożoną pielęgniarek na oddziale położniczym była Alice Lingstrom, moja bliska przyjaciółka. Razem z nią i Kate Regan zastanawiałyśmy się nad tą tragedią do bólu głowy. Kate pracowała w administracji, chodziłyśmy razem do szkoły. Nadal nie przypominam sobie niczego niezwykłego, ale mogłabym popytać, bo mam jeszcze trochę znajomości. - Betsy mrugnęła znacząco. - Tak, mogłabym to zrobić. Jay Cullen uczył syna mojej siostry. Mikę nigdy nie był nadmiernie bystry, jeżeli wie pani, o co mi chodzi, ale siostra mówiła, że pan Cullen zawsze starał się mu pomóc i poświęcał mu dużo czasu. Więc może popytam tu i tam, jak mówię...

- Będę pani bardzo wdzięczna. - Callie wyjęła kartkę i zapisała na niej numer swojej komórki. - Pod tym telefonem można mnie zawsze złapać. Dziękuję pani.

Betsy odeła wargi, zerknęła na kartkę i przeniosła baczne spojrzenie na twarz Callie.

- Jest pani krewną Cullenów? - zapytała.

- Na to wygląda.

Kiedy Callie wróciła, partia pokera była już w toku. Z kuchni dobiegały ożywione głosy grających. Callie odwróciła się w kierunku schodów z nadzieją, że uda jej się niepostrzeżenie przemknąć do swojego pokoju.

Nie doceniła jednak szóstego zmysłu Jake'a, szczególnie wrażliwego, gdy chodziło o nią. Była już w połowie schodów, kiedy wziął ją za ramię, odwrócił twarzą do siebie i sprowadził na dół.

- Hej, precz z łapami!

- Idziemy na spacer. - Nie rozluźniając uścisku, skierował ją ku drzwiom. - Głównie dlatego, żeby nikt się nie wtrącał, kiedy dam ci parę klapsów.

- Spróbuj pociągnąć mnie jeszcze raz, a zaraz rozłożę cię na łopatki!

- Dlaczego wymknęłaś się bez słowa? - zapytał.

- Nie wymknęłam się, tylko odjechałam. Swoim świeżo przemalowanym samochodem. - I dokąd to pojechałaś?

- Nie muszę ci się opowiadać - warknęła bez przekonania.

- Gdzie pojechałaś i dlaczego wyłączyłaś telefon? Nie mogłem nawet na ciebie nawrzeszczyć!

Gdy dotarli nad strumień, wyszarpnęła ramię z jego dłoni.

- Miałam coś do załatwienia i chciałam zająć się tym sama. Nie życzę sobie, żeby cały zespół gadał o nas za naszymi plecami, bo zawsze jesteśmy razem. Dobrze wiesz, jak szybko szerzą się plotki na wykopaliskach.

- Pieprzę plotki. Nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że mogę się niepokoić? Że martwię się o ciebie, kiedy nie wiem, gdzie jesteś, i nie mogę się z tobą skontaktować?

- Nie. Przyszło mi tylko do głowy, że będziesz wściekły.

- Jestem wściekły - przyznał Jake.

- W zasadzie nie mam nic przeciwko temu, ale wcale nie chciałam, żebyś się martwił. - Nagle zdała sobie sprawę, że mówi zupełnie szczerze. - Przepraszam...

- Co powiedziałaś?

- Przepraszam - powtórzyła.

- Przepraszałaś sama, z własnej woli, w sytuacji, kiedy nikt nie groził ci nagłą śmiercią! - Jake uniósł do góry otwarte dłonie, wzywając niebo na świadka. - Dzień cudów, słowo daję!

- A teraz powiem ci, co masz zrobić z moimi przeprosinami!

- Oho... - Ujął jej twarz między dłonie, przycisnął wargi do jej ust. - No, słucham, zrób sobie tę drobną przyjemność...

Kiedy nie kopnęła go i nie odepchnęła, przyciągnął ją bliżej. Tym razem pocałunek był głębszy, Jake zanurzył palce w jej włosach, wargi miał ciepłe i dziwnie łagodne, dłonie raczej delikatne niż zaborcze. Callie pozwoliła sobie zatonać w pocałunku. Pomyślała, że zwykle Jake manifestował gniew w inny sposób. Tak, w zupełnie inny... Szczerze mówiąc, nie pamiętała, aby kiedykolwiek całował ją tak jak teraz, cierpliwie i z czułością, zupełnie jakby naprawdę dużo dla niego znaczyła.

- Co się z tobą dzieje? - zamruczała, nie odrywając się od jego warg.

- Ja miałem ci zadać to pytanie... - Odsunął się lekko, westchnął. -

Lepiej porozmawiajmy, bo zapomnę, dlaczego jestem na ciebie wściekły. Gdzie pojechałaś?

Mało brakowało, żeby zbuntowała się i wybuchnęła złością, lecz na szczęście nagle uświadomiła sobie, że nie może pozwolić, aby jej postępowaniem wobec Jake'a kierowały odruchy. Ty żądasz odpowiedzi, a ja odmawiam, pomyślała. To typowe. Tyle że ta droga prowadzi donikąd... - Usiądźmy, dobrze? - zaproponowała.

Bez słowa kiwnął głową. Usadowili się na brzegu strumienia i wszystko mu opowiedziała.

Callie siedziała po turecku na ziemi, wypełniając arkusz danych o znaleziskach. Jej notatki i zapiski były przypięte do tabliczki i cicho furkotały w podmuchach wiatru.

Ze wszystkich stron dobiegały ożywione głosy. W czasie weekendów zespół powiększał się o archeologów - amatorów i studentów. Leo zapowiadał, że w przyszłym miesiącu zorganizuje w Antietam Creek weekendowy obóz wykopaliskowy, aby jeszcze przed końcem sezonu przyciągnąć więcej chętnych do pracy.

Callie była pewna, że jesień w Marylandzie to idealny sezon na weekendy na łonie przyrody i pracę na świeżym powietrzu. Miała wrażenie, że z niektórych zgłaszających się nie będzie wielkiego pożytku, ale nie przeszkadzało jej to, dopóki prace posuwały się w równym tempie.

Co jakiś czas za ogrodzeniem zatrzymywały się samochody. Jeden ze studentów oprowadzał wtedy gości, opowiadał im, co dzieje się na terenie i udzielał odpowiedzi na wszystkie pytania. Kiedy padł na nią cień, nawet nie podniosła głowy.

- Możesz zabrać wiadra na środek terenu i opróżnić je - odezwała się, nie odrywając wzroku od notatek. - Tylko nie zapomnij ich przynieść.

- Chętnie to zrobię, ale nie bardzo wiem, gdzie opróżnić wiadra...

Callie podniosła głowę i osłoniła dłonią, oczy. Widok Suzanne w ciemnych okularach i czapce z daszkiem sprawił, że jej serce na moment przestało bić. Miała wrażenie, że patrzy na starszą wersję siebie samej.

- Przepraszam, myślałam, że to jeden z asystentów...

- Słyszałam cię dziś rano w radiu.

- Tak... Jake, Leo i ja na zmianę kontaktujemy się z dziennikarzami.

- Opowiadałaś o wykopaliskach w naprawdę fascynujący sposób, więc doszłam do wniosku, że najwyższy czas, żebym tu przyjechała. - Suzanne uśmiechnęła się lekko. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu...

- Oczywiście że nie! - Callie odłożyła tabliczkę z notatkami i wstała. - No, więc... - Wetknęła kciuki do kieszeni, żeby zająć czymś dłonie. - Co o tym

myślisz?

Suzanne rozejrzała się dookoła.

- Jeśli mam być szczerą, to myślałam, że będzie tu znacznie większy bałagan. I większy tłok.

- Na weekendy przyjeżdża sporo ochotników i wtedy jesteśmy w stanie uporządkować teren.

- Właśnie widzę... - Suzanne wskazała głową małego Tylera, rozgarniającego kielnią niewielką kupkę ziemi. - Wdrażacie ich do pracy od dziecka...

- To synek Lany Campbell. Przyjeżdża w każdą sobotę, a my dajemy mu do przegarnięcia wcześniej przesianą ziemię. Zagrzebujemy tam kilka mniej ważnych lub zniszczonych znalezisk, żeby miał powód do radości. Ziemię przesiewamy tak dokładnie, że nie ma najmniejszych szans, żeby coś uszło naszej uwagi.

- I każdy znaleziony przedmiot mówi wam coś o tym, kto tu żył i czym się zajmował, prawda? Sądzę, że przynajmniej tyle zrozumiałam z wywiadu, którego udzieliłaś stacji radiowej...

- Tak. Trzeba odnaleźć przeszłość, aby ją zrozumieć, a zrozumieć, żeby odtworzyć bieg wydarzeń. - Przerwała na chwilę, zastanawiając się nad swoimi słowami. - Staram się to robić.

- Wiem. - Suzanne przelotnie dotknęła ramienia Callie. - Czujesz się przy mnie nieswojo i to częściowo moja wina, bo byłoby inaczej, gdybym nie załamała się wtedy w gabinecie Lany. Jay wygłosił mi cały wykład na ten temat.

- To rozumiałe, że byłaś...

- Nie, sądzą, że mimo wszystko trudno ci to zrozumieć - przerwała jej Suzanne. - Jay nie należy do ludzi, którzy chętnie karzą innych. Jest bardzo cierpliwy i spokojny... Między innymi dlatego zakochałam się w nim, kiedy miałam sześć lat. Tak czy inaczej, po powrocie od Lany dobitnie wyłożył mi, co zrobiłam źle. Było to zupełnie nieoczekiwane, ale chyba właśnie czegoś takiego potrzebowałam...

- Jemu na pewno także nie jest łatwo.

- Masz rację. Przez wiele lat starałam się o tym nie pamiętać, ponieważ tak było mi wygodnie. A dzisiaj... Dzisiaj chcę tylko obiecać, że nigdy więcej nie postawię cię w takiej kłopotliwej sytuacji. - Suzanne zaśmiała się krótko. - Może powinnam raczej powiedzieć, że zrobię wszystko, żeby nie postawić cię w takiej sytuacji. Chcę cię poznać, chcę wykorzystać tę szansę. Wiem, że usiłujesz zrekonstruować przeszłość. Dziś rano zadzwoniła do mnie Betsy Poffenberger. Ona również słyszała cię w radiu.

- Najwyraźniej wzięłam udział w popularnym programie...

- Najwyraźniej. Mówiła mi, że byłaś u niej. Twierdziła, że chce się upewnić, czy nie mam nic przeciwko temu, by przekazała ci pewne informacje, ale w gruncie rzeczy próbowała wyciągnąć ze mnie coś więcej. Nic jej nie powiedziałam, lecz ludzie zaczynają się już wszystkiego domyślać.

- Wiem - westchnęła Callie. - Nie przeszkadza ci to?

- Nie jestem pewna... - Suzanne przycisnęła brzuch dłonią. - Ciągłe jestem roztrzęsiona... Ciężko mi myśleć o udzielaniu odpowiedzi na czyjeś pytania, kiedy nic nie zostało jeszcze ostatecznie wyjaśnione. To trudniejsze, niż myślałam, ale jakoś sobie z tym poradzę. Jestem silniejsza, niż sądzisz.

- Czytałam część twoich listów. Uważam, że jesteś jedną z najsilniejszych kobiet, jakie znam...

- Och, cieszę się... - Suzanne szybko odwróciła załzawione oczy. - Cudownie jest usłyszeć coś takiego od dorosłej córki. Naprawdę chciałabym się dowiedzieć więcej o twojej pracy, zrozumieć ciebie i twoje motywacje. Bardzo mi zależy, żebyśmy dobrze się ze sobą czuły. Na razie to mi zupełnie wystarczy - żebyśmy dobrze się ze sobą czuły...

- Pracuję na tym odcinku. - Callie, poruszona determinacją Suzanne, ujęła ją pod ramię i odwróciła w kierunku środka terenu. - Celem naszych badań jest ustalenie, czy nad strumieniem znajdowała się neolityczna osada. Tutaj był cmentarz. Tu odsłoniliśmy niski mur, który mieszkające tu plemię wzniosło po to, aby zapewnić spokój swoim zmarłym. Wydobywamy z ziemi kości - właśnie, badanie kości to moja specjalność.

- Naprawdę?

- Tak. Mało brakowało, a zajęłabym się archeologią medyczną, ale w ostatniej chwili doszłam do wniosku, że nie mogłabym spędzać tyle czasu w laboratorium. Lubię kopać. Popatrz, to bardzo ciekawe... Znalazłam tę czaszkę dwa dni temu. - Callie przykucnęła, podniosła tabliczkę i spod pliku kartek wyjęła zdjęcie czaszki. - Przekazaliśmy ją już do laboratorium, więc mogę ci pokazać tylko fotografię...

- To mi wystarczy. - Suzanne ostrożnie ujęła brzegi zdjęcia. - Tu widać otwór... Czy to była rana?

- Ślad po trepanacji - wyjaśniła Callie. - W tamtych czasach znachor wykrobywał lub wycinał kamiennym nożem lub drutem część kości. Celem operacji mogło być zmniejszenie ciśnienia płynu rdzeniowego - kręgowego, spowodowanego uszkodzeniem czaszki lub powstaniem nowotworu.

- Chyba żartujesz...

- Nie, słowo daję! Musiało to potwornie boleć, chodzi jednak o to, że próbowali ratować swoich chorych, rozumiesz? Metody mieli przeraźliwie

prymitywne, ale starali się leczyć. Plemię wspólnie broni się przed atakami i usiłuje przetrwać w ten sposób powstaje osada. Jeżeli interesują cię rytuały, budowa chat i tak dalej, możesz porozmawiać z Graystone'em, on jest specem od tych rzeczy. Polowanie, zbieractwo, organizacja zadań, wybieranie przywódców, leczenie, zawieranie związków, uprawa roli, hodowla zwierząt...

- Callie wskazała jeszcze nierozkopany fragment terenu. - Wszystkie te aspekty składają się na osadę. Od osady do wioski, od wioski do miasta... Powstaje pytanie, dlaczego... Dlaczego tutaj, w tym miejscu, i dlaczego właśnie to plemię?

- Najpierw trzeba się dowiedzieć, kto i jak.

- Słusznie! - Callie rzuciła Suzanne zadowolone spojrzenie. - Aby to zrobić, należy sporządzić plan terenu, oczywiście przy założeniu, że mamy pozwolenie na prowadzenie prac wykopaliskowych, wsparcie finansowe i zespół. Należy też ocenić prawdopodobieństwo odkrycia osady. Kiedy zaczynamy kopać, niszczymy teren, dlatego tak szczegółowo zapisujemy każdy krok i etap. Robimy pomiary, odczyty, zdjęcia, szkice, przygotowujemy raporty.

Jake z daleka obserwował, jak Callie oprowadza Suzanne po terenie. Język ciała Callie podpowiadał mu, jaki jest jej stan emocjonalny. Na widok Suzanne w pierwszej chwili zwarła się w sobie i spięła, potem przyjęła pozycję obronną, następnie neutralną, teraz zaś wyglądała na całkowicie rozluźnioną i spokojną.

Robi to, w czym jest najlepsza, pomyślał, przyglądając się, jak Callie szkicuje obrazy ożywionymi gestami.

- Miło widzieć je razem - odezwała się Lana, stając za jego plecami. - To dobrze, że potrafią tak rozmawiać. Nie jest im łatwo, ale starają się znaleźć wspólny grunt, nie przekraczając wytyczonych granic. Musi to być szczególnie trudne dla Callie, bo to ona otoczyła się granicami...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Och, myślę, że dobrze wiesz. Ten projekt skupia w sobie wszystko, co jest dla niej ważne w życiu zawodowym, stał się symbolicznym wyzwaniem. Równocześnie usiłuje odkryć tajemnicę swojej przeszłości, co siłą rzeczy musi być traumatycznym przeżyciem, i stara się zbudować taki związek z Suzanne, jakiemu obydwie mogłyby sprostać. Istnieje jeszcze jedna komplikacja - ty, ty w jej życiu prywatnym i zawodowym. Powiem ci także, naturalnie jeżeli nie masz nic przeciwko temu...

- Odnoszę dziwne wrażenie, że nawet jeżeli mam coś przeciwko temu, i tak powiesz mi, co ci leży na sercu - przerwał jej Jake.

- Masz rację. Więc powiem ci, że wyglądasz mi na trudnego mężczyznę.

Zawsze podobał mi się tacy faceci, ponieważ nigdy nie są nudni. Poza tym bardzo lubię Callie, więc się cieszę, kiedy widzę, że teraz o wiele lepiej czuje się w towarzystwie Suzanne i cieszę się, że wy dwoje też staracie się znaleźć wspólną ścieżkę...

- Długo trwało, zanim zaczęliśmy się starać. - Jake odwrócił się, bo kątem oka zauważył Tylera, który biegł do nich, ściskając zakurzoną kość w brudnej piątce.

- Spójrzcie! Patrzcie, co znalazłem! To prawdziwa kość!

Jake roześmiał się, słysząc bardzo kobiecy jęk obrzydzenia, który Lana z trudem stłumiła. Chwycił Tylera na rękę i podniósł chłopca tak, aby mógł podetknąć matce kość podnoś.

- Super, prawda, mamo?

- Yhmm... Super...

- Czy to ludzka kość? - dopytywał się Tyler. - Kość nieżywego człowieka?

- Nie mam pojęcia, skąd u ciebie to niesmaczne zainteresowanie nieżywymi ludźmi - skrzywiła się Lana.

- Nieżywi ludzie są super - wyjaśnił trzeźwo Jake. - Pokaż, Tyler, zobaczymy, co to za kość... - Przeniósł spojrzenie na Callie. - Najlepiej będzie, gdy zapytamy eksperta.

- Czy uwodzenie kobiety kością nie jest przypadkiem niesmaczne? - wymamrotała Lana.

- Nie w przypadku Callie. Hej, mamy tu ciekawe znalezisko, doktor Dunbrook!

- To kość! - zawołał Tyler, wymachując kością jak flagą Callie podeszła do nich z Suzanne.

- Rzeczywiście, kość - powiedziała, uważnie oglądając kostkę.

- Z nieżywego człowieka? - Tyler zawisł spojrzeniem na jej ustach, w oczekiwaniu na wyrok.

- Nie, z jelenia. - Natychmiast się zorientowała, że jej ekspertyza bardzo rozczarowała chłopca i pośpieszyła naprawić złe wrażenie. - To bardzo ważny eksponat - oświadczyła z powagą. - Ktoś upolował tego jelenia, żeby jego plemię miało co jeść. Ze skóry i kości zrobili ubrania, narzędzia i broń. Widzisz te lasy, Ty - Rex? - Odgarnęła mu z czoła włosy i szerokim gestem nakreśliła perspektywę. - Ten jeleni prawdopodobnie biegał tu wśród drzew. Całkiem możliwe, że pewnego dnia jakiś chłopiec, niewiele starszy od ciebie, wybrał się na polowanie z ojcem, bratem, może stryjem... Na pewno bardzo się denerwował, ale wiedział, że ma zadanie do wykonania. Ważne zadanie. Los jego rodziny i całego plemienia w pewnej mierze zależał od niego. Może

upolowanie jelenia było pierwszym takim zadaniem w jego życiu... Ile razy spojrzysz na kość, pomyślisz o tym chłopcu.

- Mogę ją sobie wziąć?
- Pokażę ci, jak ją oczyścić i opisać.

Tyler wyciągnął ramiona do Callie, a ona wzięła go pod pachy. Przez chwilę trzymali dziecko we dwoje, ona i Jake, i gdy ich oczy się spotkały, serce załopotało jej, szybko i mocno.

- Może mógłbyś opowiedzieć Suzanne, jak wygląda teren z antropologicznego punktu widzenia - zaproponowała. - Tyler i ja musimy zająć się tą kością...

- Oczywiście.
- Świat jest dziwny, prawda? - odezwała się Suzanne, kiedy Ty i Callie odeszli w kierunku namiotu.

- Tak, proszę pani.
- No cóż, właściwie jesteś moim zięciem, ale nie znam okoliczności towarzyszących twojemu związkowi z Callie, więc nie wiem, czy powinnam być na ciebie wściekła, rozczarowana tobą, czy też po prostu ci współczuć.

- Chyba zasługuję na wszystko po trochu.
- Tamtego dnia czekałeś na nią pod biurem Lany, wczoraj poleciałeś z nią do Atlanty... Czy to znaczy, że starasz się nią opiekować?

- Tak.
- To dobrze.

Jake zastanowił się chwilę, a potem wyciągnął portfel z kieszeni. Obejrzał się przez ramię, aby sprawdzić, czy Callie nadal jest zajęta Tylerem, po czym wyjął z portfela zdjęcie.

- Nie mogę go pani dać, bo nie mam drugiego - wyjaśnił. - Pomyślałem, że może chciałaby je pani zobaczyć. Nasze zdjęcie ślubne, no, w każdym razie coś w tym rodzaju... Pojechaliśmy do Las Vegas i wzięliśmy ślub w jednym z całodobowych biur stanu cywilnego. Zaraz po ślubie poprosiliśmy jakiegoś faceta, żeby nas sfotografował.

Zdjęcie było trochę pogięte, ale kolory zachowały wyrazistość. Callie zdecydowała się na suknię ślubną w wyjątkowo intensywnym odcieniu czerwieni, zresztą określenie „suknia” było sporą przesadą w odniesieniu do kusej, sięgającej do pól uda kreacji bez rękawów czy choćby ramiączek. Za ucho zatknęła wielką czerwoną różę, ramionami obejmowała w pasie Jake'a, ubranego w ciemny garnitur z krawatem ozdobionym wizerunkiem zielono - niebieskiej papugi na czerwonym tle. Jake obejmował Callie. Ściana w tle była jaskraworóżowa, a na purpurowych drzwiach w kształcie serca widniał napis: MAŁŻEŃSKA KARUZELA, ŚLUBY PRZEZ CAŁĄ DOBĘ.

Oboje państwo młodzi uśmiechali się od ucha do ucha i wyglądali na śmiesznie szczęśliwych.

- Callie sama wybrała ten krawat - powiedział Jake. - Była to pierwsza i ostatnia rzecz, jaką dla mnie wybrała... Widzi pani, to biuro było wystylizowane na karuzelę - stało się na takim kółku, a dookoła kręciły się drewniane konie w ślubnych strojach. Ślubu udzielał gość w stroju kłowna, zresztą nieważne...

- Robicie wrażenie przeraźliwie zakochanych - rzekła Suzanne. - Idiotycznie zakochanych, jeżeli mogę tak powiedzieć...

- Tak, to określenie idealnie pasuje do sytuacji.

- Nadal jesteś w niej zakochany - zaryzykowała.

- Proszę tylko na nią spojrzeć... Jak można wyrzucić kogoś takiego z serca i życia? Ona jest taka... - Jake przerwał, wykonał gest do złudzenia przypominający machnięcie ręką i schował zdjęcie oraz portfel. - Skoro jest pani moją teściową, jakkolwiek na to patrzeć, to może upiekłaby pani dla mnie trochę tych ciasteczek z czekoladą i orzechami macadamia? Suzanne uśmiechnęła się serdecznie.

- Postaram się.

- I proszę nikomu o tym nie wspominać, bo jeżeli ktoś z naszych współlokatorów zwęszy, co jest grane, zostaną dla mnie najwyżej okruchy. - Jake odwrócił się w stronę bramy. - Wygląda na to, że mamy dzień gości...

- To Doug - powiedziała Suzanne, widząc zatrzymujący się przed bramą samochód. - Nie sądziłam, że wróci tak szybko...

Zrobiła krok w stronę płotu, lecz nagle stanęła jak wryta. Do ogrodzenia podbiegła właśnie Lana, Doug zaś objął ją w pasie, podniósł i pocałował, nie zważając na dzielące ich deski.

- Och... - Suzanne przycisnęła rękę do galopującego serca. - Hmm... Nie miałam pojęcia, na co się zanosì...

- Jakiś kłopot? - zagadnął Jake.

- Nie - odparła. - Nie, w żadnym razie... Po prostu jestem trochę zaskoczona...

Ty dopadł do matki i Douga, z entuzjazmem wymachując kością. Kiedy Doug przeskoczył przez płot i przykucnął, żeby przyjrzeć się znaleźnikowi chłopca, Suzanne mocniej przycisnęła serce.

- Raczej bardzo zaskoczona - sprostowała po chwili namysłu.

Doug zakończył oględziny kości, wysłuchał Tylera i z zazdrosnym podziwem potrząsnął głową.

- To jest dopiero coś! - powiedział. - Nie wiem, czy teraz zainteresuje cię to, co ci przywiozłem...

- Co takiego? - Tyler nie posiadał się z radości i podniecenia. - To dla mnie? - zapytał, wskazując małą torbę, którą Doug trzymał w rękę.

- Tak, ale jeżeli ci się nie spodoba, zatrzymam to sobie. - Otworzył torebkę i wyjął z niej tyranozaura wielkości dłoni.

- Dinozaur! - wrzasnął Tyler, rzucając się Dougowi na szyję. - Ty - rex! Dzięki! Och, jest świetny! Mogę go zakopać i potem znowu odkopać?

- Oczywiście. - Doug wyprostował się, patrząc, jak Tyler pędzi w kierunku swojej górki ziemi. - Chyba mi się udało... - Odwrócił się do Lany i uśmiechnął w odpowiedzi na jej szeroki uśmiech. - Chcesz dostać swój prezent?

- Tak.

Ponownie sięgnął do torby, nie odrywając oczu od jej twarzy. Dzięki temu dokładnie widział, jak otwiera ze zdumienia usta i z niedowierzaniem wpatruje się w przedmiot w jego rękę.

- Czy to...

- Tak jest. Szafirowa packa na muchy w kształcie gitary Elvisa. Po długich poszukiwaniach i rozważaniach uznałem, że jest to najbardziej idiotyczny podarunek, jaki można znaleźć. Mam nadzieję, że jesteś w pełni usatysfakcjonowana.

- Och, to cudowne! - Lana parsknęła śmiechem i zarzuciła mu ręce na szyję, zupełnie jak chwilę wcześniej Tyler.

- Tęskniłem za tobą - powiedział cicho. - Nie wiem, czy mi się to podoba, czy nie, bo nie przywykłem do tego uczucia, ale tęskniłem za tobą.

Lana odsunęła się na odległość ramienia i zajrzała mu w twarz.

- A przywykłeś do tego, że ktoś tęskni za tobą? - zapytała.

- Też raczej nie...

- Tęskniłam za tobą - rzekła poważnie i wzięła go za rękę.

Callie właśnie poprosiła członków zespołu, aby pozbierali narzędzia i cały sprzęt, kiedy pod bramę podjechał ostatni gość. Bili McDowell, z rękoma pełnymi kielni i wiaderek, podbiegł do Callie.

- Chcesz, żebym się tym zajął? - Ruchem głowy wskazał błękitnego sedana. - Mogę oprowadzić tę panią...

- Nie trzeba. - Callie przyglądała się, jak Betsy Poffenberger gramoli się zza kierownicy niebieskiej camry. - To moja znajoma.

- W porządku. Słuchaj, chcemy urządzać sobie wieczór przy ognisku, całą paczką. Będziemy piec hot dogi, napijemy się piwa, posiedzimy trochę. Przyłączysz się?

- Nie wiem, może...

- Zbiorę twoje narzędzia - zaofiarował się Bili.

- Dziękuję - rzuciła Callie z roztargnieniem, odchodząc. - Dobry wieczór, pani Poffenberger.

- Dobry wieczór... Och, to po prostu niesamowite, tyle tych dziur w ziemi... Tyle wykopów... Sama je pani wykopała?

- Tylko niektóre. Miałam nadzieję, że się pani odezwie.

- Pomyślałam, że wpadnę do pani i przy okazji trochę się tu rozejrzę. Słyszałam panią rano w radiu, mówiła pani jak prawdziwy naukowiec.

- Dziękuję. Udało się pani może coś znaleźć?

Betsy Poffenberger zbadła twarz Callie uważnym spojrzeniem.

- Nie wspomniała pani, że jest córką Suzanne Cullen...

- Robi to pani jakąś różnicę? - zapytała Callie.

- Jasne! Cała ta historia przypomina kryminał. Pamiętam, kiedy to się stało, pamiętam zdjęcie Suzanne i Jaya Cullenów w gazecie, pani zdjęcie... Oczywiście była pani wtedy całkiem malutka. Całe Hagerstown obwieszono było ulotkami, a teraz stoi tu pani przede mną... To ci dopiero...

- Będę wdzięczna za wszystko, co mi pani powie. Jeżeli coś z tego wyniknie, na pewno w prasie ukażą się inne artykuły. Dziennikarze będą chcieli z panią porozmawiać...

- Tak pani myśli? Nie miałabym nic przeciwko temu... Cóż, rozmawiałam z Alice i Kate, i Alice przypomniała sobie, że przy obu porodach Suzanne Cullen asystowała Mary Stern. Jest tego absolutnie pewna, bo rozmawiała o pani z Mary zaraz po porwaniu. Alice potrafiłaby plotkować o fazach księżycy, gdyby dać jej szansę... Przypomniłyśmy sobie także kilka innych nazwisk, pielęgniarek z dyżurów nocnych i tak dalej. Nie wiem, czy mieszkają jeszcze w okolicy, ale może to pani sprawdzić. - Betsy wyjęła kartkę papieru. - Niektóre nazwiska sama sprawdziłam w książce telefonicznej, taką już mam ciekawską naturę... Mary Stern mieszka na Florydzie. Rozwiodła się i ponownie wyszła za męża, i nawet urodziła dziecko tuż przed czterdziestką. Sandy Parker zginęła w wypadku samochodowym mniej więcej pięć lat temu. Straszna historia, czytałam o tym w gazecie. Sandy pracowała na nocnej zmianie.

Callie daremnie usiłowała wyjąć kartkę z ręki Betsy, która spokojnie poprawiła okulary i kontynuowała swój monolog.

- I jeszcze Barbara Halloway... Alice przypomniała mi o niej, słabo ją znałam. Barbara pracowała w naszym szpitalu najwyżej przez rok, zawsze na nocnym dyżurze. Nie znałam części pielęgniarek, które brały tę zmianę, ale Alice podsunęła mi kilka faktów i przypomniałam sobie... Straszna z niej była snobka. Młoda dziewczyna, świeżo po szkole pielęgniarzkiej, zarozumiała, że szkoda gadać. Miała rude włosy i strzelała oczami do lekarzy. W końcu udało

jej się jakiegoś upolować, chociaż nie tutaj, gdzieś na północy.

Niedługo po porwaniu wyprowadziła się, dlatego o niej zapomniałam. Na pani miejscu poważnie bym się nią zainteresowała... Nie należała do sympatycznych dziewcząt.

- Bardzo pani dziękuję - powiedziała Callie. - I na pewno dam pani znać, kiedy czegoś się dowiem.

- Spisałam tu również nazwiska sanitariuszy. O, proszę, Jack Brewster, wyjątkowo nieciekawy gość... Zawsze kręcił się koło pielęgniarek i nie przejmował się, czy któraś jest zamężna, czy nie...

- Doktor Dunbrook? - Jake podszedł do Callie i położył dłoń na jej ramieniu. - Nie chcę przeszkadzać, ale jest pani potrzebna w kwadracie 35...

- Och, oczywiście... Przepraszam, pani Poffenberger, i jeszcze raz dziękuję za czas i uwagę...

- Nie ma za co. Jeżeli będzie pani chciała jeszcze czegoś się dowiedzieć, proszę dzwonić. To naprawdę jak dobry kryminal...

Callie wsunęła kartkę do tylnej kieszeni spodni i ostatni raz skinęła głową wsiadającej do samochodu Betsy.

- Przecież nie ma kwadratu 35.

- Wysyłałaś paniczne sygnały, więc postanowiłem pośpieszyć ci z pomocą.

- To nie była panika, po prostu dzwoniło mi w uszach. Ta kobieta gada jak nakręcona, bez chwili przerwy. - Callie wypuściła powietrze z płuc. - Niemniej, zrobiła mi wielką uprzejmość, dzięki niej mam nazwiska, co najmniej tuzin nazwisk...

- Jak chcesz się nimi zająć?

- Chyba zacznę od poszukiwań w sieci. Dowiem się, ile z tych osób nadal żyje i mieszka w okręgu.

- Pomóc ci?

- Jesteś ostatnio straszliwie uprzejmy...

Jake pochylił się i lekko chwycił dolną wargę Callie zębami.

- Później wystawię ci rachunek - mruknął.

- Chętnie skorzystam z twojej pomocy, może nawet wypłacę ci zaliczkę na poczet rachunku...

- Nie przejmuj się, skarbie... - Jego wargi znalazły się w odległości milimetra od jej ust. - Mam do ciebie zaufanie. Kiedy się odwrócił i odszedł, Callie powoli pokręciła głową.

- Zupełnie jak dobry kryminal - wymamrotała.

Bili McDowell był trochę pijany. Wypił wprawdzie tylko dwa piwa, ale to zupełnie wystarczyło. Zrobił to zresztą celowo, ponieważ obawiał się, że po

jednym nadal będzie trzeźwy.

Chciał się upić, bo widział, jak Jake podszedł do Callie. Co gorsza, widział także jej reakcję.

Był pewny, że Callie nie przyjdzie porozmawiać przy ognisku, a tym samym pozwolić na siebie popatrzeć. Nie był głupi, wiedział, co się dzieje, czuł, co dzieje się teraz, w tej chwili, kiedy on kończył drugie piwo i słuchał, jak ten kretyn Matt gra na gitarze wyjątkowo nieudaną wersję Freebird. Lynyrd Skynyrd, na miłość boską... To dopiero eksponat...

Właśnie teraz, gdy on, Bili McDowell, popija piwo pod gwiazdami, słucha melodii Freebird i przygląda się, jak świetliki szaleją w ciemnościach, ten przekłety Jake Graystone rwie Callie. Jest dla niego za dobra, każdy to widzi. Taka inteligentna, mądra i śliczna... A kiedy się śmieje, te trzy dołeczki doprowadzały go do amoku...

Gdyby tylko dała mu szansę, pokazałby jej, jak mężczyzna powinien traktować kobietę... Pociągnął łyk piwa i wyobraził sobie, jak rozkłada na obie łopatki Jacoba Graystone'a. Ha, ha, to by dopiero był numer...

Ogarnął go niesmak. Z pewnym trudem wstał, zachwiał się i zmrużył oczy, usiłując odzyskać ostrość widzenia.

- Ostrożnie, Poncho! - Rozbawiony Digger przytrzymał go za ramię. - Ile piwek wlałeś w siebie, chłopcze?

- Dość dużo...

- Na to wyglądasz. Gdzie się wybierasz?

- Odlać się. Masz coś przeciwko?

- Skądże znowu. Chcesz skorzystać z toalety w mojej przyczepie?

- Chcę się przejść - wymamrotał Bili, nie mając ochoty na bliższe kontakty z kumplem rywala. - Za duży tu tłok...

- Skoro tak uważasz... Tylko nie wpadnij do jeziora i nie utop się! - Digger doszedł do wniosku, że krótka przerwa na odsiusianie przyda się także i jemu, i powoli ruszył w kierunku przyczepy.

Bili nieco chwiejnym krokiem oddalał się od namiotów, muzyki i towarzystwa. Może powinien wsiąść do samochodu i pojechać do domu? Po co miał tu siedzieć, skoro Callie była gdzieś tam, z tym potwornym facetem...

Z drugiej strony, nie był przecież pewny, że rzeczywiście poszła do łóżka z Jakiem... No, właśnie. Może chciała przyjść na ognisko, ale tamten zatrzymał ją siłą, pomyślał Bili, wchodząc między drzewa. To by go wcale nie zdziwiło.

Wszedłby tam, stawiał czoło temu draniowi i wyprowadził Callie... Byłaby mu wdzięczna, pomyślał, z ulgą opróżniając pęcherz.

Och, Bili, dzięki Bogu! Tak się cieszę, że przyszedłeś! On zupełnie

oszała! O mało nie umarłam ze strachu!

Tak... Tak by to mogło wyglądać... Bili wyobraził sobie, jak Callie przywiera do niego, a on unosi jej twarz i widzi jej cudowny uśmiech i te słodkie trzy dołeczki...

Zaraz potem wyobraził sobie pierwszy, namiętny pocałunek i na pewno dlatego nic nie usłyszał.

Cios w tył głowy powalił go na ziemię. Jęknął niewyraźnie, kiedy morderca zaczął go wlec w stronę Oczka Simona, lecz zaraz stracił przytomność z bólu i nie szarpał się, gdy silna ręka wepchnęła jego głowę pod powierzchnię wody.

- W porządku, oto podstawowa siatka. - Jake szkicował na kartce papieru, podczas gdy Callie usiadła przy komputerze.

Po krótkiej dyskusji zdecydowali, że będą pracować w jego gabinecie. Przez pierwsze dwie godziny pisali i rysowali, nie zwracając uwagi na głośno brzmiącą w tle ścieżkę dźwiękową filmu, który ktoś z zespołu oglądał na wideo, lecz od pewnego czasu w domu panowała kompletna cisza, przerywana tylko łagodnym pochrapywaniem Lea, dobiegającym z salonu.

Callie oderwała wzrok od ekranu monitora i zerknęła na stolik, przy którym pracował Jake. Facet był doskonały, musiała to przyznać. W centrum siatki umieścił ją, z jednej strony jej rodziców, z drugiej Cullenów. Do każdej pary prowadziły nitki łączące z nią inne nazwiska. Pod jej rodzicami wpisał Henry'ego Simpsona, Marcusa Carlyle'a, Richarda Carlyle'a, pediatrę z Bostonu oraz współpracowników tych czterech, z drugiej strony nazwiska z list sporządzonych przez Suzanne oraz Betsy Poffenberger.

- Jesteś jedynym ogniwem, które łączy wszystkich tych ludzi - zaczął. - Muszą jednak istnieć także inne, i właśnie tego należy się dowiedzieć. Tu mamy pełny zestaw informacji - daty poronień twojej matki, datę twojego urodzenia, datę pierwszego spotkania twoich rodziców z Carlyle'em, i tak dalej.

- Musimy uzupełnić informacje o każdej z tych osób.

- I znaleźć powiązania - dokończył. - Zjadłeś ostatnie ciastko?

- ty zjadłeś ostatnie ciastko i wypileś resztkę kawy. Idź zaparzyć świeżą, a ja w tym czasie wpiszę znane nam informacje.

- Ty parzysz lepszą kawę - mruknął Jake. - I szybciej piszę.

- Ale ja nie robię tylu błędów.

- Za to ja siedzę na tym krześle i nie zamierzam wstać - warknęła.

- Dobrze, dobrze, niech ci będzie... Tylko nie płacz, kiedy się okaże, że kawa przypomina smakiem wodę z bagna.

Callie uśmiechnęła się pod nosem. Jake nie cierpiał parzyć kawy,

zupełnie nie wiadomo, dlaczego. Chętnie zmywał i gotował, pod warunkiem, że miało to być śniadanie, nawet prał, ale parzenie kawy budziło w nim wewnętrzny bunt.

Właśnie dlatego ogarnęło ją przyjemne poczucie satysfakcji, kiedy wreszcie wygoniła go do kuchni...

Prawie wszystko jest jak dawniej, pomyślała, oczywiście z kilkoma istotnymi i interesującymi różnicami. Kłócili się znacznie mniej niż dawniej, a już na pewno w inny sposób. Z jakiegoś powodu oboje w najtrudniejszym momencie rezygnowali z walki. No i nie wskakiwali do łóżka przy każdej nadarzającej się okazji. Ta... Ta wstrzemięźliwość jeszcze bardziej podsycala panujące między nimi napięcie. Nadal pragnęli się nawzajem - to nie uległo zmianie. Callie doskonale pamiętała, że pragnęła Jake'a nawet po rozwodzie, kiedy dzieliło ich wiele tysięcy kilometrów. Przewracając się w nocy z boku na bok, pragnęła poczuć jego ciało przy swoim, ot, tak, po prostu. Poczuć, jak jego ramię obejmuje ją w pasie i unieruchamia. Och, jak bardzo tego pragnęła...

Miała nadzieję, że on tęsknił za nią tak samo boleśnie. Miała nadzieję, że przeklinał ją tak samo, jak ona jego. I że cierpiał.

Gdyby kochał ją tak jak ona jego, nigdy by nie odszedł, nigdy. Nie potrafiłby odejść, niezależnie od tego, jak mocno by go odpychała.

Gdyby choć raz powiedział jej to, co pragnęła usłyszeć, po prostu przestałaby go odpychać.

Gdy teraz poczuła, jak podnosi się w niej wielka fala dawnej niechęci, urazy i gniewu, stłumiła ją szybko, bez wahania. To już się skończyło, przypomniała sobie.

Niektóre sprawy lepiej pozostawić pod grubą warstwą ziemi...

Pośpiesznie oczyściła umysł i skoncentrowała się na wprowadzanych do komputera informacjach. Ziewnęła, przebiegając wzrokiem notatkę prasową o Henrym Simpsonie.

- Po cholere mi ta durna wzmianka o jakimś charytatywnym meczu golfowym? - zirytowała się głośno. Miała ochotę wyrzucić notatkę, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. To naprawdę przypomina przesiewanie ziemi, pomyślała. Nudna robota, ale potrzebna, więcej, konieczna.

- Jak długo można parzyć jeden dzbanek kawy, do diabła? - wymamrotała. Podparła podbródek dłonią i zaczęła czytać.

Niewiele brakowało, a przegapiłaby tę informację. Jej oczy przesunęły się dalej, zanim mózg zarejestrował wiadomość. Palec Callie nerwowo drgnął na myszce, kursor powoli przesunął się w górę.

- Zabrakło mleka - oświadczył Jake, wchodząc do gabinetu z kawą. - Na

pewno jest ohydna, w dodatku musimy wypić czarną.

Postawił dzbanek na stole. Dopiero wtedy, gdy odwróciła ku niemu głowę, zobaczył jej twarz.

- Co znalazłaś? - zapytał od razu.

- Nasze ogniwo. Barbarę Simpson, z domu Holloway.

- Holloway? Holloway... Już wiem, pielęgniarka z oddziału położniczego!

- To nie może być zbieg okoliczności - powiedziała Callie. - Dlaczego nie wspomniała nam, że pracowała w tym szpitalu, kiedy urodziła się córka Suzanne Cullen? I że mieszkała w Hagerstown w okresie, gdy dziecko zostało porwane?

- Musimy sprawdzić wszystko jeszcze raz i potwierdzić informację - rzekł Jake.

- Oczywiście. Betsy Poffenberger miała o niej mnóstwo do powiedzenia. Mówiła, że Holloway była zarozumiała, że była snobką, i wiele innych rzeczy. Ta suka musiała być częścią siatki! Simpson łączy się z Carlyle'em, Holloway z Simpsonem, a tym samym także z Carlyle'em. Simpson i Carlyle kontaktowali się z moimi rodzicami. Holloway wiedziała, że Suzanne urodziła dziecko, wiedziała o niej wszystko...

- Sprawdzimy to - powtórzył Jake. - Dowiemy się, gdzie chodziła do szkoły. Przekopimy następny poziom.

- Byliśmy u nich w domu... Rozmawialiśmy z nimi, a oni udawali współczucie! Ta suka częstowała nas lemoniadą!

- Zapłacą za to. - Jake łagodnie położył dłonie na jej ramionach. - Obiecuję ci to...

- Muszę pojechać do Wirginii, przedstawić im te dane!

- Kiedy zgromadzimy resztę informacji o Barbarze Holloway, pojedziemy tam. Pojedziemy razem. Callie zacisnęła dłoń na ręce Jake'a.

- Ten drań użalał się nad moją matką! Wykorzystał rozpacz mojego ojca... Postaram się, żeby oni także cierpieli.

- Dobrze. Odpocznij trochę, teraz ja powpisuję dane.

- Nie, zrobię to sama... Muszę to zrobić - powiedziała i mocno ścisnęła jego rękę. - Muszę to zrobić ze względu na moich rodziców i na Cullenów. I dla siebie... Chcę się zemścić także ze względu na siebie, ale nie wiem, czy zdołam to zrobić, jeżeli zaczniesz odchodzić...

- Nigdzie nie odchodzę.

Tym razem to ona objęła jego twarz dłońmi.

- Można odejść na wiele sposobów. Nigdy nie umiałam ci tego wytłumaczyć... Kiedy zamykasz się w sobie, nie mogę cię znaleźć...

- Jeśli nie zamykam się w sobie, ranisz mnie do żywego.
- Nie wiem, o czym mówisz... nigdy cię nie zraniłam.
- Złamałaś mi serce! Na miłość boską, złamałaś moje cholerne serce!

Ręce Callie bezwładnie opadły na kolana.

- Nie, to nieprawda. Nie zrobiłam tego.
- Nie wmawiaj mi byle czego! - Bardziej wściekły na siebie niż na nią, odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. - To moje serce, więc chyba wiem, co się z nim stało!

- Ale to przecież ty... To ty mnie zostawiłaś...

- Bzdury! - wybuchnął. - Zwykle bzdury! Masz bardzo giętką pamięć! Powiem ci, co się wtedy zdarzyło... O, kurwa mać! - zaklął, gdy nagle rozdzwonił się telefon na biurku. Chwycił słuchawkę. - Graystone... - Podniósł rękę, żeby odgarnąć włosy.

Znieruchomiał. Callie niepewnie wstała, nie odrywając wzroku od jego pobladłej twarzy.

- Na miłość boską... - jęknął. - Jak? Dobrze. Dobrze. Starajcie się zachować spokój. Zaraz tam będziemy.

- Co się stało? - zapytała łamiącym się głosem. - Ktoś jest ranny?

- Ranny? Nie. Bili McDowell nie żyje.

Callie siedziała na skraju pola, tuż za granicą terenu wykopaliskowego. Niebo lśniło gwiazdami, z których każdą widać było tak wyraźnie, jakby zostały wycięte laserem w czarnym szkłe. Księżyc w drugiej fazie przypominał białą kulę, przeciętą ostrzem topora.

W powietrzu czuło się lekki posmak chłodu, zwłaszcza przy mocniejszych powiewach wiatru, zupełnie jakby jesień już na dobre zadomowiła się w górach.

Callie słyszała natarczywe bzykanie owadów i od czasu do czasu gardłowe, basowe naszczekiwanie mieszkającego po drugiej stronie drogi psa, któremu nocne hałasy zakłóciły sen.

Pan i pani Farmerzy, jak Callie nazywała w myśli właścicieli psa, wyszli sprawdzić, co dzieje się na posesji naprzeciwko ich gospodarstwa. Teraz wrócili już do środka, lecz w domu nadal paliły się wszystkie światła.

Callie i Jake wybiegli z domu w parę chwil po telefonie, a tuż za nimi wypadli Rosie i Leo. Na miejscu wypadku znaleźli się dziesięć minut przed policją, lecz dla Billa McDowella było to i tak za późno. Teraz Callie mogła tylko siedzieć i czekać.

Sonia siedziała obok niej, żałośnie płacząc w oparte na kolanach dłonie.

Pozostali członkowie zespołu również siedzieli lub stali. Początkowy gwar, wywołany szokiem i paniką, dawno ucichł, ustępując miejsca martwej

ciszy, która wykluczała słowa.

Callie widziała światła, błyskające między drzewami w punktach, gdzie pracowali policjanci, od czasu do czasu docierały też do niej pojedyncze słowa, ponieważ głos doskonale rozchodził się w nieruchomym powietrzu. Co jakiś czas słyszała również szept kogoś stojącego w pobliżu. Co będzie dalej?

Nikt nie pytał już, jak to się mogło stać, chociaż w pierwszej chwili wszyscy usiłowali się tego dowiedzieć. To stadium mieli już za sobą, teraz chcieli rozwiać wątpliwości dotyczące najbliższych godzin czy dni.

Callie zdawała sobie sprawę, że właśnie ona jest osobą, od której oczekują odpowiedzi. Jake był w przyczepie z Diggerem, Leo rozmawiał pod lasem z policjantami, więc tylko ona była osobą władną powiedzieć pozostałym, co będzie dalej.

Niestety, było to jeszcze jedno pytanie, na które nie mogła odpowiedzieć.

- Nie wytrzymam tego... - Sonia odwróciła głowę, opierając policzek na podciągniętych kolanach. - Naprawdę tego nie wytrzymam... Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. Kilka godzin wcześniej siedzieliśmy tu i rozmawialiśmy, nawet nie pamiętam już, o czym. Nie zauważyłam nawet, że poszedł w stronę jeziorka...

- Ja zauważyłem. - Bob przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. - Ale oczywiście w ogóle mnie to nie zaniepokoiło. Bili i Digger zamienili parę słów, a potem Bili ruszył w stronę lasu. Pomyślałem, że pewno musi... No, wiecie, że musi pójść za potrzebą. Wydaje mi się, że nie był pijany, wszystko było z nim w porządku... Chyba tak... Nie zauważyłem w jego zachowaniu nic szczególnego...

- Nikt nie zauważył - wtrąciła Dory. - Strasznie chciało mi się spać i myślałam wyłącznie o tym, żeby jak najszybciej wczłgać się do namiotu. Usłyszałam... Tak, usłyszałam, jak Digger mówi: „Tylko nie utop się w jeziorku”, czy coś w tym rodzaju. I roześmiałam się...

- Dziewczyna stłumiła szloch. - Zwyczajnie się roześmiałam...

- Zawsze śmiałyśmy się z niego - mruknął Bob. - Był takim zabawnym głupkiem... Dory otarła policzki.

- To nie twoja wina - powiedziała do Boba. - Nie znaleźlibyśmy go tak szybko, gdybyś nie zaczął się zastanawiać, dlaczego tak długo nie wraca i gdybyś nie przypomniał sobie, w którą stronę poszedł. Gdyby nie ty, nadal leżałby w wodzie...

- Chcę do domu! - Sonia się rozplakała. - Chcę do domu... Nie chcę tu dłużej być... Callie otoczyła ramieniem jej wstrząsane szlochem plecy.

- Wrócisz do swojego pokoju i położysz się, kiedy tylko szeryf powie,

że możemy się rozejść - rzekła uspokajająco. - A rano zobaczysz, jak będziesz się czuła...

Szybko spojrzała w kierunku przyczepy, potem przeniosła wzrok na Dory. Ruchem głowy wskazała miejsce obok Soni i podniosła się, ustępując miejsca Dory.

Niech sobie popłaczą razem, pomyślała. Jej samej zabrakło już łez.

W przyczepie Jake postawił przed Diggerem kolejną filiżankę kawy. - Wypij...

- Nie chcę tej choleralnej kawy... Boże, ten chłopak nie żyje...

- I tak mu już nie pomożesz. Sobie zresztą także nie, jeżeli nie otrzeźwiejesz i nie zaczniesz myśleć.

- O czym tu myśleć? Pozwoliłem mu odejść, a był na tyle trącony, że wpadł do tego pieprzonego jeziora i się utopił. Ja odpowiadałem za ich bezpieczeństwo. Powinienem być pójsz razem z nim...

- Nie jesteś niańką i nie odpowiadasz za to, co przydarzyło się McDowellowi!

- O, Jezu Chryste... - Digger podniósł opaloną na brąz twarz. - Większość z nich to jeszcze dzieciaki, zwykle dzieciaki...

- Wiem... - Jake przycisnął czoło do szafki, usiłując opanować bezradną rozpacz. Po chwili wyprostował się i wyjął drugą filiżankę.

Ile razy drażnił się z Billem? Ile razy celowo dokuczał mu z powodu Callie? Tylko po to, aby się nad nim poznać...

- Bili był jednak dość dorosły, aby tu pracować i dość dorosły, aby się upić - dorzucił. - Nie masz obowiązku pilnować ich jak stada rozbrykanych owieczek. Musisz jedynie dbać, żeby nikt niepowołany nie dostał się na teren wykopaliskowy...

- Więc mam wzruszeniem ramion zbyć fakt, że dzieciak pływa w jeziorze niczym śnięta ryba? Gdzie moje papierosy?

Jake wziął do ręki resztki zgniecionej paczki papierosów i rzucił je Diggerowi.

- Wypij kawę, wypal pieprzonego papierosa i dokładnie opowiedz mi, co się stało - polecił. - Jeżeli chcesz sobie trochę popłakać, to zostaw to na później.

- Pan Wrażliwy robi, co może, tak? - Callie, która właśnie stanęła w drzwiach, rzuciła Jake'owi pełne niesmaku spojrzenie.

- Jake stara się tylko doprowadzić mnie do porządku. - Digger westchnął, wyciągając z kieszeni bandanę i głośno wydmuchując w nią nos.

- Jasne... - mruknęła Callie. - A jeżeli wepchnie ci twarz w gówno, to pewno powiesz, że chciał zafundować ci zabieg upiększający...

Obeszła dookoła niski stół i zrobiła coś, czego nigdy nie spodziewała się zrobić. Otoczyła ramionami kościste barki Diggera i pogładziła jego długie, splecione włosy.

- Przyszedłem tutaj do toalety, potem rozłożyłem łóżko - zaczął powoli.
- Zamierzałem włączyć jakąś muzykę, bo miałem nadzieję, że może uda mi się namówić Sonię na drobny numer... Wiedziałem, że Bili jest na wpół pijany. Wypił dwa piwa i był trącony. Zawsze staram się ich pilnować, słowo daję, bo boję się, żeby nie wpakowali się w jakąś kabałę, i teraz wydawało mi się, że wszyscy już się uspokoili i niedługo pójda spać. - Digger westchnął i potarł policzkiem o dłoń Callie. - Matt grał na gitarze. Niezbyt dobrze mu to wychodzi, ale ja lubię, kiedy ktoś brzdąka. Tych dwoje z Wirginii Zachodniej, Frannie i Chuck, zbierali się już do domu. Bob coś pisał, z tą cholerną latarką umocowaną na czapce wyglądał jak górnik. Dory prawie zasypiała, a Sonia śpiewała piosenkę Freebird. Słowa ciągle jej się myliły, lecz nie przeszkadzało mi to, bo dziewczyna ma całkiem miły głos. - Zamknął oczy. - Noc była ładna, pogodna, przyjemnie chłodna. W powietrzu kręciło się mnóstwo robaczek świętojańskich, a cykady nadal grały, chociaż było już późno. Widziałem, że Bili podniósł się i ruszył w stronę drzew, chwiejąc się i kołysząc jak statek w czasie burzy. Ululał się na smutno, więc był rozdrażniony, bez tego swojego szerokiego uśmiechu... Nie uśmiechał się tylko do ciebie. - Digger spojrzał na Jake'a. - Nie znosił cię, bo uważał, że jesteś jego rywalem do serca Callie... Jake w milczeniu popijał kawę, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy Callie.

- Wydawało mi się, że ma potrzebę odcedzić kartofelki, więc zaproponowałem mu, żeby skorzystał z toalety w przyczepie, ale on odepchnął mnie lekko i powiedział, że chce się przejść. Chyba miał ochotę warknąć, żebym się odpieprzył, lecz nawet po pijaku nie potrafił się na to zdobyć. Odpowiedziałem... O, Jezu... Odpowiedziałem, żeby uważał i nie utopił się w jeziorku... A on się utopił... Utopił się.

Callie, która patrzyła na Jake'a, dostrzegła, jak na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego poruszenia, przerażenia, potem współczucia.

- Ile czasu minęło, zanim ktoś poszedł go poszukać? - zapytał Jake.

- Nie umiem powiedzieć. Dość długo siedziałem jeszcze przy ognisku. Miałem nadzieję, że może tego wieczoru mi się poszczęści, więc w końcu wróciłem do przyczepy, żeby trochę posprzątać. Wybrałem kilka płyt, wyjąłem odtwarzacz CD i świece. Dziewczyny z college'u bywają romantyczne, prawda, Cal?

- Jasne. - Callie przytuliła go mocniej. - Uwielbiamy romantyczną atmosferę.

- Więc trochę uładziłem, wszystko razem zajęło mi jakieś piętnaście minut, najwyżej dwadzieścia. Przez cały czas słyszałem gitarę. Potem wyszedłem i zacząłem zalecać się do Sonii. To Bob zapytał, co z Billem. Ktoś, nie pamiętam, kto, powiedział, że chyba poszedł już spać, a ktoś inny, że jeszcze nie wrócił z lasu. Bob mruknął, że sam też musi się wysiusiać, więc przy okazji sprawdzi, czy Bili nie leży gdzieś nieprzytomny. Parę minut później przybiegł, krzycząc, że znalazł Billa w jeziorze. Wtedy pobiegliśmy tam wszyscy... To było zupełnie jak z Dolanem... Jak z Dolanem...

Dopiero godzinę później Callie mogła zamienić parę słów z Leem.

- Co wiesz?

- Niewiele - odparł. - Nie chcą nic mówić. Przeprowadzą autopsję i wtedy stwierdzą przyczynę śmierci. Kiedy wszyscy skończą składać zeznania, będziemy mogli wrócić do siebie.

- Ktoś powinien tu zostać, bo Digger nie jest w stanie przypilnować terenu.

- Ja zostanę - powiedział.

- Nie, wyznaczmy dyżury - zaprotestowała. - Jake i ja zostaniemy do rana, bo tobie i Rosie łatwiej będzie uspokoić ludzi. Nie podoba mi się wyraz twarzy Hewitta, kiedy patrzy na Diggera...

- Mnie także nie, ale Hewitt musi wziąć pod uwagę fakt, że Digger był tu podczas obu tych tragicznych zdarzeń.

- W ogóle było tu dużo osób, a Digger siedział w przyczepie. - Callie wzruszyła ramionami. - Wiadomo, że Bili upadł i utopił się, więc był to wypadek. Nikt nie miał powodu źle życzyć temu dzieciakowi...

- Mam nadzieję, że właśnie tak było. - Leo zdjął okulary i brzegiem koszuli starannie wytarł szkła. - Zawołam Rosie i razem zbierzemy wszystkich. Wrócimy z samego rana.

- Do pracy?

- Ci, którzy będą chcieli, mogą pracować. Musimy porozmawiać z dziennikarzami, Blondie. Poradzisz sobie?

- Tak. Prześpij się trochę, bo padniesz. Wszyscy zrobimy, co do nas należy.

Callie wróciła do przyczepy, wylała lurowatą kawę produkcji Jake'a i zaparzyła dzbanek świeżej. Zapach środka do czyszczenia, którego używał Digger, mieszał się z cynamonowym aromatem świec - oba wisiały w powietrzu, niczym ulotne symbole prostoty i oczekiwania.

Słyszała cichnące głosy członków zespołu, którzy zbierali się do odejścia, oraz warkot włączanych silników. Pomyślała, że na pewno większość jej kolegów do późnej nocy omawiać będzie szczegóły tego, co się wydarzyło.

Pragnęła ciszy i spokoju, ale Leo nigdy nie zgodziłby się, aby została sama na terenie. Uświadomiła sobie, że Jake rzeczywiście był jedynym człowiekiem, którego towarzystwo była teraz w stanie znieść. Nalała pierwszą filiżankę kawy, kiedy dobiegł ją odgłos jego kroków. Bez chwili wahania napełniła gorącym napojem drugą.

- Wylałam te pomyje, które zaparzyłeś - powiedziała. - Tu masz świeżą kawę... Odwróciła się i podała mu filiżankę.

- Nie zamierzam spać na dworze tylko dlatego, że jesteś na mnie wściekła.

- Nie oczekuję, że będziesz spał na dworze i nie jestem na ciebie wściekła, w każdym razie nie bardziej niż zwykle. Nie potrafię podjąć rozmowy, którą przerwaliśmy, kiedy zadzwonił telefon. Po prostu nie jestem teraz w stanie o tym rozmawiać.

- W porządku.

Znała ten ton - wiele razy raniła się o zimny mur, jaki Jake potrafił zbudować zaledwie kilkoma słowami. Nie miała siły na kłótnię, ale nigdy nie poddawała się bez walki.

- Nie podobał mi się sposób, w jaki traktowałeś Diggera - rzekła powoli. - Wiem, że dzięki temu trzymał się w pionie, ale nie pochwalam tego. Zauważ, że znacznie więcej wydobyłam z niego, okazując mu trochę współczucia, niż ty, działając za pomocą tego całego gówna w stylu macho...

Jake uświadomił sobie nagle, że boli go głowa. I serce.

- Jak to się dzieje, że kobiety tak łatwo dokonują połączeń kolokwialnych typu „gówno w stylu macho”? - wymamrotał.

- Bo jesteśmy bystre.

- Chcesz, żebym przyznał ci rację. - Padł na sofę, nie panując nad wszechogarniającym zmęczeniem. - Dobrze, miałaś słuszność, nie umiałem ofiarować mu tego, co ty. Oboje wiemy, że pocieszenie nie należy do moich czołowych umiejętności.

Wygląda na kompletnie wykończonego, pomyślała Callie. Widziała już Jake'a ledwo trzymającego się na nogach z przepracowania, ale nigdy z powodu stresu czy zmęczenia. Z trudem stłumiła impuls, aby otoczyć go ramionami, jak wcześniej Diggera.

- Nie wiedziałeś, co powiedział do Billa tuż przed jego odejściem. Ja wiedziałam.

- Chryste Panie, Digger nigdy się z tego nie otrząśnie! Do końca życia będzie pamiętał, że odezwał się w ten sposób do dzieciaka, który niedługo potem faktycznie się utopił!

- Wcale nie myślisz, że Bili tak po prostu wpadł do wody - powiedziała

Callie. Jake uniósł wzrok znad filiżanki. Oczywiście miał tak samo ostrożne i chłodne jak głos.

- Wszyscy mówią, że był pijany - rzucił.

- Dlaczego nie słyszeli plusku? Bili ważył dobre osiemdziesiąt kilo, nie mógł wpaść do wody bezgłośnie jak piórko... Była pogodna, spokojna noc, dźwięk niósł się doskonale. Słyszałam fragmenty rozmów, które policjanci prowadzili pod lasem, w sporej odległości ode mnie. I dlaczego nie krzyknął, kiedy upadł? Digger mówi, że Bili wypił dwa piwa. Był podпиты, to prawda, ale facet o takich gabarytach nie traci przytomności po dwóch piwach, i to aż do tego stopnia, żeby nie otrzeźwieć pod wpływem niespodziewanej kąpieli w zimnej wodzie, prawda?

Jake nie zmienił wyrazu twarzy, ton jego głosu również pozostał ten sam.

- Może zatankował coś więcej niż piwo. Sama wiesz, że prochy często znajdują drogę na wykopaliska.

- Digger od razu by się zorientował, co jest grane - odparła. - Skonfiskowałby prochy i skręty, choćby po to, żeby w wolnej chwili samemu z nich skorzystać...

Podeszła do kanapy i usiadła na jej drugim końcu. Wiedziała, że są o krok od kłótni, dziwiła ją tylko, że jeszcze na siebie nie wrzeszczą.

- Dwaj mężczyźni znajdują tragiczny koniec w tym samym bajorku, na tym samym terenie wykopaliskowym, a jeden wypadek od drugiego dzieli zaledwie kilkanaście dni... Tylko kretyń mógłby wziąć to za zbieg okoliczności. Hewitt nie wygląda mi na kretyń, a ty nie jesteś nim z całą pewnością...

- Serdeczne dzięki - mruknął ironicznie. - Nie, nie nazwałbym tego zbiegiem okoliczności.

- I chyba nie należysz do wyznawców popularnej w okolicy teorii o ciąży nad naszym terenem kłątwe...

Uśmiechnął się lekko.

- Podoba mi się, ale nie, nie należę do jej zwolenników. Ktoś zabił Dolana z konkretnego powodu, to samo odnosi się do McDowella. Co łączy obie te śmierci?

Callie podniosła filiżankę do ust, podwinęła nogi.

- Wykopalisko.

- To oczywiste, najbardziej rzucający się w oczy fakt. Jeżeli zrobisz jeszcze krok, zrozumiesz, że może chodzić o ciebie...

Wyczytał z jej twarzy, że sama już wcześniej doszła do tego wniosku i skinął głową.

- W tle mamy wykopalisko, budowę osiedla, procent miejscowych, którzy są trochę wkurzeni utratą intratnej pracy, można więc ewentualnie założyć, że ktoś zabił dwie osoby, aby wystraszyć nas i przegonić, albo zmusić władze do zamknięcia terenu.

- Ale to nie jest twoja teoria. - Callie pochyliła się i zapaliła jedną ze świeczek Diggera.

- Powiedzmy, że nie stawiam na nią.

- Natomiast stawiasz na tę, która łączy te wypadki ze mną, Cullenami, Carlyle'em i wszystkimi ludźmi z naszej listy, czyli przestępczą siecią, zajmującą się handlem niemowlętami. Tylko co może to mieć wspólnego z Dolanem i Billem?

- Pamiętasz to? - Jake rozpostarł obie dłonie, odwrócił je szybkim ruchem i podniósł do góry ćwierćdolarową monetę. Jeszcze jeden ruch i moneta zniknęła.

- Mógłbyś dorabiać pokazywaniem sztuczek na kinderbalach. - Callie się uśmiechnęła.

- Najprostszy trik z odwróceniem uwagi obserwatora - rzekł Jake, przesuwając prawą dłoń przed jej twarzą. - Nakłaniam cię, żebyś patrzyła w ten punkt, a wtedy ty nie widzisz, co dzieje się tam... - Lekko pociągnął ją za lewe ucho, udając, że wyciąga z niego monetę.

- Uważasz, że ktoś zamordował dwie osoby, żeby odwrócić mój a uwagę?

- Nie można wykluczyć, że tak właśnie było. Jesteś na tyle zaniepokojona i zdezorientowana, że w ogóle nie myślisz o tym, czego zaledwie parę godzin temu dowiedziałaś się o Barbarze Hallaway, prawda? Wszyscy lubili Billa, nawet ja, poza tym trochę mu współczułem, bo zadurzył się w tobie jak szczeniak. Jeżeli ktoś go zabił, to dlatego, że Bili nawinał mu się pod rękę. Dlatego, że na dość długo oddalił się od grupy.

Callie odsunęła spłowiła zasłonkę i wyjrzała przez zakurzone okno.

- A teraz nas obserwują... - mruknęła. - Kimkolwiek są, nie spuszczaają nas z oczu, tak jak tamtej nocy w domu... Muszą to robić na zimno. I może zamordują jeszcze kogoś, tylko po to, aby skutecznie odwrócić moją uwagę...

- Robienie sobie wyrzutów może się okazać równie skuteczne.

- Traktowałam Billa jak natrętną muchę. - Callie zdecydowanym szarpnięciem zasłoniła okno. - Kiedy zbieraliśmy sprzęt, zaprosił mnie na ognisko, ale ja nawet go nie słuchałam. Tak, może, później, nie teraz - to była moja jedyna reakcja na wszystko, co mówił. - Potrząsnęła głową. - Nie mogę pozbyć się przekonania, że masz rację i twoja teoria jest prawdziwa. A jeżeli tak jest, to znaczy, że Bili zginął, ponieważ ktoś próbuje mnie powstrzymać...

On nie żyje, a ja nie chciałam poświęcić mu nawet paru minut, na miłość boską...

- Daj spokój, nie dręcz się... - Jake przyciągnął ją do siebie. - Wyciągnij się - polecił, kładąc jej głowę na swoich kolanach. - Naprawdę powinnaś trochę odpocząć...

Długą chwilę milczała, wsłuchując się w odgłosy nocy, ciesząc się spokojną radością płynącą z dotyku jego dłoni na włosach. Czy kiedyś już dotykał ją ten sposób? Czy wcześniej to zauważyła?

- Jake? - Tak?

- Miałam pewne plany na ten wieczór.

- Naprawdę?

Przesunęła głowę tak, żeby na niego spojrzeć. Z tej pozycji widziała bliźnię na podbródku, tuż pod kością szczękową. Miała ochotę dotknąć jej palcem albo wargami, od nowa poznać ledwo wyczuwalny zarys tej drobnej fizycznej niedoskonałości.

- Chciałam pozwolić ci zaciągnąć się do łóżka, albo może zaciągnąć ciebie do łóżka... Nie byłam pewna, co sprawiłoby nam więcej przyjemności...

Delikatnie przesunął palcem po jej kości policzkowej. Tak, pomyślała. Tak, w przeszłości także dotykał mnie w ten sposób. Dlaczego nie przywiązywałam wagi do tych drobnych gestów? Dlaczego nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele dla mnie znaczą?

Czy aż tak bardzo potrzebowała słów, że ignorowała spokojniejsze i bardziej proste oznaki czułości?

- Szkoda, że nic z tego nie wyszło - powiedział.

- Jeszcze mamy szansę...

Palec Jake'a drgnął gwałtownie, jakby niespodziewanie dotknął czegoś bardzo gorącego.

- To nie byłoby dobre ani dla mnie, ani dla ciebie. Musisz się przespać, jutro czeka nas pracowity dzień.

- Nie chcę myśleć o tym, co będzie jutro. - Westchnęła. - Nie chcę myśleć o tym, co jest, ani o tym, co było. Chcę cieszyć się tym, co dzieje się teraz.

- Mamy za sobą mnóstwo różnych „teraz”, nie sądzisz? Seks to normalna, wybitnie ludzka reakcja na śmierć. - Jake bawił się włosami Callie, nie tracąc nadziei, że jednak zdoła namówić ją na odpoczynek. - To dowód życia...

- Przecież żyjemy... Nie chcę być sama. - Mówiła nie tylko o tej nocy, lecz także o wszystkich innych, które spędziła bez niego. - Myślałam, że pragnę właśnie samotności, ale wreszcie zrozumiałam, że jest inaczej...

- Nie jesteś sama. - Ujął jej rękę i podniósł do ust. - Zamknij oczy...

Nie usłuchała go. Podniosła się, uklękła i otoczyła jego szyję ramionami.

- Bądź ze mną - szepnęła, całując jego usta, sycąc go swoim oddechem.

- Proszę, bądź ze mną...

Drżała na całym ciele, ze strachu, pożądania i wyczerpania. Jake przygarnął ją, wtulił twarz w załamanie jej szyi.

- Powiedz, że mnie potrzebujesz - poprosił. - Tylko ten jeden raz...

- Naprawdę cię potrzebuję. Dotknij mnie... Nikt poza tobą nie umie tego zrobić...

- Nie tak to sobie zaplanowałem. - Przebiegł wargami wzdłuż linii jej szczęki, ostrożnie ułożył ją na wąskiej pryczy. - Miało być inaczej, ale może właśnie tak będzie dobrze, może właśnie to jest nam potrzebne... Nie myśl o niczym... - Całował jej skronie i policzki. - Skoncentruj się na tym, co czujesz...

- Mam dreszcze.

- Nie szkodzi... - Rozpiął jej bluzkę i pochylił się, obsypując lekkimi pocałunkami szyję i ramiona.

Kiedy wyciągnęła po niego ramiona, odsunął się i zdjął z siebie jej dłoń.

- Nie, poczekaj... Zamknij oczy, dobrze? Pozwól mi się dotykać...

Opuściła powieki i odkryła, że nawet to może przynieść ulgę. Miękka ciemność koła pulsujący ból głowy, który bezskutecznie próbowała ignorować. Gdy zdjął z niej bluzkę, chłodne powietrze oblepiło skórę. Palce Jake'a były ciepłe, stwardniałe i spierzchnięte. Mięśnie jej brzucha napięły się pod nimi, gdy bez pośpiechu rozpiął guzik w pasie jej starych spodni.

Jego wargi na chwilę spoczęły tuż nad talią Callie, wrywając z jej gardła cichy jęk.

- Unieś biodra - szepnął.

Zsunął miękki, sprany materiał z jej nóg, zdjął buty i skarpetki. Potem zaczął masować stopy. Znowu jęknęła, tym razem głośniej.

- Kiedyś mogłem namówić cię na wszystko w zamian za masaż stóp... Otworzyła jedno oko, uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego uśmiech.

- Co konkretnie miałeś na myśli?

- Dam ci znać. - Przycisnął dłoń do łuku jej podbicia, wywołując gwałtowne drżenie jej rzęs. - Nadal działa, prawda?

- Och, tak... Powiedziałybyśmy nawet, że mój pierwszy orgazm zaczął się od stóp...

- Lubię twoje stopy... - zamruczał. - Są małe, delikatne... - Musnął

zębami zewnętrzną krawędź stopy, uśmiechnął się, kiedy znowu drgnęła. - I bardzo wrażliwe... A twoje nogi...

- Zawiesił głos, sunąc ustami ku jej kostce i wyżej, do połowy łydki. - Brak mi słów, aby oddać sprawiedliwość twoim nogom...

Nagle wtulił twarz w jej brzuch.

- Wciąż pachniesz tak samo... Budziłem się, czując twój zapach, chociaż byłeś na drugim końcu świata... Budziłem się, pragnąc cię do szaleństwa... - wymamrotał, opadając na jej usta.

Codziennie, co noc, pomyślał. Jej zapach otaczał go ze wszystkich stron. Ten sam aromat jeszcze niedawno dręczył go i prześladował tak bardzo, że z całego serca pragnął obudzić w sobie nienawiść do Callie.

A teraz była tutaj, jej ramiona ciasno otaczały mu szyję, wargi odpowiadały na jego pieszczoty... Chwilami miał wrażenie, że traci przytomność z rozkoszy.

Miłość do niej przepełniała go i rzucała na kolana, pozbawiając sił. Ujął jej twarz między dłonie, zaczął całować inaczej, bardziej delikatnie. Zauważyła tę zmianę i otworzyła oczy.

- Jake...

- Ciii... - Z niewypowiedzianą czułością ogrzał wargami zagłębienie u nasady jej szyi. - Nie myśl o niczym - powtórzył. - Skup się na odczuciach...

Kiedy ich wargi znowu się zetknęły, Callie się rozluźniła, zmiękła.

Oto akt poddania się, pomyślał Jake. Oboje poddajemy się sobie nawzajem w zupełnie nowy, nieznan sposób...

Serce Callie mocno waliło pod jego wargami, oddychała powoli i nierówno. Mimo to czułość do niej wciąż nie dopuszczała do głosu nagiej żądz.

Powietrze jest dziwnie ciężkie, myślała Callie. Dziwnie ciężkie i ciepłe... Przenosiło ją do świata, w którym istniała tylko rozkosz... Nie, to Jake ją tam przeniósł...

To imię wypłynęło z jej gardła razem z westchnieniem; wargi Jake'a, język i dłonie kołysły, pieściły, podniecały i pobudzały. Kiedy znowu poczuła dotyk jego warg na ustach, kiedy zrozumiała, że dla niego nie istnieje nic ważniejszego od tego słodkiego, długiego pocałunku, jej serce po prostu stopniało.

Sunęła dłońmi po szczupłym, wspaniale umięśnionym torsie, gdy rzucał z siebie koszulę, badała palcami wąskie biodra. Jego ciało podniecało ją, a wiedza, że należy do niej, wyłącznie do niej, dawała niewiarygodną radość i rozkosz.

Zadrzała, delikatnie wbiła zęby w jego ramię, nie mogąc zapanować nad

narastającym napięciem.

- Jake...

- Nie, tym razem nie będziemy się spieszyć... - Nachylił się nad nią, dręcząc siebie i ją pieszczotami. - Pośpiech jest zbyt łatwy...

Czas, zawsze chodziło o czas. Jej zapach, drżenie ciała, gorące tchnienia... Pragnął tego wszystkiego, tego i jeszcze więcej... To, że miał ją teraz wymazywało z pamięci każdą samotną godzinę bez niej.

Przycisnął wargi do jej szyi, ramion, ust, pozwolił, aby pożądanie ogarnęło go wielką falą. Pomógł jej pokonać pierwszy szczyt, a jej zdławiony okrzyk wniknął do jego krwi.

Patrzyli sobie w oczy, gdy w nią wszedł i gdy zaczęli się razem poruszać. Widział, jak oczy Callie zasnuwa mgła rozkoszy i łez, i mocno chwycił jej dłonie.

- Zostań ze mną... - powiedział, rozgniatując jej usta pocałunkiem. - Zostań ze mną... Odarł jej serce ze wszystkich zasłon, obnażył je. Dziwiła się, że Jake nie czuje, jak drży w jego dłoni, bezbronnie niczym schwytyany ptak. Zastanawiała się, czy widzi to w jej twarzy, we wzbierających łzami oczach.

Zamknęła je szybko, nie próbowała uwolnić dłoni, została z nim. Została z nim i byli razem, złączeni ze sobą, gdy świat zadygotał pod nimi.

Spała mocno ponad godzinę, lecz później zaczęły ją dręczyć niespokojne sny. Śniła, że jest w lesie, w ciemności, w zimnej wodzie, która zamykała się nad głową, i że jakieś ręce ciągną ją, szarpią w różne strony.

Nie mogła się od nich uwolnić, nie była w stanie wyrwać się i wypłynąć na powierzchnię. Nie mogła oddychać. I kiedy tak zmagiała się z nieznanym wrogiem czy raczej wrogami, woda zmieniła się, przygmiotła ją i stała się grobem.

Obudziła się nagle, gwałtownie chwytając powietrze. W przyczepie było ciemno i zimno. Cienka narzuta pętała jej nogi. Była sama.

Zerwała się, przerażona, boleśnie uderzając biodrem o stół, potknęła się i pchnęła drzwi. Krtani miała zaciśniętą, walczyła o oddech, zupełnie jak we śnie. Przycisnęła ręce do piersi, jakby chciała zrzucić przytłaczający je ciężar. Jeszcze raz bezskutecznie pchnęła drzwi, słysząc świst powietrza, które nie mogło wedrzeć się do krtani. Z głuchym okrzykiem napała na drzwi i o mało nie wypadła na zewnątrz. Osunęła się na kolana w mglistym chłodzie świtu.

Słyszając odgłos biegnących ku niej stóp, spróbowała dźwignąć się na nogi, ale mięśnie ramion i ud odmówiły posłuszeństwa.

- Hej, co się stało? - Jake przykucnął obok i podniósł jej głowę.

- Nie mogę... Oddychać... - wykrztusiła. - Brak... Brak mi tchu... Nie mogę... - Możesz!

Żrenice miała rozszerzone, twarz białą jak ściana, skórę wilgotną i zimną. Jake położył dłoń na jej potylicy i zdecydowanym ruchem wepchnął jej głowę między kolana.

- Powoli, spokojnie, głęboko - powiedział głośno. - Oddychaj! - Nie mogę...

- Możesz. Oddychaj - raz, wdech, dwa, wydech. Powoli. Jeszcze... I jeszcze... - Poczul, jak napięcie mięśni jej brzucha ustępuje pod wpływem powietrza. - I jeszcze... Spokojnie...

- Nic mi nie jest.

Nie zareagował. Nadal trzymał jej głowę.

- Wdech, wydech... Tak... Teraz powoli podnieś głowę... Masz mdłości?

- Nie. Nic mi nie jest. To tylko... Obudziłam się i na chwilę zupełnie straciłam orientację...

- Akurat! Zafundowałaś sobie pieprzony atak paniki.

Nie czuła się jeszcze zupełnie pewnie, ale jednak dość dobrze, aby poczuć ostre ukłucie zażenowania.

- Nie miewam ataków paniki.

- Ale przed chwilą go miałaś, chyba że zwykle wybiegasz nago na dwór, tak dla rozrywki...

- Ja... - Callie spojrzała na siebie i zobaczyła, że rzeczywiście jest naga jak ją Pan Bóg stworzył. - Jezu Chryste...

- Wszystko w porządku, lubię, kiedy chodzisz nago. Masz cudowne ciało, nawet kiedy jest wilgotne od potu. Chodź, musisz się na chwilę położyć.

- Nie chcę. I nie matkuj mi, dobra?

- Jesteś zbyt inteligentna, żeby robić sobie wyrzuty z powodu niepokoju, który cię prześladowuje. I nie musisz mi dowodzić, że jesteś twardzielem, Dunbrook. Siadaj. - Popchnął ją na sofę, przykrył kocem. - Nie warcz na mnie przez chwilę, bo jeszcze pomyślę, że jednak nie jesteś taka znowu inteligentna. Przez ostatni miesiąc bez przerwy walczysz ze stresem, napięciem i lękiem - to chyba dosyć, nie uważasz? Jesteś człowiekiem, więc daj sobie chwilę wytchnienia.

Wyjął z lodówki butelkę z wodą, otworzył, podał jej.

- Miałam zły sen. - Przygryzła wargę, maskując jej drżenie. - Obudziłam się, byłam sama i nie mogłam złapać tchu...

- Przepraszam. - Usiadł obok niej. - Wyszedłem się rozejrzeć, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie chciałem cię budzić.

- To nie twoja wina. - Callie przełknęła duży łyk wody. - Zwykle nie wpadam w panikę z byle powodu.

- Doprawdy?

- Ale teraz jestem przestraszona. Jeżeli komuś o tym powiesz, zabiję cię, uprzedzam. Boję się i wcale mi się to nie podoba.

- Wszystko będzie dobrze. - Otoczył ją ramieniem, przycisnął wargi do skroni.

- Kiedy coś mi się nie podoba, staram się tego pozbyć. Kącki warg Jake'a uniosły się w uśmiechu.

- Doprawdy? - powtórzył.

- Więc nie będę się bała. - Callie wzięła głęboki oddech i z ulgą zauważyła, że powietrze bez przeszkód przedostaje się przez krtań. - Nie pozwolę sobie się bać, nie dam się wpędzić w panikę. Zamierzam dowiedzieć się wszystkiego, absolutnie wszystkiego. Pojadę do Wirginii i Simpsonowie powiedzą mi wszystko, co chcę wiedzieć. Chciałabym, żebyś pojechał ze mną... Jake ujął jej rękę i pocałował.

- Więc ubierz się, dobrze?

Gdy ostatnie plasterki bekonu podskakiwały na czarnej żeliwnej patelni, Jake wbił do miski dwa tuziny jaj. Zanim Callie poszła wziąć prysznic, zmusił ją, aby zaparzyła kawę, więc podstawa śniadania była właściwie gotowa. Jeżeli ktoś miałby ochotę na grzanki, powinien sam je sobie zrobić.

Jake nie miał nic przeciwko gotowaniu, chociaż zasadniczo dotyczyło to śniadania, i to niezbyt wymyślnego. Tak czy inaczej, tego ranka wszyscy musieli coś zjeść, a nikt inny nie zdobył się na wysiłek, aby to „coś” przyrządzić.

Zespół lub plemię, jeśli ktoś woli, niezależnie jakich przestrzega rytuałów i zwyczajów, potrzebuje paliwa, aby sprostać wyzwaniom. Śmierć członka zespołu zmusza pozostałych do zadziergnięcia nowego rodzaju więzi. Jedzenie jest ich symbolem, natomiast przygotowanie, podanie i konsumpcja ceremonią, w wielu kulturach występującą w okresie żałoby.

Nie dzieje się tak bez przyczyny, pomyślał Jake. Jedzenie to życie, podobnie jak seks. W chwilach, gdy ogarnia nas smutek, poczucie winy i ulga, wywołane świadomością, że nadal żyjemy, gdy tymczasem ktoś nam bliski niedawno stracił życie, musimy dać wyraz tym uczuciom.

Ta wymuszona intymność nie trwa długo, przypomniał sobie, myśląc o Callie. Szybko znika, chyba że bardzo staramy się ją podtrzymać...

Kiedy Doug wszedł do kuchni, ujrzał mężczyznę, którego uważał za byłego męża Callie, opartego biodrem o kuchenkę, ze ścierką do naczyń wetkniętą za pasek wypłowiałych dżinsów, i mieszającego coś w misce narzędziem wielkości ogrodowych grabek. Był to dość dziwny obrazek, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, że do domu wpuścił Douga facet w białym, ze szpakowatymi włosami do pasa, który niepewnym gestem

wskazał gościowi drogę do kuchni i zaraz wrócił na wyraźnie zniszczoną sofę.

Doug musiał zrobić duży krok nad dwoma wałkami na podłodze, które okazały się dwiema osobami w śpiworach.

Jeżeli Callie lubiła mieszkać w takich warunkach, to będzie musiał bardzo się starać, aby ją zrozumieć.

- Przepraszam, że ci przerywam, ale... Jake dalej ubijał jajka.

- Callie bierze właśnie prysznic - powiedział.

- Aha... Sądziłem, że o tej porze będziecie już na nogach...

- Późno wstaliśmy. Jest świeża kawa, jeśli masz ochotę.

- Dziękuję...

Na blacie stało kilka czystych kubków. Doug wziął jeden i sięgnął po dzbanek.

- Mleko też tam stoi - rzekł Jake. - Świeże. Kupiłem karton dziś rano, wracając z wykopaliska.

- Pracowaliście całą noc?

- Nie. - Jake przerwał ubijanie i odwrócił plasterki bekonu na drugą stronę. - Sądziłem, że wpadniesz, żeby zobaczyć, jak ona się czuje, ale na pewno słyszałeś...

- Jak to, jak się czuje? Co się stało? Niepokój, pomyślał Jake. Krew nie woda...

- W nocy utonął nasz kolega, w Oczku Simona - odpowiedział. - Nie wiemy, jak do tego doszło, policja prowadzi dochodzenie. Callie i ja zostaliśmy na terenie na noc. Nalej mi kawy do tego niebieskiego kubka, dobrze?

- Mówisz o tym wszystkim tak spokojnie... Jake podniósł wzrok znad patelni.

- Musimy myśleć o całym zespole. Zespół tworzą ludzie, a Callie i ja jesteśmy za nich odpowiedzialni. Callie bardzo to przeżywa. Nie pomogę jej, jeżeli stracę głowę...

Z góry dobiegła seria skrzypnięć, rozległy się kroki. Jest w sypialni, pomyślał Jake, zerkając na sufit.

- Ktoś zabił tego chłopaka - dodał cicho.

- Przed chwilą powiedziałaś, że utonął...

- Jestem przekonany, że ktoś mu pomógł. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dwie osoby straciły życie dlatego, że Callie zaczęła grzebać w swojej przeszłości, w sprawach, które nie mają nic wspólnego z wykopaliskiem. Doug podszedł bliżej, stanął tuż obok Jake'a.

- Ron Dolan i ten wasz facet zostali zamordowani dlatego, że Callie szuka ludzi, którzy porwali ją w 1974 roku? - zapytał, także przyciszonym

głosem. - Czy nie za daleko się posuwasz?

- Nie aż tak daleko, jak myślisz. Callie zejdzie za minutę, bo mniej więcej tyle zajmuje jej wciągnięcie spodni i koszulki, więc muszę się streszczać. Nie chcę, żeby zostawała sama, nawet na godzinę. Kiedy ja nie będę mógł przy niej być, musisz mnie zastąpić.

- Myślisz, że ktoś może próbować zrobić jej coś złego?

- Myślę, że im bliżej jest prawdy, tym bardziej zdecydowanie spróbują ją powstrzymać. Nie pozwolę, aby coś jej się stało, i ty także nie pozwolisz, bo dorosłeś w kulturze, gdzie brat, zwłaszcza starszy brat, ma się opiekować siostrą. Fakt, że okoliczności pozbawiły cię tego obowiązku w najważniejszych dla rozwoju człowieka latach powinien sprawić, że z tym większą determinacją wejdiesz teraz w rolę...

- Więc uważasz, że pomogę ci nad nią czuć dlatego, że tego właśnie wymaga nasza cywilizacja? - Doug się uśmiechnął.

- Tak. Poza tym widzę, że zew krwi już się w tobie odezwał. - Jake nie spuszczał wzroku z twarzy Douga. - Callie jest kobietą, a twoja natura i wychowanie skłaniają cię do opiekowania się istotą płci żeńskiej. Jestem też pewien, że zdążyłeś ją polubić.

Doug nie potrafił zaprzeczyć.

- A jaka jest twoja motywacja? - zapytał. Jake zdjął patelnię z fajerki.

- Moja motywacja właśnie zbiega po schodach i zaraz zacznie mnie dręczyć, żebym dorzucił trochę żółtego sera do jajek - odparł.

Wyrwał ścierkę zza paska džinsów i owinął nią rozgrzaną rączkę patelni, przelewając syczący tłuszcz do pustej puszki po fasoli z wieprzowiną.

- Niech Leo sam budzi sobie te ślimaki, które nadal śpią powiedziała Callie od progu. - Doug... - odezwała się po paru sekundach pełnego zaskoczenia milczenia. - Hmm... Jak ci leci?

- Jake właśnie mówił mi, co się stało. Jak się czujesz?

- Dobrze, chociaż jestem trochę przyćmiona. - Callie wyciągnęła rękę, w którą Jake natychmiast wetknął kubek z kawą. - Słyszałam, że wyjechałeś...

- Wróciłem wczoraj. Zajrzałem na wykopalisko, ale byłaś zajęta.

- Och, no, tak... Dodałeś ser do jajek? - zwróciła się do Jake, równocześnie otwierając lodówkę i wyjmując z niej kawałek sera.

- Nie wszyscy lubią jajka z serem - oznajmił Jake.

- Ale wszyscy powinni. - Podała mu ser i odwróciła się, szukając wzrokiem pieczywa. - Dorzuć trochę sera do mojej porcji, a jeżeli odrobinę wpadnie do reszty, to trudno.

Doug obserwował, jak Jake wyciąga rękę po nóż, który Callie wyjęła z szuflady, i jak ona wkłada chleb do tosterka i chwilę później bierze od niego

talerz. Przyszło mu do głowy, że przypomina to taniec, w którym każdy z partnerów zna kroki i tempo drugiego tak świetnie, że potrafi je uprzedzić.

- Wpadłem, żeby dać ci coś, co przywiozłem z Memphis.

Na jej twarzy najpierw pojawił się wyraz zaskoczenia, dopiero potem uśmiech.

- Przyprawy do barbecue? - zapytała.

- Nie. - Podał jej małą brązową torebkę. - Skromny upominek z Gracelandu.

- Byłeś w Gracelandzie? Zawsze chciałam tam pojechać, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego. Och, tylko popatrz, Graystone - podstawka do piwa ze zdjęciem Elvisa...

- Podstawek do piwa nigdy nie jest za dużo. Jake posłusznie obejrzał czerwoną podstawkę.

- Lepiej nie pokazuj jej Diggerowi - powiedział. - Facet po prostu uwielbia fikuśne podstawki.

- Ale tej nie dostanie. - Callie zrobiła krok w kierunku Douga i zawahała się. Zupełnie nie wiedziała, jak się zachować. Może powinna go pocałować, a może szturchnąć pięścią... W końcu lekko poklepała go po ramieniu.

- Dzięki... - bąknęła.

- Proszę bardzo. - Doug nie mógł oprzeć się refleksji, że oni oboje nie znają kroków ani tempa swojego tańca. - Powinienem już wracać...

- Jadłeś śniadanie? - Callie otworzyła szufladę i wyjęła duży metalowy widelec. Jake wylewał właśnie jajka na patelnię.

- Nie.

- Więc może zjesz z nami? Mamy mnóstwo jedzenia, prawda, Jake?

- Jasne.

- Chętnie zjem. - Doug się uśmiechnął. - I chyba mogę uważać się za szczęściarza, bo lubię smażyć jajka z żółtym serem...

- Weź sobie talerz - poleciła Callie.

Jake przesunął się w prawo, a ona schyliła się, otworzyła drzwiczki piekarnika i wyjęła żaroodporne naczynie z usmażonym bekonem.

- Leo kazał mi bez zastanawiania się wejść do środka - powiedziała Lana, wchodząc do kuchni. - Widziałam twój samochód na podjeździe, Doug. Na pewno już wiesz, co się stało...

- Weź dwa talerze - rzekła Callie, ponownie napełniając toster. - Będzie nam potrzebny adwokat?

- Leo trochę się niepokoi, więc postaram się wyjaśnić kwestie, które budzą jego wątpliwości - odparła Lana. - Oczywiście prawne... Jeśli chodzi o resztę, to po prostu nie mam pojęcia, co powiedzieć. Wczoraj po południu

rozmawiałam z Billem, a teraz... Długo rozmawiał z Tylerem o tej nieszczęsnej jeleniej kości, był taki cierpliwy...

- Gdzie jest Ty? - Doug podał Lanie tekturowy talerz ze stojącego na kuchennym blacie stosu.

- Słucham? Och, Ty... Jest z Rogerem. Chyba nie zdołam nic przełknąć. Chcę tylko porozmawiać z Leem.

- Kiedy ja gotuję, jedzą wszyscy. - Jake wyjął z lodówki olbrzymi słoje galaretki winogronowej i podał go Callie. - Lepiej zaklep sobie miejsce, zanim wpadnie tu ta horda dzikusów i wszystko pożre. Ile będzie osób, Dunbrook?

- Rosie i Digger są na terenie, więc wliczając naszych gości, mamy na śniadaniu jedenaście osób.

Wchodzili i wychodzili, niektórzy ubrani i gotowi rozpocząć nowy dzień, inni jeszcze w proszku. Niektórzy nakładali sobie jedzenie i odchodzili, inni siadali przy długim, mocno podniszczonym stole, który Rosie znalazła na pchlim targu.

Okazało się jednak, że Jake miał rację - kiedy on gotował, wszyscy jedli.

Callie skupiła się na posiłku, z uwagą nakładając jajka z bekonem na widelec. Nie starała się nawet włączyć do rozmowy, którą Lana prowadziła z Leem.

- Mogą zmusić nas, żebyśmy przerwali prace - zauważyła Sonia. Ułamała kawałek grzanki, rozsiewając okruchy na prawie nietknięte jajka na swoim talerzu. - Policja, rada miejska, czy ktoś tam jeszcze. Mogą zażądać zamknięcia terenu.

- Działkę zakupiło lokalne Stowarzyszenie Ochrony Przyrody - odparła Lana. - W ciągu kilku tygodni tytuł własności zostanie przepisany. Jako członek Stowarzyszenia mogę zapewnić, że nikt nie wini was za to, co się stało. Prace, które prowadzicie, nie stały się przecież przyczyną śmierci Billa McDowella.

- Bili zginął, kiedy wszyscy siedzieliśmy tam, wokół ogniska. Po prostu siedzieliśmy...

- Gdybyście wiedzieli, że dzieje się z nim coś złego, nie czekaliście z założonymi rękami, prawda? - przerwał Soni Jake.

- Nie, nie, oczywiście...

- I zrobilibyście wszystko, co w ludzkiej mocy, aby mu pomóc, tak? Sonia kiwnęła głową.

- Ale nie wiedzieliście, więc nie mogliście mu pomóc. Wykopalisko było dla niego ważne, nie uważasz?

- Och, tak... - Sonia pociągnęła nosem i widelcem przepchnęła jajka na

drugą stroną talerza. - Ciągłe opowiadał o pracach, cieszył się każdym nowym znaleziskiem. Jeżeli nie mówił o pracy, mówił o Callie... - Dziewczyna przerwała, skrzywiła się i rzuciła Callie niepewne spojrzenie. - Przepraszam...

- Nie ma za co.

- W wielu kulturach zmarłym okazuje się szacunek, wyrażając aprobatę i podziw dla ich pracy - powiedział Jake. - Dlatego będziemy dalej kopać.

- Nie chciałabym was dodatkowo niepokoić, ale przed chwilą przyszło mi do głowy, że rodzina Billa może zechcieć wystąpić do sądu - zaczęła Dory.

- Z oskarżeniem przeciwko właścicielom działki, szefom zespołu i tak dalej. Ludzie podejmują tego rodzaju kroki z powodu złamanego palca, a co dopiero czegoś takiego... Czy tego rodzaju problemy prawne mogłyby w jakiś sposób wpłynąć na ograniczenie lub nawet cofnięcie funduszy stypendialnych? Czy w ogóle można podać zespół archeologiczny do sądu?

- Ludzie są okropni. - Matt wzruszył ramionami i nałożył sobie świeżą porcję bekonu. - Dobrze, że Dory poruszyła tę sprawę. W zimnym, materialistycznym, egoistycznym społeczeństwie w naturalny sposób przechodzi się od emocji do kalkulacji. Wcześniej czy później pojawia się pytanie: kto za to zapłaci i ile mogę z tego wyciągnąć?

- Pozwólcie, że ja się tym zajmę - odezwała się Lana. - Na razie radziłabym wam kontynuować prace. Współpracujcie z policją i środkami masowego przekazu, ale przed udzielaniem wyjaśnień powinniście skonsultować się ze mną albo z innym prawnikiem.

- Musimy też wprowadzić system samoobrony. - Leo odsunął talerz i sięgnął po kubek z kawą. - Nikt nie powinien sam zagłębiać się w las. Ci członkowie zespołu, którzy zostają tu na cały tydzień, nocami podzielą się dyżurami i będą bez przerwy pilnować terenu. Każdy dyżur pełnić będą co najmniej dwie osoby. Nie stracimy już nikogo...

- Ustalę plan dyżurów - zgłosiła się Callie.

- Dobrze. - Leo skinął głową. - Dziś wieczorem muszę jechać do Baltimore, ale wrócę w połowie tygodnia. Myślę, że będzie najlepiej, jeżeli dzisiaj zrobimy sobie przerwę. Wszyscy, którzy zostają, powinni być gotowi do podjęcia pracy jutro rano.

- Mam do załatwienia prywatną sprawę w Wirginii. - Callie zerknęła na Jake'a. - Dory i turkaweczki z Wirginii Zachodniej mogą czuwać dziś na zmianę z Rosie i Diggerem. Matt, Bob i Digger wezmą na siebie nocny dyżur. Do jutra przygotuję plan na cały tydzień.

Sonia podniosła się zza stołu.

- Wiem, że to, co mówisz, jest słuszne - powiedziała do Jake'a. - Rozumiem to, ale nie jestem w stanie przejść do porządku dziennego nad

śmiercią Billa. Nie jestem pewna, czy tu wrócę. Przepraszam, że was zawiodłam, ale nie mogę sobie z tym poradzić...

- Weź parę dni wolnego - poradziła Callie. - Potem zobaczysz, jak będziesz się czuła. Proszę, żebyście do końca dnia oddali mi raporty i zdjęcia z wczorajszych prac.

Po śniadaniu poszła do gabinetu Jake'a, żeby wydrukować artykuł o Simpsonie, zrobić listę nazwisk osób, które miały pełnić dyżury na terenie wykopaliskowym i przygotować wstępny plan.

- Co jest w Wirginii? - zapytał od progu Doug.

- Nie co, tylko kto... - mruknęła Callie. - Ktoś, z kim muszę porozmawiać.

- Czy chodzi... Czy ma to coś wspólnego z Jessicą?

- Tak. - Callie wetknęła teczkę do torby. - Po powrocie powiem ci, czego się dowiedziałam.

- Pojadę z tobą!

- Jedź ze mną Jake. Nie martw się, wszystko jest pod kontrolą.

- Jadę z tobą - powtórzył Doug i odsunął się na bok, aby przepuścić Lane.

- Co się dzieje?

- Muszę sprawdzić pewne informacje - wyjaśniła Callie. - Dlatego wybieram się do Wirginii.

- Ty też jedziesz? - Lana zwróciła się do Douga. - Tak.

Spojrzała na zegarek, lekko marszcząc brwi.

- Zaczekajcie chwilę - poprosiła. - Zadzwońię do Rogera i zapytam, czy mógłby zająć się Tylerem do naszego powrotu...

- Naszego? - zdziwiła się Callie. - O co właściwie chodzi?

- Naszego, zaimek dzierżawczy, pierwsza osoba liczby mnogiej. Stanowią część zespołu, i to ważną, bo zajmuję się kwestiami prawnymi, prawda? Pozwólcie mi zadzwonić, a potem opowiecie, co i jak.

- Niewykluczone, że w końcu zrobię coś całkowicie niezgodnego z prawem... - wymamrotała Callie, gdy Lana szukała w torebce telefonu komórkowego.

- W takim razie moja obecność może okazać się wręcz niezbędna - oświadczyła Lana, zakładając opadający kosmyk włosów za ucho.

Callie nie udało się nawet usiąść za kierownicą, bo Jake się uparł, że pojedą jego samochodem. Musiała zadowolić się miejscem dla pasażera. Ponieważ chciała w jakiś sposób zmanifestować swoje niezadowolenie, postanowiła milczeć przez całą drogą i dlatego dała teczkę z dokumentami siedzącym z tyłu Lanie i Dougowi, aby uniknąć konieczności rozmowy.

Niestety, plan spalił na panewce, gdyż po przejrzeniu papierów tamci dwoje zasypali ją gradem pytań.

- Słuchajcie, dobrze wiem, co jest w tych dokumentach - zirytowała się.

- To, czego szukam, znajduje się w Wirginii.

- Callie zawsze jest wściekła, kiedy się nie wyśpi - wyjaśnił Jake. - Prawda, skarbie?

- Zamknij się i patrz przed siebie, dobrze?

- Widzicie?

- Jak długo Simpson był lekarzem twojej matki? - zapytała Lana, wyciągając z torebki notatnik i długopis.

- Nie wiem. Chyba zaczął opiekować się nią w 1966 roku, może nawet wcześniej...

- Wtedy nie był jeszcze mężem Barbary Halloway?

- Nie. Wydaje mi się, że ożenił się z nią koło 1980 roku. Jest od niej o dobre dwadzieścia lat starszy.

- Zgodnie z twoimi informacjami, Halloway pracowała w szpitalu Washington County od lipca lub sierpnia 1974 do wiosny następnego roku i pełniła dyżury na oddziale położniczym w czasie, gdy przyjęto tam Suzanne Cullen. Wiosną 1975 roku zmieniła pracę, ale nie wiesz, dokąd się przeniosła...

- Zamierzam się tego dowiedzieć, ale założę się, że między wiosną 1975 a końcem 1980 roku spędziła pewien czas w Bostonie. - Callie odwróciła się do tyłu. - Kiedy Jessica Cullen została porwana, Barbara Halloway nadal pracowała w Hagerstown. Wydaje mi się, że nie można tak po prostu zapomnieć o podobnym wydarzeniu, lecz gdy rozmawialiśmy z Simpsonami w lipcu, zachowywała się tak, jakby nic nie wiedziała o porwaniu, właściwie oboje zareagowali w podobny sposób. Nie mam cienia wątpliwości, że udawali.

- Można to potraktować jedynie jako materiał poszlakowy, ale zgadzam się z tobą. - Lana szybko pisała coś w notatniku.

- Materiał poszlakowy?! Wystarczy złożyć parę elementów tej układanki i już widać, co musiało się zdarzyć. Halloway należała do organizacji Carlyle'a, musiała być jedną z ważnych postaci w sieci, bo miała odpowiednie kontakty. W końcu była pielęgniarką na oddziale położniczym, prawda? Wyobraźcie sobie, jak to wyglądało: Halloway otrzymuje informację, że Carlyle szuka niemowlęcia, najlepiej dziewczynki, i prawdopodobnie także krótki opis klientów, a w tym samym czasie Suzanne Cullen rodzi dziecko, które spełnia wszystkie wymagania...

- A jednak porwali ją dopiero po ponad trzech miesiącach - zauważył Doug.

- Bo nawet najbardziej zdesperowani niedoszli rodzice mogliby nabrać pewnych podejrzeń, gdyby natychmiast po wystąpieniu o adopcję dostali propozycję przyjęcia dziecka. Carlyle nie chciał niepotrzebnie ryzykować - wolał odczekać parę miesięcy, upewnić się, czy dziecko jest zdrowe, dokładnie poznać stałe punkty w codziennym rozkładzie dnia obserwowanej rodziny i zaatakować w najodpowiedniejszym momencie. Poza tym, w okresie oczekiwania mógł zgarniać dodatkowe tantiemy...

- To musiała być Holloway - powiedział cicho Doug. - Mieszkała w okolicy, więc mogła niepostrzeżenie obserwować moich rodziców, poznać rozkład centrum handlowego i odkryć, jak można się z niego jak najszybciej wydostać...

- Masz rację - przytaknęła Callie. - Moi rodzice mówili, że do gabinetu Carlyle'a przyniosła mnie pielęgniarka.

- Trzeba wziąć pod uwagę także i inne czynniki. - Lana podniosła wzrok znad notatek. - Najprawdopodobniej Jessica nie była jedynym dzieckiem, które Carlyle brał pod uwagę, musiał mieć na oku jeszcze dwie lub trzy dziewczynki, urodzone w mniej więcej tym samym czasie. Powinniśmy uświadomić sobie również, że Holloway na pewno nie była jedyną wtyczką Carlyle'a - dam sobie rękę uciąć, że w różnych szpitalach i klinikach na terenie całego kraju miał co najmniej kilkoro takich współpracowników. Jessica była jedynym niemowlęciem porwanym w tym regionie, ale z tego, co wiemy, wynika, że w ciągu minionych lat Carlyle „wymienił” kilkanaścioro dzieci, może nawet więcej.

- W czasie prac wykopaliskowych na każdym odsłoniętym poziomie znajdujemy coraz więcej danych, pozwalających uzyskać dokładniejszy obraz - odezwał się Jake. - Holloway jest naszym najświeższym znaleziskiem...

- Wykopiemy ją, opieczujemy i opiszemy - wtrąciła Callie.

- Trzeba ją przesłuchać, to nie ulega wątpliwości. - Lana obrysowała zapisane na kartce nazwisko byłej pielęgniarki kilkoma kółkami. - Chociaż wszystkie te informacje naprawdę można zaliczyć wyłącznie do materiału poszlakowego, macie chyba dość powodów, aby włączyć do sprawy policję. Nie wydaje się wam, że Holloway chętniej zacznie mówić w czasie oficjalnego przesłuchania niż podczas nieformalnej rozmowy?

Callie i Jake wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Lana pokręciła głową.

- Nie wygłupiajcie się - powiedziała. - Co możecie zrobić? Przywiązać ją do krzesła i poddać torturom?

Callie rozprostowała nogi. Jake zaczął wybijać palcami szybki rytm na kierownicy, Doug wbił wzrok w okno. Po chwili milczenia Lana ciężko

westchnęła.

- Nie mam dość pieniędzy, żeby opłacić kaucję za was troje, jeżeli zamkną was za napaść i pogwałcenie praw osobistych - mruknęła. - Callie, pozwól mi z nimi porozmawiać. Jestem prawnikiem i naprawdę potrafię mówić w przekonujący sposób. Mogę sprawić wrażenie, że wiemy o Simpsonach o wiele więcej niż w rzeczywistości. Wiem, jak i gdzie nacisnąć...

- Chcesz z nią pogadać? W takim razie nie zapomnij zapytać ją, kogo posłali z misją do Marylandu i czy wiedzieli, jak nazywał się Bili, kiedy go zabijali...

- Zabili go? Myślałam, że on... O, Boże! - Lana chwyciła torebkę i zaczęła gorączkowo szukać telefonu komórkowego, aby sprawdzić, czy Tyler jest bezpieczny.

- Nie denerwuj się - powiedział uspokajająco Doug. - Dziadek nie pozwoli, żeby coś mu się stało.

- Oczywiście, wiem o tym... Chcę tylko... Roger? Nie, nie, wszystko w porządku. - Wyciągnęła rękę do Douga i pozwoliła, aby zamknął ją w swojej dłoni.

- Nie chciałam cię przestraszyć - rzekła Callie, gdy Lana skończyła rozmowę.

- Chciałaś - westchnęła Lana. - I jestem ci za to wdzięczna. Łatwo jest myśleć o tej sprawie jako o wydarzeniu sprzed lat, które nie ma nic wspólnego z teraźniejszością, a to wielki błąd... Musicie skontaktować się z policją.

- Po rozmowie z Simpsonami podzielę się z szeryfem Hewittem wszystkimi informacjami, jakie posiadam, chociaż nie sądzę, aby przyniosło to pozytywne efekty. - Callie zauważyła złączone dłonie Lany i Douga i uśmiechnęła się lekko. - Więc jak, śpicie już ze sobą, czy jeszcze nie?

- Uważasz, że masz prawo zadawać takie pytania?! - oburzył się Doug.

- Próbuję zachowywać się jak siostra, nic więcej. Nie miałam szans wejść w tę rolę odpowiednio wcześniej, nie przeżyłam stadium rozwoju nieznośnej młodszej siostry, więc po prostu rzucam się na głęboką wodę... Więc jak tam seks? W porządku?

Lana przesunęła językiem po przednich zębach.

- Szczerze mówiąc... - zaczęła.

- Przestańcie! - zdenerwował się Doug.

- Faceci wpadają w panikę, kiedy kobiety rozmawiają o seksie - skomentowała Callie.

- Ja nie. - Jake pieszczotliwie poklepał jej biodro.

- Ty jesteś prawdziwym dewiantem - wymamrotała Callie. - Trzeba jednak przyznać, że Graystone jest naprawdę dobry w łóżku - dodała,

zwracając się do Lany.

- Nie chcę tego słuchać - powiedział Doug.

- Rozmawiam z Laną, nie z tobą. Niektórzy faceci zawężają się do jednej dziedziny, zauważyłaś? Na przykład świetnie całują, ale zawsze mają ręce zimne jak lód albo wytrzymałość dziewięćdziesięcioletniego astmatyka, prawda?

- Tak, masz całkowitą rację. - Lana ze zrozumieniem pokiwała głową i schowała długopis do torebki.

- No, właśnie, wiesz, o co mi chodzi. Graystone jest chlubnym wyjątkiem, ponieważ jest mistrzem we wszystkich dziedzinach. Ma wspaniałe wargi i umie się nimi posługiwać, a także zmyślne dłonie, naprawdę twórcze... Dzięki temu można zapomnieć o jego licznych wadach i irytujących skłonnościach.

Lana nachyliła się w kierunku Callie.

- Doug nosi okulary do czytania. W rogowych oprawkach.

- Naprawdę? - zdziwiła się Callie. - Ja też mam słabość do takich szkieł! Masz je przy sobie? - Odwróciła się i szturchnęła Douga w kolano, otrzymując w zamian lodowate spojrzenie. - Zaczynasz się zastanawiać, czy przypadkiem nie stało się dobrze, że ktoś wyciągnął mnie z wózka, prawda?

- Zaczynam się zastanawiać, jak namówić tych ludzi, żeby porwali cię jeszcze raz.

- Teraz sama znalazłabym drogę do domu. Jesteś dziś strasznie małowówny, Graystone.

- Z przyjemnością słucham, jak dręczysz kogoś innego, oczywiście tylko dla odmiany - mruknął. - Zaraz będziemy na miejscu, Doug.

- Pamiętajcie, że ja zadaję pytania - powiedziała Callie, kiedy Jake skręcił w podmiejską uliczkę. - Wy troje stanowicie wsparcie, to wszystko.

Czuła się trochę jak grana przez Sigourney Weaver bohaterka filmu *Obcy*. Miała ochotę palić żywym ogniem i ciąć, ale starała się panować nad wściekłością. Nie chciała, by złość całkowicie ją zaślepiła.

Wysiadła z samochodu, podeszła do frontowych drzwi i nacisnęła dzwonek.

Słyszała tylko świergot ptaków i cichy warkot kosiarki do trawy, dobiegający z jakiegoś ogródka. Jeszcze raz nacisnęła dzwonek.

- Zajrzę do garażu - powiedział Jake.

- Jest niedziela - odezwała się Lana. - Może pojechali na lunch do znajomych, albo pograć w tenisa...

- Nie - mruknęła ponuro Callie. - Doskonale wiedzą, co się dzieje. Wiedzą, że rozmawiałam z ludźmi, którzy mogli pamiętać Barbarę. Na pewno

nie popijają koktajli i nie grają w tenisa w klubie.

- Garaż jest pusty. - Jake znowu był przy nich.

- Więc musimy się włamać...

- Spokojnie, spokojnie! - Doug położył rękę na ramieniu Callie. - Chyba nie wątpisz, że mają tu system alarmowy, co? Jeżeli wybijemy okno lub wyłamiemy drzwi, gliny będą tu, zanim zdążymy cokolwiek znaleźć. Zakładając, że jest coś, co mogłoby nam się przydać...

- Nie bądź taki logiczny, bo jestem potwornie wkurzona! - Callie uderzyła otwartą dłońią w drzwi. - Przecież nie mogli wiedzieć, że do nich jadę, bo niby skąd?!

- Powoli, nie denerwuj się. - Jake rozejrzył się dookoła. - Doug ma słuszość, na pewno zainstalowali tu lokalny system alarmowy. To bezpieczna, zamożna dzielnica. Na szczęście wszędzie można znaleźć ludzi, którzy chętnie obserwują swoich sąsiadów, bo uwielbiają wiedzieć, co się dzieje w okolicy. Rozdzielimy się, zapukamy do kilku domów i uprzejmie zapytamy, gdzie mogą być nasi przyjaciele Simpsonowie...

- W porządku. - Callie wzięła się w garść. - Pójdziemy dwójkami, bo pary budzą większe zaufanie niż samotni. Jake i ja weźmiemy na siebie południową stronę ulicy, Doug i Lana północną. Która godzina? - Spojrzała na zegarek. - Cóż, może to trochę naciągane wyjaśnienie, ale musi wystarczyć. Słuchajcie - mieliśmy wpaść na drinka do Hanka i Barbary. Nie jesteśmy pewni, czy nie pomylił nam się dzień, ale trochę niepokoiimy się ich nieobecnością, bo może coś im się stało...

- Niech będzie. - Jake wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami, kiedy usiłowała wyszarpnąć dłoń. - Pamiętaj, że jesteśmy parą. Miłymi, nieszkodliwymi ludźmi, którzy martwią się o przyjaciół...

- Tylko ktoś ślepy, głuchy i tępy mógłby pomyśleć, że jesteś nieszkodliwy! - prychnęła Callie.

Lana i Doug ruszyli w odwrotnym kierunku.

- Moim zdaniem, oni wcale nie zachowują się jak rozwiedzeni - odezwał się Doug.

- Naprawdę? A jak powinni zachowywać się ludzie rozwiedzeni, oczywiście twoim zdaniem?

- Na pewno nie tak jak oni. Widziałem, jak razem przygotowywali śniadanie - przypominało to idealnie opracowany pod względem choreograficznym taniec. I sama widziałas, co działo się w samochodzie. Kiedy im na tym zależy, porozumiewają się bez słów.

- Chodzi ci o to, jak Callie ci dokuczała, byśmy nie myśleli o tym, co nas czeka?

- Właśnie. Jake doskonale wiedział, co ona robi. Nie mam pojęcia, jak z nimi jest, ale cieszę się, że Callie ma go przy sobie. Jake nie pozwoli, żeby stało jej się coś złego.

Doug nacisnął dzwonek w pierwszym domu, jaki przypadł im w udziale.

Kiedy Jake i Callie dotarli do trzeciego domu, ich historyjka była już dopracowana w najdrobniejszych szczegółach. Kobieta, która otworzyła drzwi, pojawiła się tak szybko, że Jake był pewien, iż wcześniej obserwowała ich przez okno.

- Przepraszam, że panią niepokoiimy, ale razem z żoną pomyśleliśmy, że może przypadkiem wie pani, co dzieje się z Simpsonami...

- Musieliśmy po prostu pomylić dzień, kochanie - powiedziała Callie, rzucając zatroskane spojrzenie na dom Simpsonów.

- Wolę mieć pewność, czy wszystko jest w porządku. - Jake potrząsnął głową. - Widzi pani, mieliśmy wpaść do nich na drinka, ale chyba ich nie ma...

- Wszyscy czworo umówiliście się na drinka u Simpsonów?

- Tak - potwierdził Jake bez mrugnięcia okiem, uśmiechając się pogodnie. A więc kobieta rzeczywiście ich obserwowała... - Mój szwagier i jego narzeczona poszli w drugą stronę, żeby sprawdzić, czy ktoś mógłby nam jakoś pomóc...

- Hank i Barb to starzy przyjaciele naszych rodziców. - Callie podjęła podrzuconą przez Jake'a historyjkę bez chwili wahania, zupełnie jakby była to absolutna prawda. - Doktor Simpson był przy narodzinach nas obojga, brata i moich. Nasz ojciec także jest lekarzem. Mój brat niedawno się zaręczył i właśnie dlatego umówiliśmy się z Simpsonami na drinka. Chcieliśmy uczcić miłą okazję...

- Chyba wam się nie uda, bo Simpsonowie wyjechali - oświadczyła kobieta.

- Wyjechali? - Palce Callie zacisnęły się na dłoni Jake'a. - Ale przecież... Rzeczywiście, musieliśmy pomylić dzień - zwróciła się do Jake'a. - Tak czy inaczej, to trochę dziwne, bo nie wspominali o wyjeździe, kiedy rozmawialiśmy z nimi dwa tygodnie temu...

- Może zdecydowali się w ostatniej chwili - podsunęła kobieta. - Przepraszam, ale nie dosłyszałam nazwiska...

- To ja przepraszam. - Callie wyciągnęła rękę. - Mikę i Carol Brady. Nie chcemy sprawiać pani kłopotu, pani...

- Fissel. Żaden kłopot, skądże znowu... Czy nie odwiedziliście Simpsonów parę tygodni temu? Może mi się tylko wydaje, ale...

- Tak, byliśmy u nich. Niecałe pół roku temu przeprowadziliśmy się z

powrotem do Wirginii i bardzo się cieszymy, że możemy odnowić kontakty z dawnymi znajomymi i przyjaciółmi. Mówi pani, że zdecydowali się w ostatniej chwili? Mam nadzieję, że wszystko u nich w porządku... Och, Mike, chyba nic złego się nie stało... - Jak, u diabła, ma na imię córka Simpsona, myślała gorączkowo. - Chyba nic nie stało się Angeli...

- Powiedzieli, że nie. - Pani Fissel wyszła na ganek. - Tak się złożyło, że widziałam, jak ładują bagaże do obu samochodów, kiedy rano wyszłam po gazetę. Tutaj wszyscy staramy się dbać o siebie nawzajem, więc podeszłam i zapytałam, czy coś się stało. Doktor Simpson wyjaśnił, że postanowili spędzić parę tygodni w swoim domu w Hamptons. Trochę mnie zdziwiło, że biorą oba samochody, ale podobno Barbara chciała mieć swój do dyspozycji. Moim zdaniem wzięli tyle rzeczy, że wystarczyłoby na rok, lecz cóż, ta Barbara bardzo lubi się stroić. Dziwne, że zapomniała o spotkaniu z wami, to zupełnie do niej niepodobne... Wydawało mi się, że ona o wszystkim pamięta...

- Najwyraźniej to my pomyliliśmy datę. - Jake się uśmiechnął. - Nie mówili, kiedy wracają?

- Za parę tygodni, tak zrozumiałam. Doktor Simpson jest na emeryturze, oczywiście wiecie o tym, a ona nie pracuje, więc mogą podróżować, ile dusza zapagnie. Pakowali się dzisiaj rano, koło dziesiątej. Normalnie w niedzielę Barbara nigdy nie wystawia nosa z domu przed dwunastą, więc chyba bardzo im się spieszyło...

- Do Hamptons jest dość daleko. - Callie pokiwała głową. - Bardzo pani dziękujemy. Postaramy się skontaktować z nimi później...

- Mike i Carol Brady... - wymamrotał Jake, kiedy przeszli na drugą stronę ulicy. - Miałaś na myśli serialowych Bradych?

- Rzuciłam pierwsze nazwisko, jakie przyszło mi do głowy. Pani Fissel jest za stara, żeby można posądzić ją o oglądanie tego cholernego serialu. Kurwa mać...

- Wiem. - Jake podniósł ich złączone dłonie i musnął pocałunkiem knykcie Callie.

- Myślisz, że rzeczywiście pojechali do Hamptons?

- Simpson nie jest na tyle głupi, żeby opowiadać się miejscowej plotkarce.

- Też tak uważam... I mam wrażenie, że oni nie zamierzają tu wrócić.

- Nieważne. - Jake uśmiechnął się pocieszająco. - Niezależnie od tego, dokąd pojechali, na pewno zostawili jakiś trop. Znajdziemy ich, nie martw się.

Callie w milczeniu skinęła głową i obrzuciła dom Simpsonów sfrustrowanym spojrzeniem.

- Chodź, Carol, zabierzemy Alice i dzieciaki i wrócimy do domu.

- Dobra, dobra... - zamruczała, niechętnie idąc za nim.

Wiedziała, że jeśli chce doprowadzić sprawę do końca, a przecież zależało jej na tym bardziej niż na czymkolwiek innym, musi zachować spokój i umiejętność obserwowania sytuacji z pewnej perspektywy. - Nie wiedziałam, że Carol Brady tak ci się podobała...

- Żartujesz? Ona paliła, na miłość boską!

CZĘŚĆ III ZNALEZISKA

*Kiedy wyeliminujemy niemożliwe,
to, co pozostaje, choćby wydawało się
zupełnie nieprawdopodobne,
musi być prawdą.
Sir Arthur Conan Doyle*

- Zrobiłaś to, co należało.

Lana stała obok samochodu razem z Callie, bawiąc się kluczami. Parę minut wcześniej wrócili do Woodsboro i Lana wcale nie miała ochoty odejść, chociaż zdawała sobie sprawę, że zbyt długo korzystała tego dnia z uprzejmości Rogera.

Świadomość, że Simpsonowie wymknęli im się w ostatniej chwili, była wyjątkowo frustrująca. Lana musiała przyznać się przed sobą, że miała ochotę na konfrontację - od chwili wyjazdu z Woodsboro przygotowywała się do zasypania Simpsonów gradem pytań, przedstawienia im faktów i podejrzeń.

Podróż powrotna, kończąca się tym, że mogli jedynie przekazać informacje szeryfowi i pozostawić wszystko mniej więcej tak samo, była wielkim rozczarowaniem. Lana nie mogła się pogodzić z tym, że nie zrobili nic więcej.

- Hewitt nie wyglądał na olśnionego naszymi zdolnościami dedukcyjnymi - odezwała się Callie.

- Może nie, ale na pewno nie zignoruje tej sprawy - odparła Lana. - Poza tym teraz wszystko jest oficjalnie zgłoszone i Hewitt...

- ...zajmie się sprawą - dokończyła Callie, zmuszając się do uśmiechu. - Trudno mi winić go za sceptyczne podejście. Przestępstwo sprzed trzydziestu lat, wykryte przez dwoje archeologów, młodą panią adwokat i antykwariusza...

- Przepraszam cię bardzo, przez dwoje cieszących się uznaniem naukowców, błyskotliwą panią adwokat i doświadczonego specjalistę w dziedzinie handlu książkami! - oburzyła się Lana.

- W twojej wersji brzmi to znacznie lepiej. - Callie podniosła kamień z ziemi i rzuciła nim w kierunku strumienia, gdzie wylądował z głośnym pluśnięciem. - Posłuchaj... Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna za wszystko, co zrobiłaś poza godzinami pracy i tak dalej...

- Zwykle nie pracuję w ten sposób, ale było to wyjątkowo ekscytujące przeżycie. - Lana się uśmiechnęła.

- Hmm... - Callie sięgnęła po drugi kamyk. - Cóż, skoro tak chcesz nazwać podpalenie twojego biura...

- Nikomu nic się nie stało, lokal był ubezpieczony, a to, że się wściekłam, działa na twoją korzyść. Zamierzam doprowadzić tę sprawę do końca. Fakt, że w to wszystko zaangażowany jest Doug, stwarza dodatkową motywację.

- Hmm... O, popatrz, czarny wąż!

- Co takiego? Gdzie?! - Przerażona Lana natychmiast wskoczyła na maskę swojego samochodu.

- Spokojnie! - Callie wzięła zamach i rzuciła kamień. - Tam! - Pokazała miejsce, gdzie kamyk wylądował w wodzie w odległości kilku centymetrów od węża, który pośpiesznie wypełzł na brzeg i zniknął w trawie między drzewami.

- Czarne węże są zupełnie nieszkodliwe.

- Wąż to wąż - mruknęła Lana.

- Lubię sposób, w jaki się poruszają. Ale do rzeczy... Mówiliśmy o Dougu. To interesujący facet. Przywiózł mi z Memphis podstawkę pod szklanę do piwa ze zdjęciem Elvisa.

- Naprawdę? - Z piersi Lany wyrwało się lekkie westchnienie. - Sama nie wiem, dlaczego mnie to wzruszyło...

- Bo masz na niego ochotę.

- To prawda. Och, to prawda, niestety...

- Wiesz, to, co gadałam w samochodzie o waszych osobistych sprawach, to zwykle... - Callie przerwała nagle, wykonała półobrót i jednym celnym ruchem strąciła na ziemię dużą pszczołę, która przed sekundą bzyczała tuż nad głową Lany.

Soczysty odgłos zderzenia otwartej dłoni z owadem sprawił, że Lana zadrżała.

- Jezu kochany... - jęknęła. - Użądliła cię?

- Nie. Ten gatunek pszczoł robi tylko dużo hałasu i denerwuje ludzi. Istnieje duże podobieństwo między pszczołami i nastolatkami...

- Byłaś chłopczycą? Nieznośną nastolatką? - zainteresowała się Lana.

- Nie... No, może trochę... Nieważne. O czym mówiliśmy?

- Ach... O moim życiu seksualnym.

- No, tak... Te brednie miały tylko rozdrażnić Douga, nic więcej...

Lana doszła do wniosku, że Callie poradzi sobie ze wszystkimi okazami fauny, jakie mogą pojawić się w pobliżu, i zdecydowała się zejść z maski wozu na ziemię.

- Wiem - powiedziała.

- Oczywiście, lubię słuchać opowieści o życiu seksualnym innych, to fakt...

- Kto nie lubi?

- Właśnie... - Callie westchnęła. - Seks nierzadko wywiera decydujący wpływ na nasze losy.

Spojrzała w kierunku domu, z którego okien właśnie ryknęła muzyka. Była to piosenka zespołu Backstreet Boys, więc niewątpliwie nastawiła ją Frannie.

- Ale o moim losie zdecydowało zupełnie co innego - dodała. - Pierwszy decydujący moment miał miejsce w grudniu 1974 roku, kiedy spałam w wózku. Ważne chwile tworzą siatkę wydarzeń, lecz o kształcie naszego życia rozstrzygają codzienne sprawy - co jemy, jak zarabiamy na życie, z kim śpimy, z kim zakładamy rodzinę, jak gotujemy i jak się ubieramy. Wielkie momenty, takie jak znalezienie starożytnego sarkofagu, to tylko rzadko rozsiane punkty... Naprawdę liczą się zwyczajne rzeczy, na przykład zabawka zrobiona z pancerza żółwia...

- Albo podstawka pod szklanę do piwa, ozdobiona zdjęciem Elvisa.

- Jesteś cholernie bystra - przyznała Callie. - Myślę, że gdybyśmy dorastali razem, Doug i ja, bylibyśmy sobie bardzo bliscy. I chyba byśmy się lubili. Łatwiej przychodzi mi porozumieć się z nim i z Rogerem niż z Suzamne i Jayem...

- I łatwiej jest ci szukać ludzi odpowiedzialnych za to, co się stało oraz przyczyn tej tragedii, niż stawić czoło konsekwencjom - powiedziała Lana. - Nie traktuj tego jako krytykę, bardzo proszę. Uważam, że z godnym podziwu rozsądkiem radzisz sobie w trudnej, skomplikowanej sytuacji.

- Nie potrafię jednak uchronić innych przed konsekwencjami jakie wlecze za sobą ta sprawa nie żyje już dwóch ludzi, którzy nie mieli ze mną nic wspólnego ponieważ z godnym podziwu rozsądkiem domagałam się odpowiedzi na pewne pytania...

- Mogłabyś przestać je zadawać.

- A ty byś mogła?

- Nie, ale chyba dałabym sobie chwilę na zastanowienie na prześledzenie wydarzeń, które doprowadziły do położenia w jakim się znalazłam - powiedziała Lana może gdybyś, to zrobiła, byłabyś w stanie pogodzić się ze swoją sytuacją, odpowiedzi na pytania, które powstały wcześniej czy później uzyskasz.

Callie doszła do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie zdystansowanie się do sprawy porwania spojrzenie na nią z szerszej perspektywy. Jaka była sytuacja i co sprawiło że się w niej znalazła? I co kolejne warstwy jakie odsłaniała w swojej przeszłości, mówiły o jej kulturze osobistej i roli w społeczeństwie.

Usiadła przy komputerze i zaczęła tworzyć listę ważnych wydarzeń,

licząc od dnia swego przyjścia na świat. Urodzona 14 września 1974 roku. Porwana 12 grudnia 1974 roku. Oddana Eliotowi i Vivian Dunbrook 16 maja 1974 roku.

Ta część była łatwa. Poszukała w pamięci Callie dodała do listy daty rozpoczęcia nauki i datę letniego obozu na którym złamała rękę, otrzymana pierwszego, wymarzonego mikroskopu. Pierwszej lekcji gry na wiolonczeli, pierwszego recitalu, pierwszego wykopalisk pierwszego przeżycia seksualnego, ukończenia college'u, przeprowadzki do własnego mieszkania..

Obrony pracy magisterskiej, różnych chorób i kontuzji. Poznania Lea oraz Rosie, Barda krótkiego romansu z pewnym egiptologiem. O czym myślała w dniu, kiedy poznała Jake'a? Jak mogła zapomnieć? Było to 6 kwietnia 1998 roku. Potem przyszła kolej na datę ich pierwszego zbliżenia 8 kwietnia 1998, w czwartek. Można powiedzieć, że nie traciliśmy czasu, pomyślała.

Rzeczywiście tak było. Nie potrafili nie pójść do łóżka, nie mogli oprzeć się pożądaniu i o mało nie spalili tym żarem materaca w malutkim motelowym pokoiku w Yorkshire, niedaleko osady z okresu mezozoitu, gdzie oboje prowadzili badania.

Dwa miesiące później, w czerwcu, zamieszkali razem. Callie nie umiała przywołać z pamięci konkretnego momentu, w którym stali się parą, nie wiedziała, w jaki sposób to się stało. Chyba jedno z nich wybierało się wtedy do Kairu, a drugie do Tennessee, lecz w końcu oboje wylądowali w Tennessee, a potem w Kairze.

Kłócili się jak wariaci, kochali jak szaleńcy. Wszędzie, w różnych punktach świata. Starannie zapisała datę ich ślubu. I odejścia Jake'a. Otrzymywania dokumentów rozwodowych.

W gruncie rzeczy między ślubem a rozwodem upłynęło niewiele czasu, pomyślała, lecz zaraz potrząsnęła głową. Musiała teraz skupić się na swoim życiu, nie ich wspólnej historii.

Wzruszyła ramionami i wpisała datę otrzymania tytułu doktora archeologii. Potem datę spotkania z Leem w Baltimore, rozpoczęcia prac w Antietam Creek, poznania Lany Campbell. Datę przyjazdu Jake'a. I wizyty Suzanne Cullen w jej motelowym pokoju.

Wyjazdu do Filadelfii i powrotu do Maryland. Zatrudnienia Lany, kolacji z Jakiem, zniszczenia samochodu i tragicznej śmierci Dolana. I drugiej rozmowy z Dougiem. Zbliżenia z Jakiem. Wykonania badań krwi. Pierwszej wizyty u Simpsonów...

Zmarszczyła brwi, pojechała kursorem w górę, zajrzała do notatnika i wprowadziła do komputera daty przystąpienia do pracy poszczególnych członków zespołu.

Potem tamtego zamachu na Jake'a, wyprawy do Atlanty, pożaru. Rozmowy z wdową po doktorze Blakelym oraz z Betsy Poffenberger, a także odkrycia wszystkich istotnych informacji. Śmierci Billa McDowella. Kolejnego zbliżenia między nią i Jakiem. Powtórnego wyjazdu do Wirginii...

W ten sposób wróciła do teraźniejszości. Kiedy widzisz przed sobą wydarzenia, widzisz także, w jaki wzór się układają, pomyślała. Dzięki temu można się zorientować, co łączy poszczególne wypadki.

Trochę czasu zajął jej podział faktów na różne grupy: Edukacja, Medyczne, Zawodowe, Osobiste, Antietam Creek, Jessica...

Wyprostowała się nagle, ponieważ dostrzegła powtarzający się motyw wzoru. Od pierwszego dnia Jake miał coś wspólnego z każdym ważnym punktem w jej życiu. Nawet z tym cholernym doktoratem, przyznała się przed sobą, nad którym pracowała jak wyrobница, byle tylko nie myśleć o Jake'u.

Nie mogła sobie pozwolić nawet na samodzielny kryzys tożsamości, bo oto Jake znów się pojawił przy niej, zupełnie jak cień...

Najgorsze było to, że wcale nie wiedziała, czy rzeczywiście wolałaby, żeby się nie pojawił.

W zamyśleniu sięgnęła po ciastko i odkryła, że stojące obok komputera pudełko jest puste.

- Mam spory zapas u siebie w pokoju.

Drgnęła i odwróciła się gwałtownie. Jake stał w progu, oparty o framugę drzwi.

- Ale będzie cię to kosztowało - dorzucił.

- Przestań mnie ciągle szpiegować, do ciężkiej cholery! Skradasz się za moimi plecami jak jakiś przekłety duch!

- Nic na to nie poradzę, że poruszam się z lekkością i wdziękiem pantery, prawda? Poza tym drzwi były otwarte, a stanie w progu to nie szpiegowanie. Nad czym pracujesz? - Nie twój interes...

Żeby nie zdążył przeczytać, pośpiesznie zasejfowała dokument i zamknęła go.

- Złóścisz się, bo zabrakło ci ciastek.

- Zamknij drzwi!

Zgrzytnęła zębami, kiedy spełnił jej polecenie, ale dopiero po wejściu do pokoju.

- Chodziło mi o to, żebyś zamknął je z drugiej strony! - warknęła.

- Powinnaś wyrażać się jaśniej i dokładniej. Dlaczego nie ucięłaś sobie drzemki?

- Bo nie mam trzech lat, do groma!

- Jesteś wykończona, Dunbrook.

- Mam pracę, którą chcę i muszę się zająć.

- Gdybyś opracowywała plan dyżurów lub notatki z wykopaliska, nie zamknęłabyś tego pliku z takim pośpiechem. Nie chciałaś, żebym zobaczył, co robisz.

- Nie widzę powodu, żebyś wsadzał nos w moje osobiste sprawy...

Nagle przed oczami stanęły jej wszystkie niedawno wpisane do komputera ważne wydarzenia, w których Jake w jakiś sposób uczestniczył. Westchnęła ciężko.

- Czujesz się koszmarnie, mam rację, skarbie?

Jego miękki, pieszczotliwy głos sprawił, że żołądek Callie wykonał niebezpieczne salto.

- Nie bądź dla mnie taki miły, bo doprowadza mnie to do szału! Nie wiem, co robić, kiedy tak się zachowujesz...

- Wiem. - Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. - Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem...

Odwróciła się i otworzyła zamknięty przed chwilą plik.

- To tylko liniowy zapis wydarzeń - mruknęła. - Czytaj... - Wstała, ustępując mu miejsca.

- Blaski i cienie mojego życia...

Usiadła na śpiworze i przeciągnęła się, rozprostowując obolałe plecy.

- Spałaś z Aikenem? Tym oślizgłym, obrzydliwym egiptologiem? Co ci przyszło do głowy, na miłość boską?!

- Daj mi spokój, bo zaraz zacznę wygłaszać komentarze na temat wszystkich kobiet, z którymi spałeś!

- Nie znasz wszystkich kobiet, z którymi spałem, kochanie. I zapomniałaś o paru istotnych sprawach...

- O niczym nie zapomniałam!

- Owszem, zapomniałaś. Na przykład o konferencji, na którą w maju 2000 roku pojechaliśmy do Paryża. O tamtym dniu, kiedy zafundowaliśmy sobie węgry i wiele godzin siedzieliśmy w małej kawiarence, pijąc dobre wino. Miałaś na sobie taką niebieską sukienkę... Zaczęło trochę padać. W deszczu wróciliśmy do hotelu, poszliśmy do pokoju i kochaliśmy się. Przy otwartym oknie, żeby słyszeć szmer i plusk kropel.

Nie zapomniała o tym. Pamiętała tamten dzień tak wyraźnie i dokładnie, że teraz jego słowa wbiły się w jej serce jak ostre kolce. - Trudno zaliczyć to do ważnych wydarzeń... - wymamrotała niechętnie.

- Dla mnie był to jeden z najważniejszych dni w życiu, chociaż wtedy tego nie wiedziałem. Tak to najczęściej jest, że uświadamiamy sobie, co naprawdę się liczy, dopiero wtedy, gdy ten moment mija. Masz jeszcze tamtą

sukienkę?

Ułożyła się wygodniej, oparła policzek na dłoni i utkwiała spojrzenie w jego twarzy. Od początku prac nie był u fryzjera. Zawsze podobało jej się, kiedy jego włosy stawały się odrobinę za długie...

- Chyba tak. Nie wiem tylko, gdzie.

- Chciałbym cię znowu w niej zobaczyć.

- Nigdy nie zwracałeś uwagi, jak i w co się ubierałam...

- Po prostu o tym nie mówiłem. Mój błąd.

- Co robisz? - zapytała, kiedy zaczął wystukiwać coś na klawiaturze.

- Uzupełniam twój zapis o Paryż w maju 2000 roku. Zamierzam skopiować ten plik do swojego laptopa i później trochę się nim zająć.

- Świetnie, wspaniale. Rób, co chcesz.

- Chyba faktycznie bardzo marnie się czujesz. Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek pozwoliła mi robić, co chcę...

Dlaczego chciało jej się płakać? No, dlaczego, do jasnej cholery?!

- Tak zawsze robiłeś, co chciałeś.

Pocztą elektroniczną przesłał dokument na dysk swojego laptopa, wstał i podszedł do niej.

- Tak ci się tylko wydawało... - Usiadł obok i pogłaskał ją po ramieniu. -

Wcale nie chciałem odejść tamtego dnia w Kolorado...

No, właśnie, pomyślała z goryczą. To dlatego łyzy piekły ją pod powiekami.

- Więc dlaczego odszedłeś?

- Chciałaś tego, nie owijałaś niczego w bawełnę. Powiedziałaś, że każda minuta, jaką ze mną spędziłaś, była pomyłką. Że nasze małżeństwo także było jedną wielką, żalną pomyłką, i że jeżeli ja nie zrezygnuję z udziału w pracach i nie wyjadę, sama będziesz musiała to zrobić.

- Powiedziałam to w złości. Kłóciliśmy się.

- Zażądałaś rozwodu.

- Tak, a ty szybciotko to wykorzystałeś. Razem z tą wysoką brunetką wystrzeliliście stamtąd jak rakiety i dwa tygodnie później dostałam pocztą papiery rozwodowe...

- Nie wyjechałem razem z nią.

- Więc to tylko zbieg okoliczności, że ona zniknęła w tym samym czasie, tak?

- Nigdy mi nie ufałaś. Nigdy nie wierzyłaś we mnie, nie wierzyłaś w nas...

- Zapytałam, czy z nią spałeś!

- Nie zapytałaś, tylko od razu mnie oskarżyłaś.

- A ty powiedziałaś, że nie zamierzasz zaprzeczać.

- Powiedziałem tak, bo to oskarżenie było najzwyczajniej obraźliwe. I nadal jest. Skoro uważałaś, że mógłbym sprzeniewierzyć się wierności, którą ci przysiągłem, i zdradzić cię z inną, to nasze małżeństwo rzeczywiście było jedną wielką, żalosalną pomyłką. To wszystko nie miało przecież nic wspólnego z tą cholerną brunetką. Chryste, nie pamiętam nawet, jak się nazywała!

- Veronica. Veronica Weeks.

- Mogłem wiedzieć, że nie zapomnisz... - mruknął. - Mój wyjazd nie miał z nią nic wspólnego. Za to wszystko z naszą sytuacją...

- Chciałam, żebyś o mnie walczył. - Podparła się ręką, usiadła. Miała własne rany, ale chyba już nie chciała o nich pamiętać... - Żebyś przynajmniej raz, ten jeden, jedyny raz, powalczył o mnie, nie ze mną! Marzyłam o tym. Myślałam, że jeżeli to zrobisz, będę wiedziała to, czego nigdy mi nie powiedziałaś...

- To znaczy? Czego nigdy ci nie powiedziałem?

- Że mnie kochasz.

Sama już nie wiedziała, śmiać się, czy płakać, kiedy ujrzała wyraz absolutnego zaskoczenia na jego twarzy. Przyszło jej do głowy, że chyba jeszcze nie widziała Jake'a tak wstrząśniętego, poruszonego, z opuszczoną gardą.

- Bzdury! Oczywiście, że ci powiedziałem!

- Nie, nigdy. Uwagi w rodzaju: „Kocham twoje ciało, skarbie” to niezupełnie to, o co chodzi, Graystone. Wiem, że czasami mówiłaś mi coś takiego, ale ani razu nie powiedziałaś: „Kocham cię”. Nie, nigdy. Najwyraźniej nie mogłaś się na to zdobyć. A dlaczego? Bo można powiedzieć o tobie wiele rzeczy, ale nie to, że jesteś kłamcą...

- Jeżeli cię nie kochałem, to dlaczego poprosiłem cię o rękę, do diabła?!

- Nie poprosiłem mnie o rękę. Powiedziałaś: „Hej, Dunbrook, polećmy do Vegas i ochajtnijmy się”.

- Przecież to to samo!

- Nie udawaj tępola. - Callie ze znużeniem przeczesła włosy palcami. - Zresztą, nieważne...

Chwycił ją za rękę, otoczył palcami przegub.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wszystkiego wcześniej? Dlaczego nie zapytałaś prosto z mostu, czy cię kocham?

- Bo jestem dziewczyną, ty wielki, durny jęłopie! - Lekko uderzyła go pięścią w ramię i podniosła się z podłogi. - Kopię dziury w ziemi, bawię się kośćmi, śpię na ziemi, ale to nie znaczy, że nie jestem kobietą.

Fakt, że mówiła teraz rzeczy, o których sam myślał w ciągu minionych

miesiący, tylko pogarszał sprawę.

- Wiem, że jesteś dziewczyną, na miłość boską!

- Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłeś. Jak na kogoś, kto przez większą część życia poznaje, bada i analizuje różne kultury i cywilizacje, ludzką kondycję i zmiany społeczne, jesteś wyjątkowym idiotą.

- Przestań obrzucać mnie wyzwiskami i daj mi chwilę, żebym mógł się nad tym wszystkim spokojnie zastanowić...

- Zastanawiaj się, jak długo masz ochotę. - Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi.

- Nie rób tego.

Nie poruszył się, nie wstał i nie podniósł głosu. Zatrzymała się, zupełnie zaskoczona jego zachowaniem. Nie takiej reakcji się spodziewała.

- Nie odchodź - powiedział cicho. - Skończmy tę rozmowę, nie odwracając się od siebie, zróbmy przynajmniej tyle. Nie zapytałaś, czy cię kocham, ponieważ w naszej kulturze werbalizacja uczuć jest równie ważna jak ich manifestacja. Nieskrepowane porozumienie między partnerami jest niezwykle ważne dla rozwoju i ewolucji związku. Uważałaś, że jeśli zapytasz, odpowiedź nie będzie miała żadnego znaczenia.

- Bingo, profesorze.

- Ponieważ nie wyznałem ci miłości, sądziłaś, że sypiam z innymi kobietami.

- Towarzyszyła ci niezła reputacja. Jake Podrywacz...

- Cholera jasna! - Nienawidził, kiedy używała tego idiotycznego przydomku, a ona dobrze o tym wiedziała. - Oboje nie byliśmy święci...

- Więc dlaczego po ślubie ze mną nagle miałbyś stać się święty? Lubisz kobiety.

- Lubię kobiety - przyznał, wstając powoli. - Ale kochałem tylko ciebie. Wargi jej zadrżały.

- Ciekawe, że mówisz mi o tym dopiero teraz, do cholery!

- Nie dasz się przekonać, co? - Jake pokręcił głową. - Powiem ci coś jeszcze, co także powinienem był powiedzieć ci dawno temu: nigdy cię nie zdradziłem. Fakt, że mnie o to oskarżyłaś... To bolało. Wściekłem się, bo wolałem czuć złość niż ból.

- Nie spałeś z nią?

- Ani z nią, ani z żadną inną. Odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy, nie istniały dla mnie inne kobiety.

Musiała się odwrócić. Rok temu wmówiła sobie, że Jake ją zdradził, więcej, była o tym głęboko przekonana. Tylko w ten sposób mogła znieść rozstanie. Tylko dlatego nie pobiegła za nim.

- Myślałam, że z nią spałeś. Byłam pewna... - Zakreśliło jej się w głowie, więc po prostu osunęła się na podłogę. - Ona się postarała, żebyś nie miała cienia wątpliwości...

- Nie znosiła cię, była o ciebie zazdrosna. Jeżeli próbowała ci mnie odbić... No, zgoda, próbowała, ale wyłącznie dlatego, że należałem do ciebie.

- Zostawiła swój biustonosz w naszym pokoju...

- Co takiego?! Jezu Chryste...

- Pod łóżkiem, tak, żeby trochę wystawał - ciągnęła Callie. - Zupełnie jakby zapomniała o nim, kiedy się ubierała. Gdy weszłam, powietrze było przesiąknięte jej zapachem. Jej perfumami... W naszym łóżku, pomyślałam. Sprowadził tę sukę do naszego łóżka... Rozdarło mnie na kawałki...

- Nie zrobiłem tego. Mogę tylko powtórzyć, że nie zdradziłem cię ani w naszym łóżku, ani gdzie indziej. Ani razu od chwili, gdy cię dotknąłem...

- W porządku.

- W porządku? - powtórzył. - I to wszystko? Poczula wilgoć na policzku i szybko otarła łzę.

- Nie wiem, co jeszcze powiedzieć...

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wtedy? Dlaczego nie powiedziałaś, co zastałaś w naszym pokoju?

- Ze strachu. Bałam się, że jeżeli pokażę ci dowód, w każdym razie to, co wydawało mi się niepodważalnym dowodem, po prostu przyznasz się do zdrady. A gdybyś to zrobił i obiecał, że nigdy więcej się to nie zdarzy, musiałabym ci wybaczyć. Więc wolałam się wściec. - Westchnęła. - Wolałam się pnieć niż cierpieć i bać się. Wściekłam się, bo tylko w taki sposób umiałam sobie z tym poradzić. Nie wiem, co robić... Nie wiem, jak się zachować...

Usiadł naprzeciwko niej, tak, że dotykali się kolanami.

- Tym razem udało nam się zrobić kilka kroków na drodze do przyjaźni.

- Chyba tak...

- Możemy iść nią dalej, krok po kroku. Spróbuję nie zapominać, że jesteś dziewczyną, a ty możesz popracować nad zaufaniem do mnie.

- Wierzę ci, że nie... Że nie byłeś z tą Veronica. To już coś, prawda?

Ujął jej dłoń.

- Dziękuję.

- Ale i tak chcę na ciebie krzyczeć, kiedy będę musiała...

- W porządku. - Kiwnął głową. - Nadal chcę się z tobą kochać.

Pociągnęła nosem, otarła następną łzę.

- Teraz?

- Nigdy nie mówię „nie”, ale może warto z tym chwilę poczekać.

Wiesz, ani razu nie wybraliśmy się na zachód i nie odwiedziliśmy mojej rodziny...

- Nie wydaje mi się, żeby teraz był najlepszy moment na wycieczkę do Arizony - mruknęła.

- Nie teraz.

Czuł jednak, że może ją tam zabrać za pomocą słów. Spróbuje pokazać jej część samego siebie, której nigdy z nikim się nie dzielił.

- Mój ojciec... - zaczął. - Ojciec jest dobrym człowiekiem. Spokojnym, odpowiedzialnym, pracowitym. Mama jest silna i tolerancyjna. Tworzą doskonale zgrany zespół. - Spojrzał na jej dłoń i zaczął bawić się jej palcami. - Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek w mojej obecności powiedzieli sobie, że się kochają. W każdym razie na pewno nie na głos. Ja także nigdy nie usłyszałem od nich, że mnie kochają. Oczywiście, nigdy w to nie wątpiłem, ale nie rozmawialiśmy o tym. Gdybym teraz zadzwonił do rodziców i powiedział im, że ich kocham, oboje poczuliby się zażenowani, zresztą ja także chyba bym się wstydził...

Callie nigdy nie przypuszczała, że te dwa podstawowe i najważniejsze słowa mogą wprawić w zażenowanie Jake'a czy kogokolwiek innego. - I nigdy tego nikomu nie powiedziałaś? - zapytała.

- Nie zastanawiałem się nad tym, ale chyba nie, jeżeli faktycznie uważasz, że uwagi w stylu „kocham twoje ciało” naprawdę się nie liczą...

- Nie liczą się - potwierdziła.

Nagle ogarnęła ją ciepła fala nieoczekiwanej czułości i delikatnie odgarnęła włosy z jego czoła.

- Nigdy nie opowiadaliśmy sobie zbyt dużo o swoich rodzinach - powiedziała. - Chociaż ty ostatnio dowiedziałeś się o mojej naprawdę bardzo dużo...

- Podoba mi się twoja rodzina. Jedna i druga. Callie oparła głowę o drzwi.

- W moim domu zawsze otwarcie mówiliśmy o uczuciach. O tym, co czujemy i dlaczego. Prawie codziennie mówili mi, że mnie kochają, słyszałam też, jak wyznawali miłość sobie. Łącząc rodziny Cullenów i Dunbrooków, Carlyle w pewnym sensie odwalił kawał dobrej roboty...

- Co masz na myśli?

- Jedni i drudzy potrafią mówić o uczuciach. Pokażę ci coś... - Podniosła się i wyjęła tekturowe pudełko z płóciennego worka. - Przeczytałam już wszystkie. Wybiorę pierwszy z brzegu...

Wyciągnęła jeden z listów i wróciła na swoje miejsce obok Jake'a.

- Proszę - powiedziała. - Przeczytaj, bo dzięki temu łatwiej zrozumiesz,

o co mi chodzi. Jake otworzył kopertę i powoli rozprostował wyjętą z niej kartkę papieru.

Kochana Jessico,

Wszystkiego najlepszego, najmilsza szesnastolatko! Na pewno jesteś dziś bardzo podekscytowana. Szesnaste urodziny to bardzo ważna data, szczególnie dla dziewczyny. Wkraczasz już w kobiecość, wiem. Moja mała dziewczynka jest młodą kobietą. Wiem także, że jesteś śliczna.

Patrzę na inne dziewczęta w twoim wieku, podziwiam ich urodę i świeży urok. Jakże muszą się cieszyć, że stoją na progu tylu cudownych rzeczy... To wspaniale, ale i trudne.

Tyle emocji, tyle potrzeb, nadziei i wątpliwości. Tyle kompletnych nowości. Zastanawiam się, co chciałabym ci powiedzieć. Wyobrażam sobie nasze rozmowy o życiu i twoich planach na przyszłość. O chłopcach, którzy ci się podobają, i randkach, na których byłaś.

Na pewno nieraz klóciłybyśmy się do upadłego. Matki i córki muszą się klócić. Dałabym wszystko, żeby móc się z tobą spierać, tracić cierpliwość i słyszeć, jak z hukiem zatrzaskujesz za sobą drzwi pokoju. Jak odgradzasz się ode mnie i puszczasz muzykę na cały regulator, żeby mnie zdenerwować. Dałabym wszystko, żeby to przeżyć.

Wyobrażam sobie, jak idziemy na zakupy, wydajemy za dużo i wybieramy miłą restaurację, gdzie mogłybyśmy zjeść lunch.

Zastanawiam się, czy byłabyś ze mnie dumna. Mam nadzieję, że tak. Wyobraź sobie Suzanne Cullen, businesswoman. Ciągłe mnie zdumiewa, że osiągnęłam sukces, i mam nadzieję, że byłabyś dumna, iż z powodzeniem prowadzę dużą firmę. Ciekawe, czy kiedyś widziałaś moje zdjęcie w jakimś czasopiśmie, które przeglądałaś, czekając na wizytę u dentysty lub swoją kolej u fryzjera. Wyobrażam sobie, jak otwierasz torebkę z moimi ciastkami... Ciekawe, jaki rodzaj smakuje ci najbardziej...

Staram się nie smucić, ale jest mi ciężko, zwłaszcza gdy pomyślę, że mogłybyśmy razem robić te wszystkie rzeczy. Może nigdy się nie dowiesz, jak bardzo cię kocham.

Kocham cię całym sercem, Jessie, codziennie tak samo. Jesteś obecna w moich myślach, modlitwach, marzeniach. Tęsknię za tobą.

Kocham cię. Mama

- To musi być bardzo trudne dla ciebie. - Jake odłożył list i spojrzał na Callie. - Nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak bardzo... Najczęściej koncentruję się na danych, faktach i powiązaniach, i zapominam, jakie uczucia budzi w tobie ta sprawa.

- Z którego roku był ten list?

- Miałaś wtedy szesnaście lat - odparł.

- Szesnaście... Nie mogła wiedzieć, jak wyglądam, kim jestem, co robię i gdzie mieszkam, ale kochała mnie. Kochała nie tylko małe dziecko, które straciła, ale tamtą nastolatkę, kimkolwiek była. Dla niej nie miało to znaczenia. Kochała mnie mimo wszystko, dość mocno, aby napisać ten list. I dość mocno, żeby dać mi go, dać mi wszystkie listy, tylko po to, abym wiedziała, że byłam kochana.

- Zrobiła to, chociaż wiedziała, że nie możesz odwzajemnić jej miłości - powiedział cicho.

- Tak... - Callie westchnęła. - Nie mogę, bo mam matkę, z nią przeżywałam te rzeczy, o jakich pisała i marzyła Suzanne.

Miałam matkę, która mówiła mi, że mnie kocha, która nie ukrywała swojej miłości do mnie, matkę, z którą chodziłam na zakupy i z którą się kłóciłam, i którą uważałam za zbyt surową, ograniczoną lub głupią, bo przecież nastolatki często tak osądzają swoich rodziców... - Bezradnie potrząsnęła głową. - Próbuję ci powiedzieć, że mniej więcej to samo mogłaby napisać moja matka, Vivian Dunbrook. Te uczucia, potrzeby i ta dobroć tkwią w Suzanne i w Vivian... Znam już odpowiedzi na niektóre pytania. Wiem, skąd pochodzę. Wiem, że dzięki Bogu, rodzicom i okolicznościom otrzymałam od życia wszystko, co pozwoliło mi stać się taką osobą, jaką jestem. Wiem, że mam dwie pary rodziców, nawet jeżeli bezwarunkową miłość mogę ofiarować tylko jednym... I wiem, że potrafię wyjść z tego obronną ręką, przeżyć ten niepokój, emocjonalne rozdarcie, odsłanianie kolejnych faktów... Wiem też, że czas poszukiwań skończy się dopiero wtedy, kiedy będę w stanie rozwiązać wszystkie wątpliwości kobiety, która napisała ten list.

Lana zdawała sobie sprawę, że na świecie istnieją kobiety, które z powodzeniem pracują w domu. Prowadzą interesy, budują wielkie firmy i równocześnie wychowują szczęśliwe, zdrowe, świetnie przystosowane do życia dzieci, które z wyróżnieniem kończą Harvard lub zostają pianistami światowej sławy, a może nawet łączą te osiągnięcia.

Te kobiety robią to wszystko, gotując wspaniałe potrawy, meblując domy włoskimi antykami, sypiąc błyskotliwymi wypowiedziami w wywiadach dla takich czasopism jak „Money” czy „People”, prowadząc aktywne, tak udane, że aż godne pozazdroszczenia życie seksualne i nigdy, ale to nigdy choćby o gram nie przekraczając idealnej wagi.

Wydają prywatne przyjęcia, o których długo się potem mówi w najlepszych kręgach towarzyskich, są członkami zarządów wielu organizacji charytatywnych, a ich znajomi i przyjaciele zawsze wybierają je na przewodniczące miejscowych stowarzyszeń ochrony przyrody oraz klubów

tenisowych.

Lana miała pełną świadomość, że te kobiety żyją gdzieś tam, w dalekim świecie. Gdyby miała broń, dopadłaby wszystkie, wystrzelała jak chore na wściekłą psy, a kierowałyby się przy tym dobrem zdecydowanej większości kobiet.

Nadal miała na sobie bokserki i koszulkę, w których spała, i utykała z powodu rany pięty od szabli, której to rany nabawiła się, gdy nadepnęła na figurkę Anakina Skywalkera, podczas pogodni za psem, który doszedł do wniosku, że jej nowy sandał wygląda dużo bardziej smakowicie niż jego własna świeżutka kość. Minutę wcześniej zakończyła dwudziestominutową kłótnię z hydraulikiem, który nie krył przekonania, że z naprawą jej toalety śmiało można poczekać do końca tygodnia.

Tylerowi udało się rozsmarować masło orzechowe na sobie, psie oraz podłodze w kuchni, a także utopić w toalecie figurki kilku czarnych postaci z Gwiazdnych wojen - ta ostatnia akcja stała się przyczyną telefonu do hydraulika. A przecież do dziewiątej zostało jeszcze piętnaście minut...

Lana marzyła o filiżance kawy w ciszy i spokoju, o swoich ślicznych nowych sandałkach i o dobrze zorganizowanym biurze poza domem.

Oczywiście, wszystko to wydarzyło się częściowo z jej winy. To ona zdecydowała, że skoro pracuje w domu, to odwożenie Tylera do opiekuna nie ma najmniejszego sensu. To ona wykazała się zrozumieniem i przychylnością, kiedy jej asystentka poprosiła o tydzień wolnego, aby odwiedzić córkę w Columbus.

To ona doszła do wniosku, że sama sobie ze wszystkim poradzi.

Teraz jej synek tkwił na górze, nachmurzony i zły, ponieważ wcześniej na niego nakrzyczała. Pies bał się jej z tego samego powodu. Hydraulik był na nią wściekły - a każdy głupi wie, co to oznacza. Krótko mówiąc, jedyną pozytywną rzeczą, jaką zdołała dziś zrobić, było włączenie komputera.

Była zerem jako matka, adwokat i właścicielka psa. Stopa ją bolała i mogła za to winić wyłącznie siebie.

Kiedy zadzwonił telefon, przez głowę przemknęła jej całkowicie trzeźwa myśl, że może powinna oprzeć głowę o blat biurka i zasłonić ją ramionami. Jeżeli ktoś sądził, że ona jest w stanie rozwiązać jego czy jej problemy, to czekało go lub ją gorzkie rozczarowanie. Minio wszystko wzięła głęboki oddech i podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry, tu Lana Campbell.

Doug zapukał, ale zaraz dotarło do niego, że przecież i tak nikt nie usłyszy go w hałasie dobiegającym z domu Lany, więc po chwili ostrożnie uchylił drzwi i wsunął głowę do środka.

Pies szczekał jak oszalały, telefon dzwonił, telewizor w salonie grzmiał bliżej niezidentyfikowanymi dźwiękami, a Tyler zanosił się ponurym wyciem.

Doug usłyszał pełen napięcia, ostry i wyraźnie poirytowany głos Lany, która usiłowała przekrzyczeć całe to piekło. - Tylerze Marku Campbellu, masz w tej chwili przestać!

- Chcę jechać do Brocka! Nie lubię cię już! Chcę mieszkać u Brocka!

- Nie możesz pojechać do Brocka, bo nie mam czasu cię tam odwiedzić! Ja też w tej chwili nie bardzo cię lubię, ale nie masz wyboru, musisz zostać ze mną. A teraz idź do swojego pokoju i nie wychodź, dopóki nie zaczniesz zachowywać się jak cywilizowana ludzka istota, rozumiesz? I wyłącz ten telewizor!

Mało brakowało, aby Doug dyplomatycznie się wycofał. W tym chaosie ani Lana, ani Ty go nie dostrzegli i z pewnością nie zauważyliby, gdyby wrócił do samochodu i jak ostatni tchórz odjechał w chmurze kurzu.

Kilka razy powtórzył sobie, że nie jest to jego sprawa. W życiu roiło się od rozmaitych komplikacji i konfliktów, i nikt przy zdrowych zmysłach nie narażałby się na nie dobrowolnie.

- Jesteś dla mnie niedobra! - zaszlochał Tyler, a rozpaczliwy ton jego cienkiego głosiku sprawił, że pies przyłączył się do przyjaciela i długim, wysokim wyciem dał wyraz solidarności. - Gdybym miał tatusia, to on na pewno nie byłby dla mnie niedobry! Nie chcę ciebie, chcę tatusia!

- Och, Ty... Ja też chcę twojego tatusia...

Prawdopodobnie właśnie ta scena - żalony płacz dziecka i absolutna rozpacz i tęsknota w głosie Lany - przeważyla szalę. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

Chociaż podjął już decyzję, starał się zatrzeć wrażenie szerokim, swobodnym uśmiechem i pogodnym tonem.

- Hej, co się dzieje?

Odwróciła się. Doug uświadomił sobie nagle, że dotąd zawsze widywał ją świetnie ubraną, starannie uczesaną i zadbaną. Nawet po tym, jak kochali się namiętnie i długo, wyglądała idealnie.

Teraz włosy stały jej na głowie, oczy były mokre i odrobinę nieprzytomne. Stopy miała bose, a na koszulce z napisem NAJLEPSZA MAMA NA ŚWIECIE widniała duża plama po kawie.

Jej policzki natychmiast oblał rumieniec wstydu, w bezradnym geście podniosła obie ręce.

Doug dopiero w tej chwili zrozumiał, jak bardzo pociągała go modnie ubrana, świetnie zorganizowana pani adwokat. Pojął też, że uwiodła go ciepła, pewna siebie kobieta. Zafascynowała młoda wdowa i samotna matka, która bez

zauważalnego trudu żonglowała wszystkimi piłeczkami naraz.

Pewnie dlatego kompletnie zaskoczyło go, że zakochał się w potarganej, sfrustrowanej i nieszczęśliwej kobiecie, stojącej wśród rozsypanych na podłodze zabawek.

- Przepraszam... - Lana z wysiłkiem przywołała na twarz coś, co może nawet przypominało uśmiech. - Mam tu potworny bałagan... Chyba nie jest to najlepszy moment na...

- Nakrzyczała na nas! - W poszukiwaniu sympatii i współczucia, Ty rzucił się na Douga i oplótł jego nogi ramionami. - Powiedziała, że jesteśmy niegrzeczni!

Doug wziął chłopca na ręce.

- Proszę się o to, prawda?

Dolna warga Tylera zadrżała. Potrząsnął głową, a potem ukrył twarz na ramieniu Douga.

- Dała mi klapsa w tyłek - wyznał.

- Tyler... - Lana pomyślała, że gdyby teraz ziemia zapadła się pod jej stopami, to porzucane wszędzie zabawki posypałyby się jej na głowę i z pewnością ją zatłukły.

- Jak to się stało? - Doug lekko poklepał wspomniany tyłek.

- Doug... - Miała ochotę zacząć wrywać sobie włosy z głowy.

- Nie wiem, jak to się stało. Jest niedobra. Mogę pojechać do ciebie?

- Nie, nigdzie nie możesz pojechać, młody człowieku, możesz tylko pójść do swojego pokoju!

Lana wyciągnęła ręce, żeby chwycić Tylera, lecz chłopiec przyłgnął do Douga jak ruchliwa małpka do gałęzi drzewa.

- Może odebrałabyś telefon? - zaproponował Doug, ruchem głowy wskazując dzwoniący jak na pożar aparat. - Daj nam ochłonać...

- Nie chcę, żebyś...

Nie chcę, żebyś tu teraz był, pomyślała. Żebyś patrzył na to wszystko, a przede wszystkim na mnie, taką, jaką w tej chwili jestem...

- Dobrze! - warknęła, wychodząc do salonu.

Doug wyłączył telewizor i, nadal z Tylerem na rękach, otworzył drzwi i cicho gwizdnął na psa.

- Miałeś trudny ranek, co, kolego?

- Mama dała mi klapsa, ręką. Trzy klapsy.

- Moja mama też czasami dawała mi klapsa. Tak naprawdę nie bolało, ale moje uczucia zawsze były zranione. Wydaje mi się, że ty również chciałeś ją zranić, kiedy powiedziałeś, że już jej nie lubisz...

- Naprawdę jej nie lubię, kiedy jest taka wstrętna!

- Często bywa wstętna?

- Nie... Ale dzisiaj jest. - Ty podniósł głowę i utkwiał w twarzy Douga spojrzenie, które jakimś cudem było jednocześnie żałosne, pełne nadziei i niewinne. - Mogę pomieszkać dzisiaj u ciebie?

Jezu Chryste, pomyślał Doug, popatrz tylko na niego. Trzeba kogoś znacznie twardszego niż Douglas Edward Cullen, aby obojętnie odwrócić się od tego smarkacza...

- Gdybyś odjechał teraz ze mną, twoja mama poczułaby się strasznie samotna.

- Ona już mnie nie lubi, bo źli zatkali kibelek i woda wylała się na podłogę. I pobrudziliśmy się masłem orzechowym, i zniszczyliśmy jej but. - Łzy pociekły po policzkach Tylera. - Ale zrobiliśmy to wszystko niechcący...

- Niezły początek dnia. - Doug pocałował małego w oba gorące, mokre policzki. - Skoro zrobiłeś to niechcący, na pewno jest ci przykro. Może powinieneś jej o tym powiedzieć.

- Nie przyjmie przeprosin, bo powiedziała, że jesteśmy parą pogańskich dzikusów. - Tyler patrzył teraz na Douga szeroko otwartymi, poważnymi oczami. - Co to są pogańscy dzikusy?

- Oj, zaraz ci to wyjaśnię...

Jak człowiek może oprzeć się czemuś takiemu? Doug pomyślał, że całe życie szedł własną ścieżką, samotny i zadowolony z samotności, a tymczasem ma tu przed sobą tę kobietę, tego chłopca i tego zwariowanego psa. I wszyscy troje mocno trzymali jego serce.

- Pogański dzikus to ktoś, kto źle się zachowuje. Wygląda mi na to, że obaj źle się zachowywaliście, i ty, i Elmer. Twoja mama próbowała pracować.

- Mama Brocka nie pracuje.

Dougowi wydawało się, że słyszy echo własnego głosu, własnych słów. Tak to właśnie było, kiedy narzekał i dąsał się, bo matka była zbyt zajęta, aby poświęcić mu całą swoją uwagę.

Jesteś za bardzo zajęta, żeby się ze mną pobawić? Dobrze, ja też będę kiedyś zbyt zajęty, żeby z tobą porozmawiać. Idiotyczna reakcja...

- Mama Brocka nie jest twoją mamą. Nikt nie może się równać z twoją mamą. Nikt na świecie. - Przytulił Tylera i pogłaskał go po głowie.

Elmer tańczył dookoła nich z patykiem w zębach, najwyraźniej gotowy do zabawy.

- Kiedy zrobi się coś złego, trzeba to naprawić. - Postawił Tylera na ziemi i rzucił patyk, aby sprawić przyjemność Elmerowi. - Założę się, że twój tata powiedziałby ci to samo.

- Nie mam taty. Poszedł do nieba i już nie wróci.

- To bardzo trudne... - Doug przykucnął, chcąc znaleźć się na poziomie chłopca. - To najtrudniejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić, ale masz wspaniałą mamę. Ma nawet taki napis na koszulce, prawda?

- Jest na mnie okropnie zła. Babcia pomogła mi kupić tę koszulkę na urodziny mamy, a Elmer skoczył mamie pod nogi i dlatego załała ją sobie kawą. Kiedy to się stało, powiedziała paskudne słowo, takie na „s”. - Na samo wspomnienie wargi Tylera znowu zadrżały. - Powiedziała je dwa razy, naprawdę głośno...

- Cóż, najwyraźniej wpadła w złość, ale może uda nam się to naprawić. Chcesz to naprawić?

Tyler pociągnął nosem i otarł go wierzchem dłoni. - Tak.

Lana właśnie skończyła rozmawiać przez telefon i miała ochotę na jedną cudowną, słodką chwilę położyć głowę na biurku, kiedy usłyszała, jak drzwi otwierają się powoli.

Podniosła się i pośpiesznie przyglądziła włosy, próbując wziąć się w garść. Do pokoju wszedł Tyler, ściskając w rączce trochę wymęczony bukiet czarnookich bratków.

- Przepraszam, że źle się zachowałem i powiedziałem tyle okropnych rzeczy. Nie żłość się już...

- Och, Ty... - Z trudem powstrzymując łzy, padła na kolana i przyciągnęła go do siebie. - Nie jestem już zła. Przepraszam, że dałam ci klapsa. I że nakrzyczałam na ciebie. Bardzo cię kocham, najbardziej na całym świecie...

- Przyniosłem ci kwiatki, bo je lubisz.

- Tak, bardzo lubię... - Odsunęła się odrobinę, żeby na niego spojrzeć. - Postawię je na biurku, żeby na nie patrzeć w czasie pracy. A później zadzwonię i zapytam, czy możesz przyjść do Brocka.

- Nie chcę iść do Brocka. Wolę zostać w domu i ci pomóc. Pozbieram swoje zabawki i poukładam je jak należy.

- Naprawdę?

- Yhm... I już nigdy nie będę zabijał złych w kibelku.

- W porządku. - Lana przycisnęła wargi do czoła synka. - Wszystko jest już w porządku... Idź pozbierać swoje rzeczy. Kiedy skończysz, włączę ci Gwiazdne wojny na wideo.

- Fajnie! Chodź, Elmer!

Tyler pobiegł do swojego pokoju, a Elmer za nim.

Jeszcze raz odgarnęła włosy do tyłu, chociaż próby ich uładzenia wypadały marnie, i podniosła się z podłogi. Telefon znowu zaczął dzwonić, ale zignorowała go i poszła do kuchni, gdzie Doug popijał kawę z kubka.

- To było edukacyjne przeżycie. - Westchnęła. - Przykro mi, że przyjechałeś, gdy akurat rozpętało się to wszystko...

- Chodzi ci o to, że przyjechałam, gdy akurat rozpętał się kawałek normalnego życia?

- Zwykle nie zachowujemy się w taki sposób...

- Co nie znaczy, że nie było to normalne - Doug znowu z pewnym zawstydzeniem pomyślał o matce. - Kiedy jedna osoba musi zajmować się wszystkim, co związane z domem i rodziną, czasami zdarzają się drobne wpadki...

- Miło, że to mówisz. - Lana otworzyła jedną z szafek i wyjęła nieduży zielony wazonik.

- To także i moja wina. To ja wymyśliłam, żeby nie wysłać Tylera do opiekuna, skoro może być tu ze mną. Jestem jego matką, prawda? Więc co z tego, że staram się tu pracować, a moja asystentka jest na urlopie... A potem, kiedy sprawy zaczęły się trochę komplikować, wyładowałam bezsilną złość na małym chłopcu i jego głupim psiaku...

- Powiedziałbym, że mały chłopiec i jego głupi psiak odegrali sporą rolę w tej awanturze.

- Doug zdjął z blatu pogryziony sandał. - Który z nich tak go przeżuł? Z piersi Lany wyrwało się kolejne westchnienie.

- Ani razu nie miałam ich na nogach... Ten cholerny pies wyciągnął go z pudełka, kiedy próbowałam zatamować powódź w toalecie...

- Trzeba było zadzwonić po hydraulika. - Doug stłumił śmiech, gdy Lana wyszczerzyła do niego zęby. - Och, rozumiem, zadzwoniłaś... Zaraz zobaczą, co się tam dzieje...

- Nie masz obowiązku naprawiać mojej toalety.

- Więc nie musisz mi płacić, prawda?

- Posłuchaj... - zaczęła. - Naprawdę jestem ci wdzięczna i naprawdę doceniam, że przed chwilą usunąłeś Tylera z linii ognia, żebym mogła się uspokoić, pomogłeś mu zerwać kwiaty i teraz jeszcze oferujesz swoje usługi jako hydraulik, ale...

- Ale nie chcesz, żeby ktoś ci pomagał.

- Nie, nie w tym rzecz! Na pewno nie w tym! Nie związałam się z tobą po to, żebyś przetykał toaletę w moim domu i zażegnywał chwilowe kryzysy. Nie chcę, byś myślał, że oczekuję od ciebie takich rzeczy dlatego, że się spotykamy.

- Czy w takim razie mogłabyś zacząć oczekiwać ich ode mnie dlatego, że jestem w tobie zakochany, co?

Wazonik wypadł jej z rąk i z głuchym stuknięciem uderzył o kuchenny

blat.

- Co takiego?

- Stało się to mniej więcej piętnaście minut temu, kiedy wszedłem tutaj i zobaczyłem cię.

- Kiedy mnie zobaczyłeś... - powtórzyła tępo. - Kiedy zobaczyłeś mnie w takim stanie?

- Nie jesteś chodzącą doskonałością. To znaczy, prawie nią jesteś, ale trochę ci brakuje... To dla mnie wielka ulga. Ciężko myśleć o poważnym związku z osobą, która jest absolutnie doskonała. Jeżeli jednak ta osoba oblewa się kawą, czasami nie zdąży się uczesać, potrafi nawrzeszczeć na dzieciaka, gdy ten na to zasłuży, to już zupełnie inna sprawa... Wtedy naprawdę warto się zastanowić...

- Nie wiem, co powiedzieć. - Szczerze mówiąc, nie wiedziała ani co myśleć, ani co robić. - Nie jestem...

- Gotowa - dokończył. - Więc może na razie pokaż mi, gdzie leje się ta woda, a ja zobaczę, co da się zrobić...

- Tam... - Niepewnym gestem wskazała sufit nad ich głowami. - Łazienka jest tam... Byłam... Nie mogłam... Och, Doug...

- To miłe. - Wsunął dłoń pod jej podbródek i pocałował ją. - Miło, że nie wiesz, co powiedzieć i że jesteś trochę przestraszona. Dzięki temu będę miał trochę czasu, by się zastanowić, jak sobie z tym poradzić.

Lana bezradnie rozłożyła ręce. Jej żołądek rytmicznie podskakiwał, zupełnie jak gumowa piłeczka.

- Daj mi znać, kiedy już się zastanowisz... - szepnęła.

- Oczywiście. Tobie pierwszej.

Kiedy wyszedł, oparła ręce na blacie i jeszcze raz spojrzała na poplamioną koszulkę i gołe, bose nogi.

Zakochał się w niej z powodu plam po kawie i rozczochranych włosów... O, Boże... Serce nieprzytomnie kołatało w jej piersi. Była w poważnych kłopotach.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem z roztargnieniem podniosła słuchawkę.

- Halo... Tak. - Skrzywiła się lekko. - Tak, to biuro prawne Lany Campbell. W czym mogę pomóc?

Kilka minut później jak bomba wpadła na piętro, gdzie Doug, Ty oraz pies skupili się wokół toalety.

- Wyjdźcie stąd, ale już! Wszyscy! Muszę natychmiast wziąć prysznic! Doug, zapomnij, co mówiłam o braku oczekiwań, bo zamierzam cię wykorzystać!

Doug zerknął na Tylera, potem przeniósł spojrzenie na nią.

- Na oczach świadków?

- Cha, cha! Błagam cię, proszę, weź Tylera na dół i pozbierajcie wszystko, co nie powinno znajdować się w domu lub biurze błyskotliwego prawnika! Możecie wsadzić cały ten bałagan do szafy, później się nim zajmę! I wypuść psa do ogrodu! Tyler, jednak pojedziesz do Brocka!

- Ale ja nie chcę...

- Spokojnie, kolego. - Doug zaczął operację zbierania od Tylera. - Zaraz pogadamy sobie jak mężczyzna z mężczyzną o bezużytecznym wysiłku, jakim jest sprzeciwianie się kobiecie, która ma określony wyraz oczu.

- Za dwadzieścia minut jestem na dole. - Lana zatrzasnęła za nimi drzwi i błyskawicznie się rozebrała.

Wychodziła spod prysznic, kiedy Doug zapukał lekko i wszedł do środka.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Jestem naga, na miłość boską! Tyler...

- Tyler sprząta swoje zabawki w salonie. Zresztą, skoro noszę się z zamiarem bywania w tym domu bardzo często, musi przywyknąć do świadomości, że czasami widuję cię nagą. Co się dzieje?

- Richard Carlyle. - Lana chwyciła ręcznik, owinęła się nim i pognęła do sypialni. - Przed chwilą dzwonił z lotniska Dulles. Chce się spotkać. Cholera jasna, nie odebrałam z pralni tego granatowego kostiumu od Escady!

- Przyjedzie tutaj?

- Tak, będzie koło poradnia. Muszę ogarnąć się na tyle, żebym wyglądała na chłodną, wygadaną panią adwokat, nie na rozmamlaną wariatkę. Zaraz zadzwonię do Callie, powinniśmy jeszcze raz przejrzeć wszystkie dokumenty... - Szybko włożyła figi i biustonosz. - Muszę mieć pewność, że cały zapas potrzebnych informacji mam w głowie, nie na papierze... Wyjęła z szafy szary kostium w białe prążki, przyjrzała mu się, odwiesiła na miejsce.

- Nie, w tym będę wyglądać, jakbym trochę za bardzo się starała. Czasowo pracuję w domu, więc potrzebuję czegoś odrobinę mniej formalnego... Ach! - Chwyciła stalowoniebieski żakiet. - To jest to! Muszę zadzwonić do Jo, matki Brocka, i zapytać, czy Ty mógłby posiedzieć u nich do popołudnia, a potem wykorzystam cię i poproszę, żebyś go tam zawiózł...

Rzuciła żakiet na łóżko, złapała przenośny telefon i zaczęła wybierać numer. Nie czekając na połączenie, pobiegła z powrotem do łazienki i włączyła suszarkę do włosów.

- Zawiozę go, jasne, ale wrócę tu - odezwał się Doug. - Zamierzam wziąć udział w tym spotkaniu.

- To nie zależy ode mnie. O tym może zdecydować tylko Callie.

- Nie, o tym decyduję ja - sprostował, wychodząc z łazienki.

Była chłodna i opanowana, kiedy wprowadziła Callie i Jake'a do salonu.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli odbędziemy to spotkanie tutaj. Mój gabinet na piętrze jest mały, a rozmowa w salonie może go dobrze usposobić.

- Podajmy herbatę i ciasteczka.

- Callie... - Lana położyła rękę na jej ramieniu. - Wiem, uważasz, iż Richard Carlyle blokuje postępy w sprawie, ale facet jest nam potrzebny. Zależy nam, żeby stał po naszej stronie, a przynajmniej żeby był otwarty na nasze argumenty, bo tylko on może nam pomóc w odnalezieniu starego Carlyle'a. Wszystkie inne sposoby okazały się nieskuteczne.

- Przecież Carlyle senior nie mógł tak po prostu zniknąć z powierzchni ziemi!

- To prawda. Jestem pewna, że w końcu go znajdziemy, ale z pomocą Richarda osiągniemy ten cel dużo szybciej.

- Dlaczego miałby mi pomóc w odnalezieniu ojca, skoro świetnie wie, że mam zamiar zamknąć tego skurwysyna na resztę życia? - zapytała Callie.

- Chyba lepiej mu o tym nie wspominać. - Jake usiadł wygodnie i wyciągnął przed siebie długie nogi. - Nie należy też nazywać starego Carlyle'a skurwysynem w obecności jego syna... - Wzruszył lekko ramionami w odpowiedzi na wściekłe spojrzenie, jakim zmierzyła go Callie. - Przedstawiam tylko swoją opinię, nic więcej.

- A przy okazji moją. Usiądź, Callie. - Lana wskazała fotel. - Rozumiem, że czujesz wrogość do Richarda, lecz naprawdę nie powinniśmy zniechęcać go do siebie. Wygląda na to, że rzeczywiście nie utrzymywał bliskich stosunków z ojcem, ale mimo wszystko jest jego synem... Trochę się niepokoję, czy nie jest nas tu za dużo. Carlyle poprosił o rozmowę ze mną i moją klientką. Nie wydaje mi się, by z zadowoleniem przyjął taki układ sił...

- To już jego problem - powiedział Jake. Doug założył ramiona na piersi.

- Nigdzie się nie wybieram - oświadczył. - Jeżeli Carlyle poczuje się nieswojo, to trudno, do diabła! Cała moja rodzina czuje się nieswojo od blisko trzydziestu lat!

- Jeżeli potraktujecie go jak winnego, który powinien odpowiadać za grzechy ojca, najprawdopodobniej po prostu stąd wyjdzie. - Lana była świadoma, że na nic się zda naleganie, aby zostawili je same z Carlyle'em. - Nie proszę, żebyście zniknęli, chcę tylko, żeby jedno było jasne - to ja poprowadzę spotkanie. Richard Carlyle przyjechał tu z Atlanty, dobrowolnie, więc poczytajmy mu to za zasługę.

- Poczytam mu za zasługę, kiedy powie, gdzie jest jego ojciec, ten stary skurwysyn! - Callie uśmiechnęła się zimno. - Przepraszam, musiałam się jakoś wyładować...

Słyszając szmer opon na żwirze przed domem, Lana podeszła do okna i ostrożnie wyjrzała zza kotary.

- A oto i nasz człowiek - oznajmiła spokojnie. - Doug, usiądź i przestań tak groźnie marszczyć brwi, na miłość boską!

- W porządku. - Doug podszedł do kanapy i usiadł z drugiej strony Callie.

- Świetnie. - Callie wbiła łokcie w żebra Jake'a i Douga. - Teraz mam obwolutę. Dajcie mi odetchnąć pełną piersią, dobra? Nie sądzę, by ktoś zamierzał porwać mnie i sprzedać po raz drugi...

- Przestań się wściekać - powiedział Doug łagodnie. - To się nazywa solidarność, wiesz?

- Jasne! Sześćdziesięciokilowa dziewczyneczka z bratem, którego nie widziała przez dwadzieścia parę lat, i z byłym mężem! Manifestacja solidarności!

Jake objął ją ramieniem.

- Bardzo mi się to podoba - oznajmił.

Lana otworzyła drzwi. Jej głos był chłodny i uprzejmy.

- Pan Carlyle? Lana Campbell. - Wyciągnęła rękę do gościa. - Chciałabym zacząć od podziękowania, że przyjechał pan z tak daleka, aby z nami porozmawiać. Zapraszam do środka. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan tę nieformalną scenerię. Parę dni temu moje biuro uległo zniszczeniu w wyniku pożaru i przez pewien czas będę skazana na pracę w domu... Mam wrażenie, że poznał pan już doktor Dunbrook oraz doktora Graystone'a... Callie pomyślała, że Carlyle wygląda na mocno zmęczonego, znacznie bardziej, niż usprawiedliwiałby to stosunkowo niedługi lot. Zauważyła też, że mocno ściska uchwyt teczki.

- To jest Douglas Cullen... - ciągnęła Lana.

- Nie wyraziłem zgody na rozmowę z żadnym członkiem rodziny Cullen. - Richard odwrócił się plecami do Douga i utkwiał surowe spojrzenie w twarzy Lany. - Wyraźnie prosiłem o spotkanie z panią oraz pani klientką. Jeżeli ten warunek wydał się pani niemożliwy do spełnienia, trzeba było uszanować mój czas i dobrą wolę, i poinformować mnie o tym.

- Obecność pana Cullena, jako reprezentanta całej rodziny, jest moim zdaniem nie tylko uzasadniona, ale i sensowna. Moja klientka tak czy inaczej zrelacjonowałaby Cullenom przebieg naszej rozmowy. - Lana mówiła bez pośpiechu, gładko, spokojnie. - Bezpośrednie świadectwo pana Cullena

uchroni nas przed nieporozumieniami i ewentualnymi pomyłkami. Jestem pewna, że nie odbył pan tej długiej podróży po to, aby sprzeciwić się uczestnictwu w spotkaniu jednego z członków biologicznej rodziny doktor Dunbrook. Można powiedzieć, że to pan zwołał to spotkanie, a ponieważ jest pan niezwykle zajęтым człowiekiem, nie wątpię, iż miał pan po temu ważny powód.

- Mam za sobą wyjątkowo niewygodną podróż i od razu chcę zaznaczyć, że nie pozwolę się przesłuchiwać.

- Jeśli zechce pan usiąść, z przyjemnością przyniosą panu kawę lub coś zimnego do picia...

- Nie zabawię tu aż tak długo...

Mimo tego oświadczenia Carlyle usiadł w fotelu naprzeciwko kanapy.

- Doktor Dunbrook oraz jej kolega dostali się do mojego biura, powołując się na powiązania rodzinne ze mną - ciągnął.

- To pan przyjął, że wspomniane powiązania rodzinne dotyczą pana - sprostowała Callie.

- Powiedzieliśmy tylko, że sprawa wiąże się z pańskim ojcem. Ponieważ zarobił sporo pieniędzy, sprzedając mnie, możemy chyba uznać, że te powiązania nie są fikcją...

- Tego rodzaju oskarżenia to zwykłe oszczerstwa. Jeżeli pani adwokat nie udzieliła pani odpowiedniego ostrzeżenia, najwyraźniej nie jest dobrym prawnikiem. Sprawdziłem dokumenty, które zostawiliście w moim biurze. Jest prawdą, że dokumenty adopcyjne wystawione na Elliota i Vivian Dunbrook nie zostały prawidłowo zarejestrowane, ale...

- Dokumenty zostały sfalszowane.

- Nie zostały prawidłowo zarejestrowane, powtarzam. Pani Cambell powinna wiedzieć, że takie przeoczenie mogło powstać z winy sądu, może urzędnika lub kogoś takiego.

- Nie wydaje mi się, aby miało to jakiegokolwiek znaczenie, jako że i podanie o adopcję, i ostateczna decyzja zostały podpisane przez wszystkie zainteresowane strony, lecz opieczetowane sfalszowaną pieczęcią sądu - powiedziała Lana, siadając. - Żaden z tych dokumentów nie został zgłoszony ani zarejestrowany.

- Za co prawdopodobnie odpowiada jakaś przepracowana, marnie zarabiająca urzędniczka - rzekł Carlyle.

- Wymiana pieniędzy za dziecko miała miejsce w gabinecie pańskiego ojca i w jego obecności.

- Podczas swojej praktyki mój ojciec dopomagał w procesach adopcyjnych wielu niemowląt i podobnie jak w przypadku każdej cieszącej się

powodzeniem kancelarii, nad sprawami, jakich się podejmował, pracowało wiele osób. Ojciec był wysoko szanowanym adwokatem i radcą prawnym, niezależnie od tego, jak moglibyśmy go oceniać. Oskarżanie go o udział w obrzydliwym handlu niemowlętami jest zwyczajnie śmieszne. Nie pozwolę, aby w wyniku państwa kroków ucierpiała reputacja ojca, a także moja. Nie dopuszczę, aby moja matka i dzieci cierpiały z powodu plotek...

- Mówi pan nam dokładnie to samo, co wcześniej usłyszeliśmy w Atlancie. - Jake wyczuł napięcie Callie i ostrzegawczo położył rękę na jej ramieniu. - Nie odniosłem wrażenia, aby był pan człowiekiem, który marnuje czas, powtarzając wciąż te same argumenty.

- Niektóre argumenty trzeba powtarzać. Doktor Dunbrook, panie Cullen, szczerze współczuję państwu z powodu sytuacji, w jakiej się znaleźliście. Ze sprawdzonych przeze mnie dokumentów, a także lektury artykułów, które mi państwo zostawili, jasno wynika, że wasze doświadczenia są bardzo tragiczne. Przykro mi. Niemniej, nawet gdybym wierzył, że mój ojciec był w jakikolwiek sposób zamieszany w tę sprawę, a nie wierzę, i tak nie mógłbym wam pomóc.

- Skoro jest pan przekonany, że ojciec nie miał nic wspólnego z moim porwaniem, dlaczego go pan nie zapyta? - odezwała się Callie. - Dlaczego nie pokaże mu pan tych papierów i nie poprosi o wyjaśnienie?

- Niestety, to niemożliwe. Mój ojciec nie żyje, zmarł dziesięć dni temu, w swoim domu na Kajmanach. Właśnie stamtąd wracam, z jego pogrzebu. Pomagałem jego żonie rozwiązać pewne kwestie majątkowe.

Callie miała wrażenie, że ziemia nagle otworzyła się pod nią, pozbawiając ją wszelkiego oparcia.

- Mamy uwierzyć, że nie żyje? Tak po prostu zaufać pana słowu? Że umarł, akurat teraz, w tak dogodnym momencie?

- Trudno tu mówić o dogodnym momencie, bo ojciec chorował od dłuższego czasu. Nie spodziewam się, że zaufacie mojemu słowu. - Richard Carlyle otworzył teczkę i wyjął z niej plik papierów. - Mam tu kopie orzeczeń lekarskich, akt zgonu i zamieszczone w prasie nekrologi. - Nie spuszczać oczu z twarzy Callie, podał dokumenty Lanie. - Mogą państwo z łatwością potwierdzić ich autentyczność.

- Powiedział nam pan, że pan nie wie, gdzie przebywa ojciec! - wybuchnęła Callie. - Kłamał pan wtedy, więc bardzo możliwe...

- Nie kłamałem - przerwał jej. - Od lat nie widywałem się z ojcem, ponieważ w skandaliczny sposób potraktował moją matkę. Nie ulega wątpliwości, że podobnie postąpił z drugą żoną. Jak odnosił się do trzeciej, tego nie wiem. Byłem świadomy, że najprawdopodobniej mieszka na

Kajmanach lub Sardynii. Wiele lat temu kupił posiadłości w obu tych miejscach. Nie poczułem się w obowiązku poinformować was o swoich przypuszczeniach, to wszystko. Mam obowiązek chronić moich najbliższych, matkę, żonę i dzieci, a także moją reputację i praktykę, i właśnie to zamierzam nadal robić... Carlyle podniósł się z fotela.

- To już koniec, doktor Dunbrook. Niezależnie od tego, co zrobił, ojciec nie żyje. Nie może odpowiedzieć na pani pytania, nie może udzielić wyjaśnień ani się bronić, a ja nie dopuszczę, aby to rodzina poniosła karę zamiast niego. Nie pozwolę na to. Dajmy spokój zmarłym. Przepraszam, ale spieszę się do domu. Proszę się nie fatygować, sam znajduję drogę do wyjścia.

Jake wsłuchiwał się w głębokie, smutne dźwięki wiolonczeli. Nie potrafił zidentyfikować utworu i kompozytora, nigdy nie miał ucha do muzyki klasycznej, ale doskonale wyczuwał nastrój tego fragmentu, a tym samym nastrój Callie. Była zła, rozdrażniona.

Wcale się nie dziwił. Jego zdaniem miała dość tragicznych przeżyć jak na jedno lato. Najchętniej spakowałby jej rzeczy i zabrał ją stąd, wszystko jedno dokąd, najlepiej daleko. Decyzje o wyjeździe zawsze podejmowali w ostatniej chwili.

Nigdy nie zapuścili korzeni jako para, zresztą wydawało mu się to raczej nieważne. I wtedy rzeczywiście było nieistotne, pomyślał. Wstał z krzesła i zaczął spacerować po pokoju. Wtedy oboje żyli chwilą. Z wielką determinacją odkopywali przeszłość innych ludzi, lecz sami woleli terażniejszość.

Rzadko rozmawiali o swojej przeszłości i nie poświęcali zbyt wiele czasu planom na przyszłość. W ciągu ostatniego roku Jake dużo myślał o tym wszystkim i wniosek, do jakiego doszedł, był prosty - tak naprawdę zależało mu jedynie na przyszłości z Callie.

Aby to osiągnąć, można było na przykład odciąć się od przeszłości, i jego, i jej, i zająć się budowaniem terażniejszości. Uważał, że ten plan był całkiem niezły, oczywiście do chwili, gdy przeszłość Callie podniosła głowę i wbiła zatrute żądło w jej serce.

Szczerze mówiąc, niewiele można było z tym zrobić. Jedno nie ulegało wątpliwości - czas koczowniczej egzystencji dobiegł końca, teraz oboje musieli stawić czoło przeszłości i wytrwać.

Jake zajrzał do kuchni, gdzie przy stole pracowała Dory.

- Znaleźliśmy dzisiaj parę interesujących przedmiotów - powiedziała. - Ten topór, który wykopał Matt, jest naprawdę zdumiewający.

- Tak, świetna rzecz. - Jake otworzył lodówkę i sięgnął po piwo, lecz w ostatniej chwili zmienił decyzję i wyjął butelkę wina.

- Ja... Porządkuję notatki Billa. Pomyślałam, że ktoś powinien to zrobić.

- Nie musisz, Dory. Zajmę się tym.

- Nie, ja... Chętnie to zrobię, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Nie byłam dla niego zbyt miła... Chodzi mi o to, że często... Nie, nie często, ciągle się go czepiałam, głównie dlatego, że chodził za Callie jak piesek. Teraz bardzo mi to doskwiera...

- Na pewno nie chciałaś mu dokuczyć.

- Zwykle nie chcemy dokuczać innym, ale mówimy im mnóstwo głupich, idiotycznych rzeczy. I nagle okazuje się, że jest za późno, aby cokolwiek naprawić. Widzisz, śmiałam się z niego i wcale tego nie ukrywałam...

- Czułabyś się lepiej, gdybyś kpiła za jego plecami? - zapytał Jake. Otworzył butelkę, nalał trochę wina do szklanki i podał ją Dory. - Ja także mu dokuczałem.

- Wiem... - Dziewczyna wzięła szklanekę, ale nie umoczyła ust w winie.

- Dziękuję... Nie dziwiłam się, bo obaj smaliliście cholewki do Callie, oczywiście każdy na swój sposób... - Podniosła głowę i spojrzała na sufit. Muzyka brzmiała cicho, wydawała się odległa jak ledwo słyszalne odgłosy nocy. - Ładne, ale strasznie smutne...

- Wiolonczela nie należy do pogodnych instrumentów.

- Chyba nie. Callie jest naprawdę utalentowana, prawda? Tak czy inaczej, to trochę dziwne - kobieta archeolog, która wszędzie wozi ze sobą wiolonczelę, żeby pograć sobie Beethovena...

- Cóż, to cała Callie. Nie mogłaby grać na harmonijce ustnej, to nie w jej stylu. Nie siedź zbyt długo.

Resztę wina oraz dwie szklanki zabrał na górę. Wiedział, co to oznacza, kiedy Callie zamyka drzwi do swojego pokoju, lecz postanowił zignorować ten sygnał i na wszelki wypadek nawet nie zapukał.

Siedziała na jedynym krześle, twarzą do okna. Widział jej profil, szczególnie tę długą linię policzka, odsłoniętą i wyraźnie zarysowaną, ponieważ włosy zaczesła, do tyłu.

Pomyślał, że kiedy gra, jej dłonie zawsze wyglądają delikatnie i kobieco. Niezależnie od tego, co powiedział Dory, musiał przyznać się przed sobą, że brakowało mu jej gry. Podszedł do biurka i napełnił szklanki winem.

- Idź sobie. - Nie odwróciła głowy. Siedziała wpatrzona w ciemność, przywołując z powietrza głębokie, bogate nuty. - Nie daję publicznych koncertów.

- Zrób sobie przerwę. - Podał jej dobre wino w taniej szklaneczce z supermarketu. - Beethoven może poczekać.

- Skąd wiesz, że to Beethoven?
 - Nie jesteś jedyną osobą na świecie, która ceni i zna muzykę - odparł.
 - Odkąd to Willie Nelson jest najwybitniejszym artystą...
 - Ostrożnie, mała. Nie obrażaj gigantów, bo nie podzielę się z tobą napojem dla dorosłych.
 - Dlaczego przyniosłaś mi wino?
 - Ponieważ jestem wrażliwym, dobrym człowiekiem.
 - Który ma nadzieję, że przyłapie mnie na chwili słabości i wykorzysta!
 - prychnęła.
 - Oczywiście, ale i tak jestem wrażliwym i dobrym człowiekiem. Wzięła szklanekę i pociągnęła łyk wina.
 - Widzę, że postanowiłaś zainwestować. - Postawiła szklanekę na podłodze, przekrzywiła głowę i zmierzyła go uważnym spojrzeniem. - Doskonale wino... - Zagrała pierwsze takty najbardziej znanej piosenki Williego Nelsona. - To jest bardziej w twoim guście, co?
 - Masz ochotę przedyskutować kulturowe i społeczne uwarunkowania muzyki ludowej oraz jej odbicie w sztuce i zwyczajach plemiennych?
 - Nie dzisiaj, profesorze. Dziękuję za wino. Teraz idź sobie i pozwól mi przemyśleć pewne sprawy...
 - Przemyślałaś już dosyć spraw jak na ten wieczór.
 - Mam jeszcze trochę czasu - powiedziała, sięgając po szklanekę. - Idź sobie.
- W odpowiedzi usiadł na podłodze i oparł się plecami o ścianę. Przez jej twarz przemknął cień irytacji, zaraz jednak uśmiechnęła się spokojnie. Położyła smyczek na strunach i cicho zagrała dwa pierwsze takty głównego motywu muzycznego ze Szczek Spielberga.
- Nie zamierzam się tym przejmować - ostrzegł Jake.
- Uśmiechnęła się szerzej i grała dalej. Wiedziała, że Jake się załamał. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby dotrwał do połowy utworu.
- Tym razem wytrzymał prawie trzydzieści sekund. Zaraz potem poczuł ciarki na plecach. Nachylił się i zdecydowanym ruchem przytrzymał rękę, w której trzymała smyczek.
- Przestań... - Wstrząsnął się, lecz po sekundzie parsknął śmiechem. - Straszna z ciebie suka...
 - Tak jest. Dlaczego sobie nie pójdziesz?
 - Kiedy poszedłem sobie ostatnim razem, przez następny rok byłem wściekły, smutny i samotny. Nie podobało mi się to.
- Callie miała szczerą ochotę ukryć twarz w dłoniach.
- Tym razem nie ma to nic wspólnego z tobą...

- Wiem, za to ma mnóstwo wspólnego z tobą, a nie mogę nie myśleć o tobie. Pokonana, oparła czoło o gryf wiolonczeli.

- Dobry Boże, co się ze mną dzieje? Wystarczy, że powiesz coś takiego, a już czuję się zupełnie ogłupiała...

Jake łagodnie pogładził jej łydkę.

- Ja natomiast nie wiem, co się ze mną działo, że nie umiałem ci mówić takich rzeczy. Tym razem nie odejdę. Wiem, o czym myślisz, co cię dręczy od południa. Pieprzony skurwysyn musiał akurat umrzeć...

- Może Carlyle junior kłamie. Może akt zgonu jest sfalszowany. Jake spokojnie patrzył jej w oczy.

- Może.

- Ja też wiem, co myślisz. Po co Richard miałby robić coś tak głupiego? Dobrze wie, że wszystko sprawdzimy. Skurwiel nie żyje, a ja nigdy nie spojrzę mu w twarz i nie powiem, kim jestem. I nie zmuszę go, żeby wyznał mi to, czego chcę się dowiedzieć. Nigdy nie zapłaci za to, co zrobił. I ja nic nie mogę na to poradzić, nic, do cholery!

- Więc na tym koniec? - zapytał.

- Tak brzmi logiczny wniosek. Carlyle nie żyje, Simpson i ta jego suka zniknęli... Może gdybym miała dużo czasu i pieniędzy, opłaciłabym prywatnego detektywa albo nawet cały zespół, aż by ich w końcu znaleźli. Niestety, nie mam ani jednego, ani drugiego.

- Nie będziesz mogła spojrzeć mu w twarz, to prawda, ale wiesz, kim jesteś. Nic nie naprawi krzywdy, jaką Carlyle wyrządził Cullenom, twoim rodzicom i tobie. Teraz liczy się, co zrobisz dla nich i dla siebie.

Wszystko, co mówił, było słuszne, zresztą, sama już wcześniej raz po raz powtarzała sobie dokładnie to samo.

- Co mam zrobić? - zapytała. - Nie mogę być Jessicą dla Suzanne i Jaya. Nie umiem zniszczyć wyrzutów sumienia, które dręczą moich rodziców z powodu roli, jaką odegrali w tej sprawie. Od początku czułam, że mogę jedynie postarać się znaleźć odpowiedzi na ważne pytania i postawić winnych tej tragedii przed sądem...

- Jakie odpowiedzi chciałabyś usłyszeć?

- Wciąż te same. Ile innych osób zamieszanych jest w tę sprawę? Ile takich jak ja, ile takich jak Barbara Halloway? Czy mam ich szukać? I co zrobię, jeżeli znajdę? Podejdę do kogoś i paroma słowami postawię cały jego czy jej świat na głowie, bo tak stało się z moim światem? A może powinnam raczej zostawić to wszystko, zostawić zmarłych w spokoju, nie prostować kłamstw...

Jake znowu oparł się o ścianę i podniósł szklanke.

- Czy kiedykolwiek pozwalaliśmy zmarłym spać spokojnie?

- Teraz moglibyśmy zacząć.

- Dlaczego? Bo jesteś wściekła i przygnębiona? Wyjdiesz z tego. Carlyle nie żyje, ale to nie znaczy, że nie możemy wyciągnąć z niego odpowiedzi na twoje pytania. Jesteś w tym prawdziwym ekspertem, najlepszym z najlepszych. Naturalnie po mnie...

- Chętnie bym się pośmiała, lecz jestem zbyt zajęta swoją depresją.

- Wiemy, gdzie mieszkał. Dowiedz się, co tam robił, kogo znał, z kim utrzymywał kontakty, jak żył. Przyjrzyj się przykrywającym go warstwom i wyciągnij wnioski na podstawie obserwacji.

- Myślisz, że nie zastanawiałam się nad tym? - Callie wstała, aby włożyć wiolonczelę do pokrowca. - Przyglądałam się wszystkim punktom i kątom, ale nie widzę powodu, aby się do tego zabrać, brak mi motywacji. Nie wiem, co mogłabym w ten sposób osiągnąć, wątpię, czy cokolwiek by to dało. Jeżeli nie odejdę od tej sprawy teraz, kiedy zabrakło Carlyle'a, kluczowej postaci, przedłużę tylko udręczenie moich rodziców i cierpienie Cullenów.

- Znowu wyrzuciłaś samą siebie z tego równania!

Jest zbyt spostrzegawczy, pomyślała z niechętnym podziwem.

- No, dobrze, będę z tego miała trochę osobistej satysfakcji. Osobistej i intelektualnej satysfakcji, jaka płynie z uzupełnienia brakujących fragmentów... Jednak kiedy kładę na drugiej szali uczucia moich bliskich, widzę, że to nie dosyć... - Schyliła się po szklanę. - Dwie osoby nie żyją, ale teraz nie jestem już pewna, czy ich śmierć miała jakiś związek z moją sprawą, podobnie jak pożar w biurze Lany. Carlyle był stary i śmiertelnie chory. Nie przyleciał do Marylandu, nie zabił tamtych dwóch, nie strzelał do ciebie, nie walnął mnie w głowę i nie spalił biura Lany...

- W ciągu tych wszystkich lat musiał zrobić majątek na handlu niemowlętami - powiedział Jake. - Na pewno wystarczyło mu na wynajęcie ludzi, którzy nie brzydzą się mokrą robotą, chętnie zdiełają kobietę w głowę i podpalą budynek.

- Nie pozwolisz mi zostawić tego wszystkiego, prawda? - Nie.

- Dlaczego? - Rozdarta między frustracją i zaciekawieniem, lekko kopnęła go w kostkę. - Dlaczego zależy ci, żebym nie uwolniła się od tej obsesji?

- Nie zależy mi na tym. Po prostu wiem, że sama się od niej nie uwolnisz, dopóki nie poznasz prawdy do końca.

Kopnęła go jeszcze raz, głównie dla rozrywki, przemierzyła pokój w tę i z powrotem.

- Kiedyż to zdążyłeś mnie tak dobrze poznać?

- Zawsze dość dobrze cię znałem, tylko nie zawsze przywiązywałem wagę do priorytetów.

- Nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi. Przecież już wiesz, że pójdę z tobą do łóżka...

- Chcesz usłyszeć coś zaskakującego? - Podniósł butelkę, napełnił szklanę prawie po brzegi i jednym haustem wypił połowę, zawartości. - Zależy mi na twoim spokoju i szczęściu. Pragnę tego mocniej, niż przypuszczałem. Dlatego że... - przerwał i wychylił wino do dna. - Dlatego że kocham cię mocniej, niż przypuszczałem.

Poczuła wstrząs i radosne podniecenie, które ogarnęły ją całą, od serca po czubki palców.

- Musisz wypić pół butelki wina, żeby mi to powiedzieć?

- Tak. Nie dokuczaj mi, zrozum, że to dla mnie nowość. Podeszła bliżej, zajrzała mu w twarz.

- Mówisz poważnie?

- Tak, odrobina wina pomaga wyrzucić z siebie te słowa, Tak, mówię poważnie.

- Dlaczego?

- Wiedziałem, że nie odpuścisz mi tak łatwo. Skąd mam wiedzieć, dlaczego, do diabła? Kocham cię, i tyle. Ponieważ cię kocham, to chcę, żebyś była szczęśliwa, a nie będziesz szczęśliwa, dopóki tego nie zakończysz. Dlatego zamierzam cię szczerzyć i pomagać ci. Potem, kiedy będzie po wszystkim, zajmiemy się sobą.

- I tak to wygląda?

- Tak to wygląda... - Napełnił jej szklanę. - Musisz mnie dogonić, żebyś mógł zaciągnąć cię do śpiwora...

- Mam lepszy pomysł. - Wypiła wino i odstawiła szklanę. - To ja zaciągnę cię do śpiwora...

- Twoje zawsze musi być na wierzchu, co? - Pozwolił, żeby wzięła go za rękę i pomogła mu wstać. - Tylko bądź łagodna i delikatna, dobrze? Nie traktuj mnie w brutalny sposób.

- Jasne - mruknęła, po czym jednym szarpnięciem ściągnęła mu koszulę przez głowę. Później, kiedy leżała wyciągnięta obok niego, nadal oddychając szybko i płytko, ze skórą mokrą od potu, uśmiechnęła się prosto w ciemność.

- Czuję się całkiem szczęśliwa...

Przesunął dłonią po linii jej uda, biodra, aż do talii. - Dobry początek - wymamrotał.

- Chcę ci coś powiedzieć.

- Ale chyba nie to, że kiedyś byłaś mężczyzną? Zawsze się tego

obawiałem, podejrzewałem nawet, że to może być prawda, sądząc po twoim bardzo rozsądnym podejściu do seksu...

- To był głupi, szowinistyczny dowcip!

- Szowinistyczny, tak, ale nie głupi. Wiele też, od pewnego czasu niezgodnych z zasadą politycznej poprawności, zdradza znamiona zdrowego rozsądku, kiedy weźmie się pod uwagę...

- Zamknij się, Graystone.

- Jasne, proszę bardzo.

- I odwróć się w drugą stronę. Nie chcę, żebyś na mnie patrzył.

- Nie patrz na ciebie, zamknąłem oczy!

Ułożył się na drugim boku dopiero wtedy, kiedy go uszczypnęła.

- Powiedziałeś, że cię nie potrzebowałam. Wtedy, przed naszym rozstaniem. Nie do końca miałeś rację... Nie, nie odwracaj się!

- Nie potrzebowałaś mnie i zadbałaś, żebym o tym wiedział.

- Bałam się, że uciekniesz, kiedy sobie uświadomisz, że jednak cię potrzebuję. Słyszałaś z krótkotrwałych związków, zresztą ja także.

- Z nami było inaczej...

- Wiedziałam, że ze mną jest inaczej - wyznała. - I przerażało mnie to.

Słuchaj, jeżeli się odwrócisz, nie powiem ani słowa więcej.

Jake zaklął pod nosem i znieruchomiał.

- Niech ci będzie.

- Nie spodziewałam się, że moje uczucie do ciebie będzie takie mocne.

Wydaje mi się, że nawet romantycznie nastawieni ludzie są zaskoczeni, kiedy ogarnia ich coś tak niezwykłego i potężnego... Doskonale wiedziałam, czego mogę od ciebie oczekiwać, kiedy chodziło o pracę lub innych ludzi, ale tam, gdzie chodziło o nas... - Callie westchnęła. - Byłam jak pijane dziecko we mgle. Oczywiście ma to wiele wspólnego z tym, co pewnie nazwałbyś moją rodzinną kulturą. Nie znam pary bardziej kochającej się i rozumiejącej niż moi rodzice. Są idealnie zgrani. Ale i tak zawsze mi się wydawało, że to moja matka potrzebuje bliskości ojca... Zrezygnowała z muzyki, wyprowadziła się z rodzinnych stron i przeistoczyła w przykładną żonę lekarza, ponieważ pragnęła akceptacji ze strony mojego ojca. Wiem, że sama dokonała tego wyboru i że jest szczęśliwa, ale przez to zawsze patrzyłam na nią z lekkim lekceważeniem. Obiecałam sobie, że nigdy nie pokocham nikogo tak mocno, żebym nie mogła być całą, kompletną osobą bez niego. Potem ty wdarłeś się w moje życie jak burza i musiałam natychmiast wziąć się w garść, żeby nie zapomnieć, kim miałam być...

- Nigdy nie chciałem, żebyś z czegoś dla mnie zrezygnowała.

- Wiem, ale wpadłam w popłoch, że zrobię to sama z siebie. Że po

pewnym czasie nie będę w stanie samodzielnie podjąć żadnej decyzji, bo stale będę zadawać sobie pytanie, co ty byś na to powiedział. Moja matka często tak robiła. „Zapytamy ojca”... „Zobaczymy, co powie tata”. Doprowadzało mnie to do furii. - Roześmiała się cicho i pokręciła głową. - W rzeczywistości było to zupełnie idiotyczne. Nie wiem, dlaczego przyczepiłam się do jednego, niewiele znaczącego fragmentu ich życia i zrobiłam z tego osobistą sprawę. Nie chciałam cię potrzebować, bo uważałam, że jeżeli sobie na to pozwolę, stanę się słaba, a ty silny. I tak już nie wiedziałam, co robić, bo kochałam cię bardziej niż ty mnie, a to dawało ci przewagę...

- Więc to były jakieś zawody?

- Oczywiście. Im bardziej czułam się pokonana, tym mocniej cię odpychałam. Im mocniej cię odpychałam, tym większy stawiałeś opór, więc pchałam ze zdwojoną siłą. Chciałam, żebyś dowiódł mi swojej miłości.

- A ja nigdy tego nie zrobiłem...

- Właśnie. Nie zamierzałam tolerować kogoś, kto nie chce współpracować i kochać mnie bardziej niż ja jego, dzięki czemu mogłabym nim rządzić. Chciałam cię zranić, głęboko, do szpiku kości. Pragnęłam tego, bo nie wierzyłam, że leży to w moich możliwościach.

- Więc teraz, kiedy już wiesz, że połamałaś mnie na małe, zakrwawione kawałeczki, na pewno czujesz się lepiej...

- Tak. Jestem podła, bo ta świadomość sprawia mi przyjemność.

- Cieszę się, że mogłem ci się na coś przydać... - Jake przyciągnął rękę Callie i podniósł jej dłoń do ust.

- Z trudem wykrztusiłaś, że mnie kochasz - powiedziała. - Boję się tej miłości, boję się ciebie kochać... Co mamy z tym zrobić, do cholery?

- Wygląda mi to na idealny mariaż. Roześmiała się i wtuliła twarz w jego plecy.

- Chyba masz rację...

Zmarłym należy się spokój, myślała Callie, delikatnie omiatając drobinki ziemi z kości palców u rąk kobiety, która cieszyła się tym spokojem przez parę tysięcy lat. Czy ta kobieta, zdaniem Callie licząca sobie koło sześćdziesiątki w chwili śmierci, przyznałaby jej rację? Może byłaby zła, przerażona, zdumiona, że ktoś obcy, żyjący w innym czasie i świecie, wydobywa z ziemi jej kości?

A może zrozumiałaby i byłaby zadowolona, że jest tym obcym na tyle bliska, iż chcą się od niej czegoś dowiedzieć? Od niej i o niej...

Ciekawe, czy pozwoliłaby, aby wyjęli ją z ziemi, zbadali i zapisali wszystkie informacje, żeby poszerzyć swoją wiedzę na temat tego, kim była i dlaczego żyła właśnie tutaj...

Ale i tak wiele pytań pozostanie bez odpowiedzi. Nigdy nie będą do końca pewni, jak długo żyła, co przyczyniło się do jej śmierci, jak się odzywała, jakie miała przyzwyczajenia i czy była zdrowa.

I bez wątpienia nigdy się nie dowiedzą, kim byli jej rodzice, kochankowie i przyjaciele. Jakie były jej dzieci, co budziło jej śmiech, a co łzy, czego się bała i co ją złościło. Nigdy nie zrozumieją, co czyniło z niej indywidualność.

Czyż nie właśnie tego staram się dowiedzieć o sobie, pomyślała Callie. Co sprawia, że Callie Dunbrook jest taka, a nie inna, kim jest ta młoda kobieta, co wiadomo o niej poza ogólnie znanymi, najważniejszymi faktami.

Z jakiej materii się składała? Czy ta materia była dość mocna i twarda, aby szukać odpowiedzi dla samej wiedzy? Bo jeżeli nie, to całe jej życie zmierzało w złym kierunku.

Jeżeli miała się cofać przed odkrywaniem swojej własnej przeszłości, to nie powinna być teraz tutaj i odsłaniać kości tej dawno zmarłej kobiety.

- Jesteśmy w tej samej sytuacji... - Westchnęła, odkładając tabliczkę z notesem. - Problem polega na tym, że nie wiem, czy jeszcze mam do tego wszystkiego serce... Szczerze mówiąc, w ogóle niczego już nie wiem...

Miała ochotę odejść, spakować rzeczy i zostawić daleko za sobą wykopalisko, zmarłych, Cullenów i nawarstwiające się pytania. Najchętniej zapomniałaby, że kiedykolwiek słyszała o Marcusie Carlyle'u oraz Henrym i Barbarze Simpsonach.

Niewykluczone, że potrafiłaby z tym żyć. Czy jej rodzice nie odetchnęliby z ulgą, gdyby przerwała poszukiwania? Gdyby odcięła się od tego wszystkiego, pogrzebała przeszłość i zapomniała o niej?

A jeśli chodzi o wykopalisko, to byli przecież inni archeolodzy, którzy z powodzeniem zajęliby się projektem Antietam Creek. Inni, którzy nie znali Dolana ani Billa i nie wspominaliby ich za każdym razem, gdy spoglądali w wyłożoną słońcem wodę jeziora...

Gdyby stąd wyjechała, mogłaby od nowa zacząć żyć tą częścią siebie, która przez ostatni rok pozostawała w uśpieniu. Bo przecież nie było sensu okłamywać samej siebie - część Callie Dunbrook zapadła w sen, kiedy Jake odszedł.

Skoro dostali od losu drugą szansę, czy nie powinni jej wykorzystać? Daleko stąd, gdzieś, gdzie wreszcie mogliby zacząć poznawać siebie nawzajem... Och, znowu te warstwy... Warstwy, które za pierwszym razem oboje po prostu nonszalancko i w pośpiechu odrzucili, nie poświęcając ani odrobiny czasu na ich zbadanie...

Czy naprawdę miała zobowiązania wobec tego miejsca, do diabła, tego

czy tamtego, gdzie spędziła zaledwie dwa miesiące życia? Dlaczego miała narażać na ryzyko samą siebie, swoje szczęście, może i życie innych, tylko po to, żeby poznać wszystkie fakty historii, której i tak nie da się już zmienić.

Odwróciła się od szczątków, które tak starannie odkopała. Wydostała się z wykopu i otrzepała spodnie z grudek ziemi.

- Zrób sobie przerwę. - Jake położył dłoń na jej ramieniu, pociągnął ją w kierunku bramy.

Obserwował ją od kilku minut, zaniepokojony wyrazem zmęczenia i rozpaczony na jej twarzy. - Jestem wykończona. Po prostu wykończona.

- Musisz chwilę odpocząć, zejść ze słońca. Najlepiej by było, gdybyś z godzinę przedrzemała się w przyczepie.

- Nie mów mi, co muszę zrobić. Ona mnie nic nie obchodzi. - Gestem wskazała kości, które zostawiła w wykopie. - A skoro mnie nie obchodzi, to nie mam tu nic do roboty...

- Kochanie, jesteś zmęczona, fizycznie i emocjonalnie, a teraz dręczysz samą siebie, bo Carlyle wypadł z gry.

- Rezygnuję z projektu, wracam do Filadelfii. Nic tu na mnie nie czeka, ja też już niczego z siebie nie dam.

- Ja jestem tutaj.

- Nie zaczynaj... - Callie nienawidziła swojego rozdygotanego głosu. - Nie mam siły...

- Proszę cię, żebyś wzięła dwa dni wolnego. Zrób przerwę. Zajmij się dokumentacją, pojedź do laboratorium, skup się na czymś, co pozwoli ci oderwać myśli. Potem, kiedy ochłoniesz i nadal będziesz chciała odejść, pogadamy z Leem i pomożemy mu znaleźć ludzi na nasze miejsce...

- Nasze?

- Jeżeli ty wyjedziesz, ja także.

- O, Jezu... Nie wiem nawet, czy i na to mam dość siły...

- Ja na pewno mam jej dosyć. Tym razem oprzesz się na mnie, tak, właśnie tak, choćbym miał cię do tego zmusić...

- Chcę wrócić do domu. - W gardle i pod powiekami czuła słone łzy, na chwilę ogarnęło ją przerażenie, że nie zdoła ich powstrzymać. - Chcę znowu poczuć się normalnie...

- W porządku. - Przytulił ją do siebie i szybko potrząsnął głową, widząc, że Rosie podnosi się ze swego miejsca i robi krok w ich stronę. - Weźmiemy parę dni wolnego. Zaraz porozmawiam z Leem.

- Powiedz mu... Nie mam pojęcia, co mu powiedzieć... - Odsunęła się, ze wszystkich sił usiłując wziąć się w garść.

W tej samej chwili zobaczyła samochód Suzanne, zatrzymujący się na

poboczu za bramą.

- O, Boże... - jęknęła. - Doskonale... No, po prostu świetnie...

- Idź do przyczepy. Pozbędę się jej.

- Nie. - Callie przejechała ręką po policzkach, żeby je osuszyć. - Jeżeli wyjeżdżam, to powinnam sama jej o tym powiedzieć, przynajmniej tyle... Ale moja duma na pewno nie ucierpi, jeśli będziesz się trzymał w pobliżu...

- Trzymam się w pobliżu już od dłuższego czasu - mruknął. - Mówię to na wypadek, gdybyś mnie nie dostrzegła...

- Callie! - Suzanne z radosnym uśmiechem szła od bramy w ich kierunku. - Jake! Właśnie myślałam, że to wykopalisko wygląda naprawdę ciekawie! Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy, ale praca tutaj musi być niezłą zabawą!

Callie wytarła brudne ręce w spodnie.

- Czasami tak bywa - przyznała.

- Zwłaszcza w taki dzień jak ten! Cudowny dzień, taki pogodny i rześki. Podejrzywałam, że może Jay będzie tu przede mną, ale najwyraźniej trochę się spóźni...

- Przepraszam... Czy umawialiśmy się na jakieś spotkanie, bo jeżeli tak, to zupełnie wyleciało mi to z głowy...

- Nie - odparła Suzanne. - Chcieliśmy tylko... No, trudno, nie będę na niego czekać. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

I podała Callie piękną, barwną torebkę w błyszczące niebieskie gwiazdki.

- Dziękuję, ale moje urodziny są dopiero... - Callie nagle uświadomiła sobie, o czym mówi Suzanne. Urodziny Jessiki...

- Przypuszczałam, że możesz nie pamiętać - Suzanne ujęła rękę Callie i wsunęła uchwyt torebki z prezentem na jej palec. - Ale tak długo czekałam, żeby osobiście złożyć ci urodzinowe życzenia...

Na twarzy Suzanne nie było ani smutku, ani żalu, tylko wielka radość, która sprawiła, że Callie nie mogła się od niej odwrócić.

- Och... - Zerknęła na torebkę. - Nie wiem, co powiedzieć... Trochę to deprymujące, że znowu jestem starsza i że wkraczam w ostatni rok przed wielką trzydziestką... Na dodatek teraz muszę uświadomić to sobie wcześniej, niż się spodziewałam...

- Poczekaj, aż skończysz pięćdziesiąt lat, to dopiero przeżycie. Upiekłam tort. - Suzanne machnęła ręką w stronę samochodu. - Może dzięki niemu łatwiej przyjdzie ci zaakceptować swój poważny wiek...

- Upiekłaś dla mnie tort... - wymamrotała Callie.

- Tak. I muszę ci powiedzieć, że dziś nie każdy dostaje tort upieczony w

prawdziwej kuchni Suzanne, rękami samej Suzanne. O, jest Jay! Masz wolną chwilę?

- Jasne...

- Poproszę go, żeby pomógł mi wyjąć tort z samochodu. Zaraz wracam. Callie stała nieruchomo, z błyszczącą torebką zwisającą spomiędzy palców.

- Jak ona to zrobiła? Boże, przecież ona aż promienieje z radości! Jakim cudem potrafi zrobić z tego dnia wielkie święto?

- Dobrze wiesz, jak i dlaczego - odezwał się Jake.

- Bo obchodzi ją moje życie... Nigdy nie przestało ją obchodzić. - Znowu spojrzała na prezent, a zaraz potem na leżące w dole za jej plecami kości dawno zmarłej kobiety. - Nie pozwoli mi stąd odejść...

- Kochanie... - Jake pochylił się i lekko ją pocałował. - Sama nigdy nie pozwoliłabyś sobie stąd odejść. Chodźmy zjeść kawałek tortu.

Cały zespół spadł na tort jak stado szarańczy na dojrzałą pszenicę. Może właśnie tego potrzebowali, żeby odepchnąć od siebie wyrzuty sumienia i przygnębienie po śmierci Billa, pomyślała Callie, słuchając ich śmiechu. Pół godziny zwykłej, nieskomplikowanej przyjemności, zaspokojenia jakże ludzkiego łakomstwa... Usiadła w cieniu na skraju lasu i zaczęła odpakowywać prezent, który dostała od Jaya.

- Suzanne może ci powiedzieć, że wybieranie podarunków nie należy do moich mocnych stron - usprawiedliwił się na zapas.

- Dywaniki do samochodu - rzuciła Suzanne. - Na naszą czwartą rocznicę ślubu! Jay skrzywił się zabawnie.

- Nigdy nie zdołałem się po tym zrehabilitować - rzekł z westchnieniem. Callie z uśmiechem zerwała resztki papieru. Suzanne i Jay zachowywali się teraz wobec siebie zupełnie inaczej niż tamtego dnia w gabinecie Lany. Byli swobodni i rozbawieni.

- No, to jest coś znacznie lepszego od dywaników! - Z prawdziwą przyjemnością pogładziła dłonią okładkę pięknego albumu o Pompejach. - Świetna książka. Dziękuję.

- Jeżeli ci się nie podoba, możesz...

- Podoba mi się, naprawdę.

Wcale nie było tak ciężko przechylić się do przodu i dotknąć wargami jego policzka... Znacznie trudniej było patrzeć, jak Jay stara się opanować pełne wdzięczności wzruszenie.

- To dobrze. - Trochę na ślepo wyciągnął rękę i chwycił dłoń Suzanne. - Tak, cieszę się, chociaż z drugiej strony przywykłem już do tego, że moje prezenty nie spotykają się z wielkim uznaniem...

Suzanne westchnęła głośno i ciężko.

- Czy nie zatrzymałam tego paskudnego pudełka z pozytywką, ozdobionego glinianym wróbelkiem, które dostałam od ciebie na Walentynki? - zapytała. - Pozytywka wygrywa Feelings - wyjaśniła na użytek Callie.

- Nie ulega wątpliwości, że ja miałam więcej szczęścia. - Callie uśmiechnęła się szeroko.

- Album jest naprawdę wspaniały.

Sięgnęła po otrzymaną od Suzanne torebkę, wyjęła z niej starannie opakowane pudełko. Lśniący papier osłaniał aksamitne pudzderko.

- Należały do mojej babki. - Suzanne mocno trzymała Jaya za rękę, kiedy Callie wyjmowała z pudzderka pojedynczy sznur pereł. - Dała je mojej matce w dzień ślubu, a mama podarowała mi je w dzień mojego ślubu. Mam nadzieję, że przyjmiesz. Chciałam, żebyś je miała. Nie znałaś ani mojej babci, ani mamy, ale pomyślałam, że jest to symbol więzi, który na pewno docenisz...

- Są piękne. Bardzo dziękuję...

Przez ramię spojrzała na prostokątny dół w ziemi, w którym czekały kości tamtej kobiety. Jake ma rację, pomyślała. Nigdy nie zdołałabym odwrócić się i tak po prostu stąd odejść. Ostrożnie odłożyła perły do pudzderka, potem podniosła głowę i spojrzała w oczy Suzanne.

- Kiedyś mi o nich opowiesz - powiedziała łagodnie. - I dzięki temu je poznam...

Zdrowe i przyjemne zajęcia na świeżym powietrzu, zdaniem Lany, ograniczały się do letnich pikników w cienistych miejscach, popijania lekkich drinków na plaży, oczywiście także w cieniu, niewyczerpującej pracy w ogrodzie w wiosenne poranki. No, może jeszcze weekend w górach, na nartach, z naciskiem na życie towarzyskie po kilku zjazdach.

Nigdy nie wyobrażała sobie siebie siedzącej na polu, jedzącej przypalonego hot doga i prowadzącej rozmowę z klientką, ale cóż, jej zawodowe kontakty z Callie od początku nie należały do zwyczajnych.

- Masz ochotę na piwo do tego hot doga? - Callie podniosła klapę chłodziarki i zajrzała do środka.

- Lana nie pije piwa - poinformował ją Doug. - Ale ja tak...

- Skończyło się ciemne. - Callie rzuciła Dougowi puszkę piwa Coors. - Hmm... Robi się naprawdę przyjemnie... Zupełnie jakbyśmy byli na randce we czworo lub coś w tym rodzaju...

- Kiedy pójdziemy do samochodu, żeby trochę się zabawić, zamawiam tylne miejsca - rzucił Jake, zanurzając rękę w otwartej torbie chipsów.

- Będę musiała dokładnie zapisać czas rozpoczęcia tych nadprogramowych zajęć - zażartowała Lana, próbując znaleźć choć trochę wygodniejsze miejsce na twardej jak skała ziemi i oganiając się od komarów. -

Udzielanie porady prawnej swoją drogą, a zabawa swoją... Nie byłoby etyczne, gdybym kazała Callie płacić za zabawę, prawda? No, ale na razie... - Odgarnęła włosy z czoła i wyjęła teczkę z torby. - Sprawdziłam akt zgonu, odbyłam rozmowę z lekarzem Carlyle'a. Ponieważ otrzymał pozwolenie od najbliższej rodziny zmarłego, udzielił mi informacji co do stanu zdrowia pacjenta. Osiem lat temu u Carlyle'a wykryto nowotwór i poddano go leczeniu. Ostatnio nastąpił nawrót. W kwietniu zastosowano chemioterapię, a w czerwcu Carlyle trafił do szpitala, ponieważ jego stan wyraźnie się pogorszył. Nie było już szans na wyzdrowienie, dlatego na początku sierpnia przewieziono go do domu i objęto opieką hospicyjną. - Lana odłożyła teczkę i spojrzała na Callie. - Możemy wyciągnąć z tego wnioski, że Carlyle na pewno nie był w stanie podróżować, nie ma zresztą dowodów, aby opuszczał Kajmany. Oczywiście niewykluczone, że kontaktował się z kimś telefonicznie, ale nawet taka komunikacja musiała być poważnie ograniczona. Carlyle był bardzo chory.

- A teraz jest bardzo martwy - mruknęła Callie.

- Może uda nam się zgromadzić dość dowodów, aby wnieść sprawę do sądu i skłonić sędziego, by wydał nakaz przekazania całej dokumentacji, jaką Carlyle prowadził, ale to zajmie dużo czasu. Poza tym, nie mogę zagwarantować, czy rzeczywiście da się otworzyć przewód sądowy w oparciu o to, czym w tej chwili dysponujemy...

- W takim razie będziemy musieli zdobyć więcej materiałów - powiedziała Callie. - Znaleźliśmy ogniwo łączące Barbarę Hallowsay i Suzanne, a także dalsze powiązania, sięgające do Simpsona i moich rodziców. W sieci tych związków znajduje się Carlyle. Na pewno istnieją także inne...

- Jak ważne jest dla ciebie ustalenie winnych? - zapytał Doug. - Wiesz, co się wydarzyło. Możliwe, że nie będziemy w stanie dowieść tego ponad wszelką wątpliwość, ale tak czy inaczej wiesz, co zaszło. Carlyle nie żyje. W jakim stopniu jest to dla ciebie ważne?

Callie ponownie sięgnęła do chłodziarki i wyjęła niewielki pakunek, owinięty w aluminiową folię. Odsunęła srebrzysty papier, podsunęła zawartość Dougowi.

- Upiekła dla mnie urodzinowy tort.

Doug popatrzył na różowy pączek na białym lukrze, powoli wyciągnął rękę i odłamał kawałek ciasta z rogu.

- W porządku - powiedział.

- Nie potrafię kochać jej tak jak ty - rzekła Callie. - Ani jej, ani Jaya. Ale czuję coś do nich, obchodzi mnie, co się z nimi dzieje...

- Carlyle nie pracował sam, zatrudniał ludzi - wtrącił Jake. - W swoich biurach, no i w sieci. W czasie, kiedy porwano Callie, był żonaty. Potem miał

jeszcze dwie żony i najprawdopodobniej sporo romansów. Na pewno był bardzo czujny i ostrożny, ale choćby najbardziej się starał, musiał rozmawiać z kimś o tym, co robił. Aby dowiedzieć się, z kim, musimy mieć dokładny, wyraźny portret tego człowieka. Kim był Marcus Carlyle? Co nim powodowało? Jakie miał motywów?

- Część tych informacji zawarł w swoim raporcie detektyw. - Lana przerzuciła kilka kartek. - Mam tu nazwisko sekretarki, która prowadziła jego biura w Bostonie i Seattle. Drugi raz wyszła za mąż i przeprowadziła się do Karoliny Północnej, ale jak na razie detektyw nie dowiedział się, do jakiej miejscowości. Rozmawiał z urzędnikiem, który kiedyś pracował dla Carlyle'a - nic nie wskazuje na to, aby ten człowiek był zamieszany w ciemne sprawy szefa. Mam tu także raporty o kilku innych pracownikach Carlyle'a, lecz i w ich wypadku nie ma żadnych przesłanek, że po zamknięciu biura w Bostonie utrzymywali z nim kontakt...

- A jego współpracownicy? Inni prawnicy, klienci, sąsiedzi?

- Detektyw rozmawiał z kilkoma osobami... - Lana bezradnie rozłożyła rękę. - Mówimy jednak o wydarzeniach, które miały miejsce ponad dwadzieścia lat temu. Część ludzi, którzy pozostawali w jakichkolwiek kontaktach z Carlyle'em, już nie żyje, inni zmienili miejsce pobytu lub po prostu nie udało się ich zlokalizować. Powiedzmy sobie szczerze, gdybyśmy chcieli dotrzeć do wszystkich, należałoby zatrudnić duży zespół detektywów, a to wymaga sporych pieniędzy.

- Mogę pojechać do Bostonu. - Doug ułamał następny kawałek ciasta. - I nie tylko do Bostonu, gdziekolwiek... - Lekko wzruszył ramionami w odpowiedzi na spojrzenie Callie.

- Podróżowanie to po części mój zawód. Szukając książek i sprawdzając ich pochodzenie, rozmawia się z wieloma osobami, to naturalne. Dlatego mogę wybrać się w dowolne miejsce, popytać, poszperać... Zrobisz coś dla mnie? - zwrócił się do Jake'a.

- Strzelaj.

- Zaopiekujesz się moją kobietą i jej dziećmi, kiedy mnie nie będzie?

- Bardzo chętnie.

- Chwileczkę! - Lana z trzaskiem zamknęła teczkę. - Doug ma dosyć na głowie bez martwienia się o mnie, poza tym wcale nie jestem pewna, czy podoba mi się nazywanie mnie twoją kobietą!

- To twoja wina. To ona mnie poderwała.

- Zaprosiłam cię na kolację, na miłość boską!

- Potem też nie dawała mi spokoju, ciągle zarzucała na mnie wędkę. -

Doug ugryzł duży kęs hot doga. - A teraz, kiedy mnie złapała, nie wie, co z tym zrobić.

- Zarzucałam na ciebie wędkę?!

Lanie zabrakło słów. Chwyciła stojącą obok Callie puszkę piwa i pociągnęła łyk.

- Tak czy inaczej, będę czuł się lepiej, wiedząc, że pod moją nieobecność czuwasz nad nią i Tylerem - dokończył Doug. - Gdy wrócę, może będzie już wiedziała, co ze mną zrobić - dodał, patrząc na Lane.

- Och, już teraz mam parę pomysłów! - wybuchnęła.

- Mili są, prawda? - Callie zebrała palcem trochę kremu z tortu, oblizała go. - Zakochane ptaszki... Wystarczy chwilę ich posłuchać, a już nastrój się człowiekowi poprawia...

- Przepraszam, że nie mogę dostarczać wam rozrywki tak długo, aż zaczniecie tarzać się ze śmiechu, ale muszę wracać do Tylera - powiedziała Lana. - Wszystkie informacje są w teczce. Jeżeli będziesz miała jakieś pytania, dzwoń.

- Pojadę za tobą. - Doug wstał i podał rękę Lanie.

Ta z nieudawanym zdumieniem spojrzała na puszkę piwa, którą wciąż trzymała, i oddalają Callie.

- Jak długo będziecie tu siedzieć? - zapytała.

- Matt i Digger zluzują nas o drugiej.

Lana ogarnęła wzrokiem wzgórkę ziemi, doły i wykopy, Oczko Simona i ciemny las.

- Nie mogę powiedzieć, że z przyjemnością spędziłabym tu część nocy, niezależnie od okoliczności...

- Ja nie mogę powiedzieć, że z przyjemnością spędziłabym część dnia w centrum handlowym Saksa, niezależnie od okoliczności. - Callie podniosła do ust puszkę. - Wszyscy mamy swoje drobne fobie...

Doug czekał, aż Lana ułoży Tylera do snu. W tym czasie oglądał zdjęcia, które ustawiła na półkach z książkami. Szczególną uwagę poświęcił fotografii Lany, opartej o jasnowłosego mężczyznę, który obejmował ją ramionami w pasie.

Steven Campbell, pomyślał. Wyglądali na szczęśliwych, pogodnych, wesołych.

Tyler miał oczy ojca. Doug włożył ręce do kieszeni, żeby nie sięgnąć po zdjęcie. Mężczyzna z uśmiechem oparł podbródek na czubku głowy Lany. Każdy szczegół fotografii świadczył o czułości, radości z przebywania razem, intymności...

- Był wspaniałym facetem - odezwała się cicho Lana. Podeszła i zdjęła

zdjęcie z półki. - Zrobił je jego brat. Pojechaliśmy w odwiedziny do rodziny Stevena, głównie po to, żeby powiedzieć im, że jestem w ciąży. To była jedna z najcudowniejszych chwil, jakie przeżyłam. Delikatnie odstawiła zdjęcie na półkę.

- Właśnie myślałem, jak dobrze wyglądacie razem, jak pasujecie do siebie. I że Tyler ma w sobie trochę z was obojga twoje usta, jego oczy.

- Urok Steve'a, mój temperament. Po przyjeździe na świat Tylera Steve robił mnóstwo planów, wyobrażał sobie, jak będą razem grać w piłkę i jeździć na rowerze. Uwielbiał być ojcem i o wiele szybciej niż ja przestawił się na życie skoncentrowane wokół dziecka. Czasami wydaje mi się, że może czuł, iż ma niewiele czasu. Te miesiące, które przeżył z Tylerem, były tak intensywne jak długie lata.

- Kochał was oboje. Widać to po sposobie, w jaki was przytula.

- Tak. - Odwróciła się, zaskoczona i wzruszona, że Doug wyczytał aż tyle z jednego zdjęcia.

- Nie chcę zająć jego miejsca w twoim sercu. Ani w sercu Tylera. Wiem, że człowieka nie da się zastąpić ani zapomnieć. Kiedy byłem dzieckiem, sądziłem, że to możliwe, ale potem zacząłem dostrzegać, jak moi rodzice oddalają się od siebie, a pęknięcie między nimi staje się coraz głębsze. Właśnie dlatego nosiłem w sobie mnóstwo gniewu i agresji, chociaż chyba nie zdawałem sobie sprawy, co to właściwie jest. W tej niewiedzy wolałem odsunąć się od źródła gniewu, oddalić od niego. Wyjeżdżałem na coraz dłużej i coraz częściej.

- Musiało być ci strasznie ciężko...

- Teraz, gdy wróciła, jest jeszcze ciężiej, bo muszę inaczej spojrzeć na całe swoje życie. Nie byłem oparciem dla rodziców, ani dla nikogo innego...

- To nieprawda!

- Prawda. - Chciał, żeby wiedziała o tym, żeby rozumiała, co nim kierowało i że jest gotów się zmienić. - Odszedłem od nich, bo nie mogłem... Nie chciałem żyć z duchem. Uznałem, że nie jestem dość ważny, że nie uda mi się sprawić, aby mimo wszystko byli razem, i winiłem ich za to. Winiłem ich. Od tamtej pory odchodziłem od wszystkich potencjalnych związków, przerywałem je, zanim zdążyły dojrzeć. Jestem dorosłym mężczyzną, ale nigdy nie miałem prawdziwego domu, ani nie próbowałem go założyć. Nigdy nie pragnąłem mieć dzieci, bo rodzicielstwo oznacza odpowiedzialność i zmartwienia. - Podeszedł bliżej, ujął jej rękę. - Nie chcę zająć jego miejsca. Ale proszę o szansę... Proszę o szansę, bym mógł znaczyć coś w życiu twoim i Tylera.

- Doug...

- Zamierzam cię o to poprosić. I żebyś przemyślała to wszystko, kiedy mnie nie będzie.

- Nie wiem, czy mogę pozwolić sobie na to, aby znowu kogoś tak pokochać. - Jej palce zacisnęły się na jego dłoni. Drżały. - Nie wiem, czy mam dość odwagi...

- Kiedy patrzę na ciebie, na ten dom, na chłopca, który śpi na górze, nie wątpię w twoją odwagę. - Doug ucałował jej czoło, policzki i wargi. - Daj sobie trochę czasu i zastanów się. Porozmawiamy po moim powrocie.

- Zostań na noc. - Lana ciasno otoczyła go ramionami. - Zostań.

- Jesteś pewna?

- Tak. Tak, jestem pewna.

Callie pisała na laptopie do późna, potem wyciągnęła się na ziemi, żeby popatrzeć w gwiazdy i w myślach zaplanować następny tydzień pracy. Powinna do końca odsłonić szkielet kobiety, a potem dopilnować jego przewiezienia do laboratorium i dalej w poziomie zdejmować kolejne warstwy ziemi w swoim sektorze. Niedługo ma przyjechać Leo, więc odda mu filmy, notatki i raporty.

Razem z Jakiem zaktualizują informacje dotyczące poszczególnych odcinków.

Musi też sprawdzić długoterminową prognozę pogody i zrobić, co należy.

W tej chwili wszystko wskazywało na to, że następne dni będą ciepłe i pogodne. Doskonałe warunki na kopanie - temperatura rzadko przekracza trzydzieści stopni, wilgotność wróciła do normy.

Poczuła, jak ogrania ją wielki spokój. Przestała słyszeć muzykę country, którą cicho puszczał Jake, i skoncentrowała się na odgłosach nocy. Cichy szum opon samochodu, przejeżdżającego drogą na północ, od czasu do czasu plusk wody w jezioru...

Pies z farmy na zachód od wykopaliska zaczął wyć do księżyca.

Lana nie wie, co traci, pomyślała Callie, ciesząc się dotykiem chłodnych palców powietrza na policzkach. W nocy na wsi, na otwartej przestrzeni panuje nieopisany spokój, spokój i cisza, tego nie można znaleźć wśród ścian.

Leżała na ziemi, na której wcześniej zapadali w sen inni ludzie. Lata temu, wieki temu, całe ery... Ta ziemia skrywa więcej tajemnic, niż nasza cywilizacja zdoła odsłonić, pomyślała.

Ale to, co odsłoniliśmy, nigdy nie przestanie nas fascynować...

Słyszała lekkie skrzywienie ołówka Jake'a o papier. Na pewno szkicuje w świetle latarni, pomyślała. Czasami robi to do późnej nocy. Często się zastanawiała, dlaczego poświęcił się nauce, nie sztuce. Co spowodowało, że

wolał skupić się na badaniu człowieka, zamiast przenosić jego wizerunek na płótno? I dlaczego nigdy go o to nie zapytała? Uchyliła jedną powiekę, przyjrzała mu się uważnie.

Robił wrażenie zadowolonego, rozluźnionego. Wyczytała to z linii jego szczęki, zarysu warg. Zdjął czapkę, lekki wiatr rozwiewał mu włosy, odrzucając je z czoła. Szkicował.

- Dlaczego nie robisz tego zawodowo? Dlaczego nie malujesz?

- To za mało. Przewróciła się na brzuch.

- Za mało? To znaczy? Malowanie za mało daje, czy ty za mało umiesz?

- I jedno, i drugie. Malowanie nigdy nie interesowało mnie na tyle, żeby chciałem poświęcić na to cały swój czas i pójść na studia plastyczne. Nie mówię już o tym, że kiedy zaczynałem college, uważałem, iż jako macho nie powinienem zajmować się takim bzdurami. Nie zamierzałem pracować na rodzinnym ranczu, ale gdybym został malarzem, mój staruszek skonałby ze wstydu...

- Nie pomagałby ci w czasie studiów?

Jake rzucił jej krótkie spojrzenie i przerzucił kartkę w szkicowniku.

- Nie próbowałby mnie powstrzymać, to na pewno, lecz nigdy by nie zrozumiał mojej decyzji. Zresztą, ja też chyba nie... W mojej rodzinie mężczyźni pracują na roli, hodują konie lub bydło. Nie pracujemy w biurach i nie paramy się sztuką. Jako pierwszy skończyłem studia...

- Nie wiedziałam o tym. Jake wzruszył ramionami.

- Po prostu tak jest. Zainteresowałem się antropologią, kiedy byłem mały. Rodzice pozwolili mi pojechać na kilka obozów organizowanych przez antropologów, bo uważali, że lepsze to niż brak zainteresowań lub zabawy z miejscowymi chuliganami. Było to duże wyrzeczenie z ich strony, bo naprawdę potrzebowali mojej pomocy na ranczu. Podobnie było ze studiami.

- Są z ciebie dumni? Chwilę milczał.

- Kiedy ostatnim razem byłem w domu, jakieś pięć, może sześć miesięcy temu, wpadłem nieoczekiwanie, nie zawiadomiłem ich o swoim przyjeździe. Mama postawiła na stole dodatkowy talerz, właściwie dwa, bo jeden dla Diggera. Ojciec wszedł do domu, uścisnęliśmy sobie ręce. Zjedliśmy, porozmawialiśmy o ranczu, o rodzinie, o mojej pracy. Przed tamtymi odwiedzinami nie widziałem ich blisko rok, ale miałem takie wrażenie, jakby nie było mnie jeden dzień. Obyło się bez tłustego cielca na powitanie, jeżeli rozumiesz, o co mi chodzi. Lecz kiedy później przypadkiem spojrzałem na półkę w dużym pokoju, wśród ukochanych kryminałów mojego taty zobaczyłem dwie książki o antropologii. Świadomość, że chcą się dowiedzieć, na czym polega moja praca, miała dla mnie wielkie znaczenie. Callie lekko

musnęła dłonią jego stopę.

- To najładniejsza historia, jaką mi o nich opowiedziałeś.

- Popatrz... - Odwrócił blok, żeby mogła zobaczyć szkic. - To niedopracowane portrety, ale można z grubsza się zorientować, jak wyglądają...

Zobaczyła podobiznę kobiety o pociągłej twarzy i spokojnych oczach z siateczką zmarszczek w zewnętrznych kącikach, i prawie niezauważalnie uśmiechniętych ustach. Włosy długie, proste, ciemne, przetykane siwymi pasmami. Mężczyzna miał mocno zaznaczone kości policzkowe, prosty nos i poważną linię ust, głęboko osadzone oczy i skórę pociemniałą od słońca i wiatru.

- Jesteś do niego podobny.

- Trochę.

- Gdybyś wysłał im ten szkic, oprawiliby go i powiesili na ścianie.

- Nie wygłupiaj się!

Podniosła wzrok na tyle szybko, że udało jej się uchwycić wyraz zaskoczenia i zażenowania na jego twarzy, a także odsunąć szkicownik z zasięgu rąk.

- Założę się o sto dolców, że jeśli go wyślesz, to następnym razem, kiedy przyjedziesz do domu, zobaczysz go na ścianie. Mógłbyś wysłać go rano, naprawdę. Jest jeszcze jakaś woda w chłodziarce?

- Może...

Popatrzył na nią spod ściągniętych brwi i odwrócił się, żeby otworzyć chłodziarkę. Siedział tak dość długo, więc w końcu lekko kopnęła go w kostkę.

- Masz tę wodę czy nie?

- Tak, znalazłem butelkę. - Odwrócił się twarzą do niej. - Ktoś kręci się po lesie z latarką. Powiedział to wciąż tym samym spokojnym tonem. Chwilę patrzyła mu w oczy, potem przeniosła spojrzenie na las, widoczny za jego ramieniem. Serce zabiło jej mocniej, lecz pewnym ruchem odkręciła kapsel i napiła się, obserwując promień światła przesuwający się między drzewami.

- Może to dzieciaki albo miejscowi idioci.

- Może - rzekł Jake. - Idź do przyczepy i zadzwoń do szeryfa, mała.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - Callie powoli zakręciła butelkę. - Jeżeli pójdę, ty polecisz do lasu beze mnie. A jeśli okaże się, że to rzeczywiście kilku miejscowych kretynów, którzy próbują nastraszyć miastowych, wyjdę na idiotkę. Najpierw sprawdzimy, co się tam dzieje. Razem.

- Kiedy niedawno wlasłaś do lasu, wróciłaś z guzem. Oboje nie spuszczałaś oka z pasma światła wśród drzew.

- A ty uciekałeś przed kulami. Nie ma sensu, żebyśmy tu siedzieli, bo jeżeli ten ktoś ma złe zamiary, to właśnie wystawiamy się na cel... - Wsunęła rękę do worka i zacisnęła palce na ręczce szpadla. - Albo razem pójdziemy do przyczepy, żeby ściągnąć szeryfa, albo do lasu, żeby sprawdzić, co jest grane... Jake zerknął na jej rękę.

- Widzę, za którym wyjściem się opowiadasz.

- I Dolan, i Bili byli sami - mruknęła. - Jeśli ten nocny gość chce powtórzyć przedstawienie, tym razem będzie musiał działać na dwa fronty...

- Niech ci będzie. - Jake schylił się i wyciągnął nóż z buta. Callie spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

- Jezu Chryste! Kiedy zacząłeś nosić nóż, Graystone?!

- Zaraz po tym, jak ktoś próbował mnie zastrzelić. Trzymamy się blisko siebie, rozumiano?

- Tak jest.

Podniósł z ziemi latarkę.

- Masz przy sobie komórkę? - zapytał.

- Tak, w kieszeni.

- Nie zgub, może się przydać. Gość przemieszcza się na wschód. Zaraz damy mu do myślenia...

Włączył latarkę i wymierzył ją w stronę sunącego ku nim światła. Promień natychmiast zawirował i zaczął szybko przemieszczać się na wschód. Jake i Callie biegiem ruszyli przed siebie. Ominęli krawędź wykopaliska i pognali w kierunku granicy drzew, nad jeziorko.

- Zmierza ku drodze! - Callie instynktownie skręciła w prawo. - Może zdołamy mu przeszkodzić!

Pędzili między drzewami, za promieniem latarki. Callie w ostatniej chwili przeskoczyła leżący na ziemi pień, przyspieszyła, usiłując dotrzymać kroku Jake'owi.

Nagle zakleli jednym tchem, bo pasmo światła, które gonili, zniknęło. Jake podniósł rękę, nakazując milczenie.

Callie zamknęła oczy, skoncentrowała się na odgłosach lasu. Po paru sekundach usłyszała szybkie uderzenie stóp o podłoże.

- Znowu zmienił kierunek - powiedziała, pokazując dłonią prześwit między drzewami. - I tak go nie złapiemy, jest za daleko.

- Więc co? Po prostu damy mu spokój?

- Zaznaczyliśmy swoją obecność. - Jake poświecił latarką w prawo i w lewo. - Głupio zrobił, świecąc sobie w lesie. Nawet kretyn dostrzegłby go bez najmniejszego trudu...

W tej samej chwili oboje zdali sobie sprawę, co naprawdę znaczą te

słowa. Callie zaklęła głośno, odwróciła się na pięcie i popędziła z powrotem. Parę sekund później nocną ciszę rozdarł pierwszy wybuch.

- Przyczepa! - rzucił Jake, patrząc na wielki jezioro płomienia, który właśnie strzelił w niebo. - To skurwysyn...

Callie wypadła spośród drzew, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć do gaśnicy, którą miała w samochodzie. Jej ciało uderzyło o piasek z siłą, od której zadygotały w niej wszystkie kości. Jake przygniótł ją mocno do ziemi. Próbowwała podnieść głowę, lecz osłonił ją ramionami i przytrzymał.

- Propan! - krzyknął.

I wtedy świat eksplodował. Fala gorąca przemknęła jej po plecach, niczym rozpalona dłoń, parząc skórę i zapierając dech w piersiach. Poprzez dzwonięcie w uszach usłyszała, jak coś z hukiem przeleciało niedaleko nich i runęło na ziemię. Drobne płomyki posypały się z góry jak deszcz, za nimi powykęcane, płonące kawałki metalu. Jej sparaliżowany umysł wreszcie zaczął działać, ożył w chwili, gdy poczuła gwałtowne drgnięcie ciała Jake'a.

- Zejdź ze mnie! Złaż! - krzyknęła, wyginając plecy i próbując zrzucić go z siebie. Nie dała rady. Nadal przygniatał ją do ziemi.

- Nie podnoś się! Nie wstawaj, mówię!

Jego głos przeraził ją bardziej niż wybuch i płonący deszcz.

Kiedy w końcu stoczył się z niej na bok, dźwignęła się na kolana. Wszędzie dookoła leżały dymiące resztki różnych przedmiotów, a to, co zostało z przyczepy, płonęło jasnym ogniem. Skoczyła ku Jake'owi, który właśnie zrywał z siebie tłącą się koszulę.

- Ty krwawisz! - krzyknęła. - Czekaaj, zobaczę, jak to wygląda! Poparzyło cię? Jezu Chryste, jesteś poparzony?

- Nie bardzo - odparł, chociaż nie był do końca pewny, czy rzeczywiście tak jest. Wydawało mu się jednak, że ostry ból w ramieniu wywołała rana, nie poparzenie. - Lepiej zadzwoń po pogotowie...

- Ty zadzwoń! - Wyrwała komórkę z tylnej kieszeni i włożyła mu do ręki. - Gdzie latarka?! Gdzie jest ta pieprzona latarka?!

Ale nawet w mrocznym, czerwonym blasku płomieni widziała, że jego rana będzie wymagała opatrzenia przez lekarza. Przeczółgała się do tyłu tak, żeby obejrzeć plecy, przesunęła po nich trzęsącymi się palcami.

Zadrapania, pomyślała. Na szczęście tylko zadrapania i kilka niewielkich oparzeń...

- Przyniosę apteczkę z samochodu!

Zerwała się i pobiegła w kierunku rovera. Spokojnie, skarciła się, gwałtownym szarpnięciem otwierając drzwiczki. Muszę zachować spokój, zatamować krwawienie, założyć opatrunek, zawieźć go do szpitala... Nie mogę

wpaść w panikę, po prostu nie mogę...

Nagle przypomniała sobie, jak osłaniał jej głowę ramionami, jej ciało własnym ciałem niczym tarczą.

- Durny macho! - Z wysiłkiem przełknęła gorące łyż, chwyciła butelkę z wodą. Siedział tam, gdzie go zostawiła, z telefonem w ręku, wpatrzony w dopalającą się przyczepe.

- Dzwoniłeś?

- Tak.

Nawet nie syknął, kiedy polała ranę wodą.

- Nie obędzie się bez szwów - powiedziała krótko. - Na razie założymy gotowy opatrunek. Masz parę oparzeń, ale nie wyglądają groźnie. Jeszcze jakieś rany?

- Nie...

Jake pamiętał tylko, że wcześniej kazał jej pójść do przyczepy, bo chciał sprawdzić, kto chodzi po lesie z latarką.

- Nie posłuchałaś mnie - wymamrotał. - To strasznie wkurzające...

- Co mówisz? - Zaniepokojona, owinęła bandaż dookoła ramienia i czujnie zajrzała mu w oczy, szukając oznak szoku. - Jest ci zimno? Powiedz, zimno ci?

- Nie. Może jestem w szoku, nie wiem... Nie poszłaś do przyczepy, chociaż prosiłem. Gdybyś mnie usłuchała...

- Nie poszłam, to prawda. - Callie zadrżała. Z oddali dobiegało wycie syren. - Zaraz pojedziesz do szpitala, żeby nie wiem co... - Zawiązała końce bandaża i przysiadła na piętach. - Nawet nie pomyślałam o tych butlach z gazem w przyczepie... Dobrze, że ty byłeś dość przytomny i przewidujący...

- Tak... - Zrzucił zdrowe ramię na jej barki i oboje powoli dźwignęli się na nogi. - Nie ulega wątpliwości, że mieliśmy szczęście... - Z jego piersi wydarło się długie, ciężkie westchnienie. - Digger będzie wściekły.

Nie chciał wsiąść do karetki, nie chciał nigdzie jechać, dopóki nie będzie wiadomo, co zostało zniszczone. Wszystkie zapiski i wydobyte z ziemi eksponaty, przechowywane w przyczepie w oczekiwaniu na transport, doszczętnie spłonęły. Laptop Callie przeistoczył się w poskręcaną masę stopionego plastiku i metalu.

Komputer, który wstawili do przyczepy na użytek całego zespołu, zwyczajnie się usmażył. Drugie godziny ciężkiej pracy uległy unicestwieniu w ciągu paru sekund.

Całe pole zasypane było fragmentami różnych przedmiotów. Jake zobaczył szerniały kawałek aluminium, który niczym oszczep utkwiał we wzgórkę przesianej ziemi.

Teren zdeptany został butami strażaków i policjantów. Upłynie wiele dni, może nawet tygodni, nim uda się naprawić i oszacować straty. I zacząć od nowa.

Stał obok Callie i słuchał, jak relacjonuje wypadek i wydarzenia, które miały miejsce bezpośrednio przed wybuchem. Sam wcześniej złożył prawie identyczne zeznania.

- Osoba, która była w lesie, chciała tylko odwrócić naszą uwagę. - Gniew zaostriął jej głos, stłumił drżenie. - Odciągnęła nas pomiędzy drzewa, żeby ktoś inny mógł spokojnie podpalić przyczepę.

Hewitt oderwał wzrok od dymiącej przyczepy, ocenił odległość, dzielącą miejsce, gdzie się znajdowała, od lasu.

- Ale nie widzieliście, kto to był? - zapytał.

- Nie, nikogo nie widzieliśmy. Byliśmy co najmniej trzydzieści metrów za tym draniem, w ciemności. Właśnie zawróciliśmy, kiedy nastąpił pierwszy wybuch.

- Butle z gazem...

- Nie, ta pierwsza przypominała eksplozję pocisku... Wtedy bohaterski antropolog rzucił mnie na ziemię. Zaraz potem wybuchł propan...

- Może widzieliście lub słyszeliście jakiś samochód?

- Słyszałam tylko, jak dzwoni mi w uszach - warknęła Callie. - Tak czy inaczej, ktoś wysadził te butle, i na pewno nie był to duch z okresu neolitu, który miał do nas pretensje...

- To nie ulega wątpliwości, doktor Dunbrook. Ktoś podpalił przyczepę, ktoś, kto dostał się w jakiś sposób na teren wykopaliska i potem stąd uciekł, najprawdopodobniej samochodem.

Callie westchnęła.

- Oczywiście, ma pan rację. Przepraszam. Po eksplozji zupełnie ogłuchłam, ale wcześniej słyszałam przejeżdżające samochody, kilka, może nawet więcej. Ten człowiek z lasu uciekał w kierunku drogi, więc pewnie czekał tam na niego samochód.

- Też tak sędzę. - Hewitt pokiwał głową. - Nie wierzę w klątwy, za to wierzę w kłopoty. I to jest właśnie to, co tutaj macie...

- Naszym zdaniem ma to związek ze wszystkim, co mówiłam panu o Carlyle'u i Cullenach. Ktoś wybrał taki sposób, żeby mnie wystraszyć i przegonić z Woodsboro, uniemożliwić mi znalezienie odpowiedzi.

Szeryf spokojnie wpatrywał się w jej wymazaną sadzą twarz.

- To możliwe - odparł krótko.

Do Hewitta podbiegł jeden z jego zastępców.

- Szeryfie, chyba powinien pan to zobaczyć...

Poszli za policjantami w kierunku Oczka Simona i odcinka, gdzie poprzedniego dnia Callie przepracowała ponad osiem godzin. Szkielet, który odsłoniła, był przysypany sadzą i pyłem, lecz na szczęście nietknięty.

U boku szkieletu leżał w wykopie zwykły sklepowy manekin, ubrany w oliwkowe płócienne spodnie i koszulową bluzkę. Jasne włosy peruki ktoś wepchnął pod płócienną czapkę.

Na szyi plastikowej lalki wisiała tabliczka z ręcznie wypisanymi literami: CD. Dłonie Callie same zacisnęły się w pięści.

- To moje ubranie, moja czapka, do cholery! Ten skurwysyn był w domu i grzebał w moich rzeczach!

Jake był zdania, że intruz dostał się do środka bez specjalnych problemów. Poprzedniej nocy kilkakrotnie obszedł dom z szeryfem i jego zastępcami, dziś od świtu sam powtórzył obchód już dwa razy.

Dom miał czworo drzwi, z których jedno były otwarte, chociaż niewykłuczone, że któryś z mieszkańców zrobił to przez nieuwagę. Do środka można było też wejść przez dwadzieścia osiem okien, wliczając to w gabinecie Jake'a.

Fakt, że policja nie stwierdziła śladów włamania, o niczym nie świadczył. Ktoś wszedł do domu i wziął rzeczy Callie. Ktoś zostawił im bardzo czytelną wiadomość.

Dzień wcześniej Callie była na granicy załamania, chciała wyjechać z Woodsboro. Jake wsunął ręce do kieszeni i zakołysał się na piętach. Odwiódł ją od tego zamiaru. Był głęboko przekonany, że nigdy by go nie zrealizowała, znał ją zbyt dobrze, aby brać pod uwagę inną możliwość, ale to nie umniejszało jego roli w podjęciu przez nią decyzji.

Nie miał cienia wątpliwości, że ten, kto wysadził przyczepę, zrobiłby to nawet wtedy, gdyby Callie była wewnątrz. Niewykłuczone, że teraz jest rozczarowany, iż jej tam nie było.

Carlyle nie żyje, więc kto? Simpsonowie? Jake się zamyślił. Uważał, że obydwójce byli dość silni i sprawni fizycznie, aby wykonać to przerażające zadanie. Jedno z nich mogło biegać po lesie z latarką, podczas gdy drugie wrzuciło ubrany manekin do wykopu i podpaliło przyczepę...

Jak długo byli z Callie w lesie? Cztery minuty? Pięć? Tak czy inaczej, to wystarczyło.

Przecucie podpowiadało mu jednak, że Barb i Hank starali się trzymać jak najdalej od Callie i Woodsboro. Wiedzieli przecież, kiedy uciec, przypomniał sobie. I nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wie, kto ich ostrzegł.

Szedł podjazdem w chwili, gdy pod domem zatrzymał się Doug. - Gdzie ona jest?!

- Śpi - odparł Jake. - W końcu zasnęła, jakąś godzinę temu. Dobrze, że tak szybko przyjechałeś.

- Nic jej się nie stało?

- Nie. Ma kilka siniaków po upadku, to wszystko.

Doug odetchnął głęboko i spojrzał na zabandażowane ramię Jake'a.

- Coś poważnego? - zapytał.

- Skaleczenie kawałkiem metalu, założyli mi szwy. Najgorsze straty ponieśliśmy na terenie... Czekamy na pozwolenie, żeby zacząć sprzątać. Straciliśmy wszystko, co było w przyczepie i wszystkie dane, które Callie miała na dysku laptopa. Na dodatek coś nam podrzucili...

Opowiedział Dougowi o przebranym za Callie manekinie, zostawionym w starożytnym grobie.

- Mógłbyś ją stąd wywieźć?

- Jasne, jeżeli wcześniej podałbym jej całą furę środków usypiających i skuł ją łańcuchem. - Jake się uśmiechnął. - Masz może jakieś kajdanki do pożyczania?

- Oddałem je do naprawy.

- Zwykle tak bywa, prawda? Długą chwilę stali w milczeniu.

- Teraz nie ma szans, żeby się stąd ruszyła - odezwał się wreszcie Jake. - Nikt i nic jej do tego nie zmusi. Już zdecydowała, że do upadłego będzie szukać winnych porwania. Jeżeli nadal wybierasz się do Bostonu, to powinieneś zachować ostrożność.

- Wybieram się. Kiedy mnie nie będzie, nie będę mógł opiekować się rodziną, ani Laną i Tylerem. Mogę poprosić ojca i dziadka, żeby na parę dni wprowadzili się do mamy. Będzie to trochę dziwnie wyglądało, ale co tam... Tak czy inaczej, Lana zostanie sama...

- Myślisz, że miałyby coś przeciwko tymczasowemu lokatorowi? Digger mógłby u niej zamieszkać.

- Digger? - zdziwił się Doug.

Jake uśmiechnął się, chociaż w jego oczach nie było cienia wesołości.

- Tak. Wiem, że Digger wygląda na takiego, którego bez większego trudu rozłoży na łopatki dwunastoletnia dziewczynka, lecz jest to bardzo mylące wrażenie. Znam go piętnaście lat. Gdybym szukał kogoś, kto zaopiekowałby się moimi bliskimi, wybrałbym Diggera. Główny problem polega na tym, że twoja pani mogłaby się w nim zakochać. Nie mam zielonego pojęcia, jak to się dzieje, ale wiele kobiet pada ofiarą tego padalca...

- Może to rzeczywiście jest dobre rozwiązanie. - Doug oderwał wzrok od domu. - Cała ta sprawa nadal trwa, prawda? Żaden z nas nie powiedział tego na głos, lecz tak właśnie jest. Jeżeli ktoś jest wystarczająco zdesperowany,

aby zabijać, to znaczy, że bardzo się boi, a podejrzenia Callie są słuszne. Jeżeli nie znajdziemy odpowiedzi, ten horror nigdy się nie skończy.

- Wciąż mam wrażenie, że coś przeoczyliśmy, jakiś szczegół... - mruknął Jake. - Musimy wrócić do początku i jeszcze raz przesiać wykopaną ziemię...

- W czasie, gdy będziecie to robić, ja zbadam inną warstwę w Bostonie.

- Doug otworzył drzwi samochodu. - Powiedz Callie... Powiedz mojej siostrze... - poprawił się - że stanę na głowie, by znaleźć jakiś ślad.

Callie spała, kiedy Jake wszedł do jej sypialni. Leżała nieruchomo, zwinięta w kłębek na śpiworze, z podrózną poduszką stłamszoną pod głową. Przyjrzał jej się. Była za blada i wyraźnie schudła.

Postanowił, że zabierze ją stąd, choćby na dzień lub dwa, przy pierwszej nadarzającej się okazji. Zasyją się w jakiejś dziurze i będą tylko jeść, spać i kochać się, tak długo, aż Callie odzyska równowagę.

Potem zaczną wspólne życie. Nie zależało im na fajerwerkach, tylko na zwyczajnym, w miarę spokojnym życiu.

Ponieważ w pokoju nie było koca, przykrył ją ręcznikiem. Ulegając zmęczeniu, położył się przy niej na boku, przyciągnął ją do siebie, i zapadł w głęboki sen.

Obudził go ostry ból, kiedy przewrócił się na zranione ramię. Zaklął, wciągnął powietrze i spróbował ułożyć się wygodniej. Wtedy spostrzegł, że Callie zniknęła.

Przerażenie zaatakowało go równie silnie jak ból. Zerwał się na równe nogi i wypadł z pokoju. Panująca w domu cisza jeszcze powiększyła jego lęk i już w połowie schodów zaczął głośno wołać jej imię.

Kiedy wybiegła z jego gabinetu, nie wiedział, czy śmiać się na widok malującej się na jej twarzy irytacji, czy paść na kolana i całować ją po stopach.

- Dlaczego tak wrzeszczysz?!

- Gdzie się podziałaś, do diabła?! - ryknął. - Gdzie są wszyscy?

- Powinieneś wziąć proszek przeciwbólowy. - Weszła do kuchni i otworzyła szafkę z lekami. - Byłam w twoim gabinecie. Mój komputer się usmażył, pamiętasz? Pracuję na twoim. - Połknij.

- Nie chcę pastylki.

- Nie zachowuj się jak duże, głupie dziecko - skarciła go, napełniając szklanke wodą. - Zażyjesz też antybiotyk, tak jak kazał ten miły pan doktor, który dał ci lizaka.

- Ktoś tu zaraz dostanie lizaka! - Jake lekko stuknął pięścią w jej podbródek. - Gdzie zespół?

- Rozleźli się. Część jest na terenie i czeka na pozwolenie szeryfa, żeby

uprzątnąć spaleniznę, część w laboratorium w Baltimore, część wróciła do collegu'u. Nie ma sensu, żeby zbijali baki tutaj, skoro mogą zająć się czymś pożytecznym.

- I nie ma tu nikogo poza nami?

- Nie ma, ale to nie znaczy, że możemy pozwolić sobie na jakieś sekskapady. Weź lekarstwa, bądź grzecznym chłopcem...

- Kiedy się rozleźli?

- Mniej więcej godzinę temu - odparła.

- Więc bierzmy się do roboty. - Zignorował pigułki, które położyła na blacie i wyszedł z kuchni.

- Do jakiej roboty?

- Musimy przeszukać ich rzeczy - rzucił.

- Nie! - zaprotestowała ostro.

- W takim razie przeszukam je sam, ale to potrwa dwa razy dłużej. - Chwycił leżący w kącie salonu plecak, rzucił go na stół i otworzył.

- Nie mamy prawa tego robić!

- Nikt nie miał prawa wysadzić przyczepy Diggera i narazić nas na bardzo poważne niebezpieczeństwo. Musimy się upewnić, czy nie zrobiło tego któreś z nich.

- To jeszcze nie powód, żeby...

- Posłuchaj mnie! - przerwał jej. - Kto wiedział o naszym wyjeździe do Wirginii? Callie bezradnie rozłożyła ręce.

- Ty i ja, Lana i Doug...

- I wszyscy, którzy byli w kuchni, kiedy o tym rozmawialiśmy. Wszyscy, którzy słyszeli, że masz tam do załatwienia osobistą sprawę. Usiadła nagle, jakby coś podcięło jej nogi.

- O, Jezu... - jęknęła.

- Ta plotkara z naprzeciwka mówiła, że Simpsonowie pakowali rzeczy do samochodów koło dziesiątej. My wstaliśmy od stołu koło dziewiątej. Wystarczył jeden telefon. Ktoś ostrzegł ich i kazał im uciekać.

- W porządku, w porządku. - Westchnęła. - Rzeczywiście wszystko pasuje, ale... Co spodziewasz się znaleźć, do cholery?

- Nie dowiem się, dopóki nie znajdę. - Zaczął systematycznie układać na stole wyjęte z plecaka rzeczy, odkładając na bok notesy, ołówki, długopisy, jakąś grę wideo. - Pomożesz mi, czy tylko będziesz się gapić?

- Cholera jasna... - Uklękła obok niego, podsunęła lekarstwa. - Zażyj to. Mruknął pod nosem, ale połknął pigułki.

Kręcąc głową, Callie wzięła jeden z notesów Chucka, przejrzała go. Sięgnęła po drugi. Nagle zmarszczyła brwi.

- Są czyste... - wymamrotała. - Nic w nich nie ma, ani szkiców, ani notatek... Same czyste kartki...

- Zabrał ze sobą jakiś notatnik? - zapytał Jake.

- Nie wiem, nie zwróciłam uwagi. Całkiem możliwe, że tak...

Z dużo większym zdecydowaniem przystąpiła do przeszukiwania reszty rzeczy, zaglądając nawet do kieszeni. Kiedy wszystko znalazło się na stole, poszła po swój własny notes i sporządziła listę zawartości plecaka.

Jako drugi przeszukali plecak Frannie. Na samym dnie, przygnieciony stosem rzeczy, znaleźli owinięty w koszulkę notes.

- To dziennik. - Callie usiadła po turecku na podłodze i zaczęła czytać. - Zaczyna się od pierwszego dnia ich pracy tutaj. Bła, bła, bła, jest bardzo podekscytowana odkryciami... Ha, tu mam coś ciekawego! Zdaniem Frannie jesteś wyjątkowo seksownym facetem... - Tak?

- Gdyby pokłóciła się z Chuckiem, na pewno rzuciłaby ci się na szyję. - Callie pośpiesznie przejrzała następne kartki. - Rosie jest sympatyczna... Cierpliwa... Frannie nie podejrzewa, żeby miała jakieś zakusy na Chucka, ale w przypadku Dory sytuacja wygląda zupełnie inaczej... Dory jest wyniosła, ma poczucie wyższości... Sonia jest miła, ale raczej nudna... - Nagle przerwała, zmarszczyła brwi. - Nie jestem apodyktyczna i odstraszająca...

- Owszem, jesteś. Co jeszcze pisze o mnie?

- Coś takiego! Ona i Chuck pozwolili sobie na krótki numerek w przyczepie Diggera, kiedy my pojechaliśmy na lunch! Sądzi, że Matt jest bardzo interesujący jak na starszego faceta, ale prawdopodobnie jest gejem, bo nigdy nie flirtuje z kobietami. Bob ma obwisły tyłek i za bardzo się poci. Bili... - Callie zawiesiła głos, westchnęła ciężko. - Bili jest inteligentny, ale okropny z niego mięczak... Poza tym dużo codziennych zapisków... Jajka na śniadanie... Padało... Co znalazła danego dnia, jeśli w ogóle coś znalazła... Opisy zbliżeń seksualnych.

- Może powinnaś przeczytać je na głos.

- Spostrzeżenia - ciągnęła Callie, ignorując jego uwagę. - Drobne niedogodności... Dlaczego nie może porozmawiać z dziennikarzami, którzy chcieli zrobić wywiad z kimś z zespołu... Zgryźliwości. Czuje antypatię do Dory, bo ta traktuje ją z góry... I... I opis tego, co stało się z Billem... Nic nowego... Nic nowego - powtórzyła, zamykając notes. - To tylko dziennik dziewczyny z college'u. Zupełnie nieszkodliwy.

Mimo to podskoczyła nerwowo, kiedy zadzwonił telefon. Po krótkiej rozmowie odłożyła słuchawkę.

- Mamy pozwolenie na powrót do pracy - powiedziała. - Musimy jechać na teren.

- W porządku. - Jake zaczął pakować rzeczy Frannie do plecaka. - Ale przy pierwszej okazji przeszukamy plecaki pozostałych.

Wystarczyło zaledwie półtora dnia, żeby Doug wpadł na trop, który uznał za dość istotny. Szybko doszedł do wniosku, że ma przewagę nad zawodowym detektywem, ponieważ nie szukał Marcusa Carlyle'a. Zależało mu tylko na ustaleniu wszelkich możliwych powiązań, wychodzących od Marcusa, choćby pozornie najmniej ważnych, powiązań, które mogły prowadzić do następnych obiektów, jak w spirali.

Takim bardzo dawnym i wątłym powiązaniem okazała się Maureen O'Brian, pracownica klubu, do którego należeli Carlyle i jego pierwsza żona.

- Dobry Boże, nie widziałam pani Carlyle od dwudziestu pięciu lat! - Maureen wyszła z salonu fryzjerskiego i wyjęła z kieszeni fartuszek paczkę papierosów Virginia Slims. - Jak pan wpadł na to, żeby się ze mną skontaktować?

- Rozpytywałem w tamtym klubie. Pani Carnegy z salonu piękności podała mi pani nazwisko.

- Stara smoczyca! - Maureen zaciągnęła się, wypuściła z płuc obłoczek dymu. - Wyrzuciła mnie, bo dość często nie przychodziłam do pracy, kiedy byłam w ciąży z trzecim dzieckiem. To było... No, tak, prawie szesnaście lat temu. Wysuszona zdzira, przepraszam za wyrażenie...

Ponieważ Carnegy opisała Maureen jako nieodpowiedzialną, gadatliwą plotkare, Doug nie był zaskoczony.

- Powiedziała, że to pani zwykle robiła manikiur pani Carlyle.

- Tak, przychodziła do mnie co tydzień przez całe trzy lata, zawsze w poniedziałek. Lubiła mnie i dawała porządne napiwki. Przyzwoita kobieta.

- Znała pani jej męża?

- Nie tyle znałam, ile słyszałam o nim, i to dużo. Widziałam go tylko jeden raz, kiedy pojechałam do nich do domu, żeby zrobić jej paznokcie przed jakimś wielkim bale, na który się wybierali. To był bardzo przystojny facet, taki, który świetnie zdaje sobie sprawę ze swojego uroku. Moim zdaniem, nie był dla niej dość dobry...

- Dlaczego tak pani sądzi? Maureen lekko wydeła wargi.

- Jeżeli facet nie potrafi dochować wierności przysiędze małżeńskiej, to nie zasługuje na kobietę, której przysięgał.

- Pani Carlyle wiedziała, że ją zdradzał?

- Kobieta zawsze wie takie rzeczy, chociaż czasami się do tego nie przyznaje. Poza tym wszyscy o tym gadali, w salonie kosmetycznym i w całym klubie. Jego kochanka też tam czasami przychodziła...

- Znała ją pani?

- Na pewno znalazłam jedną z nich, bo podobno było ich więcej. Ta była mężatką i lekarką. Doktor Roseanne Yardley. Mieszkała w Nob Hill, w wielkim, eleganckim domu.

Przychodziła się czesać do mojej przyjaciółki Colleen... - Manikiurzystka prychnęła pogardliwie. - Pani doktor nie była naturalną blondynką...

Może rzeczywiście nie była naturalną blondynką, lecz nadal miała jasne włosy. Doug znalazł ją w klinice Boston General, gdzie właśnie kończyła obchód. Przyszło mu do głowy, że to tego typu kobiety ludzie określają mianem przystojnych - nie ładnych czy atrakcyjnych, ale przystojnych. Roseanne Yardley była wysoka, dystygowana, miała wyraziste rysy, kwadratową twarz, obramowaną falami doskonale podciętych i uczesanych jasnych włosów oraz bostoński akcent i ton głosu, który natychmiast dawał wszystkim zainteresowanym do zrozumienia, że pani doktor bardzo ceni swój czas.

- Tak, znalazłam Marcusa i Lorraine Carlyle. Należeliśmy do tego samego klubu, obracaliśmy się w tych samych kręgach towarzyskich. Naprawdę nie mam czasu na pogaduszki o dawnych znajomych...

- Z moich informacji wynika, że Marcus Carlyle był dla pani kimś więcej niż tylko znajomym.

Jej niebieskie oczy w ułamku sekundy stały się lodowato zimne.

- A cóż to może pana obchodzić?

- Jeżeli poświęci mi pani parę minut, dokładnie wyjaśnię, dlaczego mnie to obchodzi. Nie odpowiedziała. Spojrzała na zegarek i bez słowa poszła przed siebie szerokim korytarzem. Weszła do niewielkiego gabinetu, podeszła do biurka i usiadła za nim.

- Czego pan chce?

- Posiadam dowody, że Marcus Carlyle był szefem organizacji, która zarabiała na fałszywych adopcjach - porывała niemowlęta i odsprzedawała je bezdzietnym małżeństwom.

Roseanne Yardley nawet nie mrugnęła.

- Przecież to zwyczajnie śmieszne - powiedziała.

- Wiem też, że Marcus Carlyle zatrudniał w swojej sieci lekarzy - dodał Doug.

- Jeżeli wydaje się panu, że oskarżając mnie o udział w jakiejś fikcyjnej, przestępczej sieci, przestraszy mnie pan na tyle, aby wyciągnąć ode mnie pieniądze, to robi pan poważny błąd.

Doug wyobraził sobie, jak doktor Yardley jednym ciosem bez chwili wahania rozgniała jego lub jakiegoś kłopotliwego podwładnego, który nie

sprawdził się w pracy.

- Nie chcę pieniędzy i nie mam pojęcia, czy brała pani udział w tych porwaniach. Wiem jednak, że miała pani romans z Carlyle'em, że jest pani lekarką i że może pani mieć informacje, które mi pomogą.

- Jestem całkowicie pewna, że nie mam takich informacji. Jestem bardzo zajęta i... Doug nie drgnął, chociaż doktor Yardley już podniosła się zza biurka.

- Moja trzymiesięczna siostra została porwana i parę dni później sprzedana pewnemu małżeństwu za pośrednictwem bostońskiego biura Marcusa Carlyle'a - oświadczył. - Mam na to dowody. Posiadam też dowody, iż w sprawę tę zamieszany był pracujący wtedy w Bostonie lekarz. Wszystkie te informacje zostały już przekazane policji, która wcześniej czy później też do pani trafi, ale moja rodzina jak najszybciej chce się dowiedzieć, co i jak wtedy się zdarzyło...

Roseanne Yardley powoli usiadła.

- O jakim lekarzu pan mówi? - zapytała.

- Był to doktor Henry Simpson. On i jego obecna żona niedawno opuścili dom w Wirginii, zupełnie niespodziewanie i w wielkim pośpiechu, a stało się to zaraz po rozpoczęciu tego dochodzenia. Żona Henry'ego Simpsona pracowała jako pielęgniarka oddziału położniczego szpitala w Marylandzie, gdzie urodziła się moja siostra, i miała dyżur właśnie wtedy, gdy Jessica przysłała na świat.

- Nie wierzę w to wszystko - rzuciła doktor Yardley.

- Może pani wierzy, a może nie. Chciałbym się dowiedzieć czegoś o pani związku z Marcusem Carlyle'em. Jeżeli nie porozmawia pani ze mną teraz, podam do wiadomości publicznej wszystkie informacje, jakie dotąd udało mi się uzyskać.

- Grozi mi pan?!

- Grozę pani - odparł Doug spokojnie.

- Nie pozwolę, aby ktoś szargał moje dobre imię!

- Jeżeli nie uczestniczyła pani w tych przestępczych działaniach, nie ma się pani czego obawiać. Muszę wiedzieć, kim był Marcus Carlyle i z kim utrzymywał kontakty. Pani miała z nim romans.

Roseanne wzięła do ręki srebrne pióro i lekko postukała nim w brzeg biurka.

- Mój mąż wie o moim związku z Marcusem. Szantaż na nic się nie zda.

- Nie zamierzam pani szantażować.

- Trzydzieści lat temu popełniłam błąd. Nie będę płacić za to właśnie teraz.

Doug otworzył teczkę i wyjął z niej kopię oryginalnego aktu urodzenia Callie oraz jej zdjęcie, zrobione na kilka dni przed porwaniem. Położył to na biurku doktor Yardley, razem ze sfalszowanymi dokumentami adopcyjnymi i dostarczoną przez Dunbrooków fotografią.

- Moja siostra nazywa się teraz Callie Dunbrook. Zasluguje na to, żeby się dowiedzieć, co zaszło, podobnie jak cała moja rodzina.

- Jeśli to prawda, jeśli chociaż część tego jest prawdą, to i tak nie wyobrażam sobie, jaki związek może istnieć między tą sprawą a moim godnym pożałowania romansem z Marcusem...

- Gromadzę wszystkie dane, bo każda informacja może mieć jakieś znaczenie. Jak długo trwał wasz romans?

- Prawie rok. - Roseanne westchnęła i wyprostowała się. - Marcus był dwadzieścia pięć lat starszy ode mnie i bardzo fascynujący. Miał charyzmę, był władczy, atrakcyjny, elegancki i czuły. Wtedy wydawało mi się, że jesteśmy niezwykle nowoczesni, ponieważ pozostajemy w związku, który daje nam obojgu satysfakcję i nikomu nie przynosi szkody...

- Czy kiedykolwiek rozmawiała z nim pani o swojej pracy, o pacjentach?

- Na pewno. Jestem pediatrą, a podstawową częścią praktyki Marcusa były sprawy adopcyjne. Oboje bardzo lubiliśmy dzieci i chcieliśmy dla nich jak najlepiej. Właśnie to zbliżyło nas do siebie, chociaż oczywiście nie tylko... Nie przypominam sobie, aby Marcus usiłował wyciągnąć ode mnie jakieś konkretne informacje i żadne z leczonych przeze mnie dzieci nie zostało porwane. Wiedziałabym, gdyby coś takiego się stało.

- Ale niektórzy pani pacjenci byli dziećmi adoptowanymi, prawda?

- Naturalnie. Nie ma w tym nic dziwnego.

- Czy jacyś rodzice, którzy przywozili do pani świeżo adoptowane niemowlęta, byli rekomendowani przez Carlyle'a?

Doktor Yardley po raz pierwszy od początku rozmowy zamrugała niepewnie.

- Tak, na pewno było kilka takich par... Jak już mówiłam, ja i Marcus byliśmy ze sobą dość blisko... Wydawało mi się zupełnie zrozumiałe, że...

- Proszę mi o nim opowiedzieć. Dlaczego wasz romans dobiegł końca, skoro Carlyle był charyzmatycznym, uroczym, atrakcyjnym mężczyzną?

- Był także zimny i wyrachowany. - Roseanne z wyraźnym roztargnieniem przełożyła z miejsca na miejsce kilka leżących na jej biurku papierów i fotografii. - Był bardzo wyrachowanym człowiekiem i nie uznawał wierności. Może uważa pan, że to dziwne, iż mówię coś takiego, skoro pozostawaliśmy w pozamałżeńskim związku, ale ja oczekiwałam, że na czas

jego trwania Marcus będzie mi wierny. Nie było tak. Jego żona musiała o mnie wiedzieć, lecz nigdy się z tym nie zdradziła. Podobno była niewolniczo oddana mężowi i synowi, i przymykała oczy na inne kobiety w życiu Marcusa. - Wargi Roseanne drgnęły, skrzywione pogardliwym grymasem, który nie pozostawiał wątpliwości, co pani doktor sądzi o tego rodzaju kobietach. - Ja wolałam jednak rozwiać wszelkie niejasności. Kiedy odkryłam, że Marcus ma drugi romans, powiedziałam mu o tym. Pokłóciliśmy się, w bardzo ostry i zdecydowany sposób, i zerwaliśmy ze sobą. Z wieloma sprawami mogłam się pogodzić, ale świadomość, że zdradza mnie ze swoją sekretarką, była dla mnie nie do zniesienia... Zrozumiałam, że nasz związek zmierza w stronę wulgarne go banału.

- Co mogłaby mi pani o niej powiedzieć?

- Była młoda. Miałam prawie trzydzieści lat, gdy wdałam się w romans z Marcusem, ona miała najwyżej dwadzieścia. Ubierała się w rzeczy w bardzo jaskrawych kolorach i mówiła cichym głosem - ten kontrast wydał mi się podejrzany, oczywiście z punktu widzenia kobiety. Kiedy się o niej dowiedziałam, przypomniałam sobie, że często witała mnie z dziwnym, dwuznacznym uśmiechem. Nie wątpię, że wiedziała o mnie od samego początku. Później doszły mnie słuchy, że Marcus zabrał ją ze sobą do Seattle, jako jedną z nielicznych osób ze swojego bostońskiego personelu.

- Czy później słyszała pani coś o Carlyle'u albo o niej?

- Nasi wspólni znajomi czasami wspominali o nim w rozmowach ze mną. Podobno rozwiódł się z Lorraine. Byłam zaskoczona, że jego drugą żoną nie została ta sekretarka, ale ktoś mówił mi, że wyszła za jakiegoś księgowego, urodziła dziecko... - Roseanne znowu postukała piórem w brzeg biurka. - Zaintrygował mnie pan, panie Cullen, i to na tyle, że na własną rękę spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej o poczynaniach Marcusa. Nie lubię, kiedy ktoś wykorzystuje mnie, wszystko jedno, w jakim celu. Chcę wiedzieć, czy Marcus rzeczywiście posłużył się mną w tak podstępny sposób...

- On nie żyje.

Doktor Yardley otworzyła usta i zaraz je zamknęła, zaciskając w wąską linijkę.

- Kiedy to się stało? - zapytała.

- Mniej więcej dwa tygodnie temu. Rak. Zmarł na Kajmanach, gdzie od dłuższego czasu mieszkał z żoną numer trzy. Sama pani rozumie, że nie odpowie już na żadne pytania, a jego syn ma niechętny stosunek do śledztwa, które prowadzimy.

- Ach, tak... Znam Richarda, lecz niezbyt dobrze. O ile mi wiadomo, on i Marcus nie utrzymywali ze sobą kontaktów. Richard zawsze był i nadal jest

bardzo oddany matce i rodzinie. Rozmawiał pan z Lorraine?

- Jeszcze nie.

- Sądzę, że Richard będzie robił panu poważne trudności, oczywiście prawne, jeżeli podejmie pan taką próbę. Lorraine nie prowadzi teraz ożywionego życia towarzyskiego, podobno jej stan zdrowia na to nie pozwala. Nigdy nie była silna. Jak długo zamierza pan zostać w Bostonie?

- Będę tu... Właściwie nie wiem, ale może pani w każdej chwili się ze mną skontaktować.

- Chciałabym zaspokoić swoją ciekawość w tej sprawie. Proszę zostawić mi swój numer. Doug rozgościł się w hotelowym pokoju, wyjął z podręcznego barku puszkę piwa i zadzwonił do Lany.

- Taaa? - odezwał się męski głos.

- Ehm... Chciałbym rozmawiać z Laną Campbell.

- Hej, tak się składa, że ja też! Czy to Doug?

- Tak, Doug. Gdzie jest Lana? Co się dzieje?

- Jak na razie trzyma mnie na dystans, ale nie tracę nadziei - zarechotał mężczyzna. - Hej, seksowna damo, telefon do ciebie!

Doug usłyszał jakiś hałas, zdławiony chichot Tylera i bardzo ciepły kobiecy śmiech.

- Halo?

- Kto to był?

- Doug? Och, miałam nadzieję, że zadzwonisz!

W tle rozległa się seria dziwnych odgłosów, do złudzenia przypominających małpie wrzaski, i niepohamowany śmiech dziecka. Potem Lana najwyraźniej przeszła ze słuchawką w inne miejsce, bo hałasy ucichły.

- Boże, czuję się jak w domu wariatów! - jęknęła. - Digger gotuje. Dzwonisz z hotelu?

- Tak, przed chwilą wszedłem. Wygląda na to, że nieźle się tam bawicie.

- Chcę ci przypomnieć, że zainstalowanie Diggera w moim domu, bez pytania mnie o zdanie, było twoim i wyłącznie twoim pomysłem. Na szczęście, dla ciebie oczywiście, Digger jest bardzo pogodnym, a nawet zabawnym człowiekiem. Wspaniale bawi się z Tylerem. Na razie stawiam opór dzikiej żądzy, która ogarnia mnie na jego widok, chociaż nie przychodzi mi to łatwo. Digger ostrzega mnie jednak, że walka, jaką ze sobą toczą, zakończy się klęską.

Doug padł na łóżko i podrapał się po głowie.

- Nigdy dotąd nie byłem zazdrosny. Powiem otwarcie - fakt, że teraz muszę doświadczać tego uczucia, zresztą po raz pierwszy, z powodu faceta, który przypomina gnoma, jest wysoce upokarzający.

- Gdybyś poczuł zapach sosu do spaghetti, który właśnie przygotowuje Digger, oszalałbyś z zazdrości.

- Podły drań!

Lana roześmiała się i zniżyła głos.

- Kiedy wracasz do domu?

- Nie wiem. Rozmawiałem dziś z kilkoma osobami, mam nadzieję, że jutro umówię się na następne spotkania. Możliwe, że przed powrotem będę musiał polecieć do Seattle. Czy to pytanie oznacza, że za mną tęsknisz?

- Chyba tak... Przyzwyczaiłam się, że jesteś w pobliżu, w najgorszym razie w odległości kilku kilometrów. Nie myślałam, że znowu będę przeżywała coś takiego... Dowiedziałeś się czegoś?

Doug wygodnie wyciągnął się na łóżku, delektując się świadomością, że Lana za nim tęskni.

- Całkiem sporo. Wiem, że Carlyle lubił kobiety i zwykle romansował z dwoma, trzema równocześnie. Mam przecucie, że jego sekretarka z Bostonu może okazać się ważnym elementem układanki. Zamierzam jak najszybciej ją znaleźć. Chciałem zapytać, czy mam ci przywieźć prezent z Bostonu?

- Oczywiście!

- To dobrze, bo mam coś na oku. Co tam w Woodsboro?

- Zespół przez wiele godzin uprzętał teren. Są zniechęceni i poruszeni tym, co się stało. Chyba trochę niepokoją się, czy fundusze, które mieli otrzymać, nie zostaną obcięte, przynajmniej na razie. Policja nie informuje o żadnych nowych tropach.

- Uważaj na siebie i Ty - Rexa.

- Możesz być spokojny. Wracaj szybko do domu. I też uważaj na siebie.

- Możesz być spokojna.

O trzeciej nad ranem zadzwonił telefon przy łóżku. Doug chwycił słuchawkę, czując, jak serce skoczyło mu do gardła. - Halo...

- Masz dużo do stracenia i nic do zyskania. Wracaj do domu, dopóki go jeszcze masz.

- Kto mówi? - zapytał Doug, chociaż wiedział, że nie ma to sensu.

Połączenie przerwano. W słuchawce odezwał się rytmiczny sygnał. Doug położył się, nie zapalając światła. Ktoś wiedział o jego przyjeździe do Bostonu i nie krył niezadowolenia, a także strachu.

Znaczyło to, że w Bostonie jest coś, co Doug może znaleźć. Coś lub ktoś...

Problem nie leżał w długich godzinach pracy, ani w tym, że stawiała wyzwania fizyczne i umysłowe. Callie pracowała już i po szesnaście godzin na dobę, i w znacznie gorszych warunkach.

W Marylandzie lato powoli i leniwie przechodziło w jesień, obdarzając ludzi ciepłymi dniami i chłodnymi nocami. Liście drzew nadal zachwycały bujną zielenią, z wyjątkiem tych na topolach, które miejscami żółkły, a niebo wciąż było bezchmurne i intensywnie błękitne. Gdyby nie okoliczności, warunki pracy byłyby idealne.

Callie chętnie zamieniłaby te balsamiczne wrześnie dni na piekielny upał lub ulewne deszcze, na chmury wygłodniałych insektów i ryzyko słonecznego udaru.

Ponieważ często myślała o takiej zamianie, doskonale wiedziała, że codziennie wieczorem wraca z pracy kompletnie wyczerpana nie z powodu nawału pracy, lecz niemożności skoncentrowania się i rozchwianej równowagi.

Wystarczyło tylko, żeby spojrzała na poczerniałą ziemię w miejscu, gdzie stała przyczepa Diggera, aby natychmiast wracała myślami do tamtej nocy.

Zdawała sobie sprawę, że taka reakcja jest dokładnie tym, na czym zależało jej prześladowcom, sęk w tym, że ciągle nie wiedziała, kim oni są. Uważała, że gdyby wróg miał twarz, mogłaby stanąć z nim do walki i na pewno by się przed tym cofnęła.

Niestety, nie miała z kim walczyć i nie potrafiła skierować gniewu w konkretnym kierunku.

Jej wyczerpanie i wewnętrzne znużenie spowodowane było poczuciem bezradności i bezużyteczności.

Ile razy miała przeglądać dane, które zgromadziła razem z Jakiem? Jak często mogła rozważać ewentualne powiązania, odgrzebywać warstwy ludzi, lat i wydarzeń?

Dobrze chociaż, że Doug robił coś konkretnego, rozmawiając z ludźmi w Bostonie. Callie żałowała, że nie jest na jego miejscu, wiedziała jednak, że gdyby sobie pofolgowała, zawiódłaby zespół w chwili, gdy najbardziej jej potrzebował.

Musiała być na miejscu, musiała pracować, jak zwykle, dzień po dniu. Fasada normalności była niezbędna, gdyby jej zabrakło, projekt rozsypałby się w proch, podobnie jak jej morale.

Zdawała sobie sprawę, że oczy wszystkich współpracowników zwrócone są na nią. Była też świadoma, że większość z nich rozmawia między sobą o jej życiu osobistym. Dostrzegała ukradkiem rzucane spojrzenia, docierały do niej strzępki rozmów, które szybko cichły, gdy wchodziła do pokoju.

Nie mogła mieć do nich o to żalu. Wszyscy chętnie słuchają plotek, nawet jeżeli otwarcie się do tego nie przyznają, a w miasteczku aż huczało od

pogłosek, że doktor Callie Dunbrook jest dawno zaginioną Jessicą Cullen.

Callie nie chciała udzielać wywiadów ani odpowiadać na pytania. Była zdania, że obnażanie się przed mediami i ciekawskimi nie ma nic wspólnego z poszukiwaniem prawdy, lecz złaknieni sensacji nie dawali jej spokoju. Nie ulegało wątpliwości, że wiele osób zagląda na wykopalisko nie tyle po to, żeby przyjrzeć się postępom prac, ile by przyjrzeć się jej, Callie Dunbrook. Nigdy nie unikała blasku reflektorów, lecz nie podobało jej się, że nie interesowała ich jej praca, ale ona.

Była teraz wiecznie poirytowana, nerwowa i roztargniona. Wszystko to razem złożyło się na pełną paniki reakcję, gdy drzwi łazienki otworzyły się w chwili, kiedy akurat oddawała się ponurym rozmyślaniom pod prysznicem.

Błyskawicznie zerwała ręcznik z wieszaka i osłoniła się nim jak tarczą, słysząc w głowie pierwsze nuty głównego motywu z filmu Psychoza, Zaciśnęła palce na zasłonie, gotowa zerwać ją jednym szarpnięciem.

- Spokojnie, to tylko ja, Rosie.

- A niech cię... - Callie wetknęła prysznic w uchwyt. - Jestem goła jak mnie Pan Bóg stworzył!

- Mam nadzieję. Byłabym mocno zaniepokojona, gdybyś zaczęła się kąpać w ubraniu. Przyszłam tu, bo łazienka jest jedynym miejscem, gdzie możemy spokojnie porozmawiać.

Callie odsunęła zasłonę o parę centymetrów i zerknęła na Rosie, która właśnie opuściła klapę sedesu i usiadła na niej.

- Skoro jestem w łazience, to chyba dlatego, że mam ochotę побыć trochę w samotności, prawda?

- No, właśnie. - Rosie skrzyżowała nogi. - O to mi chodzi, koleżanko. Najwyższy czas, żebyś wydobyła się z tego nastroju.

- Z jakiego nastroju? - Callie zasunęła zasłonę i wsadziła głowę pod prysznic. - Moim zdaniem, należy bardziej szanować potrzebę prywatności, jaką niektórzy mogą odczuwać. Ludzie włączają tu do łazienki, kiedy inni są nadzy i mokrzy...

- Masz pod oczami takie wory, że zmieściłyby się w nich zakupy na cały tydzień - powiedziała Rosie, na której słowa Callie nie zrobiły najmniejszego wrażenia. - Schudłaś i masz tak wredny humor, że trudno z tobą wytrzymać, nawet jeśli weźmie się pod uwagę, że nigdy nie byłaś słodką, łagodną panienką. Nie możesz warczeć na dziennikarza i grozić, że odetniesz mu język szpadlem, bo to zła reklama dla naszego projektu. Wydawało się, że rozumiesz takie drobiazgi...

- Byłam zajęta pracą. Powiedziałam temu durniowi, że nie będę rozmawiać o moich sprawach osobistych, ale zaproponowałam, że oprowadzę

go po terenie i opowiem, czym się zajmujemy. Oczywiście to mu nie wystarczyło, ani mu się śniło, żeby dać mi spokój...

- Skarbie, wiem, że przeżywasz bardzo trudny okres. Musisz na pewien czas przerwyc obowiazek kontaktowania się ze środkami masowego przekazu na mnie, Lea, Jake'a czy nawet Diggera.

- Nie potrzebuję żadnej cholernej tarczy!

- Potrzebujesz. Od teraz ja przejmuję kontakty z dziennikarzami. Jeżeli spróbujesz się ze mną wyklócać, to trudno, pokłócimy się po raz pierwszy od początku naszej znajomości. Znamy się już sześć lat i bardzo nie chciałabym zepsuć tego, co nas łączy, ale jeżeli mnie zmusisz, wyjdę na ring. Callie odsunęła zasłonę i rzuciła Rosie wściekle spojrzenie.

- Łatwo ci mówić, kiedy jestem goła i mokra.

- Wysusz się i ubierz. Zaczekam.

- Naprawdę tak źle wyglądam?

- Naprawdę. W dodatku coraz bardziej rzuca się to w oczy. Szczerze mówiąc, nie widziałam cię w tak fatalnym stanie od czasu rozstania z Jakiem.

- Nie potrafię przed tym uciec... - powiedziała Callie. - Czuję się, jakbym wpadła w mrowisko. Wlecze się to za mną wszędzie, tutaj, w mieście, na wykopalisku...

Uświadomiła sobie, że nie potrafi też uciec przed Jakiem, przed rozmowami o nim, wspomnieniami, myślami...

- Ludzie zawsze gadają, to cecha charakterystyczna tego gatunku. - Rosie zaczęła, aż Callie zakręci wodę i wstała, żeby podać jej ręcznik. - Zespół nie chce obciążać cię jeszcze bardziej, ale gdybyśmy nie byli z natury ciekawscy, nie byłibyśmy ludźmi. Chcemy wiedzieć, między innymi dlatego grzebiemy w ziemi.

- Nie mam do nich pretensji. - Callie wyszła z kabiny, owinęła mokrą głowę w podany przez Rosie ręcznik i sięgnęła po drugi. - Denerwuje mnie, że wszyscy chodzą dookoła mnie na paluszkach. I wścieka mnie, że Digger stracił tę paskudną blaszaną puszkę, którą nazywał domem, ponieważ ktoś chciał dobrać się do mnie. Naprawdę mnie to wścieka...

- Digger kupi sobie nową puszkę. Tobie i Jake'owi na szczęście nic się nie stało, a to jest o wiele ważniejsze.

- Wiem o tym. Rozumiem też, że to wszystko miało wzbudzić we mnie strach, wątpliwości i uczucie zagubienia, ale widzę, że ten mechanizm doskonale zadziałał. Boję się, mam mnóstwo wątpliwości, czuję się zagubiona i wydaje mi się, że wcale nie zbliżam się do rozwiązania tej zagadki... - Wytarła się i pośpiesznie włożyła świeżą bieliznę, którą przyniosła ze sobą. - Dlaczego nigdy mnie o to nie zapytałaś? O Cullenów i o to, co człowiek czuje,

kiedy nagle się dowiaduje, że zaczął życie jako ktoś zupełnie inny?

- Raz czy dwa byłam tego bliska, ale pomyślałam, że kiedy będziesz gotowa mi o tym powiedzieć, nie będę musiała pytać. Nie potrzebuję chyba cię zapewniać, że cały zespół stoi murem za tobą...

- Gdybym nie należała do zespołu, projekt nie byłby zagrożony.

Rosie wzięła do ręki butelkę balsamu do ciała, stojącą na półce nad toaletą, otworzyła go, powąchała. Z aprobatą wydeła wargi i rozsmarowała odrobinę balsamu na skórze przedramienia.

- Jesteś częścią zespołu - powiedziała. - Dzięki tobie ja także się w nim znalazłam. Jeżeli ty odejdziesz, to ja także, nie mówiąc o Jake'u. Jeżeli odejdzie Jake, to Digger też tu nie zostanie. Projekt będzie znacznie bardziej zagrożony, jeśli do tego dojdzie. Przecież wiesz o tym, prawda?

- Mogłabym namówić Jake'a, żeby został.

- Przecenisz swoją siłę perswazji. Jake nie zamierza spuścić cię z oka. Szczerze mówiąc, jestem trochę zdziwiona i rozczarowana, że nie zastałam tu was obojga. Liczyłam, że zamknę parę ciekawych obrazków w swoim banku wspomnień.

- I tak krąży tu dość plotek, więc prysznic z Jakem to chyba nie najlepszy pomysł...

- A właśnie, skoro już o tym wspomniałaś... - Rosie położyła butelkę z balsamem na otwartej dłoni Callie i odkręciła słoiczek z nawilżającym kremem do twarzy. - Miałabym do ciebie pytanie, ale dotyczy ono tej sfery twojego życia... Co się dzieje między wami? Callie wciągnęła czyste dżinsy.

- Nie wiem.

- Jeżeli ty nie wiesz, to kto ma wiedzieć?

- Nikt. Ciągłe próbujemy się zorientować, czy... Staramy się... Och, sama nie wiem - powtórzyła, sięgając po koszulkę. - To skomplikowane.

- Cóż, jesteście skomplikowanymi ludźmi, dlatego z wielkim zainteresowaniem obserwowałam pierwszy okres waszego wspólnego życia. Czułam się jak naoczny świadek reakcji nuklearnej. Tym razem wasze poczynania przypominają powoli rozpalający się ogień. Nie jestem pewna, czy płomień nadal będzie tylko pełgał, czy niespodziewanie strzeli ku górze. Zawsze lubiłam na was patrzeć...

- Dlaczego?

Rosie roześmiała się cicho, melodyjnie.

- Bo jesteście jak para pięknych zwierząt, które nie do końca wiedzą, czy mają rzucić się na siebie i rozszarpać na strzępy, czy zacząć uprawiać miłość...

Callie szybko posmarowała twarz kremem.

- Sypiesz porównaniami jak z rękawa.

- Mam romantyczną naturę. Teraz widzę, że Jake bardzo chciałby objąć cię, przytulić i osłonić przed tym wszystkim, ale nie wie, jak się do tego zabrać, a jest wystarczająco bystry, żeby mieć świadomość, że musi być ostrożny, bo jeżeli popełni błąd, obedrzesz go ze skóry. Znalazł się w sytuacji patowej, ponieważ twój ostry temperament jest jedną z cech, jakie w tobie kocha.

Callie powoli odwinęła okrywający jej włosy ręcznik i sięgnęła po grzebień.

- Lubię mieć pewność co do najważniejszych rzeczy. - Postukała grzebieniem o dłoń, przecesała mokre włosy. - Nigdy nie byłam pewna, czy Jake mnie kocha. Myślałam, że mnie zdradza, z tą Vronica Weeks...

- Fakt, że ona miała na niego chętkę, trochę dlatego, że była o ciebie potwornie zazdrosna, ale głównie dlatego, że twój facet jest wyjątkowo seksowny. Chciała narobić ci kłopotów, nienawidziła cię z całego serca.

Callie zaczesła włosy do tyłu.

- I osiągnęła swój cel... - Powoli opuściła grzebień. - Jak to się stało, że ty o tym wiedziałas, a ja nie?

- Ponieważ ty byłaś w centrum wydarzeń, skarbie, a ja tylko obserwatorem. Tak czy inaczej, nie sądzę, aby Jake na nią poleciał. Nie była w jego typie.

- Nie była w jego typie? Daj spokój - wysoka, zgrabna, chętna... Niby dlaczego nie?

- Nie była tobą.

Callie wzięła głęboki oddech i uważnie przyjrzała się sobie w lustrze. Obiektywnie i szczerze.

- Ogólnie rzecz biorąc, nie jestem najbrzydsza, a kiedy poświęcę sobie trochę czasu, bywam cholernie atrakcyjna, ale to wszystko. Vronica była piękna, absolutnie oszałamiająca...

- Skąd wzięło się u ciebie to poczucie niepewności?

- Pojawiło się w chwili, kiedy się w nim zakochałam. Znasz jego reputację, wiesz, jak działa na kobiety, jak z nimi flirtuje...

- To działanie i flirt jest dla niego sposobem komunikowania się z otoczeniem, a jego reputacja wiązała się z okresem przed tobą - rzekła Rosie. - Zresztą, nie muszę ci mówić, że kiedy się zakochałaś, nie oddzielałaś Jake'a od jego reputacji.

- To prawda. - Callie z niesmakiem jeszcze raz przecesała włosy. - Zakochałam się w Jake'u z całym jego bagażem, ale zaraz potem próbowałam go zmieniać. Byłam głupia. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że Jake nie

wskakuje do łóżka innym kobietom, a zwłaszcza Vronice Weeks, która wyraźnie go do tego zachęcała. Znalazłam jej bieliznę pod naszym łóżkiem, wiesz?

- Och... - Rosie zakryła usta dłonią.

- Nabrała mnie, a ja wpadłam w pułapkę. Kiedy o tym myślę, ogarnia mnie zimna furia. Dałam się nabrać, bo nie wierzyłam, że Jake mnie kocha. Odpychałam go coraz dalej i dalej, aż w końcu wypchnęłam go za drzwi...

- Ale teraz znowu go wpuściłaś, prawda? I nic by ci się nie stało, gdybyś spróbowała się tym cieszyć. - Rosie podeszła do umywalki i w lustrze spojrzała Callie w oczy. - Czy Jake kiedykolwiek cię oszukał?

- Nie. Spieprzył wiele spraw, ale nigdy mnie nie oszukał.

- W porządku. A czy ty także coś spieprzyłaś?

Callie z cichym świstem wypuściła powietrze pomiędzy warg.

- Niejedno.

- Dobrze. Teraz posłuchaj mądrej cici Rosie, dziecinko - gdybym znalazła się na tak ostrym życiowym zakręcie jak ty w tej chwili, byłabym naprawdę szczęśliwa, mając przy sobie, za sobą czy przed sobą silnego, zakochanego mężczyznę. Jeśli mam być szczerą, to byłabym szczęśliwa, mając go przy sobie w każdej sytuacji, ale oczywiście to tylko mój punkt widzenia.

Callie przekrzywiła głowę i oparła ją o głowę Rosie.

- Dlaczego jeszcze nie wyszłaś za mąż i nie wychowujesz licznej gromadki dzieci?

- Skarbie, świat jest pełen dużych, silnych mężczyzn, więc trudno jest zdecydować się na jednego z nich. - Rosie poklepała Callie po ramieniu. - Mam ziołowe płatki, które mogłyby w cudowny sposób zmniejszyć te obwisłe wory pod twoimi oczami. Dam ci dwa, a ty wyciągnij się na pół godziny i przyłóż je na powieki.

Czuła się dość głupio, leżąc na śpiworze, z powiekami przykrytymi płatkami, które pachniały jak świeżo pokrojony ogórek. Wyobrażała sobie, że wygląda jak niewidoma sierotka.

Ale płatki były całkiem przyjemne, chłodne i kojące. Podczas pracy Callie rzadko myślała o swoim wyglądzie, miała jednak w sobie zdrową dawkę próżności i świadomość, że ma twarz jak wymięty worek, nie sprawiała jej bynajmniej przyjemności.

Może powinna położyć sobie maseczkę... Rosie zawsze miała mnóstwo takich dziewczynskich rzeczy w kosmetyczce. Tak, dobrze by było, gdyby trochę odświeżyła cerę. I musi pamiętać, żeby rano zrobić sobie lekki makijaż.

Nie ma najmniejszego powodu, by wyglądała jak sterana życiem staruszka, chociaż właśnie tak się czuła.

Nie wytrzymała trzydziestu minut, ale piętnaście, co i tak uznała za wielkie zwycięstwo siły woli. Wstała, wyrzuciła płatki i krytycznie przyjrzała się sobie w kieszonkowym lusterku.

Zdarzało jej się już wyglądać gorzej, lecz zwykle wyglądała lepiej.

Postanowiła zejść do kuchni, zrobić sobie coś do jedzenia i poprosić Rosie o radę w sprawie maseczki. Może przecież rozmazać sobie jakąś maź na twarzy i zająć się pracą.

Uznała to za inteligentny kompromis i ruszyła w dół po schodach. I nagle znieruchomiała na widok Jake'a, który właśnie otwierał drzwi jej rodzicom.

Co za dziwna sytuacja, pomyślała, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że wszystko to jest w jakiś sposób nierealne. Ile razy jej rodzice i Jake spotkali się twarz w twarz? Dwa razy? Nie, trzy...

Przyszło jej do głowy, że był to jeszcze jeden jej błąd. Uznała, że Jacob Graystone jest tak obcy stylowi życia jej rodziców, iż nigdy nie zrobiła prawdziwego wysiłku, aby włączyć go do rodziny. Teraz nie miała wątpliwości, że Jake miał dokładnie takie samo wyobrażenie o kontaktach, jakie mogłaby nawiązać z jego najbliższymi.

Nic dziwnego, że nigdy nie czuli się ze sobą zupełnie swobodnie... Przeczesała włosy palcami i szybko zeszła na dół.

- Zaskoczyliście mnie - powiedziała, usiłując mówić jasnym, pogodnym głosem, chociaż była potwornie spięta i zdenerwowana. - Szkoda, że nie zawiadomiliście mnie o przyjeździe, wyjechałabym wam na spotkanie. Na pewno mieliście trudności ze znalezieniem naszego domu...

- Zgubiliśmy się tylko dwa razy. - Vivian podeszła szybko i objęła Callie.

- Jeden raz - sprostował Elliot. - Za drugim razem po prostu chcieliśmy zobaczyć, dokąd prowadzi droga. I bylibyśmy tutaj godzinę wcześniej, gdyby twoja matka nie uparła się, żebyśmy wstąpili do cukierni...

- Po urodzinowy tort. - Vivian uwolniła Callie z objęć i wskazała pudło, które trzymał Elliot. - Jak moglibyśmy przejechać taki kawał drogi i nie przywieźć tortu. Wiem, że twoje urodziny są dopiero jutro, ale nie mogłam się oprzeć.

Uśmiech Callie zamarzał na parę sekund, lecz zaraz otrząsnęła się i sięgnęła po tort.

- Nigdy nie jest za wcześnie ani za późno na porządną dawkę cukru - oświadczyła z nieco wymuszoną swobodą.

Czuła, jak uderzają w nią fale ciekawości z salonu, gdzie biwakowała część zespołu.

- Ach... To jest Dory, Matt, Bob... I Rosie, na pewno ją pamiętacie...

- Oczywiście... Bardzo nam miło. - Vivian pogładziła ramię córki. - Cieszę się, że tu jesteś, Rosie.

- Może zabierzemy tort do kuchni, co wy na to? To jedyne miejsce, gdzie mamy dość krzeseł. - Callie odwróciła się i włożyła pudło z tortem prosto w dłonie Jake'a, uniemożliwiając mu ucieczkę. - Zaraz zaparzę kawę...

- Nie chcemy sprawiać ci kłopotu. - Elliot powoli poszedł za córką. - Myśleliśmy, że może zechcesz wybrać się z nami na obiad. Zarezerwowaliśmy pokój w hotelu po drugiej stronie rzeki. Powiedziano nam, że mają tam bardzo dobrą restaurację.

- Tak, ale...

- Mogę zamknąć tort w jakimś bezpiecznym miejscu - zaproponował Jake. - W przeciwnym razie zanim wrócisz, zostanie po nim tylko wspomnienie.

- Nigdy nie powierzyłabym ci niczego słodkiego. - Callie odebrała mu pudło i podjęła błyskawiczną decyzję. - Sama to schowam. Oczywiście pojedziesz z nami.

- Mam dużo pracy... - zaczął Jake.

- Ja także, ale nie zamierzam rezygnować z darmowego obiadu z dala od tej hordy, i nie zostawię cię sam na sam z tortem. Wracam za dziesięć minut - poinformowała zdumionych rodziców i wybiegła z pudłem.

Jake postukał palcami o udo, obmyślając sposób, w jaki mógłby zemścić się na Callie za to, że postawiła go w takiej sytuacji. Nie, niejedyn sposób - tuzin sposobów...

- Bardzo mi przykro, ale chyba nie pojedę - odezwał się. - Wiem, że chcecie spędzić trochę czasu tylko z Callie...

- Callie chce, żebyś z nami pojechał...

W głosie Vivian brzmiało tak oczywiste zaskoczenie, że Jake o mało nie parsknął śmiechem.

- Powiedźcie jej po prostu, że pojechałem na wykopalisko.

- Ona chce, żebyś z nami pojechał - powtórzyła Vivian. - Więc pojedziesz.

- Pani Dunbrook...

- Musisz zmienić koszulę i włożyć marynarkę - powiedziała. - I może krawat, chociaż to nie jest konieczne - dodała.

- Nie mam krawatu, to znaczy nie mam go tutaj, przy sobie. Oczywiście w ogóle mam krawat, ale nie tutaj... - Jake czuł się jak ostatni idiota.

- Wystarczy koszula i marynarka. Idź się przebrać, zaczekamy.

- Tak, pani Dunbrook...

Kiedy zostali sami, Elliot nachylił się i pocałował żonę. - Sterroryzowałaś go, ale w miły sposób.

- Nie wiem, co myśleć o nim i o tej całej sytuacji, ale jeżeli Callie chce mieć go przy sobie, to będzie go miała, i tyle. Zauważyłeś, jaki był zażenowany, że nie ma krawatu? Było mi go tak żal, że może w końcu przebaczę mu, iż była przez niego nieszczęśliwa.

Był bardzo zdenerwowany, choć właściwie to mało precyzyjne określenie - czuł się tak, jakby bez żadnego zabezpieczenia skoczył na głęboką wodę. Nie miał pojęcia, co powiedzieć tym ludziom, o czym z nimi rozmawiać.

Odkrył, że koszula wymaga wyprasowania, a przecież nie miał tu pod ręką cholernego żelazka... W ogóle białą koszulę oraz marynarkę woził z sobą wyłącznie na wypadek jakiegoś wywiadu dla telewizji lub ważnego spotkania na uniwersytecie.

Nie mógł sobie przypomnieć, czy oddał koszulę do pralni po tym, jak ostatni raz wkładał ją na siebie, więc powąchał ją czujnie. W porządku, sprawiała wrażenie świeżej. Punkt dla niego. Prawdopodobnie przepoci ją, zanim podadzą im przekąski.

Jeżeli Callie chciała go ukarać, nie mogła wybrać lepszego sposobu.

Wciągnął koszulę przez głowę, mając nadzieję, że marynarka zakryje zagniecenia.

Przystanął na środku pokoju. Wolał wyjść do nich dopiero w ostatniej chwili. Zmienił ciężkie traktory na nieco bardziej eleganckie, chociaż też sportowe buty. Pociągnął dłonią po twarzy i uświadomił sobie, że od kilku dni się nie golił.

Chwycił torebkę z przyborami do golenia i pognął do łazienki. Nikogo nie powinno się zmuszać do jedzenia obiadu z ludźmi, którzy patrzą na ciebie jak na wielce podejrzanego byłego męża córki, pomyślał.

Miał mnóstwo pracy i spraw do przemyślenia. I wcale nie potrzebował takiego emocjonalnego popołudnia. Zdrapywał żyłką pianę, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Czego?! - To Callie...

Jedną ręką gwałtownie otworzył drzwi i wciągnął ją do środka.

- Dlaczego mi to robisz? Co takiego ci ostatnio zrobiłem?

- Przecież to tylko obiad. - Odsunęła się, żeby uniknąć umazania kremem do golenia. - A ty lubisz jeść.

- Wyplacz mnie z tego. Uniosła brwi.

- Sam się wyplacz.

- Twoja matka mi nie pozwoli.

Callie poczuła miłe ciepło w okolicy serca.

- Naprawdę?

- Kazała mi zmienić koszulę.

- Ta jest całkiem ładna.

Jake z sykiem wypuścił powietrze spomiędzy zębów.

- Jest pognieciona. I nie mam krawatu.

- Wcale nie jest bardzo pognieciona, a krawat nie będzie ci potrzebny.

- Włożyłaś sukienkę! - W jego ustach zabrzmiało to jak ciężkie oskarżenie. Odwrócił się do lustra i skupił się na goleniu, surowo marszcząc brwi.

- Denerwujesz się obiadem z moimi rodzicami.

- Nie jestem zdenerwowany! - Zaklął, ponieważ zaciął się w podbródek.

- Po prostu nie rozumiem, dlaczego mam z nimi jechać. Jestem im potrzebny jak piąte koło u wozu.

- Przed chwilą mówiłeś, że moja matka nie pozwoliła ci się wyłgać, prawda? Wziął głęboki oddech, poraził ją wściekłym spojrzeniem.

- Nie odwracaj kota ogonem!

Ależ on jest słodki, pomyślała nagle. Jak mogłam nie zauważyć tego wcześniej...

- Próbowujemy dotrzeć gdzieś wspólnymi siłami, prawda, Graystone?

- Myślałem, że już dotarliśmy. - Zawiesił głos, wytarł ostrze. - Tak, masz rację, staramy się dotrzeć...

- Więc to jest część tej drogi. Część, której tym razem nie można pominąć.

- Dobrze, już dobrze... Przecież jadę. - Zmierzył ją uważnym spojrzeniem. - Dlaczego musiałaś włożyć kieckę?

Uniosła ramiona i wykonała półobrót, aby zademonstrować, jak dobrze leży na niej krótka, czarna sukienka.

- Nie podoba ci się?

- Może mi się podoba... Co masz pod nią?

- Jeżeli będziesz grzecznym chłopcem, niewykluczone, że później pozwolę ci sprawdzić. Starał się o tym nie myśleć. Wydawało mu się, że kiedy siedzi przy stole z rodzicami Callie, powinien powstrzymać się od snucia marzeń o tym, jak rozbierają z tej małej czarnej sukieneczki. A rozmowa toczyła się o wszystkim, tylko nie o najważniejszej w tej chwili sprawie w życiu Callie. O wszystkim, tylko nie o jej drugiej, czy może raczej pierwszej, rodzinie. Rozmawiali o wykopalisku, bo ten temat wydawał się najbezpieczniejszy, chociaż nikt nie wspominał o zabójstwach i pożarze.

- Callie chyba nigdy nie wspominała nam, co sprawiło, że wybrałaś ten

zawód. - Elliot spróbował wino i skinał głową, zezwalając kelnerowi napęlnić pozostałe kieliszki.

- Hmm... Interesowałem się ewolucją i formowaniem się kultur. - Jake z trudem powstrzymał się, by nie chwycić kieliszka i nie wypić wina do dna, jakby to było lekarstwo. - Chciałem wiedzieć, co skłania ludzi do tworzenia tradycji i budowania społeczeństw w taki, a nie inny sposób. Biedny facet wcale nie prosił o wykład, upomniał się w myśli.

- Wszystko zaczęło się, kiedy byłem jeszcze dzieckiem - ciągnął. - W żyłach mojego ojca płynie krew Apaczów, Anglików i Kanadyjczyków francuskiego pochodzenia. Matka ma korzenie irlandzkie, włoskie, niemieckie i francuskie. To dość skomplikowana mieszanka, prawda? Któregoś dnia zadałem sobie pytanie, jak doszło do jej powstania. Wszystkie takie rodzinne więzy sięgają daleko w przeszłość, a ja lubię szukać nowych tropów i rozwiązywać zagadki.

- Więc teraz pomagasz Callie rozwiązać zagadkę z jej przeszłości - rzekł Elliot spokojnie. Jake poczuł, jak siedząca obok niego Vivian zeszywniała. Callie podniosła rękę i wdzięcznym gestem oparła ją na ramieniu ojca.

- Tak - powiedział Jake. - Nie znosi, gdy się jej pomaga, więc trzeba ją zmusić do przyjęcia pomocy...

- Staraliśmy się wpoić jej potrzebę niezależności, a ona wzięła to sobie do serca.

- Chcesz powiedzieć, że wcale nie zamierzaliście wychować ją na nieustępliwą, twardą, upartą i apodyktyczną?

Elliot wydał wargi, pociągnął ryk wina i rzucił Jake'owi rozbawione spojrzenie.

- Nie, nie mieliśmy takiego zamiaru, ale ona najwyraźniej zrealizowała własne plany.

- Chciałeś chyba powiedzieć, że jestem zdecydowana, niezależna, samowystarczalna i pewna własnej wartości. - Callie ułamała kawałek chleba. - Prawdziwy mężczyzna nie robiłby z tego wielkiego problemu.

Jake podał jej masło.

- Nadal tu jestem, prawda?

- Raz już się ciebie pozbyłam.

- Tak ci się tylko wydaje... - Jake przeniósł spojrzenie na Elliota. - Mam nadzieję, że zajrzycie na wykopalisko, korzystając z pobytu w Woodsboro.

- Bardzo chętnie. Jutro, jeżeli wam to odpowiada.

- Przepraszam na chwilę. - Vivian odsunęła krzesło od stołu. Wstając, położyła rękę na ramieniu Callie i lekko je ścisnęła.

- Ach... Pójdę z tobą... O co chodzi? - syknęła, gdy znalazły się w

bezpiecznej odległości od stołu. - Nigdy nie zrozumieję tego dziewczynskiego zwyczaju chodzenia do toalety całymi grupkami!

- Prawdopodobnie ma to podłoże antropologiczne - mruknęła Vivian. - Zapytaj Jacoba...

- Zamknęła drzwi toalety i odwróciła się do Callie. - Masz dwadzieścia dziewięć lat, w pełni odpowiadasz za swoje życie, ale mimo wszystko nadal jestem twoją matką.

- Oczywiście! Jak mogłoby być inaczej? - Zaniepokojona Callie pieszczotliwie przycisnęła policzek do pachnącego policzka Vivian. - Nic tego nigdy nie zmieni.

- Jako twoja matka, mam prawo wtykać nos w twoje sprawy. Dlatego pytam - czy pogodziłaś się z Jacobem?

- Och... Cóż... Hmm... Nie wiem, czy to określenie można zastosować do sytuacji mojej i Jake'a.... Tak czy inaczej, można powiedzieć, że znowu jesteśmy razem. W pewien sposób.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Szczerze i naprawdę, nie tylko dlatego, że przeżywasz teraz trudne chwile?

- Jake zawsze był mężczyzną, którego pragnęłam mieć przy sobie. - Callie uśmiechnęła się lekko. - Nie umiem wyjaśnić, dlaczego. Za pierwszym razem potwornie spieprzyliśmy sprawę, ale...

- Nadal go kochasz?

- Nadal go kocham. Doprowadza mnie do furii, ale dzięki niemu jestem szczęśliwa. Stawia mi rozmaite wyzwania, lecz tym razem, może dlatego że bardzo się stara, a może dlatego że pozwalał mi na to, opiekuje się mną i pociesza. Wiem, że wzięliśmy rozwód i nie widziałam go prawie rok... Pamiętam, co mu powiedziałam, kiedy się rozstawaliśmy, i wiem, że tak wtedy myślałam, albo chciałam myśleć, ale kocham go... Uważasz, że zwariowałam?

Vivian pogładziła włosy Callie.

- Kto twierdzi, że miłość jest spokojnym, normalnym uczuciem? Callie się roześmiała.

- Nie wiem...

- Miłość nie zawsze daje się pogodzić z rozsądkiem i nie zawsze bywa wygodna. I prawie zawsze wymaga cholernie dużo wysiłku.

- Za pierwszym razem nie postaraliśmy się. Żadne z nas nie rwało się do podjęcia wysiłku, o którym mówisz.

- Było wam dobrze w łóżku. Proszę cię... - Vivian oparła się o umywalkę i podniosła dłoń, widząc zmieszanie Callie. - Sama często miałam okazję przeżywać wspaniały seks. Między tobą i Jacobem istnieje dość wyjątkowy rodzaj napięcia... Jest dobrym kochankiem?

- Jest... Jest doskonały.

- To ważne. - Vivian odwróciła się do lustra, przypudrowała nos. - Namiętność ma ogromne znaczenie, a seks to jedna z najważniejszych form porozumiewania się w małżeństwie. Jednak równie ważne, przynajmniej moim zdaniem, jest to, że Jacob siedzi tam w tej chwili z twoim ojcem. Nie chciał tu z nami przyjechać, ale się przełamał. To dowód, że naprawdę się stara. Jeżeli ty również się przyłożysz, możliwe, że uda wam się zbudować coś bardzo pięknego.

- Żałuję... Żałuję, że nie porozmawiałam o nim z tobą wcześniej. O nas.

- Ja też żałuję, kochanie.

- Chciałam poradzić sobie z tym sama, ale wszystko zepsułam.

- Nie poszło ci najlepiej, to prawda. - Vivian ujęła twarz Callie między dłonie. - Jestem jednak więcej niż pewna, że on też miał w tym swój udział.

Callie uśmiechnęła się szeroko.

- Kocham cię, mamó.

W drodze do domu Callie postanowiła, że zaczeka, aż Jake sam podzieli się z nią wrażeniami ze spotkania, lecz po paru chwilach nie wytrzymała.

- No więc? - odezwała się. - Co o tym myślisz?

- O czym?

- O obiedzie.

- Bardzo dobry. Od wielu miesięcy nie jadłem tak pysznych zeberek.

- Nie chodzi mi o jedzenie, matole! Pytam, co myślisz o nich, o moich rodzicach!

- Też są bardzo dobrzy. Trzymają się i walczą, a to wymaga nie lada kręgosłupa.

- Polubili cię.

- Nie znienawidzili mnie. - Jake wzruszył ramionami. - A sądziłem, że tak właśnie się to skończy i że będziemy siedzieli przy stole w lodowatej, poprawnej i oficjalnej atmosferze. Mogłem też podejrzewać, że wrzucą mi trutkę na szczury do jedzenia, kiedy odwrócę głowę.

- Polubili cię - powtórzyła. - I ty też świetnie sobie poradziłeś. Dziękuję.

- Ciekawi mnie jedna rzecz...

- Co takiego?

- Czy teraz co roku będziesz dwa razy obchodziła urodziny? Bo po pierwsze, nie lubię robić zakupów, a po drugie, kupowanie ci dwóch prezentów mocno uderzy mnie po kieszeni.

- Nie dałeś mi jeszcze żadnego prezentu.

- Powoli, wszystko w swoim czasie. - Jake skrzywił się w wyżwirowaną boczną drogę i podjechał pod dom. - Pojawił się pewien problem, skarbie.

Jesteśmy w małym miasteczku, więc twoi rodzice na pewno wpadną na Cullenów, jeżeli zostaną tu dłużej niż dwa dni.

- Wiem. Zajmę się tym, kiedy nie będę miała innego wyboru.

Wysiadła z samochodu i chwilę stała bez ruchu, delektując się przyjemnie chłodnym nocnym powietrzem.

- Podobno miłość wymaga wysiłku - mruknęła. - Więc musimy się starać...

Jake ujął jej rękę i podniósł do ust.

- Wcześniej nigdy tego nie robiłeś - zauważyła. - A teraz bardzo często...

- Wcześniej nie robiłem wielu rzeczy. Zaczekaj chwilę... - Wsunął palce pod materiał sukienki na jej piersiach.

Zaśmiała się cicho.

- Akurat to robiłeś przy każdej sposobności...

Jake podniósł dłoń i zatrzymał ją tuż przed jej oczami. Z jego kciuka i palca wskazującego zwisała błyszcząca złotem bransoletka, lśniąca od ozdobnych nacięć, układających się w skomplikowany bizantyjski wzór.

- Skąd to się tu wzięło? - zapytał, udając zdziwienie.

- Och... - wykrztusiła Callie. - Och, jej...

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Przecież to... To jest biżuteria. Nigdy nie dawałeś mi biżuterii...

- To bezczelne kłamstwo. Dałem ci złotą obrączkę, prawda?

- Ślubna obrączka się nie liczy! - Callie szybko zerwała bransoletkę z jego palców i dokładnie ją obejrzała. Złoto było tak delikatne, robota tak mistrzowska, że to cacko dosłownie przelewało jej się między palcami. - Jest piękna, naprawdę. Och, Jacob...

Zachwycony jej reakcją, wziął bransoletkę i zapiął na jej przegubie.

- Doszły mnie słuchy, że współczesne kobiety lubią ozdoby. Ładnie na tobie wygląda. Ostrożnie przesunęła palcem po rzeźbionym metalu.

- Jest taka... Och...

- Gdybym wiedział, że z powodu zwykłej błyskotki zabraknie ci słów, zasypałbym cię nimi już dawno temu. Niesamowite, chyba pierwszy raz naprawdę cię zatkało...

- Nie zepsujesz tej chwili niesmacznymi żartami. Jest cudowna. - Callie unieruchomiła jego głowę obiema dłońmi i pocałowała go.

Odsunęła się odrobinę, tylko po to, żeby spojrzeć mu w oczy i zobaczyć w nich swoje odbicie. Zaraz potem pocałowała go znowu, głęboko i zachłannie, zanurzając palce w jego włosach.

Poczuła, jak ogarnia ją dziwne gorąco i rozkosz, miękka, niespieszna i

słodka. Jake otoczył ją ramionami. Stali tak, lekko kołysząc się w ciemności, z każdą chwilą coraz bardziej wtapiając się w siebie.

- Naprawdę jest prześliczna - zamruczała Callie.

- Odniosłem wrażenie, że rzeczywiście ci się podoba.

Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę domu. Kiedy otworzył drzwi, usłyszeli głośne dźwięki, dobiegające z włączonego telewizora.

- Na dole jest chyba tłok - szepnął Jake. - Chodźmy od razu na górę...

- Twój pokój jest na parterze.

- Byłem grzecznym chłopcem - przypomniał, ciągnąc ją za sobą w kierunku schodów. - Teraz chcę się dowiedzieć, co jest pod tą sukienką...

- Cóż, obietnice należy spełniać. - Callie otworzyła drzwi swojej sypialni i nagle podejrzliwie zmrużyła oczy. - Skąd się to tu wzięło, do diabła?

Łóżko stało na środku pokoju. Wyglądało na stare i miało metalowe wezglowie, pomalowane srebrzystą farbą. Materac obleczono w świeże prześcieradło, a na poduszce leżała kartka.

„Materac kupiliśmy na promocji w centrum handlowym, ramę łóżka na wyprzedaży, ze składek całego zespołu”.

- Super! - Callie, ucieszona, podbiegła do łóżka, usiadła na brzegu i kilka razy podskoczyła na materacu. - Wspaniale, słowo daję! Powinam zejść na dół i wszystkim podziękować...

Jake z szerokim uśmiechem zamknął za sobą drzwi na klucz.

- Najpierw podziękuj mnie.

Może sprawiło to nowe łóżko, może seks, a może fakt, że przeżyła swoje urodziny w dwóch etapach - tak czy inaczej, następnego dnia Callie obudziła się w wyśmienitym nastroju.

Czuła się tak zżyta z zespołem i miała tak wielkie wyrzuty sumienia z powodu przeszukania dwóch plecaków, że na śniadanie poczęstowała wszystkich swoim urodzinowym tortem.

Przygotowywała herbatę z lodem, kiedy do kuchni wszedł Leo.

- Wszystkiego najlepszego - wymamrotał, kładąc na blacie spore pudełko. - Chciałbym, żeby było jasne, iż nie miałem z tym nic wspólnego. Callie dotknęła pudełka jednym palcem.

- Ale to chyba nic żywego, co?

- Nie ponoszę za nic odpowiedzialności.

Przełaza herbatę do dzbanka i przeniosła pudełko na stół, aby tam je otworzyć. Kolorowy papier w baloniki ozdobiony był ogromną różową kokardą. Otworzyła opakowanie i spod grubej warstwy styropianowych kulek wydobyla płytkie, kwadratowe naczynie, pokryte niebiesko - zielono - żółtą glazurą. - Niezłe... To jest... Co to jest?

- Mówiłem, że nie mam z tym nic wspólnego - przypomniał Leo.

- Popielniczka? - zasugerowała Rosie.

- Za duże. - Bob wyjrzał zza jej ramienia. - Miska na zupe?

- Za płytkie. - Dory z namysłem wyduła wargi. - Może misa do podawania owoców...

- Można tego użyć jako pojemniczka na potpourri albo coś w tym rodzaju - powiedziała Fran, nalewając sobie herbaty.

Po paru sekundach wokół stołu zgromadził się cały zespół.

- To zwykły zbieracz kurzu - orzekł Matt.

- Dzieło sztuki - sprostował Jake. - Dzieło sztuki może nie mieć żadnego konkretnego przeznaczenia...

- No, właśnie. - Callie odwróciła misę i pokazała wszystkim jej podstawę. - Spójrzcie, jest sygnowana. Mam misę, która wyszła spod ręki Clary Greenbaum. Hmm... Trochę waży. I ma bardzo... Bardzo interesujący kształt i wzór. Dziękuję, Leo.

- Nie ponoszę za nic odpowiedzialności.

- W takim razie sama zadzwonię do artystki i podziękuję. - Callie postawiła misę na środku stołu i cofnęła się o parę kroków, by się jej przyjrzeć.

Bez wątplenia był to najbrzydszy przedmiot, jaki kiedykolwiek widziała.

- Wygląda naprawdę... Naprawdę artystycznie - dokończyła szybko.

- Doskonale sprawdzi się w roli pojemnika na suszone płatki kwiatów. - Rosie pociesząco poklepała ją po ramieniu. - Wsypiesz do środka mnóstwo potpourri i wszystko będzie w porządku...

- Tak jest - przytaknęła z zapalem Callie. - No, dosyć tego leniuchowania. - Wrzuciła parę kostek lodu do pełnego herbaty termosu i zakręciła go. - Biermy się do roboty.

- Jak nazwiesz to coś, kiedy zadzwonisz do Clary? - zainteresował się Jake, kiedy szli do samochodu.

- Prezentem.

- Dobra myśl.

Suzanne wytarła spocone, drżące dłonie o materiał spodni na biodrach i podeszła do drzwi. Serce biło jej szybko, i to chyba w dwóch miejscach równocześnie - w klatce piersiowej i w okolicach żołądka...

Jakaś jej część wcale nie miała ochoty otwierać drzwi. To był jej dom, a kobieta, która stała na jego progu, była pośrednio odpowiedzialna za to, co kiedyś prawie go zniszczyło.

Zaraz jednak wzięła się w garść, wyprostowała ramiona, podniosła głowę i otworzyła drzwi.

W pierwszej chwili pomyślała, że Vivian Dunbrook jest po prostu śliczna, ubrana w doskonale skrojony szary kostium, którego elegancję podkreślała prosta, wyjątkowo ładna biżuteria i klasyczne czółenka na niskim obcasie.

Była to typowo kobieca reakcja. Suzanne przypomniała sobie, że po telefonie Vivian sama przebierała się dwa razy. Teraz żałowała, że nie włożyła granatowego kostiumu zamiast mniej oficjalnych czarnych spodni i białej bluzki.

Moda jako wspólny mianownik, pomyślała. Co za głupstwa...

- Pani Cullen... - Palce Vivian mocno zacisnęły się na uchwycie torebki.

- Bardzo dziękuję, że zechciała pani się zobaczyć ze mną...

- Proszę wejść.

- Mieszka pani w wyjątkowo pięknym miejscu. - Vivian weszła do holu. Jej głos nie zdradzał zdenerwowania. - I ma pani cudowny ogród...

- Lubię się nim zajmować, to moje hobby. - Suzanne wprowadziła gościa do salonu. - Proszę usiąść... Czy ma pani ochotę na coś do picia?

- Nie, dziękuję, proszę nie robić sobie kłopotu. - Vivian podeszła do fotela, ze wszystkich sił usiłując zapanować nad drżeniem kolan. - Na pewno jest pani bardzo zajęta, bo przecież kobieta o tej pozycji...

- Pozycji?

- Chodzi mi o pani firmę. Odnosi pani ogromne sukcesy, my także bardzo cenimy pani produkty... Szczególnie mój mąż. Elliot ma słabość do słodyczy. Oczywiście, bardzo chciałby poznać oboje państwa, ale ja... Bardzo chciałam najpierw porozmawiać z panią sama...

Ja też potrafię być taka chłodna, powiedziała sobie Suzanne. Uprzejma i elegancka... Usiadła, skrzyżowała nogi, uśmiechnęła się.

- Długo zamierzają państwo zabawić w Woodsboro?

- Dwa dni, może trzy. Chcieliśmy zobaczyć teren, gdzie prowadzone są prace... Rzadko mamy okazję oglądać wykopaliska, przy których pracuje Callie... Och, co za nieznośna sytuacja...

- Nieznośna? - pytająco powtórzyła Suzanne.

- Myślałam, że wiem, co powiedzieć i w jaki sposób. Przećwiczyłam to sobie parę razy. Dziś rano zamknęłam się na godzinę w łazience i trenowałam przed lustrem, ale... - W głosie Vivian brzmiało wielkie wzruszenie. - Ale teraz nie mam pojęcia, co i jak powiedzieć... Przepraszam? Co to da, jeżeli powiem, że jest mi przykro? Niczego to nie zmieni, nie zwróci pani tego, co zostało zabrane... Poza tym, to nie byłoby całkowicie szczerze. Jak mogę żałować tego, że wychowałam Callie? Nie mogę... Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, przez co pani przeszła...

- Nie, nie potrafi pani. To ja powinnam była tulić ją do siebie wtedy, kiedy pani trzymała ją na rękach. Ja powinnam była ze smutkiem i dumą patrzeć, jak pierwszego dnia szkoły po raz pierwszy odchodzi ode mnie, czytać jej bajki i czuwać w nocy, kiedy była chora, karać za nieposłuszeństwo i pomagać w odrabianiu lekcji. I płakać, kiedy szła na pierwszą randkę i kiedy wyjeżdżała do college'u... - Suzanne położyła rękę na sercu. - Ja powinnam była przeżywać to wszystko, ale przypadło mi w udziale tylko poczucie wielkiej pustki... Tylko tyle...

Siedziały w tym pięknym pokoju, obie sztywne i spięte, rozdzielone gorącą rzeką goryczy.

- Nie mogę oddać pani tych przeżyć. - Vivian wyprostowała ramiona, podniosła głowę. - I w głębi serca wiem, że gdybyśmy dowiedzieli się o tym dziesięć czy dwadzieścia lat temu, walczyłabym o prawo do nich. Nie mogę nawet powiedzieć, że żałuję, iż nasze życie nie ułożyło się inaczej...

- Nosилаm ją w sobie przez dziewięć miesięcy, trzymałam ją w ramionach, kiedy po raz pierwszy patrzyła na świat. - Suzanne wychyliła się do przodu, jakby szykowała się do skoku. - Dałam jej życie.

- Tak, to jest coś, co nigdy nie było mi dane. Ta więź nigdy nie zaistnieje między mną i Callie, i zawsze będę świadoma, że łączy ona was obie. Callie także nigdy o tym nie zapomni. Zawsze będzie widziała w pani kogoś wyjątkowego, wyjątkowego także w historii jej życia. Dziecko, które było moje, po części należy teraz do pani. Już nigdy nie będzie wyłącznie moje... - Vivian przerwała, próbując powstrzymać łzy. - Nie jestem w stanie zrozumieć, co pani czuje, a pani nie zdoła zrozumieć mnie. Może w gruncie rzeczy wcale nie zależy nam, żeby się nawzajem zrozumieć... Najbardziej boli mnie jednak to, że żadna z nas nie wie, co czuje Callie...

- Tak, nie wiemy tego. - serce Suzanne zadrżało. - Nie wiemy... Możemy tylko się starać, żeby było jej trochę łatwiej. Na pewno możemy odnaleźć w sobie coś więcej niż tylko gniew, pomyślała. Na pewno, ze względu na dziecko, które stoi między nami...

- Nie chcę, żeby cierpiała - powiedziała cicho. - Nie chcę, żeby czuła się zraniona, wszystko jedno, przez co czy przez kogo. I boję się o nią. Boję się, jak daleko mogą posunąć się ludzie, którym zależy, żeby nie odkryła prawdy, którzy usiłują ją powstrzymać...

- Nic jej nie powstrzyma. Zastanawiałam się, czy nie byłoby dobrze, gdyby pojechała pani ze mną i żebyśmy obie poprosiły ją, by dała spokój. Rozmawiałam nawet o tym z Elliotem, ale dobrze wiem, że ona nie przestanie, a byłoby jej przykro, gdybyśmy prosiły ją o coś, czego nie może nam obiecać...

- Mój syn jest teraz w Bostonie - rzekła Suzanne. - Stara się jej pomóc.

- My też próbujemy coś zrobić. Elliot zna wielu lekarzy, w końcu to jego koledzy po fachu. Nie mogę uwierzyć, że Henry Simpson, mój lekarz. - Vivian podniosła dłoń do gardła, zacisnęła palce na prostym złotym naszyjniku. - Kiedy Callie znajdzie odpowiedzi, a znajdzie je na pewno, nie spocznie, dopóki winni nie zostaną ukarani. Dobrze, że nie jest sama. Ma rodzinę, przyjaciół, Jacoba.

- Trudno powiedzieć, do której grupy należy Jacob, prawda?

Twarz Vivian rozjaśnił niewymuszony uśmiech, pierwszy od chwili, gdy przekroczyła próg domu Suzanne.

- Mam nadzieję, że tym razem oboje podejmą właściwą decyzję. Powinam... Powinam już iść, ale chciałam dać to pani. - Położyła rękę na torebce. - Przejrzałam wszystkie zdjęcia z naszych albumów i zrobiłam odbitki tych, które... które może chciałaby pani mieć. I... Na odwrocie zapisałam daty i okoliczności, w jakich je robiliśmy... Niektórych nie mogłam sobie przypomnieć, ale starałam się...

Wstała, wzięła torbę i podała ją Suzanne, która także powoli podniosła się z krzesła.

- Chciałam panią zniechęcić - wyznała nagle Suzanne. - Tak bardzo pragnęłam, żeby okazała się pani okropna, zasługująca na nienawiść... Mówiłam sobie, że nie wolno mi tak myśleć, bo jakże mogłabym pragnąć, aby moją córkę wychowała okropna, zła kobieta, ale nie potrafiłam stłumić tego uczucia.

- Wiem, ja też pragnęłam panią zniechęcić. Wcale nie chciałam, żeby miała pani taki piękny dom i żeby mówiła pani o niej z taką wielką miłością... Chciałam, żeby była pani zła i zimna. I gruba.

Suzanne parsknęła śmiechem i szybko wytarła mokre policzki.

- Boże, wreszcie czuję się trochę lepiej... - powiedziała. - Nie do wiary... - Pozwoliła sobie spojrzeć w oczy Vivian. - Nie wiem, co z tym wszystkim zrobimy...

- Ja też nie...

- Ale teraz chciałabym obejrzeć te zdjęcia. Weźmy je ze sobą do kuchni, dobrze? Zaparzę świeżą kawę.

- Och, wspaniale...

W czasie gdy Suzanne i Vivian ze wzruszeniem oglądały zdjęcia Callie, pijąc kawę i jedząc owocowe ciasto, Doug po raz drugi spotkał się z doktor Roseanne Yardley w jej gabinecie.

- Nie wspominał pan, że jest pan synem Suzanne Cullen.

- Czy to coś zmienia?

- Podziwiam i szanuję kobiety, które własnymi siłami osiągają sukces.

Parę lat temu uczestniczyłam w konferencji poświęconej zdrowiu i bezpieczeństwu dzieci, gdzie Suzanne Cullen wygłosiła referat. Bardzo poruszający referat, najwyraźniej oparty na jej własnych doświadczeniach. Pomyślałam wtedy, że pani Cullen jest bardzo dzielną kobietą.

- Niedawno ja też zacząłem zdawać sobie z tego sprawę.

- Przez większą część życia starałam się dbać o zdrowie i bezpieczeństwo dzieci, i zawsze uważałam, że robię, co w mojej mocy. Trudno jest mi przyjąć do wiadomości, że być może moje dobre chęci zostały dla zysku wykorzystane przez człowieka, z którym kiedyś się związałam.

- Marcus Carlyle zorganizował porwanie i sprzedaż mojej siostry - powiedział Doug. - Niewątpliwie nie był to odosobniony wyczyn w jego karierze. Wydaje się bardzo prawdopodobne, iż rzeczywiście panią wykorzystał. Niewykluczone, że wśród pani pacjentów znajdowały się porwane dzieci...

Roseanne Yardley milczała dłuższą chwilę.

- Długo zastanawiałam się nad tym wszystkim, chociaż nie było to przyjemne - odezwała się w końcu. - Nie uda się panu porozmawiać z Lorraine, Richard nie dopuści pana do matki. Poza tym Lorraine naprawdę nie czuje się najlepiej, a co ważniejsze, nigdy nie zdradzała zainteresowania pracą Marcusa. Ale... - Roseanne położyła na blacie biurka złożoną kartkę. - Mam tu lepszy i na pewno użyteczniejszy kontakt - oto adres sekretarki Marcusa. Znam wielu ludzi - dodała z gorzkim uśmiechem. - Wykonałam kilka telefonów, to wszystko. Nie mogę zapewnić pana, że ten adres jest nadal aktualny, lecz stwarza to jakąś szansę.

Doug zerknął na kartkę. Dorothy McLain Spencer, Charlotte.

- Dziękuję pani.

- Jeżeli znajdzie pan Dorothy Spencer i odpowie na pytania, które pan postawił, proszę dać mi znać. - Doktor Yardley podniosła się z biurka. - Pamiętam, jak któregoś wieczoru rozmawialiśmy z Marcusem o pracy i jej znaczeniu w naszym życiu. Powiedział wtedy, że pomoc, jaką służy, umieszczając dzieci w dobrych, pełnych miłości rodzinach, to najwspanialszy aspekt jego pracy. Wierzyłam mu i mogłabym przysiąc, że on także głęboko w to wierzył.

Lana uśmiechnęła się, słysząc głos Douga w słuchawce. Odchrząknęła i postarała się mówić z lekką zadyszką w głosie.

- Och, to ty... - rzuciła niedbale. - Digger, nie teraz... - dodała scenicznym szeptem. - Hej.

- Przykro mi, ale muszę ci o czymś powiedzieć. Ja i Digger kochamy się do szaleństwa i zamierzamy uciec na Bora Bora. No, chyba że zaproponujesz

mi coś lepszego...

- Weekend w Holiday Inn?

- W porządku, umowa stoi. Gdzie jesteś?

- W drodze na lotnisko. Dostałem adres byłej sekretarki Carlyle'a, więc jadę do Charlotte, żeby sprawdzić, czy jeszcze tam mieszka. Połączenie mam fatalne, więc podróż w jedną stronę zajmie mi cały dzień. Chciałem, żebyś wiedziała, gdzie mnie szukać. Masz kartkę i ołówek?

- Jestem adwokatem, na miłość boską!

- Dobrze, pisz. - Podyktował jej adres i numer telefonu hotelu, w którym zarezerwował pokój. - I przekaż to wszystko mojej rodzinie, dobrze?

- Niezwłocznie.

- Wydarzyło się coś ważnego? - zapytał.

- Za tydzień, najwyżej dwa, przeprowadzam się z powrotem do swojego biura. Jestem bardzo podekscytowana.

- Nie ma żadnych nowych poszlak w sprawie podpalenia?

- Policja wie, jak to się stało, ale nie wie, kto podpalił. To samo dotyczy przyczepy. Brakuje nam tu ciebie...

- Miło to słyszeć. Zadzwoń, kiedy zamelduję się w hotelu, a po powrocie zamierzam zająć miejsce Diggera.

- Ach, tak?

- Tak. On się wyprowadza, ja się wprowadzam. Bez dyskusji.

- Takie postawienie sprawy to prawdziwe wyzwanie dla prawnika.

Wracaj szybko, to omówimy warunki.

Odłożyła słuchawkę, lecz na jej twarzy nadal gościł uśmiech. Po chwili znowu sięgnęła po telefon, gotowa zrealizować plan, który przed paroma sekundami narodził się w jej głowie.

- Czas na przerwę, szefowo.

Nisko pochylona Callie delikatnie zdmuchnęła ziemię z niewielkiej kamiennej wypukłości.

- Znalazłam coś - wymamrotała. Rosie uniosła brwi.

- Codziennie znajdujesz jakieś kostki. W porównaniu z tobą wszyscy wychodzimy na kompletnych leniuchów.

- To kamień, nie kość.

- Na pewno nigdzie się nie oddali. Przerwa na lunch.

- Nie jestem głodna. - Callie nawet nie podniosła głowy. Rosie przysiadła na piętach i otworzyła termos Callie.

- Jest pełny, do diabła! Chcesz posłuchać wykładu na temat odwodnienia?

- Piłam wodę. Nie wydaje mi się, żeby to była część narzędzia albo

broni...

- Może tu trzeba geologa. - Rosie pociągnęła łyk herbaty z termosu Callie i zeskoczyła do wykopu, aby przyjrzeć się odsłoniętej części kamienia. - Robi wrażenie poddanego obróbce, tak, na pewno... - Przesunęła kciukiem po wygładzonej powierzchni. - Wygląda mi to na riolit. Typowe dla tej osady...

- Ale inne w dotyku - oświadczyła Callie.

- Rzeczywiście. - Rosie patrzyła, jak Callie omiata kamień pędzelkiem.

- Chcesz zrobić zdjęcia?

Callie kiwnęła głową.

- Tak, ale nie wołaj Dory, przyniesiesz tylko aparat. Jest tutaj taka wystająca część... Zupełnie, jakby ktoś ją wyrzeźbił...

Pracowała bez chwili przerwy. Rosie wróciła z aparatem fotograficznym i spojrzała w kierunku bramy.

- Właśnie przyjechała następna grupa - oznajmiła. - To miejsce zaczyna do złudzenia przypominać Disneyland. Tłumy zwiedzających i to od samego rana. Odsuń się, bo rzucasz cień...

Callie zaczekała, aż Rosie zrobi kilka ujęć i krótką łopatką zaczęła ostrożnie odgarniać ziemię.

- Czuję brzegi tego czegoś - powiedziała. - Za małe jak na topór, za duże jak na grot dzidy... Zresztą i tak kształt jest zupełnie inny...

- Chcesz pół kanapki? - zapytała Rosie.

- Może później...

- Wypiję tę herbatę, nie chce mi się wracać po moją lemoniadę. - Rosie usiadła na ziemi i zaczęła jeść, obserwując wynurzający się z ziemi kształt. - Wiesz, na co mi to wygląda?

- Tak, wiem, bo ja też już widzę... - Callie poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz podniecenia. - Tylko popatrz... Trafilo nam się chyba święto sztuki...

- To krowa! - zawołała Rosie. - Krowa z kamienia, do cholery! Callie z uśmiechem oglądała kamienną figurkę.

- Niesamowite, zbieracz kurzu... - mruknęła. - Ciekawe, co powie na to nasz antropolog... Najwyraźniej starożytny człowiek też odczuwał potrzebę posiadania ładnych, choć może bezużytecznych przedmiotów... Śliczne, prawda?

- Śliczne - zgodziła się Rosie. Przetarła oczy, usiłując pozbyć się ciemnych punkcików z pola widzenia. - Chyba trochę za długo siedziałam w słońcu... Chcesz jeszcze parę zdjęć?

- Tak, z łopatką obok, dla porównania wielkości. - Callie sama sięgnęła po aparat, ustawiła obiektyw i zrobiła kilka fotografii.

Chwyciła notes i już miała zabrać się do sporządzania opisu figurki, kiedy zauważyła, że Rosie siedzi zupełnie nieruchomo.

- Hej, dobrze się czujesz? - zapytała.

- Kręci mi się w głowie... Chyba powinnam... Rosie z trudem podniosła się z ziemi, zachwiała się. Callie rzuciła się ku niej, usiłując ją podtrzymać.

- Co się dzieje?! Jezu Chryste! Hej, niech mi ktoś pomoże! - krzyknęła.

- Co jest? - pierwszy do wykopu wskoczył Leo. - Co się stało?

- Nie wiem... Rosie zemdląca. Wyciągnijmy ją stąd - rzuciła do Jake'a, który przybiegł zaraz za Leo.

- Wezmę ją na ręce. Cofnij się, Matt.

Bez wielkiego trudu podniósł ważącą sześćdziesiąt pięć kilo, całkowicie bezwładną Rosie. Ludzie, którzy już zdążyli zgromadzić się nad wykopem, pomogli mu ułożyć ją na ziemi.

- Proszę zrobić mi miejsce, jestem pielęgniarzką! - Przez tłum przepchnęła się drobna kobieta. - Co się stało?

- Powiedziała, że kręci się jej w głowie i zaraz potem zemdląca...

- Choruje na coś? - Kobieta sprawdziła puls Rosie.

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Rosie zawsze miała końskie zdrowie.

Pielęgniarka uniosła prawą powiekę, przyjrzała się źrenicy.

- Proszę wezwać karetkę - poleciła.

Callie wpadła na izbę przyjęć tuż za wiozącym Rosie wózkiem. Nie wiedziała, co się dzieje, ale jednego była pewna - Rosie nie zemdląca ot, tak sobie, bez poważnego powodu.

- Co jej jest? Jaki jest jej stan?

Pielęgniarka, która przyjechała karetką na teren wykopaliska, chwyciła Callie za ramię.

- Lekarze dopiero to ustalą, proszę dać im trochę czasu. Niech pani poda mi wszystkie dane chorej...

- Rosie, to znaczy, Rose Jordan. Wiek... Trzydzieści cztery lata, może trzydzieści pięć... Nigdy nie skarżyła się na żadne dolegliwości ani alergię... Była zupełnie zdrowa. Nagle źle się poczuła i zemdląca. Dlaczego jeszcze nie odzyskała przytomności?

- Przyjmowała jakieś leki?

- Nie, nie, mówię przecież, że nie jest na nic chora! Nie przyjmowała leków.

- Proszę usiąść sobie na korytarzu i poczekać. Ktoś przyjdzie do pani, kiedy tylko dowiemy się, co spowodowało utratę przytomności.

Na korytarzu czekał już Jake.

- Co powiedzieli?

- Nic. Zabrali ją gdzieś tam do środka... Pielęgniarka zadała mi kilka pytań, ale nic nie powiedziała...

- Zadzwoń do ojca.

- Słucham?

- Zadzwoń do ojca, przecież jest lekarzem. Możliwe, że jemu powiedzą coś, czego nie powiedzieliby nam.

- Boże, dlaczego na to nie wpadłam! Nie jestem w stanie myśleć... - Callie szybko wyjęła z plecaka telefon komórkowy.

Wyszła do holu i, czekając na połączenie, starała się oddychać głęboko i powoli.

- Przyjedzie - poinformowała po chwili Jake'a. - Zaraz tu będzie.

Na widok idącej w ich stronę pielęgniarki mocno chwyciła go za rękę.

- Usiądźmy.

- O, mój Boże... - jęknęła Callie. - Boże...

- Proszę się uspokoić, lekarze robią, co w ich mocy. Muszą nam państwo pomóc. Musimy wiedzieć, jakie lekarstwa zażywała. Im szybciej uzyskamy tę informację, tym prędzej będzie można zastosować odpowiednie leczenie. Czy mogła przyjąć jakieś środki odurzające?

- Nie zażywała żadnych leków, ani ostatnio, ani wcześniej - powiedziała Callie ze znużeniem. - Znam ją od lat. A jeśli chodzi o narkotyki, to nigdy nie widziałam, żeby zapaliła skręta, nie mówiąc o czymś mocniejszym. Rosie jest czysta, naprawdę. Jake, wiesz może coś, czego ja nie wiem?

- Rosie na pewno nie jest uzależniona - potwierdził Jake. - Niemożliwe, aby coś wzięła. Przez cały ranek pracowałem w odległości trzech metrów od niej. Nigdzie się nie oddalała, dopiero tuż przed przerwą na lunch poszła do Callie.

- Przy mnie zjadła pół kanapki i wypła dwie filiżanki herbaty z lodem. Byłam zajęta pracą, Rosie zrobiła kilka zdjęć przedmiotu, który wydobywałam. Potem powiedziała, że za długo siedziała na słońcu, tak, coś w tym sensie, i że kręci jej się w głowie. - Nachyliła się i chwyciła pielęgniarkę za przegub dłoni. - Proszę na mnie spojrzeć, proszę posłuchać... Gdyby coś wzięła, nie ukrywałabym tego... To moja przyjaciółka. Niech mi pani powie, jak ona się czuje, proszę...

- Badania jeszcze trwają, ale symptomy wskazują na przedawkowanie jakiegoś narkotyku.

- To niemożliwe. - Callie spojrzała na Jake'a. - Zwyczajnie niemożliwe! Nie uwierzę... - Nagle przerwała, a kiedy jej żołądek zwinął się w twardą kulkę, na ślepo sięgnęła po rękę Jake'a. - Moja herbata... - wyszeptała. - Rosie wypła moją herbatę...

- Czy coś w niej było? - zapytała pielęgniarka.

- Ja nic do niej nie dodawałam, ale...

- Ale mógł to zrobić ktoś inny - dokończył Jake, wyszarpując z kieszeni komórkę. - Dzwonię na policję.

Siedziała na krawężniku, z głową opartą o kolana. Musiała uciec od szpitalnego zaduchu, odetchnąć świeżym powietrzem, uciec od rozbrzmiewających wokół głosów i dzwoniących telefonów. I od widoku krzesel z pomarańczowego plastiku w poczekalni, która wydawała się ciasnym pudełkiem, pełnym cierpienia i strachu.

Nie podniosła głowy, kiedy obok niej usiadł ojciec. Wyczuła jego obecność, głównie zapach, i bez słowa przylgnęła do niego.

- Nie żyje, tak?

- Nie. Nie, kochanie. Jest bardzo słaba, ale jej stan lekarze określili jako stabilny.

- Wyzdrowieje?

- Jest młoda, silna i zdrowa. Najważniejsze, że szybko trafiła do szpitala. Połknęła niebezpiecznie dużą dawkę seconalu.

- Seconalu? Mogła od tego umrzeć?

- Niewykluczone. Mało prawdopodobne, ale niewykluczone.

- To świństwo musiało być w herbacie, nie ma innego logicznego wyjaśnienia - powiedziała Callie.

- Chciałbym, żebyś pojechała z nami do domu...

- Nie mogę. - Callie z trudem dźwignęła się na nogi. - Nie prosź mnie.

- Dlaczego? - Elliot wstał, gniewnie chwycił córkę za ramię. - Ta sprawa nie jest warta twojego życia! Gdyby nie przypadek, ty leżałabyś teraz na oddziale intensywnej terapii! Jesteś o jakieś sześć, może siedem kilo lżejsza od Rosie, taka dawka mogłaby cię zabić! Gdyby nikt nie zauważył, co się dzieje, a mogło się to zdarzyć, o czym sama dobrze wiesz, zapadłabyś w śpiączkę, rozumiesz?! I możliwe, że nigdy byś się z niej nie wybudziła...

- Sam odpowiedziałeś na swoje pytanie, tato. Ja zaczęłam tę sprawę i teraz już nie da się jej zatuszować. W Filadelfii czy gdzie indziej, nigdzie nie będę bezpieczna, nie teraz. Odkryliśmy zbyt wiele warstw. Nie będę bezpieczna, dopóki to się nie skończy. I obawiam się, że dotyczy nas wszystkich...

- Niech zajmie się tym policja.

- Nie zamierzam im przeszkadzać, uroczycie ci to obiecuję. Hewitt wezwał już na pomoc FBI, i bardzo dobrze, ale ja nie mogę przyglądać się temu z założonymi rękami. Ludzie, którzy rozpętali ten koszmar, muszą zdać sobie sprawę, że nie jestem ofiarą. - Callie zauważyła wychodzącego z

budynku Jake, zaczekała, aż podejdzie i spojrzała mu w oczy. - I że nie zamierzam się poddać.

Zaczynało już zmierzchać, kiedy Callie i Jake stanęli przy bramie opustoszałego terenu.

- Leo będzie chciał zawiesić prace, przynajmniej na pewien czas - powiedział Jake.

- A my skłonimy go, żeby tego nie robił - odparła Callie. - Nie możemy przerywać prac. Kiedy Rosie wróci do zdrowia, będzie chciała zabrać się do roboty.

- Może uda ci się przekonać Leo, ale ile osób zechce teraz zostać na wykopalisku?

- W najgorszym razie zostaniemy tu we dwoje, ty i ja. - I Digger. - Jake się uśmiechnął.

- I Digger - przytaknęła. - Nie dam się stąd przepędzić. I nie pozwolę, żeby ten drań wybrał sobie chwilę, w której mnie zaatakuje. Koniec z tym.

Wygląda blado i mizernie, pomyślał, patrząc na jej twarz w miękkim świetle nadchodzącego wieczoru. Schudła ze zmartwienia i niepokoju, ale na pewno nie brak jej determinacji. Nagle przypomniał sobie, jak wyglądała, kiedy się kochali. Jej twarz jaśniała radością i podnieceniem. Była wtedy wolna, oboje czuli się wolni i wypełnieni miłością. I właśnie wtedy, kiedy obdarzali się pieścizotami i czułością, kiedy stąpiali się w jedno, ktoś, kto był gdzieś blisko, planował, jak zrobić jej krzywdę...

- To ktoś z zespołu - powiedział ostro, bez chwili wahania.

- Na terenie roіło się dziś od ludzi z miasteczka, dziennikarzy i studentów - mruknęła bez przekonania. Westchnęła. - Tak, masz rację, to ktoś z naszych. Zostawiłam odkręcony termos na blacie w kuchni. Próbowałam przypomnieć sobie, jak to było, minuta po minucie. Leo wszedł z prezentem. Przeniosłam paczkę na stół, termos zabrałam dopiero po dłuższej chwili. W kuchni kręciło się mnóstwo osób. Wszyscy wiedzą, który termos jest mój i że zawsze biorę go ze sobą do pracy. Taki mam zwyczaj. Ten, kto to zrobił, zna moje przyzwyczajenia...

- Ale dziś rano nie piłaś herbaty.

- Nie, bo miałam pod ręką dzbanek z wodą. Rosie... - Przerwała, ponieważ Jake odwrócił się i poszedł w stronę jej odcinka.

Zatrzymał się na jego krawędzi. Poszła za nim, ostrożnie dotknęła jego pleców. Odwrócił się gwałtownie, chwycił ją w ramiona i przytulił tak mocno, że nagle zabrakło jej tchu.

- Hej, spokojnie... Ty drżysz...

- Zamknij się - warknął, z ustami w jej włosach. - Zamknij się, dobrze?

- W porządku, w porządku, teraz ja też cała się trzęsę. Chyba muszę usiąść...

- Nie. Obejmij mnie, do cholery.

- Dobrze. - Posłusznie spełniła jego polecenie. - Zaczynam myśleć, że naprawdę mnie kochasz...

- Mogłaś tu zemdleć i umrzeć, rozumiesz?! - syknął przez zęby. - Kto wie, kiedy zauważylibyśmy, że coś jest nie w porządku...

- Nie zemdlałam i nie umarłam, nic mi się nie stało. Ale Rosie jest w szpitalu...

- Zabierzemy się do nich, pojedynczo - powiedział Jake. - Nie przerwiemy prac i nie rozpuścimy zespołu do domu, dopóki nie znajdziemy winnego...

- Jak ich zmusimy, żeby zostali? - zapytała.

- Skłamiemy. Wrócimy do historii z Dolanem, puścimy w obieg plotkę, że to jacyś miejscowi chcą się na nas zemścić za powstrzymanie budowy osiedla i sabotują nasze prace. Przekonamy ich, że sami w to wierzymy i że musimy trzymać się razem...

- W imię zespołowej solidarności?

- Częściowo. Także dla dobra nauki i dla własnego bezpieczeństwa, bo przecież wszyscy tworzymy jedną wielką rodzinę. Zyskamy na czasie, uspimy czujność tych drani i może uda nam się ograniczyć pole obserwacji do kilku osób...

- Możemy wykluczyć Boba. Był w zespole jeszcze zanim dowiedziałam się o Cullenach.

Jake potrząsnął głową. Wiedział, że nie mogą pozwolić sobie na choćby najmniejsze ryzyko.

- Umieścimy go na drugiej liście. Nie wykluczemy nikogo, dopóki nie zdobędziemy niepodważalnych dowodów. Tym razem będziemy działać zgodnie z zasadą: „każdy jest winny, jeżeli nie dowiedzie swojej niewinności”.

- Wierzchem dłoni potarł policzek Callie. - Nie pozwolę, żeby ktoś truł mi żonę...

- Byłą żonę. Musimy wtajemniczyć we wszystko Lea.

- Zaraz po powrocie zamkniemy się z nim w pokoju i wszystko mu wyjaśnimy. Leo protestował, kłął, lecz w końcu uległ w obliczu zmasowanego ataku.

- Policja albo władze stanowe i tak zamkną teren, zobaczycie - oświadczył złowróbnie.

- Będziemy pracować, dopóki tego nie zrobią. Leo zmierzył Callie uważnym spojrzeniem.

- Naprawdę sądzisz, że zdołasz przekonać zespół, w tym mordercę, iż trzeba kontynuować prace?

- Jasne, tylko daj mi szansę.

Leo zdjął okulary i rozmasował sobie grzbiet nosa.

- Ustąpię, ale pod pewnymi warunkami - rzekł.

- Nie lubię warunków - westchnęła Callie. - A ty, Jake?

- Nienawidzę ich.

- Jakoś to przeżyjecie. Jeśli się nie zgodzicie, każę tym dzieciakom rozjechać się do domów. Dzieciakom! - powtórzył z naciskiem Leo.

- Dobrze, już dobrze! - mruknęła Callie.

- Zamierzam sprowadzić na teren jeszcze dwie osoby. Są to ludzie, których znam i darzę zaufaniem. Zostaną wyczerpująco poinformowani o całej sytuacji. Będą z nami pracować, ale ich główne zadanie to obserwacja zespołu i formowanie wniosków. Muszę mieć dzień lub dwa na zorganizowanie tego wszystkiego.

- W porządku, możemy na to przystać. - Callie skinęła głową.

- Chcę również omówić z władzami możliwość włączenia do zespołu oficera policji, oczywiście incognito.

- Daj spokój, Leo...

- Takie są moje warunki. - Leo wstał z krzesła. - Zgoda?

Zgodzili się i zwołali zebranie całego zespołu przy kuchennym stole. Callie rozdała zgromadzonym piwo, podczas gdy Leo sprawnie wygłosił obliczoną na podtrzymanie ducha mowę.

- Ale policjanci nie chcieli nam nic powiedzieć! - Zdenerwowana Frannie przebiegła wzrokiem po twarzach kolegów. - Zadawali tylko mnóstwo pytań, zupełnie jakby to jedno z nas otruło Rosie...

- Bo przecież ktoś to zrobił - odezwała się Callie. Przy stole zapadła śmiertelna cisza.

- Pozbawiliśmy pracy wiele osób - ciągnęła Callie. - I część z nich jest na nas naprawdę wściekła. Ci ludzie nie rozumieją, co tu robimy, więcej, nic ich to nie obchodzi. Wcześniej ktoś podpalił biuro Lany Campbell. Dlaczego?

- Na moment zawiesiła głos, uważnie obserwując ich twarze. - Ponieważ jako prawnik reprezentuje interesy miejscowego Towarzystwa Ochrony Przyrody, a w pewnym sensie także i nasze. Ktoś podpalił przyczepę Diggera, zniszczył część naszego sprzętu i sporo notatek.

- Bili nie żyje - cicho powiedział Bob.

- Może to był wypadek, a może nie. - Jake utkwiał wzrok w puszcze z piwem, lecz czuł każdy ruch, słyszał każdy oddech. - Niewykluczone, że miejscowi, których wkurzyliśmy, postanowili nastraszyć nas, napadając na

Billa, ale z jakiegoś powodu sytuacja wymknęła się spod kontroli. To tragiczne, ale takie rzeczy czasami się zdarzają.. Miejscowi już mówią, że nad wykopaliskiem ciąży pech czy wręcz klątwa...

- Może rzeczywiście tak jest. - Dory mocno zacisnęła wargi. - Wiem, że to idiotycznie brzmi, ale pech naprawdę lubi prześladować niektórych ludzi. Na naszym terenie wydarzyło się całkiem sporo złych rzeczy, a teraz jeszcze doszła ta historia z Rosie...

- Duchy nie wrzucają środków nasennych do termosów z mrożoną herbatą. - Callie zdecydowanym ruchem założyła ramiona na piersi. - Takie rzeczy robią tylko ludzie. Oznacza to, że nie wolno nam wpuszczać na teren nikogo z zewnątrz. Żadnych wycieczek, żadnych grup szkolnych, żadnych gości wszyscy zostają za bramą. I trzymajmy się razem. Będziemy czujni, będziemy opiekować się sobą nawzajem. W końcu jesteśmy zespołem, prawda?

- Stoi przed nami dużo ważnych zadań - oświadczył Jake. - Trzeba pokazać tym miejscowym głupkom, że nie damy się wystraszyć. Powodzenie projektu zależy od nas wszystkich, więc...

Jake wyciągnął rękę nad stołem. Callie oparła swoją na jego dłoni. Jedno po drugim, członkowie zespołu łączyli dłonie w mocnym uścisku.

Callie jeszcze raz ogarnęła wzrokiem ich twarze. W tej chwili myślała przede wszystkim o tym, że jej dłoń styka się może z ręką mordercy.

Hotelowa recepcjonistka przez telefon poinformowała Douga, że na dole czeka na niego przesyłka od Lany Campbell. Doug, który akurat przygotowywał się do rozmowy z byłą sekretarką Carlyle'a, nie był w stanie wymyślić, dlaczego Lana przysłała mu jakąś paczkę, ani dlaczego obsługa nie może dostarczyć jej do pokoju, ale szybko włożył buty, chwycił klucz i zbiegł do holu.

I tam czekała na niego. Śliczna jak marzenie, starannie uczesana i nieskazitelnie elegancka. Poczuł, jak na jego twarzy pojawia się szeroki, niepohamowany uśmiech. Z tym uśmiechem szybko przeszedł, prawie przebiegł przez hol, chwycił ją w ramiona i namiętnie pocałował jej piękne usta.

- Niezła przesyłka. - Postawił ją na podłodze, wciąż nie wypuszczając z objąć.

- Miałam nadzieję, że przypadnie ci do gustu.

- Gdzie Tyler?

Ujęła jego twarz między dłonie i teraz to ona zamknęła mu usta pocałunkiem.

- Zawsze wiesz, co należy powiedzieć, prawda? Ty spędzi parę dni u

dziadków w Baltimore i ta perspektywa wprawiła go w szal radości. Może poszlibyśmy do twojego pokoju? Mam ci dużo do opowiedzenia...

- Oczywiście. - Doug spojrział na teczkę Lany, walizkę na kółkach, torbę z laptopem oraz podręczną torbę wielkości stanu Idaho. - Masz aż tyle rzeczy? Na jak długo przyjechałaś?

- Tym razem nie popisałaś się odpowiednią uwagą. - Przemknęła obok niego i nacisnęła guzik windy.

- A gdybym powiedział, że naprawdę strasznie się cieszę, że cię widzę?

- Trochę lepiej.

Wtaszczył bagaże Lany do kabiny i wcisnął przycisk swojego piętra.

- Ale przecież wolno mi się zastanawiać, co tu robisz... - zaczął.

- Mogę to przyjąć do wiadomości. A więc, po pierwsze, chciałam, żeby Tyler na jakiś czas znalazł się w jakimś bezpiecznym miejscu, Digger zaś niewątpliwie powinien teraz pomóc Callie i Jake'owi, nie mnie, a po drugie, doszłam do wniosku, że przyda ci się lekkie wsparcie...

- Powiedziałbym, że to wsparcie frontalne, potężne, nie lekkie.

- No, właśnie. - Lana z uśmiechem wyszła z windy i ruszyła korytarzem u boku Douga. - Udało mi się poprzesuwać rozmaite sprawy, więc mam dwa dni wolne i pomyślałam, że bardziej przydam się tutaj niż tam. No, i jestem.

- Więc nie przyjechałaś dlatego, że umierałaś z tęsknoty i odkryłaś, iż beze mnie twoje życie nie jest nic warte?

- Cóż, ta świadomość także w pewnym stopniu wpłynęła na moją decyzję... - Lana weszła do pokoju i rozejrzała się dookoła. Były tu dwa duże łóżka, jedno jeszcze niezasałone, małe biurko, podniszczone krzesło i od dawna niemyte okno. - Nie wybrałaś szczególnie luksusowego hotelu...

- Gdybym wiedział, że przyjedziesz, poszukałbym czegoś... Czegoś innego.

- Wszystko w porządku. - Położyła torbę na drugim łóżku. - Muszę opowiedzieć ci, co wydarzyło się wczoraj.

- Czy nie moglibyśmy odłożyć tego na później? - zapytał.

- Moglibyśmy, bo i tak niczego to nie zmieni, ale powinienes...

- W takim razie zaczniemy od tego, co najważniejsze. - Zsunął zakiet z jej ramion. - Miły materiał - zauważył, rzucając go na łóżko obok torby. - Wiesz, co mnie przede wszystkim uderzyło, gdy cię poznałem?

- Nie. Co takiego? - Lana stała bez ruchu, podczas gdy on rozpiął jej bluzkę.

- Że wszystko w tobie jest takie delikatne... Twój wygląd, skóra, włosy... Nawet ubrania... - Zdjął z niej bluzkę, która miękko spłynęła na podłogę. - Kiedy na ciebie patrzę, ogarnia mnie nieodparte pragnienie

dotykania tej delikatności... - Przejechał czubkiem palca między jej piersiami, środkiem brzucha aż do paska spodni.

- Może powinieneś wywiesić na drzwiach informację NIE PRZESZKADZAC, nie sądzisz?

- Już to zrobiłem... - Musnął jej usta wargami. Podciągnęła jego koszulę do góry, pomogła mu zdjąć.

- Jesteś przewidującym, trzeźwo myślącym człowiekiem... - zamruczała, kiedy jego ramiona zamknęły się wokół niej, unosząc ją lekko. - Podoba mi się to... Zdolność przewidywania to bardzo atrakcyjna cecha...

- Oboje jesteśmy praktycznymi, bezpośrednimi ludźmi.

- Najczęściej... - wyszeptała, gdy położył ją na łóżku. Doug przykrył ciało Lany swoim.

- Doskonale do siebie pasujemy...

Lana zupełnie się rozluźniła, pozwalając, aby całe napięcie i niepokój ostatnich godzin spłynęły z niej wielką falą. Doug pachniał hotelowym mydłem i czystością - nawet to uznała za podniecające.

Z korytarza dobiegał szum włączonego odkurzacza, gdzieś niedaleko trzasnęły drzwi. Lana słyszała stukot swojego serca w gardle. Doug pieścił ją wargami. Czuli dotyk jego gorących dłoni rozgrzewał skórę, krew. Kiedy jego usta znowu spoczęły na jej wargach, z westchnieniem wyszeptała jego imię. I otworzyła się dla niego bez reszty.

Doug ubiegłej nocy śnił o Lanie, a rzadko miewał wyraźne, konkretne sny. Pragnął jej, a rzadko czuł prawdziwe pragnienie... Wyglądało na to, że wszystko się zmieniło, gdy Lana weszła w jego życie. Kiedyś nie chciał, obawiał się pragnąć tego, czego teraz pragnął całym sercem i duszą.

Dom, rodzina... Kobieta, która jest sercem domu... Teraz już się nie wahał, bo czuł, że to ona jest właśnie tą kobietą.

Przycisnął wargi do jej serca i zrozumiał, że jeżeli je zdobędzie, wszystko stanie się możliwe.

Poruszyła się pod nim, niespokojnie, z drżeniem, gdy dotknął jej językiem, spróbował słodczy. Ogarnęła go potrzeba, aby rozbudzić w niej równie wielkie pożądanie, aby usłyszeć jej nierówny, płytki, szybki oddech, aby poczuć galop jej serca, tego serca, które chciał zdobyć. Teraz nie było już w nich miejsca na cierpliwość czy spokój. Podniósł ją, oboje uklękli na łóżku, zdzierając z siebie resztki ubrania.

Kiedy wygięła się do tyłu, jego usta pobiegły po jej ciele, w dół, aż do rozpalonego centrum.

Tego teraz pragnęła. Szybko, zaraz, już... Jej ciało przeistoczyło się w drżącą materię, przesiąkniętą żądzą i uniesieniem. Objęła go nogami, uniosła

głowę, lekko wbiła zęby w jego ramię.

Gdy wypełnił ją całą, jej ciało i serce, wypowiedziała jego imię. Tylko imię, nic więcej.

Zmęczony, nasycony Doug wciąż nie wypuszczał jej z ramion. Pragnął po prostu przyłgnąć do niej, wtulić się w nią, naciągnąć koc na głowy, i odgrodzić się od świata.

- Chcę mieć dla ciebie czas, tylko dla ciebie - powiedział.

- Dużo normalnego, codziennego czasu. - Lana potarła policzkiem jego ramię. - Nie mieliśmy go za dużo... Ciekawe, jak by to było?

- Zwyczajnie. Spokojnie. Roześmiała się.

- W moim domu raczej trudno liczyć na spokój!

- Spokój można znaleźć także w domu, po którym biega dziecko.

- I w którym szczeka pies, i wiecznie dzwoni telefon... Jestem dość zorganizowaną osobą, ale w moim życiu jest wiele ważnych spraw. Mam dużo na głowie.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Podziwiam cię za to, jak radzisz sobie z własnym życiem i życiem Tylera - powiedział poważnie.

- No, proszę, znowu mówisz dokładnie to, co trzeba... - Podniosła się, sięgnęła po torbę i otworzyła ją.

Doug zauważył, że krótka, cienka podomka leżała na samym wierzchu, starannie złożona. Uśmiechnął się.

- Urodziłaś się taka porządna?

- Chyba tak. - Zawiązała pasek w talii, usiadła na drugim łóżku. - I praktyczna. Właśnie dlatego muszę teraz zepsuć nastrój, chociaż przez następną godzinę wolałabym drzemać obok ciebie. Wczoraj wydarzyło się coś ważnego.

Opowiedziała mu o Rosie. Jego twarz zmieniła się, jeszcze przed chwilą rozluźnione mięśnie policzków napięły się, stwardniały. Wstał, naciągnął dżinsy i zaczął chodzić po pokoju, nie przerywając jej narracji ani pytaniami, ani komentarzami. Odezwał się dopiero wtedy, gdy skończyła.

- Rozmawiałaś dziś z Callie?

- Tak. Tuż przed wyjazdem i po przylocie tutaj, z lotniska. Wydaje mi się, że czuje się nieźle, w czasie drugiej rozmowy była nawet trochę zirytowana, bo przeszkodziłam jej w pracy.

- Tego nie można już nazwać wypadkiem, ktoś zrobił to z premedytacją! - wybuchnął Doug. - I Callie była celem tego działania!

- Ona wie o tym, zdaje sobie też sprawę, że musiał to zrobić ktoś z zespołu. Na pewno będzie ostrożna. Musimy w to wierzyć, nic więcej nie

możemy teraz zrobić. Dołożymy wszelkich starań, żeby przyspieszyć rozwiązanie sprawy tutaj, to będzie najlepsza pomoc dla Callie...

- Mam tu listę osób o nazwisku Spencer, mieszkających w Charlotte - powiedział Doug.

- Wypisałem je z książki telefonicznej, zaglądałem też do internetu. Zawęziłem listę do sześciu osób, które wydają się prawdopodobne... Pozostałe za długo mieszkają w tym mieście. Zastanawiałem się właśnie, jak podejść tych ludzi, kiedy zadzwoniła recepcjonistka.

- Moglibyśmy powiedzieć, że przeprowadzamy akcję telemarketingową, badanie opinii społecznej lub coś w tym rodzaju - zaproponowała Lana.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że większość ludzi w takich sytuacjach po prostu odkłada słuchawkę, prawda?

- Tak, sama tak robię... - Lana zaczęła z roztargnieniem rysować skomplikowany wzór na kartce papieru. - Rzeczywiście, atak bezpośredni bywa bardziej skuteczny... Możemy zapukać do drzwi i zapytać, czy mamy przyjemność z byłą sekretarką Marcusa Carlyle...

- Taki miałem plan. Teraz, kiedy mam wsparcie, możemy jednak spróbować działania na dwa fronty - ja zajmę się pukaniem do drzwi, a ty zostaniesz tutaj i będziesz się bawić w irytującą sondażystkę...

- Żeby nie musiała się narażać, prawda? Nic z tego, kochanie, pójdziemy razem.

- Zastanów się chwilę. - Doug poszedł za nią do łazienki i ustawił pokrętło prysznic na odpowiednią temperaturę wody. - Nie wiadomo, z czym tak naprawdę mamy do czynienia, ale dysponujemy pewnymi faktami, które wskazują, że sytuacja może być niebezpieczna. Ktoś spalił ci biuro, czy to nie dosyć? I pomyśl, co czeka Tylera, jeżeli coś ci się stanie...

Zdjęła szlafroczek, powiesiła go na wieszaku za drzwiami i weszła pod prysznic.

- Próbujesz mnie nastraszyć i wiesz, jak to zrobić... - mruknęła.

- To dobrze.

- Tyle że ja nie mogę i nie chcę żyć pod kloszem. Po śmierci Steve'a przez dwa miesiące nie mogłam zdobyć się na odwagę, żeby wejść do sklepu, i to w ciągu dnia, ale w końcu jednak się przemogłam, bo przecież nie można ciągle bać się tego, co może się zdarzyć. Jeżeli ulegasz takiej psychozie, tracisz kontrolę nad tym, co dzieje się wokół ciebie...

- Och, do cholery... - Doug szybko ściągnął dzinsy i wszedł do kabiny, otaczając Lane ramionami. - Wytrąciłaś mi z ręki wszystkie argumenty...

Poklepała go po dłoni i wyszła na zewnątrz, nie chcąc zamoczyć włosów.

- Jestem profesjonalistką. - Uśmiechnęła się.

- Lista leży na biurku, obok mapy miasta. Skoro wszystko już wiadomo, możemy opracować najwygodniejszą trasę.

- Zajmę się tym. - Wytarła się i narzuciła szlafroczek na ramiona.

Kiedy jednak Doug wrócił do pokoju, nie pracowała, lecz stała przy biurku, przyglądając się trzymanej w ręku baseballowej czapeczce z napisem BOSTON RED SOX.

- Kupiłeśjadła Tylera.

- Tak, pomyślałem, że go to ucieszy. Mój dziadek z każdej podróży przywoził mi czapkę albo zabawkę. Jakiś drobiazg...

Sięgnął po koszulę, raz po raz rzucając Lanie niepewne spojrzenia. Nie wiedział, dlaczego wciąż stoi nieruchomo, obracając w palcach czapkę.

- Nie kupiłem jej po to, aby zarobić na punkty u niego czy u ciebie. No, w każdym razie nie tylko po to...

- Nie tylko po to... - powtórzyła. Nagle ogarnęło go zniecierpliwienie.

- Ponieważ kiedyś sam byłem małym chłopcem, dobrze wiem, jak ważna może być baseballowa czapka. Zobaczyłem ją na lotnisku i przyszło mi do głowy, że na pewno mu się spodoba...

- Pytał, kiedy wrócisz.

- Naprawdę? - ucieszył się.

I właśnie to tak bardzo ją uderzyło - ta jego spontaniczna, prawdziwa radość. Jej serce wykonało skomplikowane salto.

- Tak. Na pewno oszaleje na widok czapki. Niezależnie od tego, czy zbierasz punkty, czy nie, bardzo miło, że o tym pomyślałeś...

- O tobie także nie zapomniałem.

- Doprawdy? - Uśmiechnęła się.

- A jakże! - Doug otworzył szufladę. - Nie zostawiłem tego na widoku, bo się bałem, że pokojówka gdzieś to zapodzieje...

Lana patrzyła bez słowa, jak Doug wyjmuje puszkę pieczonej fasolki po bostońsku i wkłada ją w jej otwarte dłonie. Kiedy uśmiechnął się szeroko, jej serce nie tyle podskoczyło, ile z cichym plaśnięciem padło na podłogę.

- To koniec! - jęknęła. - Wykończyła mnie puszka fasolki!

Przycisnęła puszkę do serca i zaczęła szlochać.

- O, Jezu, co się stało? Nie płacz, kochanie, to tylko głupi żart!

- Ty podstępny skurwysynu! A przysięgałam sobie, że mi się to nie przydarzy! - Odepchnęła go i wyciągnęła z torebki paczkę higienicznych chusteczek. - Kiedy wyszedłeś z windy, od razu czułam, że tak się to skończy! Na twój widok moje serce... - Postukała się puszką w klatkę piersiową. - Moje serce podskoczyło! Od śmierci Steve'a nigdy mi się to nie zdarzyło, nigdy, ani

razu! Nawet się nie spodziewałam, że znowu to poczuję! Myślałam sobie, miałam nadzieję, że kiedyś znajdę mężczyznę, którego może pokocham... Kogoś, z kim będę się dobrze czuła, z kim będę mogła spokojnie żyć, ale powtarzałam sobie, że jeżeli go nie znajdę, to trudno, bo przecież już zdążyłam przeżyć coś zupełnie niezwykłego. Nie wierzyłam, że znowu będę się tak czuła! Nie, nic nie mów! Nic nie mów! - Musiała usiąść, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa. - Wcale nie chciałam się tak czuć... Nie, nie chciałam... Bo kiedy człowiek to czuje, to znaczy, że ma dużo do stracenia. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym mogła kochać cię tylko trochę, troszeczkę... Gdybym mogła cieszyć się świadomością, że będziesz dobry dla Tylera, niczym więcej! To by wystarczyło...

- Ktoś powiedział mi niedawno, że nie można żyć pod kloszem. Nie można żyć w ciągłej obawie, że coś może się zdarzyć...

Głośno pociągnęła nosem.

- Bystrzak z ciebie, co?

- Od urodzenia. - Doug usiadł obok niej. - Będę dobry dla Tylera. I dla ciebie.

- Wiem. - Położyła dłoń na jego kolanie. - Nie mogę zmienić nazwiska Tylera. Nie mogę pozbawić tego Steve'a... Doug w milczeniu wpatrywał się w jej dłoń, tę, na której wciąż nosiła ślubną obrączkę.

- W porządku - powiedział.

- Ale ja zmienię nazwisko...

Podniósł wzrok, spojrzał jej prosto w oczy. Fala czułości i miłości była tak wielka, że o mało nie zgniotła mu serca. Wziął ją za rękę, tę z obrączką, którą włożył na jej palec inny mężczyzna.

- Wiesz, zaczyna mnie to powoli przerastać - oznajmił. - Najpierw pierwsza zapraszasz mnie na randkę, później mnie uwodzisz, przyjeżdżasz tu za mną, a teraz jeszcze mi się oświadczasz...

- Chcesz powiedzieć, że jestem apodyktyczna?

- Nie. Gdybym chciał ci to powiedzieć, na pewno nie owijałbym w bawełnę. Chcę powiedzieć, że tym razem wolałbym sam poprosić cię o rękę.

- Och, rozumiem... W porządku, zapomnij o tym, co przed chwilą mówiłam. Doug powoli odgiął jej zaciśnięte palce, pocałował otwartą dłoń.

- Wyjdź za mnie, Lano.

- Z radością, Douglasie. - Oparła głowę o jego ramię i głęboko westchnęła. - Bierzmy się do pracy, żeby jak najszybciej wrócić do domu.

Pracowali w równym, spokojnym rytmie. Kiedy zatrzymali się przed czwartym domem, Lana pomyślała, że wyglądają na miłe, typowe młode amerykańskie małżeństwo. Pewnie właśnie dlatego drzwi poprzednich trzech

domów łatwo stanęły przed nimi otworem.

Przyjrząwszy się domowi kolejnej pani Spencer, poczuła wątpliwości, czy i tym razem wszystko pójdzie równie gładko.

- Piękna dzielnica - zauważyła.

Po obu stronach uliczek, którymi jechali, stały duże, zadbane domy, okolone rozległymi, równo przystrzyżonymi trawnikami. Samochody na podjazdach były drogie i nowoczesne.

- Pieniądze - mruknął Doug.

- Tak, pieniądze. Nie ulega wątpliwości, że ta pani Spencer nie skarży się na ich brak i prawdopodobnie wydaje je w bardzo dyskretny sposób. Wszystko w najlepszym gatunku, lecz proste, eleganckie i broń Boże nie rzucające się w oczy...

Mieli przed sobą stary dom z różowej cegły, z białą werandą osłoniętą kratą. Gęsto porastały ją pnącza winorośli. Przy podjeździe rosły dwie wysokie magnolie, a przed domem, nieco z boku, stał kilkuletni oliwkowożółty mercedes. Obok podjazdu widniała tablica agencji nieruchomości.

- Dom na sprzedaż - odezwał się Doug. - Ciekawe... Czyżby to była ta pani Spencer, której szukamy? Może sprzedaje dom, bo woli zwinąć żagle... Nikt poza moją rodziną nie wie, że tu jesteśmy, ale wcześniej ktoś odkrył moją obecność w Bostonie...

- Hmm... Tak czy inaczej, tablica z ogłoszeniem o sprzedaży to dobra wymówka, żeby spróbować porozmawiać z panią Spencer...

- Szukamy domu? - zapytał Douglas.

- Tak. Zamożne, szczęśliwe młode małżeństwo szuka domu swoich marzeń. - Odrzuciła do tyłu włosy, wyjęła z torebki szminkę i patrząc w lusterko, umalowała wargi. - Nazywamy się Beverly - to moje nazwisko panińskie - i pochodzimy z Baltimore. Proste?

- Schowała szminkę do torebki. - Przeprowadzamy się tutaj, ponieważ zaproponowano ci pracę na uniwersytecie. Włóż okulary.

- Wykładowcy nie zarabiają zbyt dużo.

- Odziedziczyliśmy sporą sumę.

- W porządku. Opływamy w forszę, tak?

- Mniej więcej. Ja jestem adwokatem, będziemy się tego trzymać, bo może da nam to nowy temat do rozmowy. Zgarniam tłuste prowizje. Ogólnie nieźle nam się powodzi i teraz szukamy domu...

Trzymając się za ręce, weszli na ganek i zadzwonili do drzwi. Po krótkiej chwili na progu stanęła kobieta w obcisłych czarnych spodniach i białej koszulowej bluzce, zdecydowanie za młoda, aby mogła być panią Spencer. Lana poczuła wielkie rozczarowanie.

- W czym mogę państwu pomóc?

Lana postanowiła mimo wszystko spróbować.

- Mój mąż i ja zauważyliśmy stojącą przy ulicy tablicę ogłoszeniową... - zaczęła. - Szukamy domu w tej okolicy, więc...

- Wydaje mi się, że pani Spencer nie była z nikim umówiona na dzisiejsze popołudnie. W sercu Lany obudziła się nadzieja.

- Nie, nie byliśmy z nią umówieni. Po prostu przejeżdżaliśmy tędy i podziwialiśmy te piękne domy... Na pewno teraz nie moglibyśmy obejrzeć wnętrza, ale... Czy pani jest właścicielką? Może moglibyśmy umówić się na popołudnie albo na jutro?

- Jestem gospodynią pani Spencer. - Ulegając typowo południowej gościnności, odsunęła się na bok i zrobiła zapraszający gest. - Jeżeli zechcą państwo chwilę zaczekać, zaraz zapytam ją, czy może z wami porozmawiać...

- Będziemy bardzo wdzięczni. - Lana posłała kobiecie uroczy uśmiech. - Wspaniały dom, prawda, Roger?

- Roger? - zapytał przyciszonym głosem, gdy gospodyni zniknęła w głębi holu.

- Tak miał na imię pierwszy chłopak, w jakim się zadurzyłam. Jakie przyjemne oświetlenie... - ciągnęła. - I tylko spójrz na te podłogi...

- Ale tamten dom był bliżej uniwersytetu.

Lana uśmiechnęła się, najwyraźniej bardzo z niego zadowolona.

- Wiem, kochanie, ale ten ma cudowną atmosferę... - Przerwała na widok kobiety w eleganckim beżowym kostiumie, która szła ku nim przez hol.

Chyba jest w odpowiednim wieku, pomyślała Lana. Co prawda, wygląda na młodszą, ale kobiety często stosują rozmaite sztuczki, aby się odmłodzić...

- Pani Spencer? - Lana postąpiła krok do przodu, wyciągnęła rękę. - Serdecznie przepraszam za naszą nachalność, ale padłam ofiarą urody pani domu i po prostu musiałam go obejrzeć...

- Agentka nie uprzedziła mnie o państwa wizycie.

- To nasza wina, bo jeszcze nie zdążyliśmy się z nią skontaktować. Przejeżdżaliśmy tędy i zauważyliśmy tablicę przed pani domem. Odkąd podjęliśmy decyzję o przeprowadzce na południe, marzyłam, że zamieszkamy właśnie w takim domu...

- Ależ, Tiffany! - Doug lekko ścisnął rękę Lany. - Dopiero zaczęliśmy szukać. Zaczynam pracę z początkiem następnego roku, więc mamy jeszcze mnóstwo czasu.

- Przenoszą się państwo do Charlotte?

- Tak, już niedługo - potwierdził Doug. - Z Baltimore. To naprawdę

piękny dom. Bardzo duży - dodał, rzucając Lanie ostentacyjnie ostrzegawcze spojrzenie.

- Chcę mieć duży dom, poza tym będzie nam potrzebna duża jadalnia i salon. Ile sypialni... - Lana potrząsnęła głową, jakby chciała skarcić się za zbyt ni pośpiech, roześmiała się. - Przepraszam... Rozumiem, że powinniśmy umówić się przez agencję. Roger uważa, że do stycznia na pewno zdążymy znaleźć dom, o jaki nam chodzi, ale ja chciałabym jak najszybciej zacząć i zakończyć przeprowadzkę. Kiedy pomyślę o pakowaniu, o poznawaniu nowej okolicy, sklepów, przychodni, restauracji i tak dalej, a jednocześnie o pracy, mojej i Rogera, robi mi się zimno ze zdenerwowania...

- Jeżeli chcecie obejrzeć dom, mam teraz wolną chwilę - powiedziała pani Spencer.

- Och, cudownie! - Lana ruszyła w stronę wejścia do dużego pokoju. - Czy będzie to duża niedelikatność, jeżeli zapytam, jaką sumę spodziewa się pani otrzymać za dom?

- Nie, skądże. - Kobieta wymieniła sumę, odczekała chwilę. - Dom został wybudowany pod koniec dziewiętnastego wieku, zawsze był bardzo zadbane, dość często poddawano go remontom. Ma olbrzymią, starą kuchnię z pełnym wyposażeniem, dawnym i nowoczesnym. Na górze znajduje się duży apartament z obszerną garderobą i łazienką z pokojem do masażu i zabiegów kosmetycznych, a także cztery osobne sypialnie z łazienkami. Z kuchni przechodzi się do samodzielnego, niewielkiego mieszkanca, idealnego dla pokojówki lub starszej osoby, na przykład teściowej...

Doug parsknął śmiechem.

- Nie zna pani mojej teściowej! Nie mówi pani z południowym akcentem, czy to dlatego, że...

- Tak, nie pochodzę stąd. W Charlotte mieszkam od czterech lat, a urodziłam się i wychowałam w Cleveland. Mieszkałam w wielu stanach...

- Co za niezwykle okna! - zachwyciła się Lana. - A jaki kominek! Działa?

- Tak, oczywiście.

- Piękna robota. - Lana powiodła palcem po parapecie nad kominkiem, uważnie spojrzała na stojące na nim zdjęcia. - Podróżowała pani z przyczyn zawodowych, czy razem z mężem?

- Z przyczyn zawodowych. Jestem wdową.

- Ach, tak... Ja przeprowadzam się po raz pierwszy, więc jestem strasznie podekscytowana. Bardzo podoba mi się ten pokój. Och, czy to pani córka?

- Tak.

- Śliczna dziewczyna. Podłogi są oryginalne?

- Tak. - W chwili, gdy pani Spencer spojrzała w dół, Lana wykonała gorączkowy gest, przywołując Douga. - To żółta sosna.

- Nie przypuszczam, żeby chciała pani rozstać się z tymi dywanami? Są naprawdę niezwykle...

- Nie, nie zamierzam się ich pozbywać. Proszę tędy. - Wprowadziła ich do przytulnego, pięknie urządzonego saloniku. - Traktuję ten pokój jako czytelnię.

- Och, jak tu uroczco... Chyba serce by mi pękło, gdybym miała sprzedać taki dom... Ale cóż, na pewno pani córka jest już dorosła i samodzielna, więc wolałaby pani przenieść się do mniejszego domu...

- Może nie tyle do mniejszego, ile po prostu do innego.

- Jesteś na emeryturze, Dorothy?

Przez twarz pani Spencer przemknął wyraz zaskoczenia i podejrzliwości. Powoli odwróciła się do Lany.

- Tak, już od pewnego czasu.

- Przekazałaś interes w ręce córki, tak jak dałaś jej swoje imię? Czy ciebie również nazywają „Dory”?

Kobieta zeszywniała i niespokojnie spojrzała na drzwi do holu, przy których stanął Doug. Drugie, te wiodące do większego salonu, zablokowała Lana.

- Nie Dory, Dot - odparła po chwili. - Kim jesteście?

- Nazywam się Lana Campbell i jestem adwokatem Callie Dunbrook, a to Douglas Cullen, jej brat. Brat Jessiki Cullen.

- Ile niemowląt pomogłaś sprzedać? - zapytał twardo Doug. - Ile rodzin zniszczyłaś?

- Nie mam pojęcia, kim jesteście i o czym mówicie. Proszę natychmiast opuścić mój dom. Jeżeli nie wyjdziecie dobrowolnie, wezwę policję.

Doug wziął przenośną słuchawkę z wysokiego stoliczka i podał ją Dorothy.

- Proszę bardzo - powiedział. - Kiedy przyjadą, utniemy sobie miłą pogawędkę o twojej przeszłości, Dot.

Kobieta wyrwała mu telefon i odeszła w odległy kąt pokoju.

- Z policją proszę! - rzuciła. - Tak, to pilne! Tak, zaczekam! Jak śmieliście wdrzeć się do mojego domu, co za bezczelność! - warknęła w stronę Lany i Douga. - Policja? Tak, chcę zgłosić włamanie! W moim domu jest dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna, nie chcą go dobrowolnie opuścić... Tak, grożą mi, grożą też mojej córce. Jak najszybciej, bardzo proszę.

Dot wyłączyła słuchawkę.

- Nie podałaś im nazwiska ani adresu... - Lana zrobiła krok w jej stronę. Nagle podniosła rękę do góry, ponieważ Dot rzuciła w nią słuchawkę.

- Dobry chwyt - pochwalił Doug, kiedy Lana złapała ją w ostatniej chwili. Unieruchomił oba ramiona kobiety i siłą posadził ją na krześle. - Naciśnij REDIAL.

- Już to zrobiłam.

Sygnał odezwał się tylko dwa razy. Zaraz potem w słuchawce rozległ się zdyszany, wystraszony głos.

- Mamo?

Lana przerwała połączenie, zakłęła i szybko wyjęła notes z torebki.

- Zadzwoń do córki. Cholera jasna, powinnam była nauczyć się numeru komórki Callie na pamięć! No, jest! - Szybko wybrała cyfry.

- Tu Dunbrook.

- Callie, to ja...

- Jezu kochany! Posłuchaj, naprawdę nie mam teraz czasu...

- Nie, to ty posłuchaj - znaleźliśmy Dorothy Spencer, sekretarkę Carlyle'a. Dory jest jej córką, to ona!

- Jesteście pewni?

- Absolutnie. Dot Spencer zdołała przed chwilą zadzwonić do Dory, więc ona już wie.

- W porządku. Oddzwonię.

- Poradzi sobie - powiedziała Lana do Douga, gdy Callie się rozłączyła.

- Teraz już wie, kogo i czego ma szukać. Dory nie ucieknie - zwróciła się do Dot. - Znajdziemy ją, tak jak znaleźliśmy ciebie.

- Nie znacie mojej córki.

- Niestety, znamy ją. To morderczyni.

- Kłamiecie! - Dot obnażyła zęby w grymasie wściekłości.

- Cóż, może rzeczywiście wiesz lepiej... Niezależnie od tego, co zrobiliście - ty, Carlyle, Barbara Hallaway, Henry Simpson - nigdy nie posunęliście się do zabójstwa. Ale Dory to zrobiła...

- Dory zrobiła to, co zrobiła, żeby chronić siebie i mnie. I swojego ojca.

- Carlyle był jej ojcem? - zapytał Doug.

Dorothy siedziała w swobodnej pozycji, lecz jej prawa dłoń raz po raz zaciskała się i rozluźniała.

- Nie wiecie wszystkiego, prawda?

- Wiemy wystarczająco dużo, żeby oddać was w ręce FBI.

- Dajcie spokój... - Dorothy założyła nogę na nogę, wzruszyła ramionami. - Byłam tylko nic nieznaczącą sekretarką, ślepo zakochaną w swoim wszechwładnym szefie, mężczyźnie o wiele starszym ode mnie. Skąd

mogłam wiedzieć, czym się zajmuje? Nawet jeżeli dowiedziecie, że był winny, o wiele trudniej będzie wam udowodnić, iż ja także byłam zamieszana w jego sprawki.

- Barbara i Henry Simpsonowie mogą obciążyć cię swymi zeznaniami i sądzę, że zrobią to z prawdziwą radością. - Doug uśmiechnął się szeroko. - Kiedy władze obiecają im zawieszenie kary, powiedzą nam wszystko o tobie i Carlyle'u.

- Nigdy tego nie zrobią, są już w Meks... - Dorothy urwała w pół słowa i mocno zacisnęła wargi.

- Rozmawiałś z nimi ostatnio? - Lana wygodnie usadowiła się w fotelu naprzeciwko Dot. - Wczoraj zgarnęła ich policja i okazało się, że są bardzo chętni do współpracy. Lista zarzutów wobec ciebie jest już właściwie gotowa. Przyjechaliśmy tutaj wyłącznie ze względu na osobiste zaangażowanie Douga, który chciał porozmawiać z tobą, zanim zabiorą cię na przesłuchanie. Nie udało ci się uciec, trudno.

- Nigdy przed nikim i niczym nie uciekałam. Ten idiota Simpson i jego durna żona mogą sobie gadać, co im się podoba. I tak nie zdołają mnie obciążyć.

- Może i nie. - Doug wzruszył ramionami. - Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie - dlaczego ją porwałś?

- To nie ja, ja nie zabierałam dzieci. Myślę, że zrobiła to Barbara, ale nie jestem pewna, bo przecież byli i inni. - Dot wzięła głęboki oddech. - Jeżeli okaże się to konieczne, podam nazwiska, ale postawię warunki...

- Dlaczego w ogóle je porywaliście?

- Chcę jeszcze raz zadzwonić do córki.

- Odpowiedz na nasze pytania, to damy ci telefon. - Lana położyła sobie słuchawkę na kolanach i przykryła ją ręką. - Nie jesteśmy z policji. Jesteś wystarczająco obeznana z prawem, aby wiedzieć, że nic, co nam powiesz, nie może być użyte przeciwko tobie. Rozumiesz to, prawda?

Dorothy w skupieniu wpatrywała się w słuchawkę. Lana nie miała cienia wątpliwości, że kobieta przeżywa prawdziwą udrękę. Bała się o córkę. Była przestępczynią, ale także i matką.

- Dlaczego Carlyle to robił? - Doug nie ustępował. - Zależy mi tylko na tej informacji...

- To była osobista kruczata Marcusa, a poza tym bardzo dochodowe hobby.

- Hobby... - powtórzyła szeptem Lana.

- Właśnie w ten sposób o tym myślał. Wszędzie wokół nas było mnóstwo bogatych małżeństw, które nie mogły mieć dzieci i jeszcze więcej

takich, które miały ich po kilkoro i ledwo wiązały koniec z końcem. Wystarczy jedno dziecko na małżeństwo - tak uważał Marcus. Przeprowadził sporo legalnych adopcji i wiedział, że te sprawy trwają bardzo długo i są szalenie skomplikowane. Swoją akcję widział jako sposób na przyspieszenie adopcji.

- Widział też setki tysięcy dolarów, które zabrał na sprzedaży dzieci - odezwała się Lana.

Dorothy rzuciła jej znudzone spojrzenie.

- Oczywiście, Marcus był bardzo zdolnym i przewidującym biznesmenem. Dlaczego ty nie wystarczałaś swoim rodzicom? - zwróciła się do Douga. - Dlaczego jedno dziecko to za mało? Można powiedzieć, że te dzieci uszczęśliwimy pary które dysponowały wystarczającymi środkami na ich utrzymanie, wychowanie i wykształcenie. Dzięki Marcusowi powstawały szczęśliwe, kochające rodziny. To było najważniejsze.

- Nie dawaliście możliwości wyboru ani dzieciom ani rodzicom.

- Zastanów się, młody człowieku, czy gdyby twojej siostrze dzisiaj dano ten wybór, zdecydowałaby się zostać z biologicznymi rodzicami, czy raczej z tymi, którzy ją wychowali? - W głosie Dorothy brzmiało teraz prawdziwe przekonanie. - Sam odpowiedz sobie na to pytanie i dobrze się zastanów, zanim dalej pociągniesz tę sprawę. Jeżeli stąd odejdziecie, nikt nie musi wiedzieć, co się stało. Wielu ludziom oszczędzicie niepotrzebne cierpienie. Jeżeli jednak tego nie zrobicie, nie zdołacie już powstrzymać dalszego biegu wydarzeń - Wszystkie te rodziny zostaną rozdarte, głęboko zranione, tylko dla waszej satysfakcji...

- Wszystkie te rodziny już zostały głęboko zranione, ponieważ Marcus Carlyle chciał zbić fortunę i pobawić się w Boga. - Lana podniosła się z fotela i podała telefon Dougowi. - Dzwon na policję.

- A moja córka? - Dorothy zerwała się na równe nogi. - Powiedziałaś, że będę mogła do niej zadzwonić!

- Skłamałam - odparła Lana i z wielką satysfakcją pchnęła ją z powrotem na krzesło.

Kilkaset kilometrów na północ od Charlotte Callie Dunbrook wyłączyła komórkę, i wyskoczyła z wykopu. Była wściekła, nieprzytomna z gniewu. Na widok Dory, która szybkim krokiem zmierzała w kierunku zaparkowanych na poboczu drogi samochodów i ciężarówek, natychmiast poderwała się do biegu. Biegła jak sprinterka, lekko pokonując przeszkody. Pośrodku terenu przeskoczyła nad Diggerem, który właśnie przykucnął w środkowej części osady, gdzie kiedyś znajdowały się paleniska.

I to właśnie instynktowny okrzyk Diggera zwrócił uwagę Dory. Oczy obu kobiet spotkały się na jedną sekundę, na jedno gwałtownie uderzenie

serca. Callie ujrzała w oczach Dory furie, świadomość winy i lęk. Zaraz potem dziewczyna rzuciła się do ucieczki.

Poprzez szum w uszach Callie słyszała także inne krzyki, czyjś nagły, zdumiony śmiech, dobiegające z radia dźwięki gitary, lecz wszystko to wydawało jej się odległe, jakby oddzielone od niej długim, równoległym biegnącym tunelem. Widziała tylko Dory. I doganiała ją.

Kiedy Bob przeciął ścieżkę Dory, niespodziewanie znalazł się w polu widzenia Callie. W ręku trzymał notatnik, jego wargi poruszały się w rytm melodii, która rozbrzmiewała w jego słuchawkach. W następnej chwili runął jak długi, rozsiewając dookoła kartki papieru, staranowany przez Dory.

Żadna z dwóch kobiet nie zwolniła nawet na sekundę. Bob leżał jeszcze na ziemi, gdy Callie przeskoczyła nad nim i, wykorzystując siłę, z jaką wybiła się w powietrze, runęła na Dory. Z łoskotem wylądowały na ziemi, przewracając wiadra i narzędzia. Callie miała przed oczami czerwoną mgłę. Ktoś krzyczał tuż nad nią, ale ona myślała tylko o pokonaniu Dory i walczyła, wykorzystując pięści, stopy, łokcie i kolana. Coś ostrego wbiło się w jej plecy, oczy wezbrały łzami z bólu, kiedy czyjaś ręka mocno szarpnęła jej włosy do tyłu.

Poczuła krew i już chciała wymierzyć przeciwnicze następny cios, gdy nagle jakaś siła uniosła ją w powietrze. Teraz widziała rozciągniętą na ziemi kobietę i gromadzących się wokół niej ludzi. Próbowwała się wyrwać, ale nie dała rady. Ktoś wykręcił jej do tyłu ramiona, przytrzymał mocno.

- Przestań! Przestań się szarpać, do diabła, bo będę musiał cię znokautować!

- Puść mnie! - krzyknęła. - Puszczaj, jeszcze nie skończyłam!

- Ona ma już dosyć. - Jake wzmocnił uchwyt, z trudem łapiąc oddech. - Wygląda na to, że złamałaś jej nos.

- Co takiego? - Czerwona mgła powoli się rozrzedzała. Callie dyszała ciężko, pięści nadal miała zaciśnięte, lecz fala dzikiej wściekłości zaczęła już opadać.

Z nosa Dory lała się krew, jej prawe oko było zapuchnięte. Dziewczyna szlochała i jęczała, wrywając się Leowi, który próbował zatamować krwotok.

- To ona... - wykrztusiła Callie. - Ona...

- Udało mi się to zrozumieć. Nie skoczysz na nią, jeżeli cię teraz puszczę? - Nie...

- Niezły atak, Dunbrook... - Jake rozluźnił uchwyt, ale nie wypuścił jej z ramion. Ustawił się tak, żeby znaleźć się między Callie i Dory, zajrzał tej pierwszej w twarz i skrzywił się.

- Marnie wyglądasz. Trafiła cię kilka razy.

- Nic nie czuję.

- Ale poczujesz.

- Odsuń się, Jake. Mam jej coś do powiedzenia.

Jake położył jej rękę na ramieniu i ostrożnie przesunął się w bok.

- Zamknij się wreszcie! - Chociaż Callie patrzyła tylko na Dory, wszyscy inni także zamilkli. - To było za Rosie.

- Zwariowałaś! - Dory ukryła poranioną twarz w dłoniach i zakołysała się żałośnie.

- Nos za Billa, a twoje podbite oko należało się Dolanowi.

- Zwariowałaś, zwariowałaś! - Dory, szlochając rozpaczliwie, wyciągnęła zakrwawione ręce do pozostałych członków zespołu. - Nie wiem, o czym ona mówi...

- Wszystkie inne rany i tak ci się należały, bo jesteś kłamliwą suką i morderczynią. Następnym razem dostaniesz za to, co zrobiłaś mojej rodzinie.

- Nie mam pojęcia, o co jej chodzi! - jęknęła Dory. - Zaatakowała mnie, sami widzieliście! Wezwijcie lekarza...

- Jezu, Callie... - Frannie przygryzła wargę i pochyliła się nad Dory. - Skoczyłaś na nią i zaczęłaś ją walić! Jest ledwo żywa!

- To ona zabiła Billa i posłała Rosie do szpitala! - Zanim Jake zdążył zareagować, Callie chwyciła Dory za przód podartej bluzki. - Masz szczęście, że Jake mnie odciągnął, ty suko.

- Trzymajcie ją z daleka ode mnie! - Dory skuliła się ze strachu. - Ona naprawdę zwariowała! Każę cię za to aresztować, zobaczysz!

- Jeszcze zobaczymy, kto spędzi dzisiejszą noc w więzieniu.

- Powinniśmy się uspokoić. - Bob przeczesał potargane włosy palcami. - Powinniśmy się uspokoić, to jedyne wyjście...

- Jesteś tego pewna, Callie? - zapytał Leo.

- Tak, nie mam żadnych wątpliwości. Policja zatrzymała twoją matkę, Dory, ale o tym chyba już wiesz. Wszystko się wali, rozumiesz? Zaczęło się walić w chwili, kiedy Suzanne mnie rozpoznała. Robiłaś wszystko, żeby tajemnica się nie wydała, zabijałaś, ale to już koniec.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

- Cóż... - Leo z ciężkim westchnieniem dźwignął się na nogi. - Nie pozostaje nam nic innego, jak wezwać policję.

Jake przemył antyseptycznym środkiem ślady po paznokciach w okolicy prawego obojczyka Callie. Odseparował ją od reszty zespołu, pozwalając tamtym zająć się Dory.

Obejrzał się i zauważył, że Bob poklepuje Dory po ramieniu, a Frannie podsuwa jej kubek z wodą.

- Jest bystra i umie grać - mruknął. - Usiłuje przekonać wszystkich, że nie ma zielonego pojęcia, dlaczego ją zaatakowałaś.

- To bez znaczenia. Doug i Lana mają jej matkę, Doroty Spencer. Znaleźli ją w Charlotte. To wystarczy, żeby Hewitt wziął Dory na przesłuchanie.

- Ona nie jest tu sama...

- Zachowałam się bezmyślnie, działałam pod wpływem impulsu, to prawda, ale gdybym tego nie zrobiła, Dory by uciekła, jestem tego pewna! Szła w kierunku samochodów.

- Zatrzymałaś ją, i dobrze, bo trzeba było to zrobić - powiedział Jake. - Doug i Lana na pewno przekażą policji w Charlotte jej zdjęcie. Poskładamy wszystkie fragmenty układanki i wtedy będziemy w domu...

- Siadała z nami do stołu, na miłość boską! Oplakiwała śmierć Billa, a po zniszczeniu przyczepy pracowała ciężiej od innych przy uprzążaniu terenu...

- I gdyby mogła, zabiłaby cię bez mrugnienia okiem. - Jake przycisnął wargi do czoła Callie. - Teraz będzie próbowała ich zmiękczyć, więc musimy...

- Zachować zimną krew - dokończyła. - Jeżeli trochę nie pochodzę, za parę minut będę sztywna jak patyk. Pomożesz mi?

Pomógł jej się podnieść i razem przeszli kilka kroków.

- Potrzebna ci gorąca kąpiel, masaż i środki przeciwbólowe, skarbie.

- Och, tak, ale to wszystko może poczekać. Może zadzwoniłbyś na policję w Charlotte i powiedział im, że zatrzymaliśmy Dory...

- Zaraz się tym zajmę. Na razie trzymaj się od niej z daleka, mówię poważnie. Im mniej jej powiesz, tym bardziej będzie się czuła zagrożona.

- Czasami nie cierpię cię za tę chłodną logikę i zdrowy rozsądek - mruknęła Callie.

- Och, jej... Zabolęło, co?

Uśmiechnęła się i zaraz zakłęła, czując ostry ból w górnej wardze.

Kiedy pod bramą zatrzymał się samochód szeryfa, wyprostowała się i podniosła głowę.

- No, do roboty - powiedziała.

Szeryf Hewitt wsunął kawałek gumy do ust, nie spuszczać wzroku ze swego zastępcy, który pomagał Dory wsiąść do drugiego samochodu.

- Przewieziemy ją teraz do szpitala - oświadczył. - Cóż, to interesująca historia, doktor Dunbrook, ale nie mogę aresztować tej kobiety wyłącznie na podstawie pani ustnego oskarżenia.

- Chodzi o coś więcej niż moje ustne oskarżenie, szeryfie. Dory jest córką Marcusa Carlyle'a i Dorothy McLain Spencer, jego byłej sekretarki. Okłamała nas, ukrywając swoje prawdziwe nazwisko.

- Ona temu zdecydowanie zaprzecza. Potwierdza powiązania rodzinne, ale mówi, że nikogo nie okłamała.

- W takim razie dlaczego nie powiedziała, kim jest, kiedy spłonęło biuro Lany Campbell i kiedy zginął Bili? Poza tym, doskonale wiedziała, że szukam Carlyle'a i wszystkich osób, które kiedykolwiek miały z nim kontakt...

Szeryf powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Utrzymuje, że nie miała o tym pojęcia.

- To zwykłe kłamstwo! Wierzy pan, że tak po prostu zgłosiła się do pracy w moim zespole? Córka człowieka, który odpowiada za moje porwanie, z zupełnie niewinnych powodów postanowiła trochę popracować razem ze mną, tak pan to widzi?

- Sęk w tym, że pani też tak po prostu zgłosiła się tu do pracy... Nie mówię jednak, że jej wierzę. - Hewitt ostrzegawczo podniósł dłoń, powstrzymując wybuch Callie. - Jest tu, jak na mój gust, zbyt wiele zbiegów okoliczności, a jej przyjazd tutaj rzeczywiście wzbudza podejrzenia... Tak czy inaczej, na razie nie mamy podstaw, aby oskarżyć ją o zamordowanie tego chłopaka czy Rona Dolana. Nie możemy nawet dowieść, że była tu, kiedy zginął Dolan. Kiedy opatrzą ją w szpitalu, zadam jej kilka pytań i oczywiście porozmawiam z policją i FBI z Charlotte. Zrobię wszystko, co do mnie należy.

- Szeryf uważnie przyjrzał się posiniaczonej twarzy Callie. - I szczerze radzę pani nie pomagać mi w wykonywaniu moich obowiązków...

- Ona uciekała!

- Nie twierdzę, że tak nie było. Dziewczyna utrzymuje, że rozprostowywała nogi, kiedy pani spadła na nią jak grom z jasnego nieba, a zdania świadków są podzielone. Proszę wziąć pod uwagę fakt, że nie stawiam pani żadnego zarzutu.

- A pan powinien wziąć pod uwagę fakt, że ta dziewczyna postanowiła rozprostować nogi w chwili, gdy jej matka zadzwoniła do niej, żeby ją ostrzec!

- Sprawdzę to wszystko, doktor Dunbrook. Ja nie doradzam pani, jak powinna pani pracować, prawda? No, właśnie... Najlepiej będzie, jeżeli wróci pani teraz do domu i przyłoży lód na ten policzek, bo wygląda nieciekawie. I bardzo proszę, żeby wszyscy członkowie zespołu byli do mojej dyspozycji do czasu, gdy sprawa zostanie zamknięta.

- Może powinien pan też sprawdzić, czy Dorothy Spencer nie odwiedzała ostatnio Woodsboro. Dory na pewno nie działała w pojedynkę.

Hewitt wymierzył palec w jej pierś.

- Proszę wracać do domu, doktor Dunbrook. Skontaktuję się z panią, kiedy na jaw wyjdą jakieś nowe fakty.

Kiedy szeryf odszedł do samochodu, Callie ze złością kopnęła kamyk.

- Chciałabym wiedzieć, skąd mam wziąć cierpliwość...

Poleżała w mocno ciepłej wodzie, wzięła pastylkę przeciwbólową i chwilę odpoczęła. Potem doszła do wniosku, że na pewno jest coś, co mogłaby zrobić, i postanowiła nie czekać biernie na dalszy rozwój wypadków.

Włożyła najluźniejsze spodnie i koszulę, rzuciła tęskne spojrzenie w kierunku łóżka i powoli pokuśtykała na dół.

Kiedy weszła do kuchni i otworzyła lodówkę, żeby wyjąć coś zimnego do picia, ożywiona rozmowa przy stole urwała się nagle, jak nożem uciął.

- Może napijesz się herbaty? - Frannie zerwała się z krzesła. - Najlepiej ziołowej...

- Mamy ziołową herbatę?

- Tak, zaraz zaparzę... Dory biegła! - wybuchnęła Frannie, rzucając wyzywające spojrzenie zgromadzonym przy stole. - Biegła, sama widziałam! A jeżeli rzeczywiście jest winna temu, co stało się z Billem i Rosie, to cieszę się, że skopałaś jej tyłek!

Frannie podeszła do kuchenki, chwyciła czajnik i napełniła go wodą. Pociągnęła nosem.

- Dzięki, Fran. - Callie odwróciła się twarzą do Jake'a, który właśnie wszedł do kuchni. - Słuchajcie, wiem, że wszyscy jesteście zdenerwowani i nie wiecie, co myśleć. Wiem, że wszyscy lubiliście Dory, zresztą ja również ją lubiłam, ale jeżeli nikt z was nie dosypał seconalu do herbaty w moim termosie, tego seconalu, który o mały włos nie zabił Rosie, to znaczy, że zrobiła to Dory.

- Skoro Cal mówi, że to Dory, to ja jej wierzę. - Digger energicznie kiwnął głową.

- Tak, ale... - Z piersi Boba wydobyło się ciężkie westchnienie. - To jeszcze nie powód, żeby na nią napadać! To nie powód, żeby napadać na kogoś, kto należy do zespołu!

- Zbiła cię z nóg, rzuciła na ziemię i nawet się nie obejrzała - przypomniał mu Digger.

- Wiem, lecz mimo wszystko...

- Czy Dory biegła? - zapytała ostro Callie.

- Chyba tak... Nie wiem, nie przyglądałem się. Jezu, przecież to ona wezwała karetkę dla Rosie... A kiedy Bili... Kiedy Bili zginął, całkiem się rozsypała...

- Dory powiedziała Soni, że Callie chciała się jej pozbyć z zespołu. - Frannie przedramieniem otarła łzy i postawiła czajnik na gazie. - Możecie zapytać Sonię... Podobno dlatego, że Dory podrywała Jake'a. Powiedziała też, że Callie jest zazdrosna o wszystkie dziewczyny z zespołu i że tylko czekała,

żeby ją stąd wykopać...

- Jezu Chryste... - Matt ze zmęczeniem potarł czoło. - Przecież to jakieś kompletne bzdury, zwykła babska zazdrość. Słuchajcie, nie wiem, co się tu dzieje i wcale nie chcę wiedzieć, ale po prostu nie rozumiem, w jaki sposób Dory mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią Billa. Nie rozumiem tego...

- Nie musisz. - Jake otworzył butelkę z wodą. - Przed chwilą skończyłem rozmawiać z Laną. Ona i Doug właśnie wylądowali na lotnisku w Dulles. FBI przesłuchuje teraz Dorothy Spencer. Zamierzają przysłać tu jednego ze swoich ludzi, żeby porozmawiał z córką Dorothy. Myślę, że oni rozumieją, jaką rolę odegrała Dory w tej sprawie.

Callie zaniósła swoją herbatę do gabinetu Jake'a, usiadła przy komputerze i spojrzała na listę najważniejszych wydarzeń w swoim życiu.

- Kiedy jedno ulega zmianie, wpływa to na wszystkie pozostałe - odezwała się, wyczuwając jego obecność za swoimi plecami. - Nadal nie wiem, czy zmieniłabym coś, gdybym mogła to zrobić... Gdybym nie złamała ręki, może nie przeczytałabym wtedy tylu książek o archeologii i nie została tym, kim jestem. Gdybym z tobą nie zerwała, może teraz nie staralibyśmy się zrozumieć siebie nawzajem. Gdybym nie zrezygnowała z udziału w pracach na wykopalisku w Kornwalii, nie trafiłabym tutaj i najprawdopodobniej Suzanne Cullen nigdy by mnie nie zobaczyła. Bili nadal by żył, ale wszystkie ciemne sprawki Carlyle'a pozostałyby nieodkryte...

Jake usiadł na brzegu stołu obok niej.

- Filozofia to straszne gówno.

- Już prawie skończyłam. Chyba wiesz, że te opowieści o mojej zazdrości to zwykła bujda, prawda? Gdybym wtedy rozumowała jak normalny człowiek, spróbowałabym zatrzymać Dory w inny sposób. Pewnie bym zawołała, poprosiła, żeby chwilę zaczekała, czy coś takiego. I gdyby nagle rzuciła się do ucieczki, wszyscy by to widzieli. Ale ja nie myślałam, zależało mi tylko na tym, żeby ją złapać... - Pokręciła głową. - Nie, nieprawda... Chciałam zrobić jej krzywdę.

- Rozumiem cię.

- Byłam pewna, że mogę liczyć na twoją wyrozumiałość. - Callie wypła łyk herbaty, odetchnęła z ulgą. - Teraz czuję rozczarowanie. Liczę, że policja i FBI nie wypuszczą Dorothy i Dory z ręki, ale nadal nie widzę całego obrazu... I coś mi mówi, że ta sprawa wygląda jednak trochę inaczej, niż przypuszczałam...

- Dobry archeolog wie, że zwykle wykopuje coś zupełnie innego niż to, o czym marzył.

- No, proszę bardzo, znowu jesteś niezwykle racjonalny.

- Długo trenowałem. - Jake sięgnął po jej rękę, obejrzał podrapane knykcie, rozprostował palce. - Boli?

- Tak, zupełnie, jakbym kilka razy z rozmachem walnęła nimi w kamień. Mimo to podniosła słuchawkę, kiedy zadzwonił telefon.

- Tu Dunbrook. Och, szeryf Hewitt... - Callie spojrzała na Jake'a i znacząco przewróciła oczami. Nagle zamarła. Bez słowa wstała i odłożyła słuchawkę.

- Zgubili ją - powiedziała, usiłując opanować gniew. - Po prostu wyszła ze szpitala, korzystając z chwili nieuwagi zastępcy Hewitta. Nikt jej nie widział, nikt nie wie, w którą stronę poszła. Rozpłynęła się w powietrzu, i tyle.

Doug wstąpił do matki po drodze z lotniska. Pomyślał, że nie może powiedzieć jej przez telefon o tym, czego się dowiedzieli. Nie był pewny jej reakcji i wiedział, że o tej porze dnia najprawdopodobniej będzie sama.

Postanowił, że później pojedzie do Lany, a stamtąd, już razem z nią, do Callie i Jake'a. Zatrzymał się za samochodem Suzanne.

Żałował, że nie może zamknąć tego pudełka z niezasażonym cierpieniem i sprawić, aby życie ich wszystkich potoczyło się gładko i spokojnie. Bardzo chciałby mieć normalne, zwyczajne życie... Chciał powiedzieć matce, że zakochał się i zamierza obdarzyć ją gotowym wnuczkim... Pragnął tego z całego serca.

Podszedł do drzwi i pomyślał, że właściwie nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak wygląda życie jego matki. Jak zbudowała firmę, jaki stworzyła sobie dom... Dlaczego lubi otaczać się ładnymi drobiazgami...

Kiedy wszedł do salonu, wziął ze stołu miseczkę z przejrzystego zielonego szkła i przyjrzał jej się uważnie. Dlaczego nigdy nie podziwiał, z jaką odwagą i siłą woli starała się odbudować wokół siebie normalność, chociaż jej duch został złamany i podeptany...

Teraz szczerze żałował, że wcześniej nie zwrócił na to wszystko uwagi.

- Mamo?

- Doug? - Jej głos dobiegał z góry. - Wróciłeś! Jak to dobrze! Zaraz do ciebie zejdem... Doug poszedł do kuchni, z przyjemnością wciągając zapach świeżo zaparzonej kawy.

Napełnił kubek aromatycznym płynem, potem sięgnął po ulubioną filiżankę Suzanne. Usiądą przy stole i napiją się kawy, a on opowie, co odkryli.

Powie także coś, czego nie mówił jej od bardzo dawna. Powie swojej matce, że ją kocha.

Usłyszał cichy stukot obcasów - szybkie, lekkie, bardzo kobiece kroki. Kiedy się odwrócił, kubek o mało nie wypadł mu z ręki.

- No, nieźle... - wykrztusił. - Z jakiej to okazji?

- Och, cóż... Właściwie bez okazji...

Zarumieniła się. Doug nie miał pojęcia, że matki potrafią się rumienić. I najwyraźniej zupełnie zapomniał, jaką piękną kobietą była jego matka.

Włosy miała rozpuszczone, zaczesane do tyłu, wargi i policzki atrakcyjnie różowe, lecz największe wrażenie zrobiła na Dougu sukienka. Granatowa, prosta i wąska, na tyle krótka, by wyeksponować wspaniałe nogi, głęboko wycięta, aby podkreślić kształt piersi i doskonałą figurę Suzanne. Doug poczuł się co najmniej nieswojo.

- Często chodzisz w czymś takim po domu? Nerwowym gestem wygładziła dół sukienki.

- Zaraz wychodzę. Czy to kawa dla mnie? Poczekaj, przyniosę ciasteczka... Podeszła do kredensu i wyjęła szklany słoik z ciastkami.

- Gdzie się wybierasz?

- Na randkę. - Na... Co takiego?

- Na randkę. - Starannie ułożyła ciasteczka na talerzu, zupełnie tak samo, jak przed laty, kiedy wracał ze szkoły. - Wybieram się na kolację.

- Och, rozumiem...

Na randkę, pomyślał. Wybiera się na kolację z jakimś facetem, ubrana jak... Szczerze mówiąc, bardziej rozebrana, niż ubrana... Suzanne postawiła talerz na stole, podniosła głowę.

- Z twoim ojcem - dodała.

- Słucham?

- Mówię, że wybieram się na kolację z twoim ojcem. Doug usiadł.

- Ty i tata... Ty i tata umawiacie się na randki?

- Po prostu idziemy razem na kolację, to wszystko. Nie ma w tym nic niezwykłego.

- Za to ta sukienka jest niezwykła. - Doug powoli otrząsnął się ze zdumienia. Teraz ogarnęło go rozbawienie i ciepła radość. - Kiedy cię zobaczy, oczy wyjdą mu na wierzch.

- Naprawdę dobrze wyglądam? Miałam tę sukienkę na sobie tylko dwa razy, na jakichś biznesowych spotkaniach...

- Wygląda niesamowicie. Ty wyglądasz niesamowicie. Jesteś piękna, mamó. W jej oczach błysnęło najpierw zdziwienie, potem łzy.

- Daj spokój, na miłość boską...

- Żałuję, że nie mówiłem ci tego codziennie. Że codziennie nie powtarzałem, że cię kocham i jestem z ciebie dumny...

- Och, synku... - Podniosła rękę do serca. - Zaraz zmarnuję makijaż, który nakładałam całe pół godziny...

- Przepraszam, że nie rozmawiałem z tobą... Bałem się, że masz do mnie

żał...

- Że mam do ciebie żal? Żal za... - Nie zważając na płynące po twarzy łzy, oparła policzek o czubek jego głowy. - Och, Doug, moje biedne dziecko... Nie, nigdy nie miałam do ciebie żalu... Mój najdroższy synku... Tak bardzo cię zawiodłam...

Gardło Douga ścisnęło wzruszenie.

- Wcale mnie nie zawiodłaś, mamó - powiedział z trudem.

- Zawiodłam cię, wiem, że tak było, ale nigdy nie przyszło mi do głowy... Och, synku... - Pocałowała go w policzek. - Nigdy cię za to nie winałam, nigdy, ani przez chwilę, przysięgam. Przecież byłeś wtedy malutkim dzieckiem... - Przycisnęła wargi do jego czoła. - Moim malutkim dzieckiem. Kocham cię, synku. Ja także żałuję, że nie mówiłam ci tego codziennie. Że nie rozmawiałam z tobą. Zamknęłam się w sobie, uciekłam w głąb siebie przed tobą i twoim ojcem... Przed wszystkimi, przed całym światem... A kiedy próbowałam się otworzyć, było już za późno...

- Nigdy nie jest za późno. Siadaj, mamó. Siadaj - powtórzył, ujmując obie jej dłonie. - Zamierzam ożenić się z Laną Campbell.

- Zamierzasz... O, mój Boże! - Ścisnęła jego palce i zaczęła śmiać się przez łzy. - O, mój Boże! Chcesz się ożenić! Dlaczego pijemy kawę? Mam tu szampana!

- Później. Wypijemy go, kiedy wszyscy zbierzemy się przy stole.

- Tak się cieszę! A twój dziadek, przecież on zwariuje ze szczęścia! Och, nie mogę się już doczekać, żeby powiedzieć o tym Jayowi! Nie mogę się doczekać! Wydamy wielkie przyjęcie, nie, raczej bankiet...

- Spokojnie, wszystko w swoim czasie. Kocham ją, mamó. Zakochałem się i nagle cały świat się zmienił, nawet moje serce...

- Bo tak powinno być! Och, Boże, gdzie są chusteczki... - Suzanne wyjęła trzy z pudełka na stole. - Bardzo ją lubię, wiesz? Od razu ją polubiłam. A jej synek... - Przerwała nagle. - Coś takiego! Zostałam babcią, to niesamowite!

- Jak się z tym czujesz?

- Chwileczkę... - Przycisnęła dłoń do brzucha, wzięła głęboki oddech. - Dobrze mi z tym - oświadczyła. - Tak, bardzo mi z tym dobrze.

- Tyler jest wspaniały, zwariowałem na jego punkcie. Usiądź, mamó, bardzo cię proszę. Muszę ci coś jeszcze powiedzieć. O Jessice.

- O Callie. - Suzanne usiadła przy stole. - Powinniśmy nazywać ją imieniem, którego używa.

- Dokąd mogła pójść? - Caellie przemierzała szybkimi krokami gabinet Jake'a, co jakiś czas zerkając na zegarek - Na pewno nie wróciła do Charlottae,

skoro wiedziała., że jej matka została zatrzymana. Jej ojciec nie żyje. Czy zaryzykowałaby wyjazd z kraju i podróż na Kajmany?

- Może ma tam pieniądze - podsunęła Laną. - Pieniądze zawsze są potrzebne podczas ucieczki.

- Ustaliliśmy, że Carlyle był śmiertelnie chory, praktycznie unieruchomiony - ciągnęła Callie. - Jeżeli jego organizacja wciąż działała, to wydaje się mało prawdopodobne, by nadal grał w niej pierwsze skrzypce. Był stary, umierający, mieszkał poza krajem. A gdyby sieć nie działała, to czy tak bardzo walczyliby o to, żeby nie dopuścić mnie do niego?

- Jego współpracownicy obawiali się ujawnienia, to logiczne. - Jake nadal pisał na kartce. - Oznaczałoby to dla nich stratę reputacji, procesy sądowe i więzienie. Jeżeli organizacja działała, bali się tego samego, plus utraty źródła dochodu.

- Nie wiem, jak możesz mówić o tym w taki sposób, jakby chodziło o zwykłe przedsiębiorstwo. - Doug wsadził ręce do kieszeni. - Utrata źródła dochodu...

- Musimy myśleć tak jak oni - odparła Callie, - Tylko wtedy zrozumiemy ich motyw i społeczne uwarunkowania tej grupy.

- Całkiem możliwe, że w waszej grupie nadal tkwi wtyczka. - Lana ruchem głowy wskazała zamknięte drzwi. - Dory nie działała sama...

- Ale też z nikim z nich. - Jake zajrzał do notatek. - Dory weszła do zespołu dzięki sfałszowanym rekomendacjom, ale i konkretnym umiejętnościom...

- Była bardzo dobrym fotografem - potwierdziła Callie.

- Może to jej prawdziwy zawód. - Doug wzruszył ramionami.

- Nie wiedziała zbyt wiele o wykopaliskach, ale szybko się uczyła i ciężko pracowała - dodała Callie. - Bob i Sonia byli tu od samego początku, więc są czyści. Frannie i Chuck zjawili się jako para. Fran była dość zielona, natomiast Chuck miał duże doświadczenie, z pewnością nie był to jego pierwszy projekt. To samo dotyczy Matta.

- W zasadzie trzon zespołu pozostaje niezmienny. - Jake odłożył ołówek.

- W zasadzie... - powtórzył Doug.

Jake wziął linijkę i sięgnął po wydruk wydarzeń z życia Callie.

- Liczę, że policja ją znajdzie - odezwała się Lana. - I ją, i Simpsonów. Kiedy wpadną, wsypią resztę. Zresztą, już i tak złamaliście kręgosłup tej organizacji i znaleźliście odpowiedzi na swoje pytania...

- Czuję, że to jeszcze nie koniec. - Callie przestała chodzić po pokoju, przystanęła za plecami Jake'a. - Co robisz?

- Łączę główne odniesienia czasowe. Twoje, Carlyle'a, Dory...

- Po co? - zapytał Doug.

- Im więcej danych, tym bardziej logiczne założenia. - Callie przebiegła wzrokiem nakreślone przez Jake'a linie.

Pierwsze małżeństwo Carlyle'a, narodziny jego syna, przeprowadzka do Bostonu...

- Istnieje spora luka czasowa między datą ślubu Carlyle'a i narodzinami jego syna - zauważyła.

- Ludzie często czekają kilka lat z założeniem rodziny - powiedziała Lana. - Ja i Steve czekaliśmy prawie cztery...

- Pięćdziesiąt, czterdzieści lat temu wyglądało to trochę inaczej. Dziwi mnie ta luka. Lano, masz gdzieś pod ręką datę rozpoczęcia praktyki adopcyjnej przez Carlyle'a w Bostonie?

- Zaraz poszukam. Mogę skorzystać z twojego komputera, Jake?

- Proszę bardzo. Dopisuję tu daty poronień twojej matki, Cal. Swoją drogą szkoda, że nie możemy zajrzeć do karty zdrowia pierwszej pani Carlyle...

- Yhm... Daty urodzenia Dory nie możemy jeszcze wpisywać jako pewnej.

- Moim zdaniem margines błędu jest niewielki. Dory jest w twoim wieku, co znaczy, że jest o jakieś dwadzieścia lat młodsza od Richarda Carlyle'a. Jeżeli dobrze liczę, to Carlyle senior musiał mieć koło sześćdziesiątki, kiedy przyszła na świat...

- Takie rzeczy się zdarzają - mruknęła Callie. - Ile lat ma Dorothy?

- Koło czterdziestki - rzucił Doug.

- Po pięćdziesiątce - sprostowała Lana, nie odrywając wzroku od ekranu komputera. - Ale doskonale się trzyma.

Jake skinął głową.

- Więc jest o mniej więcej dziesięć lat starsza od Carlyle'a juniora...

Doug z zafascynowaniem obserwował, jak pracują. Przypominało to wspólne przygotowywanie śniadania, którego był świadkiem. Podobne ruchy, ten sam rytm...

- Nie nadążam - poskarżył się.

- Lana, masz coś? - Callie sunęła palcem po nakreślonej przez Jake'a siatce.

- Tak, zaraz... Pierwszy wniosek adopcyjny zgłoszony w 1946 roku, drugi parę miesięcy później.

- Dwa lata po ślubie. - Callie pokiwała głową. - Sześć lat po rozpoczęciu praktyki... Ciekawe, nie sądzisz, Jake? I ta duża luka...

- Logiczna hipoteza oparta na dostępnych danych.

- To znaczy? - Doug z uczuciem bezradności przyjrzał się siatce.

- Richard Carlyle był pierwszym niemowłędem, skradzionym przez Marcusa Carlyle, ale nie dla zysku - Marcus chciał mieć syna.

Doug poprawił okulary.

- I wyczytaliście to z tego wykresu?

- Dwa lata po zawarciu małżeństwa Carlyle zmienia profil swojej praktyki - powiedziała Callie. - Niewykluczone, że przyczyną był brak dziecka. Z osobistych względów zaczyna interesować się adopcją i poznaje całą procedurę od podszewki.

- Ale dlaczego po prostu nie adoptowali dziecka? - wtrąciła się Lana.

- Tego możemy się tylko domyślać. - Jake podniósł pusty dzbanek po kawie i z nadzieją spojrzał na Callie.

- Nie teraz! - warknęła.

Wzruszył ramionami, odstawił dzbanek.

- Marcus Carlyle był władczy człowiekiem, lubił kontrolować sytuację...

- Świadomość, że to może on jest bezpłodny, boleśnie zraniła jego ego.

- Doug pokiwał głową. - Ale jak...

- Sekundę. - Callie podniosła rękę. - Powoli, nie wszystko naraz.... Złożenie oficjalnego wniosku o adopcję nie pasuje do portretu Carlyle'a, lecz on nadal bardzo pragnie dziecka, oczywiście syna, nie córki... Musi dokładnie znać pochodzenie dziecka, a ówczesne prawo osłaniało tajemnicą biologicznych rodziców. Carlyle na pewno nie mógł się z tym pogodzić. I wtedy zaczął się rozglądać. I co zobaczył? Ludzi, którzy mają dzieci, dwoje, troje, czworo dzieci. Ci ludzie są ubożsi od niego, mniej ważni, krótko mówiąc, gorsi.

- To wszystko rzeczywiście pasuje do Carlyle'a - przytaknęła Lana.

- Carlyle wielokrotnie reprezentował występujące o adopcję małżeńskie pary - ciągnął Jake. - Zna procedurę adopcyjną, lekarzy, innych prawników, agencje. Obraca się w tych samych kręgach towarzyskich, co tamci. Wykorzystując tę sieć znajomości, znajduje biologicznych rodziców, którzy spełniają jego kryteria. Stawiam swoją kolekcję CD, że wniosku adopcyjnego i orzeczenia sądu w sprawie Richarda Carlyle'a nie uda się nigdzie znaleźć...

- Zaraz potem przenosi się do Houston. Nowe miasto, nowa praktyka, nowi znajomi.

- A ponieważ wszystko się udało i dostał to, co chciał, na takich warunkach, jakie postawił, uznał, że jest to... Jak określiła to Dorothy? - Doug zwrócił się do Lany.

- Uznał, że jest to jego misja - uzupełniła. - I niezwykle dochodowe hobby...

- To prawdopodobne, ale... - Doug rozłożył ręce. - Wciąż obracamy się wśród założeń i przypuszczeń...

- Musisz jednak przyznać, że mają one solidne podstawy - powiedziała Callie. - Musimy jeszcze założyć, że w pewnej chwili Richard dowiedział się, iż został adoptowany i właśnie to spowodowało rozdźwięk między nim i ojcem. Marcus źle traktował jego matkę. Nie urodziła mu syna, więc niewykluczone, że karał ją ciągłymi zdradami.

- Ale rozwiedli się dopiero wtedy, gdy skończył dwadzieścia lat. - Jake postukał palcem w siatkę. - W tym samym roku urodziła się Dory...

- Carlyle był w gruncie rzeczy zadowolony z pierwszego małżeństwa, ale Richard dorósł i rodzina się rozpadła.

- Ze związku Marcusa z sekretarką urodziła się córka podjął Doug. - Musiał to być policzek dla Richarda i jego matki. Hmm.... Interesująca teoria, lecz co z tego?

- Mamy tu jeszcze jedną warstwę. - Callie utkwiała spojrzenie w płataninie linii. Teraz wszystko wydawało jej się dużo bardziej zrozumiałe. - Spójrzcie... Ta przeprowadzka z Bostonu do Seattle... Daleko, prawda? Pojawia się pytanie, dlaczego... Dlatego, że sekretarka, która była jego kochanką, знаła większość jego nielegalnych poczynań i uczestniczyła w nich, poinformowała go, że jest w ciąży... Tyle że nie z nim, ale z jego synem...

- Dorothy Simpson i Richard Carlyle? - Lana zerwała się z krzesła, żeby popatrzeć na wykres.

- Młody, wrażliwy chłopak, który właśnie odkrył, że został adoptowany, wpada w gniew... - Callie zamyśliła się na chwilę. - Podoba mu się starsza od niego, atrakcyjna kobieta i jeśli nawet wie, że jest ona kochanką ojca, to myśli sobie: „Pokażę temu draniowi!”. Dorothy zbliża się do trzydziestki, od dawna pracuje i sypia z Carlyle'em. Oddała mu swoją pierwszą młodość. Może obiecywał jej coś więcej niż romans, a może nie, w każdym razie ona ma dosyć odgrywania roli „tej drugiej”. Zdaje sobie sprawę, że nic z tego nie ma... Na jej drodze staje syn Carlyle'a, młody, świeży... Mogłaby uczynić z niego przynętę na seniora...

- Jeśli sypiała z nim od mniej więcej dziesięciu lat i nie zaszła w ciążę, to chyba tylko z powodu jego bezpłodności - rzekła Lana.

- Możliwe też, że byli bardzo ostrożni i mieli szczęście - powiedział Jake. - Ale logika podpowiada, że po prostu zaszła w ciążę z młodym Carlyle'em. Senior ma w tym czasie koło sześćdziesiątki i, o ile nam wiadomo, nigdy nie spłodził dziecka...

- Richard Carlyle wcale nie chronił umierającego ojca, z którym pokłócił się wiele lat temu - oświadczyła Callie. - Osłaniał swoją córkę.

- I oto znaleźliśmy odpowiedź na pytanie, gdzie się podziała Dory. - Jake obrysował czerwoną linią imię Richarda. - Uciekła do tatusia...

- Jeżeli przedstawicie tę teorię glinom, najprawdopodobniej uznają, że zwariowaliście - rzekł Doug. - Chyba że okażą się wyjątkowo otwarci...

- Zaraz to wszystko zapiszę. - Lana podwinęła rękawy. - Mówcie powoli, obiektywnie, jasno i wyraźnie... Nie pociągnę długo bez kofeiny...

- Dobrze już, dobrze... - Callie z niesmakiem chwyciła dzbanek i przez salon poszła do kuchni.

Z kąta dobiegało donośne chrapanie, które mógł wydawać tylko Digger. Na rozkładanym fotelu spał Matt.

Zajrzała do wszystkich pokoi, przeliczyła członków zespołu i wróciła do kuchni, żeby zaparzyć kawę.

- Wszyscy są? - Nawet nie usłyszała kroków Jake'a. - Wiedziałem, że sprawdzisz...

- Wszyscy obecni - potwierdziła. Wrzuciła szczyptę soli do ekspresu, dolała wody i włączyła maszynę. - Jeżeli mamy rację, to biznes kręci się od trzech pokoleń. Nie wiadomo, czy Richard Carlyle brał w tym udział, ale na pewno wiedział, co się dzieje. Obrzydliwe... To przekazywanie zła z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna, a potem na wnuczkę, trąci prawdziwą ohydą... A jeżeli Richard odkrył, że jest w takiej samej sytuacji jak ja teraz? Nie, w zasadzie w gorszej, bo jego ojciec tkwił w tym gównie po szyję...

Jake podszedł do niej, delikatnie musnął palcami jej policzek.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że środowisko i zasada dziedziczności pomagają kształtować charakter człowieka - rzekł. - Richard dokonał własnego wyboru i poszedł inną ścieżką niż ty. Twoje geny, wychowanie, wpojona i wyznawana hierarchia wartości nigdy nie pozwoliłyby ci żyć w kłamstwie.

- Ale może i ja chroniłabym swojego ojca? Czy zrobiłabym tak, gdybym się dowiedziała, że jest potworem?

- Ja znam odpowiedź, a ty? - Jake odpowiedział pytaniem na pytanie. Westchnęła i sięgnęła po czyste kubki.

- Tak, ja też ją znam. Nie byłabym w stanie chronić potwora. Pewnie bym cierpiała jak potępiona dusza, ale nie mogłabym go osłaniać.

- Znalazłaś warstwę, której szukałaś, kochanie.

- Tak. Teraz należy ją przewietrzyć i wystawić na widok publiczny. Nie mam wyboru.

- Nie masz. - Ujął ją za ramiona i pocałował w czubek głowy. - Nie potrafiłabyś jej ukryć.

Krótką ciszę rozdarł brzęczyk telefonu. Callie się odwróciła.

- Jest druga w nocy, na miłość boską! Kto może dzwonić o takiej godzinie? Tu Dunbrook...

- Witaj, Callie.

- Witaj, Dory... - Callie chwyciła ołówek i zaczęła szybko pisać na ścianie obok telefonu: DZWOŃ NA POLICJĘ, NIECH SPRAWDZA, SKĄD DZWONI. - Jak tam twój nos?

- Boli jak cholera. Zapłacisz mi za to, słowo daję.

- Przyjedź tu, to urządzimy drugą rundę.

- Urządzimy sobie drugą rundę, możesz być tego pewna, ale tym razem ty przyjedziesz do mnie.

- Powiedz tylko, kiedy i gdzie.

- Myślisz, że jesteś taka sprytna? Taka mądra? Krążę wokół ciebie od wielu tygodni. Mam twoją matkę.

Krew uderzyła Callie do głowy.

- Nie wierzę ci.

W słuchawce zabrzmiał okropny, pozbawiony wesołości śmiech.

- Ależ wierzysz! Nie jesteś ciekawa, którą matkę? Nie chcesz się dowiedzieć?

- Czego chcesz? - zapytała Callie.

- A ile jesteś gotowa zapłacić?

- Powiedz, czego chcesz. Dostaniesz to, przysięgam.

- Chcę, żeby przyjechała tu moja matka! - wrzasnęła Dory. - I co? Przywieziesz ją tu, suko? Zniszczyłaś jej życie, a ja zniszczę twoje!

- Wzięli ją tylko na przesłuchanie, nic więcej. - Ciałem Callie wstrząsały dreszcze. - Możliwe, że już ją wypuścili...

- Kłamczucha! Spróbuj skłamać jeszcze raz, a zabiję twoją matkę! Mam w ręku nóż!

- Nie rób jej krzywdy... - Przerazenie ścisnęło serce Callie. - Nie rób jej nic złego, proszę... - Chwyciła rękę Jake'a. - Mów, czego chcesz, błagam...

- Jeżeli wezwiesz policję, zabiję ją, rozumiesz? I będzie tak, jakbyś zamordowała ją własnymi rękami!

- Rozumiem, nie wezwę policji. Załatwimy to w cztery oczy, ty i ja. Rozumiem. Mogę z nią porozmawiać? Pozwól mi, błagam...

- Pozwól mi, błagam... - powtórzyła Dory piskliwym głosem. - Nie zapominaj, że rozmawiasz ze mną, suko! Teraz ja wydaję polecenia!

- Tak, ty wydajesz polecenia. - Callie starała się zapanować nad drżeniem głosu.

- I będziesz ze mną rozmawiać, och, tak! Pogadamy o zapłacie i o tym,

co musisz zrobić. Przyjedź tu sama, bo inaczej ją zabiję, zabiję ją bez chwili zastanowienia. Wiesz, że jestem do tego zdolna...

- Przyjadę sama. Dokąd?

- Nad Oczko Simona. Daję ci dziesięć minut, później zacznę ją kroić.

Dziesięć minut, odliczanie już trwa. Lepiej się pośpiesz.

- Dzwoniła z komórki - powiedział Jake w chwili, gdy Callie odłożyła słuchawkę. - Próbują ją namierzyć.

- Nie mam chwili do stracenia. Ona ma moją matkę. Boże, dziesięć minut... - Callie rzuciła się ku drzwiom.

- Zaczekaj, nie możesz wybiec tak bez zastanowienia, do cholery!

- Dała mi dziesięć minut na dotarcie do jeziora. Ma moją matkę i zabije ją, jeżeli nie przyjadę! Nie wiem nawet, o którą chodzi, na miłość boską... I muszę zjawić się tam sama...

Jake wyciągnął nóż z buta.

- Weź to. Będę tuż za tobą. - Nie możesz! Ona...

- Zaufaj mi. - Mocno ścisnął jej ramiona. - Musisz mi zaufać. Ja ci ufam, pamiętaj. Spojrzała mu w oczy i podjęła decyzję.

- Pośpiesz się - powiedziała. I wybiegła.

Pot płynął jej po plecach, kiedy z niebezpieczną prędkością gnała samochodem wąskimi, krętymi drogami. Za każdym razem, gdy opony żałośnie piszczwały na zakręcie, dodawała gazu. Przy każdym spojrzeniu na podświetloną tarczę zegarka serce podskakiwało w niej jak przestraszone zwierzątko.

Było całkiem możliwe, że pędzi prosto w pułapkę, ale się nie wahała. Pochyliła się nad kierownicą, wpatrzona w jasne pasma bijące z przednich świateł. Dojechała na miejsce w dziewięć minut.

Pole wydało jej się zupełnie puste. Wskoczyła z samochodu, jednym susem pokonała ogrodzenie.

- Dory, jestem! Przyjechałam sama! Nie rób jej krzywdy! Szła w kierunku wody, ku drzewom.

- To sprawa między tobą i mną, nie zapominaj! Między tobą i mną... Możesz ją puścić, już jestem!

Kątem oka dostrzegła błysk latarki. Odwróciła się gwałtownie.

- Zrobię, co zechcesz...

- Zatrzymaj się. Dojechałaś na czas, ale po drodze mogłaś zawiadomić gliny...

- Nie zrobiłabym tego, przecież to moja matka! Nie narażałabym jej życia tylko po to, żeby cię ukarać!

- Już mnie ukarałaś. I po co? Żeby dowieść, jaka jesteś mądra i sprytna?

Teraz jakoś nie radzisz sobie najlepiej, prawda?

- Ta historia jest związana z moim życiem. - Callie powoli szła przed siebie na drżących nogach. - Chciałam się dowiedzieć, co mnie spotkało. Nie rozumiesz tego?

- Zatrzymaj się i podnieś ręce, tak, żebym je widziała! Marcus Carlyle był wielkim człowiekiem, wizjonerem... I był bardzo inteligentny, dużo inteligentniejszy od ciebie. Nawet jako martwy przewyższa cię pod każdym względem...

- Czego ode mnie chcesz? - Oczy Callie przywykły już do ciemności. Całkiem dobrze widziała posiniaczoną, wykrzywioną nienawiścią twarz Dory, wyczuwała też coś jeszcze, na samym skraju pola widzenia. - Powiedz mi, czego chcesz.

- Patrząc, jak cierpisz. - Dory cofnęła się w gęsty mrok.

Parę sekund później Callie ujrzała chwiejącą się na brzegu jeziora postać. Dostrzegła kosmyk lśniących jasnych włosów i sprężyła się do skoku.

- Zabiję ją, jeżeli drgniesz. - Dory podniosła w górę pistolet. - Popatrz tutaj! Mówiłam, że mam nóż, ale chyba się pomyliłam... Wygląda mi to na broń palną. Powiem ci coś - z tego samego pistoletu o mały włos nie zastrzeliłam twojego bardzo seksownego byłego męża. Mogłam to zrobić, wiesz? - Poświeciła latarką pod takim kątem, że Callie musiała zasłonić oczy. - Nie sprawiłoby mi to wielkiej trudności, bo wcześniej już zabiłam Dolana. Właściwie był to wypadek - chciałam go tylko ogłuszyć, ale uderzyłam mocniej, niż zamierzałam. Potem wrzuciłam go do Oczka Simona, z nadzieją, że policja zacznie podejrzewać ciebie, ale nie udało się...

Będę tuż za tobą, przypomniała sobie Callie słowa Jake'a. Musiała zachować spokój i ufać mu.

- Spaliłeś biuro Lany - odezwała się.

- Ogień oczyszcza. Po co ją zatrudniłeś? I dlaczego wtykałeś nos w nie swoje sprawy?

- Byłam ciekawa. Pozwól jej teraz odejść, dobrze? Nie ma sensu jej krzywdzić, dobrze o tym wiesz. Nie zrobiła nic złego, to tylko ja...

- Chętnie bym cię zabiła. - Dory wymierzyła broń w serce Callie. - Ale to byłaby zbyt łatwa śmierć dla takiej wywłoki jak ty...

- Dlaczego zabiłeś Billa? - Callie ostrożnie zrobiła krok do przodu.

- Bo nawinał mi się pod rękę i od początku zadawał zbyt dużo pytań. Nie zauważyłaś? Ciągłe chciał coś wiedzieć, strasznie mnie to drażniło. I ciągle wypytywał, jakie zajęcia mam na ostatnim roku, jakie fakultety... Nic bym mu nie zrobiła, gdyby nie był taki ciekawski, zupełnie jak ty... O, popatrz, co tu znalazłam... - Dory popchnęła nogą kolejną związaną postać, która

potoczyła się w stronę wody. - Widzisz? Mam obie twoje matki...

Jake wyłonił się z lasu od zachodu. Stał cicho i powoli, nie oświetlając sobie drogi latarką.

Puszczenie Callie samej było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek musiał zrobić. Szedł zgięty w pół, wyęzając słuch i wzrok.

Kiedy usłyszał głosy, w ostatniej chwili zapanował nad pragnieniem, aby pobiec ku nim. Był uzbrojony tylko w kuchenny nóż, ponieważ nic innego nie udało mu się znaleźć, kiedy wybiegał z domu.

Zmienił kierunek, zaczął posuwać się przez ciemność w stronę głosów. Nagle przystanął, a serce skoczyło mu do gardła. Zobaczył ludzką postać, rysującą się na tle pnia dębu.

Dopiero po paru sekundach zorientował się, że postać nie stoi o własnych siłach i że obok niej przywiązana jest druga. Obaj ojcowie Callie byli zakneblowani i związani. Głowy zwisały im bezwładnie na piersi. Jake usłyszał za sobą cichy, szybki oddech.

- Prawdopodobnie zostali uspieni - szepnął. - Odetnij ich. - Podał nóż Dougowi. - I zostań tu. Jeżeli oprzytomnieją, ucisz ich...

- Na miłość boską, Dory maje obie...

- Wiem.

- Idę z tobą. - Doug na sekundę zamknął dłoń na pozbawionych czucia palcach ojca i podał nóż Diggerowi. - Zaopiekuj się nimi...

Serce Callie było zupełnie odrętwiałe z bólu. Matka, która ją urodziła, matka, która ją wychowała... Teraz życie jednej i drugiej zależało od niej.

- Masz rację, przechytrzyłaś mnie - przyznała pokornie. - Ale przecież nie zrobiłaś tego sama. Gdzie jest twój ojciec? Nie możesz na to patrzeć, Richardzie? Nawet teraz?

- Domyśliłaś się, co? - Dory uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Możesz wyjść, tato. Przyłącz się do zabawy...

- Dlaczego nie mogłaś zostawić tej sprawy w spokoju? - Richard stanął u boku córki. - Dlaczego uparłaś się, żeby koniecznie grzebać w przeszłości?

- A ty po prostu ją zaakceptowałeś, tak? I nigdy nie szukałeś odpowiedzi... Jak mogłeś na to pozwolić? Jesteś taki jak ja. Marcus zabrał cię rodzicom, nie dał ci szansy. Nikomu nie dawał szans...

- Zrobił to dla mojego dobra. Niezależnie od tego, jaki był, zapewnił mi dobre, wygodne życie.

- A twój a matka?

- O niczym nie wiedziała lub nie chciała wiedzieć, to bez znaczenia. Odszedłem od niego, odszedłem od mojego ojca i jego ciemnych interesów.

Dłonie Callie były mokre od potu, lecz mimo to rwały się do tkwiącego

w bucie noża. Uświadomiła sobie, że bez chwili wahania zabiłaby w obronie matki, w obronie obu matek...

- Miałem własne dziecko, o którym musiałem myśleć, i własne życie. Po co kalać je skandalem? Po co rujnować sobie życie?

- Ale ty nie wychowałeś córki, oddałeś ją Dorothy. Na polecenie Marcusa.

- To nie była moja wina! - Richard nie ukrywał wzburzenia. - Miałem zaledwie dwadzieścia lat, co miałem zrobić?

- Zachować się jak mężczyzna. - Kątem oka Callie spostrzegła, że Dory patrzy na Richarda.

Wystarczy poszukać czułego punktu, pomyślała. Ostrożnie, tylko ostrożnie...

- Zachować się jak ojciec - podjęła. - Ale nie, i tym razem pozwoliłeś mu przejąć kontrolę. Marcus wypaczył charakter twojej córki. Jak mogłeś pozwolić, by zrobiła coś takiego? Należałeś do tej siatki? Będziesz osłaniał ją nawet teraz, gdy wiesz, że zabiła?

- To moje dziecko, nie ma w tym jej winy. Nie pozwolę, żeby ktoś znowu ją skrzywdził.

- Właśnie, ja niczemu nie jestem winna - przytaknęła Dory. - To ty zasługujesz na karę, Callie. Sama to na siebie ściągnęłaś... - Spojrzała na leżące u jej stóp kobiety. - I na nie...

- Musisz tylko wyjechać na parę tygodni - odezwał się Richard. - Kiedy znikniesz, policja wstrzyma dochodzenie, a ja przewiozę Dory w bezpieczne miejsce. Bez ciebie nie będą mieli najważniejszego punktu zaczepienia. Nie musisz robić nic więcej...

- Tak ci powiedziała? W taki sposób namówiła cię na szpiegowanie członków zespołu i wysadzenie przyczepy? Tak przekonała cię, żebyś jej dzisiaj towarzyszył? Czy jesteś aż tak ślepy, że nie widzisz, iż ją interesuje tylko sprawianie bólu i zemsta?

- Nikomu nie stanie się nic złego - upierał się Richard, - Daj mi tylko odrobinę czasu...

- Ona kłamie. - Dory odrzuciła włosy do tyłu - Powie ci to, co chcesz usłyszeć, ale w głębi serca zależy na ukaraniu dziadka. I mamy. Ale to ona zostanie ukarana...

Dory przykucnęła i przytknęła lufę do jasnowłosej głowy. - Dory, nie! - krzyknął Richard. Callie głośno wciągnęła powietrze.

- Którą chcesz uratować? - Dory mocnym kopniakiem wrzuciła jedną kobietę do wody. - Jeżeli za nią skoczysz, zastrzelę tę drugą. Jeżeli spróbujesz uratować tę tutaj, tamta się utopi. Ciężki wybór, co?

- Dory, na miłość boską... - Richard rzucił się ku niej lecz ta wymierzyła do niego z pistoletu.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! Jesteś żaloszny! Ach, do diabła, niech obie się utopią! - Wepchnęła do wody drugą bezwładną postać, podniosła wzrok na Callie. - A ty patrz...

- Niech cię piekło pochłonie! - Callie bez chwili wahania skoczyła do wody, gotowa na przyjęcie kuli.

Wyczuła jakiś ruch, chociaż dopiero w ostatniej sekundzie ujrzała wybiegającego spomiędzy drzew Jake'a. Była już w wodzie, kiedy rozległ się strzał.

Coś ukuło ją w ramię, ale się nie zatrzymała z rozpaczliwą koncentracją płynęła w kierunku miejsca, gdzie zanurzyła się pod wodą jedna z jej matek. Nadal nie wiedziała, która. Wiedziała tylko, że nie zdoła uratować obu.

Wzięła głęboki oddech i zanurkowała. Przed oczami ciemność, rozgarniała wodę rękoma i ze wszystkich sił się, by dane jej było zobaczyć jakiś kształt lub ruch.

Płuca paliły ją żywym ogniem, nogi i ramiona wydawały się ciężkie i słabe, lecz wciąż płynęła, zanurzając się coraz głębiej. Gdy ujrzała migoczący złotem cień, zacisnęła zęby i zeszła jeszcze niżej.

Chwyliła włosy, pociągnęła. Nie miała czasu posłużyć się nożem, więc wsunęła rękę pod sznur i zaczęła holować ciężar ku powierzchni. Była pewna, że nie wytrzyma przed oczami miała tańczące białe światła. Błagała Boga, o odbłask księżyca walczyła z wodą, która wydawała się ciągnąć ją na dno. Buty były ciężkie jak ołów, prawe ramię bolało ze zmęczenia w płucach zabrakło jej powietrza, przez parę sekund zmagala się z ciężkim ciałem, w końcu, osłabiona i prawie nieprzytomna, osłabła potem czyjeś ręce wyciągnęły ją na powierzchnię. Zakrztusiła się kaszlem gdy błogosławione, cudowne powietrze wypełniło jej płuca. Kiedy Jake holował je obie do brzegu wciąż jeszcze usiłowała odpychać się od wody.

- Jake - jęknęła. - Została jeszcze druga... Poszła na dno.

- Dug po nią zanurkował! Wszystko w porządku...

Przyłgnęła do nieprzytomnej kobiety, odsunęła włosy z twarzy Suzanne.

- Mój Boże... - wychrypiała. - Mój Boże... Jake, błagam wody.

- Czy ona oddycha? - Rozdygotanymi palcami szukała tętnicy szyi Suzanne. - Chyba nie oddycha... Boże, dobry Boże ratuj ją.

- Ja to zrobię. - Lana odsunęła ją na bok. - Przez trzy lata pracowałam w czasie wakacji jako ratowniczką...

Odchyliła głowę Suzanne do tyłu i zaczęła robić jej sztuczne oddychanie. Callie dźwignęła się z kolan, ruszyła w kierunku wody.

- Daj spokój! - Matt trzymał na muszce leżącą na ziemi Dorę Richard siedział obok córki, z twarzą ukrytą w dłoniach. - Nie dasz rady, Cal! Policja już jedzie! - W oddali rozległo się wycie syren. - I karetka...

- Moja matka... - Callie spojrzała na wodę, potem na Suzanne.

I osunęła się na kolana, kiedy na powierzchni ukazały się trzy głowy. Usłyszała ochrypy, głęboki kaszel.

- Oddycha! - zawołała Lana.

- Niech ktoś przetnie ten sznur... - Callie poczołgała się, aby pomóc wydobyć Vivian na brzeg. Starła się nie szlochać, ale nie miała już sił. - Niech ktoś przetnie ten przeklęty sznur...

Czyjaś ręka wynurzyła się z wody i chwyciła Callie za przegub dłoni.

- Mamy twoją... - wykrztusił Doug. Callie wybuchnęła płaczem.

- Mamy twoją... - odparła.

EPILOG

Tuż po wschodzie słońca Callie weszła do szpitalnej poczekalni. Wiele razy widywała podobne sceny w filmach, ale tym razem przeżywała ją sama i była bardzo szczęśliwa.

Wszyscy członkowie jej zespołu siedzieli lub leżeli na fotelach, krzesłach i podłodze. Ponieważ natychmiast zachciało jej się płakać, ucieszyła się, że śpią i nie widzą jej łez.

Nie zostawili jej samej. Nie opuścili w najgorszym momencie życia.

Najpierw podeszła do Lany i delikatnie potrząsnęła jej ramieniem.

- Co... Och, to ty... - Lana odgarnęła włosy za uszy. - Chyba zasnąłam...

Jak się czują?

- Wszystko w porządku. Mój ojciec i Jay zostaną zaraz wypisani, mama i Suzanne muszą tu zostać jeszcze na parę godzin. Doug i Roger siedzą przy Suzanne, zaraz wyjdą.

- A ty? Jak się czujesz?

- Jestem wdzięczna, bardziej, niż potrafię to wyrazić. Dziękuję ci za wszystko, także za suche ciuchy.

- Nie ma za co. Jesteśmy teraz rodziną. Callie przykucnęła obok krzesła Lany.

- Mój brat jest naprawdę porządnym facetem...

- Tak. - Lana pokiwała głową. - I kocha cię. Masz tu rodzinę. - Krótkim gestem ogarnęła wszystkich śpiących w poczekalni. - Poza tym masz jeszcze dwie, trochę mniejsze...

- Nie wiedziałam, że ratuję Suzanne. - Wspomnienie tamtych strasznych chwil miało zostać w niej na bardzo długo. - Musiałam podjąć decyzję i skoczyć po tę, która była dłużej pod powierzchnią...

- Gdybyś nie podjęła tej decyzji, nie przeżyłaby. Jak ramię? Callie ostrożnie poruszyła barkiem.

- Boli, chociaż kula podobno nie naruszyła stawu ani kości. Zabierz Douga i Rogera do domu, dobrze? Doug jest kompletnie wykończony, a Roger za stary na takie przeżycia. Jay zostanie tu z Suzanne. Wydaje mi się, że są w sobie zakochani. Znowu...

- Historia lubi się powtarzać...

- I bardzo dobrze. Przekonaj Douga i Rogera, że nic nam już nie grozi.

- Na szczęście rzeczywiście tak jest. - Lana uśmiechnęła się lekko. - Policja zabrała Dory i Richarda, tajemnice się rozwiały...

- Kiedy wszystko wyjdzie na jaw, okaże się, że jest mnóstwo takich jak ja, jak Suzanne i Jay, jak moi rodzice - powiedziała Callie.

- Tak. Niektórzy będą chcieli kopać, szukać odpowiedzi, inni

zrezygnują. Tak czy inaczej, zrobiłaś, co należało, i położyłaś kres temu horrorowi. To ci powinno wystarczyć.

- Ale ten, który ponosi największą odpowiedzialność, nigdy nie zostanie ukarany...

- Naprawdę w to wierzysz? - Lana spojrzała na swoją dłoń, na palec, na którym jeszcze niedawno nosiła obrączkę. - Naprawdę myślisz, że wszystko kończy się z chwilą złożenia ciała do ziemi? Bo ja nie...

Kiedy z czułością chowała obrączkę do szkatułki, czuła przy sobie obecność Steve'a. Obecność przepojoną miłością i łagodnością. Callie przypomniała sobie, jak często podczas pracy słyszała głosy zmarłych.

- Krótko mówiąc, mogę się pocieszyć, że Marcus Carlyle smaży się w piekle, tak? - Zamyśliła się na chwilę. - Może i tak...

- Jedź do domu. - Lana ostrożnie poklepała ją po ramieniu. - Zabierz swoją rodzinę i jedź do domu.

- To chyba dobry pomysł.

Wyszli dopiero po godzinie, ponieważ wszyscy po kolei musieli zajrzeć do Rosie, mimo że pielęgniarka zapewniała, że przed południem na pewno puszczają do domu. W drodze powrotnej Callie siedziała z zamkniętymi oczami.

- Mam ci wiele do powiedzenia - odezwała się do Jake'a. - Ale w głowie czuję teraz straszny mętlik...

- Nie musisz się śpieszyć.

- Czuwałaś nade mną, a ja ci ufałam. Powinieneś wiedzieć, że ani na sekundę nie zwątpiłam... Stałam tam, sztywna ze strachu i cały czas myślałam, że jesteś tuż za mną. Więc wszystko musiało się dobrze skończyć.

- Ta dziwka cię postrzeliła!

- No, dobra, mogłeś zjawić się trzydzieści sekund wcześniej, ale nie zamierzam ci tego wypominać. Uratowałeś mi życie, to jasne. Nie wyciągnęłabym jej sama, zresztą, już i tak obie szłyśmy na dno. Potrzebowałam cię i uratowałeś mnie. Nigdy ci tego nie zapomnę.

- No, jeszcze zobaczymy...

Kiedy samochód się zatrzymał, otworzyła oczy i rozejrzała się po polu.

- Co my tu robimy, do cholery? Chyba nie przyjechaliśmy do pracy?!

- Nie, ale to dobre miejsce i warto o tym pamiętać. Chodź ze mną, Cal. Wsiadł, zaczekał na nią, potem wziął ją za rękę i poszli do bramy.

- Myślisz, że teraz na widok wykopaliska i wody będą się trzęsła jak galareta?

- Nie, myślę, że całkiem nieźle sobie z tym poradzisz. - Pchnął bramę. Weszli na teren.

- Tak, masz rację - westchnęła. - To dobre miejsce. I ważne. O tym także nie zapomnę...

- Mam ci parę rzeczy do powiedzenia i na szczęście nie skarzę się na mętlik w głowie.

- W porządku.

- Chcę, żebyś do mnie wróciła. Chcę cię odzyskać. Zerknęła na niego, nie odwracając ku niemu głowy.

- Ach, tak?

- Chcę, żebyśmy znowu byli razem, tylko inaczej, lepiej. - Pragnął widzieć przynajmniej jej profil, więc wsunął pasmo włosów za jej ucho. - Nie pozwolę ci już odejść. Słyszałem tamten strzał, widziałem, jak poszłaś pod wodę. To mógł być koniec... - Przerwał, odwrócił się. - To mógł być koniec - powtórzył pewniejszym głosem. - Nie możemy tracić więcej czasu. - Spojrzał na nią poważnie, prawie ponuro. - Możliwe, że za pierwszym razem schrzanilem sprawę...

- Możliwe?

- Ty też.

W policzkach Callie pojawiły się dołeczki.

- Możliwe... - powiedziała.

- Chcę, żebyś kochała mnie tak jak wcześniej, na samym początku.

- To głupie, Graystone.

- Akurat! - Chciał chwycić ją za ramię i odwrócić twarzą do siebie, ale na szczęście przypomniał sobie, że jest ranna. - Tym razem odpowiem na twoją miłość w taki sposób, jak tego pragniesz...

- To głupie, bo nigdy nie przestałam cię kochać, ty skończony matole! O, nie! Co to, to nie! - Podniosła rękę i oparła dłoń na jego piersi, nie dopuszczając go do siebie. - Tym razem poprosisz...

- O co poproszę?

- Już ty dobrze wiesz, o co. Masz poprosić mnie jak należy. Uklęknij na jedno kolano i proś!

- Chcesz, żebym przed tobą klękał?! - zapytał, szczerze przerażony. - Żebym korzył się w pyle?

- Tak jest. O, tak... Przyjmij odpowiednią pozycję, Graystone, bo sobie pójdę.

- Na miłość boską! - Odwrócił się na pięcie i zrobił kilka kroków, mamrocząc coś pod nosem.

- Czekam.

- Dobrze, dobrze! Cholera jasna! Muszę się zmobilizować...

- Mało brakowało, a zginęłabym od kuli... - Kiedy na nią spojrzął,

powachlowała się rzęsami. - Prawie się utopiłam... To mógł być koniec - powtórzyła dobitnie jego słowa. - Ktoś tu traci cenny czas...

- Zawsze umiałaś bić poniżej pasa!

Jake zmarszczył brwi, przeszył ją ognistym spojrzeniem i ukląkł na jedno kolano.

- Powinieneś wziąć moją dłoń i wyglądać na wzruszonego.

- Och, zamknij się wreszcie! Czuję się jak ostatni kretyń! Wyjdiesz za mnie czy nie?

- Nie o to mi chodziło. Spróbuj jeszcze raz.

- Matko Boska! Callie, wyjdiesz za mnie?

- Nie powiedziałaś, że mnie kochasz. Przez następne pięć lat będziesz musiał powtarzać mi to dziesięć razy dziennie, rozumiesz? W ten sposób wyrównamy rachunki.

- Wyciągasz z tego maksimum satysfakcji, prawda?

- Absolutne maksimum - przyznała.

- Kocham cię. - I nagle uśmiech, który rozjaśnił jej twarz, przyniósł mu odprężenie. - Pokochałem cię w chwili, gdy cię zobaczyłem po raz pierwszy. Przestraszyło mnie to i potwornie wkurzyło. Nie poradziłem sobie z tym zbyt dobrze, bo zrozumiałem, że nagle zjawiała się w moim życiu kobieta, która może mnie zranić. Która znaczy dla mnie więcej, niż jestem w stanie zrozumieć...

Callie ze wzruszeniem dotknęła jego policzka.

- W porządku, wystarczy - mruknęła.

- Nie, muszę skończyć. Szybko zaciągnąłem cię do łóżka, bo miałem nadzieję, że mi przejdzie. Nie udało się. Zaciągnąłem cię do ślubu, bo myślałem, że może wtedy przejdzie, ale też się nie udało. I to...

- Strasznie cię wkurzyło - dokończyła.

- Tak jest. Więc potem spieprzyłem sprawę i tobie też pozwoliłem ją spieprzyć. Odszedłem, bo byłem pewny, że polecisz za mną. Nie poleciałaś. Nigdy więcej nie odejdziesz. Kocham cię taką, jaką jesteś, nawet kiedy doprowadzasz mnie do szału. Kocham cię. I jak?

- W porządku. - Callie wytarła łzy. - Dobrze ci idzie. Ja też więcej nie odejdziesz. I nie będę oczekiwać, byś odgadywał wszystkie moje potrzeby i uczucia. Będę ci o nich mówiła i pytała ciebie, co czujesz. I zawsze znajdziemy wyjście, razem.

Schyliła się, żeby go pocałować, ale kiedy zaczął podnosić się z kolan, odepchnęła go.

- Co teraz?

- Masz pierścionek? - zapytała.

- Żartujesz sobie?
- Pierścionek jest niezbędny, ale na szczęście ja mam obrączkę. - Wyciągnęła spod bluzki łańcuszek z obrączką i położyła na jego dłoni. Długo przyglądał się obrączce, usiłując nie okazywać wzruszenia.
- Wygląda mi jakoś znajomo...
- Nie zdejmowałam jej, dopóki się tu nie zjawiłeś. Poprosiłam Lane, żeby przyniosła mi ją do szpitala razem z czystymi rzeczami...
- Obrączka była ciepła ciepłem jej ciała. Gdyby nie klęczał, widok tego złotego krążka na pewno powaliłby go na kolana.
- Nosilaś ją przez cały czas? - zapytał z niedowierzaniem.
- Tak. Jestem sentymentalną idiotką.
- Co za miły zbieg okoliczności... - Jake wyłowił łańcuszek spod koszuli i pokazał Callie swoją obrączkę. - Bo ja jestem sentymentalnym idiotą...
- Pocałował ją mocno, gorąco.
- Chciałem dowieść, że mogę żyć bez ciebie.
- Ja także.
- Oboje dowiedliśmy, że możemy żyć bez siebie, ale jeśli o mnie chodzi, to jestem znacznie szczęśliwszy z tobą - oświadczył.
- Ja też... O, Boże... - Mimo bólu, objęła go mocno. - Tym razem nie pojedziemy do Las Vegas...
- Nie?
- Nie. Weźmiemy prawdziwy ślub, urządzimy prawdziwe weselne przyjęcie. I kupimy dom.
- Naprawdę?
- Chcę mieć jakąś bazę, chcę mieć dom, w którym będę mieszkać razem z tobą. Miejsce, gdzie zapuścimy korzenie.
- Nie żartujesz? - Jake oparł czoło o jej czoło. - Ja też chcę mieć dom. I dzieci.
- Wreszcie mówisz do rzeczy! Założymy własną osadę i tym razem naprawdę coś zbudujemy...
- Kocham cię... - Delikatnie pocałował każdy z jej trzech dołeczków. - Zadbam, żebyś była szczęśliwa...
- W sumie nieźle ci idzie.
- A ty kochasz mnie. Do szaleństwa.
- Na to wygląda - wymamrotała.
- To dobrze. - Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę samochodu. - Bo widzisz, zapomniałem ci o czymś powiedzieć... Z tym ślubem...
- Potraktujemy to na poważnie. Żadnych Elvisów z Vegas.
- Absolutnie poważnie, zwłaszcza że ślub jest jakby zbędny... Nadal

jesteśmy małżeństwem.

Callie stanęła jak wryta.

- Słucham?

Jake zdjął jej obrączkę z łańcucha.

- Nie podpisałem papierów rozwodowych. Miałas przecież polecieć za mną, znaleźć mnie i wepchnąć mi je do gardła, taki był mój scenariusz...

Patrzyła na niego bez słowa.

- Nie podpisałeś ich? - wykrztusiła wreszcie. - Nie jesteśmy rozwiedzeni?

- Nie. Włóż obrączkę.

- Jedną chwileczkę... Co by było, gdybym zakochała się w kimś innym i chciała drugi raz wyjść za mąż? No, co by było?

- Zabiłbym faceta i zakopał w płytkim grobie. I pocieszył cię. A teraz, pozwól, że włożę ci obrączkę na palec... Chcę wrócić do domu i pójść do łóżka z moją żoną. - Uważasz, że to zabawne?

- Cóż... W zasadzie tak... - Rzucił jej szybki, rozbrajający uśmiech. - A ty nie?

Stała z założonymi rękami, przyglądając mu się spod zmrużonych powiek. Wreszcie wyciągnęła do niego rękę.

- Masz szczęście, że moje poczucie humoru jest równie zboczone jak twoje. Pozwoliła mu wsunąć sobie obrączkę na palec i zaraz potem sama zrobiła to samo. A kiedy wziął ją na ręce i przeniósł przez bramę, jak pan młody pannę młodą, parsknęła śmiechem.

Spojrzała przez jego ramię na pole, na całą tę pracę, która tu na nich czekała, na przeszłość, którą zamierzali odsłonić. Damy sobie radę, pomyślała. Odnajdziemy wszystko, co zasługuje na odnalezienie. Razem.